PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK OŚMNASTY. — TOM LXXII.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1901.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1901.

Stanowisko Dyonizego względem ery staro-chrześcijańskiej.

Mało przykładamy czasem wagi do drobnych zwyczajów, którym zawdzięczamy niejedną wygodę w codziennych stosunkach, a które przynoszą wiele pożytku i nauce. Do takich pozornych drobnostek, nie pozbawionych wagi doniosłej, należy zwyczaj, spotykany u starożytnych narodów już od najdawniejszych czasów i troskliwie pielęgnowany, który nam pomaga zapamiętać pierwszorzędne wypadki dziejowe przez to, że oznaczamy lata liczbą porządkową, rozpoczętą od chwili owych wypadków, czyli od nich zaczynamy liczyć lata nowej ery. Zwyczaj ten przez niedbalstwo zdziczałych pokoleń u wielu narodów na długie czasy zaginął i pozostawił po sobie dotkliwy brak pod niejednym względem, aż dopiero po wiekach odgrzebany pośród starych rumowisk i mozolnie odświeżony wrócił na usługę dzisiejszego społeczeństwa, ale przez różnych odnowicieli już mniej sprawnie i pomyślnie urządzony, niż przez owe pierwotne narody, które umiały zaczynać lata swojej ery od epoki szczęśliwie dobranej.

Za wypadek oczywiście pierwszorzędny w pamięci wszystkich narodów, bez różnicy ich dziejów poszczególnych, może uchodzić sam początek świata i rodu ludzkiego, i służyć za przyrodzony początek ery dziejowej dla całego świata, jako chronologiczna epoka wspólna całemu człowieczeństwu. To też najwcześniej oświecone narody w dobie starożytnej przekazały

po sobie roczniki, zaopatrzone porządkowemi liczbami lat, zaczętemi od początku świata, mianowicie liczyły lata według ery, którą tu można nazwać krótko erą człowieka. Wybrany naród żydowski przodował innym narodom w trosce o dokładny spis swoich dziejów według lat od Adama liczonych przez kilkadziesiąt wieków bez przerwy. Także Chińczycy, Chaldejczycy, Egipcyanie i inne narody przekazały nam podobne ślady ery człowieka, ale ani nie sprostały Żydom w wiarogodnym układzie roczników, ani nie przechowały lat tak zliczonych prostym i pojętnym sposobem, jak u Mojżesza i jego następców. U schyłku przedchrześcijańskiej doby starożytne narody doszły do ogólnego zamętu w chronologii i mogły tylko pokazać roczniki upstrzone wierutnemi bajkami, albo łamigłówki liczbowe nierozgmatwane, albo nakoniec zanik wszelkiej chronologii, przydatnej do naukowego rozbioru. Nawet Żydzi przestawali sobie zdawać sprawę ze swojej liczby lat w erze człowieka i dziś tę erę przechowują jako martwą prawdę, której nie umieją wyjaśnić a tylko czczą, jako cząstkę skarbów najdroższych. Na sąd o wiele mniej pochlebny, niż Żydzi, zasługują ze względu na chronologię dziejopisowie cesarstwa rzymskiego, łacińscy i greccy. W całej dziedzinie astronomii, kalendografii i chronologii można wprawdzie spotkać wiele cennych ziarn prawdy, a nawet jej perły prawdziwe, u dziejopisów pogańskiego Rzymu, ale ich księgi, do naszych czasów dochowane, niezbicie dowodzą, że na chwiejnej powadze ich świadectw nie można polegać. Arytmetyka u nich najuprzejmiej ustępuje miejsca krasomowstwu i pozwala dobierać liczby do dźwięczniejszego opisu przygód ciekawych.

W takim duchu pisał roczniki zhelenizowany Żyd, Józef Flawiusz: na cierpliwych zwojach papyrusu zestawiał liczby sprzeczne do tego stopnia, że kto nie zna ówczesnej arytmetyki historyków, ten wątpi dzisiaj, czy czyta samo dzieło światłego pisarza w pierwotnej postaci, a nie przeróbkę niezdarną z wieków późniejszych. Raz po raz liczby np. większe, wyjęte z przekładu Biblii Siedmdziesięciu, tworzą sumę, którą Biblia żydowska ze swoich mniejszych liczb ściągnęła. Ale o przeróbkę jego roczników nie trzeba nikogo posądzać: wystarczy spostrzedz,

że Flawiusz nie stanowił wyjątku od ogólnej zasady. Utwory ówczesnych dziejopisów widocznie nie rościły sobie praw do niczego, prócz zalet pisarskich i sławy literackiej; do zalet utworu literackiego należało lekkie szyderstwo z bacznej uwagi na dokładne szczegóły: więc z nazw podawanych wiernie, ze świadectw, wypadków albo zjawisk zapisywanych starannie, a nadewszystko z liczb ścisłych. Im dalej dziejopisarstwo odbiegało od złotego wieku, tem częściej pisarz dogadzał zepsutemu smakowi społeczeństwa bezmyślnego, więc, aby wystąpić z poczytną księgą roczników, nie dbał o zasady ścisłego badacza prawdy, ale barwnie opowiadał niezwykłe przygody, z dowcipnym czasem przytykiem do nudnych szperaczy, którzy ślęczeli nad drobiazgami co do etnografii, statystyki, geografii albo chronologii.

Każdy czytelnik dzisiejszy ledwo zacznie w owych rocznikach szukać jakichś dat dokładnych, spotka zaraz liczby tak niedbale rzucane, jakby pisarzowi szło o artystyczny nieład w chronologii. Raz po raz zachodzi wypadek, że źródło, np. Eutropius, donosi o śmierci Trajana w roku jego rządów 19-m, miesiącu 6-m, dniu 15-m, więc każe najwyraźniej liczyć całych lat tylko 18 i całych miesięcy 5, ale oparty na Eutropiusie następca dodaje nadto 13 miesięcy, bo w swojej arytmetyce nie odróżnia lat i miesięcy pozaczynanych od całych; według tej arytmetyki niebaczni pisarze nowożytni, jak Champagny, najpoważniej wyznaczają czas rządów Trajanowych od stycznia 98-go roku do sierpnia 117-go, zamiast do lipca 116-go. Albo znowu Eutropius pisze, że Adryan „skończył w roku 21-m, miesiącu 10-m, dniu 29-m“ rządów, ale nie rozróżnia tu rządów sprawowanych przez samego Adryana od czasu współrządu Antonina; Kasiodor później wyjaśnia te lata i liczy ich 20, a nadto całych 10 miesięcy i 19 dni, już nietylko na rządy Adryana samego ale także na czas jego syna przybranego Antonina; Champagny najspokojniej pomija poprawkę Kasiodora i rozciąga rządy samego Adryana od sierpnia 117-go do lipca 138-go. Także Antonin przybrał na współrządcę Marka, który później sam sprawował rządy; Ksyfilin z Diona Cassiusa czerpie liczbę

rządów samego Marka, lat 10, Suidas nie odróżnia samoistnych rządów Marka od współrządu z Antoninem, i za Kasiodorem podaje liczbę lat 19; Eutropius z Kapitolinem liczą lat 18 i t. d. i t. d.

Taką chronologią zdumiony czytelnik traci przed oczyma drogę w lesie przeciwieństw i idzie po przewodnika do zawodowych badaczy nowoczesnych. Jeden po drugim wydaje ten sam wyrok. Herman Peter[1] twierdzi: „Troska o krasomowczy blask wpływała szkodliwie nawet na wierność w podawaniu poszczególnych wieści i doniesień, a to przedewszystkiem uderza we wstręcie tych dziejopisarskich krasomowców ku liczbom ścisłym i dokładnym. Mówili sobie słusznie, że wypadki stosowniej ustawione milej uderzają oko czytelnika i przenosili dla jego uciechy stosunki z jednych czasów w drugie; tak można przynajmniej w części wyjaśnić potworne liczby u Walerego Antiasa i Klaudyusza Quadrigariusa. Ale nawet dokładniejsi i godniejsi wiary dziejopisowie uważali za zbytek ostatnie cyfry liczb większych, jednostki albo nawet dziesiątki i setki, więc zaokrąglali liczby albo unikali ich pospolicie i używali na pomoc zwrotów ogólnych. Stąd Pliniusz[2] wyraża się, że jego znajomy myśliwy zwyczajem dziejopisów podaje nieobliczalne mnóstwo zabitej zwierzyny, a nie wyraża jej liczby. Albo Dio Cassius[3] wspomina, że wielu Żydów zginęło za Adryana z głodu, z chorób i wśród pożogi, ale liczbę ich nazywa ἀνεξερεύνητον. I Herodot[4] z zimną krwią donosi, że o liczbie zabitych w którejś bitwie, co kto chciał pisać, to napisał śmiało.

„Także daty chronologiczne, jako takie, nie przedstawiały dla retora żadnego powabu; wystarczyło tyle powiedzieć, ile wymagał *numerus oratorius*. Sallustius swojemi *iisdem temporibus, interea* i t. d. zadał niejedną łamigłówkę badaczom; Tacyt, choć wogóle dokładniejszy, zaokrągla sobie 823 na 800, 41 na 50 i t. d.;

---

[1] *Die geschichtliche Litteratur über die römische Kaiserzeit.* Leipzig. B. B. Teubner. 2 B. 1897, 281—287.

[2] Ep. 9, 16, 1.

[3] 69, 14, 1.

[4] 3, 76.

u Florusa także wszystko idzie na dziesiątki lat albo na setki okrągłe, więc z lat 725 zostaje 700, każda wojna trwa lat 50 albo 40 i t. d.; Ammian na ważny wypadek podaje szumnie brzmiący frazes, np. miało to albo owo miejsce, ‚kiedy wschodziła zorza dnia, któremu księga roczników daje nazwę liczebną piątej doby przed trzynastym sierpnia'; Herodian gardzi wszelkim opisem, któryby określił cobądź dokładnie, to też w chronologii upodobał sobie zwroty: w czasie ‚krótkim', ‚długim' i ‚niedługim' po poprzednich wypadkach albo ‚w owym czasie', chociaż nie zawsze można przed tym zwrotem znaleźć jakąbądź chwilę wymienioną, na którą wskazywałby swoim zwrotem; ułamków nie cierpi, więc każdy rok zaczęty dodaje do poprzednich liczb jako całą jednostkę.

„Doskonale uwydatnia Gellius ducha swojego czasu, kiedy uważa liczbę gdzieniegdzie rzuconą za przyprawę czy ozdobę języka pisarskiego: ‚nie na to bowiem kładliśmy wagę, aby układać z usilną troską i niedościgłą rachubą συγχρονισμοὺς znakomitych mężów w obu narodach, ale aby na poważny całun niejako rzucić lekkie kwiaty dziejowego opisu...' Pojmujemy zatem, że nawet lata rządów cesarskich wahają się w źródłach i nie pozwalają uchwycić nic stałego". Po tych słowach Peter odsyła po dalsze szczegóły o tej chwiejnej chronologii do Rubensohna, który wydaje również wyrok bynajmniej nie korzystny dla owej retoryki historycznej.

Z tymi sądami o ogóle dziejopisów starożytnych, zgodnie brzmią głosy o pisarzach, którzy szczególnie obrabiali dzieje rzymskie z doby cesarstwa. O ich chronologii można powtórzyć za Wachsmuthem[1], naprzód co do Tacyta, że „w całej jego pracy nie mógł tkwić zamiar, aby tak krytycznie roztrząsać pojedyncze wypadki i poddawać świadectwa poprzedników takiemu rozbiorowi, jak to umiał Polybios. Wszak Tacyt, jako senator, pod ręką miał źródła pierwszorzędnej wagi, np. *Acta senatus*, a nie zaglądał do nich sam, ledwo z drugiej ręki brał ich urywki. Istotnie też sam przebieg wypadków, zebranych

[1] *Einleitung in das Studium der alten Geschichte.* Leipzig 1895, 8.

w źródłach, przedstawiał dla Tacyta treść podrzędną, bo uchodził w jego oczach ledwo za surowy budulec, któremu polot pisarski musi nie tylko szat udzielić, aby strojnie odziać prawdę, ale powinien także duszę wlać w martwe ciało wypadków dziejowych". Ze względu na statystykę i chronologię, dodaje Wachsmuth wyraźnie, że Tacyt „liczb unika z zasady; w swoich opisach bitew zupełnie opuszcza szczegóły ściśle nieodzowne; z chronologią, chociaż pisze roczniki, radził sobie bez wielkiego mozołu; coraz wyraźniej uznawał ramy roczników za więzy dokuczliwe, więc często je rozrywał, nieraz tam, gdzie mógł uważać, że jaśniej albo w wyraźniejszym związku zestawi wypadki, ale niestety czasem ze względów czysto pisarskich, aby wybitniej zestawić przeciwieństwa". Do tych słów Wachsmuth dodaje zgodny sąd Hirschfelda i ciągnie dalej: „W całej budowie swojego dzieła Tacyt zamierza zadośćuczynić przepisom literatury i często odsłania obrazy dramatyczne, aby zaciekawić czytelnika. Jeżeli ten wzór w dzejopisarskim zawodzie, Tacyt, uważał chronologię za drobiazg podrzędny, albo za niewygodne wędzidło dla pisarskiego zapału: czyż można śmiało twierdzić, że jego naśladowcy umiejętnie badali źródła chronologiczne?"

To też zaraz tenże Wachsmuth[1] wspomina o Amianie Marcellinusie, który dalej ciągnął roczniki Tacyta, że i ten literat głównie korzystał z dzieł poprzednich, a nie zaglądał do źródeł; przytem pożyczał liczby od pisarzy, którzy policzyli lata każdy według własnej chronologii; za nimi „Amian plącze razem lata, żywcem brane ze sprzecznych tablic, nie zwraca nawet uwagi na taki drobiazg, jak arytmetyczne dziwolągi. Znał urzędowe zapiski sprawozdawców zawodowych, ale postępował z nimi jak z ogniem do którego ostrożny człowiek nie podchodzi za blizko... Owiany duchem powierzchownej ogłady swojego czasu, robi wycieczki geograficzne, jakby na dowód, że nawet nieuk umie z powagą rzeczoznawcy rozprawiać o przedmiocie nieznanym. Zadał sobie pracę chwalebną, żeby zestawić wypadki w chrono-

[1] Str. 683

logicznym porządku, a więcej wagi przypisuje związkowi wypadków rzeczowemu, niż ich chronologicznemu następstwu".

Nie lepsze światło pada na źródło, osobliwie ponętne dla badaczy dziejów cesarstwa, mianowicie na dzieło: *Scriptores historiae Augustae.* To właśnie dzieło powinnoby najdokładniej opisać rządy cesarzy, i istotnie dostarcza największego zbioru szczegółów i liczb, ale sąd o tem dziele wypada dziś najniepomyślniej. Już Wachsmuth pisał:[1] „nigdy o tem nikt nie wątpił, co leży jasno jak na dłoni, że mamy tu ledwo urywki, zebrane i pozlepiane ręką pisarza, nadzwyczaj niezręcznego i niezrównanie opieszałego. Co gorsze, i w co długo nie chciano wierzyć, ale o czem dzień dzisiejszy zaczyna przekonywać najmniej łatwowierne umysły, wszystkie albo prawie wszystkie akta z ich datami stanowią czysty wymysł". Tu przytacza zgodne sądy takich badaczy, jak Mommsen, Peter i Woelfflin.

Owa doba widocznie nie mogła w starożytnym świecie wyrobić badaczy ścisłych, bo nietylko łacińscy literaci piszą takie historye. Jeden po drugim z greckich dziejopisów ówczesnych zbiera dziś wprawdzie pochwały od krytyków, ale tylko za język barwny i zbiór ciekawych szczegółów, a kiedy idzie o naukową ocenę tych dzieł, słyszymy znowu sąd, że ci pisarze mieli niewątpliwie na oku jedynie poklask u bezmyślnych czytelników, których bawiły opisy przygód niebywałych i zajmowały skandaliczne obrazki dworu cesarskiego; rzadko kiedy przeziera z tych opisów poważna myśl, godna umiejętnego badacza prawdy dziejowej. Więc Siewers, Duenkliker i Duncker, a z nimi Wachsmuth[2] krótko wyrażają sąd zgodny: „Herodianos w chronologii niedbały, w geograficznych szczegółach budzi podziw swoim nieuctwem... Eunapios, znany jako dziejopis z hasłem sofistyki na ustach, pracował głównie na polu krasomowstwa w Sardes... Iście po krasomowsku wygląda w śmiesznej dumie, z jaką u wstępu do dzieła historycznego wyraża się o ścisłej chronologii i zostawia ją do użytku pisarza rejestrów, albo na pociechę

[1] Str. 690.
[2] Str. 694.

buchalterów i na zabawkę dla astronomów, a od siebie odpędza daleko troskę podobną. Appianos w dziele swojem zaraz na wstępie (r. 13) zapowiada, że chronologiczne mozoły zostawia pedantom". O Florusie dobitnie wyrażają sąd Wachsmuth i Koller: „jak taki literat poczynał sobie z chronologią i wypadkami, można łatwo wnosić z jego zasad; na łokcie trzebaby mierzyć spis jego błędów umyślnych i omyłek mimowolnych".

Słowem: źródła chronologiczne z doby cesarstwa rzymskiego mącą oczy widokiem tylu liczb ze sobą sprzecznych, że nawet najwprawniejszy badacz ustaje w pracy, albo łoży trud niezmierny bez skutków pomyślnych. Jeden z tych pracowników najskrzętniejszych, Teodor Mommsen, w swojej *Die roemische Chronologie* napotykał niezliczone węzły gordyjskie, których rozwiązywać nie myślał, bo widział oczywiste niepodobieństwo; czasem rozcinał je po mistrzowsku, czasem jednak nie przekonał przeciwników: Hartmanna, Huschego i Langego, ani jego uczniowie i zwolennicy: Unger, Matzat, Holzapfel, Soltan i Seeck nie odkryli drogi jasnej do prawdy. Te spory wydały już cały rój nowych a sprzecznych domysłów, i jedno do dziś dnia pozostaje pewnem, że u starożytnych dziejopisów można wyczytywać liczby wszelakie, ale rzadko kiedy dodawane według zasady, że dwa a dwa jest cztery.

O ich tedy powadze Dyonizy nie nadmienił ani słówka, i to słusznie: u takich przewodników nie mógł znaleźć rękojmi, że z nimi prawdę wykryje pewniej, niż ją zbadała szkoła aleksandryjska co do lat ery chrześcijańskiej.

Ale czyż na Aleksandryjczykach Dyonizy oparł swoją erę i według nich obliczył lata od Narodzenia Chrystusa?

I aleksandryjska szkoła zachodziła na bezdroża, ale tylko w tej mierze, co podróżny, który z igłą magnetyczną w ręku szuka drogi w nieznanej okolicy: choć pójdzie mylnym tropem, wczas umie spostrzedz błąd i zwróci kroki na drogę właściwą.

Kiedy starożytni dziejopisowie w przekwitłem społeczeństwie pogańskiem szli do prawdy, jakby na przechadzkę w tę stronę, dokąd zachcianka Muzy ich prowadziła, chrześcijańskie społeczeństwo wydawało ze siebie umysły, żądne prawdy za

każdą cenę, rozmiłowane w prawdzie raz uznanej aż do przelewu krwi, gotowe prawdę każdą, związaną z Chrystusem, zdobywać orężem cierpliwej pracy, i chociaż nieraz świadome, że w szczególe tym albo owym same nie znajdą, czego szukają, przecie nieodstręczone przeszkodą, znojnie kuły w skale drogę dla szczęśliwszych potomków.

Przełom w pojęciach o pracy umysłowej widnieje zaraz od pierwszego stulecia chrześcijańskiego. Społeczeństwo pogańskie w Helladzie dawno odwykło od widoku myślicieli na pogadankach pod Stoą, w Rzymie nigdy głęboko nie zorało czoła patrycyuszom myślą filozoficzną: tu i tam goniło za rozkoszą żywota i sławą lekko nabytą piórem, wymową, przechwałką z bogactw, a poczytywało naukę ścisłą, jak wszelką inną pracę, za ciężar stosowny dla niewolników albo dobry dla wyzwoleńca; pomiatało majstrem kamieniarskim zarówno jak mistrzem dłuta, dla jednego i drugiego miało o jego pracy tę samą nazwę: rzemiosło, *ars*. Społeczeństwo chrześcijańskie od razu poważnie spojrzało na pracę naukową i nie szukało lekkomyślnej rozrywki albo zabawki po swoich uczelniach, jak Grecy w swoich σχολαὶ a łacinnicy w *ludi*. Już pierwsi uczniowie apostolscy spostrzegli, że prócz wykładu zasadniczych prawd wiary po kościołach, prócz pism przystępnych dla szerszego ogółu, ich posłannictwo potrzebuje przybytków wiedzy głębokiej, gdzie każdy badacz prawd boskich znalazłby pokarm stosowny[1]. Więc uczeń Jana, Polikarp, w Azyi gromadzi gorliwych słuchaczy, przed którymi rozwija pojęcie filozofii chrześcijańskiej. W Rzymie wyższą uczelnię zakłada Justyn i z pośród słuchaczy wybiera dla siebie następcę w Tatianie, a ten zostawia swoją spuściznę Rhodonowi; jeden po drugim mijają prędko, bo im pilno na katusze: tam najskuteczniej wymową śmierci dowiodą prawdy, którą wykładali. Tą samą pieczęcią krwi zaopatrują swoje wykłady założyciele szkoły aleksandryjskiej. Tam inny uczeń apostolski spotyka Pantajna stoika, którego obiera za powiernika prawdy i który zakłada szkołę, tak zwaną katechetyczną; z grona jego słuchaczy

[1] Hergenr. *Kirch. Gesch* I, § 172, 179..

wychodzi Klemens, a po nim długim rzędem idą świetne imiona pisarzy i świątobliwych miłośników nauki. W Antyochii znów inny filozof chrześcijański zakłada szkołę, która przez chwilę z Aleksandryą idzie w zawody. Ale na Zachodzie wśród krwawych rzezi chrześcijan, nie można myśleć o rozwoju szkoły w Rzymie; na Wschodzie dalekim marzycielski duch rozniósł po świecie uczniów szkoły antyocheńskiej, zarażonych gnostycyzmem; aleksandryjska szkoła sama przetrwała niebezpieczeństwa i doczekała swobodnego rozkwitu chrześcijaństwa wraz z początkiem oświaty bizantyjskiej i zachodniej.

Już od pierwszych swoich występów na widowni pracy umysłowej Aleksandryjczycy przy apologetycznych rozprawach potrącali o księgę dziejów i o wywody na chronologii oparte. Ale wobec zamętu, w jakim chronologię pogrążyło lekkomyślne pisarstwo pogańskie, trudno było ustalić daty, choćby tylko zasadnicze, i trzeba było dać za wygranę z erą człowieka. Aleksandryjczycy szukali innej epoki, bliższej już niż początek świata, i za taką obrali wypadek wszechświatowej wagi, bo przez następstwa swoje zdolny odrodzić zbutwiały świat: zaczęli liczyć lata ery od Wcielenia Pańskiego czyli, jak pospolicie mówimy, lata od Chrystusa. Już w szczątkach dzieł Afrykanosa i Hipolita znajdujemy wyraźne ślady ery chrześcijańskiej. Również Klemens Aleksandryjski obrobił znaczną część pola chronologii. Następnie Grek Eusebios, współczesny soborowi nicejskiemu, opracował księgę roczników drugą, ułożoną według lat ery Chrystusowej, odmienną od poprzednich i przełożoną następnie przez Hieronima dla Kościołów łacińskich. Ale liczba lat od Chrystusa Pana, obliczonych w tej księdze roczników, nie znalazła wiary u ogółu światłych czytelników, ani na tę wiarę istotnie nie zasłużyła. Dopiero w kilkadziesiąt lat po Eusebiuszu na przełomie stuleci IV-go i V-go powstali Aleksandryjczycy, Anian (385—412) i Panodor (400), z chronologiczną pracą wykonaną w świetle zasad astronomicznych i ustalili starą chrześcijańską erę. Odtąd znajdujemy lata tej ery albo znamienne z niej szczegóły, przytaczane u chrześcijańskich pisarzy, głównie na Wschodzie. Tak św. Maksym Mnich († 662) za naj-

pewniejszą i znaną pospolicie prawdę poczytuje swój spis cesarzów rzymskich od Augusta do Honoryusza, w którym to spisie wylicza pomiędzy Nerwą i Komodem lata rządów Trajana, Hadryana, Antonina i Marka i liczy w tym przeciągu czasu tylko 88 lat, chociaż późniejsi pisarze przypuszczają, że rządy wymienionych cesarzy wynoszą razem 96 lat. Odtąd trwa ośmioletnia różnica stale między chronologicznemi datami św. Maksyma a przyjętą później erą dyonizyańską [1].

Podobnież jego następcy liczą lata według ery staro-chrześcijańskiej: Theophanes (około 800) w swoich rocznikach, Syncellas (około 800) w chronologii, Mahoud (po 1071) w dziejach Jakobitów aleksandryjskich, Jerzy Synkellos i jego następca łacinnik w dziele zwanem *Miscella,* Jerzy Kedrenos, Nikifor Gregorasów i, prócz wielu innych, Cyryl scytyjski mnich, świadek bardzo ważny w tej sprawie, bo oparty na powadze dzieł nam już nieznanych św. Hipolita, Epifaniosa, Herona i Homologeta [2]: „śmierć jego (Eutymiosa) wypadła w roku XI-m indykcyi, od stworzenia świata 5965-ym, od Wcielenia 465-ym według lat obliczonych przez świętych Ojców, Hipolita starożytnego i znanego apostołom, Epifaniosa Cypryjskiego, Herona Filozofa i Homologeta". A śmierć świętego Saby nastąpiła 5-go grudnia w roku indykcyi X-m, od stw. świata 6024-m, od Wcielenia 524-m, Justyniana 6-ym, Oresta 2-m.

Otóż na ów rok XI-y indykcyi a od stw. świata 5965-y przypada w erze dyonizyańskiej rok 473-ci, a na rok X-y indykcyi a od stw. świata 6024-y przypada dyonizyański rok 532-i. Stąd widać, że Cyryl Scyta staro-chrześcijańską erę poczytywał za obliczoną przez ucznia apostolskiego Hipolita i przechowywaną w pamięci następnych Ojców aż do Panodora i Aniana, a następnie używaną na Wschodzie w ciągu średnich wieków.

W nowszych wiekach Wschód zatarł u siebie pamięć o pierwotnej erze staro-chrześcijańskiej, i tylko przechował jej ślad

---

[1] Por. *Przegl. Powsz.* t. LXX, str. 209.

[2] Migne, *P. G.* XCII, 30.

nad górnym Nilem w kraju zupełnie odciętym od nowożytnej oświaty, zwanym za czasu Rzymian Etyopią a obecnie Abisynią. O tej erze miał jakieś wskazówki Dyonizy Pétau w XVII-ym wieku, może przez swojego towarzysza zakonnego Nuneza, który między Abisyńczykami krzewił myśl o zgodzie z papiestwem. Ale Dyonizego Pétau wzmianka o erze abisyńskiej brzmiała jeszcze niedość stanowczo i ściągnęła na niego złośliwe docinki ze strony Pagiego, który ją poczytywał za wymysł niedorzeczny i utrzymywał, że jedynie dyonizyańska era przechowała staro-chrześcijańską liczbę lat od Chrystusa, a innej świat nie posiada. Jednak nowe podróże w ciągu wieków ostatnich potwierdziły słowa Dyonizego Pétau: Ideler już stanowczo powtarzał, że Abisyńczycy liczą o lat 8 mniej od Chrystusa, niż Dyonizy Szczupły. Ostatnie lata zaprowadziły Włochów do Abisynii i odkryły, że rzeczywiście tam istnieją do dziś dnia potomkowie chrześcijan z patryarchatu aleksandryjskiego, wierni wszelkim zwyczajom przodków z przed tysięcy lat, którzy i w obrzędowych księgach i w stosunkach urzędowych liczą lata z aleksandryjska, o ośm mniej niż my. *Przegląd Powszechny* przed kilku laty [1] podał list Menelika z roku naszego 1887-go podpisany: „dan w stolicy Makale, 22-go dnia miesiąca Baramcha 1879-go roku Łaski". Tak samo z roczną datą o ośm mniejszą od naszej przychodziło wiele listów abisyńskich od Menelika i Negusów do rządu włoskiego, albo do papieża list z dnia 1-go października r. 1896-go z podpisem: „pisan w naszem mieście Addis Ababa 22-go Maskaram roku Łaski 1889". Daty te niezbicie dowodzą, że do dziś dnia starożytną erę Aleksandryjczyków przechowuje lud, który z Aleksandryi przyjął naukę Chrystusową i oświatę wraz z obyczajami kościelnymi i chronologią [2].

[1] Tom LIII, 455.

[2] Tu wytknąć trzeba, że Lersch w tej sprawie zdradza nie dość ustalone pojęcie o erze staro-chrześcijańskiej Abisyńczyków: wie o ośmioletniej różnicy między nią a dyonizyańską, ale uważa staro-chrześcijańską raz za dłuższą, raz za krótszą od naszej; t. I, str. 232 wspomina o „chronologische Einstellung der Menschwerdung ins J. 9 p. Chr. n. nach heutiger Rechnung"; na str. 234 przeciwnie mówi o „sogenannte christliche Aera..., die 9 Jahre mehr als die gewöhnliche zählte; man führte sie auf Hipolyt u. Epipha-

Między tych pracowników na polu chronologii i do obrobionej przez nich i ustalonej na Wschodzie starej ery chrześcijańskiej wszedł w 6-em stuleciu Dyonizy Szczupły ze swojemi tablicami niedziel wielkanocnych na swoje stulecie, aby aleksandryjską naukę przenieść na Zachód, i przy tem podał porządkowe liczby lat, o ósemkę większe, niż wypadałyby według Aleksandryjczyków. Na jakiejże podstawie Dyonizy oparł nową odmianę ery chrześcijańskiej, dłuższej niż stara o ośm lat? Z jednej strony miał przed sobą greckie dzieło poważnych chronologów chrześcijańskich, z którem pragnął zapoznać swoich czytelników łacińskich, z drugiej strony widział mętne źródła pogańskich dziejopisów. Wobec rozsądku nie powinien był Dyonizy długo szukać drogi: nie potrzebował namysłu, czy wypada powtórzyć wiernie prawdę, zdobytą przez naukę aleksandryjską, czy trzeba ją przerobić za radą przewodników, od których nawet w dzisiejszym stanie wiedzy badacze nie mogą usłyszeć wskazówek zrozumiałych. Aleksandryjczycy nawet w mniej udanych pomysłach okazywali więcej zmysłu do pracy naukowej, niż pogańscy krasomowcy w zakresie dziejopisarstwa i rocznikarskich utworach. Aleksandryjczycy nie poprzestali na erze chrześcijańskiej: usiłowali przy pomocy indykcyonu zrozumieć biblijną chronologię przedchrześcijańską i w świetle astronomicznego poglądu błędnego, — o powrocie jednakowych dni słońca, księżyca i tygodnia co 532 lat, — urządzili spis lat od Adama. Radzili sobie przy tem z liczbami każdy po swojemu, jak komu dowcip podpowiedział, byle dojść do wyniku upatrzonego z góry. Całą tę ich pracę burzy astronomia nowoczesna, bo obala rzeczoną zasadę ich indykcyonu; przecież te ich wysiłki objawiają jakąś myśl ściśle przeprowadzoną i troskę o związek między liczbami. Klasycy łacińscy i greccy objawiają troskę o dźwięczne liczby, zgrabnie rzucone między gładkie okresy, ale nie dbają o ścisłe

nius zurück... Noch heute zählen die Abessinier für die Jahre der Menschwerdung 8 Jahre mehr, als wir". Także str. 88: „Die Abessinier bedienen sich einer Gnaden-Aera, die Ende August 9 vor Chr. beginnt". Znowu str. 93: „Jahre der Gnade (bilden) die Aera der Aethiopier, Abessinier u. Kopten; die Kopten setzen mit den Orientalen die Incarnation 8 Jahre später wie wir an".

wypadkowe, zgodne z arytmetyką, tem mniej o wyniki ułożone z myślą zawczasu.

Nadto z innego powodu, bardzo poważnego, nie można wcale podejrzywać Dyonizego o umyślną zmianę w erze starochrześcijańskiej. Mieć tu trzeba na oku czasy, kiedy wyszła jego praca, i pamiętać, dla jakich czytelników Dyonizy pisał i w jakim zamiarze. Była to doba rozwoju pozytywnej i podstawnej nauki chrześcijańskiej, a nie pora do idealnej spekulacyi nad dalszymi wnioskami z prawd zasadniczych. Jedna nawa Kościoła Powszechnego nie słyszała pośród swoich wiernych innych haseł na Wschodzie, innych na Zachodzie; żadne szkoły teologiczne nie zaprawiały dowcipu swoich uczniów do waśni o poglądy nowe, które później rozpalały serca bez żadnego pożytku dla żywotnych potrzeb chrześcijaństwa. Żaden racyonalista nie wyzwolił umysłów z głębokiej czci dla każdej prawdy, którą przodkowie po wierze zgodnie wyznawali, czyto kiedy za naukę Chrystusa szli na męki, czy kiedy podawali tę naukę swoim następcom. Społeczeństwo przywiązane do każdego słowa odziedziczonego po Wyznawcach i Męczennikach, nie zdołałoby nawet nadstawić ucha na podszept jakiejkolwiek myśli, której ci przodkowie nie poparliby swoją powagą. Każda nowina, każdy dodatek w opisie wypadku, związanego ściśle z treścią nauki Chrystusowej, każdy zwyczaj przedtem nieznany w obrzędach: wszystko wywoływało łatwo zgrozę i często nawet gniew, przed którym sam już rozsądek radził ustąpić siewcy nowych poglądów. Możemy z opisu św. Augustyna ocenić, co św. Hieronim ucierpiał, iż w nowym przekładzie Biblii użył wyrazów zgodniejszych z księgami żydowskiemi, zamiast utartych i ustalonych przez zwyczaj.

Więc np. prorok Jonasz wspomina o jakiejś roślinie pnącej się, w której cieniu odpoczywał po podróży, a którą przekład stary łaciński nazwał bluszczem czy ogórkiem; święty Hieronim w swoim przekładzie poprawniej wyraził żydowską nazwę i napisał powój czy figa. Ledwo lud usłyszał ten jeden zmieniony wyraz przy nabożeństwie w kościele, zaraz wobec biskupa wywołał taką wrzawę, oburzony nowostką, i tak wymownie zajął groźną po-

stawę, że biskupowi przyszłoby chyba ratować się ucieczką, gdyby natychmiast po ich myśli nie rozkazał duchowieństwu zatrzymać dawnej nazwy. Nietylko tą jedną razą wywołał przeciw sobie burzę święty Hieronim za nowe wyrazy i zwroty w swoim przekładzie Biblii. Z tej też przyczyny Kościół łaciński wolał w pacierzach kapłańskich zatrzymać stary przekład psalmów, mniej dokładny, a nadto miejscami niezrozumiale ciemny, niż skorzystać z poprawnego przekładu, którym święty Hieronim także zgorszył lud i ledwo za niedowiarka nie uchodził.

Oceniać taki nastrój umysłów można rozmaicie, według tego, na jakiem kto chce stać stanowisku, ale taka niechęć do wszelkiej nowostki i podejrzliwa obawa przed zmianą wszelką albo poprawką nawet nieudolnych przekładów ma za sobą stronę pożądaną dla dziejopisa, który śledzi prawdę w świadectwach ówczesnych. Mianowicie kiedykolwiek dzisiejszy czytelnik znajdzie jakieś szczegóły zgodnie podane przez poważnych pisarzy pierwotnego Kościoła, wtedy może na pewno wiedzieć, że nie czyta ich pomysłów osobistych, ale słyszy głos świadectwa, w treści swojej niezmienny i bez przerwy powtarzany od początku chrześcijaństwa. Jeżeli zatem niektórzy inni ówcześni pisarze poważni używają odrębnego zwrotu i temi słowami wyrażają myśl dwuznaczną: czy jakąś osobliwą, czy zgodną z powszechnem świadectwem, — wtedy czytelnik ma przed sobą drogę zupełnie pewną do prawdy: nie potrzebuje w czambuł potępiać pisarza za każdy zwrot dwuznaczny, ale powinien w wyrazach niejasnych wyczytać tę samą myśl zdrową, którą inni wyrazili słowami jasnemi bez żadnych przenośni.

Oczywiście ta zasada dotyczy szczegółów, związanych z prawdami wiary. Co ci pisarze podają z geografii, mineralogii albo gramatyki, za to odpowiadają sami, a lud wierny, ani duchowieństwo, nad niczyimi poglądami czysto i zupełnie naukowymi nie rozciągali nadzoru. Więc chociaż jeden z najpoważniejszych Ojców Kościoła opowiada o kraju północnym, gdzie woda tak mocno zamarza, że już nie może odtajać nawet pod słońcem zwrotnikowem, i stąd to właśnie w krysztale górskim mamy ów lód wieczny z krajów północnych, to w opisach podobnego rodzaju

nikt nie potrzebuje bronić nieuctwa w zakresie mineralogicznym, bo ów pisarz za swoją wiedzę przyrodniczą sam odpowiadać musi osobiście, a nie występuje jako świadek wiary powszechnej.

Dziedzina chronologii także leży we właściwym swoim zakresie poza obrębem nauki wiary i obyczajów chrześcijańskich: więc pomyłka Dyonizego albo umyślne odstępstwo od liczby lat ery staro-chrześcijańskiej nie oburzałoby nikogo w Kościele Powszechnym, gdyby nowa jego era nie była sprzeczną z powszechnym głosem chrześcijaństwa o Męce Pańskiej w piątek, podczas pełni, na dniu równonocnym, roku 34-go wieku Chrystusowego. Tak określonego dnia Męki Pańskiej nie znajduje w sobie dyonizyański rok 34-y, więc nie odpowiada świadectwu staro-chrześcijańskiemu. Ten zarzut spadł zaraz na erę dyonizyańską, ledwo ją bieg czasu pomału rozpowszechnił i na nią zwrócił uwagę znawców. Odeprzeć ten zarzut usiłował dowodem na pozór wprost dziwnym ale istotnie wymownym, Beda, pisarz niezwykle pracowity, czynny i wpływowy w VII-em stuleciu.

Przed Dyonizym Zachód nie brał wybitniejszego udziału w pracach chronologicznych, bo wogóle całą dziedzinę nauk ścisłych zostawiał Wschodowi i poprzestawał na zakresie prawd przyrodniczych i poglądów, zdobytych zwłaszcza w uczonej Aleksandryi. Długo też nie dostarczał znawców zdolnych ocenić, czy Dyonizy Szczupły uniknął wszelkiej pomyłki. Dopiero Beda nadał szerszy rozgłos pracy Dyonizego; wkrótce też usłyszał zarzut przeciw niemu, podniesiony ze strony obrońców ery staro-chrześcijańskiej, która istotnie naznaczała dzień Męki Pańskiej na rok 34-y, zgodnie ze zasadą ogólnie przyjętą. Na zarzut podniesiony przeciw Dyonizemu, Beda zaraz wystąpił jako jego orędownik, aby oczyścić go z zarzutu odstępstwa od zasady przodków, bo w tym zarzucie Beda widział obelgę, zmyśloną na Dyonizego przez nieuków, — jeżeli nie powstała skutkiem pomyłki, której wina nie spada na Dyonizego.

Beda oparł swoje wywody na zasadzie, że poważny pisarz kościelny nie odstępuje od świadectwa przodków po wierze i ze staro-chrześcijańskich źródeł czerpie jak najwierniej swoje poglądy. Oparty na tej podstawie Beda ze zgrozą odmiatał

myśl, jakoby ktobądź zdołał dowieść odstępstwa od zasad starodawnych takiemu mężowi, jak ów Dyonizy Szczupły, który poważany dla nauki, w zakonie benedyktyńskim ze czcią mianowany wielebnym opatem rzymskim, ceniony dla pisarskich zasług w pracach owianych duchem prawowiernym, słynął jako gorliwy wyznawca i obrońca ówczesnych haseł nauki pozytywnej, a nie wysnutej ze spekulacyi czysto osobistej i śmiałych domysłów.

Zasadnicza przesłanka Bedy odpowiadała także poglądom przeciwników ery dyonizyańskiej, rzuca też światło na stanowisko Dyonizego względem staro-chrześcijańskiej ery. Stanowisko to wypływało z nastroju ówczesnych umysłów, oddanych w teologii nauce pozytywnej: Dyonizy nie należał do pisarzy, gotowych płynąć przeciw prądowi. I prąd ówczesnej teologii pozytywnej, przeciwnej nowostkom, tylko dodatnio mógł oddziałać na pracę Dyonizego, jako zapora ochronna przed chronologią, którąby odrzucała wielowiekowy dorobek dziejopisarstwa chrześcijańskiego, a opierała nowe poglądy na zagadkowej powadze dziejopisów rzymskiego cesarstwa, bądź greckich, bądź łacińskich.

Zgodnie z wywodami Bedy Dyonizy sam w swoich pismach okazuje umysł zwrócony całkowicie do pracy pozytywnej, wysnutej ze źródeł przedmiotowych i popartej zawodową powagą znawców. Wypowiada tę zasadę wyraźnemi słowami w tych ustępach swoich pism, które ocalały bez zmiany myśli do naszych czasów; inne ustępy oczywiście przekręcone piórem niezdatnych pisarzy, tworzą obecnie gromadę wyrazów bez związku, ale przez łatwą poprawkę doprowadzone do ładu, odzyskują myśl jasną i zgodną z ustępami, których pióro pisarza nie spaczyło bezwiednie.

Nie tu miejsce rozbierać pisma Dyonizego: wystarczy przedstawić tło, na którem ten pisarz wystąpił i zdobył z ust Bedy pochwałę, że prowadził dalej pracę kościelną, zaczętą przez poprzedników, a poza ich torem nie szukał dróg niezbadanych, ani nie wymyślił nowego poglądu na świat, tylko wydoskonalił,

co zastał niewykończonem, i w jaśniejszym wykładzie to powtórzył, co w zawiązku wyczytał w pismach poprzedników.

To wszystko jednak nie wyklucza pomyłki, bo Dyonizy mógł oprzeć się na rękopisie już zepsutym w jakimś szczególe, owszem, skoro w samej rzeczy podał liczbę lat od Chrystusa Pana, większą o ósemkę, niż poprzednio znana liczba lat w erze staro-chrześcijańskiej, — tedy widocznie wyczytał w zepsutym rękopisie liczbę źle zapisaną i dzięki pomyłce czyjegoś pióra zasłynął jako twórca nowej ery chrześcijańskiej.

To też sam Beda ostatecznie doszedł do wniosku, że może nawet obrońcy ery staro-chrześcijańskiej nie z nieuctwa wytykają w dziele Dyonizego odstępstwo od ustalonych zasad, tylko dostrzegli u niego jakieś liczby istotnie podejrzane, a nie odgadli, że widzą czystą pomyłkę pióra. Mianowicie Beda oblicza, że w tablicach Wielkanocy, według juliańskiego kalendarza ułożonych przez Dyonizego, wracają co 532 lata te same dnie tygodnia i księżyca w tych samych dniach roku, (jak to czytelnik widzi w indykcyonie poprzednio podanym), a stąd Beda wnosi, że owe dnie jednakowo wypadały w roku pierwszym wieku Chrystusowego i w roku 533-im według dyonizyańskiej ery, i że Wielki piątek wraz z Wielkanocą tak samo w roku 566-ym dyonizyańskim wypadał, jak w roku 34-ym wieku Chrystusowego wypadły dnie Jego Męki i Zmartwychwstania. Oczywiście przy tem rozumowaniu Beda uważa lata 1-y i 34-y wieku Chrystusowego zarazem za rok 1-y i 34-y ery dyonizyańskiej, bo inaczej w swoim dowodzie pozestawiałby liczby bez związku; dalej już tej przesłanki Beda nie dowodzi, bo na nią przeciwnicy Dyonizego przystawali i właśnie na niej opierali zarzut.

Następnie Beda przywołuje świadectwo staro-chrześcijańskie o Piątku Męki Pańskiej i tu nie umie wybrać między różnemi nazwami równonocni, wówczas używanemi: wyczytuje w łacińskich źródłach *(Acta Pilati)* cesarską liczbę równonocni dnia 25-go marca, a w greckich pismach („Akta soboru palestyńskiego“) liczbę nicejską czyli równonocnię 21-go marca; tej jednak, jako nowszej, nie całkiem dowierza, i przy swoim dowo-

dzie używa wyrazownictwa dawniejszego, czyli mianuje równonocnię 25-ym dniem marca, w przededniu liczy 24-y marca i t. d.[1]

[1] Czytelnik wobec dzisiejszego układu pojęć naukowych nie od razu zrozumie powyższe słowa, że w czasach Bedy używano dla równonocni dwóch nazw: cesarskiej, czyli 25-go marca, i nicejskiej, czyli 21-go marca. Kosmografia dzisiejsza mówi tylko o zmianie daty równonocnej w kalendarzu juliańskim, i wyjaśnia, dlaczego w stuleciu 0 równonocnia wypadała 23-go marca, w stuleciu 2, niedługo przed soborem nicejskim, słońce przez znak równonocny przechodziło 21-go marca, obecnie już dnia 8-go marca juliański kalendarz wyznacza równonocnię. Znamy tedy juliańską datę równonocni na każde stulecie i czytając o równonocni 25-go marca myślimy o stuleciu Hipparcha, w którym juliański kalendarz liczyłby 25-y dzień marca w czasie równonocni wiosennej, a czytając wzmiankę o równonocni w stuleciu Bedy, rozumiemy dzień 18-y marca juliańskiego. Nic innego nie rozumiemy, ani nie uważamy za dorzeczne rozbierać pytanie w czasach Bedy, czy równonocnię trzeba nazywać dniem marca 25-m czy 21-m?

Jednak Rzymianie swoim zmysłem zachowawczym nie umieli ogarnąć powyższych pojęć kosmograficznych i przystać na jakąś zmianę dat równonocnych w kalendarzu juliańskim. „Niech lepiej zostanie po dawnemu", odpowiedzieli Juliuszowi Cezarowi, kiedy im kazał poprawiać kalendarz. Stare tablice po Eudoksie, Metonie i innych astronomach z przed czasów Hipparcha przyniesione do Rzymu, przyzwyczaiły lud tamtejszy do równonocni 25-go marca, i w dwa wieki później Cezar zastał utrwalony zwyczajem początek wiosny, do którego lud dostosował swoje obrzędy, zjazdy, stosunki kupieckie i domowe. Donoszą o tem Pliniusz (*Hist. nat.* l. XVIII, c. 59) i Columella (*De re rust.* l. IX, c. 14), i uniewinniają Cezara, iż mimo przestróg Sozygenesa o przesuniętej równonocni na dzień 23-ci marca, przecie zostawił po dawnemu równonocnię zapisaną przy dniu 25-m tegoż miesiąca, bo mniemał, że zmiana zwyczaju, wsiąkłego we wszystkie stosunki od wieków, niepotrzebnie drażniłaby „grube pospólstwo", niezdolne iść równym krokiem z „niedościgłą astronomią". Stąd to wszystkie pory roku pozostawały na odwiecznem miejscu w kalendarzu juliańskim, co na razie nie stanowiło nawet właściwego błędu pod względem wyrazownictwa, bo nazwy łacińskie przesilenia i równonocni, *solstitium* i *aequinoctium*, nie wyrażają jeszcze same przez się jednej chwili ani nie oznaczają nawet dnia jednego, tylko odpowiadają przeciągowi kilku dni, kiedy słońce niejako zawiesza ruch swojej tarczy między gwiazdami i wschodzi codzień prawie na tem samem miejscu widnokręgu.

Z biegiem lat różnica między początkami cesarskich pór roku a rzeczywistymi rosła widocznie. Już współcześni św. Klemensowi Aleksandryjskiemu badacze w III-ciem stuleciu znali równonocnię 21-go marca i na niej sobór nicejski oparł swój wyrok wielkanocny. Ale tylko Wschód korzystał ze światła Aleksandryjczyków w postępie pojęć astronomicznych; zachowawczy zmysł rzymski utrwalił w narodach romańskich swoje zwyczaje i zwroty mowy i przez długie wieki Zachód, choć wyzwolony z pod berła

Przy tem wyrazowmictwie nie trudno już zrozumieć ostateczny wniosek Bedy w obronie Dyonizego [1]: „a więc otworzywszy tablice błogosławionego Dyonizego, jeżeli po spotkaniu roku 566-go od Wcielenia Pańskiego, znajdziesz 14-y dzień od nowiu (widzialnego, — więc pełnię cykliczną) we czwartek dnia (rzekomo) 24-go marca, a niedzielny dzień wielkanocny (rzekomo) 27-go marca na 17-y dzień od nowiu, złóż Bogu dzięki, iż czego szukałeś, jak obiecano przez Niego, znalazłeś... Jeżeli zaś nie zdołasz znaleźć roku, którego szukałeś, na miejscu pożądanem, albo niedbalstwu chronografów winę przypisz, albo raczej własnej ciasnocie rozumu".

Słowem, Beda musiał dojść ostatecznie do wniosku o jakiejś pomyłce, którą przypisuje chronografom bez winy Dyonizego. Druga część jego wniosku oczywiście odpada, bo wcale nie skutkiem ciasnoty rozumu czytelnik widzi przy roku 566-ym dyonizyańskim zupełnie co innego, niż przypuszcza Beda. Tablica Dyonizego stanowi część indykcyonu, całkowicie podanego poprzednio, i istotnie tak podaje niedziele wielkanocne, jak wymagają zasady indykcyonu; a więc nie może podawać przy roku 34-m (albo 566-m) tej Wielkanocy, jaką indykcyon podaje przy roku 42-im [2].

---

rzymskiego, przecie po dawnemu rozumiał 25-y dzień marca, kiedy słyszał o równonocni. Widzimy to jeszcze za czasów św. Izydora, znacznie później od Dyonizego, a nawet Beda, który pierwszy zaczął za spóźnioną uważać równonocnię 25-go marca, nie wiedział jeszcze nic o jej dniu właściwym wówczas, — 18-ym marca — tylko polecał ją przyśpieszyć na nicejską datę 21-go marca, i to jedynie w imieniu powagi Ojców soboru, a przyznawał, że za cesarską równonocnią znajduje powagę pisarzy starożytnych, „licznych i mądrych, bądź pogan, bądź chrześcijan".

[1] Migne, *P. L.* xc, 495.

[2] Dyonizy w swojej tablicy obejmuje 95 lat, od 532-go roku do 626-go: nie podaje tedy wyraźnie pełni i dni tygodnia na lata Chrystusowe, ale dostarcza na każdy rok dat z roku późniejszego o 532 lata. Otóż, jak załączony poprzednio indykcyon pokazuje pełnię w niedzielę 21-go marca w latach 34-m, 566-m, 1098-m, 1630-m i t. d., tak samo Dyonizy podaje na rok 566-y Wielkanoc 28-go marca, w tydzień po pełni. A tę pełnię, której wymaga Beda dla roku 34-go, podaje Dyonizy 22-go marca we czwartek na rok 42-gi, najzgodniej z załączonym indykcyonem, który powtarza tę samą pełnię wraz z dniem tygodnia i roku w latach 42-im, 574-m, 1106 i t. d.

Jeżeli tedy Beda przyznaje w czemś możebną pomyłkę chronografów, to musi na nią przyzwolić nie co do całego układu tablicy zupełnie poprawnej u Dyonizego na 95 lat i nie co do całego spisu 95-ciu liczb porządkowych na każdy rok, lecz tylko co do wzoru, według którego Dyonizy dostawał te liczby; a w takim razie Beda musi przystać, że Dyonizy nie dokonał swojej pracy według wzoru poprawnego ze względu na rok śmierci Chrystusowej, czyli, że odbiegł od staro-chrześcijańskiego świadectwa o tym roku, jak to właśnie zarzucali Dyonizemu obrońcy ery pierwotnej. Czemuż jednak Beda temu zaprzecza i broni z zapałem straconego stanowiska?

Wszak coś musi znaczyć w ustach łagodnego i cierpliwego Bedy, chluby angielskiego Kościoła, ów dziwny, niby gniewliwy przytyk do czytelnika, aby szukał zgody między erą dyonizyańską i zasadniczemi wskazówkami przodków, bo znajdzie ją, a jeżeli nie znajdzie, niech obwinia nie Dyonizego, tylko pomyłkę chronografów albo własną ciasnotę rozumu.

Beda niewątpliwie mógłby rozumieć dowody, na których spoczywał zarzut przeciw erze dyonizyańskiej, bo sam pozostawił kilka dzieł w zakresie chronologii i prowadził w dalszym ciągu tablicę Dyonizego, przerwaną przez niego na roku 626-m. Jednak widocznie nie chciał ani rozumieć, ani nawet słuchać żadnych dowodów przeciw Dyonizemu, dla którego żywi cześć, prawie jakby dla świętego Ojca Kościoła; może w najlepszym czy w najgorszym razie ścierpieć myśl, że praca jego oparta jest w jakimś szczególe na niedokładnym rękopisie albo nie dla każdego czytelnika zrozumiała, ale nie znosi myśli, aby ten dla niego wzorowy pisarz odbiegł od dróg utartych w Kościele. Jak wprost „błogosławionym“ mieni Dyonizego w słowach powyżej powtórzonych, tak w wielu innych miejscach[1] sławi tego męża czcigodnego, tego wybitnego przedstawiciela nauki, „także w języku greckim biegłego“, wielebnego twórcę tablic wykonanych

---

I tak na przeciąg 95-u lat Dyonizy oznacza każdy rok liczbą porządkową, a dostaje te liczby na każdy rok ze wzoru, z którego te liczby istotnie wynikają, chociaż nie odpowiadają starożytnym wskazówkom.

[1] Migne, *P. L.* XC, 285, 483..., 492, 592..., 599, 604 i t. d.

na wzorach świętych Ojców aleksandryjskich: Teofila, Anatola, Cyryla i innych; dalej Beda tak roztrząsa te tablice i tak zdaje z nich sprawę, jakby przeprowadzał przez ważną część skarbca wiedzy kościelnej.

Wobec tylu objawów czci można łatwo zrozumieć, co znaczy dziwna odprawa, jaką Beda pogardliwie zbywa natrętny zarzut przeciw wielbionemu opatowi rzymskiemu. Beda, jednomyślny zawsze z ogółem poprzednich pisarzy, wyrażał nie osobisty swój pogląd, powtarzał tylko ogólny sąd o stanowisku, zajętem przez Dyonizego w jego pisarskim zawodzie. Widocznie tak mniemał Beda, jak utrzymywali jego poprzednicy o Dyonizym, i jak uczeni Benedyktyni, do których należał i Dyonizy i Beda, cenili w rzymskim zakonniku troskę osobliwą, aby w każdem dziele powtórzyć wiernie myśl Ojców i wyrazić ściśle ich wskazówki. Więc mógł Dyonizy, znany w ten sposób z ducha zachowawczego, odpisać z błędnego rękopisu jakiś szczegół, przeciwny w swoich wynikach z poglądem ogólnie przyjętym, i mógł przeoczyć te wyniki, ale nie mógł świadomie prowadzić do wniosku sprzecznego z ogólnem świadectwem, nie mógł naumyślnie policzyć tego roku, jako 34-go od Nar. Chr., w którym nie wypada piątek na pełnię w czasie równonocni, bo byłby na swoją obronę zdał dokładnie sprawę, dla jakiego powodu odstępuje od zasad i własnych i społeczeństwa, w którem żył, poco łacinników zapoznaje z erą aleksandryjską, nie przedstawioną wiernie, tylko przerobioną nie wiadomo jakiem prawem, dlaczego wkońcu pozostawił opis epoki zgodnej z erą starochrześcijańską, a nie z własną przeróbką. Ten ostatni szczegół każe stanowczo widzieć wraz z Bedą u Dyonizego niebaczną pomyłkę, a nie zamierzoną przeróbkę ery aleksandryjskiej. Ten wniosek nasuwa cześć Bedy dla Dyonizego i ten gniew, jakim czciciel Dyonizego zapałał w jego obronie wobec zarzutu nowostek: nie uwierzył przeciwnikom ani nie rozpatrzył się nawet bliżej w ich dowodzie, z góry przekonany, że jeżeli nie ich ciasna głowa, tedy pomyłka tylko czyjegoś pióra mogła stworzyć pozory przeciw „błogosławionemu“ pisarzowi.

Zupełnie innej sławy używałby Dyonizy u Bedy i ówcze-

snego społeczeństwa, przy ich nastroju umysłowym, gdyby poza szkołą aleksandryjską dobrał sobie doradców i podług ich wskazówek przedłużył erę chrześcijańską: zająłby niepoczesne stanowisko marzyciela-samouka, na jakie owe czasy skazały innego pisarza, współczesnego św. Cypryanowi w wieku trzecim. Pisarz ten nieznanego nazwiska, umieszczony między Ojcami przy Cypryanie i dlatego mianowany Pseudocypryanem [1], wystąpił z jednym jedynym poglądem chronologicznym, który odbiegł od powszechnego świadectwa o dniu Męki Pańskiej i dlatego nie znalazł ani zwolenników, ani nawet rozgłosu. Pseudocypryan wyznaje dobrodusznie, że owego świadectwa powszechnego nie zna, jakby żył poza całem społeczeństwem chrześcijańskiem, że nie wie, kiedy Chrystus Pan urodził się, umarł i zmartwychwstał, a pragnąłby to wiedzieć, więc postanawia sprawę zbadać własnym dowcipem. Wtedy słyszy głos nadziemski, który rozwija chronologię dość dziwną; lata w niej idą niby kółka w zegarze nakręconym tak dowcipnie, że wydzwaniają się okresy czasów, pełne myśli tajemniczej; matematyka śpiewa tu pieśń jasnowidzenia. W tej chronologii mistycznej dzień Narodzenia Pańskiego wypadł 28-go marca [2] a Piątek Męki Pańskiej znalazł aż 9-go kwietnia [3] miejsce stosowne: daty, o których nikt nie pomyślał ani przed Pseudocypryanem ani po nim. Oczywiście głos ten nie zyskał zwolenników w dobie pracy źródłowej i właśnie dla tego zasługuje tu na wzmiankę, iż wyznaje, że do poglądu zgoła odosobnionego doszedł bez wszelkiej pomocy i wskazówki ze strony pisarzy i Ojców Kościoła. Czytelnicy zatem Pseudocypryana puścili mimo siebie naukę, wysnutą ze spekulacyi idealnej, a po prawdę dziejową szli do źródeł pozytywnych. Choć społeczeństwo nie wyrzuciło Pseudocypryana z łona Kościoła za nowe pomysły chronologiczne, — bo oczywiście chronologia w swoim zakresie właściwym nie należy do dogmatów kościelnych, — przecie odmówiło mu wszelkiej powagi i odrzuciło jego książkę z niemą pogardą. Przeciwnie ceni ono

[1] Migne, *P. L.* IV, 939—973.
[2] Tamże 965.
[3] Tamże 953.

Dyonizego, jako wiernego przodkom i zgodnego z powagą Ojców pracownika na roli, obrabianej przez pisarzy kościelnych. Nie dziw tedy, że bierze go w obronę Beda.

W ten sposób chciał Dyonizy zapoznać Zachód ze zdobyczą wschodnich chronologów i wyrwać łacińskie dziejopisarstwo ze stanu zamętu, który nad niem panował jeszcze od czasu pogańskich rocznikarzy. I dokonał zamiaru o tyle pomyślnie, że dziś już obie półkule świata liczą lata według ery, opartej o Chrystusa. Ale nie dokonał Dyonizy dzieła swojego zupełnie poprawnie. Skąd pochodzi jego pomyłka i z jakiego właściwie źródła wypłynęła dla nas liczba lat o ośm większa, niż w erze staro-chrześcijańskiej, to wypadnie osobno roztrząsnąć.

Ks. K. Czaykowski.

MŁODA POLSKA W POWIEŚCI I POEZYI.

5. Dramat modernistów.

(Dokończenie).

Tragedya Wyspiańskiego p. t. „Klątwa“, z tematu, jakby na agitacyę socyalistyczną robiona, bo na występku księdza osnuta, wydaje mi się powtarzaną niezliczone razy w dziejach powszechnych dramatu próbą przeniesienia na grunt rodzimy greckich motywów tragicznych. I to jest moment, dla którego temu utworowi poświęcamy uwagę, bo ani charakterystyka osób, ani wykonanie szczegółów nie przedstawiają wybitniejszej wartości.

Tragedya przenosi nas w sferę ludową i na wzór arcydzieł greckich usiłuje przetworzyć artystycznie surowy materyał przesądów, wierzeń i całego obyczajowego dna duszy wieśniaczej, jako rasowej a skutkiem pierwotności kultury ujawniającej się w liniach prostych, nie zamąconych i nie startych jeszcze stekiem t. zw. kłamstw konwencyonalnych. O konflikt w znaczeniu nowożytnem nie dbał poeta, o czem zresztą świadczy i sam tytuł. Nie chodziło ani o wewnętrzną walkę duszy księdza, ani „Młodej“, spowodowaną występkiem; natomiast poeta chciał zaznaczyć z naciskiem jak gdyby jakiś fatalizm winy i kary, ścigającej nieubłaganie i z pewnego rodzaju ślepą, nawet nieco bezmyślną, natarczywością nie tylko jednostki ludzkie występne, lecz także całe rzesze ludzi, od tych jednostek duchowo zawisłe.

Otóż to jest właśnie źródło wadliwości tragedyi. Osnuwa się ona na motywach religijnych. Zmysłowa natura grecka stworzyła świat bogów niemal dotykalnych, nadała przedstawicielom swego Olimpu nie tylko kształty ludzkie, ale i ułomności ludzkie: są oni przystępni dla namiętnych uniesień, zazdrostek, nienawiści i zemsty, która bywa ich rozkoszą. Kiedy srebrnołuki Apollo za winę jednostki dąży pod Ilion, aby gładzić tłumy, to ten sam autor „Klątwy“ [1] wyobraża sobie jego oblicze, jakoby wściekłym szałem złości opętane. Z jakążto rozkoszą takie bóstwo za nieoględne słowo, z miłości macierzyńskiej płynące, wybija dzieci Nioby. Siła, gwałtowność, szał, egoizm czujny i zazdrosny a mściwy, pochop do zmysłowego użycia i nadużycia, wieczne zdrowie i wieczna młodość i piękność, opieka nad ludźmi, ale okazywanie im na każdym kroku robaczej niższości i srogie smaganie bez braku za byle przekroczenie — oto greckie bóstwa. Grecy też jak wogóle poganie głównie i przedewszystkiem b o j ą s i ę swych bogów. Natomiast chrześcijanizm z najszczytniejszej, najgłębszej, ofiarnej miłości poczęty, niezmiernie uduchowiony, do dna przeobraził pojęcia o istocie Boga: chrześcijanie też czczą i m i ł u j ą swego Stwórcę. Wyspiański popełnił błąd, przenosząc akcyę tragedyi w czasy spółczesne, miejscowość znaną, pośród lud chrześcijański, a roztaczając nad całą akcyą okropną grozę rozgniewanego jakiegoś bóstwa, które za winę jednostki srogo karze mnóstwo ludzi, które łaknie ogniowych ofiar, pochłania dzieci i Młodą — i zaprawdę — nie wiadomo, czy się tem nasyca i ucisza. Straszliwa piorunowa burza, wicher, ogień, posucha — oto kształty tego bóstwa, pojętego całkowicie z pogańska. Nie wierzę, aby to właśnie była forma religijnych wyobrażeń naszego ludu, bo żadna strona jego natury nie była tak dawno, tak wytrwale, tak gorliwie i tak umiejętnie uświadamianą, jak religijna. Przesądnym był lud dawniej, jest i dzisiaj, ale czy tylko lud jest przesądny? Poecie zresztą w tragedyi nie o przesądy idzie, lecz o ideę — i ta opiera się na mylnej zasadzie.

---

[1] Powszechnie wiadomo, że p. Wyspiański jest również malarzem; jego pomysłu są illustracye do „Iliady“ Homera.

Nie będę się zastanawiał nad dwunastoma scenami p. t. „Legion“. Osnute są one na tle legionu polskiego w r. 1848, formowanego przez Mickiewicza we Włoszech. Występuje tu papież, car Mikołaj, Mickiewicz, Matka Makryna i wiele innych osób w różnych miejscach Rzymu — od Watykanu do kopuły na kościele św. Piotra, ale pomimo niezwykłości i wielkości pomysłu nie da się zaprzeczyć, że całość dość słabo związana, poszczególne zaś sylwetki mglisto się rysują w bezmiarach olbrzymiej dekoracyi. Nie zachwyca ten utwór jako dramat, tem mniej, jako poemat.

Cudną natomiast pieśnią nazwać można „Warszawiankę“. Akcyi prawie niema. Cała tragiczność wywiązuje się stąd, że Chłopicki wysłał Józefa na posterunek, który od dawna uważał za stracony, a wysłał tylko przez upór, aby wykazać niedołęstwo dowodzącego ks. Radziwiłła. Cała dywizya poległa i Józef poległ. Józef był narzeczonym Maryi, która wraz ze siostrą Anną prześlicznymi śpiewami porywa za serca i zapał budzi u wojowników, a rzewnem przeczuciem sięga w dal i podniośle nastraja: powiewna, czarująca, z mgły i piany złożona postać anielskiej niewiasty. Jeżeli naprawdę nie było takich Warszawianek w klęskami brzemiennych czasach, to uwielbienia godną jest wyobraźnia poety, zdolna do ich tworzenia. A druga postać — Chłopicki. Napoleoński żołnierz niezłomny, mężny i w obliczu śmierci wesoły, chwieje się i cierpi, poznawszy ów fatalny zbieg, bo on posyłając na śmierć Józefa nie przeczuł, że to narzeczony Maryi, a co więcej sam lekceważy bezpłodną śmierć, gdy mówi:

> Wszakżeż nie to mnie dzieło, kto z nas
> Wrychlej zginie,
> Lecz żeby się pokazać dzielnym w żywym czynie...

Przeto mu żal Józefa, żal Maryi — i prosi ją w pokorze o przebaczenie. Wprost świetna jest charakterystyka Chłopickiego, jako człowieka „najzdolniejszego — geniusza bojowego, geniusza walki“ — Skrzynecki go tak nazywa. Warto porównać cierpkie i ujemne wiersze w prologu do „Kordyana“ Słowackiego z tą niezwykłą sylwetką u Wyspiańskiego. Sądzę, że oba por-

trety przesadzają. Kto jednak widział tę szlachetną orlą głowę, ten wzrok śmiały i ognisty, to czoło wysokie i dumne, przecięte między brwiami pionową zmarszczką i pokryte rozwichrzonymi włosami, ten charakterystyce Wyspiańskiego musi przyznać pierwszeństwo. A przytem cała dekoracya pieśni, wszystkie drobne szczegóły aż do języka, aż do sposobu wyrażania się, myślenia i ujmowania myśli w formę zdań — wszystko zrobione w duchu czasu; co jednak najważniejsza, nastrój napełnia serca melancholią i cichym żalem, ale także tchnie jakąś przedziwną świeżością, która nie ma w sobie nic z grobu, lecz jest jakoby przypomnieniem słodkich chwil minionych i nadzieją ich powrotu zarazem. Uważałbym ten utwór, choć tak krótki, za arcydzieło poety, gdyby potem nie napisał dramatu w trzech aktach p. t. „Wesele".

W domu chłopskim w okolicy Krakowa wesele: córka gospodarza idzie za mąż za „pana". Wszystko tu na poły pańskie, na poły chłopskie. Zjechali się goście „pańscy" z Krakowa, zeszli się goście chłopscy. Wesele zwyczajem ludowym trzy dni. Izba obok weselnej. Raz wraz do niej wpada ktoś z gości, najczęściej para młoda rozhulana, poskoczna. Defilują i mówią — tak, jak się mówi w podnieceniu, urywanemi zdaniami, podkreślanemi silnie, bez orzeczeń, bez łączników. Trochę jest w ich słowach zalotnictwa, trochę bujnego wesela, ale z tem wszystkiem myślą te osoby górnie, są nastrojone na ton wyższy. Każda z nich: dziennikarz, poeta, radczyni, teść, panna młoda, jej mąż, szwagier i szwagrowa, wszyscy rezonują, a w urwanych, ulotnych zdaniach każdej osoby da się znaleźć lub odczuć niezwykły czy zwrot, czy ton, który każe w tej chłopskiej chacie i chłopskiem otoczeniu zapomnieć o pospolitości i codzienności życia. W nocy państwu młodym przyszła pusta myśl zawołać do chaty słomianego Chochoła, który w ogrodzie otulał od zimna roślinę. O północy Chochoł zwolna wsunął się do izby, obszedł wśród złowróżbnego pomruku stół i zapowiedział gości z zaświata. Nadchodzą tłumnym rzędem duchy, widma, cienie przeszłości: tajemnicze, straszne, wstrętne. Stańczyk, zawsze szlachetny i sympatyczny stacza zawzięty a bezskuteczny spór z dzienni-

karzem, przesuwa się hetman, nękany przez dyabelską parę, ochrypłym głosem wołając: *sursum corda...*, idzie czarny rycerz, potem wstrętny upiór rzezi chłopskiej, widmo malarza — i wreszcie Wernyhora, piękny i potężny wróżbita. Daje on Gospodarzowi złoty róg i każe mu wszędy rozesłać wici, aby zwołać i zjednoczyć cały naród: szlachtę i lud. Rogu ma strzedz, jak źrenicy oka, bo na jego brzmienie, tajemniczej potęgi pełne, zbiorą się niezliczone rzesze i zwyciężą. A wesele idzie swoim torem. Rozbawienie, nietrzeźwość rośnie. Swoboda ruchów przemienia się w swawolę ruchów. Figury tracą w końcu harmonijność w swych susach: zaczyna się upojenie. Taczają się, kołyszą, chwieją i obalają. Zwiędłość i zielonawa bladość po dwóch nocach hulanki wyryła swe piętno na każdem licu. Nos pada jak martwy i śpi. Gospodarz za namową żony, choć na duszę zaprzysiągł spełnić rozkazy Wernyhory, śle Jaśka z rogiem na wici a sam usypia. Budzi go stary teść. Przypomina sobie, co zaniedbał. Oto ma zaszumieć las, więc gromadzą się wszyscy weselni i wyczekują grzmiącego odgłosu rogu. Z udręczeniem duszy, z bezbrzeżną tęsknotą, z najgorętszem pragnieniem, wśród wielkiej ciszy, wśród umilknienia i natężenia takiego, jak żeby krew w obiegu swym w żyłach stanęła i tętno serca skrzepło, wsłuchują się w dalekie szmery, ażali nie ozwie się granie rogu. A gdy tak martwieją w zasłuchaniu, gdy nie grzmi róg, nie szumi las, wpada Jasiek, za nim wpełza Chochoł. Złoty róg zgubiony! Chochoł każe Jaśkowi łączyć pary, zaczarowywa je, sam bierze skrzypki i pod wtór jego gry kręcą się te pary sennym ruchem w kółko bez końca, kręcą się wciąż sennie, leniwo, a na ich twarzach trupia białość i niezmiernie bolesny wyraz beznadziejnego smutku, jakiegoś oczekiwania, śmiertelnego niepokoju i dotkliwego żalu. Kręcącym się parom śpiewa Chochoł:

Miałeś, chamie, złoty róg,
Miałeś, chamie, czapkę z piór:
Czapkę wicher niesie,
Róg huka po lesie,
Ostał ci się ino sznur,
Ostał ci się ino sznur...

Prawie wszystkie warstwy miejskie i wiejskie zebrały się na tem weselu. Był tam i poeta, a gdy w jednej izbie bawiono się i tańczono, w sąsiedniej gawędzili ci i owi o takiem u nas niebardzo pospolitem zdarzeniu, jak owo wesele, o roli ludu w dziejach i w chwili obecnej, o stosunku ludu do warstw pozostałych, o sprawie oświaty, o sztuce i kierunkach w literaturze — słowem o wielu, wielu rzeczach. Poeta był, myślał, rozważał — i stąd powstało dzieło. Bohaterem dramatu — jest sprawa ludowa u nas, około niej wszystko krąży. Zaraz z początku zarysowują się sylwetki Czepca i Ojca, daleko lepiej myślące o przyszłości, niż panowie. Praca obecnego społeczeństwa nad ludem odmalowana nader niepochlebnie. Podstawą tej opieki wzajemna nieufność stanów, wyrobiona długą niewolą, uciskiem i niezgodą. Te panie i ci panowie na weselu mają takie tony, jak gdyby wielką łaskę chłopu wyrządzali swą obecnością; ci chłopi i te chłopki za plecami szydzą i kpią sobie i dziwują się: po co przyszły te pany, skoro nudzą się i ziewają? Drugi akt rzuca niejeden promień światła na przeszłość tej sprawy i rolę jej wobec teraźniejszości — rolę smutną, winy pełną, nie upoważniającą do wesela. A potem Wernyhora, ów idealny przedstawiciel chłopa-Polaka, daje złoty róg chłopskiemu zięciowi, który jest z urodzenia szlachcicem... Złoty róg od wieków nam znany. Był on mieczem Rolanda, był jego rogiem i brzmieniem przenikał głębiny gór pirenejskich, u Wenedów stał się harfą Derwida, zmieniał nieraz kształty i melodyę, ale siły nigdy nie utracił. Głos jego był zawsze tem wielkiem słowem zaklęcia, które niesie zwycięstwo, w naszym dramacie zaś w czynie nie w słowach i nie w teoryi łączy i jednoczy wszystkie stany. Niedarmo Gospodarz mówi swej żonie po otrzymaniu rogu:

> A boś jeszcze nie pojęła:
> Skończyć nędzę — zacząć dzieła (str. 154).

Dotychczas:

> Orły, kosy, szable, godła,
> Pany, chłopy, chłopy, pany:
> Cały świat zaczarowany —
> Wszystko była maska podła.

Teraz pora zacząć d z i e ł a. Jeżeli złoty róg ma być czarodziejskiem słowem zaklęcia, łączącem w jednej sprawie wszystkie stany, to Chochoł jest wyrazem ironii i szyderstwa wobec senności, rozbawienia się, tysiąca sprzecznych i jątrzących opinii, wobec ambicyjek, nieporadności i martwoty. Otóż i cała tendencya wypowiada się dość jasno, o ile to możliwe przy niezliczonej ilości szczegółików drobnych obrazu. Ma on bowiem prócz tendencyi dać ułamek życia, nader urozmaiconego, wziętego w niezwykłem napięciu nerwów, uczuć i wyobraźni. Stąd wypływa faktura dzieła. Jest ona taka: trzy obrazy; pierwszy składa się z 38 scen, drugi z 30 scen, trzeci z 37 scen — razem tedy 105 scen. Każda scenka krótka, dwie osoby mówią, każda scenka ma za zadanie jakąś osobę przedstawić, jakąś kwestyjkę rozesnuć i roztrząsnąć — niekoniecznie rozwiązać. Każda scenka dla siebie stanowi całostkę. Musimy ją rozumieć samą w sobie, spoić z całością i określić jej stosunek do całości. Faktura nie jest nowa. Tak Hauptmann pisał „Floryana Gayera“ i „Tkaczów“. Dobre w niej to, że obraz wywołuje wrażenie życia, boć w istocie w towarzystwie w podobnej okazyi nieinaczej rzecz się odbywa. Osoby się schodzą, gawędzą, rozchodzą i znowu się łączą, zmieniają tematy, mówią o tem i owem. Zrobione to dość misternie, gdyż pominąwszy parę wzmianek o P t a k u[1], o *Qui amant,* o malarskiej pracy Gospodarza — wzmianek niefortunnych, nawet niesmacznych w poważnym dramacie — poeta prawie całkowicie ustrzegł się miejscowo-plotkarskich motywów, które tak lubią wplatać do swych dramatów moderniści. Uderzyć musi każdego, że w „Weselu“ niema zmian, jakie się w duszy jednej jakiejś figury pod wpływem zbiegu okoliczności odbywają, a co zwykliśmy nazywać dramatem. Pewna ilość przesłanek myślowych, upostaciowanych i skojarzonych na scenie gwoli wywołaniu końcowego wrażenia ma zastąpić psychologię. Widzimy przebieganie po scenie wciąż nowych figur, słyszymy przelewanie się mnóstwa myśli — i to wszystko, acz stanowi fotografię życia — bywa za kunsztowne, za osobliwie zestawione, aby razem od początku

[1] Kandydat na posła do Rady państwa z krakowskiej V kuryi w r. 1899.

do końca układało się w jedno potężne wrażenie. Widz odczuwa zajęcie niejakie od początku, ale porwany i wstrząśnięty jest dopiero od połowy ostatniego aktu do końca. Ta naturalistyczna faktura dramatu mniej właściwą wydaje mi się w drugim akcie, kiedy zaczyna się defilada duchów. Ale poeta nienaturalność tej defilady pomniejsza wiernem odtworzeniem myśli danego osobnika, co zwłaszcza przy kreśleniu sylwetek żywych ludzi wypada doskonale. Już Mickiewicz, mówiąc z katedry kolegium francuskiego o „Nieboskiej komedyi", zauważył, że niektóre epizodyczne postaci, widziane nie *en face* lecz z profilu, mówią tylko po parę zdań, a mimo tego typ ich w tych zdaniach wybornie się rysuje. Nazywa się to rysować postać w skróceniu. Oto patrzę na obrazek olejny. Przede mną wygon pastewny, kawałek miałkiej darni, po niej idzie sznurkiem stadko gęsi jedna za drugą — i pastuszka. Pierwsza, najbliższa ku mnie gęś jest stosunkowo duża, każda następna aż do ostatniej — jakby plamki białej drobnej — odpowiednio zmniejszona. Uświadamiam sobie, jak trudną rzeczą w malarstwie jest tego rodzaju skracanie przedmiotów i jak wiele trudu tacy mistrze, jak np. Maksymilian Gierymski w nie wkładali. Wracając tedy do „Wesela", ośmielę się utrzymywać, że niektóre skrócenia figur wypadły świetnie i dają miarę dużego talentu artysty. Wyborny jest Czepiec — mądrala, prawdomowny, bystry, trywialny; dalej Gospodarz prosty, trzeźwy, rozumny; potem Poeta lubiący ładne słówka, wiele myślący o sobie, pesymista, ciągle w amorach, pędziwiatr; następnie Dziad, który widział rzeź, i z którym wszędy chodzi jej okropne wspomnienie: także Nos — pijaczyna i lubieżnik, Ksiądz i Żyd, najdziwniej przez poetę na jednej linii ustawieni, jako łakomi chłopskiego grosza; dalej Rachel, feministka, dużo i kwieciście gadająca o naturze, sztuce, wolnej miłości i t. d.

Mówiłem już o stylu dramatycznej faktury; styl języka również niezwyczajny. Nie układa się on w pełne zdania, nie spaja się w całość spójnikami — owszem bywa urywkowy, brak często zdaniom nawet istotnych części: tak jak w potocznej mowie. Ale jest on spółcześnie bardzo bogaty, cięty i urozmai-

cony, czasem komiczny, czasem podnoszący się do głębokiego patosu. Dużo wyrażeń, obrazów i porównań takich, że staną się one przysłowiowemi. Czepiec mówi:

Weź pon sobie żonę zprosta,
Duza sceścia, małe kosta (str. 50);

Maryna o poecie mówi:

Próżność na wysokiej skale
W swojej własnej śpiąca chwale (str. 31):

to są zwroty dowcipem i ciętością niezrównane.

Kończąc swoje uwagi o „Weselu", nie powiem, że jest to dramat bez zarzutu, a jednak nadzwyczajne powodzenie na scenie musiało być wypadkową wielkich zalet dzieła. Śmiało poeta pierwiastkowi lirycznemu w dramacie otworzył na oścież bramy. Porwał też publiczność potężnym nastrojem końcowym, aktualną myślą, która jest zarazem ironią, satyrą i pobudką; porwał przeniknięciem w rdzeń naszej niedoli i nędzy, uderzeniem silnem w to miejsce naszego życia, które dotąd jest raną organizmu, może się jednak stać jego uzdrowieniem — w lud i kwestyę ludową. A nie śmiem powiedzieć, żeby to uczynił bez miłości, raniąc tylko i kalecząc: owszem w tem, co mówi Stańczyk i co mówi Wernyhora, nareszcie w tem, co się dzieje pod koniec, dojrzeć nie trudno otuchy: róg złoty nie bezpowrotnie zgubiony, figury weselne nie bez końca kręcić się będą... Porwał dalej urokiem szczerej i głębokiej poetyczności. Górna fantazya splotła się z uczuciem, życie narodowe dało im podłoże i powstało dzieło niepospolite, które na zawsze pozostanie w literaturze, jako piękny wyraz rodzimej wyobraźni i obywatelskiego zapału.

6. Młoda Polska a romantyzm. Przyszłość poezyi.

Zmierzam do końca. Rozpatrując różnorodne objawy nowej poezyi czyto w dziedzinie powieści czy liryki lub dramatu, niejednokrotnie zwracałem uwagę na to, co jest w niej napływowe, obce, wrogie charakterowi rasy i duszy narodu. Ziarna tej obcości znajdą się w każdym rodzaju poezyi — nawet u każdego

społeczeństwa w chwilach, kiedy literatura, zużytkowawszy i przetrawiwszy materyał odżywczy dawnego kierunku, ogląda się i szuka nowego pokarmu dla odmłodnienia. Zarówno tedy nie mają słuszności ci, którzy, przerażeni napływowym żywiołem w poezyi, lękają się zagłady ducha narodowego, jak i ci, którzy w ślepem uwielbieniu dla tego, co obce, sądzą, iż tylko w przyjęciu ich wiary leży dla nas zbawienie [1]. Ilekroć rozważam dzieła nowego kierunku, tyle razy przypominają mi się podobne myśli, dążenia i walki z okresu wojującego u nas romantyzmu tj. z lat 1820—1830.

Rozwijał się on w dwóch ogniskach prawie równocześnie tj. w Wilnie i w Warszawie. Pierwsze ognisko miało duże talenty i tam wschodził z wielką siłą nowy prąd, oparty na bezpośredniem studyowaniu obcych wzorów: niemieckich i angielskich; drugie poetycznych talentów miało mniej i mniejszych, ale zato teoryę nowego kierunku poznało dzięki Brodzińskiemu, Mochnackiemu i Grabowskiemu lepiej, dokładniej — niż wileńskie. Tu od dawna ganiono bierne naśladownictwo, a Mochnacki w swej książce „O literaturze polskiej w wieku XIX“ pisał w 1829 słowa, które na czasie właśnie przypomnieć [2]. „W literaturze poetyckiej naśladowanej, którą bez pomiarkowania chwalono, którą dzisiaj nawet niezłomny wielu zaciętych w zdaniu swojem upór wysadza za wzór niedościgłej doskonałości, poloru i wdzięku, zniknęła stara Polska. Pogasły stare tradycye, pocichły wieści i powiastki tak potrzebne każdemu ludowi i każdemu wielkiemu poecie, wielkiemu sztukmistrzowi. Rozstroił się, ba nawet roztrzaskał na kawałki stary dźwięczny ów bardon, którym niegdyś chwalono Boga w kościele i walecznych w boju“.

---

[1] Że wielbiciele obczyzny byli zawsze, świadczy choćby wydana w Warszawie w czasach romantyzmu w 1829 r. broszurka p. t.: „O nagannym zwyczaju używania słodkiego merkuriuszu“, gdzie we wstępie czytać można takie zdanie: „Niepodobna przyjść inaczej do wydania własnych płodów tylko przez naśladowanie; tę tylko drogę mając w naukach, upoważnieni jesteśmy do ślepych naśladowań, do przejmowania cudzych utworów imaginacyi lub rozumu, a na obfitości schwytanych tym sposobem cudzych własności mądrość się nasza zasadza“ (str. 4).

[2] Str. 92—94, wyd. poznańskie z r. 1863.

Czy nie należałoby tego powiedzieć o wielu dzisiejszych poetach, czy zresztą nie są pouczające te słowa zwłaszcza dla bezwzględnych wielbicieli obcych wzorów? Ale to bynajmniej nie jedyna nauka, jaką porównawcze studyum nad dziejami naszego romantyzmu a t. z. modernizmu dać może [1].

W r. 1825 w *Dzienniku Warszawskim* umieścił Mochnacki rozprawę p. t. „O duchu i źródłach poezyi w Polsce". Zaznaczywszy, że poezya romantyczna jest jedynie prawdziwą, twierdzi, że powinna ona wypływać z poczucia nieskończoności, wstrząsać duszami, żywiołem jej zaś nie jest świat zmysłowy, lecz duch. Żyje ona w myśli i tęsknocie, a wydobyta na światło dzienne, objaśnia zjawiska wyższego rzędu. Nie zmieniając swej istoty — przybiera u każdego narodu szatę, właściwą charakterowi jego. Niedługo potem w 1826 r. w tym samym *Dzienniku* ukazała się rozprawa Michała Grabowskiego p. t. „Myśli o literaturze polskiej". Źródłem poezyi jest, wedle niego, swobodna inspiracya, niepodległa żadnym prawidłom. Potępienia godną jest klasyfikacya dzieł sztuki i stosowanie do ich oceny kanonu. Szukać trzeba w dziele przewodniej myśli, której ono jest wyrazem i wcieleniem — niczego więcej. Tym studyom teoretycznym towarzyszyły programowe utwory poezyi, bo czemże są wiersze: Mickiewicza „Romantyczność", Zaleskiego „Śpiew poety", Mickiewicza „Pieśń Wajdeloty" lub Krasińskiego prozaiczne wstępy do „Nieboskiej"? Z jakążto siłą określił Mickiewicz istotę poezyi, zwracając się z indygnacyą do mędrca:

> Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
> Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce,
> Nie znasz prawd żywych, nie zobaczysz cudu;
> Miej serce i patrzaj w serce.
>
> A te prawdy żywe — to czucie i wiara.

Zaleski znowu, jak skowronek leci pod niebiosa, plecie wieniec z kwiatów życia, spaja na złote ogniwo piękność,

[1] Prof. Chmielowski, pisząc o „Młodej Polsce" w *Przewodniku nauk. i liter.* porównywał jej zasady z romantyzmem, ale... niemieckim. Ob. str. 233, *Przewodnik* z r. 1901.

miłość, czucie, wiarę... Zbiera on z ziół i kwiatów miody, ale nie dla siebie, wie, że czara życia nie wciąż miodna, a gdy wypadnie spełnić cykutę — spełni, jako chrześcijanin z pogodą i rezygnacyą. A dziś?

Pojęcie poezyi i dziś bardzo podobne: i dzisiejsza poezya dąży do nieskończoności, żyje w duchu i tęsknocie, odrzuca wszelki szablon i prawidłowość, i dziś związek między sztuką a umiejętnością zerwany, ale pomimo twierdzenia, że korzenie artysty tkwią w narodzie, jako cząstce wieczności, sztuka dopiero poczyna teraz zwracać się ku narodowi i w przeszłości rodzimej szuka dla siebie pokarmu. Idealizuje ona i teraz, jednakże tyle jest goryczy, smutku, złości, brzydoty, gniewu w tem idealizowaniu, że posępne obrazy nowej sztuki zgoła nie przypominają arcydzieł romantyzmu. O wesołym, słonecznym poglądzie na szczęście, dostarczane przez sztukę, mowy niema. Sztuka modernistów nie utraciła władzy nad ludźmi, ale bierze dusze ich w kręgi piekielnych udręczeń, a wizye, jakiemi napełnia ich wyobraźnię, potwornością swą przewyższają wszystko, co w tym rodzaju wydał romantyzm. Chrześcijanizm tej sztuki wielce problematyczny: albo nieustanny bunt przeciw Bogu albo wiekuisty sarkazm i szyderstwo nadają chrześcijanizmowi temu wszelkie pozory niewiary. Nie „kwiaty“ życia splata w wieniec spółczesny artysta, raczej gnijące chwasty życia, nie miody zbiera, lecz zgniliznę, nie dla ludzi, ale dla siebie, odosabniając sztukę od wszelkiego zetknięcia się z tem, co nazywa niegodnym tłumem. „Gniew bez kojącej wiary w sprawiedliwość i pogarda dla samego siebie bez zbawiennych zgryzot sumienia — tak pisze Ruskin[1] — przytępiają ducha i obniżają godność człowieka, tak, że on, ponury, nie wierzy już w słońce, świecące poza jego gnojówką ani w tchnienie wiatru, pozbawione jej smrodu; w końcu rozwija się pewnego rodzaju filozofia, nawpół satyryczna, nawpół kojąca, która zajmuje się wyłącznie odmładzającą siłą gnoju i niechybnemi cięgami miazmatycznej opatrzności, wy-

[1] John Ruskin: „Droga do sztuki“, przekład St. Koszutskiego. Warszawa. 1900. Str. 171.

kazując, że błąd każdego człowieka jest błędem innego, że niema prawa dla zarazy ani woli dla trawienia, ani niesławy dla brudu, który przynosi pożytek. Takim sposobem stworzono dowcipnie zbudowaną teologię rozkładu...“ Kiedy Mickiewicz w „Pieśni Wajdeloty“ czynił poezyę pośredniczką między dawnemi i obecnemi laty, a w wielkiej improwizacyi pragnął zapomocą jej stworzyć naród, jak pieśń — ideał ładu, symetryi i miłości — kiedy Krasiński potępiał egoizm w poecie i kazał mu mieć szerokie serce dla całego społeczeństwa, dzisiejsi artyści przeznaczają swe dzieła tylko dla artystów — w czem nie mają racyi — i twierdzą, że sztuka sama dla siebie jest celem, w czem mają racyę, o ile uwielbienie swe składają w hołdzie czystej sztuce, nie własnym dziełom, ani sobie nawzajem, bo prawdziwa sztuka zawsze niesie ludzkości błogosławieństwo, pocieszenie, siłę i szczęście. Jeżeli zaś dzisiejsi artyści utrzymują, że sztuka nie może być niemoralną, to na to zgoda, lecz niemoralnemi mogą być i bywają dzieła, oraz ich twórcy. Powołany już na świadka Ruskin mówi: „Niemożliwe jest — biorąc na uwagę oddziaływanie — by jakakolwiek mowa była szlachetną, jeśli jej każdy wyraz nie jest grzmiącem nawoływaniem do czynu moralnego“ [1]. Na innem atoli miejscu pisze: „Sztuka, której celem jest tylko uciecha zmysłowa, stanowi dar okrutnych i dzikich ludów; natomiast prawdziwa sztuka wyraża zawsze delikatność i łagodność ducha, a wszelkie dzieła tego rodzaju są z pewnością tworami myślących, czujących, silnych i dobrych ludzi, — ludzi o dalekich i szerokich poglądach życiowych i wielkiej sile wyobraźni“ [2].

Wielka sztuka dawała też i romantycznym sztukmistrzom wyjątkowe prawa: Konrad o sobie mówił: wielki jestem, Krasiński nad czołem poety gwiazdy aureolę umieścił, Słowacki nieraz aż do swego „Testamentu“ z godnością mówi o swem dostojeństwie — ale wszyscy oni umieli nosić swój świetny płaszcz purpurowy, tak, że nigdy skaza małostkowości nie padła nań

[1] „Droga do sztuki“, str. 51.
[2] „Droga do sztuki“, str. 105.

brzydką plamą, nigdy śliną przekleństw i nienawiści nie plwali na swych współbraci za brak z ich strony hołdów, bo wiedzieli dobrze, że wielka sztuka nie idzie w parze z upodobaniem przeciętnej publiczności.

Romantycy nasi w idealizowaniu nie krępowali się rzeczywistością. Wprawdzie Mickiewicz w poezyi nie cierpiał królów, których nie zna historya, ani krajów, których niema na mapie; niemniej przeto i on stroił rzeczywistość w tęczowe barwy ułudy, a jeszcze bujniej rozwinął skrzydła wyobraźni B. Zaleski w swoich „Dumach" kozackich a zwłaszcza w „Rusałkach" [1].

Zupełnie słusznie tedy dzisiejsi artyści idealizują przeszłość, o ile czynią to ze znajomością przeszłości i dziejów polskich nie podrabiają na korzyść stwarzanych figur. Nie sądźmy, że takie środki, jak nastroje lub oddziaływanie psychologiczne czy suggestya obce były naszym romantykom. W poemacie Malczewskiego „Marya" stopniowanie przeczuć śmierci od momentu pożegnania między Wacławem i Maryą, kiedy ich promień dzielił pomimo osłony liści, aż do końca przeprowadzone misternie

[1] Nawet znakomici krytycy okazali się w tej mierze niesprawiedliwi względem Zaleskiego. „Wszystkie osoby w „Dumach" — mówi Spasowicz — mają postawę i ruchy kształtne, powabne, składne i malownicze; ale w tem właśnie leży przeciwne istotnemu artyzmowi kłamstwo, że nie są to kozacy, ale postaci z baletu gładko przyczesane: wonieją one perfumami a nie dziegciem, a z pod ich bułatów pryska krew w pięknych strumieniach malinowych". Tak samo wyraża się Chmielowski, podobnie najnowszy krytyk i znawca ukraińskich dum ludowych Alexander Kołesa *(Ukraiński narodni pisni w poezijach B. Zaleskoho.* Lwiw 1892). „Zaleski — pisze on — znał rzeczywiście historyczne ukraińskie dumy, zaznajomił się z wyobrażeniami i pojęciami Kozaków, przyswoił sobie obrazy i porównania, lecz cały ten materyał, mogący jego poezyę rzeczywiście zbliżyć do ukraińskich pieśni, a zwłaszcza posłużyć do realnego przedstawienia życia i uczuć opiewanych przezeń ludzi, umiał tak przekształcić, poplątać, przenicować, że nabiera on innego ducha — i daje nam w rezultacie senne fantasmagorye, mające źródło w rzeczywistości, lecz do niej nie należące". Odwołuje się na to określenie poezyi, jakie dałem na str. 22, *Przegl. Powsz.* t. LXVIII, 1900, niniejszej pracy według Oskara Wilde i stwierdzam, że wszystkie powyższe *quasi*-zarzuty dają wyobraźni poetycznej Zaleskiego chlubne świadectwo i dowodzą zarazem, o ile bliższym był zrozumienia poezyi romantycznej Grabowski Michał, który, pomimo przeobrażeń prawdy dziejowej, nazwał utwory Zaleskiego cudownem odbiciem narodowej poezyi.

w całym szeregu chwil nastrojowych, nawet ze współudziałem księżyca, tajemniczego pacholęcia, natury stepowej i t. p. „Irydion“ Krasińskiego w przełomowej chwili, zanim od chrześcijan przybędzie poseł z wieścią, że Wiktor zwyciężył wpływy szatana — już trapi się przeczuciami blizkiej klęski. A ktoby chciał poznać przykład suggestyi, której — jak sądzę — nie powstydziłby się Przybyszewski, ten niech odczyta z uwagą rozmowę Irydiona z Kornelią Metellą w drugiej części dramatu Krasińskiego. Nie są to więc nowe zdobycze modernizmu, choć nie da się zaprzeczyć, że te same nastroje w „Sonacie“ np. stają się już absurdem, podobnie jak w „Klątwie“, gdzie poeta wciąż woła: b ó j c i e s i ę l u d z i e, a ludzie bać się nie chcą... I w tym względzie jednak przeżyliśmy już najgorsze chwile. Nastroje w ostatnich utworach mają charakter rodzimy, połączone są często z ludowością w poezyi i uzasadnione psychologią postaci. Ludowość modernizmu, zjawisko ostatniej chwili niemal, i należy je z uznaniem podnieść. Zajmowała się ludem powieść od dawna, zajmowała się trochę i liryka, chodziło jednak o tendencyę, nie o poezyę, zamkniętą w urnie ludowej. Dopiero dramat Orkana i Szukiewicza, Rydla i Wyspiańskiego pokusił się o odsłonięcie z brudnej powłoki złocistego owocu ludowej poezyi. Wszakże siedmdziesiąt lat temu Mickiewicz rozpoczynając „Dziady“, czynił to z wiarą, że pierwiastek ludowy da odrodzenie poezyi i wziął od ludu barwę, koloryt, kształt poematu, legendy i podania uczynił symbolami wierzeń duchowych a siłą wyobraźni plastycznej zmusił czytelników do przenoszenia się w naiwny świat wierzeń ludowych. I po wielu latach widzimy znów otwierającą się przed nami cudowną księgę ludowego świata legend, utkanego przez wyobraźnię wielu wieków. Nie należy tylko szczególnym pietyzmem darzyć jednego plemienia, jednej okolicy, jednej wioski lub jednej zagrody wieśniaczej, przez to bowiem niepospolicie kurczy się wartość odkrycia. Artyści dzisiejsi upodobali sobie lud góralski i mazurski, chętnie wybierają z pośród tego ludu bohaterów i posługują się jego gwarą. Wciągnięto do słownictwa poetycznego mnóstwo wyrazów i zwrotów ludo-

wych. A z tą kwestyą stylu, mowy, obrazów łączy się kwestya szczerości, jasności i prawdy. W czasie romantyzmu zarzucano poetom posługiwanie się „gminną i rozlazłą gwarą“ [1], zarzucano gmatwaninę słów niepojętego języka, ciemność i niezrozumiałość [2], a równocześnie pozę, sztuczną rozpacz, układanie tragedyi życia, gdzie była tylko komedya [3].

Otóż poza, słomiany zapał, brak szczerości, niechęć do tego, aby być zrozumianym, zastępowanie głębokości i powagi frazeologią — szpecą i dziś styl wielu artystów-pisarzy, silenie się na jakiś wymysł oryginalny, tworzenie nowych wyrazów, skomplikowanych figur poetycznych uważa się za zaletę. Nie mam zgoła zamiaru utrzymywać, że to wszystko wogóle i zasadzie złe jest. Kiedy romantycy przyszli, zastali u nas w stylu rutynę, prawidłowość i konwencyonalizm doprowadzony niemal *ad absurdum*. Mochnacki pisał wtedy zupełnie słusznie: „W sztuce niemasz nic konwencyonalnego, niemasz w świecie żadnego w tym względzie prawodawstwa, żadnych przepisów *a priori* czy *posteriori;* żadnej szkoły, żadnej teoryi“ [4]. Owszem, każdy może swój styl, swój język, swoje słownictwo, swoją wersyfikacyę tak układać, jak mu talent i wyrobienie pozwala. Jeśli chodzi o wiersz i obrazy, to godzę się nawet na takie zdanie modernisty angielskiego: „W słowie nie tylko muzyka od fletu i lutni słodsza, nie tylko koloryt tak pyszny i jasny, jak ten, co nas zachwyca na płótnach weneckich i hiszpańskich, nie tylko plastyka tak pewna i wyrazista, jak ta, którą podziwiamy w bronzach i marmurach, lecz także namiętność i myśl — w słowie,

---

[1] Morawskiego: „List do romantyków“.

[2] Koźmian Mickiewiczowi.

[3] Ledwie, że się z infimy, a nawet z pieluszek
Jakiś tam romantyczny wyrwie geniuszek,
Juźci się do nieszczęścia powołanym sądzi,
Błąka się przy księżycu, po cmentarzach błądzi,
Z jakiejś tam urojonej tęsknoty usycha,
Je dobrze, pije lepiej, a do śmierci wzdycha...
(Morawski: „List do romantyków“).

[4] „O liter. XIX w.“ str. 113.

wyłącznie i jedynie w słowie“ [1]. Ale jednej rzeczy przeszłość mię uczy. Kiedy w czasach romantyzmu zapanowała chorobliwa przesada uczucia i wyobraźni, kiedy młodych romantyków ogarnął istny szał nienaturalnych efektów, kiedy wybujałość stylu i ciemność zaczęły uchodzić za głębokość, wówczas nikt nie udzielał tak ostrych wad młodym, jak Mickiewicz. Z wielu dotyczących tej kwestyi ustępów w jego korespondencyi, wybieram jeden, pisany w 1827 r. do Odyńca, „Gosławskiego uściśnij, wiersze jego czytałem, ale powiem szczerze, że jeden wiersz, w którym zefir przekrzywiał, pożywiał i wywijał jest pełen deklamacyi. Te mętne myśli i te niby uczucia bez uczucia są tak smutne, jak zimne opisy Francuzów. Gosławski może się obłąkać na drodze; Byron tak nie pisał, Goethe tak nie pisał, Trembecki tak nie pisał, Szyller tak nie pisał. To nie jest klasyczność ani romantyczność — to jest po prostu nonsens. Gdzie niema wyraźnej, dobrze od pisarza rozumianej myśli, gdzie niema prostego i mocnego uczucia, tam mimo słów, figur nic nikt nie znajdzie. Darujcie mi ten ton dyktatorski, pozwalam łajać siebie nawzajem, tylko poprawiajmy się wraz, żebyśmy się nie stali pośmiewiskiem nieprzyjaciół. Wieszcz z Miodoboru [2] zdaje się, że powinien rymy pożegnać. Jego wiersz:

Lub szczęśliwy miłością albo sławą wielki
.....Wanda
.....Rolanda

może służyć za wzór najpustszej i najnieznośniejszej deklamacyi“. Ileż nauki dla chwili dzisiejszej wydobyć można z tych słów prostych, szczerych, życzliwych, podyktowanych miłością sprawy i dobra ogólnego.

Teraz od analizy zwracam się na moment do historyi. W ostatnim lat dziesiątku pojawiły się u nas setki tomików z zakresu powieści, liryki i dramatu, któreśmy powyżej przeglądnęli. Wszystko miało wyraźne lub mniej wyraźne ślady

[1] Oskar Wilde: „Sztuka krytyki“, dyalog.

[2] Gosławski w poemacie „Podole“ zaczyna opis gór Miodoborskich od wiersza: „Królowo Miodoboru, witaj, Tołtro łysa...“

talentu, prawie wszystko szło ku celowi pozornie nowemu, w gruncie uwydatniało rozbrat z naturalizmem. W powieści tylko silnem piętnem zaznaczył się naturalizm i do krańcowych doszedł stopni u Przybyszewskiego. W liryce ubóstwienie formy spowodowało niebywały rozkwit techniki wierszowej, wzbogaciło mowę mnóstwem obrazów wytwornych, wydobyło z długiego snu na jawę wiele zapomnianych kształtów poetyckich, nauczyło wypowiadać w słowach siły pełnych stany duszy o natężonem uczuciu, znalazło wyraz dla namiętności silnych, pożądań dalekich, marzeń cudnych... Dramat rozpoczął od brodzenia po psychologicznych młakach żądz i pożądań, obcych naszej plemiennej duszy, przebrnął nastroje dziwaczne i niesamowite, ale nie ugrzązł i nie dał się pochłonąć. Dusza odległych wieków narodu, świtanie nowych zórz na widnokręgu, męki społeczne doby dzisiejszej, antagonizmy w łonie mas, a wszystko opromienione legendą, mitem, wytworami ludowej wyobraźni — oto dziedzina dramatu. Z tej siły i żywotności, z jaką występuje, z tego zajęcia, jakie budzi u tłumów, po części stąd, że epika wygasła a liryka osiągnęła swe szczyty — wnoszę, iż do dramatu przyszłość należy. Jeżeli się w przeczuciach nie mylę, poezya nasza wieku XX rozbłyśnie dzięki wielkiemu jaśnieniu dramatu. Któż z nas nie życzy sobie tego?...

Antoni Mazanowski.

MŁODA POLSKA.

Pierwiastek ludowy w poezyi.

(Dokończenie).

Równie wiernym z rzeczywistością w motywach ludowych jest Andrzej Niemojewski. Lokalny koloryt występuje w utworach jego wyraziście również i nastrój wiejskiej atmosfery. Klasycznym przykładem na poparcie naszych słów jest długi utwór p. n. „Branka“ „W całej wiosce dymią czuby, a w karczmisku ćma narodu... Rok poczekasz, bracie, czasem nim się spotkasz z tym hałasem, no i z taką pijatyką... Człowiek świat zna nie od wczora, z niejednego dął gąsiora, lecz takiego coś nie baczy“, bo „kto młody, hula, pije, dmie w zawody“. To branka we wsi. „Dudnią basy, a na dworze huczy nocna zawierucha... skrzypak żali się na dudzie... każdy czuje, że gdy pódzie to już taki sam nie wróci... Tam dziewuchy rzędem siadły, nieco zmilkły, nieco zbladły, pospuszczały w ziemię oczy, a tu z oczu łza się toczy. Oj nie płaczcie — próżne płacze! Nie tak straszne dni wojacze... Jezus Marya, wódki Żydzie! Toż to idzie, toż to idzie!... Tam, do licha, u ścian starzy siedzą zcicha, chociaż tęgo smolą kołem, ale milczą jak z urzędu...“ Ich żal gnębi „że na marne tyle młodzi, w jakiś obcy świat odchodzi, że zapomną ojców mowy i prostoty swej wioskowej... Bęben warczy, trąbka dzwoni, słychać pochód, rżenie koni, chmura wojska już się zbliża — pożegnajcie znakiem krzyża! Cicho dziewki! Cicho matki!... wszelkie węzły rwie komenda... Cicho wierzby! Cicho dzwony! Coś zatapia w sercu szpony, coś zimnego z twarzy ścieka...

Jezus Marya!... Wódki Żydzie! toż to idzie, toż to idzie!“ Dał Niemojewski w tym utworze, tutaj bardzo fragmentarycznie podanym, obrazek niezwykle plastyczny branki, po której zazwyczaj lud pije i hula. W utworze tym, jak w kalejdoskopie, przesuwają się przed nami figury ojców i matek, dziewcząt i parobków niemal żywe, pijane, z cieniem smutku na twarzy lub śmiechu i cichej, bezbronnej rezygnacyi. Cały nastrój, jaki wieje z utworu, cała ta duszna atmosfera karczemna, pełna dzikich wybryków, zmieszanych z tonami muzyki, — jak gdyby uchwycona żywcem z natury.

* * *

Co się tyczy wierności w uchwyceniu tonu ludowej piosenki, nadzwyczaj podobnym do obydwu poprzednich jest Antoni Lange. Dość tylko wspomnieć jego „Powieść o płanetniku“, ażeby można wyrobić sobie wyobrażenie, jakie to przepyszne sceny umiał roztoczyć poeta na podstawie wieści gminnej. Zaczyna Lange utwór swój wierszami dwoma, wziętymi żywcem z pieśni ludowych o Podolance, których tyle krąży na obszarze ziem polskich:

Na Podolu biały kamień, Siedzi na nim, lamentuje,
Młode dziewczę[1] siedzi na nim, Białe rączki załamuje...

Ale dalej już nie poszedł poeta śladem pieśni ludowej, która do czego innego zmierzała, a natomiast daje obraz sposobem pieśni ludowych skreślony, słowami, jakoby z niej zapożyczonemi, jak to brat dziewczęcia poszedł „za gór, za rzek trzydzieści“ i „opuścił starą matkę i opuścił białą chatkę i opuścił siostry młode i dziewczynę“ swoją. Zgodnie dalej z przesądem ludowym, iż skoro wiedźma zaczaruje kogo, to on będzie bez końca błąkał się po świecie bez celu[2], dowiadujemy się, że i jego zaklęła dziwożona:

Zakładajcie kare konie, Poszukajcie w której stronie
Lećcie z niemi na kraj świata: Moje młode znikły lata!

[1] W pieśni ludowej zamiast „młodego dziewczęcia“ jest „Podolanka“. O. Kolberg: „Pieśni ludu polskiego“ str. 116, nr. 86.

[2] Por. Z. Grynbergera: „Staromiejskie“ str. 446.

Zakładajcie złote konie,
Lećcie, gońcie, hej po moście,
Hej, po lesie, po zagonie,
Moich młodych lat radoście.
Moje lata, moje młode,
W bujnych wiatrach się rozwiały...
. . . . . .
Oj, nie wrócą nazad wody,
Nie powróci już wiek młody.

Cała ta strofa została osnuta na ludowej dumie ukraińskiej, której ustęp analogiczny brzmi następująco:

Zaprjahajte chłopci koni, koni woroniji,
Dohaniajte lita moji, lita mołodiji:
Oj dohnały lita moji w kałynowym mosti:
Wernite sia lita moji chot' do mene w hosti.
Ne wernem sia, ne wernem sia, ne budem wertat'sia.
Bułoż tobi mołodomu, buło szanuwatsia,
Ne wernem sia, ne wernem sia, ne majem dlia koho
Ne wmiw jeś nas szanuwaty jak zdorowia swoho [1].

Jak tedy widzimy — oprócz poszczególnych zwrotów — myśl cała ogólna strofek Langego została osnuta na pieśni ludowej. A i w dalszym ciągu nie ustępuje oddziaływanie ludowej poezyi:

Kołysz mi się, kołysz,
Kołyseczko z łyka...

Pominąwszy tę okoliczność, że obydwa te wiersze zostały tutaj żywcem wprowadzone z ludowej kołysanki [2], zaznaczyć potrzeba, iż następne strofki zamawiań matki nad kolebką syna, który został później płanetnikiem, mają podkład wierzeń ludowych, jak to np., że gwiazda spadająca to niedobra wróżba dla człowieka [3]. Pomimo zamawiań matki spadła z nieba gwiazda Jasiowa, bo kiedy ujrzał dziwożonę w lesie, która mu obiecywała skarby nieprzeliczone i nieznane mu rozkosze za jego miłość, — on pobiegł za nią i choć ona mu się zmieniała w ptaka, to w rybę, to w pierścień, co toczył się po drodze, wszędzie biegł za nią bez tchu i bez końca.

W jakim rodzaju ma być „Powieść o Waligórze i Wyrwidębie" — nie wiadomo, z dwu dotąd ogłoszonych drobnych uryw-

[1] O. Kolesa: *Ukrajinski narodni pisni w poezijach B. Zaleskoho.* Lwiw 1892, str. 74.

[2] Por. J. Milewska: „Kołysanki z Ciechanowskiego". (*Wisła* 1901, str. 18, nr. 8).

[3] Por. Kolberg: „Lud" VII, str. 31, nr. 51.

ków trudno wywnioskować, czy utwór ten został skreślony na tle ludowych legend, czyli też nie? Z tych urywków widać to tylko, że pewne cechy, jakie otrzymali bohaterowie „Powieści“ Langego, olbrzymi wzrost, wielką siłę, odwagę i zręczność, zostały im nadane na podstawie ludowych opowieści. Ale to cechy czysto zewnętrzne.

* * *

A skoro mówimy o poetach, którzy nieznaczną ilość włożyli w swoje pieśni pierwiastka ludowego, trudno nam pominąć Fr. Arnsztajnową, która stworzyła dotąd jednego jedynego „Grajka“, boć przecież „Prządek“ brać niepodobna pod uwagę, „Myśliwy“ zaś oparty na podaniu historycznem — nie ludowem. Postanowiła autorka przedstawić w swoim poemacie chłopskie pacholę, niejakoś w rodzaju „Janka muzykanta“, tylko, że ono miało być od tamtego szczęśliwsze:

A kiedy pójdę w świat na przygody,
Nie turbujże się o mnie, matulu,
Serce jedyne, Skrzypki lipowe,
Toć jestem młody, Nie zginę.
Ręce mam zdrowe, O jej! nie zginę!

Opowiada tedy swojej matuli to chłopskie pacholę o swoich pieśniach; bo umie ono taką piosenkę, „że choćby niebo na siebie wdziało najgrubsze chmury“, trafi nią do Boga i do ludzi; „a choćby w ludziach już skamieniało do szczętu serce“, to pieśń je zbudzi. I nie na jeden ton nastrojona jest ta skrzypka lipowa; ona zaśpiewać potrafi „jak nad dzieciną, oj lulu, lulu...“, a tak żałośnie, że serce zapłacze; lub huknie sobie, „że aż się ozwie coś w każdej duszy, oj danaż! dana!“, to znowu „sobie zaśpiewa rzewnie jak ta piosenka, co ją dziewuchy na sianokosie nucą...“ A zamknie w sobie ta piosnka i radość chłopską i chłopskie żale, w niej „będzie do Boga rwał się z nad pola skowronek“, to wreszcie „chłopska niedola jękiem zawoła: Ratuj nas Jezu!“

I skądto wzięła się dziecięciu temu piosnka, skąd wzięło

ono te tony „takie radosne jak na wesele, takie żałosne jak na skonanie“, „albo znów jak ten dzwonek na Anioł Pański w kościele?“ Wszakżeż ani mu matka „tak nad kołyską kiedy śpiewała, ani modliła u tej Najświętszej naszej Panienki na niebie“ takiej pieśni, ani go nie nosiła „do baby na czary, na zamawianie, ani go nie kąpała w dziewannie płowej, ani go nie nosiła „po rosie w świtanie“, ani do organisty go nie zawiodła. Skąd więc pieśń poszła, skąd wzięła się ta siła w skrzypkach lipowych, „że serce mięknie na owo granie?“

Jakżeż nie ma grać to pacholę, kiedy mu cała przyroda nuci hymn wspaniały:

Jakżeż nie mam grać, matulu, Kiej wokoło takie granie,
Jakżeż nie mam grać?... Taki śpiew?...

Kiedy poszedł Jaś „w świtanie przez ciemny las, przez ten zielony“, szumiał wiatr, a z drzew spłynął dziwny śpiew po lesie. „Skarżyły się w nim drzewa na długą noc żałośnie“, a kiedy dowiedziały się, że wicher niebawem rozpędzi chmury, „las uderzył cały w poranny śpiew...“ A kiedy innym razem „siwe konie pasł na polanie“ w noc miesięczną; „kiej to gwiazdy tracą blask swój cały“, leciuchny wietrzyk poruszył zioła i trawy nad rzeką, które zaczęły nucić „śliczności śpiew“. Jakżeż więc grać nie ma, kiedy mu wszystko śpiewa dokoła? Poszedł on raz „przez pole pod dnia konanie“, kiedy Anioł Pański zbiera białemi skrzydły z nieba promyki słońca, a potem składa tam, „gdzie niebios dzwon łączy się z ziemią“, ażeby je potem zbudzić „na nowy dzień, na nową noc“, a w chwilę tę wszelkie rośliny skarżyły się jękiem na dolę marną, i wiatru podmuch „niósł cichy śpiew w niebiosy“. Jakżeż nie ma grać pacholę, kiedy tony zasłyszane w polu i w lesie grają same ze skrzypek prostaczych?

Pochwycić tedy potrafiła doskonale p. Arnsztajnowa wszystkie te tony, jakiemi jęczy pieśń wieśniacza, z niezwykłą wprawą potrafiła dostroić się do tego poziomu, jaki jest właściwy pojęciom chłopskim. Boć przecież nader umiejętnie wprowadziła tu cały szereg zabobonów gminnych, przemówiła językiem naszego

chłopa, a i sama forma nawet całego poematu o „Grajku“ wzorowana jest na pieśniach ludowych.

* * *

Rzecz dziwna, że im więcej zbliżamy się do poetów z doby ostatniej, tem widoczniejszą jest w ich utworach przewaga pierwiastków ludowych. Typowym tej przewagi przykładem jest Lucyan Rydel, u którego ów element ludowy wystąpił na jaw już w pierwszym miniaturowym tomiku poezyi. Taka „Bajka o Kasi i królewiczu“ ma wiele cech wspólnych z chłopskiemi opowieściami. Nie inny bowiem w tym utworze ton opowiadania, nie inna prostota wyrażania myśli, pomysł sam nakoniec bajki został powzięty w duchu bajek ludowych. Ażeby dać tem lepsze wyobrażenie o tym wierszu, jak i o wymienionych jego cechach, przedstawimy w krótkich słowach treść, posługując się o ile to możliwą jest rzeczą, zdaniami wyjętemi z „Bajki“. „Na służbie była Kasia we królewskim dworze i musiała w zimie od samego rana rąbać kłody drzewa na drobne“ drzazgi. Robota ta szła jej gładko, bo „myślała sobie: Jak zrąbię te kłody, któż przy ogniu się ogrzeje? Ten królewicz“. Z ochotą szła zawsze po wodę, gdyż w wodzie tej miał się kąpać jej ukochany królewicz, z radością myła schody, bo wiedziała, iż on po nich stąpać będzie:

Cóż na to powie pan kucharz,
Iż ty go, Kasiu, nie słuchasz?
Posłał cię co żywo
Do lochu po piwo,
A ty go, Kasiu, nie słuchasz...

Nie usłuchała Kasia rozkazu kucharza, bo ją coś gnało okrutnie do kniei, by ujrzeć królewicza na łowach. Jak była naiwna w swojej skrytej miłości, tak też naiwna jest w nieszczęściu, bo gdy królewicz zraniwszy ją śmiertelnie nieszczęśliwym trafem na łowach chce posłać po lekarza — ona odpowiada:

Szkoda dla mnie doktora:
Jestem Kaśka ze dwora!
Ino tego się boję,
Co pan kucharz mi powie,
Kiedy o tem się dowie...
Dostanę ja za swoje!

Umiera Kasia zupełnie taka naiwna w swojej miłości, jak była naiwna w marzeniach o królewiczu.

Sądząc z pierwszego zbiorku poezyi Rydla nikt zapewne nie mógł się spodziewać, że poeta niebawem pójdzie do źródeł ludowej wyobraźni, ażeby z nich zaczerpnąć natchnienia. Z pewnością nikomu nie przyszło na myśl, ażeby mógł Rydel w „Zaczarowanem kole“ wprowadzić tyle elementu, zaczerpniętego z baśni i wierzeń ludowych, tyle typów, jakby żywcem odtworzonych z postaci chłopskich, bo przecież i Jasiek, co wraz z Maryną morduje Młynarza, i Drwal, co niewinny idzie na śmierć, i Głupi Maciuś, który dnie całe wygrywa na fujarze czarodziejską pieśń, i Organista, opowiadający o matce św. Piotra, — wszystko to typy, przypominające na pierwszy rzut oka analogiczne postacie wioskowe wraz z ich pojęciami i wyobrażeniami, wraz z gwarą ich rodzimą.

Zaczyna się „Zaczarowane koło“ sceną rozmowy Leśnego Dziadka z Głupim Maciusiem, który przyniósł „od Maryny młynarzowej“ jedzenie dla staruszka. I już od samego początku świat wierzeń ludowych i świat fantastyczny nadprzyrodzonych istot wystąpił w całej pełni. Bo Dziadek Leśny nie wiedząc, za co Maryna przysyła mu podarki, wdaje się w przypuszczenia, że dba tak o niego z pewnością dlatego, „żeby której ze sąsiadek zaszkodził jaką chorobą“, lub może dlatego, by odczynił urok, jaki ktoś rzucił na krowy. Wszyscy udają się do niego po poradę: — „przyjdzie czasem i dziewka od wielkiego strachu blada“ z prośbą, ażeby Leśny Dziadek „zaklętą mocą przywabił kochanka“. Akcesorya te, ta władza, jaką Rydel nadał postaci Leśnego Dziadka, wszystko to zostało zapożyczone z zabobonów ludowych, bo i lud wierzy, iż każdy wróż lub czarownik może rzucić na kogoś chorobę[1], że jest w mocy odczynić urok, rzucony na krowy, jeśli one krwawo się doją[2], że może nakoniec zaklęciem sprowadzić niewiernego kochanka do dziewczyny, na którym to motywie osnuta jest „Ucieczka“ Mickiewicza. Tak

[1] Por. O. Kolberg: „Lud“ VII, str. 93.
[2] Por. ibidem str. 88, 126.

samo wzmianka o owczarzach, którzy znają wiele sposobów na choroby, czy uroki, została osnuta na praktykach zabobonnych ludu[1]. Tymczasem na chwilę rozmowa urywa się, bo w pobliskiem jeziorze zaczęły dzwony dzwonić ze wsi zatopionej. Że motyw ten, iż ze wsi zatopionej odzywa się głos dzwonów, został zapożyczony z poezyi ludowej, na to chyba dowodów nie potrzeba przytaczać. Wnet też nawiązuje się napowrót rozmowa między Leśnym Dziadkiem a Głupim Maciusiem na temat owych dzwonów. Objaśnienie Leśnego Dziadka, że przy blasku księżyca wypłyną na powierzchnię zaklętego jeziora topielce i topielice, ażeby śpiewać czarowne pieśni i pić mleczne promienie księżycowe, osnute zostało na przesądach ludowych, które utrzymują, jakoby topielce karmiły się blaskiem miesięcznym i śpiewały w nocy cudowną pieśń[2]. Huk dzwonów razi Głupiego Maciusia, który też podaje Leśnemu Dziadkowi znalezioną flaszkę święconej wody. Fakt zaś, że, skoro Leśny Dziadek pokropił wody jeziora poświęconą wodą, dzwony bić przestały, pochodzi z wiary, że moc piekielna boi się święconej wody. Skoro huk dzwonów ustał i cicho zrobiło się na pustkowiu — rozmowa zmienia się i schodzi na temat przyrody, którą Maciuś odczuwa doskonale, bo wie, jak śpiewa słowik, co w nocką ciemną żali się temi słowami:

Biednyś-biednyś! Żal mi cię, żal, żal, żal!
Boli-boli-boli!... Ma-ciuś-ciuś-ciuś-ciuś-ciuś!
Oj, tak-tak! Biednyś! — Oj tak!
Cierp, cierp, cierp, cierp, cierp!

Rys ten, że chłop zna mowę ptaków, został zużytkowany przez poetę z przesądów ludowych utrzymujących, jakoby w głosach ptaków można dosłuchać się mowy ludzkiej. Według nich — ptak, zwany trzcinakiem, odzywa się w te słowa:

Boli, boli — cierp, cierp![3]

Wie też Maciuś, jak rozmawiają wróble szukając ziarna w zimie koło stodoły, kiedy „sobie świergolą“:

---

[1] Por. ibidem str. 76.
[2] Por. ibid. XV, str. 14.
[3] ibidem III, str. 196, nr. 8.

Wies gdzie psenica?
Wiem — wiem!
Wies?
Wiem!
Wies?
Wiem!
Lećmy, lećmy! Mnie ćwierć, tobie ćwierć!
Mnie ćwierć, tobie ćwierć!
Ćwierć! ćwierć, ćwierć, ćwierć!

Rozmowa ta wróblego stada jest niemal dosłownem powtórzeniem analogicznych słów ludowych, kiedy te wróble mówią:

Wiesz o księdza pszenicy? — Wiesz?
Wiem. Wiem.
Wiesz? Kim, kim, kim, kim.
Wiem. Mnie ćwierć, tobie ćwierć,
Mnie ćwierć, tobie ćwierć! [1]

A Maciuś ten, który tak doskonale rozumie mowę ptaszęcą — marzy o kwiecie paproci, „co na święty Jan ozkwita“, bo w tym kwiecie jest moc taka, „że kto najdzie, to zawdy ma, co ino chce“. Chciałby Maciuś z jego pomocą uzyskać taką fujarę, któraby wygrała „wsyćko, co kwitnie, i te pola i te gaje“. I ten ornament — ową wiarę w moc nadprzyrodzoną kwiatu paproci — zapożyczył poeta z wierzeń ludowych, które to samo twierdzą o kwiecie tym czarodziejskim [2], co Maciuś. Leśny Dziadek jednakże daje swą radę Maciusiowi na uzyskanie fujarki: każe mu przynieść wieczorem „fujarę nową, a wyciętą z takiej brzozy, co nie słyszała koguta, ni wód szumu“. Z nią on ma usiąść nad jeziorem, gdy zaczną śpiewać topielce:

Dmuchaj na fujarze swojej: Zaklętym śpiewem przepoi.
Ona głos ten w siebie chwyci, O, już ona ci wydzwoni,
Aże się nawskróś jej drewno Co zechcesz...

Rada ta Leśnego Dziadka została osnuta na zabobonach ludowych, że „kto chce widzieć umarłych, winien wynaleźć wierzbę, z której by można wyciąć piszczałkę na tak odległem miejscu, ażeby ona nigdy piania koguta

[1] ibidem str. 195, nr. 2—3
[2] ibid. VII, str. 125

nie słyszała, ani szumu wody[1]. Chcąc zaś zastosować owo wierzenie ludowe do wprowadzonej przez siebie sytuacyi, połączył je poeta z innem, z tem mianowicie, że chcąc „mieć piszczałkę z czystym i przyjemnym głosem, potrzeba przy dźwięku warkocza topielic zadąć“ w nią, „wówczas uchwyci takie dźwięki, które każdą rozpędzą troskę i uspokoją cierpiące serca“[2]. Jak tedy widzimy — poeta odrzuciwszy tylko z pierwszego wierzenia wzmiankę o widzeniu umarłych, zatrzymał je wiernie i połączył z innem, jemu pokrewnem. Po odejściu Maciusia zjawia się przed Leśnym Dziadkiem dyabeł, Kusy. Cała natura tego dyablika, cały jego wygląd znowu odtworzony wiernie na podstawie wierzeń ludowych. Kusy bowiem — to jest „niziutki, na cienkich nóżkach, ubrany w czerwony fraczek, czarne spodeńki do kolan, na głowie ma trójkątny kapelusik“. Nie inaczej przedstawia sobie lud dyabła, zwanego Stralą, który jest także „niziutki, w czerwonym fraku, modrych lub innych spodniach, w kapelusiku na trzy rogi“[3]. Wogóle wyobrażenia ludu o dyable, o jego postaci i ubiorze nie są inne, jak tutaj w „Zaczarowanem kole“.

Kusy chce przeszkodzić Maciusiowi w wykonaniu planu, więc grozi Leśnemu Dziadkowi, że pastucha powiedzie na moczary, że zmieni się w czarnego psa i przestraszy Głupiego Maciusia. Bo całem zajęciem Kusego jest:

. . . . . kopki siana — Suszy się gdzie zapomniana:
Burzyć, i porozrzucać w błoto — Jutro ludzie po tej psocie
Bieliznę, jeśli na płocie — Będą pomstować i kląć.

Cała natura tego złośliwego dyablika została w „Zaczarowanem kole“ odtworzona wiernie podług wyobrażeń ludowych, w których dyabeł może przemienić się w każdy przedmiot, nadto lubi podróżnego wpakować w błoto[4], lub płatać babom wiejskim figle, rozrzucając ułożone snopy[5]. A wszystko to czyni dlatego, ażeby ludzie klęli i tem obrażali Pana Boga.

[1] ibid. XVII, str. 96, nr. 5.
[2] ibid. XV, str. 14, nr. 4.
[3] ibid. VII, str. 41, n. 78.
[4] Por. ibid. XV, str. 77.
[5] Por. ibid. VII, str. 43.

Albo te trzy zakłady Kusego z Maciusiem. Najpierw tedy mocują się, który z nich silniejszy: podczas gdy Kusy rozgniótł kamień na miazgę, Głupi Maciuś dobywszy kawałek sera rozdusił tak, że aż woda pociekła. Wygrał więc pierwszą próbę. Drugą próbą jest gwizdanie: zanim gwizdnąć miał Maciuś, zaczął wić z łyka obręcz, zapytany zaś, dlaczegoby to czynił, odpowiada, że chce niem obwiązać czoło Kusego, głowaby bowiem pękła dyabłu, gdyby on gwizdnął. Kusy bojąc się, czy łykowa obrączka co pomoże, dał za wygraną. Również i w trzeciej próbie zwyciężył Głupi Maciuś, bo zanim rzucił dyabła w górę, zapatrzył się w księżyc, zapytany zaś, czegoby tak patrzał, odpowiedział, że szuka na księżycu swojego chrzestnego ojca, ażeby ten uchwycił tam Kusego, gdy go podrzuci. Przerażony tem dyabeł uciekł. Cała ta scena z dyabłem została stworzona na podstawie baśni ludowych, które tak samo, z wyjątkiem pierwszej próby, opisują ów zakład [1].

W akcie trzecim odezwał się na nowo wpływ pierwiastków ludowych. Na samym wstępie widzimy Drwala wyrzekającego na biedę przed Organistą, który przy okazyi opowiada o matce św. Piotra, co była strasznie złą niewiastą i za to dostała się po śmierci do piekła. Żałował jej św. Piotr:

Aże Najświętsza Panienka
Jakoś wyjednała mu to,
Iżby w piekielne czeluści
Niteczkę z płaszcza wyprutą
Mógł spuścić. A po tej nici
Stara w niebo się wyspina.
Nuż pruć — co wypruje — spuści,
Aż matka za koniec chwyci,
Inne dusze potępione
Też chcą iść, ale babina
Jak zła była całe życie,
Tak i teraz kląć poczyna...

Kiedy więc zaczęła od nitki odtrącać inne dusze — nitka się urwała i matka św. Piotra pozostała w piekle nadal. Cała ta opowieść jest w niczem niezmienioną przeróbką znanej powszechnie bajki ludowej [2].

Jeszcze dwie sytuacye, osnute na wierzeniach i opowieściach ludowych, wprowadził Rydel w akcie czwartym „Zacza-

[1] Por. ibid. III, str. 178—179.

[2] Por. ibid. XVII, str. 207—208, nr. 20. Br. Gustawicz: „O ludzie podduklańskim“ (Lud. Lwów, str. 48—49, nr. 20).

rowanego koła". W scenie mianowicie między Maciusiem, Kusym i Borutą — opowiada Kusy Borucie o swoim pojedynku, jaki miał z jedną kobietą:

Z tej wsi. Wybór broni miałem,
A baba sobie zastrzegła
Wybór placu... Jędza stara,
Bardziej od lisa przebiegła!
Pyta mnie: „Rożen, czy widły?"
Widły! boć to kolców para,
Więc rożen babie przebrzydłej
Zostawiam... bo, cóż mi po tem?!
Wyznaczając stanowiska,
Baba stawia mnie za płotem.
Sama staje z drugiej strony:
Co żgnę, to płot na przeszkodzie,
. . . . . .
A ta mnie bodzie i bodzie,
Bo jej rożen nawskróś płota
Raz w raz do mnie się przeciska...

Całe to opowiadanie Kusego zostało osnute bez zmiany szczegółów na baśni ludowej. W jednej bowiem bajce dyabeł chce bić się z babą. „Ona tyż przystała, żeby się bili. Dała mu wideł żelaznych *(sic)* z dwiema otnogamy, a sama wziena rożna. I ustanęli za gęstym płotem; jedno z jednyj strony płota, drugie z drugiej strony. I baba mówi do dyabła: przecie-ć ty mnie (za jednym razem) zrobisz dwie dziury, a ja tobie jeno jedną. Co dyabeł żgnie w płot, to mu sie widły oprą; a baba co sturchnie, to prosto w dyabła. Dyabeł już ścierpieć tego nie mógł, cisnął widły i ucik". Opowieść ta, zapisana w „Ludzie" Kolberga (III, str. 186), krąży wśród wiejskiego pospólstwa w licznych waryantach.

Opis dalej piekielnych czeluści, jaki znajdujemy w opowiadaniu Boruty, jest osnuty na wyobrażeniach ludowych. Według słów Boruty, w środku podziemia siedzi przykuty łańcuchami do gorącej kolumny Lucyper w męce, którego los, zdaniem Maciusia, jest taki:

A zaś u tego łańcucha
To mu kółka wyliczono:
Tyle, ile jest dni w roku.
Co dzień łańcucha ubywa
Po oku, zawdy po oku,
Jaze na sam Wielgi Piątek
Do ostatniego ogniwa...
Toć mu dopiero dopieka
On słup...

Wyobrażenia te o piekle są osnute na pojęciach ludowych, bo i lud wierzy, że Lucyper siedzi „na środku piekła przykuty łańcuchem do słupa" [1], i że „łańcuch, na którym jest uwiązany, przykróca mu się w Wielki Piątek" [2]. Wzmianka nadto o skar-

[1] ibid. VII. str. 26.
[2] ibid. str. 19.

bach, jakie znajdują się w piekle, została osnuta również na wierzeniach ludowych[1]. Szczegół ten, że Boruta chce wziąć Głupiego Maciusia na służbę do piekła, znajduje również potwierdzenie w opowiadaniach ludowych, w których nierzadko ludzie znajdują się na służbie w piekle[2]. Fakt nadto, że Boruta ukazuje Głupiemu Maciusiowi zaklęty skarb w drzewie, został zapożyczony w ogólnej osnowie z opowiadań ludowych o zaklętych skarbach[3].

Poza podaniową stroną zaznaczyć należy, że wszystkie typy, zarówno Głupi Maciuś, jak niemniej Młynarka, Jasiek, Młynarz, Drwal i Organista — to typy niemal żywcem z życia ludu przeniesione do dramatu, odtworzone nawet w najdrobniejszych szczegółach wiernie wraz z ich pojęciami i wyobrażeniami, bo nawet mowa ich — to mowa codzienna chłopska, doskonale tutaj zastosowana. Nic nie sprzeciwia się w „Zaczarowanem kole“ pojęciom ludowym, owszem wszystko było wzorowane lub też przystosowywane do wyobrażeń chłopskich. Skoro zaś weźmiemy pod uwagę te wszystkie drobne ornamenty, jakie wyżej wykazaliśmy, — zobaczymy, jak wielki był wpływ ludowej poezyi na „Zaczarowane koło“. Jaką będzie dalsza twórczość Rydla — trudno przewidzieć, ale, o ile nam wiadomo, poeta ten miał napisać niewydany dotąd utwór, oparty na jasełkach ludowych.

* * *

Najlepiej ze wszystkich poetów ostatniej ćwierci stulecia, z wyjątkiem może Kasprowicza, odczuł niedolę chłopską, wieśniacze żale i bole, ostatni z najmłodszych — Orkan. Odczucie to ujawniło się w dwu obrazach dramatycznych i w drobnych utworach poetycznych i powieściowych. Boć przecież ów chłop-Podhalanin, stojący na czele zbiorku p. t „Nad urwiskiem“, z kosą na łanie, co licho obrodził, ów chłop nie wyrzekający wiele na złą dolę, chociaż „przyjdzie zczeznąć“, któremu żal

[1] Por. ibid. str. 27.
[2] Por. ibid. VIII, str. 127, n. 51.
[3] Por. ibid. VII, str. 61,

tylko drobnych dzieci — to typ z niecodzienną plastyką, tak świetnie skreślony, jak to mało kiedy zdarzy się spotkać. Albo te postacie z „Nocy“, pilnujące pól od dzików, czyż to nie typy rzeźbione subtelnie, a oddające z najwierniejszą prawdą chłopów podhalskich? Bo czyż nie świta często w głowach chłopskich myśl, by ojca starego używać do wszelkich niewygodnych czynności, czyż historye z królem Learem rzadko się obecnie powtarzają? Tak też i tutaj dwie siostry, które unużyło nocne czuwanie, chcą ojca posłać na noc już najbliższą. Lub też, czyż nie jakby żywcem z ust górala są wyjęte takie narzekania: „Jeden drugiego wypycha, bo im ciasno, coraz to ciaśniej... Tak, moiściewy... Gruntu było niemało — lasów nie brakowało...“

A owa do głębi wzruszająca pieśń:

Hej!... Było życie, było!
Stary ociec gwarzył:
Słonko jaśniej świeciło,
Chleb sie ludziom darzył.

Hej!... Były czasy, były,
My ich nie zaznali —
Rok po roku przechodzi
Czas ucieka dalej...

toż to pogrzebowy marsz góralski, znany na całem Podhalu, bez żadnej zmiany tutaj zużytkowany.

Strofka zaś pieśni:

Polana, polana bogatego pana —
Polanę skosili, pana obwiesili...

toć przecież żywcem została tutaj wprowadzona z ust ludu[1].

Wogóle wszystkie postaci w utworze Orkana wprowadzone, to po mistrzowsku przedstawione typy ludu tatrzańskiego z wszystkiemi jego cechami, nawet z rodzinną jego gwarą. Smutek ten wieczny tylko, jaki mają wyryty w twarzy, niezupełnie jest takim w rzeczywistości, jakim go Orkan kreśli często. Pesymizm i nowe kierunki społeczne przyciemniają pogląd na życie młodemu poecie.

* * *

[1] Por. A. Stopka: „Materyały do etnografii Podhala“. (Materyały antropol.-archeol. i etnogr. III, str. 91, nr. 331).

Wszyscy ci poeci przedstawili nam całą galeryę typów ludowych, odtworzonych z drobiazgową wiernością, wraz z ich pojęciami i skłonnościami, dobrą i złą stroną ich charakteru, na tle legend ich i pieśni, a w szacie nowej, w jakiej dawniejsi mistrze nie kusili się nawet malować ludu. Zauważyć wszelako należy, iż większość postaci wioskowych, wprowadzonych do poezyi naszej przez poetów ostatniej doby, ukazała się z cieniem smutku na twarzy, czasami nawet z nadmiernym żalem i skargą rozpaczną. Znam lud inny, osiadły wśród bujnych stepów Ukrainy i Podola, mniej od polskiego zamknięty w sobie, a za to do głębi duszy i serca przesiąkły melancholijnym smutkiem. Ten mógłby czuć raczej skłonność do zanucenia tej smutnej pieśni:

Nie było, nie było
Szczęścia na tej ziemi...
Obeszło stronami...

St. Zdziarski.

PRZYSZŁE UKSZTAŁTOWANIE SIĘ

AUSTRO-WĘGIERSKIEJ POLITYKI HANDLOWEJ.

Możność zastosowania taryfy podwójnej, maksymalnej i minimalnej. — Znaczenie odnowienia traktatów handlowych dla Austro-Węgier. — Cło wywozowe na drzewo. — Pruski projekt nowej autonomicznej taryfy celnej.— Widoki zawarcia unii celnej między Austro-Węgrami a Niemcami. — Ujemne strony wygórowanych dążności protekcyjnych. — Cła zbożowe. — Klauzula największego uprzywilejowania — Stanowisko Galicyi wobec bliskiego wygaśnięcia traktatów handlowych. Ostateczne wyniki. — Ugoda austro-węgierska.

Sfery rolnicze oceniają przeważnie pesymistycznie ostatnią fazę w rozwoju austro-węgierskiej polityki handlowej, prawdopodobnie dlatego, że spodziewano się po nich więcej, niż nam dać mogły w danych warunkach.

Jeden z posłów, z Galicyi do Rady państwa wybrany, twierdził podczas rozpraw nad przedłożeniem rządowem o traktatach grudniowych, że „wyznaczają Austro-Węgrom na przyszłość zadanie śpichlerza zbożowego wobec Europy, zadanie, które niegdyś spełniała Polska w epoce rozkwitu swego handlu“ [1]. Zwolennicy tak przesadnych poglądów widocznie nie uwzględniali dostatecznie konkurencyi Stanów Zjednoczonych, którym wówczas wobec Niemiec przysługiwała klauzula największego

[1] *Stenographische Protocolle über die Sitzungen des Hauses der Abgeordneten des österreichischen Reichsrathes in den Jahren 1891 und 1892*, XI Session, IV Band, S. 4420.

uprzywilejowania, a przecież obniżenie ceł zbożowych przyznane Austro-Węgrom wychodziło także *ipso facto* na korzyść Stanów Zjednoczonych.

Rozumując w podobny sposób, ufano w „lojalność rządu niemieckiego". Wyrażenie to pochodzi również od jednego z posłów polskich[1], który chciał przez to powiedzieć, że Niemcy są moralnie zobowiązane do nieprzyznawania Rosyi zniżki na cła zbożowe, udzielonej Austro-Węgrom. Nadzieje oparte na tak kruchych podstawach musiały oczywiście zawieść.

Ludzie trzeźwiej zapatrujący się na sytuacyę i pilniej badający wykazy statystyczne już wówczas uważali za główne ustępstwo Niemiec nie tyle obniżenie ceł zbożowych, ile zawarcie konwencyi weterynaryjnej. Pomyślne horoskopy na przyszłość były niewątpliwie w tym wypadku bardziej uzasadnione, to też zawód dotkliwszym i realniejszym. Korzystne lata, 1893 i 1894, w których dozwolono przewozu trzody chlewnej przez granicę niemiecką w czasie wojny celnej między Rosyą a Niemcami, były wprawdzie wyjątkowemi, ale następny okres nie przedstawia pogorszenia w porównaniu z epoką, poprzedzającą traktaty obecnie obowiązujące. Z drugiej strony ostatnie dziesięciolecie zeszłego wieku jest świadkiem wzrostu wywozu drzewa, jaj, drobiu, koni, koniczyny. Równocześnie nie zmniejszył się eksport owoców, słodu, jęczmienia, masła, chmielu.

Mimo to sfery rolnicze nieprzyjaźnie są usposobione wobec długotrwałych traktatów handlowych, radeby natomiast oprzeć przyszłą autonomiczną taryfę celną na systemie francuskim taryfy podwójnej, maksymalnej i minimalnej.

Wysokość ceł, pobieranych przy przewozie towarów, opiera się zazwyczaj na aktach prawodawczych dwojakiego typu: na autonomicznej taryfie celnej i na układach handlowych, zawieranych między oddzielnemi państwami. W pierwszym razie, jak już sama nazwa wskazuje, władze państwowe, powołane do tego konstytucyą, ustanawiają samoistnie, w swoim własnym zakresie działania taryfę o wysokości ceł, nazywaną zazwyczaj generalną;

---

[1] l. c. str. 4475.

traktaty natomiast handlowe są wynikiem międzynarodowego porozumienia, którego celem uzyskanie pewnych opustów od maksymalnej granicy — oznaczonej w autonomicznej taryfie celnej w zamian za stosowne koncesye. Łączny wykaz zniżonych pozycyi obejmujemy nazwą taryfy umownej w przeciwstawieniu do generalnej.

W r. 1892 Francya ogłosiła autonomiczną taryfę celną, która zasadniczo różni się od dawniejszego typu. Taryfy autonomiczne, austro-węgierska, niemiecka i inne, zawierają dla każdej pozycyi tylko jedną liczbę, oznaczającą wysokość cła. W systemie francuskim mamy do czynienia z dwiema liczbami:[1] pierwsza z nich, większa, oznacza wysokość cła pobieranego w razie niedojścia do skutku traktatu handlowego, a zatem odpowiada w zupełności tym liczbom, które znajdują się w taryfach innych krajów; za pomocą drugiej, mniejszej, stanowiącej właściwą innowacyę, władza państwowa z góry oznacza najniższą granicę ustępstw, które ma zamiar robić przy zawieraniu traktatów handlowych.

Cła minimalne odpowiadają zatem w praktyce mniej więcej pojęciu taryfy umownej, a cła maksymalne pojęciu taryfy generalnej: z tą oczywiście różnicą, że cła maksymalne są z góry jednostronnie ustanowione przez państwo rządzące się taryfą podwójną, podczas gdy taryfa umowna jest wynikiem układu międzynarodowego.

Omówiliśmy już poprzednio przyczyny[2], które skłoniły rząd francuski do przyjęcia tego systemu, zmierzającego głównie do pozbawienia Niemiec korzyści, wynikających z art. 11 traktatu frankfurckiego. Są to specyalne argumenta, których nie można zastosować do Austro-Węgier. Zresztą doświadczenia zrobione we Francyi ze systemem taryfy podwójnej nie zachęcają

[1] Taryfy celne Hiszpanii i Norwegii także oparte są na systemie taryfy podwójnej. W ostatnich czasach niemiecka Rada rolnicza, najwyższa zawodowa reprezentacya niemieckich sfer agrarnych, oświadczyła się za zastosowaniem w Niemczech francuskiego wzoru.

[2] Por. *Przegl. Powsz.* t. LXXI, str. 170—172.

zbytnio do naśladownictwa. Szereg państw przyznał wprawdzie Francyi klauzulę największego uprzywilejowania w zamian za prawo korzystania z taryfy minimalnej, ale Szwajcarya żądała ustępstw dalszych. Po kilkoletniej wojnie celnej doszła do skutku umowa w r. 1895, w której Francya w trzydziestu pozycyach zniżyła wysokość ceł poniżej granic objętych minimalną taryfą, a układ z Rosyą obniża cło na naftę rosyjską poniżej granicy przewidzianej w taryfie minimalnej. Na ten sam czas przypadają także wojny celne z Włochami i Hiszpanią[1]. Handel zagraniczny Francyi ma pewien charakter stagnacyi, nie wykazuje bynajmniej tego rozwoju, który widzimy od r. 1894 w Niemczech, w Stanach Zjednoczonych i w innych państwach. Wogóle można powiedzieć, że skrajny protekcyonizm agrarny Francyi (obłożono cłem nawet konopie i nasiona olej zawierające[2], aczkolwiek stanowią surowiec niezbędny dla pewnych gałęzi przemysłu) nie wyszedł jej na dobre. W Niemczech podnoszą często, że Francya dotąd jeszcze nie przeszła do rzędu państw importujących pszenicę (żyto odgrywa małą rolę w produkcyi francuskiej). Zachodzi tylko pytanie, czy objaw ten zawdzięczać należy siedmiofrankowemu cłu, czy też może stagnacyi we wzroście ludności, podczas gdy Niemcy, jak wiadomo, wykazują w ostatnich latach wprost przeciwny objaw. W Niemczech sfery rolnicze z zapałem podjęły myśl wprowadzenia taryfy podwójnej. Niema w tem zresztą nic dziwnego: Niemcy wywożą w większych ilościach tylko chmiel i cukier[3], ich rolnictwo i leśnictwo jest zatem oczywiście protekcyjnie usposobione, a pod tym względem sy-

[1] Alfred Zimmermann: *Die Handelspolitik des Deutschen Reiches vom Frankfurter Frieden bis zur Gegenwart.* II Auflage. Berlin 1901, str. 193 i n.

[2] Len wprawdzie wolny jest od cła, ale za to ustępstwo, zrobione na rzecz przemysłu lnianego, państwo wypłaca rolnikom znaczne nagrody za uprawę lnu. Związek austryackich towarzystw rolniczych uważa ten sposób postępowania za niewystarczający i domaga się oclenia lnu, a w dalszej, nieuniknionej konsekwencyi — oclenia wełny i innych surowców, potrzebnych w przemyśle tkackim.

[3] Walther Lotz: *Der Schutz der deutschen Landwirthschaft und die Aufgaben der künftigen deutschen Handelspolitik.* Berlin 1900, str. 45.

stem taryfy podwójnej ma wielkie zalety, gdyż ograniczając dowolność rządu w udzielaniu zniżek przy sposobności zawierania traktatów handlowych, zabezpiecza do pewnego stopnia producentów przed niespodziankami. Argument ten jednak nie dotyczy Austryi, która ma jeszcze ciągle znaczny rolniczy wywóz możliwy do zabezpieczenia tylko korzystnymi traktatami handlowymi.

Otóż taryfa podwójna utrudnia zawarcie traktatów. Jest ona bowiem z natury wojowniczą. Gdy granice ustępstw są z góry oznaczone i wiadome, odpada nadzieja zdobycia specyalnych korzyści drogą wzajemnych ustępstw. W sklepie, w którym jest napis „ceny stałe", kupujący już zazwyczaj nie targują się, a w polityce handlowej bez targu trudno dojść do porozumienia się. Określenie z góry granicy ustępstw w taryfie minimalnej jest równoznaczne z zacieśnieniem pola do rokowań o przyszły traktat handlowy, gdy korzyści możliwe do osiągnięcia są wiadome, słabnie interes w ich uzyskaniu. Byłoby zresztą dziwnem, gdyby taryfa podwójna tak sposobna do powstrzymania dowozu obcych produktów, była równie odpowiednią celowi, gdy chodzi o zapewnienie sobie wywozu własnych towarów na własne targi. Takie powszechne *panacea* rzadko się spotyka. Kto kładzie główny nacisk na ochronę wewnętrznego targu, może z dobrym skutkiem posługiwać się systemem taryfy podwójnej, ale gdy przeważają interesa wywozowe, trzeba dążyć wszelkiemi siłami do zawarcia korzystnych układów.

Niedojście do skutku traktatu handlowego z Niemcami, pociągnęłoby za sobą pewne *represalia* cłowe ze strony Austryi, na których zyskałby na razie przynajmniej przemysł, ponieważ Niemcy importują do nas przeważnie wytwory przemysłowe a nie rolnicze, Austrya podniosłaby zatem w pierwszym rzędzie cła na chemikalia, zapewnie także na maszyny rolnicze[1] i inne

[1] Obecnie już cło na maszyny rolnicze w Austryi jest wygórowane, wyższe, jak we Francyi, we Włoszech i w wielu innych krajach; porówn. Siegfried Gerstl: *Unsere Zoll- und Handelspolitik bezüglich des landw. Maschinenwesens.* Wien 1901.

przedmioty potrzebne rolnikowi do prowadzenia jego gospodarstwa. Nienawiązanie lub rozbicie się rokowań o odnowienie traktatu z Niemcami utrudni uzyskanie zniżki cła na żelazo surowe [1], które to cło dotkliwie ciąży nietylko na całem austryackiem rolnictwie, ale także na wszystkich krajach, nie posiadających fabryk żelaza. W Galicyi np. nietylko rolnictwo, ale cały kraj jest konsumentem żelaza.

Możnaby zarzucić temu rozumowaniu, że, przypuściwszy jego prawdziwość, przemysł nie ma interesu w odnowieniu traktatu z Niemcami, przeciwnie powrót do stosunków z czasów przed zawarciem traktatów grudniowych, połączony ze wzmocnieniem protekcyjnego wału ochronnego odgraniczającego nas od Niemiec byłby może w jego interesie. Pomijając nawet import przemysłowy do Niemiec (szkło, wyroby lniane i t. d.), pamiętać należy, że utrudnienie eksportu rolniczego wzmocnić musi dążność do zabezpieczenia wewnętrznego rynku zbytu dla wytworów miejscowego rolnictwa, co znowu oddziała niekorzystnie na eksport wyrobów przemysłowych. Rolnicy poszkodowani w swych interesach wywozowych do Niemiec z tym większym naciskiem żądać będą ograniczenia importu z państw bałkańskich, z Rosyi i Włoch. Wywołałoby to podrożenie robocizny i *represalia* ze strony państw sprzedających nam płody rolnicze, *represalia* z natury rzeczy skierowane przeciwko naszemu wywozowi płodów przemysłowych. Pod tym względem państwa bałkańskie, Rosya i Włochy są do nas w tym stosunku, co my do Niemiec.

Kilka przykładów ułatwi zrozumienie sytuacyi. Pruski projekt nowej niemieckiej autonomicznej taryfy celnej nakłada znaczne cło na owoce deserowe, dawniej od cła wolne. Przypuściwszy, że postanowienie to wejdzie w życie, producenci jabłek tyrolskich dążyć będą do zwiększenia zbytu wewnętrznego. Domagają się oni już obecnie obłożenia cłem włoskich pomarańcz, importowanych do Austryi w wielkich ilościach, a któ-

[1] Tylko Rosya i Hiszpania mają wyższe cło na żelazo w sztabach, niż Austro-Węgry; por. zestawienie wysokości cła na żelazo dla siedmnastu państw europejskich w dziele d-ra Józefa Grunzel: *System der Handelspolitik.* Leipzig 1901, str. 363.

rych podrożenie, ich zdaniem, powiększy konsumcyę jabłek[1]. Jeżeli w Niemczech przejdzie projektowane piętnastomarkowe cło na karpie, przeważnie z Galicyi importowane, okaże się potrzeba oclenia ryb rosyjskich i rumuńskich, przywożonych w wielkich ilościach do Austro-Węgier. Podwyższenie znaczne cła niemieckiego na węgierskie woły, pociągnie za sobą podwyższenie cła austryackiego na woły serbskie, dostawiane do Budapesztu.

Oczywiście Włochy, Serbia, Rumunia i Rosya nie pozostaną dłużne odpowiedzi. Włochy podniosą cło np. na nasze wyroby lniane, Rosya na kosy górno-austryackie, Rumunia i Serbia na nasz papier i t. d.

Austro-Węgry mogą być zmuszone do porzucenia polityki traktatowej przez zbyt wygórowane niemieckie cła agrarne, ale nie powinny ze swej strony przyczyniać się do ułatwienia tej ewolucyi przyjęciem systemu taryfy podwójnej, utrudniając prowadzenie rokowań.

Ostatecznie jednak taryfa podwójna jest tylko środkiem do celu, posiada zatem więcej formalne znaczenie. Sfery agrarne Francyi, Niemiec, Austryi i Węgier uważając ją za najsposobniejszy środek do wprowadzenia w życie daleko idącej ochrony celnej dla wytworów gospodarstwa rolnego, sprzeciwiłyby się stanowczo taryfie podwójnej zawierającej nizkie cła agrarne.

Rolnictwo w swych dążeniach protekcyjnych nie jest w Austryi odosobnione. Sfery przemysłowe od dawien dawna są przeciwnikami wolnego handlu. Przemysł austryacki zawdzięcza niemal całe swe istnienie ochronie celnej, nic więc dziwnego, że bez niej trudno mu się obejść. Zresztą ciężary publiczne w Austryi są pod wielu względami znaczniejsze, niż w szeregu innych państw, cła mają zatem po części w tym wypadku charakter ceł wyrównawczych.

---

[1] Państwowa rada rolnicza oświadczyła się za cłem na pomarańcze: por. Richter: *Referat über die Förderung des Obstexportes.* (*Mittheilungen über die Verhandlungen der Section für Land- und Forstwirthschaft und Montanwesen bei der III Jagung.* Wien 1900, str. 111—203).

W sferach przemysłowych podniesiono myśl identyczności interesów rolnictwa i przemysłu[1]. Autorowie tej myśli powołują się na bezskuteczność konwencyi weterynaryjnej, oraz zniżki cen zbożowych i wyciągają stąd wniosek, że rolnictwo utraciło swą zdolność do wywozu, że zatem niema należytego uzasadnienia robienie ustępstw Niemcom w zakresie ceł przemysłowych, celem wywalczenia ułatwień dla eksportu płodów rolniczych. Rolnictwo powinno się zadowolić zbytem wewnętrznym, wzrastająca zdolność konsumcyjna ludności z powodu rozwoju przemysłu zastąpi utratę targów zewnętrznych.

Rozumowanie to w dalszych swych konsekwencyach powinnoby doprowadzić do wyniku bardzo podobnego do Fichtego *geschlossener Handelstaat* lub Thünena *isolierter Staat*. Rolnicy bowiem odwracają to rozumowanie, wysuwają na pierwszy plan niezupełnie korzystne wyniki handlu z państwami bałkańskiemi[2] i twierdzą na tej podstawie, że przemysł austryacki utracił swą zdolność eksportową na Wschód, niema zatem powodu do robienia ustępstw w cłach rolniczych państwom bałkańskim celem uzyskania ułatwień dla wywozu wytworów austryackiego przemysłu, który powinien zadowolić się zabezpieczeniem sobie targu wewnętrznego.

Tego rozumowania nie uznają oczywiście sfery przemysłowe. Domagają się one ochrony celnej ze strony Niemiec i Zachodu, ale pragną sobie otworzyć drogi na Bałkan kosztem interesów rolniczych. Bronią zatem idei traktatów handlowych nie tyle w odniesieniu do Niemiec, ile ze względu na państwa

---

[1] Por. *Oesterreichs künftige Handelspolitik vom Standpunkte der Industrie* Wien 1899, str. 20. Autorstwo tej programowej rozprawy, wydanej przez centralny związek austryackich przemysłowców, powszechnie przypisują jego sekretarzowi, Józefowi Grunzel, autorowi szeregu dzieł o bilansie handlowym świata, o stosunkach handlowych między Austryą a państwami bałkańskiemi i podręczników, obejmujących całokształt polityki handlowej.

[2] Por. Ludwig Frankl: *Unsere künftige Handelspolitik vom Standpunkte der Land- und Forstwirthschaft.* Wien 1900, str. 55 i nast. Rozprawa ta, wydana przez związek austryackich towarzystw rolniczych, stanowi odpowiedź na codopiero przytoczoną programową broszurę centralnego związku austryackich przemysłowców.

bałkańskie i Rosyę; potępiają taryfę podwójną, ponieważ obawiają się, że zawierać będzie wysokie minimalne cła agrarne, utrudniające zawarcie traktatów handlowych z krajami bałkańskimi i Rosyą. Jest wprawdzie pewna grupa przemysłowców *(der Industrielle Club* w Wiedniu), która oświadczyła się za zasadą taryfy podwójnej. Ale jeżeli związek austryackich towarzystw rolniczych w swych publikacyach powołuje się na poglądy tej grupy przemysłowców i widzi w nich poparcie swego stanowiska, to dowodzi tylko przez to, że nie rozumie dostatecznie interesów agrarnych przez siebie bronionych. Klub przemysłowy wiedeński wychodził z założenia, że monarchia pod wpływem Węgier gotową jest uczynić Niemcom za daleko idące koncesye w cłach przemysłowych celem uzyskania ulg w niemieckich cłach agrarnych. Taryfa podwójna miała niebezpieczeństwo to uchylić przez oznaczenie z góry granicy ustępstw w cłach przemysłowych. Uchwała zatem była wymierzoną przeciwko eksportowi rolniczemu do Niemiec.

Potrzeba odwoływania się do pomocy państwa jest tak silną w sferach przemysłowych, że podwyższenie ceł na zagraniczne fabrykaty im nie wystarcza, fabrykanci papieru i właściciele tartaków żądają także nałożenia ceł wywozowych na surowce, a mianowicie na drzewo, fabrykanci papieru życzą sobie cła wywozowego w kwocie 25 ct. w złocie od 100 kg drzewa cienkiego, używanego do fabrykacyi papieru *(Schleif- und Celluloseholz)*, natomiast właściciele tartaków żądają cła w kwocie 15 ct. w złocie od 100 kg materyału tartego *(Klotz- und Rundholz)*. Związek austryackich izb handlowych i przemysłowych, utworzony dla zebrania materyałów do ułożenia projektu nowej autonomicznej taryfy celnej i nowej ustawy cłowej (prawo formalne cłowe), odrzucił żądanie fabrykantów papieru, którzy już są chronieni przez istniejące cło wywozowe na gałgany i odpadki *(Hadern)* w kwocie 4 złr., którzy ostatecznie za surowiec austryacki płacą przeważnie taniej, niż ich niemieccy współzawodnicy za ten sam materyał z powodu różnicy w kosztach transportu, których fabryki wypłacają stosunkowo korzystne dywidendy, w wielu wypadkach bynajmniej nie niższe od dy-

widend najzyskowniejszych niemieckich fabryk. Zdaniem związku austryackich izb handlowo-przemysłowych Austro-Węgry dostarczają tylko 5% drzewa, potrzebnego niemieckim fabrykom papieru. Nie może więc być mowy o zależności niemieckiej fabrykacyi papieru od dostaw surowca z Austryi. Żądane przez papierników cło wywozowe na drzewo cienkie odpowiada mniej więcej cłu w wysokości 30—40% *ad valorem.*

Stosunkowo więcej uzasadnienia mieści się w żądaniu właścicieli tartaków, ponieważ jednak z powodu opozycyi sfer rolniczych wniosek ten nie ma widoków powodzenia, przeto związek austryackich izb handlowych i przemysłowych okazuje skłonność oświadczenia się za wnioskiem pośredniczącym, wedle którego rząd w ustawie wprowadczej do nowej autonomicznej taryfy celnej otrzymałby upoważnienie nałożyć cło wywozowe na okrąglaki *(weiches Rundholz)* eksportowane do tych państw, które nakładają na nasz materyał tarty cło trzy razy większe, jak cło na surowiec i to w wysokości tej, o jaką cło zagraniczne na materyał tarty przewyższa stosunek 1:3. Wedle obecnej taryfy umownej stosunek ten wynosi 1:4 (20 i 80 marek za wagon), w taryfie generalnej cesarstwa niemieckiego 1:5 a w projekcie pruskim nowej niemieckiej taryfy jeneralnej 1:6¼ (20 i 125 m za wagon).

Dopuszczalność cła wywozowego w tej formie zależy głównie od odpowiedzi na pytanie, czy i w jakim stopniu Niemcy potrzebują naszych okrąglaków. Jeżeli bowiem niemieckim tartakom trudno będzie zastąpić nasz surowiec innym, wówczas cło spadnie przeważnie na tamtejszego konsumenta, osiągnie zatem w pewnym stopniu zamierzony skutek, a nie da się dotkliwie we znaki austryackim producentom drzewa. Ścisła odpowiedź na to pytanie jest bardzo trudną, pamiętać jednak trzeba, że lata 1894—1900 były epoką wyjątkowo pomyślnej konjunktury dla Niemiec, która obecnie należy już do przeszłości. Wobec tego tartaki niemieckie będą w przyszłości prawdopodobnie potrzebowały mniej surowca, a w każdym razie w najbliższych czasach nie będą powiększać swej produkcyi w dotychczasowym stosunku. Wielkie dostawy z innych krajów na targ

niemiecki, ze Stanów Zjednoczonych, Rosyi i Szwecyi, nasuwają wątpliwości uzasadnione co do niezbędności austryackiego surowca.

Któż nam zresztą zaręczy, że Niemcy nie podwyższą cła na materyał tarty w drodze represaliów? Jeżeli się daje właścicielom tartaków cło wywozowe na drzewo, trudno się bronić przeciwko żądaniu hodowców bydła, którzy domagają się cła wywozowego na otręby [1] lub producentów chmielu, którzy chętnie obłożyliby cłem wywozowem w kwocie 50 złr. od 100 kg przyrządy potrzebne do zbioru chmielu *(Hopfenfechser)* [2].

Dziś zatem właściwie tylko leśnictwo jest usposobienia wolno-handlowego [3], zresztą wszyscy producenci — często w źle zrozumianym własnym interesie — domagają się ochrony celnej. Badając uprawnienie prądu protekcyjnego w Austro-Węgrzech, musimy sobie przedewszystkiem zdać sprawę z tego, że nasza polityka handlowa nie jest w tym stopniu niezależną od polityki handlowej innych państw, jak np. polityka handlowa Anglii, która dotąd jeszcze mimo pewnych wyjątków i zboczeń trzyma się zasad wolnego handlu, aczkolwiek ruch protekcyjny we wszystkich innych państwach objawia się corazto silniej. Położenie geograficzne, świetny rozwój angielskiego przemysłu i wiele innych przyczyn złożyło się na ten rezultat. Austro-Węgry jednak otoczone państwami wybitnie protekcyjnie usposobionemi nie mogą dziś prowadzić polityki wolno-handlowej, tracąc bowiem zbyt w państwach ościennych, naraziłyby się na zalanie swego targu wewnętrznego produktami zagranicznymi. Nie mogą tego robić zwłaszcza w chwili, w której bilans handlowy monarchii pogarsza się — objaw niekorzystny dla kraju za granicą zadłużonego [4]. Z państw ościennych rozstrzygającem jest dla Austryi stanowisko Niemiec.

---

[1] Zwłaszcza Galicya uchodzi za kraj wywożący dużo otrąb do Niemiec.

[2] *Protestversammlung der österreichischen Hopfenproducenten.* Saar 1901, str. 30.

[3] Por. referat Guttenberga na tegorocznym kongresie leśnym.

[4] O doniosłości czynnego bilansu handlowego dla Austryi por. Artura Benis: „Polityka gospodarcza Galicyi", str. 12 i nast. Praca ta nie znajduje się jeszcze w handlu księgarskim, autor był jednak tak łaskaw udzielić mi korekty pierwszych siedmiu arkuszy.

W państwie tem już od dawna zanosi się na zwrot nieprzyjazny dla austryackiego eksportu. Pomijając już znany sposób wykonywania konwencyi weterynaryjnej, przypomnieć wypada zarządzenia dotyczące taryf kolejowych, a skierowane przeciwko przywozowi austryackiego słodu, któremi starano się zrównoważyć zniżkę celną przyznaną dla tego towaru w traktacie grudniowym [1]. Zwłaszcza rok 1900 obfitował w niepomyślne wróżby dla odnowienia traktatu handlowego. Z dniem 1-go lipca weszło w życie podwyższenie cła na piwo, niestety, nieobjętego traktatem grudniowym, a 1-go października nowa ustawa o oględzinach mięsa. Tak, jak celem konwencyi weterynaryjnej jest powstrzymanie dowozu bydła w wypadkach, w których ochronę celną uważa się za niedostateczną, podobnie celem ustawy o oględzinach mięsa *(Fleischbeschaugesetz)* jest utrudnienie dowozu mięsa. Chodziło tu wprawdzie rządowi niemieckiemu o import ze Stanów Zjednoczonych, ale przy tej sposobności ucierpiała także Austrya. Również na r. 1900 przypada projekt zakazu dowozu karpi austryackich z powodu rzekomej zarazy panującej wśród nich. Na razie skończyło się na projekcie.

Najwymowniejszem świadectwem siły prądu protekcyjnego jest ogłoszony z końcem lipca b. r. projekt nowej autonomicznej taryfy celnej, wypracowanej w pruskiem ministerstwie handlu, a przedłożony jako wniosek Prus niemieckiej Radzie związkowej. Już dawniej ogłoszony projekt schematu nowej autonomicznej taryfy celnej był zredagowany w duchu protekcyjnym. Dziś obowiązująca taryfa niemiecka zawiera około czterysta pozycyi (austryacka 356), a nowy projekt składa się z 946 pozycyi, z których niejedna rozpada się na kilka podpodziałów. Warto może przypomnieć, że taryfa angielska z r. 1660 zawierała 1630 pozycyi, po traktacie Cobdena pozostało w angielskiej taryfie celnej tylko 48 pozycyi, pewnego rodzaju powrót do merkantylizmu objawia się nawet w formach zewnętrznych. Tego ro-

[1] Wilhelm Briess: *Forderungen der österreichischen Malzindustrie anlässlich der bevorstehenden Erneuerung der Zoll- und Handelsverträge.* Olmütz 1901, str. 31.

dzaju specyalizacya taryfy może być dobrą z różnych przyczyn: z powodu zmian w technice produkcyi, dla ujednostajnienia manipulacyi celnej, niejednolitej, w razie, jeżeli oddzielne nieliczne pozycye taryfy ogólnikowo zredagowane dają sposobność do różnorodnej interpretacyi; ale często jednym z jej głównych powodów bywa wzrost dążności protekcyjnych. Jeżeli się rozkłada pozycyę „owoce“ na owoce nieopakowane (transportowane w wagonach *à la rinfusa)* lub tylko w workach pakowane, w przeciwstawieniu do innych owoców (zawijanych w papier i pakowanych w skrzynie), wówczas widoczną jest dążność wyższego oclenia owoców deserowych.

System taryfy podwójnej znalazł zastosowanie w projekcie co do czterech głównych odmian zboża, tj. do pszenicy, żyta, owsa i jęczmienia, natomiast co do innych towarów projekt nie oznacza z góry najniższej granicy ustępstw, których rząd zamierza udzielać przy zawieraniu traktatów handlowych [1]. Oznaczenie cła minimalnego dla pszenicy na $5^1/_2$, dla żyta i owsa na 5 marek ma dla Austryi mniejsze znaczenie, niż nałożenie minimalnego cła na jęczmień w kwocie 3 m. (obecnie cło umowne wynosi tylko 2 m.), na słód ustanawia projekt cło 6·25 m. Uzyskanie znaczniejszej zniżki w tej pozycyi przy sposobności układów traktatowych jest ogromnie utrudnione przez związanie cła na jęczmień i konieczność utrzymania między temi dwoma cłami stosunku korzystnego dla niemieckich fabryk słodu. Projekt zawiera także olbrzymie zwyżki w ocleniu wołów i świń; dawniej obliczano cło od sztuki, na przyszłość będzie wymierzane od 100 kg żywej wagi, a mianowicie 12 m. za 100 kg wołu, a 10 m. za 100 kg świń. Nie zapomniano o znacznem podwyż-

[1] We Francyi dla osiągnięcia tego samego celu rząd użył wprost przeciwnego środka. Już w r. 1881 uchwalono, że cła na zboże i bydło mają wyłącznie figurować w taryfie generalnej. Traktaty handlowe miały nie obejmować tych pozycyi, skutkiem czego zachowano sobie możność ich autonomicznego podwyższenia każdej chwili. Przyjmując w r. 1892 system taryfy podwójnej, zrobiono wyjątek dla ceł na zboże, mąkę i bydło, które także nadal znajdują się wyłącznie w taryfie generalnej i nie są przedmiotem rokowań z obcemi państwami.

szeniu cła na konie, a podstawą wymiaru ma być na przyszłość wartość towaru.

Cło na drzewo nieobrobione nie uległo zmianie. Wolnem od cła na przyszłość ma być nietylko drzewo przeznaczone do palenia *(Brennholz)*, ale także drzewo, używane jako surowiec w papierniach *(Celluloseholz)*, które obecnie cłu podlega. Natomiast materyał tarty ma na przyszłość płacić 125 m. za wagon. Traktaty grudniowe, jak wiadomo, zawierają w tej pozycyi zniżkę ze 100 na 80 m. Przepisy te dostarczą niewątpliwie nowego argumentu zwolennikom ceł wywozowych na austryackie drzewo.

Gdyby pozycye te miały stać się ustawą, nadzieja dojścia do skutku traktatu z Niemcami jest niezmiernie małą.

Prąd protekcyjny nie oszczędził nawet chmielu, który stanowi pozycyę czynną w niemieckim bilansie handlowym. Podwyższenie cła na chmiel jest stosunkowo mniej groźne z powodu jakościowych zalet austryackiego towaru, również skutki podwyższenia cła na jaja a poniekąd i na drób będą złagodzone przez silne zapotrzebowanie tych towarów w Niemczech. To samo mniej więcej da się powiedzieć o obłożeniu cłem koniczyny, dotychczas od cła wolnej. Natomiast powoli rozwijający się, a zdolny do znacznego postępu, eksport masła do Niemiec (między innemi z Galicyi), narażony jest na poważne niebezpieczeństwo (w razie podwyższenia cła) z powodu silnej konkurencyi innych państw w dostawie tego towaru i z powodu rozwoju gospodarstwa mlecznego w Niemczech. Podwyższenie cła na groch i inne rośliny strączkowe dałby się dotkliwie we znaki Galicyi zwłaszcza wschodniej.

Projekt rządu pruskiego prawdopodobnie ulegnie pewnym zmianom w Radzie związkowej i w parlamencie niemieckim; sądząc jednak po dotychczasowym przebiegu dyskusyi celnej w Niemczech, trudno się spodziewać znaczniejszych zmian na lepsze, zwłaszcza w pozycyach rozstrzygającej wagi dla Austryi. Opinia publiczna zwraca się głównie przeciwko podwyższeniu ceł na pszenicę i żyto, obawia się bowiem podrożenia chleba, a nadto zarówno ze względów gospodarczych, jak politycznych nie chce narażać na szwank dobrych stosunków z Rosyą, gdzie

wnym dostawcą żyta i Stanami Zjednoczonymi, które Niemcom sprzedają setki tysięcy ton pszenicy.

Niezmiernie charakterystycznym jest pomysł Conrada[1], który proponuje ustanowić cło dla jęczmienia browarnianego, dostarczanego przez Austryę, wyższe od obecnie obowiązującego, natomiast nie chce podwyższać cła na jęczmień pastewny, sprowadzany z Rosyi. Gdyby to rozróżnienie okazało się niemożliwem ze względu na manipulacyę celną, należy cło od jęczmienia każdego gatunku podwyższyć, ale Rosyę wynagrodzić zniżką cła na owies, pożądaną w interesie niemieckiego chowu bydła. Conrad domaga się także podwyższenia ceł na zwierzęta domowe, na masło i ser. Nie brak także w Niemczech głosów domagających się znacznego oclenia wszelkich wytworów mniejszego gospodarstwa *(Kleinbetrieb):* drobiu, jaj, owoców i warzyw, a żądania te, tak właśnie dla Austryi niebezpieczne, nie wywołują tej opozycyi, co postulaty, skierowane do podwyższenia ceł zbożowych.

Projekt pruski zawiera także oclenie otrębów, dotychczas wolnych od cła. Rozstrzygnie to zatem sprzeczność interesów między młynarzem i rolnikiem, uprawiającym zboże z jednej, a hodowcą bydła z drugiej strony, na korzyść pierwszego z nich, co dla austryackiej hodowli bydła jest korzystnem.

Sytuacya ta wyklucza niemal myśl o unii celnej między Niemcami a Austryą. W chwili zawierania traktatów grudniowych myśl unii celnej, zwróconej przeciwko Francyi i Rosyi była rozważaną. Dziś stosunki się zmieniły[2]. Także zatraciło się w sferach interesentów korzystne usposobienie dla unii. Dawniej rolnicy, przerażeni konkurencyą Stanów Zjednoczonych, popierali myśl unii celnej między państwami Europy środkowej. Obecnie tylko pewne grupy przemysłowe, zaniepokojone wzrastającą konkurencyą wytworów przemysłowych pochodzenia amerykańskiego, próbują straszyć Stany Zjednoczone unią celną.

---

[1] *Die Stellung der landwirthschaftlichen Zölle in den 1903 zuschliessenden Handelsverträgen Deutschlands* w *Schr. d. V. f. Socpol.* B. LXXXX, str. 167.

[2] Por. Ernst Francke: *Zollpolitische Einigungsbestrebungen in Mitteleuropa während des letzten Jahrzehnts.* w *Schr. d. V. f. Socpol.* B. LXXX, str. 249.

Unia celna w tej lub owej formie bez Francyi jest niemożliwą wobec brzmienia art. 11 traktatu frankfurckiego. Wiedzą o tem dobrze Stany Zjednoczone. Nie wahały się zatem zapewnić Francyi specyalnych ustępstw[1] (np. dla jej cukru), chcąc przez to z góry rozbić ewentualną solidarność państw Europy środkowej.

Niemiecki świat naukowy nie dał jednak za wygraną. Jak przed traktatami grudniowymi, tak i dziś Schmoller (w przytoczonej przed chwilą rozprawie), Francke, Brentano, Sering, Juliusz Wolf i inni kruszą kopie w obronie unii celnej[2]. Stany Zjednoczone zajęły Kubę, żeby w dostawie cukru uczynić się niezależnymi od Europy, dążą do ścisłego związku celnego z Ameryką Południową; Rosya okazuje wyraźnie tendencye do ekonomicznego odosobnienia się; państwo angielskie jest widownią prób utworzenia jednolitego terytoryum cłowego, obejmującego kraj macierzysty i kolonie zamorskie[3]. Wobec tego państwa Europy środkowej, jeśli nie chcą zejść do roli drugorzędnej, powinny starać się o utworzenie unii celnej, na zewnątrz zamkniętej, z pozostawieniem jednak wewnętrznych linii celnych.

Różnie zapatrywać się można na to rozumowanie. Rosya, dążąca obecnie do zniesienia odrębności cłowej Finlandyi, wywozi i jeszcze przez szereg lat odczuwać będzie potrzebę wywozu wielu płodów rolniczych. Jej odosobnienie nie jest tak łatwem do przeprowadzenia, aczkolwiek tendencya zupełnego zamknięcia się wobec dowozu zagranicznych fabrykatów przemysłowych jest widoczną. Związek Anglii z jej koloniami opiera się oczywiście na idei, że kolonie zamorskie otrzymają monopol zaopatrywania w płody rolnicze kraju macierzystego, a w zamian za to zrzekają się rozwoju przemysłu swego na rzecz

---

[1] Por. Gustaw Schmoller: *Die Wandlungen in der europäischen Handelspolitik des 19 Jahrhunderts* w *Schmollers Jahrbuch* z r. 1900, str. 381.

[2] Z polskich pisarzy oświadczył się swego czasu za unią celną Józef Milewski: „Cła opiekuńcze". *Przegląd Polski* tom LXXXVII, Kraków 1888, str. 335.

[3] Dość przypomnieć preferencyalną taryfę kanadyjską, na podstawie której towary sprowadzane z Anglii opłacają cło o jedną trzecią niższe, aniżeli z innych krajów. (Por. Karl Rathgen: *Die englische Handelspolitik am Ende des XIX Jahrhunderts* w *Schr. d. V. f. Socpol.* B. LXXXXI, str. 156 i n.

Anglii. Zachodzi kwestya, czy zgodzą się na tę ofiarę i czy Anglia zechce zaryzykować utratę znacznego eksportu swych fabrykatów do krajów nie stanowiących jej kolonii. Z tych właśnie przyczyn parlament angielski w czerwcu b. r. odrzucił 366 głosami przeciwko 16 wniosek oclenia cukru importowanego z kolonii cłem o $33^1/_3\%$ niższem od cła opłacanego od cukru przywożonego z innych krajów.

Niebezpieczeństwo nie jest zatem bezpośrednio aktualne. Z drugiej jednak strony widocznym jest wzrost jednostek gospodarczych. Była nią najpierw organizacya rodowa, później prowincyonalna (miasto i okoliczne wsie — *die Stadtwirthschaft*), wreszcie państwo, ograniczone do jednej części świata *(Volkswirthschaft)*. Czy nie przyjdzie kolej na organizacye większe, obejmujące całe części świata lub rozrzucone w kilku? Tego rodzaju środowiskami byłyby właśnie Rosya, Ameryka i Anglia z koloniami. Na to pytanie trudno odpowiedzieć, w każdym razie unia celna państw Europy środkowej nie jest utopią *pur et simple*. To, co niegdyś Napoleon próbował urzeczywistnić potęgą swego oręża, zamykając przymusowo porty europejskiego kontynentu przed przywozem angielskich towarów i tworząc w ten sposób rodzaj europejskiej unii celnej, zwróconej przeciwko Anglii, to kiedyś może być przeprowadzonem w drodze pokojowych układów. Nawet praktyka polityki handlowej powinna się liczyć z możliwością unii celnej, jeśli nie na dziś, to w każdym razie w przyszłości.

W Austryi pewna grupa interesantów uważa jednak unię celną z Niemcami za rzecz praktycznej doniosłości. Nie są nimi przemysłowcy, aczkolwiek niektóre gałęzie przemysłowej wytwórczości widziałyby w tym zwrocie polityki handlowej objaw dla siebie korzystny, np. fabrykanci wyrobów lnianych [1], którzy jeszcze ciągle, aczkolwiek nie w tym stopniu co dawniej eksportują znaczne ilości wyrobów swoich za granicę. Towarzystwo

---

[1] Dr. Ernst von Stein: *Zur Frage einer Zollunion mit Deutschland vom Standpuncte der österreichischen Textilindustrien* w *Schr. d. V. f. Socpol.* B. XCIII, str. 197.

austryackich ekonomistów przeprowadziło ankietę dla zbadania, jakie stanowisko zajmują oddzielne gałęzie przemysłu wobec unii celnej [1], której wyniki były, na ogół biorąc, dla unii niepomyślne. Głównymi popleczńikami unii są oczywiście sfery agrarne z powodu znacznego wywozu płodów rolniczych do Niemiec. Związek austryackich towarzystw rolniczych chce w ten sposób uwzględnić interesa eksportowe austryackiego rolnictwa, które w granicach daleko idącej polityki protekcyjnej, tej przewodniej myśli jego działalności, nie znajdują właściwego sobie miejsca. Powtarza się zatem antagonizm, któremu niegdyś dali wyraz w swych dziełach obrońca unii i węgierskich interesów agrarnych Matlekovits z jednej, a jej przeciwnik, zwolennik protekcyjnej polityki austryackiej, Bazant, z drugiej strony. Ta droga zapewnienia wywozu płodów rolniczych do Niemiec jest na razie przynajmniej prawdopodobnie zamkniętą, a jej otwarcie nie leży w mocy Austryi, choćby nawet na ten radykalny krok zdobyć się chciała. Utworzenie unii celnej napotyka na znaczne trudności praktyczne ze względu na kwestyę różnorodności podatków pośrednich w państwach mających wchodzić w skład unii, oraz ze względu na kwestyę rozdziału i ewentualnego zmniejszenia się dochodów celnych.

(Dok. nast.).

Adam Krzyżanowski.

---

[1] *Ein Zoll- und Handelsbündniss mit Deutschland.* Wien 1900.

PIÓREM I OŁÓWKIEM.

2. Z Grecyi i Wschodu.

(Dokończenie).

IX.

Jak się podróżuje po Jońskiem morzu i Archipelagu? Lloyd i Rubattino. Grecki monopol. Towarzysze podróży. Salonika. Urzędnicy paszportowi i komora. Rewizya książek i turecka cenzura. OO. Lazaryści i katolicka misya. Zakłady Sióstr. Szpital i szkoły. Domki robotnicze i ochrony. Kolegium Braci szkolnych. Błędy w katolickich szkołach na Wschodzie. Zakład w Zeitenłyku i bezpieczeństwo publiczne w Turcyi. Zamachy na misyonarzy. Stosunki kościelne u Bułgarów. Mozajka uliczna w Salonice. Żołnierze tureccy. Bazar i kupcy. Ruiny starożytnej Tessaloniki. Meczety przerobione z kościołów. Walka narodowości w Macedonii. Turecka i europejska dzielnica. Konsul austryacki. Kolej do Belgradu. Awantura w Niszu. Belgrad. Katedra, park i cytadela. Konak królewski. Położenie katolików w Serbii. Rola austryackiego poselstwa. Opuszczenie i niedola katolików. Kto temu winien? Austryackie pretensye. Czem jest patronat francuski na Wschodzie a czem patronat austryacki w Serbii. Wygląd miasta. Wojsko serbskie. Willa i park w Topczydar. Wycieczka do Semlinu. Powrót do kraju.

W śliczne, jasne i gorące południe wypływam z Peireus do Saloniki włoskim parowcem Ettore z towarzystwa Rubattino. Gdybym miał robić zestawienie statków różnych narodowości i kompanii, na czele bezwarunkowo postawiłbym statki angielskie i rosyjskie, urządzone nietylko z komfortem ale wprost z przepychem. *Messageries maritimes* nierówną mają wartość: czasem wykwintne, niżej nieraz stoją od okrętów austryackich

i włoskich. Północno-niemieckiemu Lloydowi zatem należy się pierwsze miejsce po parowcach rosyjskich i angielskich, potem zaś dopiero idzie Lloyd austryacki opanowany przez Włochów, napchany podróżnymi, niewytworny ale czysty i porządny. Z Rubattinem włoskim o wiele już gorzej. Ładu wogóle mało, miejsca jeszcze mniej. Kuchnia choć obfita ale niezbyt smaczna a proszek perski nieraz w kajucie się przyda. Nic to wszystko jednak w porównaniu z okrętami greckimi. Nory to są ciemne, stęchłe, cuchnące, rojące się od robactwa najgorszego gatunku. I dla tych, nie okrętów ale pontonów karnych Grecya ma czoło utrzymywać monopol, odmawiając obcym dobrze urządzonym statkom prawa kabotażu, ba że na parowcu Llyodu i Rubattina, kursującymi dokoła brzegów greckich, można mieć bilet z zagranicznego lub do zagranicznego portu, ale nie z jednego do drugiego portu wewnątrz kraju.

Nasz Ettore jest znacznie mniej wygodny od obu statków Lloyda, na których przepływałem morze Jońskie i Adryatyk, ale ostatecznie jedzie się znośnie. Podróżnych w pierwszej klasie moc. Jakaś olbrzymia rosyjska rodzina, której członków nie mogę się dorachować, bo wciąż nowi wyrastają jak z pod ziemi, jedzie aż z Genui morzem z poduszkami, tobołami, zapasami żywności i typową małoruską nianią. Parę greckich rodzin, zamieszkałych w Macedonii, wraca z wycieczki do rodzinnej Grecyi. Trzecia para: Grek stary i osiadły od wielu lat w Marsylii jedzie z żoną, Francuzką, odwiedzić córkę wydaną za mąż w Salonice. Choć matka katoliczka, córka jest wyznania greckiego i nosi imię Wasilissy, a jejmość, francuskim obyczajem jest gatunkiem służącej u męża i pana.

Czas cudny — słońce kapie złotem w dzień a wieczorem purpurą. Zewsząd pojawiają się bliższe i dalsze szczyty wysp Archipelagu na krańcach widnokręgu, nie dając ani na chwilę krajobrazowi przybrać wspaniałej ale melancholijnej jednostajności pełnego morza. Czas schodzi prędko na gawędce nader interesującej z Grekami, którzy oryginalne rzeczy opowiadają o stosunkach agrarnych i politycznych pod rządem tureckim.

Noce śliczne. Cisza zawisa nad morzem i statkiem, jak

wielki czarny ptak z sennie opadłemi skrzydłami. Długie, srebrzyste, iskrzące się w księżycu bruzdy migają po szarej powierzchni wody znacząc ją świetlistemi szlakami. Fala szepce półgłosem pieśń wieczorną, uderzając mlecznemi grzywami o czarne boki parowca a księżyc wygląda z poza chmur jakby zdziwiony tajemniczym widokiem.

Dwa dni minęły jak chwila. Otóż i Salonika. Zbliża się coraz bardziej płaski brzeg zastawiony niepozornemi domostwami a z tyłu błękitnieje łańcuch gór. Morze okrywa się setkami kaików i łódek — przekupnie i przewoźnicy wrzeszczą, znajomi wyciągają do statku ręce i powiewają, krzycząc, chustkami, ale trzeba czekać kilka godzin, bo turecka *salute,* wizytacya lekarska, spóźniła się i okręt nie może wejść do portu. Mamy tedy przedsmak tureckich porządków, znanych mi już z dwukrotnej podróży po Wschodzie w r. 1880 i 1882. Rodzice salonickiej Wasilissy wyciągają szyje przez parapet, chcąc zobaczyć córkę w najbliższej łodzi. Inni turyści klną, narzekają lub śmieją się. I tak mijają trzy godziny. Wreszcie lekarz przyjechał. Dają znak i chmura przewoźników rzuca się na statek, jak stado małp, wdrapują się po linach i gzymsach na pokład, opanowują go wrzeszcząc, krzycząc, ryczące wszystkimi językami świata, chwytając pakunki, szarpiąc podróżnych. Mnie obejmuje w posiadanie przewoźnik XX. Lazarystów, z których jeden przybył poczciwie już na drugi statek, aby mnie zabrać do misyi katolickiej.

Kto widział jedno tureckie miasto, ma wyobrażenie o wszystkich. Trochę mniej Greków w jednem, w drugiem trochę więcej Żydów i Ormian, tu więcej psów tam więcej gołębi na ulicach, tu odrobina zachodnich wpływów się przedarła, tam niema dla niej żadnej szczeliny — w gruncie wszędzie to samo, wszędzie Stambuł *en miniature.* I Salonika nosi ten sam charakter. Nad morzem coś w rodzaju bulwaru ale takiego, na jakiby się zdobyła żydowska rada gminna trzeciorzędnego miasteczka we wschodniej Galicyi. Handlowe dzielnice opanowane przez Żydów, którzy stanowią dwie trzecie ludności, brudne, hałaśliwe, cuchnące, pełne natrętnych i za poły ciągnących przekupniów — *tout comme chez nous* — zupełnie Kazimierz lub Zarwanica. Miasto tureckie

bez porównania czystsze, spokojniejsze, wesołe i miłe, z świeżemi, na biało, różowo, błękitno pomalowanemi domkami o kapryśnych balkonach i oknach zasłoniętych drewnianemi żaluzyami, o dziwacznych narożnych erkierach i pierwszem piętrze wystającem daleko naprzód. Ulice kręcą się tu w niemożliwe zygzaki, tworząc labirynt, w którym niepodobna się odszukać. Pomiędzy grupami domów i wysokimi murami otaczających je ogrodów przezierają białe, smukłe ale wogóle dość tu niewysokie minarety a w dziedzińcach meczetów szumią wśród starych platanów fontanny.

Ale nim to wszystko będziemy mogli oglądać i cieszyć się barwną oryginalnością Wschodu, trzeba miły ten Wschód poznać z innej, wcale niemiłej strony.

W budce, do której przybijamy, jakichś paru obszarpańców, w łachmanach ze złotymi guzikami, wyciąga do mnie ręce, wołając coś po turecku. Nie rozumiem czegoby chcieli, ale mój towarzysz tłumaczy mi, że to są urzędnicy paszportowi. U nas wzięłoby się ich za nocnych gości noclegowego przytułku dla włóczęgów. Ale ci są jeszcze mniej szkodliwi: gorsi od nich urzędnicy od cła. Tu już niema mowy o mundurowych guzikach— są tylko łachmany. Każdy z dziesięciu oberwańców, rewidujących kufry w głębi jakiejś ohydnej, ciemnej stodoły, zalanej wodą tak, że się w niej chodzi po kładkach, dostał bakczysz — ale pomimo tego kufry wyrzucają na błoto dnem do góry i z zaciekłością wprost drapieżną rzucają się na... książki. Chwytają je w brudne łapska, wyciągają najmniejszą broszurkę, rzucają wszystko do kupy na ziemię. Zastępuję drogę, chcę wyrwać im z rąk przynajmniej rękopisy i ochronić książki od zniszczenia: nie dają przystąpić, każąc czekać na przyjście cenzora. Skarżą się na rewizyę książek w Rosyi — jest ona niczem w porównaniu z turecką. W Rosyi szukają książek zakazanych i umieją je odróżnić: w Turcyi nie umiejący czytać gburowie rzucają się jak kruki na każde drukowane słowo dlatego tylko, że drukowane,— jak Kalif Omar, który spalił bibliotekę — ot tak *aus Liebe zur Barbarei*, z zamiłowania ciemnoty i dokuczania. Idyotyzm — to cecha tureckich urządzeń i tureckich stosunków. W Rosyi

rewizya bodaj najściślejsza jest uzasadniona, skoro w książkach i gazetach zagranicznych mogą się mieścić rzeczy przeciwne państwu rosyjskiemu — ale któż zadaje sobie pracę pisać przeciw Turcyi? Kto nie wie o tym steku zgnilizny, która się nazywa państwem ottomańskiem i komuby się chciało walczyć z wiatrakami i wybijać głową drzwi na oścież otwarte; zresztą gdyby podróżny coś przewoził przeciwnego Mahometowi czy padyszachowi, to i tak cenzorowie ottomańscy nie mogliby tego skontrolować, bo czytać przecie nie umieją. Ale Turkom chodzi widocznie o pokazanie Europejczykowi, odważającemu się do nich zawitać, że mają i oni jakąś władzę, i że wolnoć Tomku w swoim domku. Nie mogą Europejczyka uwięzić, bo podlega konsulom własnym, nie mogą mu dać w pięty, więc przynajmniej szykanują go, wyrzucają mu i niszczą rzeczy i cieszą się po cichu, patrząc na jego bezsilną wściekłość.

Nareszcie po godzinie oczekiwania nadchodzi jakiś Grek, dragoman czy cenzor, który zaczyna z poważną miną sortować i przeglądać książki, nie rozumiejąc ich oczywiście, bo mówi tylko łamaną francuszczyzną, po włosku prawie nic, a o innych zachodnich językach ani gadania. Moje książki i papiery są polskie i niemieckie, trochę włoskich rzeczy, prawie nic francuskiego. Wszystko dzieli mądry cenzor na dwie paczki: do jednej idzie część książek bez najmniejszego powodu na chybił trafił wybranych, do drugiej reszta książek, wszystkie gazety i rękopisy. Tę drugą paczkę, o zgrozo, pan cenzor każe zabierać do urzędu — na wieczne nieoddanie. A ja parę dni tylko chcę bawić w granicach sułtańskiej władzy. Zaczynam łajać wszystkich i wszystko: cło, dragomana, Turków, poturczonych Greków, baszów, wezyrów i samego padyszacha. Grek słucha spokojnie, choć rozumie moje inwektywy, bo mówię po francusku. Turcy słuchają równie spokojnie, jak przedtem nie rozumiejąc. Wkońcu Lazarysta poczciwy ciągnie mnie za rękaw i mówi z uśmiechem, żebym piersi nie psuł, bo to na nic, a książek nie zabiorą, bo od czegóż bakczysz? Ach prawda, bakczysz, ten cudowny Sezam, który w Turcyi wszystkie drzwi otwiera! Tym razem, z powodu znacznej ilości książek i papierów, trzeba dać parę piastrów

więcej, ale wziąwszy parę srebrniaków dragoman uśmiecha się i ręką daje znak, aby wszystko włożono napowrót. Gdybym wiózł proklamacyę młodych Turków, wzywającą do detronizacyi sułtana, zrobiłby to samo. Ale w takim razie po co rzeczy wyrzucać i rujnować kufry, kunsztownie zapakowane w Atenach, w nadziei, że ich nikt przed Lwowem nie ruszy? Widocznie jest to komedya gorliwości urzędniczej dla oka ludzkiego.

Wydostajemy się wreszcie z tego piekła. W czyściutkim bardzo, ubogim ale niezmiernie sympatycznym, domu misyjnym czeka mnie najmilsze przyjęcie. XX. Lazaryści przyjmują mnie jak brata — i czuję się naprawdę u swoich. Cudna solidarność, jaką zespala wiara i miłość bliźniego: ile razy czułem jej błogi wpływ w krajach obcych, daleko od ojczyzny; a gdyby mi przyszło znaleźć się we wnętrzu Afryki, na wyspach Oceanu Spokojnego lub nad wodami rzek Niebieskiego Cesarstwa — wiem o tem, że u katolickiego misyonarza znalazłbym wszędzie podobne przyjęcie.

Lazaryści mają w Salonice misyę od sześćdziesięciu lat a z bardzo skromnych początków gorliwości ich i roztropne energii udało się stworzyć gminę katolicką świetnie zorganizowaną i kwitnącą. Katolików jest tu 4000, podobno bardzo gorliwych, a misyonarze zaszczepili na tym bądź co bądź trudnym gruncie wszystkie niemal gałęzie katolickiego życia kościelnego i społecznego, jakiemi się szczycą wzorowe parafie krajów zachodnich. Są więc Towarzystwa św. Wincentego pań i panów, Kongregacya dzieci Maryi, coś w rodzaju stowarzyszenia czeladzi katolickiej, szkoły wszelkiego rodzaju i t. d. Naokoło nowego, obszernego kościoła, jedynego w całej Turcyi (prócz Konstantynopola) z wysoką wieżą i bardzo ładną grą srebrzystych dzwonów (wieże i dzwony urządzono ukradkiem pod pretekstem umieszczenia jedynego w mieście zegara i opłaciwszy baszę) wznosi się cała dzielnica należąca do parafii i przynosząca z wynajmu domów i sklepów znaczne dochody, a środek jej zajmuje wielki kompleks budynków stanowiących probostwo: mianowicie klasztor Ojców, dalej zaś kilka olbrzymich gmachów,

w których się mieszczą szpital, szkoły i różne zakłady SS. Miłosierdzia.

Czego tam niema! Szpital i dom zdrowia urządzony z takim komfortem, że we Lwowie np. nigdzie czego podobnego nie znaleźć. Teraz tam mało osób — kilku urzędników kolejowych, kilku Turków na ogólnych salach — ale w innych czasach wszystkie miejsca zajęte i odmawiać trzeba zgłaszającym się. Jest to szpital t. zw. francuski, ale otwarty dla wszystkich narodowości i wyznań i cieszący się u wszystkich zasłużoną sławą. Włosi mają swój własny szpital pod zarządem Sióstr ale w dalszej dzielnicy; Grecy i Turcy również, ale szpitale ich nie używają dobrej reputacyi. Nie wiadomo dlaczego rząd austryacki, zamiast w jednym ze szpitali katolickich, urządził łóżka dla swych poddanych w szpitalu greckim. Żydzi mają również szpital podobno wykwintnie urządzony i robią wciąż starania, aby do obsługi swych chorych pozyskać Siostry, które jednak z łatwo zrozumiałych powodów nie chciały dotąd podjąć się tego zadania. Co za ironia: katolicy wypędzają je ze wszystkich szpitalów we Francyi a nie chcą ich nieraz dopuścić do obsługi szpitalnej w Austryi (żeby tylko przypomnieć o szpitalach wojskowych), gdy Żydzi gwałtem chcą je mieć w swoich zakładach.

Szkoły różnych stopni liczą bez mała tysiąc dzieci. Jest więc szkoła parafialna dla dziatwy katolickiej, szkoła płatna uczęszczana przeważnie przez dziewczęta wyznania greckiego i Żydówki, pensyonat, szkoła szycia i kroju, szkoła dopełniająca dla dorosłych panien, rodzaj *hospitium* dla przejeżdżających kobiet i schronisko dla nauczycielek, sale zajęć i posiedzeń dla żeńskich stowarzyszeń, zbierających się u Sióstr, apteka i *dispensorium* dla przychodzących chorych i t. d. W tym ostatnim oddziale spotykam ciekawe typy albańskie i tureckie oraz kilka Żydówek w oryginalnych, barwnych i malowniczych strojach. Robię też tu znajomość z Siostrą rodem z Albanii, wsławioną w całej Salonice z umiejętności wyrywania zębów. Oczywiście nie próbuję sprawdzać, czy reputacya jest zasłużona.

W mieście i poza miastem cały szereg zakładów świadczy o tem, jak wydatną i wielostronną była działalność misyonarzy

i Sióstr. Niektórych szkół i zakładów nie mam czasu zwiedzić. Zatrzymuję się jednak parę godzin we wspaniałem kolegium Braci szkolnych, mających tu szkołę parafialną dla chłopców i gimnazyum bardzo wysoko stojące pod względem naukowym. Defiluje przede mną trzystu chłopaków wychodzących z klas, a różnorodność typów i wyrazów twarzy, od germańskiego blondyna o tępych rysach i niebieskich oczach do Ormianina z dziobatym nosem i Turka o głębokiem spojrzeniu aksamitnych oczu, palących jak węgiel, robi wrażenie niezmiernie oryginalne. Wytrawni pedagogowie, Bracia szkolni, cieszą się tu ogólnem uznaniem i poparciem a miło mi dowiedzieć się, że w gronie ich najbliższych przyjaciół znajduje się lekarz Polak, wzorowy katolik, co u naszych rodaków za granicą jest niestety niezmiernie rzadkie.

Na jednem z przedmieść pokazuje mi poczciwy misyonarz, Styryjczyk, którego mi dano za cicerona, kaplicę zbudowaną dla tego przedmieścia w ostatnich czasach i bardzo ładny kompleks domków dla ubogich i niezdolnych do pracy rodzin. I znowu jeden z problematów współczesnego społecznego miłosierdzia, rozwiązany praktycznie przez małą katolicką gminę z 4000 wiernych, podczas gdy u nas wielkie miasta, Kraków i Lwów, radzą o nich dopiero teoretycznie. Domków jest dwanaście — w każdym mieści się jedna rodzina, a w niektórych obok niej jeszcze jakaś pojedyncza osoba w osobnym pokoiku. Zwiedziliśmy parę domków; wcale porządnie urządzone mieszkania: sionka, duży pokój i kuchenka; warsztaty ręczne dają staruszkom zajęcie i trochę zarobku, a przed domkami i w obszernym dziedzińcu małe ogródki uprawiane przez lokatorów, dają im kwiaty i trochę owoców. Istny to raj dla staruszków. Z czasem jest zamiar urządzenia dalszych domków rzemieślniczych dla młodszych rodzin.

W kaplicy poczciwy mój przewodnik zbiera w niedzielę Niemców i Włochów na nabożeństwo. Obok jest froeblowska szkółka niemiecka, prowadzona przez jakąś panią, na której miejsce chciałby tu z czasem zacny księżyna sprowadzić Siostry.

W Zeitenłyk o parę kilometrów od miasta jest dom podrzutków i ochrona dla sierót, oba zakłady pod kierunkiem Sióstr,

a tuż w pobliżu obszerna posiadłość misyjna, w której mieści się gimnazyum i seminaryum bułgarskie pod kierunkiem Lazarystów. Zakład ogromny i wspaniały, z wielkimi ogrodami, winnicami, z łacińską i bułgarską kaplicą, miał w tych dniach obchodzić niezwykłą uroczystość — wyświęcenia pierwszych swych alumnów na księży. Kaplicę znalazłem bogato przystrojoną, dyakonowie odbywali rekolekcye a biskupa oczekiwano nazajutrz z Kuhusz. Kilku Lazarystów przyjęło obrządek wschodnio-bułgarski, nosi szerokie *risy* i plecione warkocze, mieszka też w zakładzie jeden rodowity pop bułgarski.

Chłopców jest 50 — od malców do kleryków —, robią wrażenie przyjemne; ubrani są schludnie w ciemną odzież i w fezy. Biorą ich ze wsi bosych, w samych tylko płótniankach a podczas wakacyi każdy z konwiktorów ani razu w domu rodzicielskim nie wkłada obuwia lub innego ubrania prócz płóciennej koszuli i takichże spodni, tak długo, póki nie zacznie studyów teologicznych i nie przywdzieje sutanny. Dzicz to straszna, i Ojcowie nie oddają się zbytnim złudzeniom, co do powodzenia swej misyi. Rzecz dziwna: kogokolwiek spotykałem z ludzi bliżej obeznanych ze Wschodem, wszyscy nader sceptycznie wyrażają się o rezultatach i nadziejach propagandy w celu połączenia obrządków. Specyalnie zaś co do misyi bułgarskiej uderza mnie podobieństwo zdań i zapatrywań u misyonarzy różnych narodowości i zgromadzeń, pracujących w różnych prowincyach.

Bezpieczeństwo publiczne zostawia tu wogóle dużo do życzenia. Przed samym moim przyjazdem zbóje napadli w nocy na posiadłość kolegium w Zejtenłyku a, gdy ich odparto, bronili się rewolwerami i odeszli w porządku wśród ciągłej strzelaniny. Kolegium leży o kilkaset kroków od koszar. Zamiast jednak pomocy oczekiwać od żołnierzy, uważają tych ostatnich za sprawców podobnych napadów powtarzających się często. Wogóle trzeba tu żyć zbrojno i czujnie, bo w każdej chwili można się znaleźć w niebezpieczeństwie życia. Kilkanaście lat temu, wskutek zaopiekowania się amerykańskiego czy też angielskiego konsulatu chrześcijańską dziewczyną, gwałtem porwaną rodzicom do haremu,

motłoch uliczny zamordował obu, francuskiego i niemieckiego, konsulów, mimo że się schronili pod opiekę władzy do paszałyku. Rząd turecki dał zadośćuczynienie mocarstwom ścinając jako morderców paru więźniów, którzy, wedle powszechnego mniemania, nie mieli zupełnie nic wspólnego z morderstwem konsulów, podczas katastrofy tej bowiem już siedzieli w kozie.

W każdem wschodniem mieście najciekawszą jego częścią jest bazar. W Salonice niema on ani rozmiarów, ani żywości kolorytu i bogactwa towarów, jakie się spotyka w Stambule, ale przecież ciekawy jest bardzo. Byle się nie dostać w ręce Żydów, bo ci, cudzoziemca zwłaszcza, jak schwycą w swe obroty, to wprost trzymają w niewoli. Nie wyjdzie od nich nikt z całemi połami okrycia i pieniędzmi w kieszeni. W sklepach tureckich zato można robić uczciwe interesa, a rzeczy bardzo ładnych, oryginalnych a nieraz i rzadkich, jest dużo. Sam kupowałem trochę drobiazgów bardzo tanio: tak jak przed laty przywiozłem z Konstantynopola dużo ślicznych, niezmiernie trwałych i za bajecznie nizką cenę nabytych rzeczy. Niestety, wracając z trzymiesięcznej podróży trzeba bardzo trzymać się za kieszeń, a przytem i węgierska komora odstrasza od sprawunku: ale jakież cudne widzę tu makaty złotem szyte, jaki przepych inkrustowanych mebli i broni! Godzinami siedzi się w jednym sklepie i wyjść nie sposób. A co sklep to nowe piękności i nowa, coraz silniejsza pokusa, z którą walczyć trzeba bardzo wytrwale, jeśli nie chce się wracać do domu o żebranym chlebie.

Mozajka typów i narodowości, pstrokacizna strojów i malowniczość tego wszystkiego, co się w ludowych zwłaszcza dzielnicach, widzi jest wprost nadzwyczajną gdy się przyjedzie czy to z cywilizowanych i wykwintnych Aten, czy z wcale niewykwintnego ani cywilizowanego ale na wiedeńsko-peszteński sposób banalnego Belgradu. Górale eomanccy z piękną bronią u pasa sprzedają hałwę i patrzą przytem na kupujących, jak Cezar mierzący z pogardą dumnem okiem motłoch w cyrku. Żaden nie oszuka cię o jedną *para* przy obrachunku, ani o miligram przy wadze, ale strzelić z pistoletu lub przeszyć pierś nożem uważa za drobiazg, i gotów cię zabić dla żartu. Turek w białym

lub różowym chałacie siedzi przy swym sklepie w bazarze i zaprasza cię do wnętrza grzecznie ale bez natarczywości. Ten będzie się z tobą targował godzinami, użyje wszelkich wybiegów, aby towar zachwalić i odda go w końcu za czwartą część zacenionej sumy. Ale i on także nie okpi i nie nadużyje niedoświadczenia cudzoziemca, na to bowiem za mało jest cywilizowany. Mniej już skrupulatni są Ormianie, zajmujący się wymianą pieniędzy, mogliby jednak uczyć się szachrajstwa i przebiegłości od Greków. Tych wszędzie pełno. Ubrani przeważnie po europejsku, nie zawsze nawet noszą fezy. Każdy z nich kręci się jak mucha w ukropie za interesami i węszy zarobek bez pracy. Każdy śmieje się, łasi, przymila a w końcu oszachruje i jeszcze wydrwi. Żydzi natarczywsi bardziej, niż u nas, a jest ich dużo, tworzą bowiem trzy ćwierci ludności miasta. Większa część ich biedna i w łachmanach, jak w Polsce. Ale łachmany te różnobarwne i bardzo nieraz jaskrawe przyczyniają się do nadania silniejszego kolorytu ulicy. Niektórzy bogatsi spacerują poważnie w szafirowych chałatach i bogatych jedwabnych pasach we wzorzyste desenie, w których im doprawdy bardzo ładnie. Kobiety ich obwieszone świecidłami, zwłaszcza w szabas, w młodych latach nieraz prześliczne, później strojem swym przynajmniej tworzą niezmiernie ciekawe studyum dla malarza. Albańczycy lub Grecy w swych śnieżno-białych, rurkowanych spódnicach, odstających jak krynolina i szamerowani złotem, uzbrojeni od stóp do głowy kawasowie konsulatów lub europejskich instytucyi i kupców ożywiają jeszcze bardziej ten ruchliwy i malowniczy obraz. Kobiety tureckie, w ciemnych płaszczach i białych zasłonach, przez które przeglądają wielkie, ciekawe oczy, przesuwają się wśród tłumu jak widma. Niedbale, bez ładu i szyku, nie trzymając kroku, spacerują tu i ówdzie żołnierze. Trudnoby ich poznać, podobniejsi są bowiem do żebraków, mundury ich w strzępkach z wielkiemi otwartemi dziurami na łokciach i kolanach, poplamione, poniszczone, a bose nogi kłapią w szerokich patynkach, lub dziurawych trzewikach. O dyscyplinie w naszem pojęciu niema tam mowy. Żołnierz stojący na warcie zrzuca bez ceremonii obuwie i spaceruje boso z karabinem w ręku, a jednak

żołnierze ci oberwani, brudni, kiwający się, jak Żydzi przy swym pacierzu, to są bohaterowie z pod Larissy, godni następcy bohaterów z Plewny i Bałkanów.

Wśród tego mrowiska Turków, Żydów i Greków przeciska się czasem wieśniak bułgarski przypominający naszego ruskiego chłopa i biały kornet Siostry Miłosierdzia, przed którym z uszanowaniem rozstępuje się ludzka fala. Z rzadka przejeżdża parokonny fiakier lub prywatny ekwipaż bogatego żydowskiego bankiera, ale staroświeckich charakterystycznych drab ciągnionych wołami, już się tu niestety nie spotyka.

Tłum ten mówi wszystkimi możliwymi językami, mieszając je w niemożliwy sposób, jak ongi przy budowie wieży Babel. A jak się mieszają języki, tak też ścierają się i polityczne oraz narodowe prądy. O wpływ i panowanie nad tą ziemią walczą z sobą zaciekle narody i plemiona: Bułgarowie z Grekami, Serbi z Bułgarami, Albańczycy z Serbami. Każda narodowość stara się ubiedz i wyprzeć drugą, budując szkoły i filantropijne instytucye, szerząc agitacyjne pisemka i dzienniczki, choć mało kto umie czytać, a nadewszystko jednając zwolenników pieniędzmi i materyalnem poparciem. Żydzi i Ormianie okpiwają wszystkich i ciągną zyski z kłótni Słowian, Albańczyków i Greków, a Turcy przypatrują się temu chaosowi szklanemi oczyma popijając kawę z fusami, puszczając wonny dym *latakich* z nargilu i przesuwając leniwie w tłustych palcach żółte ziarna bursztynowego różańca.

Z dawnej Tessaloniki zostało stosunkowo niewiele szczątków. Niektóre z nich jednak są imponujące. Przejeżdżając wśród ciasnych uliczek tureckiej dzielnicy, natknąłem się prawie przypadkiem na wcale dobrze zachowany łuk tryumfalny, lub może część wjazdowej bramy, o kilku dobrze zachowanych korynckich kolumnach w dwóch kondygnacyach. Spotykałem też tu i owdzie resztki dawnych murów okalających miasto, jakąś masywną wieżę z greckich zapewne czasów, a bliżej europejskiej dzielnicy pokazują mi miejsce dawnej areny, uwiecznionej krwawą pamięcią strasznej pomsty Wielkiego Teodozyusza, tak jak Medyolan uświęciło wspomnienie jego wielkodusznej pokuty.

Najciekawszymi jednak i najlepiej zachowanymi zabytkami Tessaloniki chrześciańskiej, a nawet i pogańskiej, są dwa meczety. Jeden z nich był wedle podania, o ile sądzić mogę uzasadnionego, pogańską świątynią na wzór Panteonu. Chrześcijanie przerobili chram starożytnego bóstwa na kościół poświęcony św. Jerzemu i okryli ściany mozajkami i malowaniami *al tempera*, przedstawiającemi sceny z życia świętych. Turcy przerabiając kościół na meczet, nie wiem już doprawdy jakim trafem, czy cudem, pozostawili go prawie nietkniętym, nie niszcząc ani bieląc, wbrew obyczajowi i przepisom koranu, pamiątek chrześcijańskiej sztuki i wiary. Więc tylko dobudowany ganeczek i minaret zmieniają zewnętrzną postać budynku, wewnątrz zaś ustawiony od wschodu *mihrab* i kazalnica *iman'a* przypominają obecne jego przeznaczenie. Ale ze ścian przeglądają w sztywnym majestacie i hieratycznej wspaniałości postacie świętych Wschodu, posępne i surowe, jakby karcić chciały niewiernych goszczących od wieków w ich przybytku a z poza załomów sklepienia i z pod grubej warstwy wapna dojrzeć można resztki starych gzymsów i kasetonów pamiętających zapewne dawniejsze jeszcze czasy, posąg boga stojący w środku świątyni i ofiarne przed nim trójnogi.

Drugi meczet był dawniej bazyliką poświęconą św. Demetryuszowi i sięgającą pierwszych wieków po tryumfie chrystyanizmu. Na zewnątrz nic nie pozwala przypuszczać jej rozmiarów i wspaniałości w niewielkiej na pozór ruderze, jednym bokiem tylko wychodzącej na ulicę i ścieśnionej dokoła domami. Wszedłszy do wnętrza jest się poprostu olśnionym wspaniałością pysznej świątyni o pięciu nawach przedzielonych czterema rzędami marmurowych kolumn, o czterech małych i jednej wielkiej absydzie, w której obecnie odprawiają Turcy swe nabożeństwa, zostawiając resztę kościoła nie tkniętą i w ruinie. Kościół przypomniał mi żywo bazylikę św. Apolinara *in classe* w Rawennie, tylko znacznie jest od niej większy i wspanialszy. Oprowadzający nas *iman* bosy, obdarty, w spadających wciąż z nóg pantoflach przesadza się w grzecznościach naprzód dlatego, że dostał kilka piastrów, powtóre, ponieważ uważa nas za swych kolegów, jak mi to

tłumaczy mój towarzysz rozumiejący trochę po turecku. Koleżeństwo co prawda mniej pochlebne, ale jakichże już na Wschodzie nie spotykało się kolegów, zwłaszcza wśród *kaługierów* po greckich monasterach! W bocznej kapliczce, do której się schodzi po stopniach, znajduje się wedle tradycyi grobowiec św. Demetryusza, do którego Grecy pielgrzymują tłumnie, zwłaszcza w dzień jego święta, i opłaciwszy się Turkom odprawiają tu swe modły.

W europejskiej dzielnicy o szerokich ulicach i pałacykach otoczonych ogrodami, odwiedzam austryackiego konsula, w którego przedpokoju tutejszym obyczajem oczekuje na gości kilku kawasów oraz służących w bogatych wschodnich strojach. Na miłej rozmowie przechodzi szybko, zbyt szybko, godzina i druga. Konsul, człowiek bardzo wykształcony, przebył kilkanaście lat w Prisrenie i w Skutari, to znaczy w samem sercu dzikiej, niedostępnej, rozbójniczej ale w najwyższym stopniu malowniczej i ciekawej Albanii. Wie o niej wiele i widać, że te lata spędzone w zupełnem odosobnieniu od cywilizowanego świata i niemal w samotności (w Prisrenie za całe towarzystwo miał rosyjskiego konsula i katolickiego misyonarza) były przezeń zużytkowane dla poważnych, etnograficznych studyów. Mówi mi o ks. Czermińskim, którego książkę o Albanii czytał, i daje mi wskazówki co do przyszłorocznej zamierzonej przeze mnie wycieczki w tamte strony. Wyjeżdżam z Saloniki bardzo rano, dziwiąc się, że na ulicach ruch już znaczny i w kawiarniach siedzą wcześni goście.

Kolej prowadząca do Belgradu przedstawia charakterystyczny okaz tutejszej językowej amalgamy. Napisy na biletach i stacyach są francuskie, urzędnicy przeważnie Niemcy, a językiem bieżącym włoski, później zaś słowiańskie. Wagony bardzo porządne, nieskończenie porządniejsze, niż we Włoszech i Szwajcaryi, a zwłaszcza we Francyi. W Niszu przesiadam się do *expresu* urządzonego z niesłychanym zbytkiem.

Droga przechodzi przez zielone, malowniczo falujące okolice, mało zaludnione, po części okryte moczarami i sitowiem. Grunt wcale prawie nieuprawny, kraj dziki. Bliżej Skopii *(Usküb)*

zaczynają się góry i coraz wspanialsze w swej dzikości skaliste wąwozy, w których gnieżdżą się rozbójnicze bandy. Czasem tor kolejowy przerzyna tureckie miasteczko w fantastycznym nieładzie rozsypane na stokach wzgórza, z białymi i różowymi domkami o dziwacznych galeryjkach i najniemożliwszych kształtach, pouczepianymi nieraz u skały jak ptasie gniazda. W Usküb pełno Niemców pijących piwo w lichej restauracyi kolejowej, ale za miasto wychylić się nie można bez silnej eskorty, bo góry o parę mil, a w góry nawet eskorty nie dadzą, bo tam z całego pułku żołnierzy padyszacha nic sobie nie robią dzicy górale żyjący z rozboju.

Do serbskiej granicy jedzie ze mną naczelnik pierwszej serbskiej stacyi z żoną, uprzejmi i sympatyczni jacyś ludzie, z którymi dużo rozmawiam o stosunkach ich ojczyzny. Pan niezbyt lubi Milana, uważa go jednak za jedynego męża stanu w Serbii, niezbędnego po prostu dla utrzymania jej bytu. Pani — o niezgłębione tajemnice niewieścich upodobań, czy też patryotycznego lojalizmu — uważa króla Aleksandra za najpiękniejszego z Serbów. Niedługo przekonałem się, że z wyjątkiem króla naród serbski przedstawia się jako rasa rosła i ślicznie zbudowana, pełna świeżości, siły i męskiego piękna. Uprzejmość moich towarzyszy podróży ochrania mnie od granicznej rewizyi, bardzo podobno uciążliwej, za tureckie szykany cłowe bowiem odpłacają Serbowie represaliami, na których niestety bardzo źle wychodzą nie winowajcy, bo Turcy mało podróżują, ale cywilizowani podróżni z Zachodu. W Niszu taki na peronie ścisk i zamęt, że fala ludzka odrywa mnie od tragarza z pakunkami i unosi wbrew woli ku dworcowi i miastu. Cały pułk piechoty, przypominający zupełnie rosyjskich żołnierzy, w baranich czapkach i z płóciennymi worami na plecach, pcha się zbitą ławą, śpiewając, klnąc i wrzeszcząc, i ledwie z największym trudem udaje mi się wyrwać z tych żywych kleszczów i dopaść ruszającego już pociągu. Tu w nieskończenie długich, eleganckich wagonach panuje znowu ścisk i chaos nie do opisania. W korytarzach, zwalone bezładnie na kupę, piętrzą się całe góry kufrów i pakunków. Koło nich rozgniatają się i duszą podróżni nie umiejąc

sobie dać rady ani miejsca znaleźć, a bezprzykładnie brutalni i zuchwali konduktorowie, w odpowiedzi na prośby i reklamacye, sypią impertynencyami. W ostatecznej toni i czarnej rozpaczy przychodzi mi na myśl rosyjski słownik dawno już nieużywany i zaczynam, w zamian za ich grzeczności, sypać tym panom gradem komplementów niezupełnie salonowych. Skutek cudowny, a naprawdę całkiem niespodziewany. Konduktor podnosi rękę do czapki i zaczyna z wielką uniżonością tłumaczyć się i przepraszać pół po niemiecku, pół łamanym rosyjskim językiem, łatając to wszystko razem z serbska. W tej chwili dla mnie i dla kilku towarzyszy niedoli znajdują się miejsca, i to wcale dobre, odnajdują się i rozdzielają nasze pakunki i w pociągu zaczyna panować ład i spokój. Tylko serbscy oficerowie kawaleryi w czerwonych spodniach i *botfortach* austryackich huzarów, w rosyjskich okrągłych czapkach, popielatych płaszczach rozbijają się po wagonie, rozmawiając zbyt głośno, brzęcząc ostrogami i pałaszami.

W Belgradzie na dworcu odbierają mi paszport (te paszporty i komory na Bałkańskim półwyspie to prawdziwe nieszczęście). Miasto jeszcze śpi, choć słońce już świeci jasno, ulice puste i ciche, widocznie później tu wstają niż w Salonice. Jadę pod górę, na której szczycie zbudowany jest Belgrad. Hotel mój, podobno najlepszy w mieście, jest rzeczywiście dość porządny, przypomina jednak większe hotele prowincyonalne w Galicyi,—tylko że czystość w nim większa i usługa lepsza. Niema też szczęśliwy Belgrad gniotącej nas żydowskiej plagi faktorów, handełesów i myszuresów. Otwiera mi zaspany portyer, zapowiadając, że za dwie godziny dopiero dostanę śniadanie, korzystam więc tymczasem z doskonałych zapasów podróżnych, danych mi na drogę przez poczciwych i gościnnych misyonarzy, później zaś wybieram się obejrzeć stolicę Serbii.

Stolica składa się naprawdę z jednej bardzo długiej ulicy, przy której tu i owdzie czepia się parę innych, zawsze tak samo ułożonych w szachownicę. Na dole toczy szeroko swe nurty Sawa, zbiegająca się opodal z Dunajem. Tam też jest przystań i dworzec kolei. Na szczycie góry, półkolem wchodzącej w rzekę,

wznosi się dawna turecka cytadela, a przy niej dość obszerny, ale bardzo jeszcze młody, miejski park z pięknym widokiem na obie rzeki, rozlane obecnie powodziami, niby morze bezbrzeżne; tu i owdzie z niego wychylają się zielone kępy, wierzchołki zalanych drzew i dachy domów pogrążonych do połowy w wodzie. Z przeciwnej strony, w głębi krętej uliczki, metropolitalna cerkiew, wyglądająca zupełnie tak, jak kościół w Podgórzu lub w Czerniowcach, tylko z wyzłacaną cebulą na wieży przy wszystkich innych ozdobnych cechach c. k. józefińskiego kościelnego stylu. Cerkiew tę, jak zresztą i cały prawie Belgrad, wybudował Miłosz Obrenowicz, którego tu spotyka się tyle śladów. Pomnik jego wcale piękny wznosi się na placu niedaleko od konaku królewskiego. Ten ostatni leży w centrze miasta, a wygląda jak najzwyklejsza willa czy przedmiejska kamienica, wybudowana dla średnio zamożnego bankiera przez wiedeńskiego architekta. W otoczeniu parterowych domów ten królewski pałac wygląda oczywiście okazalej. Stoją też przy nim szyldwachowie a obok mieści się odwach.

Oprócz konaku i paru większych i okazalszych budynków na drodze do Topczydaru, koszar czy szpitali, Belgrad, o ile go mogłem oglądnąć, a nie jest to trudne przy jego małych rozmiarach, nie posiada żadnych publicznych ani prywatnych gmachów. Same parterowe, rzadziej piętrowe domy dość, jedne od drugich oddalone, otoczone parkanami, ogródkami, dziedzińcami, zupełnie jak w naszych miasteczkach. Środkiem ulic idą alee młodych drzewek a ogólne wrażenie, pełne prostoty i pozbawione wszelkiej pretensyonalności i pozy, jest dość korzystne. W całym Belgradzie — pretensyonalnym jest tylko królewski konak.

Sklepy takie jak u nas na żydowskich zaułkach, kawiarnie, malutkie i ciemne, nie mają nic z wesołych choć brudnych greckich kawiarni, takim tłumem i gwarem zapełniających całe ulice. Na rynku darmo się rozglądałem za barwnemi i typowemi gromadkami wieśniaków, nadającemi tak charakterystyczny wygląd Czerniowcom lub Zagrzebiowi w dnie targowe. Strojów narodowych nie mogłem wogóle dostrzedz — wszystko przybrane po europejsku — tylko starsze kobiety noszą rodzaj krótkich salo-

pek czy jubek, których nigdzie indziej nie zdarzyło mi się spotkać. Zapewne na prowincyi musi być inaczej i ładniej pod tym względem.

Kościoła katolickiego niema, tylko kaplica w dziedzińcu niewielkiego austryackiego poselstwa, bardzo maleńka, bo nie więcej jak na sto osób, a w samym Belgradzie jest podobno do 6000 katolików. W trzech ołtarzach — sami węgierscy święci: Emeryk, Władysław i Stefan. Dlaczego kiedy Węgrów katolików tutaj mało a kraj — słowiański? Bo kaplicę budowano za rządów posła, który był węgierskim żydem mniej lub więcej wychrzczonym ale wielce patryotycznym w kierunku madiarskim. Z katolicyzmem jego było podobno gorzej. Na kościół, mimo że plan był już gotów a fundusze preliminowane, zgodzić się nie chciał pan poseł, oświadczając, że nie chce, by mu kościół zabierał część ogrodu i ściągał na msze cały Belgrad. Cały Belgrad też nie przychodzi do malutkiej kaplicy, ani nawet katolicki Belgrad. Nawet katolicka szkoła, licząca więcej niż 300 dzieci, nie chodzi w niedzielę na mszę, bo i gdzieżby się pomieściła! Podobnych stosunków kościelnych, jak tutaj, niema chyba na całym świecie. Parafii katolickiej niema. Jedyny ksiądz w Belgradzie jest kapelanem austryackiego poselstwa, otrzymuje odeń pensyę i pozostaje w najściślejszej zależności tak dalece, że fantazya posła decyduje o początku nabożeństwa. Więc, mimo panującego w tych stronach zwyczaju, nie wolno w kaplicy odprawiać pogrzebów, bo to pana posła razi; mimo że znaczna większość parafian składa się ze Słowian, nie wolno śpiewać słowiańskiej pieśni kościelnej, bo p. poseł pozwala tylko na niemieckie lub węgierskie. Posłowie obcych mocarstw nie bywają w kaplicy katolickiej i, o ile są praktykującymi katolikami, jeżdżą na mszę do Semlina, ponieważ tylko austryackie poselstwo ma swoją stallę, a innym poselstwom umieszczać osobnych ławek nie dozwolono. Szczęście jeszcze, że od kilku lat przeniesiono gdzieindziej owego żydowsko-węgierskiego dygnitarza, a obecny poseł mniej się do zakrystyi wtrąca.

O tem wszystkiem opowiada mi ksiądz kapelan, młody i sympatyczny Chorwat, ugaszczając mnie skromnym obiadkiem

i odświętną butelką starego wina. Obecnie dla 6—8000 katolików północnej Serbii jedynym duszpasterzem jest kapelan belgradzki, drugi zaś kapłan obsługuje stacyę w Kragujewaczu i Niszu i kilka tysięcy katolików rozprószonych na południu kraju. Ale sytuacya kościelna w Serbii jest najzupełniej nieuregulowaną. Kraj nie ma kościelnego zwierzchnika, ani duchownych trybunałów, i w sprawach małżeńskich i innych biedni księża nie wiedzą po prostu, co robić ani od kogo otrzymać potrzebne jurysdykcye. Biedny księżyna radził się mnie, co robić. Zdawało mi się najwłaściwszem, aby osobiście udał się do Rzymu i przedstawił okropne a wyjątkowe położenie biednego kraju, o którym zdaje się jakby zapomniano. Wprawdzie przysłano tu z propagandy bośniackich Franciszkanów, a jednego z nich jako apostolskiego administratora, ale wybór był nieszczęśliwy, zakonnicy ci bowiem, mimo wielkich swych skądinąd zasług, mniej się do tutejszych stosunków i potrzeb nadawali. Rząd serbski usunął też ich bezzwłocznie.

Uregulowanie położenia kościoła w Serbii nastąpićby mogło tylko w takim razie, gdyby katolicką gminę w Belgradzie założono zupełnie niezależnie od austryackiego poselstwa, jak to zrobił ks. Czok na prowincyi, i gdyby w porozumieniu z rządem ustanowiono zwierzchnika duchownego dla całego kraju. Warunkiem jednak nie tylko powodzenia ale wprost istnienia misyi katolickiej byłoby niewątpliwie oddanie jej jakiejś kongregacyi, oczywiście nie w zakonnych habitach, bo na zakonników nie zgodziłby się rząd serbski, ale w ten sposób, jak zakonni misyonarze czynni są w Szwecyi. Koniecznem przytem byłoby sprowadzenie Sióstr zakonnych dla zaopiekowania się szkołami i utworzenia brakujących ochron i szpitali, a w Trawniku i Sarajewie, niemniej jak w doskonałej kongregacyi chorwackich Sióstr Miłosierdzia z Zagrzebia, znaleźćby łatwo przyszło słowiańskich kapłanów i słowiańskie zakonnice nadające się najzupełniej do podjęcia tego posłannictwa.

Wszystko to jednak jak na teraz piękne tylko marzenia. Rzymowi nie brak z pewnością dobrej woli i nie zabrakło też niewątpliwie z jego strony starań o uregulowanie opłakanych

tych stosunków. Ale starania te rozbijają się i rozbijać będą długo jeszcze o kwestyę zasadniczą, a tą jest utworzenie hierarchii kościelnej niezależnej od obcego rządu. Przeszkodę stanowi podobno nie rząd serbski, który mimo niechęci dla katolików widziałby chętnie samodzielne ukonstytuowanie się ich, niezależne od wpływów austryackiego poselstwa. To ostatnie jednak, a raczej rząd wiedeński, odgrywa w tej sprawie pożałowania godną rolę. Jak Francya dla całego Wschodu, tak Austrya dla Serbii pragnęłaby wziąć katolicyzm we własny monopol i używać go za narzędzie swej polityki. Pretensye podobne są zawsze oczywiście duchowi Kościoła przeciwne i prędzej czy później wychodzą na jego szkodę. Ale protektorat swój nad muzułmańskim Wschodem uzasadniać może słusznie Francya olbrzymiemi usługami, jakie oddała od wieków tamecznemu Kościołowi. Nie mówiąc już o wyprawach krzyżowych i o szerzeniu katolicyzmu przez Franków w czasach ich panowania na Bałkańskim półwyspie, dość przypomnieć, jak potężną opieką, opartą na tradycyjnej przyjaźni z Wysoką Portą, otaczał chrześcijan wschodnich rząd francuski od czasów Franciszka I, zwłaszcza zaś przez całe panowanie Ludwika XIV. Na dalekim Wschodzie, w Chinach i Annamie Francya sprzeniewierzyła się wprawdzie swemu posłannictwu i obowiązkom. Należy jednak pamiętać, że przedtem obowiązki te spełniała sumiennie. Dwie wyprawy wojenne przed 40 laty powróciły spokój i swobodę wyznania chrześcijanom tych krajów, a katolicyzmowi zapewniły nieledwie uprzywilejowane stanowisko kosztem krwi francuskich żołnierzy, podczas gdy równocześnie francuskie wojska wylądowywały w Syryi, aby ochronić chrześcijan przed muzułmańskim fanatyzmem i pomścić ofiary pomordowane przez Druzów i Turków. Dodajmy, że ogromna większość misyonarzy na całym Wchodzie pochodzi z Francyi, że utrzymanie misyi katolickich do niedawna niemal wyłącznie, a i dziś jeszcze przeważnie, jest zasługą Francuzów, że w seminaryum misyi zagranicznych do niedawna wyłącznie prawie obsługującem Chiny wraz z francuskimi Lazarystami i Jezuitami, oraz w tak doniosłem i obfitem w owoce *Oeuvre des Écoles d'Orient*, sami tylko Fran-

cuzi biorą udział. Zrobiwszy tyle, wolno o protektoracie mówić, wolno ostatecznie zachowania jego się domagać, nawet wtedy, gdy chwilowy rząd francuski obowiązków protektoratu nie spełnił.

Austrya protektorat swój nad katolikami serbskimi pojmuje inaczej. Widzieliśmy, ile dla niej zrobiła. Nie zbudowała im szpitala ani ochrony, nie postarała się o szkoły katolickie dla ogółu, bo ta, która istnieje, przeznaczoną jest tylko dla austryackich poddanych, nie zorganizowała parafii i nie postarała się ani o Siostry zakonne ani o regularne duszpasterstwo, ani w Belgradzie ani w innych miastach skupiających większą ilość katolików. Nic, jednem słowem, nic prócz lichej kapliczki. Nie ma też naprawdę Austrya prawa do wdzięczności serbskich katolików i należy tylko sobie życzyć, aby raz nareszcie zostawiła ich w pokoju i zwolniła z niedołężnej a nader dla nich szkodliwej opieki. Rząd serbski okazuje gotowość zezwolić w takim razie na zbudowanie kościoła i potrzebnych dla parafii zakładów, podobnie jak na to pozwolił O. Czokowi i jak je posiadają, mimo niewielkiej swej liczby, w znacznej ilości i doskonałym porządku przy swym zborze belgradzcy protestanci.

Tramwaj, idący przez całe miasto jedyną jego ulicą, ma jedną tylko boczną odnogę prowadzącą do zamiejskiego parku i królewskiej willi Topczydar. Droga prowadzi przez łąki i pola, na których ćwiczą się żołnierze i raz po raz rozlegają się dźwięki trąby. Wojsko serbskie wygląda doskonale, a zwłaszcza po nikłych żołnierzykach greckich i po obszarpanych żołdakach w Turcyi, ogromny marsowaty żołnierz tutejszy, wyprostowany, w czystym i porządnym mundurze, z okrągłą twarzą o zdrowej cerze i poczciwych słowiańskich oczach, robi sympatyczne wrażenie. Krzyżują się wpływy dwóch mocarstw, które walczą o hegemonię nad Serbią, odbijają się na mundurach: piechota nosi rosyjskie, kawalerya austryackie.

Willa książęca wygląda raczej na staroświecki, piętrowy wprawdzie, ale bardzo skromny i mały dwór wiejski, w którym przechowują się liczne pamiątki po kniaziu Miłoszu. Park znowuż odróżnia się od średniego wiejskiego ogrodu chyba tem, że nie ma wcale kwiatów, a natomiast posiada jakiś mały posąg,

nie wiem doprawdy czyj. Na ławeczkach uczniowie gimnazyalni w paru grupkach przerabiają razem historyę i tłumaczą łacinę, zupełnie jak u nas we Lwowie w dalszych aleach stryjskiego parku.

Statkiem, kursującym co godzinę pomiędzy Belgradem a Semlinem, ruszam odwiedzić miasteczko stanowiące dziś jakby arystokratyczne przedmieście Belgradu. Choć niema i trzeciej części mieszkańców serbskiej stolicy, Semlin wygląda daleko okazalej a jedna zwłaszcza ulica, z doskonałym asfaltem, eleganckiemi kamienicami i źwierciadlanemi szybami wielkich sklepów i kawiarni, przypomina Wiedeń.

Nazajutrz, przez puszty węgierskie zalane wodą, unosił mnie chyżo pośpieszny pociąg ku Lwowowi, gdzie, zamiast spokoju i wyzdrowienia po przebytej niedawno chorobie, czekały mnie ciężkie kilkomiesięczne rekolekcye, — owe, cięższe niż przedtem cierpienie. W długich dniach i dłuższych nocach choroby pisane były te kartki.

Jan Łada

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Historya pedagogii dla użytku seminaryów nauczycielskich. Napisał *dr. Franciszek Majchrowicz.* (Drohobycz, 1901. Stron 197).

Z góry oświadczam z przyjemnością, że, według mego zdania, książka ta, napisana treściwie i z wielką znajomością rzeczy, przyniesie dużo pożytku naszemu nauczycielstwu a w szczególności seminaryom, dla których w pierwszym rzędzie jest przeznaczona. Autor jej (obecnie dyrektor gimnazyalny w Drohobyczu) zajmuje się z zamiłowaniem pedagogią i dziejami szkolnictwa i obdarzył nas niejednym już cennym owocem swej pracy.

Tym razem miał przed sobą zadanie trudne: miał bowiem ująć w ciasne ramy podręcznika szkolnego całą historyę pedagogii i opowiedzieć ją w sposób dla młodzieży przystępny. Trzeba więc było rozważać długo i starannie, co wypada wybrać z tego nader obfitego materyału i jakie rozmiary nadać każdej części podręcznika. A wszakże pod tym względem mogą być wielkie różnice zdań między nauczycielami: co jednemu wyda się potrzebnem, będzie drugi uważał za całkiem zbyteczne; katolik wierzący będzie domagał się większego uwzględnienia pedagogii chrześcijańskiej, którą przeciwnie lekceważą sobie zwolennicy kierunków nowszych i najnowszych i t. d. Łatwo też przewidzieć, że książka p. Majchrowicza dozna z różnych stron różnej oceny. W każdym jednak razie trzeba uznać, jak sądzę, objektywność z jaką starał się rzecz przedstawić, unikając wszędzie stronniczej przesady i wszelkiego od prawdy zboczenia. Stara się on ocenić sprawiedliwie pracę każdego pedagoga, bez względu na to, do jakich należą

obozów, w szczególności zaś prostuje on błędne zapatrywania, rozpowszechnione przez liberałów o szkołach katolickich: ze czcią należną pisze o zasługach ŚŚ. Bazylego, Jana Chryzostoma, Augustyna, Hieronima (str. 31—34), Jezuitów, św. Karola Boromeusza, Pijarów (74—83), Braci szkolnych (103—104); z drugiej zaś strony dobrze uwydatnia zalety i wady pedagogów Kościołowi niechętnych.

Uznając jednak to wszystko, muszę dodać życzenie, żeby szan. autor zechciał w nowem wydaniu zmienić kilka wyrażeń, które bądź co bądź stawiają szkoły katolickie w świetle mniej korzystnem, a które są echem zapatrywań, panujących w liberalnym świecie naukowym: pomimo najlepszej niezawodnie woli, nie mógł się autor zupełnie otrząsnąć z pewnych uprzedzeń, które w nim wywołały pisma pedagogów „postępowych". I tak czytamy (na str. 36) o szkołach benedyktyńskich, że tam „kij był główną dydaktyczną mądrością, używano go nawet przeciw dojrzałym młodzieńcom"; a dalej dodaje autor, chcąc niejako usprawiedliwić zakonników: „Nie można jednak z tego powodu czynić zarzutu szkołom benedyktyńskim; nadmierna surowość w postępowaniu z młodzieżą odpowiadała zupełnie ascetycznemu duchowi owych czasów". (!)

Na to muszę najpierw odpowiedzieć, że nie należało tak uogólniać zarzutu (który bądź co bądź jest zarzutem bardzo ciężkim), że za „główną dydaktyczną mądrość" uważano u Benedyktynów: kij. Jest wprawdzie rzeczą możliwą, iż w niejednej szkole klasztornej nadużywano kary cielesnej, że nie dosyć obchodzono się z młodzieżą po ludzku, ale nie posiadamy pod tym względem żadnych dat statystycznych; z drugiej zaś strony niepodobna przypuścić, żeby także zakonnicy, przejęci duchem Chrystusowym (których przecież i w owych czasach nie brakowało), w taki sposób pojmowali obowiązek nauczyciela. A cóż znaczą dalsze słowa autora o „duchu ascetycznym", który ma tłumaczyć ową „nadmierną surowość?" — Czy rzeczywiście wytwarza ją asceza klasztorna? Nie było przecież chyba większego ascety od św. Franciszka z Asyżu, który w następujących siedmiu słowach, wyrzeczonych do braciszka Eliasza, streścił swoje zasady pedagogiczne: *Vigila — admonè — labora — pasce — ama — exspecta — time!* Kto ćwiczy się w cnotach w myśl Kościoła, będzie unikał przedewszystkiem grzechów przeciwnych miłości bliźniego; jeżeli więc zdarzają się wypadki „nadmiernej surowości" u zakonników, tłumaczy się to właśnie brakiem ascezy. Ale już słyszeliśmy i czytali nieraz podobne zdania o szkołach katolickich, że tam nie okazuje się serca młodzieży, że

niema tam dobrych pedagogów i t. d., a tymczasem prawdą jest tylko tyle, że wychowawca chrześcijanin uznaje niekiedy karę dotkliwszą, a mianowicie cielesną, za konieczny środek pedagogiczny, jeżeli nic nie pomagają środki łagodne, przyczem powołuje się on i na powagę Pisma św.; pedagog zaś liberalny prawi z szczególniejszem upodobaniem o „humanitarności", z którą nie da się rzekomo pogodzić kara cielesna, i woli być wobec uczniów miękkim i pobłażliwym, niż leczyć ich dusze zapomocą kar tego rodzaju, a nawet przemawia w teoryi (od której własna jego praktyka odbiega nieraz daleko) za usunięciem wszelkiej wogóle kary.

W innem znów miejscu (str. 48) czytamy o szkołach klasztornych średniowiecznych, że, „zostając pod wpływem lub zarządem Kościoła, uprawiały te tylko gałęzie nauk ze szczególnem upodobaniem, z których można było oczekiwać pośredniego lub bezpośredniego pożytku dla Kościoła; innemi naukami wcale się tam nie zajmowano albo je mniej lub więcej zaniedbywano". Drugi to zarzut, czyniący wrażenie echa uprzedzeń antykatolickich. Nie myślę mu naturalnie odmówić wszelkiej podstawy: nikt bowiem nie zaprzecza, że szkole średniowiecznej brakowało bardzo dużo do doskonałości, że nie uczono tam wielu rzeczy pięknych i pożytecznych, których uczy się dzisiaj, że głównym celem tej szkoły było przygotowanie młodzieży do stanu duchownego, co było powodem zaniedbania umiejętności niekoniecznie potrzebnych kapłanom i t. d. Zarazem jednak trzebaby, mojem zdaniem, dodać, że braki te nie wynikały z wpływu Kościoła, któremu raczej ludzkość zawdzięcza przechowanie cywilizacyi przez całe wieki średnie, który zawsze użyczał wszystkim naukom wedle możności poparcia i opieki swojej, że to uwzględnianie w pierwszym rzędzie bezpośredniego pożytku i potrzeb Kościoła było całkiem naturalne: nie godzi się owym szkołom czynić z tego zarzutu, że nie uczyły obok łaciny i teologii także matematyki, fizyki, geografii, historyi naturalnej i t. d., skoro społeczeństwo nie odczuwało jeszcze potrzeby takiego wykształcenia wszechstronnego i brakowało go samym nauczycielom.

Z drugiej zaś strony, reprezentanci t. z. pedagogii „postępowej" postawieni są, m. zd., zbyt wysoko przez szan. autora: „Ratke'go (Ratichiusa) nazywa on „jednym z najdzielniejszych pionierów rozumnej, postępowej metody nauczania" (str. 91), o Komeńskim zaś pisze, że był to pierwszy „umysł głębszej wiedzy filozoficznej", który zajął się praktycznie sprawą wychowania (str. 94). Jakiż z tego wniosek wysnuje uczeń o pedagogach dawniejszych, o szkole katolickiej? Czyż nie

ten, że przed Ratkem i Komeńskim nie było jeszcze rozumnej, głęboko obmyślanej dydaktyki i pedagogii? A czyż w takim razie nie obniży się znacznie w jego oczach wartość pochwał, których autor udzielił poprzednio Ojcom Kościoła i innym katolikom? Nie sądzę zresztą, żeby pomysły owych reformatorów zapewniały im wyższość bezwzględną ponad pedagogami wieków ubiegłych: oni kładą nacisk jednostronny na naukę „o rzeczach", na poznanie przedmiotów, podlegających zmysłom. Według Ratke'go, uczeń ma „dochodzić wszystkiego przez indukcyę i doświadczenie, wiedza na ślepej wierze w daną powagę oparta nie zasługuje na miano wiedzy właściwej" (str. 91); według Komeniusza, „powinniśmy się uczyć ile możności nie z książek, lecz z wielkiej księgi natury: od dębów i buków" [1] (str. 96). Otóż trzeba im przyznać, że mają słuszność, ale tylko względną, że trzeba istotnie kształcić u dzieci zmysł spostrzegawczy,. że trzeba im pokazywać rzeczy, o których uczymy (jeżeli to są rzeczy widzialne), że t. zw. realia nie powinny być w szkole zaniedbywane i t. d.

Wszelako ten kierunek „realistyczny" sprowadził za sobą inne, bardzo szkodliwe niedostatki: zwolennicy jego dawali pierwszeństwo naukom doświadczalnym przed temi, które przyczyniają się więcej do rozwoju i wykształcenia umysłu, przed nauką języków i lekturą pisarzy klasycznych, lekceważyli sobie religię i filozofię, nie ćwiczyli należycie uczniów w prawidłowem myśleniu i wyrażaniu myśli, poprzestając na udzielaniu im rozlicznych wiadomości o świecie zewnętrznym. Zwalczając błędy pedantycznych i niemądrych latynistów, którym się zdawało, że młodzież będzie już należycie wykształconą, jeżeli tylko nauczy się mówić i pisać językiem Cycerona, posunęli się „realiści" zbyt daleko w zapale walki przeciwko filologii i przyczynili się w znacznej mierze do rozpowszechnienia płytkiego utylitaryzmu i bezmyślnej empiryi.

Także zasługi Rousseau'a są, m. zd., trochę przecenione przez autora w słowach następujących (str. 114): „Rousseau'a zasługą pierwszorzędną zostanie, że wychowaniu i nauczaniu wskazał nowe drogi, polecając nauczycielom badanie, poznawanie natury uczniów. Nauczyciel każdy stać się winien sam uczniem: badać umysły uczniów,

---

[1] Podobnie wyraził się już św. Bernard z Clairvaux w liście swoim *(ad Henricum Murdach):* „Wierz doświadczonemu! Nieco więcej znajdziesz w lasach, niż w książkach; drzewa i kamienie pouczą cię niejednego, czegobyś nigdy nie mógł usłyszeć z ust nauczycieli".

ich sposób widzenia rzeczy, ich nawyknienia i słabości, pragnienia i wstręty, wpływy, które je pobudzają do działania lub pognębiają, nastrój wreszcie duszy ogólny. Gdy nauczyciel lub ojciec wejdzie na tę drogę, którą pierwszy jasno wskazał Rousseau, nauczanie i wychowanie staje mu się zajęciem pełnem najrozleglejszych widoków, źródłem niewyczerpanego interesu. Do zalet tejże pedagogiki należy w dalszym rzędzie żądanie rozbudzania samodzielności w wychowaniu, które rodzi prostotę, wytwarza wybitne indywidualności. Rousseau wypędza wszelki mechanizm i rutynę z nauczania, przywraca zmysłom i obserwacyi właściwe znaczenie, usuwa czczy werbalizm, nauce o rzeczach przyznaje należną wartość".

Otóż te pochwały zawierają *implicite* krytykę bardzo poniżającą pedagogów, którzy pisali i działali przed wystąpieniem Rousseau'a: więc żaden z nich o tem nie wiedział, że nauczyciel powinien badać indywidualne właściwości powierzonego mu dziecka?; więc oni wszyscy nie zwracali wcale uwagi na rozmaitość temperamentów i charakterów, którą przecież dziś każdy rozumny wychowawca uwzględnia, chociaż nie zajmował się teoryą pedagogii ani studyami psychologicznemi? Więc trzeba było na to dopiero marzyciela z Genewy i zaciętego wroga szkoły chrześcijańskiej, żeby objawił ludzkości tę prawdę, w oczy przecież bijącą? Jest to już z góry w najwyższym stopniu niepodobne do prawdy; a zresztą sam autor pisze poprzednio o Locke'u (na str. 107), że, według niego, „jednym z głównych obowiązków wychowawcy jest poznanie właściwości natury dziecka, aby podług tego stosować swą pracę wychowawczą", a na str. 33 czytamy, że już św. Augustyn „zaleca nauczycielowi stosować się do indywidualności ucznia!" Jakże więc z tem pogodzić ową pochwałę Rousseau'a? Nie chcę zanadto rozszerzać rozmiarów tej recenzyi, więc nie gromadzę cytatów, dowodzących, że już pedagodzy wieków średnich pisali o różnicach usposobień i kazali je nauczycielom uwzględniać; przytaczam tylko dwa dzieła: 1-sze Gilberta z Holandyi p. n. *Tractatus de ordine vitae et morum institutione*, inaczej *De doctrina puerorum seu adolescentium;*[1] autor mówi tu także o wadach, od których trzeba chłopców odzwyczajać, dodając, że nie wszystkie wady objawiają się u wszystkich i że te same występują u jednych silniej, u drugich słabiej: „Inne wady są pokrewne obyczajom spokojnym i łagodnym, inne szorstkim

[1] Por. cenną rozprawę ks. W. Gadowskiego p. n. „Z Historyi pedagogii". Zeszyt I. Kraków 1889, str. 79 i Zeszyt II. 1890, str. 50.

i ostrym. Często co się tym podoba, nie podoba się tamtym" i t. d.; 2-gie Wincenty z Beauvais pisze w dziele p. n. *De institutione filiorum regiorum seu nobilium* (napisanem około r. 1248), że trzeba poskramiać złe popędy wychowanków „w różny sposób, stosownie do usposobienia lub skłonności każdego" i t. d. Wogóle można powiedzieć, że im lepiej poznaje się literaturę wieków ubiegłych, tem bardziej maleją zasługi najwyżej dziś cenionych reprezentantów pedagogii „postępowej". Co się zaś tyczy w szczególności Rousseau'a, ten daleko więcej zaszkodził, niż pomógł sprawie wychowania, bo wyszedł z błędnego założenia, że „wszystko jest dobre, co wychodzi z rąk Stwórcy wszechrzeczy, wszystko wyradza się i psuje pod rękami człowieka", i kazał na to jedynie baczyć, żeby swobodny rozwój wychowanka nie doznał jakiej przeszkody od wpływów zewnętrznych (co stwierdza i p. Majchrowicz na str. 112). Tej właśnie zasady trzyma się dotąd owa pedagogia liberalna, która zabrania „krępować indywidualności ucznia", nie wykorzenia jego wad i nałogów, nie wychowuje w duchu chrześcijańskim, ale też zbiera dosyć bardzo gorzkich owoców swej działalności!

Z obowiązku recenzenta muszę jeszcze zaznaczyć pewne niedokładności, od których nie jest wolną książka p. Majchrowicza, a muszę to uczynić tem bardziej, że mówię o podręczniku szkolnym:

Izraelici nie tylko „mienili się od wieków", lecz byli rzeczywiście ludem, wybranym przez Jehowę (str. 9).

Nie dosyć ściśle wyraża się autor na str. 114, że „Rousseau należał do francuskich encyklopedystów", dodając, że pisarze ci lekceważyli sobie wiarę w Boga. Rousseau zaprzyjaźnił się wprawdzie z niektórymi encyklopedystami, ale potem z nimi zerwał; wiadomo też powszechnie, że nienawidził Woltera i polemizował z nim zacięcie. A dalej znaną jest również rzeczą, że on odrzucał wprawdzie religię objawioną, ale wierzył w istnienie Boga i bardzo poważnie mówi o tej wierze; stanowi on i pod tym względem przeciwieństwo do szydercy Woltera.

Na str. 98 przyznaje autor słuszność pietystom, że „usunęli z nauczania szkolnego wszelki dogmatyzm", a natomiast „skłaniali młodzież do praktycznego wykonywania zasad chrześcijańskiego życia". Czytamy wprawdzie dalej dodatek, ograniczający tę pochwałę, że oni „opierając się na zasadach słusznych, popadli z czasem w drugą ostateczność, bo w chorobliwy mistycyzm"; ale to są rzeczy, które trzeba wyłuszczyć dokładniej, jeżeli się o nich wobec uczniów wspomina:

gdyby pietyści oświadczali się tylko przeciwko wprowadzaniu „subtelności dogmatycznych“ do szkoły, mieliby zupełną słuszność; oni jednak uznali wszelką naukę o dogmatach wiary za zbyteczną i chcieli tylko zaprawiać młodzież do cnotliwego życia (podobne zdania wypowiada dziś wielu pedagogów niewierzących); a przecież etyka musi opierać się na pewnych prawdach wiary jako na niewzruszonej podstawie.

O pedagogice Herbarta czytamy (str. 160), że ona polega „na zasadach psychologicznych i etycznych, za pewne nieuznawanych“. Tu trzeba było raczej powiedzieć, że hipotezy psychologiczne Herbarta są dziś powszechnie zarzucone, już nawet w najnowszem wydaniu psychologii Lindner'a, i że jego poglądy etyczne są w znacznej części niewątpliwie błędne (chociaż może będzie najlepiej nie poruszać tej kwestyi wobec uczniów, którzy nie mają jeszcze potrzebnych do zrozumienia jej wiadomości).

O filozofii Trentowskiego (o której również nie mogą mieć seminarzyści jeszcze żadnego wyobrażenia) pisze autor (str. 193): „Wedle zdania uczonych, system Trentowskiego jest świetny, ale raczej kunsztowny niż trwały. Zarzucają mu, że podstawy jego rozumowania nie są niewzruszone, że jest jednostronny w krytyce systemów dotychczasowych, że, gdy mówi o własnych pomysłach, nie zawsze jest wolny od samochwalstwa. Ma natomiast Trentowski tę zasługę wobec filozofii polskiej, że obok Jana Śniadeckiego jest on jedynym, który obudził zajęcie się dla niej, że kilka jej działów opracował z wielkiem znawstwem i talentem“. Otóż tu nasuwa się pytanie, czy te ogólniki przydadzą się komu na co? Jeżeli jakaś krytyka systemu Trentowskiego jest niezbędna w takim podręczniku (co mi się wydaje więcej jak wątpliwem), to trzeba uznać bez ogródek tę filozofię za utwór nieudały spekulacyi, biorącej początek od Schellinga i Hegla, za gmach bez fundamentów. A dalej Trentowski nie jest tylko „jednostronny w krytyce systemów dotychczasowych“, ale uroił sobie (znowu za przykładem Hegla), że dopiero jego filozofia odsłoniła ludzkości nieznaną dotąd prawdę; „samochwalstwo“ zaś jego jest tak nierozumne, że budzi nawet politowanie. Za wiele przyznaje mu też autor, kiedy pisze o nim, że był to obok Jana Śniadeckiego jedyny myśliciel, który obudził zajęcie dla filozofii polskiej. Zdanie to odmawia *implicite* wszelkiego znaczenia pismom Cieszkowskiego, Libelta i innym naszym pracownikom na polu filozofii! A wreszcie nie mogę się zgodzić i na ogólnikowe twierdzenie autora, że Trentowskiemu „zarzucano niesłusznie nie-

dowiarstwo i okrzyczano dzieła jego jako niebezpieczne wierze i obyczajom". Nie trudno bowiem dowieść, że filozofia Trentowskiego nie da się pogodzić z wiarą objawioną. Ale według autora nie „usprawiedliwia" tych zarzutów nic innego, jak tylko fakt, że w pismach Trentowskiego zawarte są „namiętne wycieczki przeciw duchowieństwu, szlachcie i magnatom" i że w nich objawia się „pewna predylekcya do nauki niemieckiej i protestantyzmu". Gdyby tak było istotnie, nie rzucałoby to korzystnego światła na krytyków Trentowskiego, bo oczywiście i chrześcijanin wierzący może uderzać na błędy duchownych i magnatów, może mieć „predylekcyę do nauki niemieckiej", a jeszcze tem samem nie staje się niedowiarkiem i pisarzem niemoralnym.

Na str. 47 zaliczony jest mylnie Tomasz a Kempis w poczet Świętych. Na str. 35 mówi autor jeszcze o Mieczysławie I, chociaż dziś zgadzają się już historycy na to, że król ten nazywał się Mieszko (lub Mieszka). Na str. 39 czytamy, że Hrotsvitha żyła w wieku V, ale jest to oczywiście tylko błędem drukarskim.

To są usterki, które musiałem wytknąć cennej książce p. Majchrowicza. Kończę wyrazem szczerego życzenia, żeby ona doczekała się wnet nowego wydania, w któremby te usterki i niedokładności były sprostowane i któreby także cokolwiek jeszcze więcej uwzględniło pedagogów katolickich. Nasuwa mi się wprawdzie jeszcze pytanie, czy książka ta nie jest za obszerna i czy nie przyczyni się do nadmiernego obarczenia seminarzystów (i seminarzystek), którzy już obecnie mają niewątpliwie zbyt wiele do roboty; ale o tem nie będę się rozpisywał: wypowiadam tylko nadzieję, że żaden profesor nie będzie od nich żądał, żeby sobie spamiętali wszystkie szczegóły, w podręczniku zawarte.

Ks. Aleksander Pechnik.

Wspomnienia jenerała Klemensa Kołaczkowskiego. Księga III, od r. 1820 do 1830. Księga IV, r. 1831. W Krakowie. Spółka wydawnicza polska.

Przed dwoma laty, na tem miejscu zdawaliśmy sprawę z początków pamiętnika, który, w dalszym jawiąc się ciągu, dostarcza walnego i ważnego przyczynku do dziejów Królestwa kongresowego, oraz kampanii z r. 1831. Dla wojskowych, fachowe uzdolnienie i taktyczne wiadomości dyrektora szkoły aplikacyjnej dodają znaczenia pamiętnikowym zapiskom, które, zdaniem np. pruskich wojskowych, posiadają znakomitą strategiczną wartość. Dla niewojskowych, księgi te są przede-

wszystkiem istną kopalnią ciekawych szczegółów z życia towarzyskiego w ówczesnych latach, a choć lwią część zagarnęły opisy bitew czy ćwiczeń orężnych, znalazło się sporo nawiasowych wiadomości, dających tętno epoki.

Bujna to epoka, która poprzedziła powstanie listopadowe. A gdy zmierzyć wypada w pamiętnikowem odbiciu, cośmy posiadali i zachowali byli a cośmy niebacznie na jedną postawili kartę i lekkomyślnie utracili, serce się ściska, nie samym bólem, lecz i goryczą, bodaj żalem do sprawców niewczesnego zamachu, do tych nawet, co prostowali dlań ścieżki, jak ów sąd sejmowy, który niewątpliwie utorował drogę następnym wypadkom. Ale nie należy sądzić i zasądzać przeszłości z trzeźwością teraźniejszości, a pamiętniki spółczesne stawiają nas na punkcie widzenia uczestników owych przełomów, które fatalną siłą parły naprzód, niestety — pod naciskiem międzynarodowej rewolucyi, wyzyskującej u nas najszlachetniejsze uczucia, aby je zniżyć do własnych celów.

Księga III Pamiętników Kołaczkowskiego przedewszystkiem dużo dodaje ciekawych rysów do charakterystyki Wielkiego Księcia i jego domowego z księżną Łowicką pożycia. Dziwny ten człowiek przywiązywał się coraz silniej do kraju, którym zrazu tak surowo rządził, łagodniał i miękł pod wpływem szlachetnej towarzyszki, kochał szczerze to wojsko polskie, z którem zrazu srogo się obchodził. W przededniu rewolucyi, przeczuwając blizką katastrofę, mówił o swem ewentualnem ustąpieniu, dodając, „że mu tylko żal tych poczciwych ludzi“, to jest ukochanych żołnierzy polskich. Księżna Łowicka w oświetleniu zapisków blizkiego krewnego, przedstawia się poważnie i pięknie. Wpływ jej dobroczynny podnosił małżonka, marzyła o pozyskaniu go dla katolickiej wiary a są niepłonne poszlaki, że przed zgonem nie poskąpił jej pociechy tej najwyższej. Niewiele dla kraju i ziomków wyjednać mogła, ale stale się oddawała na ich usługi. Przyszły biograf tej wdzięcznej a smętnej postaci, której się rola Jadwigi marzyła, a życie usłane było cierniem, nigdzie nie odnajdzie obfitszego materyału do oddania całego *intérieur* belwederskiego pałacu, jak w tej książce pamiątek, gdzie przesuwają się zdjęcia fotograficzne osób, z których składało się najbliższe otoczenie Wielkiego Księcia. Nieraz kilkoma pociągnięciami pióra dopełnia się portret uderzający podobieństwem i życiem. Do takich należy sylwetka cesarza Aleksandra, który w piszącym żadnych zgoła nie budził złudzeń, nadziei ni entuzyazmów. Upatruje on w nim Greka, przesiąkniętego bizantyńską perfidyą, jednającego sobie

kobiety, ażeby przez nie owładnąć tłumem; zaprzątniony wyłącznie dyplomacyą i wojskiem, Aleksander całkiem zaniedbywał wewnętrzne rządy olbrzymiego państwa, tak iż nigdy nie było więcej spraw w zawieszeniu, jak za jego panowania. Autor pamiętnika nie wspomina żadnem słowem prawdopodobnego nawrócenia się Aleksandra na wiarę katolicką w ostatnich dniach życia, ani nadmienia, iż cesarz nosił się z myślą abdykacyi i stałego w Rzymie pobytu.

Już w księdze III-ciej znajdujemy odgłosy podziemnych grzmotów, gotującego się za pomocą rozgałęzionych tajnych towarzystw wybuchu. Ta plaga polskiego społeczeństwa, która tyle nam już złego wyrządziła, wtedy szerzyła się jak zaraza. A że takie zarazy miewać zwykły peryodyczne nawroty, rozczytywanie się w niniejszych zapiskach może dostarczyć lekarstwa przeciw świeższym tej choroby ducha objawom. Wszakże w wielu już zagranicznych dyecezyach wprowadzono chwalebną praktykę uroczystych zobowiązań po pierwszej komunii ślubowanych, obietnicą stronienia od wszelkich tajnych związków i odrzucania precz od siebie wszelkich skrytych przysiąg. Wartoby u nas przykład ten zastosować. Dla zdrowia społecznego zarówno jak dla bezpieczeństwa narodu, należałoby raz złe wykorzenić i z wstrętem pogardy odtrącać od siebie wszelkie międzynarodowych knowań sojusze. Wszakże raz po raz Kołaczkowski wspomina, że ten lub ów tajny przywódca notorycznym był karbonaryuszem.

Nic smutniejszego nad pierwsze opisy listopadowej rewolucyi. Przedewszystkiem siła zbrojna Królestwa dochodziła wówczas do 70000 żołnierza, a jeżeli kilkoletnie ćwiczenie i karne wychowanie zgotowało nam siły, jakich kraj nasz nie posiadał za dni rozbiorów, domyślać się godzi, ileby dłuższa cierpliwość była przymnożyła zasobów, przygotowała ludzi, wychowała pokoleń!

Strasznych dostarcza szczegółów sam Kołaczkowski, który bez złudzeń patrzał w przyszłość, bo z przeszłości wiedział, jak nawet Napoleon Rosyi nie poradził. Pierwsze wrażenia nie dodały mu zgoła otuchy, gdy jeden z młodych zapaleńców, nazajutrz po wyprawie na Belweder, a więc 30 listopada, z tryumfem opowiadał mu, że rewolucya się zaczęła, lecz na zapytanie: Kto są dowódzcy? jakie są zamiary dalsze? żadnej nie potrafił dać odpowiedzi. Przykrzejsze jeszcze czekało go rozczarowanie, gdy nagle zjawił się młody porucznik od piechoty, wołając, że rewolucya jego jest dziełem, że on to wszystko zrobił. Był to Zaliwski. Na tę przechwałkę starsi oficerowie po sobie spojrzeli z przerażeniem, że los ojczyzny w takiem ręku spoczy-

wał! Kołaczkowski ostrem słowem piętnuje Zaliwskiego; wspomina dalej, że dla wielu z inicyatorów powstania żądza osiągnięcia wyższego stopnia rozstrzygającym była powodem działania. Kołaczkowski nie oszczędza zresztą towarzyszów broni, zwłaszcza gdy walka się rozpoczyna na dobre, wytyka ich błędy, piętnuje ułomności. Przedewszystkiem Chłopicki doczekał się na wstępie surowego osądzenia. I Skrzyneckiego niedołęstwo stwierdzonem zostaje drastycznie w dalszym toku pamiętnika. Pod względem militarnym wspomnienia Kołaczkowskiego stanowią bogatą kopalnię najściślejszych wiadomości i obliczeń. Przedewszystkiem boli częsty a słuszny zarzut uczyniony przywódcom, iż zniedołężnieli i zgnuśnieli do szczętu, że nie byli już zdolni wziąć rozbrat z rozkoszami i wygodami życia, kuchni, zielonego stolika, i że ten był początek rozstroju.

Autor pamiętnika w księdze IV-tej doprowadza nas do ostatnich dni lipca 1831; w V-tej znajdziemy najsmutniejsze dzieje wybryków ulicznych, wzięcia Warszawy i ostatecznego sprawy upadku.

Powyższe krótkie sprawozdanie chyba tylko zachęci czytelników do rozczytywania się w wspomnieniach świadka tylu wielkich wypadków, na które patrzał i w których uczestniczył. Szkoda tylko, iż darząc nas cennym dla naszej literatury pamiętnikowej nabytkiem tego tak ważnego dla historyi materyału, wydawcy nie postarali się o lepszą, inteligentniejszą korektę. Znajdują się tu istne potworności, zwłaszcza co do nazwisk. Nie byłoby końca gdybyśmy chcieli wszystkie wymienić; dość wspomnieć bitwę pod Daszowem, w której zginął Emir Rzewuski, a która tu na Dachów się zamieniła; dowiadujemy się, że bywają Grecy Tanarioci, jak gdyby korektor nigdy o konstantynopolitańskim Fanarze nie był słyszał, niepodobna nam rozpoznać jenerała Fanshawe, którego potomkowie po dziś dzień w Warszawie się znajdują, w przydzielonym do W. Księcia jenerale Jenszowie. Takich błędów wytknąćby można na każdej niemal karcie, co oszpeca książkę poważną i cenną, rzucającą pełne światło na epokę smutną, lecz opromienioną bohaterstwem i ofiarą wielu.

M.

Przełom w socyaliźmie. *Dr. Zofia Daszyńska-Golińska.* Lwów 1900. (Str. 251).

Autorka kończy swą książkę zapowiedzią wzrostu socyalizmu, którego „program na przyszłość obejmuje zdemokratyzowanie kultury duchowej obok materyalnej“ (str. 11). Zgodnie z autorką sądzę, że

najnowsze zmiany w programie i taktyce obozu socyalistycznego w różnych krajach Europy zwiększają znacznie szanse powodzenia idei socyalistycznych.

Manifest komunistyczny Marxa i Engelsa był rewolucyjny i klasowy, wzywał do gwałtownego przewrotu istniejącego porządku społecznego, a apelował przedewszystkiem do warstwy robotniczej, przeciwstawiając ją innym stanom. Hasło rewolucyi stało się z czasem teoryą głoszoną „od święta", *pour épater le bourgeois*. Nowoczesny ustrój państwa, organizacya policyjna i militarna utrudniają wszelką akcyę rewolucyjną, zresztą wnet zrozumiano, że stawianiem barykad można obalać w najlepszym razie królestwa i zastępować je republikańską formą rządu, ale nie można niem zmienić podstaw ustroju społecznego i ekonomicznego: nie można tymi środkami usunąć prywatnej własności środków produkcyi.

Z czasem odpadło także i teoretyczne uzasadnianie potrzeby rewolucyi. Wedle Marxa system kapitalistyczny objawia się między innemi także i zanikiem stanu średniego (koncentracya produkcyi w wielkich przedsiębiorstwach) oraz ubożeniem ludności robotniczej. Polepszenie w ramach istniejącego porządku społecznego jest wykluczonem, nie pozostaje zatem nic innego jeno rewolucya. Koncentracya nie objawiła się w rolnictwie; a w przemyśle, o ile wystąpiła na jaw, nie wywołała zaniku stanu średniego, aczkolwiek zmieniła po części jego skład. Byt robotnika w zachodniej Europie stanowczo się poprawił. Okazała się dowolnie zaprzeczana możność poprawy doli robotnika bez usunięcia systemu kapitalistycznego.

Wyrzucono zatem martwe hasło rewolucyi także i z oficyalnego programu, bo dostarczało ono zanadto wygodnej broni przedstawicielom innych stronnictw i interesów przeciwko stronnictwu, które, wobec wzrostu liczby zwolenników, zapragnęło z bezpłodnej negacyi przejść do pozytywnego czynu, uzyskać wpływ na rządy.

Przekonano się jednak, że poparcie choćby wszystkich robotników fabrycznych nie daje większości w parlamencie, trzeba zatem program zastosować do potrzeb ludności rolniczej, zwłaszcza pozyskanie robotników rolnych, jako stanowiskiem społecznem najbardziej zbliżonych do robotnika fabrycznego, staje się jednym z najważniejszych celów agitacyi socyalistycznej.

To rozszerzenie programu nasuwało pewne teoretyczne trudności. Ludność rolnicza obstaje przy indywidualnej własności ziemskiej, dla której niema miejsca w systemie Marxa. Wymyślono formułkę o pro-

gramie maksymalnym i minimalnym. Urzeczywistnienie programu maksymalnego, zgodnego z teoryą twórców socyalizmu, odłożono *ad feliciora tempora*, a wysunięto w agitacyi na pierwszy plan program minimalny, nie rewolucyjny, obliczony na pozyskanie dla partyi także ludzi, nie należących do stanu robotniczego.

Obok tej ewolucyi przeważnie politycznej, mamy jeszcze do czynienia z ewolucyą myślową. Oba te kierunki rozwoju idą równolegle obok siebie, dopełniając się nawzajem. Doktrynie Marxa nie brakło pewnej podstawy filozoficznej, aczkolwiek bardzo ciasnej i jednostronnej. Materyalistyczna historyozofia, dopatrująca się w rozwoju dziejów tylko wpływu czynników ekonomicznych, nie mogła długo się ostać. Badania faktów zadały jej kłam; teoretyczne rozumowania wykazały jej niejasność, rozbiła się o niemożność zadowalającego skonstruowania pojęcia czynnika ekonomicznego, w którym jedni dopatrywali się walki klas, inni zmian w technice produkcyi. Zresztą sami twórcy materyalistycznej historyozofii nie są wolni pod tym względem od sprzeczności. Przystąpiono zatem do rozszerzenia filozoficznych podstaw socyalizmu, wcielając do pierwotnych tez pewną dozę pierwiastków etycznych. Egoizm, jeśli nie indywidualny, to klasowy, był ostatnim stopniem etycznego rozumienia obowiązku w doktrynie Marxa. Obecnie uwzględnia się także pierwiastki altruistyczne. To przykrojenie programu socyalistycznego do wymagań bieżącej chwili połączone było ze stratami pod względem teoretycznym. Doktryna Marxa tworzyła pewną jednolitą filozoficzną i ekonomiczną całość, która pośrednio dała asumpt nietylko do doniosłych reform socyalnych, ale także do wielu poważnych prac naukowych. Dziś teoretyczny socyalizm jest bezwładną mieszaniną dawnych utopii ze socyalizmem naukowym, pozbawioną wybitnych cech charakterystycznych, pełną sprzeczności i niekonsekwencyi. W obecnej chwili elementarnemu żywiołowemu parciu mas do objęcia rządów brak teoretycznego uzasadnienia.

Oto pokrótce „przełom w socyalizmie“ ilustrowany przez autorkę mnóstwem faktów z pewną szkodą dla zasadniczych idei, które występują na jaw może niedość jasno i plastycznie.

Rewolucya francuska oddała rządy w ręce mieszczaństwa; dziś robotnicy (stan czwarty), wogóle warstwy niższe, chcą mieć i uzyskują coraz to większy udział w kierownictwie spraw politycznych. Celem ich znaczne rozszerzenie dotychczasowej ingerencyi państwa w stosunki ekonomiczne poddanych, za pomocą którego warstwy niższe chcą sobie zapewnić zmianę podziału dóbr na swą korzyść. Hasłem, pod którem

walczą, są idee socyalistyczne w swej zmienionej formie, ułatwiającej pozyskanie szerokich warstw ludności.

Uznając w całej pełni potrzebę zdemokratyzowania kultury materyalnej i duchowej, nie będąc zasadniczo przeciwnym wszelkiemu rozszerzaniu ingerencyi państwa, zapytać się godzi, czy na tej drodze można osiągnąć zamierzony cel? Już dziś administracya państwowa ulega często pogorszeniu pod wpływem zbyt szybkiego wzrostu jej zakresu działania i niewłaściwego mieszania się parlamentu, t. j. organu ustawodawczego, do spraw administracyjnych: dowodem stosunki francuskie. Ingerencya państwa może mieć powodzenie w razie poparcia ze strony społeczeństwa i o ile spoczywa w rękach odpowiednio uzdolnionych.

Ale rozszerzanie tej ingerencyi w chwili dochodzenia do władzy żywiołów politycznie niewyrobionych, które nie rozumiejąc interesu ogółu, bronić będą interesów partykularnych, lokalnych lub klasowych, a może nawet czysto egoistycznych, nasuwa poważne wątpliwości.

Na tej drodze, jeżeli nią postępować się będzie szybko i nieostrożnie, kto wie, czy nie uronimy nabytków kultury duchowej i materyalnej, przekazanej nam przez przeszłe pokolenia. A wówczas zdemokratyzowanie władzy politycznej przyniosłoby nam więcej szkody, niż korzyści.

Autorka nie widzi tego niebezpieczeństwa i spodziewa się po zwycięstwie idei socyalistycznych zdemokratyzowania kultury duchowej i materyalnej.

A. Krzyżanowski.

Żywot Wielebnej Matki Teresy, od Pana Jezusa, Marchockiej, Karmelitanki Bosej. Kraków. 1901. (Str. 182).

Często słyszeć się daje skarga, że kraj nasz tak niewiele w porównaniu do innych krajów, wydał świętych. Ta skarga jednak ledwie cząstkę prawdy zawiera. Świętych i świątobliwych u nas nie brakło, ale nam brakło na staraniu, aby żywoty naszych świętych godne opracowanie znalazły i, co za tem idzie, zewnętrzną sankcyę świętości swojej z rąk Kościoła otrzymały. Stąd każdy krok w tym kierunku postawiony witać musimy z prawdziwą radością jako akt miłości tak Boga i jego świętych, jak rodzinnego kraju.

Żywot Matki Marchockiej daje nam poznać taką świętą o prawdziwie wielkim stylu, a dziwnie mało znaną, mimo iż życie całe spędziła na widowni w Krakowie, Lwowie i Warszawie, mimo iż do dziś

dnia miasto nasze cieszy się posiadaniem nieskazitelnie zachowanego jej ciała.

Żywot ten, prócz przedmowy i maleńkiego dodatku, jest wiernym przedrukiem rękopisu O. Ignacego od św. Jana, spowiednika Matki Marchockiej, wydanego po raz pierwszy przez ks. Józefa Augustynowicza we Lwowie w r. 1752. Książeczka to niewielka, mimo że w połowie XVIII wieku powstała, pisana z dziwną prostotą, bez retoryki, bez śladów panegiryzmu. Przeznaczeniem jej było służyć za pobożne czytanie dla Sióstr Karmelitanek, córek duchownych Wielebnej Matki Marchockiej, ale właśnie może dla tego wieje z tych kart jakiś duch tak pobożny i podniosły, tak nieomal do ducha św. Teresy zbliżony, że oderwać się od nich trudno. Treścią tego żywota jest to, co wypełnia życie w Karmelu: Ustawiczne umartwienie, bardzo wysoka kontemplacya, poufałe obcowanie z Bogiem; a z drugiej strony to wszystko, czem Bóg zwykł płacić wierne sługi swoje: ogromne łaski, jak dar przenikania serc, licznych cudów za życia i po śmierci, dar stygmatów tak niezaprzeczenie stwierdzonych, że wątpić o nich niepodobna. Oto co wypełnia żywot Matki Marchockiej tak, jak go opisał duchowny jej przewodnik. Nowe to wydanie niezawodnie wiele osób z radością powita, wiele dusz znajdzie w niem pomoc i pociechę, a historya Karmelu w Polsce nową chlubną kartę; ale czytając je nie można obronić się uczuciu żalu, że ograniczono się jedynie na przedruku rzeczy dawno napisanej, która mimo swego uroku niezupełnie się nadaje do potrzeb świeckich i do dzisiejszych czytelników. Żywot Wielebnej Matki i cudownie piękny świętością i dziwnie ciekawy, bo rozwija się na burzliwem tle XVII wieku, i to prawie na świeczniku kraju, w stosunkach ze znakomitemi osobami, jak Janem Kazimierzem, Ossolińskim i t. d., zasługuje z pewnością na obszerniejsze i bardziej do dzisiejszych wymagań zastosowane opracowanie. Niniejszy żywot, jako świadectwo naocznego i wiarogodnego świadka, mógłby służyć za główne źródło i podstawę. Nakoniec wyrazić możemy to życzenie, którem wydawca zamknął swoją przedmowę: „Obyśmy doczekać się mogli wpisu Matki Teresy Marchockiej do liczby błogosławionych“: kraj zyskałby potężną patronkę, miasto nasze nowy grób świętej, a Karmel Polski nową, chwalebną ozdobę.

J. R.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Alfred Dreyfus. Cinq années de ma vie 1894—1899. Trente cinquième mille. Bibliothéque Charpentier. Eugène Pasquelle éditeur. 1901. (Str. 560).

Trudno o boleśniejszą zagadkę, jak proces, na którym niby na wielkim znaku zapytania zamknął się wiek XIX, owa sprawa — *l'Affaire* — która wywlokłszy na jaw najwstrętniejsze męty, zakotłowawszy namiętnościami całych narodów, zakończyła się nie ukazując swego istotnego dna, bezwzględnej i bezsprzecznej prawdy. Czy Dreyfus był zdrajcą?, czy był narzędziem w ręku tajemnej a niezręcznej dyplomacyi wojskowej?, czy był kozłem ofiarnym współwinnych czy też — jak twierdzi — niewinną ofiarą winowajców? Sąd po dwakroć uznał go winnym, ale po drugim wyroku ułaskawił go pod warunkiem, że swą apelacyę do sądu kasacyjnego odwoła: chciano, aby w ten sposób „i wilk był syty i koza cała..." Łudzono się, że pogrzebano „sprawę" — aż tu sam oskarżony przyszedł ją wskrzesić, ogłaszając opis swego aresztowania, degradacyi i wywiezienia, oraz dzienniczek prowadzony na wyspie Dyabelskiej. Wychodzi zeń, ma się rozumieć, biały jak śnieg: wezwano go niespodzianie do ministeryum, podyktowano mu jakiś list i na mocy podobieństwa pisma oskarżono o zdradę stanu i deportowano. On sam nie wiedział o niczem, stał bezbronny wśród oskarżycieli. W postępowaniu władz względem niego, tak we Francyi jak i w Guyanie, znać nie surowość lecz trwogę; rząd obchodzi się z nim, jak dozorca ze świeżo schwyconem dzikiem zwierzem pustyni.

Naprzód mamy krótką biografię, opis szczęśliwej młodości, jeszcze szczęśliwszego małżeństwa i miłości rodzinnej, potem ów dramat w Paryżu, boleść i usiłowania ratunku żony i brata, wreszcie wywiezienie na wyspę Ré, a stąd na dalekie wygnanie. Niepodobna czytając nie odczuć litości wobec nie kary, słusznej czy niesłusznej, ale niepotrzebnych a okrutnych dodatków, o których z daleka niepodobna orzec, czy się zrodziły w mózgu przedstawicieli prawa z poczucia sprawiedliwości, tchórzowstwa czy zemsty. Wprawdzie w Paryżu i na wyspie Ré pozwalano skazańcowi żonę widywać, ale albo przez podwójną kratę albo na długim korytarzu, u którego jednego końca stał on, u drugiego ona a wpośrodku dozorca. Listy od niej do Guyany pisane dochodziły rąk męża po dwóch lub trzech miesiącach, bo je nieraz z Ka-

yenny raz jeszcze odsyłano do Francyi. Na wyspie Dyabelskiej dawano mu żywność w stanie surowym: trochę mięsa, ryżu, grochu i wędzonej słoniny (którą regularnie rzucał do morza, zapewne jako wierny syn Izraela) a przytem wzbraniano mu wstępu do kuchenki, nie dano przez pierwsze miesiące żadnego naczynia. Musiał piec mięso przy ognisku na dworze, gotować groch w starej puszce od konserw, zamiast talerzy używać zardzewiałych kawałków blachy, znalezionych na wyspie. Zrazu wolno mu było przechadzać się w przestrzeni 200 metrów po skalistym, wypalonym cyplu wybrzeża, dawnem obozowisku trędowatych; wolno było siąść w cieniu ściany nad morzem, zawsze w milczącem towarzystwie dozorcy, który o $6^1/_2$ wieczór zamykał go w ciasnej izdebce do rana. Przez całą noc co dwie godziny straż zmieniała się z trzaskaniem drzwi i ciężkiem stąpaniem żołnierzy, przez całą noc światło, zbyt słabe, by przy niem módz czytać, a dość silne, by odganiać sen, świeciło wprost w twarz leżącego; przytem klimat zabójczy, skwar nie do opisania lub zaduch i wilgoć; robactwo wszelkiego gatunku i wszelkich rozmiarów, od najmniejszych znanych nam gryzących żyjątek do olbrzymiego pająka o ciele wielkiem jak dłoń, pokrytem twardą skorupą. W tych warunkach żył Dreyfus półtrzecia roku. Dzienniczek jego z tych czasów, listy do żony i jej odpowiedzi, to jeden, powracający wciąż, monotonny a wzrastający w sile krzyk bólu. Przy bólu zaś nieustanne zapewnienie niewinności, nieustanne wołanie o sprawiedliwość, o wykrycie istotnego zbrodniarza. Czyżby to wszystko było sporządzonem lub dostrojonem *post factum?*

To jednak stosunkowo jeszcze dobre czasy. Więzień odcięty zupełnie od świata, nie wie absolutnie co się dzieje we Francyi, niema pojęcia o wielkiej agitacyi na korzyść jego powstałej. Dziwi się tylko boleśnie, widząc, że naraz, bez żadnej z jego strony przyczyny, więzienie jego otaczają wysoką palisadą tamującą mu ruch, światło i widok na morze, że go w straszne, upalne noce przykuwają do łóżka, że listy żony z większem jeszcze spóźnieniem dochodzą go tylko w częściowych odpisach. Okres ten, najboleśniejszy, trwa dwa lata, z wzrastającą wciąż dokuczliwością, obejścia w miarę postępów partyi dreyfusistów we Francyi. Jednej nocy usłyszał niezwykły hałas na wyspie, bieganie i nawoływania żołnierzy, a otworzywszy oczy ujrzał nad sobą naczelnego dozorcę z rewolwerem w ręku. Później miał się dowiedzieć, że tegoż wieczora dostrzeżono w oddali dym jakiegoś podejrzanego okrętu. W trzy miesiące później, we wrześniu 1897 r., odebrał list od żony w lipcu pisany a zawierający wzmiankę o jakimś poprzednim

liście, niosącym promyk nadziei. Odtąd listy stały się coraz rzadsze, bo coraz częściej wstrzymywane, każdy skrawek jednak dochodzący w osłonie obcego pisma na wyspę Dyabelską potwierdzał pierwszą wieść. Zwolna też tryumf stronnictwa dał się uczuć więźniowi w stopniowem usuwaniu dokuczliwych zarządzeń; zrzucono palisadę odkrywając na nowo morze, widnokrąg, niebo. Nareszcie przyszła depesza z wieścią o skasowaniu wyroku, ze skazańca stawał się znów okarżonym, przechodził z pod władzy policyi pod władzę wojskową, miał prawo przywdziać mundur z odznakami, które mu niegdyś oddarto. Niebawem nadpłynął „Sfax“ i zabrał go do Europy. Tu u progów ojczyzny spodziewał się zastać rodzinę, przyjaciół, choćby jedno sympatyczne oblicze; wysadzono go na brzeg skrycie wśród zimnej i burzliwej nocy, powleczono do nowego więzienia. Powrót ten był jedną z najczarniejszych chwil długiego dramatu. Reszta ogólnie jest znaną, proces w Rennes, ponowne skazanie i ułaskawienie, które skazany mówi, że przyjął, bo mu już sił do cierpienia nie stało.

Nie faktów jednak ale charakterystyki szuka czytelnik w piśmie człowieka, którego imieniem rozbrzmiewał świat przez lat kilka. Fałszywe to były dźwięki, krzykliwe, zmieszane z tonów żydowskiej orkiestry, zgrzytu masońskiej prasy i wrzasków ulicznych. Chciałoby się z pod tej wrzawy dosłyszeć głos samego Dreyfusa, ale czyż to głos rzeczywisty? W pierwszych latach, jak mówiliśmy, słychać tylko jęk bólu, jęk rozpaczy wobec plamy „niesłusznie“ na nazwisko dzieci rzuconej, wołanie o śmierć, tłumione zwycięsko poczuciem konieczności życia dla otrząśnięcia się z hańby. Ponad to niema nic: miłość rodzinna i honor żołnierski — oto jego świętości. Do Boga nie wznosi się ani jedną myślą, ani jednem westchnieniem.

Niema też ani jednej myśli wychodzącej poza zakres bólu. Dopiero gdy ten ból dochodzi do swego zenitu, skargi milkną, dziennik urywa się nagle. Zastępuje go później skreślone opowiadanie i wtrącone weń listy do żony Ton tych ostatnich spokojniejszy, poważny; umysł wznosi się nieco ponad siebie, zamiast skarg posyła obszerne wskazówki co do wychowania dzieci. Sądząc z całości, zdawałoby się, że obok niezłomnej woli inteligencya jest mierna — jakże jednak sądzić nie wiedząc, ile jest w tem kłamstwa a co prawdy? Jakkolwiekbądź stoją rzeczy w tym względzie, czy dziennik prawdziwy jest czy wymyślony, niepodobna nie zaczerpnąć z niego nauki: znamy pamiętniki Sybiraków lub innych męczenników cierpiących niewinnie: tym poczucie ich niewinności było osłodą, bo mieli świadkiem Boga. Nie idąc

wyżej weźmy przykład z opisu katorgi Dostojewskiego. Opowiada on o młodzieńcu skazanym za ojcobójstwo a wzbudzającym zgorszenie współtowarzyszy katorgi swobodą swą i weselem: po dwóch latach przekonano się, że był niewinnym. Dreyfus za świadka powołuje tylko własne sumienie, szuka podpory sam w sobie, zacina się, ratuje godność przed ludźmi, lecz wewnętrznie wije się z rozpaczy. Dla innych za pomocą bożą cierpienie mogło być czyścem, dla niego bez Boga było piekłem. *T. Wodzicka.*

Catalogus generalis sacri, canonici ac exempti ordinis Praemonstratensis ineunte saeculo XX. Pragae 1900. (Str. 369).

W roku 1894 wydał ks. Franciszek Danner niezmiernie interesujący historyczno-statystyczny katalog swojego zakonu Premonstratensów, u nas w Polsce znanych pod imieniem Norbertanów. Zebrał doń z iście mrówczą pracą wszystkie dane dotyczące osób i domów tak, że dał nam najdokładniejszy obraz całego zakonu, jego rozwoju i prac.

Obecnie leży przed nami inny katalog. Zadaniem jego przeliczyć zastępy sług św. Norberta tylko w przełomowej chwili dwóch wieków, XIX i XX. W przedmowie wydawca zaznacza z naciskiem, że w obecnej chwili synowie św. Norberta podnoszą serca po kilkuwiekowych ciężkich przejściach i próbach, zbierają swe siły, w nadziei, że młode latorośle Zakonu wszczepione w drzewo Kościoła obfitym zwisną owocem. Słuszna więc uczynić przegląd ludzi i klasztorów, zobaczyć, ile do dalszej walki gotowych ochotników.

W istocie żaden może z zakonów nie zaznał tylu bolesnych kolei rozterki wewnętrznej czy nieprzyjaznych wpływów zewnętrznych, ile zakon Premonstratensów. Boć cały okres czasu od wdarcia się na opactwo Prémontré kardynała Richelieu, aż niemal po pierwszą generalną kapitułę w Wiedniu 1883, pod prezydencyą nuncyusza Vanutelli, był epoką upadku Zakonu. Z tem większą też radością bierzemy do ręki ten katalog odrodzonej drużyny św. Norberta, bo jest on najlepszem świadectwem, że żyje ona życiem zbożnej i pożytecznej pracy w kościele Bożym. Przekonywamy się z niego, jak wszystkie opactwa dobrze opatrzone są w ludzi oddanych pracy, a w poczcie ich nietylko widzimy zakonników pracujących w kościołach i po parafiach, ale wielu zarówno oddanych pracy około wychowania młodzieży po gimnazyach i szkołach, to znowu przy boku biskupów jako ich komisarzy i teologów. Studyum zakonnem kierują ludzie fachowi ze stopniami akademickimi, a nowicyaty już nie świecą pustkami.

Stan Zakonu w liczbach statystycznych, pokazuje się na przełomie dwóch wieków bardzo dodatnio. Podczas gdy wspomniany katalog ks. Dannera z r. 1894 mógł wykazać tylko trzy zorganizowane cyrkarye i jedną kongregacyę, osób zakonnych męskich 878, zakonnic 204 w czterech opactwach a pięciu prioratach, to w chwili obecnej jest cyrkaryi aż pięć: austryacka, brabancka, francuska, węgierska i „prowincyi". Zakon męski liczy 24 domów zakonnych (opactw, kanonii i prioratów) a 950 członków; żeński zaś pięć opactw i tyleż prioratów, mniszek 244.

W polskich ziemiach niegdyś gęsto rozsiedlony zakon Norbertanów, bo cyrkarya polska liczyła w połowie XVIII wieku 15 klasztorów, dziś posiada zaledwo dwa opactwa żeńskie: Zwierzynieckie pod Krakowem a Imbramowickie w Królestwie kongresowem i tamże jeden żeński priorat w Czerwińsku; i to dwa ostatnie konwenty zupełnie odcięte od życia Zakonu, skazane wskutek stosunków politycznych na wymarcie. W Imbramowicach zapisał katalog 4 zakonnice (u Dannera było ich jeszcze 7), w Czerwińsku zaś 6, bez ubytku od 1894 r.

Co się tyczy samego układu katalogu, rozłożono materyał według cyrkaryi porządkiem alfabetycznym. W końcu dla łatwiejszego przeglądu dodano podwójny indeks kanonii: porządkiem cyrkaryi, alfabetyczny, drugi, spis imienny członków zakonu. Katalog bezwątpienia zyskałby jednak wiele, gdyby dodano mu tablicę statystyczną, choćby już nawet nie tak obszerną jak u Dannera.

Katalog zwraca na się oko wytwornością wykonania. Na tę zewnętrzną, nęcącą stronę, złożyły się i papier piękny i druk podwójny a nadewszystko staranne illustracye: pieczęci kapituły zakonnej i wszystkich opactw i kanonij. Szkoda tylko, że przez omyłkę zamiast illustracyi opactwa Zwierzynieckiego dwa razy zamieszczono priorat Oosterhout. Niestety powiedzieć musimy, że te illustracye stanowią główną wartość tego katalogu, bo kosztowne wydanie jego wobec braku ogólniejszego statystycznego zestawienia, a umozaikowane na każdej stronie świeckimi tytułami zakonników sprawia wrażenie mniej dodatnie.

Ks. Jarosław Rejowicz.

Saint François de Sales par *Fortunat Strowski,* ancier élève de l'école normale superieure. (Paris — Plon).

„Św. Franciszek Salezy" przez byłego ucznia szkoły normalnej! To samo już intryguje i mimowoli trzeba się spytać, na jakiem też stanowisku stanął autor? Niech sam za siebie odpowie. „Tu trzeba, tak

pisze o jansenizmie, rozróżnić: „herezyę“ (cudzysłów autora) jansenizmu... a rozumiem pod „herezyami“ niektóre jemu właściwe zdania o łasce, o jakich ja sądu nie wydaję, a których katolicyzm nie przyjął“ (375). Mimo tej pozornej rezerwy twierdzi na innem miejscu p. Strowski, że pogląd na pokutę — na czem praktyczna strona jansenizmu polega — jest u tej sekty prawdziwym: „Pewnem jest, że jansenіści przywrócili właściwe pojęcie pokuty“ (381).

Niema co wątpić, że p. Strowski *de facto* nie jest katolikiem. Czy jest jansenistą? I to właściwie nie. Nie ukrywa on wprawdzie swej sympatyi do tej szkoły, ale trudno go tak nazwać, bo jest on właściwie tylko literatem-krytykiem. Zato śmiało powiedzieć można, że pisze w duchu jansenistycznym. Według niego osławiony opat de Saint-Cyran — to wielki dusz kierownik (202), to postać dodatnio uzupełniająca swą działalnością prace św. Franciszka Salezego i św. Wincentego a Paulo (211, 223, 267); matka Angelica to ideał cnoty chrześcijańskiej; Port Royal to „klasztor bardziej męski, niż na klasztor zakonnic wypadało“ (203).

Przyznać jednak trzeba, że mimo to, na tle po mistrzowsku scharakteryzowanej epoki odrodzenia religijnego we Francyi, podał nam p. Strowski szkic wspaniały takiej monumentalnej postaci, jak był św. Franciszek Salezy. Nie chodzi mu o to, aby napisać życiorys; jego celem jest w głównych zarysach uprzytomnić nam tę wielką osobistość i jej działalność wśród współczesnych. Dlatego też w pojedynczych częściach zajmuje się świętym jako kaznodzieją, potem jako kierownikiem dusz, a wreszcie jako pisarzem. Tu jest on prawdziwie mistrzem, bo na podstawie dokumentów, ze ścisłą a bezstronną, jasną a treściwą analizą, bada swój przedmiot. Szczególnie dwa wiekopomne dzieła św. Franciszka, „Filotea“ i „Traktat o miłości bożej“, rozbiera przewybornie. Widać, że autor z zapałem i zrozumieniem nad niemi się zastanawia. Nieraz wierzyć się nie chce, żeby mógł ktoś tak sobie przyswoić naukę św. Franciszka, a inaczej jak on czuć i myśleć. I tu, rzadkie co prawda, dygresye pod adresem jansenizmu psują wrażenie i przypominają z kim się ma do czynienia. W każdym razie to jest pewna, że z materyału przy tej pracy z wielką wprawą nagromadzonego wiele korzyści odnieść może każdy kaznodzieja, każdy asceta lub każdy spowiednik. Tu bowiem poznać można, skąd pochodził ów wpływ niebywały, jaki swem słowem i pismem na współczesnych i potomnych wywierał św. Franciszek. Nie było to nic innego — obok łaski bożej, obok głębokiego przejęcia się duchem wiary — jak

to, co w języku kaznodziejskim nazywamy popularnością i praktycznością. *Ad hominem loqui* — oto dewiza św. Franciszka; a celem jego zapanować nad całą wewnętrzną istotą kierowanej przez siebie duszy, nie przez suche cytowanie dowodów i prawd, ale przez stosowanie ich praktyczne do najdrobniejszych szczegółów życia, przez jasność i trafność porównań, przez zaznajomienie wreszcie człowieka ze sobą samym. Zasadę starej filozofii pogańskiej: *nosce te ipsum*, uczy św. Franciszek stosować do siebie przy świetle już nie rozumu, ale wiary. Liczne cytaty, zręcznie przytoczone przez p. Strowskiego, pokazują nam, jak św. Franciszek tę dewizę w praktyce stosował i jak do tego celu na ambonie, w konfesyonale, w życiu prywatnem i w pismach zdążał. Podnieść tu trzeba znakomitą charakterystykę obu dzieł wiekopomnych świętego. „Filotea", to szkoła dla początkujących; „Traktat o miłości bożej" to szkoła dla doskonałych. Jedno uzupełnia drugie.

O tem drugiem kilka słów, choćby dlatego tylko, że mało jest ono znane. Sam autor przyznaje, że „Traktat" niesłusznie był i jest mniej czytany niż „Filotea". Przyczyny tego dopatruje się w tem właśnie, co skądinąd stanowi główną zaletę świętego, w praktycznem przedstawianiu rzeczy. „Traktat" jest w myśli św. Franciszka dziełem apologetycznem, umiejącem Ewangelię zalecić nie drogą filozoficznego rozumowania, ale wykazaniem ścisłego związku, jaki ma z żądną dobra i piękna naturą człowieka. Człowiek to mały świat, to państwo. Wielu w nim poddanych, wielu nieprzyjaciół. Zadaniem wolnej woli jest zaprowadzić tam porządek, buntowników poskromić, zmusić do posłuszeństwa i w ten sposób, w miejsce walki, przywrócić utraconą przez grzech harmonię i ład. A temu wola potrafi sprostać jedynie wtedy, gdy sama miłości bożej opanować się pozwoli; do czego znowu niezbędną jest łaska. Tu święty przerzuca się w inną stronę i wykazuje, jak Pan Bóg w miłości swej nieskończonej ku każdemu człowiekowi, stara się mu dopomódz w tej pracy i łaską swą go uprzedza. Jeżeli człowiek głuchym na to wołanie nie będzie, nastąpi złączenie przez łaskę woli jego, miłującej Boga z Bogiem, miłującym duszę i wtedy cel jest osiągniętym a człowiek staje się przez Chrystusa Pana szczęśliwym. Samo przeczytanie traktujących o tem rozdziałów p. St. już z tego względu wiele pożytku przynosi, że zachęca do studyum dzieł św. Franciszka. A jest to bardzo na czasie, bo jeżeli kiedy to dziś wśród chaosu pojęć fałszywych i przewrotnych o najświętszych prawdach tyczących się natury ludzkiej, dobrze jest mieć jasno przed sobą zakreśloną drogę. Tę drogę wskazuje św. Franciszek Salezy; dlatego

Kościół zaliczywszy go w poczet nieśmiertelnych swych doktorów, tak usilnie zaleca jego dzieła. Zauważyć tu musimy, że, na wyraźne życzenie Leona XIII, uczony Benedyktyn angielski, Dom Muckey, zajmuje się obecnie wydawnictwem wszystkich dzieł naszego świętego.

Objektywna i ścisła charakterystyka św. Franciszka jest stroną dodatnią dzieła p. Strowskiego — tu celuje on jako wytrawny i fachowy krytyk. Ale kiedy, porzuciwszy pole analizy, poczyna bawić się w syntezę, porównywać, oceniać przyczyny i skutki działalności świętego i jego stanowisko w dziejach rozwoju Kościoła, wtedy dopiero zaczyna się błąkać. Pan Strowski, jako umysł bystry, rzutki, nie lubi gubić się w szczegółach, ale woli w wielkich zarysach a kilku słowach ukryć myśl wielką, nieraz wspaniałą, aby olśnić czytelnika oryginalnością poglądu i nowością punktu wyjścia. Stąd jednak łatwo wpada w paradoksy, w których nie wiadomo, co raczej podziwiać, czy nowość pomysłu, czy też śmiałą zuchwałość mieszczącego się w niej nieraz fałszu.

Kończąc, musimy wyznać, że jak dla teologów i duszpasterzy książka p. Strowskiego przynieść może wiele korzyści, o ile tylko samą osobistością św. Franciszka się zajmuje, tak dla ogółu byłaby ona szkodliwą dla tego balastu osobistych rozumowań autora, opartych na podstawie wrogiej prawdzie i Kościołowi.

Ks. Aleksander Mohl.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

ZA CO MA AUSTRYA WSZECHNIEMCOM DZIĘKOWAC?

Stolica Apostolska potępiła amerykanizm wraz z jego ulubioną mrzonką, że protestantów ująłby sobie Kościół, gdyby ich nie drażnił ani sporów z nimi nie wszczynał, tylko poprzestał na wykładzie wiary katolickiej bez wzmianki o prawdach drażliwych dla uszu protestanta. Gdyby kto mógł wątpić, czy słusznie Stolica Apostolska za mrzonkę poczytała ową drogę do zgody z protestantami, poznałby słuszność tego kroku na sam widok najazdu protestanckiego na kraje katolickie: na Austryę, na Włochy i nawet na Rzym. Wszak w tych krajach nikt nie pragnął ani drażnić protestantów, ani ich mieć i widzieć u siebie: jednak spokojny rozwój Kościoła Powszechnego drasnął protestantów i pobudził ich do zaczepnej walki z hasłem: Ze Rzymem precz!

Zwłaszcza w Austryi katolicy nikomu nie dali powodu do skarg, jakoby drażnili inne wyznania, ani nawet z żydami nie wszczynali waśni religijnych, tem mniej z protestantami, bo sami przez lata o własnym Kościele mało wiedzieli. Żydzi swoim współwyznawcom niech dziękują za różne sprawki, które chrześcijan wciągnęły do obozu antysemickiego. Katolicka Austrya wszechniemieckim protestantom może podziękować za ich za-

czepną wojnę przeciw Kościołowi, bo dopiero hasłem *Los von Rom* ocknięci z ospalstwa katolicy pomału zaczynają ściągać swoje zastępy na obronę wiary.

Wszechniemieckie zuchwalstwo tak postępowało, jakby zamierzyło obudzić przeciw sobie ruch ze strony katolików. Bez znacznego z katolickiej strony oporu brzmiało już od paru lat hasło: Precz z Rzymem!; ale wszechniemcy, niezadowoleni odniesionemi zdobyczami, zapragnęli raźniej doprowadzić dzieło do końca i przez to przebrali miarę; napotkali na drodze tamę, której już nie zdołają spokojnie usunąć: muszą przebojem iść naprzód albo żwawo zawrócić wtył, bo ich dalej nie puszcza rozbudzony duch katolicki.

Jeszcze przed dwoma miesiącami katolicy nie przybierali groźniejszej postawy, a protestanci ciągle naglili swoje zastępy do gorętszej pracy i wyrzucali im stracony czas na krzykach i marnowany grosz na walce bez odpowiedniego pożytku. Pierwszego lipca na wiecu w Chebie Eisenkolb dowodził, że, z winy słabego rządu w Austryi, Rzym w niej poczyna sobie, jak chce. „Papież rości sobie prawa... ale Pan Bóg stworzył świat bez pomocy namiestników i papieży. Pan Bóg pokrywa ziemię kwieciem i trawą, a nie papież. Krzyki przeciw temu nie poradzą: trzeba czynem żyć w duchu hasła: Precz z Rzymem!“ Schalk zbierał długotrwałe oklaski za przepowiednię, że jeżeli klerykali myślą o przemocy, jeżeli sieją myśl o zawieszeniu konstytucyi, tedy zbiorą w następstwie jako plon atmosferę pełną żaru, w której bagnety stalowe stopnieją jak wosk. Schönerer, oczywiście niezbędny członek podobnych wieców, dotrzymywał godnie kroku innym podżegaczom.

Prasa wszechniemiecka śpieszyła dolewać oliwy do ognia i pobudzać do większego zapału swoich współpracowników. *Kreuz Zeitung* w ostatnim przeglądzie spraw kościelnych pisała: „Co do ruchu *Precz z Rzymem!* przez dłuższy czas czekaliśmy na wiarogodną statystykę; wydała ją nakoniec ewangelicka Rada Najwyższa zboru wiedeńskiego, ale zapisała ledwo 9865 osób, jako zysk ewangelików na Kościele Katolickim. Ta liczba sama nie nadaje prawa do mowy o jakimś wielkim r u c h u,

ani nie wystarczy, aby wyjaśnić wielki nakład pracy łożonej na pomoc dla odstępców... liczba odstępstw zmalała z roku 1899-go na 1900-y o 1327 dusz". Aby jednak przypadkiem nie ostygał wszechniemiecki zapał na widok zmarnowanych pieniędzy i pracy, *Kreuz Ztg* dalej zachęca pracowników do dzieła słowami pochwały, że przez ich trud — od Rzymu odpadają dusze wyższe i wolne od ziemskich pobudek i względów a przekonane o prawdzie protestantyzmu. Ale tę pochwałę nieszczęśliwie popiera *Kreuz Ztg* dwoma przykładami: d-ra Ebenkolba i pana Wolfa. Zwraca na to uwagę pruska *Politik* i przypomina świeże słowa Ebenkolba, że trzeba być wolnym od pętów rzymskich, aby dojrzeć do poddaństwa pod berłem niemieckiem; ani Wolf nie wygląda głęboko przekonany o prawdzie bądź luteranizmu, bądź jakiegobądź wyznania chrześcijańskiego, kiedy odnawia w przeróżny sposób staro-germańską cześć dla bożka Wuotana i urządza na jego pamiątkę obchody.

Jednak *Politik* przez te uwagi nie zmniejszyła czci dla Wolfa u jego zwolenników. W braku świetniejszych zwycięstw wszechniemcy dodawali sobie ducha pochwałą, daną im przez *Kreuz Ztg* i ciągle na wiecach i zjazdach powtarzali, że odstępcy od Kościoła przechodzą na luteranizm z czystych pobudek religijnych. Zapewniali o tem na zjeździe Związku Gustawa Adolfa w Brandenburgii predykant Pellar z Friedland w Czechach, a jeszcze głośniej superintendent Gummi z Aussig, i ogłosili nowinę, że tylko jezuiccy oszczercy rzucają na nich potwarz, jakoby ich praca obrabiała właściwiej polityczne pole, niż religijne, jakoby hasło *Los von Rom* znaczyło tylko *Los von Oesterreich;* potwarz ta nie zawiera ani źdźbła prawdy. Tę nowinę *Reichspost* za predykantami powtarza z tą krótką uwagą, że widocznie Jezuici sobie wychowali na potwarcę także posła Steina, tego, który zażądał w pełnej izbie napędzenia Jezuitów z Austryi, a który na innem miejscu wołał jawnie: „Do Prus chce się nam! Niech Prusy nas zagarną, tego chcemy!"

Na te zarzuty katolickich pism wszechniemcy nie zwracali uwagi w przechwałkach swoich i zapowiedziach tryumfów, w których przezierał u nich ten gorący zapał, co wyraża niezłomną

nadzieję zwycięstwa i przelewa wiarę swoją w słuchaczy. Ten właśnie zapał i wiara w zwycięstwo zaczęły coraz widoczniej przyśpieszać ruch wszechniemiecki i dawać jego przedstawicielom przewagę nad katolikami, którzy zbywali sprawę słowami pociechy, że plewy odpadają od Kościoła. Ale widok takiego mnóstwa plew, nagromadzonych w niektórych okolicach, okazuje, że tam gospodarka szła, niestety, przez lata bardzo opieszale. Zwraca na to uwagę *Kölnische Volksztg* i nie tai głębokiego smutku, kiedy pisze: „Bardzo tam niewesoło w Austryi, gdzie hasło: *Z Rzymem precz!* brzmi jeszcze nieustannie i coraz donioślej...“ i na dowód zwiększonej liczby świeżych odstępstw przytacza ten dziennik wymowne szczegóły: w samem miasteczku Aussig liczba ich podskoczyła do tysiąca, w Gracu zaczęła drugi tysiąc, wogóle doszła do piętnastu tysięcy. Z dwudziestu dwóch posłów niemiecko-narodowych czternastu odpadło od Kościoła a, mimo odstępstwa, przy ostatnich wyborach wszyscy otrzymali krzesła poselskie, potwierdzeni na nich znaczną przewagą głosów w okręgach zwłaszcza katolickich. W północno-czeskich okręgach katolicki zmysł nie daje znaku o sobie od kilkudziesięciu lat. Na jednem miejscu, słynnem z cudownego obrazu, świadek wiarogodny przyznaje, że prócz garstki miejscowych wyrobników nikt stale nie chodzi do kościoła, a w gospodach czekają na gości dzienniki bez wyjątku wolnomyślne. *Vossische Ztg* donosi, że książę biskup praski Skrbensky, naocznie sprawdził postępy hasła wszechniemieckiego, kiedy w okręgu Saaz znalazł ledwie że nie samych odstępców po wszystkich parafiach, w Hornowicach już tylko cztery rodziny katolickie, w Woratschen usłyszał przy wjeździe powitalny okrzyk: „Nie trzeba nam pańskiego błogosławieństwa! *Los von Rom!*“ Przemowy biskupie przebrzmiały bez wpływu.

Również *Politik* pokazuje, że iskra rzucona przez Wolfa i towarzyszy zapala plewę nie przypadkiem porzuconą tu i owdzie, ale z tej iskry pożary po całych okolicach trawią śpichlerze, jedynie plewą zapchane.

W podobnym duchu żyją i sądzą o swojej wierze mieszkańcy innych okolic austryackich, zarażeni „wolnomyślnym

katolicyzmem", przeciwstawianym „katolicyzmowi klerykalnemu". W tym duchu np. wydawane pismo rzekomo katolickie *Grazer Volksblatt* roni łzy nad brakiem osobnego dziennika katolickiego dla Niemców w Czechach; utyskuje, iż bez takiego dziennika tamtejsi katolicy obojętnieją dla sprawy Kościoła, a w tymże numerze tenże sam dziennik obrzuca nieomal błotem biskupa wraz z kapitułą, iż w Eisenstein parafią rządzi proboszcz Czech. Przyznaje ten dziennik, że ów ksiądz zawsze zupełnie zaspakajał duchowne potrzeby Niemców, ale cóż stąd? Nie naprawił krzywdy, którą wyrządza społeczeństwu, bo Czechem z Czechów urodzony nie przeszedł na Niemca!

Hasło „Precz z Rzymem!" leci daleko po różnych dzielnicach Austryi i wszędzie znajduje odgłos, gdzie spotka szał narodowościowy. Takieto pobudki przygrywają także madiarom w Chorwacyi do odstępstwa od Rzymu. Trzystu katolików przeszło tam na protestantyzm, rozdrażnionych na biskupa Strossmayera za jego odpowiedź odmowną na ich prośbę o proboszcza madiara. Świeżo, tamtych śladem, poszło dwa tysiące katolików w Mitrowicach z tego samego powodu.

Hasło odstępstwa nie w samej Austryi brzmi: grozi także okolicom, gdzie Kościół korzystał dotychczas z gościnnego przytułku, niby w najętym domu, np. w protestanckiej diasporze. W Berlinie rok ubiegły zamknął rachunki ze znakiem m n i e j dla katolicyzmu, a przeważna część tamtejszych katolików zawiera małżeństwa mieszane, więc z biegiem lat tracą do szczętu siłę odporną przeciw naciskowi luteranizmu. Po innych miastach większych, zamieszkanych głównie przez protestantów, jak w Hamburgu, Magdeburgu i t. d., stan katolicyzmu niemniejsze budzi obawy, a po wsiach strata dusz dosięga większych rozmiarów. Pomocy zewnętrznej nie mogą tym katolikom w diasporze dostarczyć księża większej, niż dotychczas dostarczali: jeżeli tam duch katolicki nie powieje i wewnętrznie nie wzmocni tysięcy dusz pozbawionych z zewnątrz pomocy, tedy nie można przewidywać nic innego, jak odstępstwa liczniejsze niż dotąd.

I na Wielkopolskę padło już oko wszechniemców: wypa-

trzyło kilkanaście miejsc, gdzie staną zbory protestanckie z funduszów hojnie na to dostarczonych. Na brandenburskim zjeździe Związku Gustawa Adolfa roztrząsano pilnie przeszkody, dla których hasłem swojem dotychczas nie rozpalono dość serc w Wielkopolsce. Spotkali tam istotnie silny opór: poznański nadradca konsystorza protestanckiego Reichard tęsknie na owym zjeździe westchnął: „Ach, gdyby to u nas widzieć w Poznańskiem ruch, o jakim słyszymy w Czechach!...“

Istotnie w północnych Czechach kto tylko chce zbiera odstępców od Kościoła. Wszechniemcy za równą zdobycz poczytują, — dość słusznie, — każdego odstępcę od Rzymu czyto pod chorągiew Lutra, czy Husa, czy Reinkensa: więc i husyci i staro-katolicy równo z protestantami łowią teraz zbiegów z obozu katolickiego. Nim nastał ruch wszechniemiecki, Hus zdawał się być pogrzebany w pamięci; obecnie *Narodnie Listy* po tegorocznym obchodzie na cześć Husa przepowiadają, że „męczennik z Kostnicy“ liczyć będzie z roku na rok coraz więcej wielbicieli, aż ujrzy swój dzień pamiątkowy, obchodzony uroczyście jako narodowe święto czeskie. Ten „olbrzym“ w oczach *Narodnich Listów* uchodził długo za odnowiciela Czech, w których przed Husem pod opieką Rzymu rzekomo zacierały się już ostatnie ślady chrześcijaństwa wskutek złych obyczajów. Poprawa obyczajów ma stanowić zasługę Husa. Niestety, Palacky zdarł z czoła Husa wieniec tej zasługi, wykazując źródłowo, że chociaż rzeczywiście wielu katolików przed Husem przez żywot naganny gorszyło niewinnych, przecie nie zdołaliby zgorszyć ani Husa ani jego zwolenników, bo ci, ledwo odpadli od Rzymu, zabrnęli z Adamitami w takie błoto, w jakiem nigdy nie widzieli swoich „gorszycieli“ katolickich. Skutkiem tych dowodów Palackiego Hus zmalał z olbrzyma na bakcyla, który zaraził tylko ustrój społeczny: to też za świadectwem *Katolickich Listów* światły Czech w ostatnich czasach o Husie najchętniej milczał. Ale ruch przeciw Rzymowi zaczyna pomagać do ziszczenia przepowiedni co do mającej odnowić się czci reformatora z Kostnicy.

Staro-katolicy korzystają także z obecnej chwili, zwłaszcza,—jak donosi *Tagesbote*, — na Morawii. Np. w M. Schoenberg

proboszcz staro-katolicki miał w całej parafii jedno dziecko szkolne przed dwoma latami, przed rokiem już czterdzieści troje dzieci, w obecnym roku szkolnym uczy ich sześćdziesięcioro: od stycznia udzielił pięćdziesięciu czterech chrztów i dwudziestu dwu ślubów, a w parafii liczy 1416 dusz. Jak zwinnie chwytają staro-katolicy dusze, może okazać wypadek w St. Hraden, gdzie na ulicy Teresę P. spotkała nieznajoma osoba i zagadnęła ją, czy nie życzy sobie wstąpić do związku, który swoim członkom urządza bezpłatnie pogrzeb. Na tę wędkę złapana Teresa dostała arkusz papieru, na którym musiała nakreślić trzy krzyżyki, bo nie umiała czytać ani pisać. Dopiero od kogoś ze znajomych potem usłyszała, że przez krzyżyki potwierdziła odstępstwo od Kościoła. Przerażona zażądała, aby ją natychmiast proboszcz staro-katolicki, Ferk, wypisał ze swoich ksiąg, ale odprawiona z niczem, musiała w urzędzie świeckim szukać obrony przed pasterzem, który ją do owczarni swojej porwał wcale nie po apostolsku.

Dzięki tedy takiej pracy skrzętnej i apostolstwu niewybrednemu w środkach, wszechniemiecki prąd potężniał w ostatnich miesiącach i dziennikarstwo bezwyznaniowe różnych odcieni z dumą opisywało, jak pewne zwycięstwa pułki, uzbrojone przeciw Kościołowi, ruszają przy dźwięku pieśni, natchnionej nadzieją, że niedługo ich naporowi ulegną szańce obronne rzymskiego ciemięzcy i wnet ludy wyzwolone z pętów klerykalizmu zaśpiewają hymn Carducciego. Właśnie w katolickich krajach,— tak dalej piszą owe dzienniki, — ludy zrzucają jarzmo średniowiecznej wiary: jedni drugim podają hasło: Ze Rzymem precz! Najsilniej trzeszczą filary klerykalizmu w Austryi, Francyi i na iberyjskim półwyspie; sam kardynał Parochi wyznał, że obecny ruch ogarnia Włochy, ba nawet Rzym, i zamierza papieżowi wydrzeć jego własną dyecezyę, aby na tytularnej już rzymskiej stolicy zasiadał sobie papież jako biskup *in partibus infidelium*.

Na tej przecie zuchwałej groźbie dla Rzymu stanąć musiała pycha wszechniemiecka; przebrała miarę cierpliwego ospalstwa katolików austryackich. Niemcy i Czesi tysiącznymi zastępami, a z południowej Słowiańszczyzny i innych krajów ra-

kuzkich ochotnicy dziesiątkami ruszyli do walki na widok niewątpliwego już niebezpieczeństwa. Z zapałem, który obiecuje bardzo dobre następstwa, katolicka Austrya poszła w ślady niemieckich katolików, którzy dawno przestali usypiać sumienia wymówką, że jeszcze u nich nie najgorzej, że tylko stetryczały pesymizm nagli do wytężonej pracy i obrony przed zalewem złego, że można przeczekać cierpliwie, aż sami wrogowie Kościoła zaprzestaną napaści. Niestrudzeni w cesarstwie niemieckiem katolicy, a wyćwiczeni w walce, zaliczają swoje wiece i zjazdy do dzielnych środków obrony praw Kościoła. Podziałał na Austryę ich przykład, szczególniej ich ostatni wiec w Osnabrücku. Wiec ten istotnie mógł przemówić do serca katolickiego. Mimo chmur skłębionych nad całym widnokręgiem, katolicy spokojnie idą do miasta protestanckiego na naradę nad swojemi potrzebami. Kiedy stanęli i policzyli swoje zastępy, znaleźli liczbę uczestników, jakiej nie dosięgnął prawie żaden wiec poprzedni. Kiedy spojrzeli na twarze protestantów gospodarzy, do których przyszli w gościnę, znaleźli wyraz uprzejmy, który im mówił: radźcie o swoich potrzebach, bo widać po was, żeście chrześcijanie, którzy nad dobremi sprawami radzicie, i uradzicie co lepsze. Więc ze spokojną powagą płynęły te narady. Mowcy jedni po drugich zdawali sprawę z dotychczasowych dorobków na polach pracy katolickiej, i słyszeli krótką odpowiedź od słuchaczy znawców: wytrwajcie w dobrem... Pochód robotników w liczbie kilkudziesięciu tysięcy wspaniale rozpoczął wiec, jako objaw tej potęgi wiary, która wydziedziczonym wobec świata przynosi spokój serca i zabezpiecza ich przed pokusami ze strony czerwonego sztandaru. Uchwały wiecu zapewniły dalszy rozwój katolickim związkom, między innemi Towarzystwu św. Rafała dla wychodźców. Spokojny nastrój umysłów na wiecu, poważny tok rozpraw i dobroczynny ich wynik podziałał silnie na naocznych świadków z kół protestanckich, choć rozdrażnił sprawozdawców pism bezwyznaniowych. Ten obóz ze zgrozą spoglądał na objaw katolickiego ducha, jako na objaw zaczepny.

Pociągnięci przykładem wieloletniej walki Niemców północnych austryaccy katolicy i zagrzani do walki groźnem nie-

bezpieczeństwem, zerwali nakoniec ze swoją wypieszczoną zasadą: *quieta non movere!* Więc w krótkim czasie zapowiedzieli rzędem tyle wieców, ile ich nigdy nie pamiętała Austrya. Raz po raz szły i idą ciągle albo tłumy świeckie albo zastępy niższego duchowieństwa do Wiednia, do Kromieryża, do Lutomierzyc, do Ołomuńca, do Welehradu, do Zagrzebia, do Asch i t. d., a rozjątrzeni tym widokiem wszechniemcy urządzają kontrdemonstracye coraz liczniejsze.

Z wielkim zapałem odbywane wiece nie stanowią jeszcze całej obrony katolików przed hasłem *Los von Rom!* Pojawiły się liczne broszury objaśniające sprawę ludowi, w seminaryum wiedeńskiem powstał osobny dział wykładów w tym celu, aby apologetycznie przedstawić stanowisko Rzymu; po różnych dyecezyach przedmiot ten służył do konkursowych rozpraw i znalazł rzeczników na konferencyach duchowieństwa. Za ten rozbudzony ruch katolicki ma Austrya dziękować wszechniemcom. Po długim i zgniłym pokoju stanęły do walki dwa wrogie obozy. Który zwycięży? Za jakieś zwycięstwo możnaby poczytywać już to samo, że Austrya przemogła swoje ospalstwo; oby tylko nie zechciała na tem zwycięstwie poprzestać...

Ks. K. Czaykowski.

Niemieckie zjazdy katolickie.

Z pośród różnych zjazdów, kongresów, wieców, meetingów, w które obfitowały letnie wakacye tegoroczne, na szczególną naszą uwagę zasługują wiece katolickie, jakie odbyły się w tym czasie w różnych krajach Europy. Z innych wieców katolickich w swoim czasie i na swojem miejscu podamy nasze sprawozdania i wrażenia; obecnie zdamy sprawę z przebiegu i rezultatów tych tylko trzech wieców, które urządzili katolicy niemieckiej narodowości, w Niemczech i Austryi: w Osnabrücku mianowicie, Lutomierzycach i Ołomuńcu.

Zacznijmy od wieców austryackich, jako nam bliższych.

Wiec katolików niemieckich w Lutomierzycach w północnych Czechach odbył się w niedzielę dnia 25 sierpnia. Cel tego zjazdu ja-

sno wypowiada odezwa, zjazd zwołująca: „Zgromadzenie zupełnie nie ma charakteru politycznego i nie służy żadnym politycznym celom i zamiarom. Co chcemy przez ten zjazd osiągnąć, to wzmocnienie się wzajemne w wierze i zjednoczenie w zgodzie. Zgromadzenie ma być także głośnym protestem przeciw agitacyi *Los von Rom* i przeciw podżegaczom religijnym. Zgromadzenie ma się stać energicznem wezwaniem do wszystkich ludzi dobrej woli, aby wysoko i z odwagą nieśli sztandar chrześcijanizmu i austryackiej ojczyzny".

Wiec rozpoczął się od uroczystego pochodu do katedry 30 związków katolickich, które wystąpiły ze swoimi sztandarami. W katedrze ledwie tylko część uczestników wiecu zdołała się pomieścić. Kazanie o *Los von Rom* wypowiedział słynny kaznodzieja z zakonu św. Benedykta, O. Alban Schachleiter. Przyczynę licznych odstępstw w Austryi od św. wiary katolickiej upatruje kaznodzieja w obojętności i ospalstwie w wierze i w życiu z wiary. Czcigodny starzec, ks. biskup Schöbel, przed udzieleniem swego błogosławieństwa zebranym na wiec uczestnikom, przemówił słów parę, w których agitacyę przeciw Rzymowi nazwał ohydną i zachęcił do obrony, zwłaszcza przez prasę katolicką.

Posiedzenie odbyło się tylko jedno. Wzięli w niem udział między innymi: książę Carlos Clary, książę Zdenko Lobkowic, książę Ferdynand Lobkowic z synem, hr. Jan Ledebur, hr. Józef Herberstein z małżonką, hr. August Kinsky z małżonką, baronowa Marya Kopal z córką, baronowa Jadwiga Henneberg-Spiegel, baronowa Marya Liebig i wielu innych świeckich i duchownych dostojników. Posiedzenie otworzył ks. kanonik Józef Pohl i w dłuższem przemówieniu nacisk położył na cel zjazdu tj. na wielką manifestacyę katolicką. Po nim wypowiedział mowę p. Wilhelm Keilmann na temat: „Rodzina chrześcijańska jako rozsadnik Kościoła i państwa". Następnie ks. prałat Kondač wygłosił referat o „prasie katolickiej i jej wrogach". Wreszcie, na zakończenie ks. Franciszek Boyssl T. J. mówił o „katolicyźmie i duchu czasu": zachęcał do wiernego stania pod tym sztandarem, który Kościół przed nami rozwija, sztandarem jedności, prawdy i wolności.

O wiele jeszcze świetnością i liczbą uczestników wyżej od poprzedniego stanął zjazd katolików niemieckich w Ołomuńcu, zwołany na dzień 8 i 9 września przez ks. arcybiskupa Kohna. Prócz niego samego uczestniczyli w zjeździe między innymi: ks. biskup Bauer, książę i księżna Thurn-Taxis, hr. Karol Seiler, hr. Franciszek Seiler, hr. Franciszek Harrach, hr. Otton Serényi, hr. Fryderyk Stollberg, hr. Józef

Thun, hr. Franciszek Belcredi, hr. Silvia-Tarouca, hr. Ledóchowski, hr. Strachwitz, hr. Bellegarde, hr. Spiegel, baron Rudolf Stillfried, baron Rolsberg i t. d.

Podobnie jak w Lutomierzycach, rozpoczęto od świetnego i uroczystego pochodu, który wyszedł z dworca kolei północnej, gdzie witano przybyszów, poszedł naprzód przed pałac arcybiskupi, urządził wspaniałą owacyę ks. arcybiskupowi, stojącemu na balkonie i stamtąd udał się do kościoła katedralnego. Kazanie wygłosił ks. Freund, Redemptorysta, w którem zbił przedewszystkiem zarzut, jakoby wiece i zjazdy katolickie były demonstracyami politycznemi. Po kazaniu sumę pontyfikalną odprawił ks. arcybiskup Kohn w asystencyi wikaryusza generalnego ks. Weinsicha i ks. kanonika Kluga. Otrzymawszy błogosławieństwo arcypasterskie, uczestnicy zjazdu udali się, luźnemi już grupami, na miejsce posiedzeń.

Magistrat miasta Ołomuńca okazał się bardzo niegościnnym, bo odmówił sali obrad Rady miejskiej na posiedzenia wiecowe. Musiano się więc tłoczyć w salach i korytarzach gmachu seminaryjnego.

Otworzył wiec przewodniczący komitetu miejscowego, prof. dr. Zittel. Posiedzeniu przewodniczył, prezesem wiecu obrany, hr. Stollberg. W mowie powitalnej podziękował księżom biskupom, Kohnowi i Bauerowi, za ich współudział, jakoteż komitetowi miejscowemu wyraził uznanie gorące. Hr. Stollberg silnie i dobitnie zaznaczył stanowisko katolików wobec hasła „Precz z Rzymem“: hasłu temu przeciwstawić należy hasło: „Do Rzymu“. Ks. biskup Bauer w swem podniosłem przemówieniu wyraził politowanie dla tych, co tak wrogo występują przeciw chrześcijanizmowi. Potem zabrał głos O. Auracher, Kapucyn, i wygłosił mowę na temat: „Bez religii państwo istnieć nie może“. Mowca wykazał, że w religii tkwi postęp, a wszelkie objawy niereligijności są cofaniem się wstecz. Nie jest rzeczą obojętną, czy w danem państwie religia właściwą jest tylko pewnym warstwom ludności, czy też cały ustrój państwowy, w ustawodawstwie, w życiu publicznem, w rządzących i rządzonych członkach, na wskróś jest przeniknięty poglądami religii chrześcijańskiej. Obowiązek przeto powstaje dla każdego członka państwa krzewić religię i życie religijne. Kto tego obowiązku nie spełnia, grzeszy przeciw państwu. W szczególności ks. Auracher zwrócił uwagę na wstecznictwo, jakie u nas panuje w zakresie obowiązków religijnych, przez piąte przykazanie boskie na nas nałożonych: Pojedynkujący się uchodzą za bohaterów „a kto, jak hr.

Ledóchowski, pojedynku nie przyjmuje, od czci i sławy zostaje odsądzony".

Mowę ks. Aurachera przyjęto grzmiącymi oklaskami, a na wspomnienie tego męża, co padł ofiarą zacofanej a przesądnej opinii wiedeńskiej, owacyę zrobiono obecnemu na zebraniu hr. Ledóchowskiemu.

Ponieważ na korytarzach seminaryjnych nie mogła się pomieścić wielka część uczestników wiecu, przeto urządzono dla niej posiedzenia równorzędne w kościele św. Michała. Mowcy wiecowi musieli zatem dwa razy wygłaszać swoje referaty.

Popołudniu na trybunę wstąpił ks. Boyssl T. J. i wypowiedział mowę na temat: „Wolność i niezawisłość Stolicy rzymskiej". Szczególnie utkwiło w pamięci słuchaczy rozumowanie mówcy, że *Los von Rom* jestto po prostu *Los von Christus*. Następnie przemawiał p. Józef Moser o prawdziwej wolności i powadze władzy, a wreszcie O. Freund o obowiązkach katolików w życiu publicznem i prywatnem.

Zjazd się zakończył podniosłą, a z wielkiem namaszczeniem wypowiedzianą, mową ks. arcybiskupa Kohna i udzieleniem arcypasterskiego błogosławieństwa.

Oba austryackie zjazdy katolików niemieckich wywołały silną reakcyę w obozie losvonromowiczów, którzy wszelkich dołożyli starań, aby przeszkodzić zorganizowaniu samych zjazdów i sparaliżować ich działalność. Kiedy się wszelkie szykany nie udały, a zjazdy zapowiadały się świetnie, reakcya antikatolicka ze swojej strony zabrała się do zorganizowania jednoczesnych swoich zjazdów jako protestujących i kontrdemonstrujących przeciw wiecom katolików.

W Ołomuńcu odbyły się aż dwa takie meetingi: socyalistyczny i narodowców niemieckich. O przebiegu obrad i nastroju uczestników możemy wyrobić sobie trafny sąd ze sposobu, w jaki zaraz po odbyciu zgromadzeń zaczęto w praktykę wprowadzać powzięte tam rezolucye: uliczne burdy i karczemne napaści na katolickich wiecowników uwieńczyła kocia muzyka, urządzona przed pałacem arcybiskupim.

Podobną cechę miał wiec schönererowców, protestujący przeciw zjazdowi katolików w Lutomierzycach. Poważny sprawozdawca określa przebieg tego antikatolickiego meetingu jako szereg wymysłów, potwarzy i złorzeczeń, wymierzanych na „klerykałów" i Kościół katolicki. Zapał losvonromowiczów doszedł do punktu kulminacyjnego właśnie wtedy, kiedy przedstawiciel rządu musiał rozwiązać w imieniu prawa to budujące zgromadzenie. Zato na głowie komisarza rządowego miał

się rozbić kufel z piwa, ale, na szczęście, w drodze mu stanął jakiś urzędnik namiestnictwa i padł ofiarą ciosu, niecelnie wymierzonego.

Nie poprzestano na samych protestach. Ponieważ takie protesty w niczem nie umniejszyły świetności wieców katolickich, ale raczej przyczyniły się do większego i silniejszego zjednoczenia się katolików, a tryumf jednak chciano koniecznie święcić: przeto reakcya antikatolicka chwyciła się innego jeszcze środka, dobrze zresztą znanego i stale używanego w jej obozie. Zaczęto rozszerzać kłamliwe wieści o nieudaniu się wieców katolickich a niesłychanym sukcesie antikatolickich meetingów protestujących. Z Lutomierzyc i z Ołomuńca rozsyłano do protestanckich i żydowskich gazet niemieckich telegramy i korespondencye: donoszono o nadzwyczajnie licznym udziale uczestników w wiecach niekatolickich, podając nieraz liczby aż nieprawdopodobnie duże, do kilkudziesięciu nawet tysięcy dochodzące; zjazdy katolickie oczywiście ledwie się z garstki składały mężczyzn i z kilkuset kobiet.

Pouczający przykład taktyki prasy antikatolickiej mamy w opisie wieców ołomunieckich, jaki dały gazety protestancko-żydowskie. Wynikało z nich, że w wiecu katolickim uczestniczyło ledwie 2000 osób, a przeszło 5000 brało udział w wiecu protestującym schönererowców, tymczasem ze źródeł najkompetentniejszych i najwiarogodniejszych wiemy, że właśnie co najwyżej 2000 osób liczył meeting schönererowski, a prawie półszósta tysiąca było uczestników katolickiego zjazdu ołomunieckiego.

Te usiłowania, podejmowane przez prasę antikatolicką w celu zdyskredytowania w opinii zjazdów katolickich, są najlepszym dowodem ich pożytku i powodzenia. Gdyby te zjazdy nie udały się rzeczywiście, nie zajmowanoby się nimi tak żywo, nie rozpisywanoby się o nich i nie występowanoby przeciw nim tak gorąco.

Obszerniej wypada nam omówić przebieg XLVIII walnego zgromadzenia katolików w Niemczech, które odbyło się w Osnabrücku w dniach 25—29 sierpnia.

Znaczenie walnych wieców katolickich w Niemczech dla rozwoju życia i działalności katolickiej jest faktem zbyt dobrze wiadomym, aby się nad nim potrzeba rozwodzić; wymownie go stwierdza historya Kościoła katolickiego w Niemczech drugiej połowy ubiegłego wieku. Począwszy od r. 1848, w którym wrogim Kościołowi prądom rewolucyjnym przeciwstawiono po raz pierwszy taką wielką manifestacyę katolicką, walne zgromadzenia katolików Niemiec odbywają się — z nielicznymi

dotychczas wyjątkami — co roku i są jakby wielkimi manewrami wojskowymi, na które ściąga najdzielniejszy wybór katolickiej armii Kościoła wojującego w Niemczech.

Jeśli wielka jest doniosłość tych walnych wieców dla całych Niemiec, to z pewnością największy z nich pożytek odnosi życie katolickie tej okolicy i tego miasta, w którem się zjazd odbywa. Świadomi tego katoliccy przewódcy w Niemczech starają się o to, aby doroczny zjazd walny za każdym razem odbywał się w innem mieście. Tak np. od r. 1890 walne wiece katolickie Niemiec kolejno były w miastach następujących: Koblencya, Gdańsk, Moguncya, Würzburg, Kolonia, Monachium, Dortmund, Landshut, Krefeld, Nissa, Bonn.

Na ten rok postanowiono ożywić tętnem katolickiem walnego zjazdu miasto Osnabrück w Hanowerskiem.

Miasto to, w którem stolicę biskupią założył jeszcze Karol Wielki, na 53000 mieszkańców liczy zaledwie 19000 katolików. Wjeżdżając jednak do miasta w dniach wiecu, nie było łatwo w siebie wmówić, że to nie jest miasto na wskróś katolickie. Protestanci osnabryccy okazali się tak gościnnymi i tak tolerancyjnie usposobionymi, że prawie prześcigali katolików w ozdabianiu miasta na przyjęcie gości.

Osnabrück i dlatego nadawało się znakomicie na miejsce walnego zjazdu, że posiada jakby umyślnie na takie olbrzymie zjazdy zbudowany wspaniały gmach, który niedawno wystawiło sobie Stowarzyszenie katolickie. Dom Stowarzyszenia pomieścić może wygodnie 6—7 tysięcy osób. Mimo to liczba uczestników była tak wielka, że musiano niektóre posiedzenia zjazdu odbywać jednocześnie w dwu miejscach: w gmachu Stowarzyszenia i w nowowystawionym kościele Serca Jezusowego.

Według tradycyi poprzednich walnych wieców, jednocześnie z nimi odbywają się walne zgromadzenia różnych katolickich związków i stowarzyszeń. Jedno z takich walnych zgromadzeń, ze wszystkich najliczniejsze i najświetniejsze, odbyło się w przeddzień walnego wiecu, dnia 25 sierpnia. O godzinie 2 popołudniu, po uroczystem nabożeństwie pontyfikalnem, wyruszył z katedry na miejsce obrad wspaniały pochód uroczysty stowarzyszeń rzemieślniczych i robotniczych, w liczbie razem 60, z tylomaż sztandarami i z 7 kapelami. O godzinie wpół do piątej rozpoczęło się walne i uroczyste zgromadzenie katolickich związków rzemieślniczych i robotniczych. Wzięli w niem udział trzej biskupi: ks. biskup Voss z Osnabrücku, ks. biskup Bitter ze Sztokholmu i ks. biskup Euch z Kopenhagi. Przemawiali: ks. Pröp-

sting, ks. Scheidemann, adwokat dr. Bitter, poseł do Rady państwa Dasbach, wreszcie ks. biskup Voss. Zgromadzenie skończyło się o godzinie 7 wieczór.

O godzinie 8 wieczór odbyło się posiedzenie powitalne walnego wiecu katolików niemieckich. Przybyłych na zjazd powitał naprzód prezes komitetu miejscowego, p. Engelen, siostrzeniec Windthorsta; w przemówieniu swem zwrócił uwagę na okoliczność i czasu i miejsca: zjazd odbywa się w dzień św. Ludwika, patrona Windthorsta i długoletniego wodza katolików osnabryckich, Blittendorfa; miejsce zjazdu to Osnabrück, miasto sławne z dwu powodów, raz, że położone jest w rodzinnych stronach Windthorsta, powtóre, że w niemto zawarto pokój t. zw. westfalski; te okoliczności mają uczestnikom wiecu przypominać drogę, na jaką powinny wejść obrady zjazdu. Po nim wygłosili mowy powitalne: burmistrz miasta, dr. Riesmüller; ks. Weisshaupt T. J. w imieniu katolików i misyonarzy niemieckich w Indyach Wschodnich; dr. Rügenberg w imieniu katolickiej prowincyi nadreńskiej; konsul Nölting w imieniu katolików hamburskich; p. Blücher w imieniu katolików meklemburskich; ks. Koopmans w imieniu katolików holenderskich; i inni.

Nazajutrz, dnia 26 sierpnia, po odprawieniu uroczystego nabożeństwa pontyfikalnego w katedrze, odbyło się o godzinie 10 przedpołudniem pierwsze ogólne posiedzenie ściślejsze, na którem dokonano wyboru prezydyum walnego zjazdu. Na prezesa zjazdu powołano p. Karola Trimborna z Kolonii, na pierwszego wiceprezesa barona Thünefeldta z Augsburga, na drugiego konsula Nöltinga z Hamburga.

Przez wszystkie cztery dni zjazdu codziennie odbywało się jedno publiczne i jedno ściślejsze zgromadzenie ogólne. Godziny poza zgromadzeniami ogólnemi walnego wiecu przeznaczone były na posiedzenia trzech osobnych komisyi i na walne zgromadzenia rozmaitych związków katolickich i stowarzyszeń.

Prócz wspomnianego już wyżej zgromadzenia stowarzyszeń rzemieślniczych i robotniczych jeszcze rozmaite związki, stowarzyszenia i korporacye katolickie odbyły w tych dniach doroczne swoje zgromadzenia walne, jako to: akademickie stowarzyszenie św. Bonifacego; związek katolickich stowarzyszeń kupieckich w Niemczech; stowarzyszenie katolickich czeladników; stowarzyszenie związków Windthorsta; związek katolickich stowarzyszeń studenckich w Niemczech; narodowy związek katolickich Niemiec; towarzystwa św. Wincentego; i wiele, wiele innych.

Na ogólnych zgromadzeniach publicznych walnego wiecu katolickiego przemawiali następujący mówcy: prezes Trimborn, ks. biskup Voss, poseł dr. Porsch, ks. prałat dr. Baumgarten, poseł dr. Karol Bachem, baron Wendt, poseł Herold, ks. poseł dr. Schaedler, ks. biskup Bitter, konsul Nölting, ks. prałat Nacke, p. Stötzel, p. Krüsemann, ks. Weishaupt, adwokat Bitter, ks. dr. Drammer, ks. Grauert, poseł dr. Gröber, ks. biskup Euch, profesor dr. Müller, poseł dr. Lieber.

Na ogólnych posiedzeniach ściślejszych wygłosili referaty pp. Engel, Trimborn, Bachem, hr. Droste-Vischering-Erbdroste, baron Korf, ks. Nacke, poseł Cahensly, Laven, poseł Porsch, hr. Praschma, Custodis, ks. Schaefer, ks. Weishaupt, ks. Wahl, dr. Opfergelt-Trimborn, ks. Baumgarten, dr. Weilbächer, ks. dr. Drammer, poseł Grand-Ry, poseł Herold, hr. Stolberg, Feige, Giesberts.

Opracowane przez oddzielne komisye rezolucye w pokaźnej liczbie 45 uchwalił walny zjazd na posiedzeniach ogólnych ściślejszych. Rezolucye te są po większej części bardzo praktyczne, nieraz nawet bardzo szczegółowe. Odnoszą się one przeważnie do rozmaitych związków i stowarzyszeń, których popieranie walny zjazd gorąco poleca katolikom w Niemczech.

Obok prac walnego zjazdu, rozłożonych na posiedzenia sekcyjne, ogólne ściślejsze i ogólne publiczne, wiecownicy musieli nadto znaleźć dość czasu i sił, ażeby jeszcze pewien zasób pracy włożyć w ten cały szereg walnych zgromadzeń najrozmaitszych związków i stowarzyszeń. Niektóre z tych walnych zgromadzeń były jakby nowymi walnymi wiecami katolickimi. Jedno było to, o którem już wspomnieliśmy wyżej jako o wstępie do walnego zjazdu katolików niemieckich. Drugie takie wielkie zgromadzenie to było walne zebranie Związku narodowego katolickich Niemiec. Tak wielki był napływ uczestników na to zebranie, że musiały się odbyć podwójne posiedzenia. Ze sprawozdania za rok 1900, odczytanego na walnem zgromadzeniu tego Związku, dowiadujemy się, że narodowy związek katolickich Niemiec doszedł już do liczby 181744 członków. Staraniem Związku odbyło się w ubiegłym roku prawie pięćset zgromadzeń ludowych. Praktyczny kurs socyalny, ósmy z kolei, jaki Związek urządził w dniach 8—12 października w Kolonii, liczył prawie 1000 uczestników.

Sprawozdanie znów z dotychczasowych prac związku św. Bonifacego powiada nam, że przez 50 lat istnienia wydano 34 miliony ma-

rek na erygowanie i utrzymanie 2000 parafii dla katolików, rozsianych wpośród protestantów.

Z tych paru choćby liczb możemy sobie wyrobić jakie takie pojęcie o żywotności akcyi katolickiej w Niemczech i o rozwoju katolickich związków niemieckich. Zasługę w tem bodaj największą mają walne wiece katolickie, tak starannie przygotowywane i tak umiejętnie a energicznie organizowane. Jeśli to można śmiało powiedzieć o poprzednich walnych wiecach, to przedewszystkiem o osnabryckim. Świadkowie najkompetentniejsi, którzy nie w jednym z poprzednich walnych wieców żywy brali udział, jednogłośnie przyznają, że tak licznego, tak świetnego, tak udanego walnego zjazdu katolików niemieckich, jak tegoroczny w Osnabrücku, nigdy jeszcze nie było.

A. H.

Nowe pomysły unii anglikanizmu z patryarchatem ekumenicznym.

(Joachim III, Dowling i protojerej Malcew).

Czytelnicy *Przeglądu* może nie wiedzą, kogo oznaczają imiona, wypisane w nagłówku, o których obecnie wiele pisano w czasopismach wschodnich i zachodnich, jak greckie Ἡ ἐκκλεσιαστικὴ ἀλήθεια i Ἡ νέα ἡμέρα, francuskie *Le Stamboul* i *Revue internationale de théologie*, niemiecka *Koelnische Volksztg* i inne. Otóż o Joachimie III-m wspominało dziennikarstwo już nieraz z powodu, iż ten dostojnik Cerkwi greckiej przed latami zasiadał na stolicy carogrodzkiej, ale skutkiem przewrotów, nie rzadkich między fanaryotami, musiał ustąpić ze stanowiska, aż znowu przy pomyślniejszym wietrze mógł wrócić za zgodą sułtańską na posadę ekumenicznego patryarchy. O Dowlingu dopiero świeżo usłyszał świat szeroki, jako o zwierzchniku anglikańskiego zboru w Carogrodzie i przedsiębiorczym umyśle, który na nowo rozpoczął z Joachimem III układy, aby zjednoczyć kościół Henryka VIII-go i Elżbiety z cerkwią Focyusza i Kerulariosa.

Układy takie nęciły protestantów już od początku ich rokoszu przeciw papiestwu. Wymienione powyżej pisma wspominają o listownych stosunkach między połączonymi zwolennikami Lutra i Kalwina a Jeremiaszem II-m carogrodzkim, które, nawiązane w roku 1573-m, przez blizko ośm lat trwały bez skutku pożądanego dla innowierców zacho-

dnich: Wschód nie mógł ich uznać wyznawcami czystej nauki Chrystusowej. W XVII-m stuleciu zasiadł na stolicy św. Chryzostoma przyjaciel szwajcarskich kalwinów, Cyryl Lukaris, o którego stosunkach ze Smotryckim i Cerkwią ruską wiemy z dziejów unii brzeskiej. Smotrycki wczas spostrzegł, dokąd Lukaris zmierza, i zerwał z nim stosunki. Poselstwa holenderskich i anglikańskich zborów obsaczyły następnie Laskarysa zewsząd i wpędziły w matnię błędów, potępianych następnie przez Greków na soborach carogrodzkim 1635-go roku, jaskim 1642-go, i nakoniec jerozolimskim 1672-go roku, poczem Grecy zerwali wszelkie układy i stosunki z protestantami. Dopiero w przeszłem stuleciu, roku 1870-go, jeden z greckich metropolitów po dłuższym pobycie w Londynie przesiąkł poglądami nowszymi, a po powrocie na Wschód poruszał między współwyznawcami myśl o zgodzie kościelnej z anglikańskimi zborami i popierał tę myśl listami londyńskiego duchowieństwa, które pragnęło oprzeć swoją wiarę o powagę starożytnej Cerkwi bizantyńskiej. Odtąd myśl ta kiełkowała i doprowadziła do narad pod Konstantynem V-m, poprzednikiem Joachima III-go. O podobnych krokach anglikańskiego dostojnika w Moskwie donosił *Przegląd Powszechny* przed kilku latami [1]. Sprawa zaszła tak daleko, że w Carogrodzie powstało już grono teologów, za wiedzą i zgodą ekumenicznego patryarchy, którzy badają podobieństwa i różnice między grecką Cerkwią i zborem anglikańskim, aby zlać ze sobą oba odłamy odszczepieństwa. Do tego grona należą wikary generalny carogrodzkiego biskupstwa i pierwszy sekretarz tamtejszego synodu. W tymże duchu pracował Reverend John Wordsworth, zwierzchnik arcybiskupiego zboru z Salisbury, i wydał książkę z dowodami (!), że między anglikańskiem wyznaniem a grecką wiarą różnice prawie nie zasługują na uwagę. Tę książkę Ἡ ἐκκλ. ἀλήθεια wydała w greckim przekładzie i gorliwie usiłuje wyrównać wszelkie różnice, któreby utrudniały zgodę wyznaniową między Londynem a Carogrodem. Νέα ἡμέρα utrzymuje, że przynajmniej urzędowe wyznanie wiary High Church powtarza ledwo nie słowo w słowo wyznanie wiary prawosławnej!

Po tych krokach przedwstępnych Reverend Dowling uważał za stosowne śmiało poruszyć sprawę i skorzystał z powrotu Joachima III na stolicę carogrodzką. Wszyscy zwierzchnicy sekt dyssydenckich podali sobie ręce, aby odwołanemu na naczelne stanowisko dostojnikowi okazać osobistą przyjaźń i przemówić w zgodnym duchu imieniem swoich

[1] Por. *Przegląd Powszechny*, t. LVII, str. 325 i d.

cerkwi, kościołów i zborów. Carogrodzki korespondent *Koeln. Volksztg* nadmienia, że nawet sześciu Assumpcyonistów, — zakonników katolickich, — przybyło do patryarszej cerkwi na obrzęd instalacyi Joachima. Patryarcha Ormian gregoryańskich z wielką świtą odwiedził carogrodzkiego biskupa i wypowiedział przytem dwie mowy, które wiele wywołały wrzawy. Zwłaszcza odwiedziny Dowlinga zajęły dziennikarzy, bo trwały całą godzinę i dotyczyły wprost dzieła zgody wyznaniowej. Joachim III-ci przyjął od Dowlinga przekład greckiej książki, którą o encyklice papieskiej w sprawie święceń anglikańskich napisał zwierzchnik arcybiskupiego zboru w Canterbury. Joachim III miał oświadczyć, że uszanuje wszystko, co zdziałali jego poprzednicy dla zgody wyznaniowej, zasięgnie rady w tej mierze u innych zwierzchników Cerkwi wschodnich i popierać będzie pracę teologów, którzy badają podstawy tej zgody.

Odpowiedź ta brzmi oczywiście bardzo grzecznie, ale nie zapowiada wcale odstępstwa od wiary prawosławnej dla przyjaźni z High Church. Mimo to anglikanizm żywi najlepsze nadzieje i jeden z jego duchownych przybył do Carogrodu z wnioskiem, aby Grecy powierzyli swoich współwyznawców posłudze duchownej pastorów w chwili śmierci; *Stamboul* twierdzi, że synod odbywa obecnie naradę, czy może przystać na ów wniosek. Starokatolicka *Revue internationale de théologie* mniema, że władycy greccy pozwalają swoim duchownym zaopatrywać na śmierć protestantów, którzy nie odstępują od swojego wyznania, i grzebać ich na prawosławnych cmentarzach.

Jedynego do dziś poważnego przeciwnika ten zwrot do zgody znajduje w zarządcy cerkwi berlińskiej, protojereju Malcewie. Uczony ten pisarz zasługuje na wzmiankę szerszą w piśmie naszem, jako zjawisko nader zaszczytne dla urzędowej Cerkwi rosyjskiej.

Do tego wniosku prowadzą pisma Malcewa, które mamy pod ręką do oceny[1]. Dzieło jego kilkotomowe zawiera rozbiór liturgii i ksiąg obrzędowych, ułożonych przez świętych Ojców, których do dziś czci zarówno Wschód jak Zachód. Protojerej Malcew wyprowadza bardzo ważne wnioski z rozbioru tych ksiąg cerkiewnych, porównywanych z obrzędowemi księgami Kościoła Powszechnego i różnych sekt zachodnich; w przedmowie do tomu 4-go wspomina swój zamiar, że pragnie wskazać pozytywną podstawę liturgiczną, na której można

[1] Божественныя литургіи 1890, Всенощное бдѣніе 1892, Каноникъ 1895, Книга молебствій 1897, Чинъ таинствъ zapowiedziany.

badać sprawę, czy wszystkie Kościoły chrześcijańskie zdołają utworzyć jedno społeczeństwo. W dziejowym rozwoju obrzędów, podanym w tymże tomie, — którego dedykacyę przyjął sam Pobiedonoscew, — dochodzi protojerej do wniosku, że wszystkie obrzędowe księgi rozmaitych wyznań można podzielić na dwie gromady: jedne wyznania w swoich księgach trwają przy swojej „ciągłości hierarchicznej“ od apostołów, inne ją zrywają. Wyraz „ciągłość hierarchiczna“ oznacza, że społeczeństwo wyznaniowe trwa pod posłuszeństwem zwierzchników, którzy następują po sobie nieprzerwanym ciągiem na stolicy biskupiej jedni po drugich aż od pierwszego, a pierwszy tę stolicę założył któryś z apostołów albo jego następca, który zdoła swoich poprzedników wymienić aż do pierwszego apostoła. Innemi słowami, ciągłość hierarchiczna oznacza nieprzerwane następstwo zwierzchników duchownych, których ustanawiają na urząd biskupi przez kładzenie rąk poprzednicy, tymże sposobem stanowieni na urzędzie jedni przez drugich aż do pierwszego apostoła. Otóż wyznania protestanckie w swoich księgach okazują, że zerwały ciągłość hierarchiczną z apostolską stolicą, od której zależały w Rzymie; co do wyznania anglikańskiego protojerej opiera swój wywód na znanej czytelnikom *Przeglądu* bulli Leona XIII [1]. Z takimi zborami, założonymi w późniejszych wiekach przez samozwańczych zwierzchników, Kościół Chrystusowy nie może wchodzić w inne układy, jak tylko ułatwić im sposób zrzeczenia się całkowitego nauki nowej i powrotu do niezmiennej starej nauki apostolskiej. Twierdzi to protojerej Malcew zupełnie zgodnie z nauką Kościoła Powszechnego, a następnie przechodzi do sprawy zgody wyznaniowej między wyznawcami Chrystusa, którzy zachowali ciągłość hierarchiczną. W tej mierze łatwo przewiduje możebną zgodę między Cerkwią rosyjską a wschodniemi Cerkwiami, dziś autokefalicznemi (samogłownemi, które nie uznają żadnych zwierzchników, prócz narodowego zboru biskupów). Najobszerniej w tej mierze roztrząsa protojerej sprawę zgody Cerkwi rosyjskiej z Kościołem Powszechnym i wywodzi, że Rzym niewątpliwie przechowuje ciągłość hierarchiczną od Piotra apostoła: więc pod tym względem żadnej przeszkody nie stawia zgodzie ze Wschodem. Następnie wspomina protojerej o różnych zarzutach, miotanych przeciw Rzymowi bądź przez Focyana, bądź przez Kerulariosa, bądź przez innych. Zarzutom tym daje sam protojerej odprawę, jako gadaninie opartej częścią na pozornych przeciwieństwach

[1] *Przegląd Powszechny*, t. LII, str. 453.

między nauką Zachodu i Wschodu, a częścią wywołanej przez błędy osobiste tego albo owego łacinnika, a nie całego społeczeństwa kościelnego. Nakoniec protojerej porusza naukę o nieomylnym papieżu, i tę naukę — przekręcaną wogóle na bezgrzeszność papieża, — wyjaśnia zupełnie poprawnie według soboru watykańskiego. W tej właśnie nauce i jedynie w niej upatruje protojerej możebną przeszkodę do zgody między Cerkwią rosyjską i Kościołem Powszechnym, ale i tego ostatniego słowa nie wymawia stanowczo, tylko odróżnia dwojakie stanowisko, na jakiem mogliby łacinnicy stać przy wykładzie tej nauki. Mianowicie mogliby zrozumieć, że Chrystus w przewodniej swojej myśli postanowił założyć Kościół, jako nieomylnego stróża wiary i obyczajów, a dopiero dla nieomylnego Kościoła ustanowił Głowę w stolicy Piotrowej, że tedy stolica Piotra i następców jego służy nieomylnemu Kościołowi jako usta, więc oczywiście podaje nieomylną naukę wiary i obyczajów; czyli ontologiczną racyą nieomylności Piotra z następcami jest nieomylność Kościoła, a Kościół z wyroku swoich ust, — stolicy Piotrowej, — logicznie czerpie nieomylny dowód prawdy. Inaczej znowu mogliby łacinnicy rozumieć, jakoby Chrystus w przewodniej myśli postanowił utworzyć stanowisko nieomylne dla Piotra z jego następcami na biskupstwie rzymskiem, a dopiero dla nieomylnego Piotra z następcami dodał cały Kościół, aby stolica Piotra miała komu udzielić swej nieomylności, więc Kościół z wyroku stolicy Piotrowej czerpie nietylko logicznie nieomylny dowód prawdy, ale także całą racyę ontologiczną nieomylności, czyli posiada ją zewnętrznie poniekąd, nie jakby rozmieszczoną według potrzeby członków po całem ciele i głoszoną ustami prawomocnie, ale jakby złożoną w ustach i z nich udzielaną światu. Protojerej Malcew po tym opisie dwojakiego źródła nieomylności przychodzi do wniosku, że sobór watykański przerwany nie dopowiedział ostatecznie, który z powyższych dwóch sposobów wyjaśnia nam źródło nieomylności, czy ją znajdujemy ontologicznie na Kościele a logicznie poznajemy w jego ustach, czy ją ontologicznie opieramy na Rzymie: trzeba tedy czekać, kończy protojerej, co z dwojga ostatecznie wypowie Kościół Powszechny, aby módz osądzić, czy między nim a Cerkwią rosyjską zgoda możebna.

Słowa te zawierają przecie w sobie wyraźną myśl, że nie bezwzględnie nauka o nieomylnym papieżu stanowi zaporę w drodze do zgody wyznaniowej między Wschodem a Zachodem... Co zaś dotyczy owych dwóch stanowisk, z jakich możnaby pojąć nieomylność papieża, to sobór watykański nic nie myślał więcej orzekać, choćby nie doznał

przerwy, i dziś najśmielej teolodzy katoliccy twierdzą, że nieomylność papieża płynie z nieomylności Kościoła, jako jej wyraz prawomocny, ogłoszony ustami kościelnej Głowy, a żaden teolog nie opiera nieomylności Kościoła na nieomylności papieskiej, jako na podstawie ontologicznej.

Takie poglądy protojereja Malcewa zasługują na wzmiankę tem życzliwszą, im baczniejszą uwagę zwracają na siebie daleko pośród duchowieństwa wschodniego. Dzieło jego, wydane równocześnie po rosyjsku i po niemiecku, ułatwiło jego poglądom rozgłos po świecie. *Stamboul* przywołuje stanowczy sąd Malcewa na dowód, że ze względu na prawdę dogmatyczną zgoda Kościoła Powszechnego z Cerkwiami greckiemi napotykałaby mniej przeszkód, niż zlanie ich z protestantami. Wystarczy przerzucić oczyma protestancki podręcznik teologii, aby sprawdzić, że High Church z zupełną pogardą poodrzucała w wielu szczegółach zasadniczej wagi starą naukę, wspólną Kościołowi rzymskiemu i wschodnim. Cerkiew grecka nigdy nie może zawrzeć zgody wyznaniowej ze sektą, która nie wierzy w Przeistoczenie, w Ofiarę Mszy i w modliwę za zmarłych. Czyżby anglikańskie zbory miały w tej mierze poprawić swoje wyznanie wiary? Bez tego kroku niech nie traci czasu na próżną gadaninę o zgodzie wyznaniowej. A cerkwie greckie nie odstąpią od starożytnej prawdy, ani nie przyjmą żadnego poglądu, potępionego na soborze jerozolimskim. Przed paru laty synod petersburski odrzucił wniosek o spółuczestnictwo w Sakramentach z High Church. W czemże High Church zmieniła teraz poglądy potępione w Jerozolimie albo w Petersburgu? Czy wyobraża sobie, że Cerkiew wschodnia przyjmie jej rękę podaną do zgody bardzo trudnej, a odrzuci zgodę nierównie łatwiejszą z Kościołem rzymskim?

Z tych poglądów *Stamboula* można wnosić, że Dowling wraz z Joachimem III na jałowem tle zgody anglikańsko-greckiej poruszyli myśl żywotną, którą wpływ protojereja Malcewa przerzucił na pole nierównie więcej przydatne do dobrego plonu: na pole pracy nad zgodą Kościołów, utrzymanych w ciągłości hierarchicznej. Na tem polu owoc zejdzie; o tem wątpić zabrania nam zapowiedź z ust samego Chrystusa.

K. C.

Ruch piśmiennictwa religijnego w Królestwie Polskiem.

Jednym z objawów żywotności w duchowieństwie Królestwa Polskiego jest bez wątpienia rozwój religijnego piśmiennictwa. Ruch ten

śledziliśmy bacznie i z radością możemy wyznać, że duchowieństwo w Królestwie kształci się gruntownie i przyczynią się wielce do podniesienia nauki wiary wśród społeczeństwa. Pomijając już to, że w Warszawie wychodzi najwięcej dzieł religijnej treści, zwrócę tylko uwagę na powstałe w ostatnich latach cztery czasopisma religijne.

Pierwszem z nich jest *Homiletyka.* W cichym Włocławku powstaje pismo, poświęcone kaznodziejstwu, którego wartość i korzyści dla duchowieństwa stają się coraz głośniejszemi. Mamy przed sobą już 6 tom czasopisma poświęconego kaznodziejstwu w najobszerniejszym jego zakresie, które stanowią dobry fundament biblioteki kaznodziejskiej. Już na wszystkie niemal niedziele widzimy tam kazania lub szkice do nich, a na każde święto po kilka. Wyborną też wskazówką dla początkujących kaznodziejów są liczne kazania, mowy i przemówienia okolicznościowe. Jeśliby więc ktoś szukał praktycznej tylko strony tego wydawnictwa, t. j. gotowych kazań, znajdzie wielki ich wybór. Wprawdzie ks. Stagraczyński we wstępie do wydawanych przez siebie kazań pisał o *Homiletyce,* że „podaje rzeczy więcej akademickie, niżeli praktyczne na parafii. Ma swoje cenne zalety, bo zamieszcza kazania wzorowe, ale wyższego stylu, może dla katedr, a nie na wieś, na małe mieściny. Godne uwagi krytyczne rozbiory drobniejszych kaznodziejów, ależ te, lubo pożądane i przydatne dla miłośników przeszłości, nie dla codziennego użytku"; ale pisał to wielce zasłużony autor na polu kaznodziejskiem w roku 1899, kiedy *Homiletyka* liczyła kilka zaledwie zeszytów. Obecnie jednak widzimy tam również kazania ludowe, popularne bardzo, np. homilia na niedzielę XXIII po Świątkach, o wierze, kazanie o św. Józefie, o życiu rodzinnem i inne. Owszem, rzadko gdzieindziej można spotkać takie mowy i nauki jak: upomnienie pasterskie o przemytnictwie (t. V, str. 224), przemówienie do pielgrzymów, idących do Częstochowy (t. V, str. 176), lub do pielgrzymów wracających stamtąd (t. IV, str. 180), przemówienie po skończeniu żniw, przy poświęceniu chorągwi, figury N. M. P. i tym podobne, nie mówiąc już o wielkim wyborze kazań przygodnych, np. prymicyjnych, jubileuszowych, przy objęciu parafii, mów żałobnych i ślubnych. Dział katechetyczny jest również bogaty zarówno pod względem praktyki jak teoryi; a ta ostatnia historycznie i wyczerpująco jest rozbierana w stale ciągnącym się artykule: „Historya kościelnego urzędu katechety". Artykuły poświęcone zasadom kaznodziejstwa, krytyczne rozbiory dawnych kazań, wzorowe tłumaczenie Ojców

Kościoła, mogą służyć, jako prywatne studyum kościelnej wymowy, wszystkim, pragnącym z pożytkiem głosić słowo Boże.

Artykuł o kazaniach popularnych księdza M. Nassalskiego (t. III) jest tak ważny, że należałoby go umieścić w podręczniku wymowy kościelnej. *Homiletyka,* jako czasopismo poświęcone również i życiu duchownemu, umieszcza konferencye rekolekcyjne dla duchowieństwa i inteligencyi, czytania duchowne i artykuły ascetyczne. A choć nie wszystkie kazania umieszczone w *Homiletyce* są wzorowe, większa jednak część kazań jest wzięta ze sławniejszych kaznodziejów (ks. biskup Kossowski, ks. biskup Pelczar, ks. Chotkowski, ks. Nassalski, ks. Puchalski, ś. p. ks. Krukowski, ks. Szlagowski, ks. Fulman, ks. Dąbrowski). Wybór różnych autorów stanowi również dodatnią stronę *Homiletyki.* Kazania, choćby najlepsze, jednego autora, mają tę ujemną stronę, że autor, nawet w rozmaitych tematach, używa podobnych dowodów i zastosowań: co jest w części wypływem jego indywidualności, a w części zależy od potrzeby słuchaczów, do których przemawia i miejscowości, w której pracuje. *Homiletyka,* podając kazania różnych autorów, zapobiega zatem pewnej jednostronności, przedstawiając ogromne urozmaicenie tak co do wyboru materyi, jak co do sposobu uzasadnienia prawd, wykorzenienia błędów i t. p.

Należy to też zauważyć, że wydawcy *Homiletyki* dbają o czystość i piękność stylu i języka, jak też o dobrą korektę.

Homiletyka zatem, powinna, według słów księdza Bereśniewicza, biskupa kujawsko-kaliskiego, znajdować się w ręku każdego kapłana i w bibliotece każdego duszpasterza, a to ze względu na treść i formę prawdziwie doborową.

Ale *Homiletyka* to pokarm dla kaznodziejów i katechetów i wogóle dla duchowieństwa. Brakowało lżejszego pokarmu dla naszych rodzin: nie było tygodnika religijno-społecznego. Brak ten w piśmiennictwie zapełnia *Kronika Rodzinna,* poświęcona od roku sprawie religii katolickiej, we wszystkich jej zewnętrznych i wewnętrznych przejawach. Prowadzi ona swych czytelników do nieba, ale i o chlebie powszednim nie zapomina, poświęcając wiele miejsca w swych ramach sprawom społecznym, mającym związek z oświatą, wychowaniem i dobrobytem, a wszystko przedstawia w formie barwnej i przystępnej dla szerszego ogół.

Jest tu i dział belletrystyczny, ożywiony duchem szczerze katolickim i moralnym. Piękne świadectwo dał *Kronice,* zaraz po wstąpieniu na katedrę metropolii mohilewskiej, ks. arcybiskup B. Kłopotowski.

Z listu jego kilka zdań przytaczamy (*Kr. R.* N. 30). „Byłem i jestem tego zdania, łącznie z całym episkopatem katolickim, że zadanie prasy katolickiej w naszych czasach jest wielkiego znaczenia; wpływ jej bowiem dodatni tam się daje uczuć, dokąd nie zawsze dochodzi głos kapłana. Rozumiem tu szczególnie rodzinę chrześcijańską, która jest podstawą całego gmachu społecznego, a jej przejęcie się duchem nauki Chrystusowej może być rękojmią, że przyszłe pokolenia nie dadzą się uwieść przez fałszywych nauczycieli i doradców...

„Z przyjemnością zaznaczamy, że szanowne pismo ze swego zadania wywiązuje się znakomicie. Jest dobrze redagowane, starannie wydawane i odznacza się rozmaitością treści pouczającej i uprzyjemniającej niejedną chwilę rodzinnego życia. Przeto wyrażając nasze życzenie, aby *Kronika Rodzinna* znalazła wstęp nietylko do każdej plebanii, ale też do domów naszej szlachty, mieszczaństwa i do pałaców możniejszych panów, udzielamy jej zacnym współpracownikom naszego błogosławieństwa".

Illustracye tylko *Kroniki* pozostawiają jeszcze dużo do życzenia, szczególnie, jeśli je porównamy z tego rodzaju pismami zagranicznemi.

Zawiązuje się znów inna redakcya i wydaje *Bibliotekę dzieł chrześcijańskich*. To wydawnictwo ma na celu pogłębić wiedzę teologiczną i filozoficzną w warstwach społeczeństwa bardziej inteligentnego. W tych 8, co miesiąc wychodzących zeszytach, wydano tylko tłumaczenia, a z naszej literatury prace księży Niedziałkowskiego i Dębickiego, już dawniej w różnych drukowane pismach. Mamy z tego wydawnictwa już 3 tomy historyi kościelnej kard. J. Hergenröthera. *Biblioteka* zamierza wzbogacić dział z kościelnej historyi, ogłaszając w tym celu dwa konkursy na napisanie „Historyi kościoła w Polsce" i drugi „Historyi synodu piotrkowskiego".

Inne dwa tomy *Biblioteki*, pod tytułem „Jedno stulecie", wypełniają gruntowne i wytworne prace najznakomitszych pisarzy, zarówno duchownych jak świeckich. Dzieło to odtwarza prądy religijne, polityczne, socyalne i naukowe XIX w. Tłumacze rozszerzyli nieco to dzieło szczegółami z naszego życia, choć, powiedziałbym, trochę za mało. Za dzieło to należy się Redakcyi niezwykłe uznanie; sądzimy, że książka ta znaleźć się powinna w rękach każdego wykształconego człowieka, do jakiegokolwiek należałby obozu. Ze studyów i szkiców ks. Dębickiego, zwracamy szczególnie uwagę na rozprawę o nadczłowieku (Fr. Nietzsche) p. t.: „Waryacko-zbójecka filozofia", „Rozkład wewnętrzny protestantyzmu w Niemczech nowoczesnych" i „Anioł upa-

dły", (Lamennais w oświetleniu najnowszem). W ostatnim, sierpniowym zeszycie, wyszły już dawniej w *Przeglądzie* omawiane szkice ks. biskupa Niedziałkowskiego.

Wreszcie czwartem z kolei pismem religijnem jest *Dzwonek Częstochowski*. Może już sam tytuł kogoś uprzedzi, gdyż weszło w zwyczaj wyrażenie „częstochowski" (wiersz lub obrazek) uważać za symbol lichoty. Otóż uspokoi się czytelnik, gdy tylko spojrzy na zewnętrzną formę, a także gdy przeczyta na drugiej stronicy: „Druk warsz. tow. artystycznego".

Pismo to illustrowane, zawierać będzie, wedle programu, artykuły treści teologicznej, powieści i opowiadania historyczne, poezye, żywoty świętych i zasłużonych, kronikę krajową i zagraniczną, z uwzględnieniem spraw kościelnych, religijnych i tyczących się Częstochowy. Z pierwszego tomu zasługują na uwagę szczególniejszą: „Historya cudownego obrazu N. M. P.", „Jego Świątobliwość Leon XIII, wielki papież", i nader przystępna nauka o odpustach i jubileuszu w formie rozmowy z proboszczem. Z illustracyi dobrze się przedstawiają: ołtarz z cudownym obrazem i portet ś. p. ks. arcybiskupa Issakowicza.

Tyle na razie o piśmiennictwie religijnem Królestwa. Czy rozwój tego piśmiennictwa będzie się dalej wzmagał, czy przypadkiem te świeżo powstałe pisma nie upadną? Można patrzeć w przyszłość spokojnie, gdy się pomyśli, że w trzynastu obecnie istniejących dyecezyach Królestwa i Cesarstwa jest blizko 4500 kapłanów i przeszło 12 milionów wiernych, a więc ma kto i dla kogo pisać.

X. T. B.

Druk ukończono 30 września 1901 r.

KILKA SŁÓW O KWESTYI KOBIECEJ.

I.

Może zbyt długo sprawa kobieca oddana była na łaskę socyalistów i feministek. Pierwsi rozwiązywali ją po swojemu, chcąc zdobyć kobietę dla swego obozu rozjątrzeniem wszystkich istotnych i rzekomych jej krzywd społecznych, politycznych, ustawodawczych i najgrubszą przynętą wolnej miłości i zwolnieniem jej z pęt rodziny. Drugie zagmatwały całą sprawę i, co gorsze może, okryły ją śmiesznością, zniechęcając do niej umysły poważne wśród mężczyzn i zacne serca kobiece. To było złem i szkodliwem. Kwestya, która ogarnia naraz wielką część ludzkości myślącej, nie da zbyć się żartem, ani przejść nad sobą do porządku dziennego. Łatwo śmiać się z adwokatek bez klientów i doktorek bez pacyentów, łatwo przejrzeć przez szpary redakcyę *Frondy* i wartość pań redaktorek, orzec z góry, że wiece kobiece nie doprowadzą do innych korzyści, jak ośmieszenie ich uczestniczek.

Ale, odłożywszy na bok przesadę i komiczną czasem stronę rzeczy, przyznając znaczną część humbugu i reklamy, przecież zaprzeczyć się nie da, że sprawa cała żyje nietylko sztucznem życiem, że ostatni wielki kongres londyński wykazał szereg konkretnych postępów, a zakreślił plan dalszych i ważnych reform w stosunkach robotnic, że spółki zawodowe robotnic we Francyi i Niemczech się rozszerzyły, że ruch ku naukom wyż-

szym pociąga i zdobywa coraz większą ilość kobiet. Są to objawy, które tej sprawie nadają znamiona poważne. Czy wszystkie są takimi, czy wszystkie przeżyją obecną chwilę? Nie przypuszczamy. Ale żadna niemal sprawa, żaden nowy objaw życia nie powstał od razu, że tak powiem, na czysto. W każdej wegetacyi przepada wiele bardzo osobników, a przetrwają tylko najsilniejsze, które mają istotne warunki życia: w tem bujnem zaroślu obecnego feminizmu dużo zginie, a pędy istotnie życiowe wybiją się na wierzch i zaafirmują prawa swoje do życia.

W każdym razie uważamy za prawdziwy zysk, za objaw bardzo dodatni, że umysły wyższe zabrały głos w sprawie kobiecej. Wszystkich stron kwestyi objaśnić się od razu nie da, ale z wielu dzieł i artykułów przybywa światła i sąd dojrzewa.

Ważną jest w każdej sprawie część informacyjna, tem więcej ważną tutaj, gdzie chodzi o nie mniej jak o połowę rodu ludzkiego. Potrzeba zgłębić podstawy dziejowe, całą niejako dogmatyczną stronę kwestyi, rozróżnić prawdę od fałszu, uwzględnić potrzeby obecne wobec praw niezmiennych. Stawiać nowe zasady byłoby zbytecznem, — stoją one od bardzo dawna, ale jak wiele innych prawd, zaciemnione są mrokiem, po części niewiadomości, po części sztucznych i fałszywych teoryi. Zadaniem umysłów wyższych i jasnych zbić teorye fałszywe, gruzy ich wymieść, a prawdę postawić na świeczniku. Pokaże się może, że główną trudność w tej sprawie stanowi nieporozumienie i niewiadomość, o co właściwie chodzi.

Że sprawa ta przebywa obecnie, a zwłaszcza w umysłach, ewolucyę, zaprzeczyć się nie da. Fałszem jest natomiast, aby ona leżała była od wieków odłogiem i dopiero z łaski Bebla prawo obywatelstwa w świecie myśli zdobyła. Ale Bebel liczył słusznie na niewiadomość i brak logiki wielkiej części czytelników.

Książka jego *(Die Frau)*, mająca oczywiście na celu przeciągnięcie kobiety do obozu socyalistów, starała się wszystkie niewiadomości wyzyskać, wszystkie żądze i namiętności zaostrzyć. Jej fałszywym i namiętnym twierdzeniom, jej nienawistnym wobec Kościoła wywodom, przeciwstawił Redemptorysta,

O. Rössler, książkę poważną, opartą na wszystkich prawdach Objawienia, fizyologii, dziejów i doświadczenia. Taka właśnie książka, jaka pouczyć może tych, co z dobrą wiarą pragną poznać, co jest prawdą w tym nowym prądzie ludzkości, co bezpiecznie przyjąć, a co odrzucić należy.

W części historycznej spotyka się z nim, ale rozszerzając dużo jego poglądy, Etienne Lamy, który w szeregu artykułów, dziś już w książce wydanych, wyświeca stanowisko kobiety od pierwotnych aż do najnowszych czasów i wykazuje w sposób nadzwyczaj uderzający, jak ściśle położenie społeczne kobiety złączone jest z postępem lub upadkiem idei religijnej: przyszłość zaś kobiety upatruje on w najsilniejszem złączeniu z duchem Kościoła i w rozwoju jak najwyższym zasobów duchowych. Dwie strony tej tezy, popierają znów dwie piękne prace. Biskup Peoryi, mgr. Spalding, z powagą kapłańską i z zapałem, który cechuje zaatlantyckich katolików, nawołuje kobiety do pracy umysłowej, do sięgania po owoce wszystkich gałęzi wiedzy. Ks. Radet, studyując z gorącą miłością rolę kobiet w wiekach prześladowania Kościoła, tem samem wskazuje jej drogę na obecne czasy. Śliczna ta książeczka, której dość polecić nie możemy, wyszła w zbiorze *Science et religion* (Blond et Barral), który już wiele kwestyi aktualnych wyświecił studyami nowemi lub z zapomnienia wydobytemi.

Oto materyał, z którego treścią chcemy się podzielić z czytelnikami *Przeglądu*, zastrzegając sobie własne zdanie i wnioski.

Zaczynając od początku, należy, choć krótko, rozprawić się z teoryą pierwotnej równości obu połów ludzkości.

Kobieta, według socyalistów, równa jest we wszystkiem mężczyźnie, jedynie wychowanie i przesądy, skazały ją na stanowisko poślednie. Zgoda, odpowiada O. Rössler, ale niezupełna. Jako ludzki osobnik, jako dusza nieśmiertelna, kobieta równa się zupełnie mężczyźnie i żadnej różnicy wartościowej pomiędzy nimi niema. Jako członek społeczny, różnica jest i będzie do końca świata. Tu już mężczyzna i kobieta nie są osobnikami, ale czy wspólnie, czy na swoją rękę, każde z nich podejmuje inną część zadania społecznego, które tym sposobem uzupełnia. W tych

zadaniach może być równowartościowość, ale niema współrzędności, bo pierwsze miejsce w organiźmie społecznym, w tem co słusznie nazwano pierwszą jego komórką, dane jest mężczyźnie. Tego porządku socyaliści zaprzeczają. Chcąc rzekomo wyzwolić kobietę z pętów wiekowych przesądów, dopuścić ją do wszystkich prac, do wszystkich zawodów, które, czy to dla warunków umysłowego lub technicznego wykształcenia, czy wprost z fizycznych względów zdawały się dla niej zamknięte, ogłosili absolutną równość społeczną, umysłową, fizyczną nawet kobiety.

Że kobieta słabszą jest z przyrodzenia, prawie śmiesznie dowodzić, gdyby większości nie otumaniały i te twierdzenia zuchwałe Bebla o równorzędności organicznej, o siłach, które tylko fałszywe wychowanie zwyrodniło, o objętości mózgu kobiecego, o zdolnościach jej na wszystkich polach. Tym twierdzeniom przeciwstawić można oczywiste prawdy: że przyrodzenie (*recte* Opatrzność) każdemu gatunkowi zwierzęcemu dała w rodzaju męskim pierwszeństwo, a wogóle im gatunek wyższy, tem różnica ta wybitniejsza: chociażby więc tylko zwierzęcy organizm uznawać w człowieku, to i tak na te zasady godziłby się trzeba. Sprzeczności w teoryach socyalistów tak wiele, że podnosić ich się nie opłaci. Jednym tchem Bebel prawi o fizycznem równouprawnieniu kobiety do każdego zawodu, i kamieniem rzuca na społeczeństwo, które kobietę, przed i po urodzeniu dziecka, skazuje na pracę w fabrykach, narażającą życie jej własne i jej płodu. Jakże to pogodzić z równorzędnością fizyczną? Nie twierdzimy, że organizm kobiety niższy jest od męskiego; po prostu jest inny. Inny w składzie mięśni, w budowie kośćca, inny w kształtach zewnętrznych, w doniosłości głosu, w piękności cielesnej. Zwyrodniałe wieki nazwały kobietę piękniejszą połową rodzaju ludzkiego; wieki klasyczne i pod tym względem uznawały pierwszeństwo mężczyzny; właściwie pierwszeństwa niema, jest dopełnienie, i dopiero w dwóch okazach typ ludzki uwydatnia się w swojej pełni.

Wziąwszy pod oko moralną stronę, — cnota, jako rzecz wyrobienia duszy, może być na jednym zupełnie stopniu u kobiety i u mężczyzny, ale któż zaprzeczy, że jedne cnoty są

bardziej kobiecie, inne mężczyźnie przyrodzone? A powodem tego, że właściwe każdej połowie ludzkości zalety, wady, przymioty, leżąc na dnie usposobienia przyrodzonego, są podkładem tego wyrobienia.

Można zacytować wiele kobiet, które właśnie męskimi przymiotami zasłynęły. Cóż z tego? Każdy z nas wie, że to są wyjątki. Jeśli nie, jeśli prawdą jest, że rasa, wychowanie, dobór fizyczny, tak wielką w rozwoju odmian i gatunków grają rolę, czemuż się nie wyrobiła ta rasa kobiet potężnych fizycznie i umysłowo? Dlaczego Amazonki zostały mitem, czemuż i one zresztą przed męską siłą uległy?

Więc tylko w skojarzeniu swojem te dwie połowy rodzaju ludzkiego dopełniają myśl i zamiar Stworzyciela. Połączenie mężczyzny z kobietą nietylko harmonizuje i w doskonałą całość łączy obojga właściwe przymioty: ono wytwarza i składa na każdem z nich piętno nowe i osobne, — ojcowstwa i macierzyństwa, i wprowadza między nich czynnik nowy: dziecko, owoc miłości wspólnej i zarodek przyszłości społeczeństwa.

To połączenie, które urzeczywistnia plan społeczny Stwórcy, nie jest jednak, wziąwszy ludzkość w całości swojej, koniecznością bezwzględną, bo wyróżniającym ludzkości przywilejem jest, że wszystkie prawa życiowe, które dzieli ze światem zwierzęcym, podniesione są w niej do miary duchowej i zależne od jego wolnej woli. Rodzicielstwo nie ma jedynie na celu przechowania gatunku, ale nakłada obowiązki moralne, które stanowią jego wielkość i świętość: te zaś obowiązki wymagają logicznie warunku jednożeństwa i nierozerwalności małżeństwa, czyto jako osłonięcia godności kobiety, czy dla zapewnienia wychowania i przyszłości dzieci, jako głównego celu małżeństwa. Samo zaś kojarzenie płci obu, nie jest nałożone żadnej z nich, jako prawo absolutne, — przeciwnie, zależy ono od ich wyboru i woli. I mężczyzna i kobieta zdolni są spełnić i poza małżeństwem główne zadania życiowe i społeczne.

Jak ojcowstwo, tak bardziej jeszcze macierzyństwo ma bogate pole do rozwijania się poza małżeństwem: ludzka rodzina nie ogranicza się na jądrze pierwotnem, — korzenie jej zapusz-

czają się znacznie wtył, w zawiązki przyszłości sięgają, stąd jasno, że obowiązki rodzinne nie kończą się na rodzicielstwie, i całą siecią ogarniają życie jednostek dobrej woli. Cóż dopiero dla serc wspaniałych, gotowych poświęcić nadzieję pociech własnych, a pragnących służyć ludzkości życiem, siłami, umysłem? Dlatego słusznie w społeczeństwie chrześcijańskiem, piękne nazwy o j c a, m a t k i, s i o s t r y nadano tym, którzy oddali się na służbę jakimkolwiek potrzebom ciała czy duszy braci. Szarytka nad łożem chorego, Felicyanka w szkole i ochronie, zarobiły tysiąckrotnie na miano matki i siostry, których obowiązki na siebie przyjęły. Czy jest prawo ludzkie, które zaprzeczyć jednostce może prawa do poświęcenia się dobru wszystkich?

Proste wydają się te twierdzenia, a przecież, nietylko przeczy im i dziś jeszcze wielka część społeczeństwa, ta, która dobrowolnie oczy na prawdę zamyka, ale, aby dojść do ich sformułowania, trzeba było czekać tysiące lat, przebyć ciemne wieki niewoli kobiecej. Trzeba było, aby prawo i zakonodawca ludzkości te prawdy ogłosił, a raczej odnowił, przypomniał, że *ab initio autem non fuit sic,* objaśnił myśl Bożą, i wykazał, jak ją ludzie skrzywili.

Wśród bólów, mąk, niesprawiedliwości ludzkości, kto wycierpiał ich tyle, co kobieta? Jakie jarzmo hańby i cierpienia tłoczyło jej ramiona? Dla tych, którzy wierzą w Objawienie, kara to była słuszna. W pierwotnym upadku ludzkości, w pierwszym buncie przeciwko wyraźnie objawionej woli Stwórcy, kobieta była narzędziem. Apostoł wyraźnie zaznacza, że niewiasta z o s t a ł a u w i e d z i o n ą: nie iżby mężczyzna nie zgrzeszył, ale że duch złego jej próżności i ciekawości użył za narzędzie, — Adam zaś, choć nie uwiedziony, uległ niewieście. Pierwszy raz wdzięk niewieści, dany jej jako dobra nad sercem męża siła, użyty został ku złemu i stał się źródłem przekleństwa obojga. Ta, co miała słodzić trudy i zdobić życie człowieka, użyła darów swoich na jego zepsucie: ten co miał być głową jej i przewodnikiem, nie podołał zadaniu. Już w obronie Adama przed sądem Bożym, czuje się spustoszenie, jakie grzech w jego sercu sprawił: nie broni on słabszej towarzyszki, ale winę zrzuca

podle na nią, a zuchwale na Boga, „który mu ją dał“. Wyrok Boży wymierza każdemu z winnych słuszną cząstkę kary. Ojciec rodu ludzkiego skazany na najcięższą pracę i odpowiedzialność, na ten ból niewymowny, że żadnego z wyższych darów swoich nie przekaże potomstwu. Niewiasta, ze stanowiska towarzyszki, spada na rolę niewolnicy lub igraszki męskiej: że darów swoich użyła na obniżenia męża, więc odjęty jej jest na zawsze zaszczyt nauczycielstwa w Kościele. Zamiast przewodnika, dostaje srogiego nieraz pana, a oboje częściej będą sobie towarzyszami występku i brzydoty, niż szczęścia i cnoty.

II.

Jeśli jest fakt, który z fatalną konsekwencyą ciągnie się poprzez wszystkie wieki i strefy niechrześcijańskiej ludzkości, to fakt ujarzmienia kobiety, zarówno wobec prawa jak obyczaju. Jest ona rzeczą raczej niż osobą, która z pod władzy ojcowskiej przechodzi pod panowanie męża, nie należąc do siebie ani jednej chwili: mąż nabywca, jest małżeństwem związany, o ile chce i dopóki chce: ona, rzecz nabyta, ciężką grozą do wierności zmuszona. Dzieci nawet tych dwóch istot nie wiążą: należą one do męża, niewiasta płodzi i chowa przychówek pana swojego.

W pierwszych historycznych czasach zapewne tak źle nie było. U ludów, które po kolei stały na czele cywilizacyi świata: w Egipcie, Grecyi i Rzymie małżeństwo było zrazu stałe i jakimś cieniem powagi otoczone, ale niestety, na hańbę świata pogańskiego, upodlenie kobiety wzrasta z wiekiem społeczeństwa: na ludy te wpływał czas jakiś zmysł polityczny i narodowy; uczucie, że obyczaj domowy jest warunkiem zdrowia i wielkości społeczeństw, ale ten instynkt samozachowawczy nie może oprzeć się instynktom innego rodzaju i, doszedłszy do hegemonii chwilowej, każdy z tych ludów stacza się, choć nieco inną drogą, w kałużę takiego samego zepsucia. W Egipcie królowie pierwsi, z początku wyjątkowo dla siebie, wprowadzają wielożeństwo, później jeszcze kazirodztwem obciążone. W Grecyi, z prawa i obyczaju, panowała monogamia, ale zaledwo przy

ognisku domowem. Grek do pewnego stopnia uznawał powagę tej pierwszej sługi i strażniczki swego domu i mienia, ale pociechy i towarzystwa, łączności duchowej szukał gdzieindziej. Nietylko zmysłowo, ale umysłowo wykształcone hetery, dawały mu wszystkie, zwłaszcza wyższego rzędu, rozkosze, których dom nie przedstawiał, stąd urobiła się u Greków wiara, że dusza kobieca niezdolna jest połączyć cnotę z wykształceniem umysłu, a zatem być mężowi zupełną towarzyszką, że zupełnym towarzyszem tylko mąż mężowi być może, stąd znalazła się droga do cięższego i głębszego moralności zwyrodnienia.

Zgnilizna grecka łatwą musiała stać się pastwą dla miecza rzymskiego, ale, jak zbyt często bywa, pokonani zatruli zwycięzców. Wiadomo, że na karności rodzinnej i powadze małżeństwa wyrosła potęga Rzymu. Mężczyzna, jak zwykle, pierwszy zdobył sobie względną swobodę przywilejem rozwodu. Od czasów Augusta, wojny i proskrypcye tak wyludniają państwo, że rozchodzenie się stadeł bezdzietnych, wchodzi coraz więcej w obyczaj, rzekomo by przymnażać obrońców i obywateli Rzymowi: kobiety na swoją rękę obyczaj ten uprawiają, a wiemy z historyków i satyryków, z jakim skutkiem. I to nie wystarcza. Konkubinat wciska się tak gwałtownie w rzymską rodzinę, że prawo je uprawnia, a dla opuszczających Rzym urzędników przewiduje tę klasę wydatków, jak inne potrzeby. Wszystko daremnie. Płodność rasy, ugruntowana na czystości obyczaju, sprowadzić się sztucznie nie daje, wyludnienie cesarstwa wzrasta wraz z zepsuciem i wraz z upadkiem coraz niższym kobiety.

Ani prawo, ani obyczaj stanowiska kobiety dźwignąć nie umiały. Może mędrcy, może filozofowie, ci jedyni obrońcy moralności pogańskiej, podadzą choć oni jej rękę, może jęk jej rozpaczy usłyszą? Niestety, oni patrzą na ludzkość z zbyt wysoka, — tak podły twór, jak kobieta, myśli ich nie zaprząta. Pytagoras uznaje pierwiastek światła i dobra, który stworzył mężczyznę, i pierwiastek ciemności i złego, który stworzył kobietę. Plato naznacza duszom męskim, za karę, przejście w ciało kobiety lub bydlęcia, a jako społeczne, w swojej Republice, stanowisko, wyznacza wspólność niewiast dla wszystkich.

U Żydów, których życie publiczne i prywatne urządzone było na prawie Objawienia, było oczywiście lepiej. Stanowisko żony i matki było uszanowane. Zato poza rodziną, rola jej była żadna: społecznie i religijnie stoi na ostatniem miejscu, w świątyni niema go dla niej, i oddzielnie zanosić musi modły do Boga ludu swego. Rozwód i Żydom był dozwolony „dla zatwardziałości ich serca", wielożeństwo grasowało pośród królów. Wreszcie ten lud, odosobniony i drobny, niemal wciąż żyjący w poddaństwie lub zależności wielkich państw, nie miał znacznego wpływu na drugich.

Zmiana, jaką w losach kobiety sprawiło chrześcijaństwo, była tak zupełna, tak raptowna, jak w żadnym innym stosunku ludzkim. Rzecby można, że rodzaj niewieści z utęsknieniem wyglądał wybawienia swojego i, jak owa chora niewiasta, chwycił się kraju szaty Chrystusowej, aby dźwigniętym być i uleczonym. Chrystus, który bierze w obronę wszystko co słabe, wzgardzone, uciśnione, kobiecie przywraca od razu pełność praw i wartości moralnej, której jej ludzkość przeczyła: nie zmienia hierarchicznego stosunku obu płci do siebie, nie wskazuje kobiecie równości społecznej, ale podnosi od razu równorzędność nieśmiertelnej duszy jej w obliczu Boga, przed którym, jak niema Greka i Rzymianina, tak niema mężczyzny i kobiety, tylko wszyscy są zrównani w Chrystusie. Nietylko przyjmuje usługi i pozwala się otaczać świętym i czystym, ale dla błądzących ma zakon osobnego miłosierdzia i pobłażania. Publicznej grzesznicy nietylko sam nie potępia, ale oskarżycieli wzywa, aby na nią kamieniem rzucili, jakoby na męski rodzaj składając winę słabości i upadków kobiety. Tak nizko upadłą Magdalenę dopuszcza do poufałego słuchania nauk swoich i oświadcza, że lepszą cząstkę ona obrała.

Musimy przyznać, że nie zawiódł się Chrystus na kobiecie, że wdzięczność jej dorównała niemal ogromowi dobrodziejstw. Próby męki Chrystusowej mężczyźni nie wytrzymują: bojaźń i małoduszność zamienia ich niejako w kobiety, a niewiastom męskie serca i odwagę daje. Nie one Mistrza zdradziły, ani się go wyparły, ani go opuściły: nie one zwątpiły w jego zmartwych-

wstanie, ani ran jego dotknąć się żądały. Uwierzywszy w jego miłość i dobroć, więcej jeszcze niż w potęgę, już się zachwiać nie dały. Jak do tego przyszło? Jak się stało, że istota tyle wieków wzgardzona, wszelkiego wpływu na wypadki dziejowe pozbawiona, w tym właśnie wypadku największym, naczelnym ludzkości, tak stanowcze bierze miejsce? Spróbujmy ten objaw wyjaśnić.

Nad światem pogańskim jedna bogini bezpodzielnie panowała — była nią żądza, namiętność rozkoszy. Na nią wszystko się składa i jej wszystko hołduje: bogactwo, sztuka, poezya, przedmiotem jej ubóstwienie ciała i wszystkich jego chuci. Przeciwko temu prawu ciała powstaje w chrześcijaństwie zakon ducha, a ten żąda przedewszystkiem ujarzmienia żądz cielesnych, przedstawia jako szczyt doskonałości dziewictwo, a tym, którzy pospolitą obierają drogę, daje towarzyszkę jedyną i do śmierci z nim złączoną. Twarde było to prawo czystości, choć w małżeństwie, ale o ileż twardsze mężczyźnie niżeli niewieście. Jemu w zamian umartwienia żądz, dotychczas rozpasanych, wiara obiecuje tylko pozagrobowe nagrody, — jej, już obecne wyzwolenie, boć ona, a właściwie tylko jej ciało, przedmiotem była męskiego pożądania: nieświadomie zdawała sobie sprawę, że mąż czy pan, swój czy obcy, ceni w niej jedynie piękność ciała, że ją uwielbia zarówno w każdej, w jakiejbądź kobiecie, że o jej duszę, o serce, o wszystkie wyższe własności ani dba, ani wie o nich. Tymczasem, pod tym nowym zakonem, ona się czuje od razu istotą moralną, duszą nieśmiertelną, towarzyszką życia całego, uczestniczką złej i dobrej doli, panią przy tem ognisku domowem, które się staje jej właściwem królestwem. Matka, żona, dziewica, te istoty, o których świat pogański, a nawet żydowski, zaledwie miał pojęcie, jawią się i krzewią z niepojętą bujnością. Kościół pierwotny wrota swoje na oścież im otwiera, wszystko, z wyjątkiem kapłaństwa, wszelki zaszczyt, nie wyjmując męczeństwa, jest im dostępny, a ci przewodnicy, nauczyciele w tej nowej szkole, nie żądają od niej nic z tego, czego dotąd żądano, oni ją chcą zdobyć nie dla siebie, lecz dla prawdy, nie dla swego, lecz dla jej szczęścia nią się zajmują; więc ich

nauka, choć twarda, pociąga ją, ofiary, jakich ona wymaga, są jej słodkie, bo dowodzą, że nie o tę znikomą urodę, ale o piękność nieśmiertelną jej duszy walczą z nią, a w tej walce kobieta pragnie być pokonaną. Cóż dziwnego, że obiera tych, którzy jej szczęściem służą, nad tych, którzy nią się posługują, że się garnie do wiary, która jej tak poczesne daje w świecie miejsce.

Tej zmiany doczesnej losów, obok obietnic żywota przyszłego, nie było nadto kobiecie na tę chwilę stanowczą, gdzie musiała ręki przyłożyć, aby zapewnić chrześcijaństwu zwycięstwo nad najsilniejszą zaporą jego rozszerzenia. Ta całość państwa, która była *suprema lex* starożytnego ustroju, uosobiła się w cesarstwie rzymskiem w osobie imperatora i ukształciła w tyranię tem straszniejszą, że opartą o wszystkie niecnoty świata pogańskiego i, jako taka, musiała z natury rzeczy za wroga uważać i zwalczać ten zakon nowy, który potępiał wszystkie występki, wszystkie zbrodnie, polityczne i społeczne zarówno jak prywatne.

Wieki prześladowań były istotną próbą steroryzowania i zgniecenia siłą chrześcijaństwa. Takie środki udają się czasem po ludzku, ale można powiedzieć, iż wogóle odporność społeczeństwa względem nich rośnie w miarę duchowej wyższości kobiety. W Rzymie, obywatel wprawiony do ślepego poddania się konieczności państwowej, mniej niż niewiasta przygotowany był na opór, na wytrwanie w tej potępionej wierze, która na bunt zakrawała. Chrześcijanka odczuła, że ponad prawo siły, jest inne, które wiąże dusze. I nastąpił heroiczny zaprawdę wiek dla niewiasty.

Kobieta, widzieliśmy to, zawdzięcza wszystko chrześcijaństwu. W zamian, przez trzy wieki, odpłacać się hojnie będzie wierze i Kościołowi. Wpływ i udział niewiast w szerzeniu i obronie wiary ujawnia się coraz bardziej. Od pół wieku, wraz z pomnikami pierwotnego chrześcijaństwa, wyłaniają się jedne po drugich nazwiska kobiet, które, odebrawszy same światło wiary, podają je dalej i słabą dłonią chronią od zdmuchnienia przez wichry prześladowań. Wiara opowiadana była w Rzymie przez

maluczkich, maluczkim. Ciche to nauczanie, czepiało się najłatwiej poniżonych serc kobiecych: wyrobnice, sługi, niewolnice powolne były tej prawdzie, która, jeśli nie ciało, to dusze ich wyzwalała: przez nie, wiara przekroczyła progi patrycyuszów i zdobyła znów głównie kobiety. Już za czasów apostolskich spotykamy pełno tych imion, poświęconych krzewieniu wiary, pomocnic. Św. Paweł zostawia, jakby jasny szlak wędrówek swoich wśród pogan, po kilka takich gorących serc niewieścich, którym opiekę nad pracą swoją porucza, a później szle wdzięczne pozdrowienie. Za jego już pobytu w Rzymie, nowa wiara dostaje się na Palatyn: chwilowo Sabina, Poppea i jedna z dawnych ulubienic Nerona, biorą ją w opiekę, a roczniki Tacyta dowodzą, z jaką szybkością nowy zabobon krzewi się w mieście i suburrach, gotowa żertwa dla igrzysk Nerona, od chwili gdy i kaprys tyrański i polityka, zamienić kazały doraźne pobłażanie, na krwawy pościg. Wiele krwi niewieściej popłynęło w tym pierwszym upuście, któż powie? To pewna, że na męczeństwo biegły jak na ucztę, że nie było męki przez te trzy wieki, którejby serca dziewic, serca żon i matek nie były zniosły, — od najdotkliwszych dla nich samych do najboleśniejszych w ukochanych. To pewna, że ich przykładom, ich namowom, zawdzięcza Kościół niejednego męczennika: że tak jak uświęcały ognisko domowe, tak umiały i ono porzucić, i dzieci poświęcić, i męża zapalić i uzbroić do męczeństwa. Co mniej dotąd było wiadomem, to, że przerwy w prześladowaniach, że chwile wytchnienia, w których Kościół mógł rany swoje podwiązać, sił nowych nabrać, prawie zawsze winien był niewiastom.

Obok, lub nieopodal tych krwawych potworów, zawsze znalazła się dusza niewieścia, nawrócona lub blizka nawrócenia do nowej wiary, która ciosy, nad wiernymi zawisłe, odwracała, wypraszała im tolerancyę, a czasem łaski i swobody, brała w opiekę starszyznę Kościoła, ich miejsce schadzki powagą swoją, jak gdyby murem obronnym, odgradzała od napaści pogańskich. Taką przerwę i erę spokoju za Flawiuszów, tłumaczy wpływ Petronilli, siostry Wespazyana, i dwóch Domicyl. Że nie wchodziło tu w grę osobiste usposobienie cezarów, najlepszy

dowód, że tak wiele i tak znacznych męczeństw, liczą mądre i łaskawe rządy Trajana i Antoninów, kiedy tymczasem straszny Commodus, pod wpływem Marcyi, musiał zwolnić prześladowanie i ułaskawić wszystkich chrześcijan, w więzach zatrzymanych. Za małoletności Aleksandra Sewera, Memmea, za arabskich Filipów, Otacilia Sewera, za Waleryana, Salonina, tak samo cichą lecz czujną opieką otaczały wiernych. Wreszcie za Dyoklecyana, żona i córka jego Walerya, póty wstrzymywały srogość edyktów na chrześcijan, dopóki w rządach jego nie przeważył wpływ Galeryusza, i nie sprowadził ostatniego, ale najsroższego prześladowania. Nie rozciągnęło się ono wszakże na Gallię i Brytanię, osłonione potęgą Heleny, której ulegał Konstancyusz Chlorus, aż syn Konstantyn, sławnym edyktem medyolańskim, nie rozpoczął ery tryumfu chrześcijaństwa. Podczas gdy na stopniach tronu cezarów, wpływ niewieści objawiał się doraźnemi łaskami, działanie ich cichsze, ale potężniejsze jeszcze, krążyło jak krew ożywcza w całem ciele Kościoła. Na wszystkich stopniach społecznych, kobieta znaczyła obecność swoją to fundacyami, to opieką, a zawsze osobistą pracą i poświęceniem. Tu znów archeologia coraz jaśniej drogę dziejów oświeca i wskazuje, jakie poważne imiona i tradycye kryją te zakonne niemal pseudonimy Lucyi, Luciny, Ireny, Colomby, które się raz wraz w martyrologiach powtarzają. To córki wielkich rodów Fabiuszów, Korneliuszów, Cecyliów, to owa Pomponia Graecina, którą nauczyliśmy się znać i kochać z *Quo vadis,* jako jasny ideał chrześcijańskiej matrony, to Priscilla, matka senatora Pudensa, gospodarza świętego Piotra, to Mustiola, krewna kilku cesarzy. Wiele zbudowały przytułków dla chrześcijan, wiele krypt i podziemi nosi ich nazwiska, to już w części wiemy, ale przyszłość odkryje ich pewno więcej: jak dotąd, najwięcej cmentarzy chrześcijańskich nosi nazwy tych hojnych i walecznych niewiast, albo tych męczenników, których zwłoki porywały to z płomieni, to z pod ręki kata, jak skarby najdroższe, ukrywały u siebie i przystojnie pochowały, aż same legły przy nich, ze znakiem palmy lub gołąbki.

Później, gdy cesarze już chrześcijańscy, ale na mocy tych

samych praw i tradycyi, zamierzają, jakoby *pontifices maximi*, i w kościelne prawa wchodzić, i własne wierzenia swoje poddanym nakładać, protest znów od kobiety wychodzi: instynkt nieomylny ostrzega ją, gdzie wraz z prawdą, najpewniejsza jej praw obrona. Ona herezyom stawia czoło, nieraz głośno, a zawsze w łonie rodziny, ona do oporu kształci dusze synów, którzy wyrastają na ojców Kościoła. Nie jest to przesada, że za każdym niemal wielkim doktorem, biskupem staje postać surowej cnoty i słodkiego oblicza, na którą syn wskazując, z dumą i miłością, głosi jej chwałę i do niej własną odnosi. Od Bazylego i Augustyna począwszy, powraca przez całe wieki ta pieśń chwały i dziękczynienia za matki, które ich wychowały, i słowa Salomona o mężnej niewieście, w chrześcijaństwie dopiero się spełniają, iż „powstaną synowie i będą ją chwalić".

Kiedy prawią o nieuctwie i ciemności, w której Kościół trzymał rzekomo kobietę, to przyznać trzeba, że trudno o bezczelniejsze kłamstwo. Które kobiety? Czy te, którym Jan Złotousty powierzał z wygnania najtrudniejsze sprawy do pilnowania i rozwiązania? Czy te, do których pisywał Grzegorz W. i święty Bernard? Czy towarzyszki św. Hieronima i pomocniczki w wielkiem dziele przekładu Pisma św.? Czy Radeganda i Hroswita, które w klasztorach przytułek poetom dawały i same rozjaśniały mrok najciemniejszych wieków? Czy Katarzyna Seneńska i Teresa z Awili, które nawet jako pisarki takie poważne miejsce w wiekach swoich zajmują? Czy, na samym progu Odrodzenia, Jadwiga, pracująca za życia dla akademii pragskiej i założycielka krakowskiej? Zaprawdę, ciemne są średnie wieki, ale dlatego, że jeszcze tak wstydliwie mało znane.

III.

Zapóźno nawrócony stary grzesznik, niezdolny już był świat rzymski, jako całość organiczna, odżyć pod tchnieniem chrześcijaństwa. To ostatnie miało się wnet znaleźć wobec nowych warunków i niezmienne swoje prawdy zastosować do społeczeństw i urządzeń z gruntu różnych, właściwie wobec anarchii barbarzyństwa, z której powoli miał się wyłonić nowy porządek.

Najbliższe niebezpieczeństwo było to, że królowie goccy i germańscy, przelać na siebie próbowali wszechwładztwo dawnych cezarów, nawet wobec Kościoła. W tej walce długiej, gdzie naprzeciw zasady moralnej, po ludzku bezbronnej, występowało elementarne prawo siły, — kto stanął w obronie praw Kościoła? Ta właśnie, która przedstawiała siłę nie materyalną, ani polityczną, lecz wyższy pierwiastek moralny i kulturalny społeczeństwa, kobieta. Od gór szkockich aż po Karpaty i dalej, w każdym kraju przeznaczonym do życia, w każdym członku przyszłej rzeczypospolitej chrześcijańskiej, w samym zarodku jego, staje niewiasta o wielkiem sercu, która mu wrota prawdy na oścież otwiera, a później wdziękiem, nieraz i siłą, podtrzymuje powagę i prawa Kościoła. Na pół dzicy książęta, od Klodwiga do Jagiełły, sięgają po te skarby i lękliwy hołd oddają chrześcijańskim dziewicom, a przez nie, krzyżowi i lasce papieskiej czy biskupiej. Która uległa w nierównej walce, która zmęczona nią, albo osierocona została w krwawych zapasach po mężu i synach, zamykała się na resztę życia w zbudowanych przez siebie przybytkach modlitwy i tam się inne do nich garną, tam chowają się pod ich opieką przyszłe bojowniczki bojów Pańskich, po które kolejno schylać się będą książęta i rycerze, i nowe drogi chrześcijańskiej oświacie torować.

Tak pomału, pracą i powagą Kościoła, współudziałem niewiasty, buduje się ten gmach społeczeństwa chrześcijańskiego. Wśród burz, jakie przechodzi, jedną z pierwszych była owa długa walka o supremacyę, kiedy nad hierarchią kościelną zaciężyć chciało całą siłą społeczeństwo świeckie w osobie cesarzy. I znów przeciwko cesarstwu, politycznej jego głowie, a przy papieżu, głowie duchownej, oświadczy się kobieta; Matylda Toskańska całe życie walczy w obronie tej idei, a po śmierci, materyalną podstawę Stolicy rzymskiej zapewnia.

Cięższe, bo z upokorzeniem i Stolicy św. i Rzymu połączone, wygnanie awinionskie, skończy się tryumfalnym powrotem do Rzymu, a ten powrót przygotuje i wymusi niejako, już nie wielka pani, nie księżniczka, ale syeneńska plebejuszka, Katarzyna Benincasa.

Stosunek najściślejszy pomiędzy Kościołem a niewiastą uderzyć musi każdego, co, z uwagą i nieuprzedzonem okiem, śledzi w dziejach wewnętrzne życie i przyczyny wypadków. Kobieta, aż do schyłku średnich wieków, stoi przy Kościele, a ten praw jej broni, nieraz z narażeniem własnych.

Na punkcie nierozerwalności małżeństwa, najmniejszego ustępstwa nie zrobi: ani groźby królów, ani wykręty legistów, ani konieczność polityczna, nie zachwieje powagi tego prawa. A nie tylko księżne i królowe doznają tej opieki: rozciąga się ona do najuboższych i najbardziej opuszczonych, uświęca ją obyczaj pod wpływem wiary wykształcony. Kwestya kobieca nie po raz pierwszy w naszych oczach przybiera ostrzejsze formy. Po wyprawach krzyżowych, uczuć się dał ubytek w męskiej połowie ludności Europy, od góry do dołu. Niejedna wtedy wdowa i matka wzięła na siebie zadanie męża i ojca, rządząc mądrze i sprawiedliwie obszernemi nawet włościami. Kądziel musiała liczebnie zaważyć w instytucyach publicznych, skoro w niektórych prowincyach Francyi kobiety, nie tylko zyskały głos wirylny, ale i same w pokaźnej liczbie zasiadały w stanach prowincyonalnych. Przewaga liczebna niezamężnych kobiet niższego stanu, obudziła czujność Kościoła i ludzi myślących: wtedy za inicyatywą to świecką, to duchowną zaczęły robotnice łączyć się zawodowo, na podstawie współczesnych instytucyi. Powstały więc jak gdyby falanstery, świeckie klasztory, w których kobiety niezamężne i wdowy, poddając się przepisom koniecznej karności, znajdowały przystojny przytułek i pracę. Stowarzyszenia, te zwane *béguinages,* powstały głównie we Flandryach, rozszerzyły się na Niemcy i pomiędzy połową XIII a pierwszą połową XV wieku, do stu domów takich rozwinęło się i kwitło. Kolejno zdobywały kobiety i inne cywilne prawa. Są ślady, że w Niemczech, w cechach zwłaszcza płóciennniczych, dostąpić mogły stopnia i przywilejów majstrów. Dodajmy, na zawstydzenie naszych feministek, że im jeszcze daleko dzisiaj, do osiągnięcia liczby doktorek medycyny, jakie praktykowały od końca XIV do pierwszych lat XVI wieku, bo ich na setki wyliczają, a niektóre istotnej sławy zażywały.

IV.

Rozważywszy te objawy, tak w szczegółach jak w całości, dojdziemy do przekonania, że wpływ kobiety, nigdy zresztą nie zaprzeczony, ale zwykle w oderwaniu traktowany, na ustrój i ducha rycerstwa, na poezyę, na rozwój i podniesienie cywilizacyi, był raczej tylko rozkwitem tego powolnego, ale ciągłego wzrostu, które chrześcijaństwo jej stanowisku przyniosło. Kwiat ten wyrósł na gruncie cnoty surowej, obyczaju chrześcijańskiego, i zlania z duchem Kościoła. Wszyscy prawie pisarze kościelni mają dla kobiety wyrazy czci największej i uszanowania, wszyscy traktują poważnie sprawę jej wykształcenia moralnego i duchowego, dla której średnie wieki niemało zrobiły: tak trwa aż do zarania nowszych czasów. Z Odrodzeniem zaznacza się w stanowisku kobiety zwrot charakterystyczny. W miarę jak ręką uczonych, nieraz pod opieką papieży, odchylało się wieko, pod którem drzemał świat starożytny, ludziom ciasno się robiło w granicach, które chrześcijaństwo ciekawości ich postawiło. Drzewo wiadomości znów ludzkość nęcić zaczęło, a zaprawdę była to wiadomość złego więcej, niż dobrego. Za pięknością pogańską, za którą świat gonił i nią się zachwycał, siadła do tej uczty duchowej, jaką było Odrodzenie, i dusza pogańska, i ponownie jadem swoim serca zatruła. Społeczeństwa jedne po drugich wedle stopnia i wykształcenia i odporności, ulegały zarazie, a udział w tym ruchu kobiety, jak zwykle, miarodajnym był w każdym narodzie. Ciekawy to był proces, który przez cześć piękności i wiedzy, pod egidą Platona, którego powagą osłaniał się stosunek, nie zawsze bezpieczny, pięknych pań z uczonymi, doprowadził do głębokiego skażenia obyczajów. Humaniści zaczęli od ubóstwiania kobiety, jako przedstawicielki piękności w świecie: ona, zwłaszcza we Włoszech i Francyi, poszła na lep pochlebstw, i za hołdy uczonych wyrzekła się opieki i powagi, którą od lat tysiąca Kościół ją otaczał. Nie spostrzegła się, że równocześnie hołdowano jej w wykwintnych poezyach, i wcale niewykwintnym własnym żądzom, że Petrarka, opiewając w sztucznych wierszach wdzięki Laury, puszczał wodze

bardzo nizkim chuciom. Wkrótce też, po sonetach, przyszedł „Dekameron“, i nie minęło pół wieku, a kobiety nietylko czytać ale i pisać się nie sromały nowel na wzór Boccaccia. Żaden humanista, prócz pustych pochlebstw, nie miał dla kobiety innego uczucia jak nizkiej żądzy i wzgardy. Otwarłszy na oścież drzwi jej wyobraźni, podkopawszy wiarę i zmysł moralny, począwszy od listów Petrarki do Rabelais'go i Montaigna, wszyscy wyrażają się bez szacunku o kobiecie, tracą wiarę w jej cnotę i obyczaje. Dla wykształcenia jej przymiotów, choćby tylko umysłowych, nic zgoła humaniści nie zrobili, i krótki wykwit Odrodzenia skończył się ogólnem obniżeniem i moralnem i duchowem kobiety.

Nawet pomiędzy kapłanów, nawet do klasztorów, męskich i żeńskich, dotarł zgubny powiew Odrodzenia, rozluźnił karność reguł, a, co gorsza, karność woli, i dopuścił tęsknoty za światem, która jest ducha świata najpewniejszym przewodnikiem. Niektóre dusze czuły niebezpieczeństwo i nad niem bolały, ale Kościół, w pewnych wyższych osobnikach, sam zarażony, ocknął się zapóźno do koniecznej naprawy. Już wkroczył Luter w jego dziedzinę, a, niestety, wkroczył w chwili, kiedy społeczeństwo całe odczuwało potrzebę reformy i zepsucia i nadużyć, i zbyt łatwo, po części w dobrej wierze, poszło na lep jej haseł. Hasła zdawały się szlachetne, lecz zasady wbrew były przeciwne podstawom chrześcijaństwa. Kościół katolicki stał w społeczeństwie mocą hierarchii skupionej w głowie swojej, papiestwie.

W tym ustroju, państwa i monarchowie byli tylko członkami, jądrem i syntezą było papiestwo. Jedynie ono posiadało władzę moralną i siłę działania nią na ludzi i sprawy, ono też jedynie miało tę moc leczącą, którą w pierwszym rzędzie do własnych swoich zastosować miało. Zaprzeczając tej władzy głowie, i rozpylając ją niejako na każdego osobnika w Kościele, na każdego rozum osobisty, reformacya zatraciła sam pierwiastek władzy, i w chwili gdy głosiła potrzebę naprawy, zniszczyła tej naprawy i źródło i środki. Wiadomo jaką była naprawa, tak duchownego jak świeckiego społeczeństwa, ręką Lutra i towarzyszy wprowadzona. Za księżmi i zakonnikami, którzy teoryę

wolności czemprędzej poparli praktyką, poszło społeczeństwo świeckie, najpierw w osobie książąt i książątek. Gdy Luter głosił, że dziewictwo sprzeciwia się przyrodzeniu, oni wnet uznali, że nierozerwalność małżeństwa, a wreszcie jednożeństwo, zbyt ciąży ludzkiej naturze. Luter szczycił się, że i kobiecie przyniósł wyzwolenie. Istotnie, w Niemczech i Anglii otwarły się furty klasztorne, a sam apostoł czynem poparł swoją naukę, targając i własne i towarzyszki swojej śluby. Wszelako dość otworzyć jego pisma, kazania i listy, aby przekonać się, jaką rolę przeznaczał kobiecie w odnowionym przez siebie kościele. Luter ignoruje, gdy o kobietę chodzi, prawo Ewangelii: on zna zaledwie niewiastę z pod Starego Zakonu, — zaledwie, bo o niej, jako m a t c e, nigdy nie wspomina, a miejsce daje tylko żonie, nie towarzyszce, ale cielesnej połowie i słudze męża. Jak gdyby się zapatrzył w te smutne, znękane, beznadziejne postaci, które Michał Anioł na sklepieniu Sykstyny, jako prababki Chrystusa, pomieścił, odjął niewieście wszystek wdzięk, wszelką szlachetność. Czy kobieta ma własne pragnienia, potrzeby, nadzieje, on w to nie wchodzi: nie zupełnie dowierza nawet, aby miała duszę i sumienie podobne mężowi. Służyć, dogadzać, jako tako umilać dom pana swego, to całe zadanie tej niewolnicy. Kształcić rozum jej i serce, — po co? dość by potrafiła czytać Biblię i gotować, słuchać i milczeć, dopóki panu swemu się nie uprzykrzy i innej na jej miejsce nie poszuka. Nie wszyscy reformatorzy poszli tak daleko jak Luter, nie wszyscy głosili tak cynicznie zasady nowego zakonu: niektórzy zato, jak landgraf heski, jak Henryk VIII angielski, poszli jeszcze dalej. A Kościół i wtedy się nie zachwiał i, w obronie jednej kobiety, nie zawahał się postawić na szalę losów potężnego państwa: raczej stracić Anglię dla katolicyzmu, niż przyznać królowi jej prawo odtrącenia prawowitej małżonki.

Jansen dał w swojej historyi, świetny obraz poziomu, jak osiągnęła w Niemczech kultura przed reformacyą i szybkiego jej upadku: może brak w tym obrazie pewnych rysów odnośnych do losów kobiet. Faktem jest, że, jak w życiu, tak w prawodawstwie, zaprzeczono jej wtedy mnóstwa praw, a zwłaszcza

prawa do pracy. Na różnych polach, w wielu zawodach, gdzie się już z mężczyzną zrównała, odtrącono ją teraz gwałtownie. Szwacze, zaprzeczyli szwaczkom prawa sporządzania odzieży, nawet kobiecej, prócz bielizny, — niemniej przyborów kościelnych tknąć jej zabroniono: może z tego czasu cech hafciarzy *(acupictores),* przynajmniej w Krakowie gdzie niemiecki obyczaj przeważa, przywłaszczyli sobie mężczyźni. Jakiż odskok od owych ciemnych wieków, gdzie kobieta rzeźbiła obok mężczyzny ogromne postaci portalu strasburskiej katedry: ongi do dłuta ją przypuszczano, teraz igły nawet zaprzeczają. Istotnie utrwaliła się w tych czasach wiara, że kobieta, prócz do kuchni i niańczenia dzieci, innych zdolności nie posiada. W Wittemberdze, w jednym tylko roku 1595 wygłoszono kilkadziesiąt tez w obronie zasady, że kobieta nie jest zupełnem, rozumnem stworzeniem.

Wszelako, choć tak upośledzona, kobieta, więcej niż jakabądź istota, miała posiadać moc nadprzyrodzoną szkodzenia drugim ludziom. Wiara ta była niewątpliwie starsza od Lutra, ale po nim dopiero, wraz z przesadną wiarą w moc złego ducha, wzmogła się i doprowadziła do tych haniebnych prób i egzekucyi na czarownicach, które, przez najwyższe sfałszowanie historyi, złożono na karb katolickiego Kościoła. Fanatyzm luterski i kalwiński rzucał się na bezbronne niewiasty; z ambony padały raz po raz groźby i jątrzenia tłumu na posądzane o czary istoty. Co w krajach romańskich i katolickich było rzadkim wyjątkiem, to wśród zdziczałego pospólstwa niemieckiego weszło prawie w obyczaj, — pławienie i palenie czarownic jako zasługę poczytywano, daremnie brało ich w obronę duchowieństwo, a zwłaszcza Zakon Towarzystwa Jezusowego.

Oto w głównych tylko rysach, co kobieta zawdzięcza reformacyi.

Owa naprawa, o którą rzekomo walczył Luter, wyrabiała się tymczasem procesem, powolnym ale energicznym, w łonie Kościoła. Świątobliwe jednostki ją rozpoczęły, papieże o cnocie surowej i woli stanowczej dali jej kierunek, a Sobór Trydencki jedność i trwałość zapewnił. Aby dotknąć w tem wielkiem dziele

jedynie udziału jaki kobietom przypada, zobaczmy, jak wraz z duchem Kościoła i u niej duch się wzmaga, jak znów powaga i stanowisko jej rośnie. Chwałą płci niewieściej pozostanie wyjątkowa postać św. Teresy, która dwa zakony z gruntu odnowiła i na czele ich stanęła, w której pismach nie wiadomo czy więcej podziwiać głębokość teologiczną, czy prostotę i rodzimy rozsądek, w której listach, nawet do królów, duma kastylska i cięty dowcip, łączą się przedziwnie z zakonną pokorą. Teresa była pierwszą na tej drodze, a zdolności wyjątkowe byłyby ją w każdem powołaniu na świeczniku postawiły, ale prócz niej, jak na wyścigi rwą się kobiety do pracy katolickiej i społecznej zarazem. Angela Merici stawia pierwsze kroki w odnowionem dziele wychowania dziewcząt. Joanna Chantal gromadzi wkoło siebie zastęp dusz wyjątkowych, i wpływa potężnie na odnowienie wśród społeczeństwa ducha wiary. Ludwika Marsillac, pod kierunkiem Wincentego a Paulo stwarza to wojsko, co, zamiast hełmów, w białe kornety przybrane, nie ulęknie się ani zarazy, ani pocisków, ani pogan, ani niedowiarków, na skrzydłach miłosierdzia przebędzie świat, przetrwa rewolucye i przewroty, i dotrze do ostatnich znanych granic świata. W Niemczech ten ruch ku wyzwoleniu kobiety, choć mniej głośny, wydał przedziwne postaci. W Polsce, jak zwykle, niestety, mniej o swoich wiemy, bo lenistwo nasze dokumentów współczesnej cnoty nie zbierało, a przecież to grono niewiast wszystkich stanów, które otoczyły Piotra Skargę i pomogły w przeprowadzeniu błogosławionych dzieł jego: Arcybractwa Miłosierdzia i Banku Pobożnego, zasługiwałoby na cześć i pamięć naszą. Francyi jednak przyznać należy najwięcej tego pierwiastku heroicznego, i, cały ruch ewolucyjny, burzliwy we Frondzie, wykwitnął cnotliwy i ckliwy w Hotel Rambouillet, ascetyczny w Port Royal, zdążający nieraz błędną drogą do coraz większej jasności i czystości, dowodzi przewodniego niemal miejsca, jaki, zwrot ku ideałom chrześcijańskim w społeczeństwie, dał znowu kobiecie.

(Dok. nast.).

Jadwiga Roztworowska.

VOTA I SOBIESKI[1].

W sierpniu 1684 r. wracał O. Vota z Moskwy przez Polskę. Pilno mu było widzieć się z królem polskim Janem III, aby go do wieczystego pokoju z Moskwą nakłonić, bez którego jej przystąpienie do ligi niemożebne. Zastał go w Jaworowie. Król na odstąpienie tak wielkich prowincyi, zwłaszcza Kijowa i Zadnieprza, nie zgadzał się, ale tak się rozmiłował w Vocie, że zatrzymał go jako osobistego swego sekretarza i przeznaczył na mistrza swych synów Aleksandra i Konstantego. „Codziennie od 8—9 w pałacu pilaszkowickim wykładał królewiczom filozofię, od 9—10 historyę powszechną, kosmografię i geografię. Wieczorem od 3—5 wykładał kompendium spraw książąt europejskich[2]. Zgodził się na to chętnie cesarz Leopold, a bardziej jeszcze papież, który polecił Vocie, aby w charakterze ablegata pozostał na dworze polskim i paraliżował intrygi francuskie, dążące do zawarcia pokoju Polski z Turcyą i wydania cesarstwa na jatki Turkom, a równocześnie aby czuwał nad zachowaniem zgody i sojuszu króla polskiego z cesarzem, pomimo przykrości i zawodów, jakich król Jan doznawał od Leopolda[3].

Odtąd przez lat 12, aż do śmierci króla Jana († 17 czerwca 1696 r.), był O. Vota nieodstępnym jego doradcą, pomocnikiem

[1] Wyjątek z dzieła „Jezuici w Polsce“ t. III, rozdz. VI.

[2] Helcel: „Listy Jana Sobieskiego“, str. 447, dok. 190.

[3] *Archiv. Prov. Pol.* Indeks i wyciąg z aktów. O. K. M. Voty.

wiernym sługą i przyjacielem; w Jaworowie i Wilanowie mieszkał obok króla, w podróżach i w wyprawach jechał w jednym powozie, nocował w jednym namiocie z królem, dzieląc trudy i niebezpieczeństwa. W wolnych chwilach rozprawiał z nim o literaturze starożytnej, zwłaszcza rzymskiej, o kwestyach teologicznych, to znów redagował listy i noty dyplomatyczne nie tylko dla króla, ale i dla ministrów i sekretarzy królewskich, był *de facto* rejentem kancelaryi przybocznej króla, oddany szczerze a bezinteresownie jego osobie, którą czcił, wielbił słowem i piórem jako opatrznościowego bohatera — obrońcę chrześcijaństwa.

Wnet też pozyskał O. Vota życzliwość i zaufanie królowej Maryi Kazimiery, która z swemi pałacowemi damami, Le Freux i Faidherbe, i rezydentem weneckim Albertim wywierała stanowczy wpływ na króla i sprawy państwowe ku wielkiemu oburzeniu panów polskich, zwłaszcza hetmana w. lit. Kazimierza Sapiehy. Czy i O. Votę zaliczano do kamarylli królowej? Przypuszczam, że tak, twierdzi to i Julian Bartoszewicz [1], ale Vota o całą głowę przewyższał nie tylko dworaków, lecz i ministrów króla JM. Wielka myśl ligi i pokonanie odwiecznego wroga chrześcijaństwa górowała u niego ponad wszystko. Dla niej to skojarzenie zgody między panami chrześcijańskimi, katolickimi zarówno jak i protestanckimi, uzyskanie tolerancyi obustronnej, a unii religijnej tam, gdzie się da przeprowadzić, uważał za święty swój obowiązek. Te wielkie idee zaprzątnęły cały jego szeroki umysł; aby je w czyn zamienić, potrzebował łaski i życzliwości zarówno papieża i cesarza, jak polskiego króla i wielowładnej w sercu jego Marysieńki, więc też nie dbał wiele o to, ani się bronił, gdy go do jej kamarylli zaliczano. Z tej samej przyczyny troskliwy był o życzliwość carów moskiewskich, księcia pruskiego i innych protestanckich książąt, bo ich także pragnął dla sprawy ligi pozyskać i w ich także państwach wyjednać chciał tolerancyę religijną dla katolików.

Z tego punktu ocenić należy działalność i charakter Voty.

---

[1] Encyklopedya Orgelbranda, t. XXVI, str. 261.

niewolny zresztą od wad i ułomności. Osobistych ambicyi nie miał, chciwość złota i gonienie za wygodami były mu obce, znał jedną tylko ambicyę, którąby „jezuicką“ nazwać można, pracowania jak najwięcej, bez utrudzenia, zawsze i wszędzie, gdzie i ile się tylko da dla wielkiej sprawy chrześcijaństwa, zagrożonego przez Turków, dla chwały i sławy Stolicy św. — i na tym punkcie spotkał się z podobnym sobie królem Janem, zrozumiał go i ocenił, on może jeden ze współczesnych, należycie, i on może jeden współczuł i podzielał jego udręczenia, kłopoty, zawody, bóle i smutki. Więc, jak popierał go całym swym rozumem, sprytem i energią w wielkiem dziele obrony chrześcijaństwa, tak oddał się na osobiste jego i rodziny królewskiej usługi, zawsze, wszędzie, z poświęceniem bez granic.

Głównym i pierwszem staraniem Voty było przyśpieszenie pokoju z Moskwą. Lubo bowiem pakta andruszowskie, przedłużone 1678 przez posła polskiego, księcia Michała Czartoryskiego, kończyły się dopiero 1693 r., to jednak nie można było ufać Moskwie, która, zawarłszy w maju 1680 dwudziestoletni rozejm z Turcyą, odzywała się głośno, że jeżeli Polacy andruszowskiego rozejmu nie zamienią na wieczysty pokój, to połączy się z sułtanem i hanem tatarskim i wypowie wojnę Polsce. Dlatęgoto jeszcze przed wyprawą wiedeńską sejm 1683 r. wyznaczył „komisyę do traktatów moskiewskich... o wieczny pokój“, złożoną z 6 senatorów i 15 posłów, z Krzysztofem Grzymułtowskim wojewodą poznańskim, i Marcyanem Ogińskim, wojewodą trockim, wnet potem kanclerzem litewskim na czele [1].

Komisarze polscy zjechali do Kadzyna; moskiewscy, Czadajew, Żelabowski, Buturlin, Skuratów i książę Wasyl Golicyn, do Andruszowa, ale ci ostatni nie kwapili się z układami. Owszem, książę Golicyn wzmocnił załogi w Smoleńsku i Kijowie, zajął Zasoże, pas kilkunastomilowy ziemi polskiej nad rzeką Sożą, nagromadził u granic Litwy znaczne wojsko, gotowe wpaść do niej, gdyby królowi pod Wiedniem powinęła się noga. Dopiero więc pierwszych dni stycznia 1684 r. rozpoczęły się przedwstę-

[1] *Vol. leg.* v, 335.

pne układy. Moskwa stawała hardo, domagała się ryczałtowego zatwierdzenia paktów andruszowskich, a, gdy tego jej życzenia nie spełniono, „podwoiła swoje zuchwalstwo i otwarcie bez żadnych ogródek zapowiedziała wojnę“, jak donosi Grzymułtowski 16 lutego 1684 r. kanclerzowi w. k. Janowi Wielopolskiemu [1], i z tego stanowiska nie ustąpiła ani na jotę przez całe dwulecie układów. Komisarzom polskim długo nie przysyłał podkanclerzy Jan Gniński instrumentu pełnomocnictwa, sam znosił się bezpośrednio z Golicynem, chciał, ku wielkiemu rozgoryczeniu komisarzy, aby nie komisyą ale wielkiem poselstwem wieczysty pokój z Moskwą został zawarty, bo żądała tego Moskwa [2].

Sejm 1685 uchwałą „komisye z państwami pogranicznemi“ zatwierdził komisarzy na poselstwie [3]. Dopiero jednak w lutym 1686 r. rozpoczęły się układy w Moskwie. Tam miano szczerą chęć wojowania z Polską, Buturlin zwłaszcza, naznaczony na głównego wodza armii; a niefortunna wyprawa hetmana Jabłonowskiego na Mołdawię w jesieni 1685 r. zaostrzała apetyt wojny. Pełnomocnicy carscy nie szczędzili posłom polskim niegrzeczności i oszczerstw, tak, że ci upomnieć się musieli o „równą grzeczność“, z jaką oni ich traktują. O oddaniu Kijowa, albo choćby piędzi ziemi, ani słyszeć nie chcieli. Wytoczyli za to aż 13 skarg na nieoddawanie tytułów należnych carom przez podstarościego uświackiego Skopa, przez posła Ogińskiego i innych, dodając zuchwale, że „tych ubliżeń nie puszczą płazem a wieczystego pokoju nie zawrą bez Kijowa; a niech wiedzą Polacy, że za tytuły i cześć swoich carów gotowi nawet życie położyć“. Buturlin wykrzykiwał „że najpewniejszy pokój pod szyszakiem“ [4].

Od 19 lutego do 27 marca odbyło się 9 posiedzeń w Moskwie wśród ustawicznych zwlekań, sporów i niegrzeczności ze strony Golicyna i jego towarzyszy i gróźb odjazdu ze strony polskiej. Na 9-tej sesyi 30 marca, przyszło już do formalnego

---

[1] Załuski: *Epist. hist. fam.*, t. I, p. 2, str. 869.

[2] Tamże 826.

[3] *Vol. leg.* V, 351.

[4] Załuski I, 925—930. Relacye polskich posłów do króla i senatu na ręce kanclerza.

zerwania; podpisano rozjezdne listy, polscy posłowie pożegnali carów i zabierali się do wyjazdu. Ale carówna Zofia natchnęła Golicyna, że przez tłumacza Ławreckiego nakłonił polskich posłów do podjęcia układów na pół prywatnie i z nim samym tylko. Jakoż 17 kwietnia przyszło do zgody i ułożenia punktów sojuszu, aż tu na dumnej radzie carskiej 18 kwietnia skoncypowano inne, całości Rzeczypospolitej i honorowi króla wręcz przeciwne warunki. Oburzeni posłowie polscy na trzy zawody chcieli odjechać, na trzy zawody wstrzymywał ich Golicyn, targując się o każde ustępstwo, a grożąc sojuszem z Turkiem i Tatarami przeciw Polsce. Dopiero 3 maja stanęło porozumienie i ostateczne ułożenie 33 warunków „wiecznego pokoju i sojuszu“; 6 maja zaprzysięgli je naprzód posłowie polscy, Krzysztof Grzymułtowski, Maryan Ogiński, Aleksander Przyjemski, potem carowie Iwan i Piotr [1].

Pokój ten nieszczęsny inaugurował stanowczą przewagę młodej, rządnej, idącej świadomie i śmiało do wielkości Moskwy nad bezsilną, bo anarchiczną, przeżyłą w swych instytucyach a niepoprawną Polską. Olbrzymie szmaty ziemi, a na niej najważniejsze warownie i serce Rusi, Kijów, z pięciomilowym pasem na Przeddnieprzu, ginęły dla niej niepowrotnie. W zamian za tę stratę cóż dostawała? Wstyd powiedzieć: półtora miliona talarów i niepewny sojusz przeciw Tatarom krymskim, bo budziackich i białogrodzkich zwalczać mieli Polacy [2].

Wczytawszy się w listy posłów polskich do króla i innych dygnitarzy w Polsce i w tekst warunków tego pokoju, trudno się obronić przypuszczeniu, że stary, 65-letni, schorzały Grzymułtowski i jego towarzysze steroryzowani zostali energią Golicyna i jego kolegów, z jaką, znając słabość anarchicznej Polski, a gorącą żądzę króla złamania potęgi tureckiej, stawiali im ustawicznie tę alternatywę: albo wieczysty pokój, z Kijowem i Za-

[1] „Zdanie sprawy przed królem Janem III, z poselstwa do Moskwy, zaczętego r. 1685, a skończonego 3 maja 1686 przez Krzysztofa Grzymułtowskiego, wojewodę pozn.“. — „Źródła do dziejów polskich“ Przezdzieckiego i Malinowskiego II, 1—35. — *Vol. leg.* VI, 73—82.

[2] Plan ligi polegał na rozerwaniu potęgi tureckiej.

dnieprzem, albo wojna z Moskwą w przymierzu z sułtanem i hanem tatarskim; „i pisma na oddanie Zasoża nie damy i z Turkami na was straktujemy“ [1]. Nowej wojny kłaść na barki Rzpltej nie mieli odwagi, więc ustępując nieubłaganej, jak mniemali, konieczności, zgodzili się na hańbiące warunki. Ale czy ta konieczność była istotnie nieubłaganą? Rozejm z Moskwą kończył się dopiero 1693 r. Diak dumny (sekretarz carski), na pożegnalnej u carów audyencyi 30 marca, oświadczył uroczyście, „że przymierze (rozejm) Ich Mość carowie do pięciu lat utrzymywać będą jak najmocniej“, jak to dworzanin Grzymułtowskiego w swej relacyi opowiada [2]; widoczna więc, że Golicyn nie na prawdę ale dla postrachu groził sojuszem z hanem krymskim, którego poseł przybył właśnie do Moskwy, i z Turkiem, z którym rozejm kończył się dopiero 1700 r. Można więc było nie zrywać, ale, składając się brakiem instrukcyi, zawiesić układy do sposobniejszej chwili, zwłaszcza, że 1689 r. wybuchł w Moskwie nowy bunt strzelców na rzecz carównej Zofii, zakończony zwycięstwem 17-letniego cara Piotra, osadzeniem Zofii w monasterze nowodziewiczym nad Samarą, upadkiem i deportacyą Golicyna do Kargopola, potem do Pustozerowa w Syberyi, gdzie też 1713 r. żywota dokonał [3]. Kwestya to jednak wątpliwa, nad którą dysputować mogą historycy Polski.

Ale mógł sejm, mógł król nie ratyfikować zgubnego traktatu. — Sejmu od 1685 r. nie było, najbliższe dwa sejmy w styczniu i w grudniu 1688 zostały zerwane. Na króla, aby moskiewski sojusz ratyfikował, nie wątpię, że napierał O. Vota, ale napierali także (w grudniu 1686) nuncyusze kardynałowie, Buonvisi z Wiednia, Pallavicini z Warszawy [4]; król pałał żądzą pokonania Turków, założenia dynastyi na Wołoszy, więc, choć ze łzami w oczach, ale zaprzysiągł nieszczęsny sojusz.

O ile Vota wpłynął na przyśpieszenie pokoju i przyjęcie

---

[1] „Zdanie sprawy“.

[2] „Źródła do dziejów polskich“ Przezdzieckiego i Malinowskiego II, 56.

[3] *Tagebuch des Generals Patrik Gordon*, II, 267—283.

[4] Theiner: *Monum. de Russie* 321.

twardych jego warunków — trudno powiedzieć. To pewna, że napierał na posłów polskich i na króla, aby śpieszyli, bo równocześnie z pokojem przychodziło do skutku tyle upragnione przez papieża zaczepno-odporne przymierze Moskwy z Polską, a przez nią z cesarstwem i Wenecyą przeciw Turcyi. Świadczy o tem wyraźnie król Jan, pisząc 26 czerwca z zamku stryjskiego do Innocentego XI, że „do przystąpienia carów do ligi niemało przyczyniła się ustawiczna praca O. Voty“ [1]. Zdaje się, że częste listy, które król wysyłał do Grzymułtowskiego, wychodziły nie tylko z natchnienia, ale i z pod pióra Voty. Więc też nic dziwnego, że rad był niezmiernie z dojścia pokoju i przymierza. „Miłym dla mnie zaszczytem jest rozkaz JKMci“, pisał z Jaworowa 26 maja 1686 r. do kardynała Barberini, protektora Polski, „bym w Jego imieniu powinszował Waszej Eminencyi dojścia do skutku przymierza zaczepno-odpornego z Moskwą, i udzielił mu artykułów tegoż, przez króla JM. mi użyczonych. Pod tak dobremi wróżbami mogę śmiało stanąć przed W. Eminencyą, jakkolwiek moja licha osoba nie jest mu znaną. A co jeszcze zwiększy radość Ojca św. i W. Eminencyi, biorącej tak żywy udział w chwale tego wielkiego króla, to wiadomość, że król niechybnie rozpocznie wojnę i wyruszy trzeciego dnia Zielonych Świąt na czele doborowego wojska, które będzie zbierało owoce tego, co niezrównana mądrość i pobożność Króla JM. z takiem wysileniem zasiała. Z góry łączę się z radością W. Eminencyi, której miłość dla tej Korony równa się miłości, jaką to królestwo wielbi jego wysokie zasługi“ [2].

Za warunki pokoju i przymierza, szkodliwe dla Polski, Vota odpowiadać nie mógł; głos powszechny sejmów i kraju odpowiedzialnym za nie czynił posłów, zwłaszcza Grzymułtowskiego, surowo go sądził i potępił, iż ten ze zmartwienia, przedwcześnie 1687 r. zstąpił do grobu. Czy sprawiedliwie? — rzecz inna. W werdykcie tym oszczędzano nawet króla. Kiedy na niedoszłym sejmie 1689 r., wojewoda sieradzki Jan Pieniążek

[1] Theiner: *Monum. de Russie* 306.

[2] *Archiv. Prov. Pol.* Indeks i wyciąg z aktów Voty, nr. 1.

domagał się, aby pierwej odczytano uchwały rad senatu, w jakich warunkach pokój z Moskwą ma być zawarty, potem dopiero zdawano sprawę z poselstwa, które ten habiebny pokój zawarło, a król wziął ten przytyk do siebie i bardzo był markotny — ujął się za nim, obecny na sejmie biskup, Andrzej Chryzostom Załuski, „bo król nic tu nie zawinił; obwinieniby być mogli tylko komisarze, ale, wszyscy już nieboszczycy, zdali sprawę Najwyższemu Sędziemu. Pewną zaś jest rzeczą, bo sam na to patrzyłem, że królowi, gdy we Lwowie na radzie senatu, 19 grudnia 1686 r. zaprzysięgał owe pakta z Moskwą, łzy z oczu płynęły, i, ile razy nadarzyła się sposobność, z największą żałością o tych układach wspominał, wszystką winę na komisarzy zwalając“ [1]. Nikomu też ze współczesnych nie przyszło na myśl za pakta Grzymułtowskiego odpowiedzialnym czynić O. Voty, bo rozumiano doskonale, że był ablegatem papieskim, zostawionym na dworze polskim na to, żeby pilnował przystąpienia Moskwy do ligi, po którem papież i świat chrześcijański wiele sobie obiecywali, że więc obrona interesów polskich należała nie do niego, ale do posłów polskich.

Wielkie nadzieje króla Jana i ligi, pokładane w sojuszu z Moskwą, okazały się zawodnemi. Plan ligi polegał na rozdzieleniu potęgi tureckiej: cesarz miał zatrudniać Turków w Węgrzech, Wenetowie na morzu i brzegach Dalmacyi i Morei, Moskwa zatrudniać miała Tatarów krymskich, a król polski budziackich i białogrodzkich, aby nie mogli przyjść w pomoc Turkom w Węgrzech. W gabinecie cesarza Leopolda wymyślono jeszcze inny sposób. Cesarz ten nieszczerze i, powiedzmy, niewdzięcznie postępował z królem Janem. Pośrednictwo jego w pojednaniu Tekelego z cesarzem 1684 r. uważał za zamach na koronę węgierską, jakoby ją król synowi Jakóbowi przeznaczał. Żalił się król o tak niecne podejrzenie u papieża i żądał sądu i rewizyi traktatu z 31 marca 1683 [2]. Przed zawarciem tego

[1] Załuski: *Epist. hist. fam.* I, 1135.

[2] Załuski: *Epist. hist. fam.* I, 776; rok 1681 mylnie tam podany.

traktatu, cesarz przyobiecał był arcyksiężniczkę Maryę Antoninę na żonę Jakóbowi; oddał ją 1686 elektorowi bawarskiemu zato, że do ligi augsburskiej przeciw Ludwikowi XIV przystąpił.

Nagradzając teraz ten afront, który król tak bardzo uczuł, iż rozpoczętą wyprawę turecką 1685 r. powierzył hetmanowi Jabłonowskiemu, a sam wrócił do Żółkwi, ponowiono z gabinetu cesarskiego daną, przed zawarciem sojuszu 31 marca 1683 r., z lekka obietnicę dopomożenia Jakóbowi do zdobycia Wołoszy i Multan z prawem dziedzictwa i ugruntowania przez to dynastyi Sobieskich. Królowi ten projekt bardzo się podobał, a przemawiały za nim oprócz politycznych i strategiczne względy.

Obydwa te hospodarstwa wchodziły klinem w kraje tatarskie, Krym, Budziak, Białogród, i granice Polski, Siedmiogrodu i Węgier; dostawszy się więc w moc katolickiego księcia, nie tylko usuwały bezpośrednie sąsiedztwo Polski z Turcyą, ale utrudniały Tatarom napady w kraje polskie i uniemożebniały przyjście w pomoc tureckim wojskom, wojującym w krajach cesarstwa, stawały się dla Polski i Austryi przedmurzem od Turcyi. Tem się tłumaczy poczwórna (1685, 1686, 1687 i 1691) wyprawa króla Jana na Wołosze i Multany, zawsze dlań niepomyślna; pomyślna tylko dla cesarza Leopolda, bo, czyniąc znaczną dywersyę i trzymając w szachu tysiące Turków i przeszło stutysięczną hordę Tatarów, broniących swych krain, nie dozwalała im, pomimo rozkazów wezyra, pójść z odsieczą Turkom, oblężonym przez cesarskich w Neucheislu, Budzie, Pięciukościołach, Szegedynie i innych zamkach, z których po 140 latach i więcej, ustąpić z niesławą byli zmuszeni. Siedmiogród i Węgry dostały się 1687 r. prawem dziedzictwa pod panowanie Habsburgów, a walna wygrana cesarskich pod Salankemen, 29 sierpnia 1691 (właśnie wtedy, kiedy król Jan uganiał się za hordą budziacką i 30000 Turków w okolicach Suczawy), powaliła na ziemię kolos mahometański tak, iż się już nie podźwignął [1].

[1] Były jeszcze inne powody tej niepomyślności wypraw wołoskich. Naprzód to, że dla braku pieniędzy, zazwyczaj późno je rozpoczynano, tak, że głównie akcya przypadała na jesienne miesiące, i dla zimna, deszczów powodzi, zerwanych mostów, nie tylko rozwinąć się nie mogła, ale koń-

Za tak walną usługę należało się królowi dotrzymanie obietnic ze strony cesarza Leopolda i dzielna pomoc w zdobyciu Wołoszy i Multan, ustalenia w niej tronu Sobieskich. Tymczasem jedną z przyczyn niepowodzenia tych wypraw było zostawienie królewskiej armii w sztychu przez cesarskich, i to w najkrytyczniejszych, decydujących chwilach, tak, iż się zdawało, że cesarz hospodarstwa te dla domu swego przeznacza. Rozżalony król Jan skarżył się gorzko przed Innocentym XI na tę nieużytość cesarskiego sprzymierzeńca [1].

O. Vota towarzyszył królowi w tych niefortunnych wyprawach, dzieląc trudy, niebezpieczeństwa i zmartwienia, krzepiąc na duchu i podsuwając coraz to nowe plany ratowania upadającej sprawy. Nie wszystkie okazały się praktyczne. Z natchnienia Voty, król wyprawił 1686 r. posłów na dwory protestanckie, do Danii, Anglii i Holandyi, zapraszając do ligi. Vota układał listy królewskie, pisał instrukcye posłom, dokazał tyle, że w 14 punkt sojuszu z Moskwą włożono i to, że carowie jej zawezwą „do zaczepno-odpornego sojuszu przeciw bisurmanom

---

czyła się zmarnowaniem całej armii. Widząc to, Turcy i Tatarzy unikali walnej bitwy, wiedli podjazdową wojnę, co im przychodziło tem łatwiej, że dziesięćkroć przewyższali Polaków liczbą, szarpali nieustannie, dzień i noc niepokojąc w obozie, na czatach, w marszu, u przepraw, wszędzie. Hetman też Jabłonowski, należąc do partyi francuskiej, nie popierał wypraw, jak należało.

Powtóre, *avita fraus*, odwieczna chytrość Moskwy. Punkt 10 wieczystego pokoju „rozrywa“ rozejm Moskwy z sułtanem i hanem 1680 r. zawarty, a utrwala sojusz Moskwy z Polską, „póki z bisurmany wojna trwać będzie“, i dlatego obowiązuje Moskwę do postawienia 1686 r. korpusu obserwacyjnego na pograniczu Krymu, iżby Tatarzy ruszyć się z swych sadyb nie mogli, — a 1687 r. do walnej wyprawy na Krym, równocześnie kiedy król polski wyprawi się na „tureckie wojska i hordy białogrodzkie. (*Vol. leg.* VI, 77).

Cóż robi Golicyn? Z wojskiem swem doszedł dwa razy do rzeki Samary, trzeci raz do Perekopu i zawrócił do domu, usprawiedliwiając ten krok zdradą hetmana Zaporoża Samujłowicza, posuchą i epidemią. Tatarzy krymscy nie tylko walczyli bezkarnie przeciw Polakom 1686—87 r., ale zapuszczali zagony w kraje Rzeczypospolitej. Moskwie zależało na jak największem osłabieniu i wyniszczeniu sąsiadki Polski.

[1] Załuski: *Epist. hist. fam.* I, 975—977. Król do papieża 27 październ. 1686, z zamku stryjskiego.

nie tylko króla francuskiego, ale i królów angielskiego i duńskiego i rzpltą holenderską“ [1].

Do nuncyusza Cantelmi'ego pisywał częste listy, nie z rozkazu, ale za pozwoleniem króla, błagając już to o zasięgnięcie dokładniejszych wiadomości przez Wiedeń i Moskwę, już to o opatrzenie w żołd i żywność polskiego wojska z magazynów papieskich, którymi zawiadywał Teatyn O. Bonesana, komisarz papieża a sekretarz królewski.

On też całą siłą popierał powzięte już dawniej plany wciągnięcia Persyi do wojny tureckiej i ofiarował się na posła na dwór perski, a nawet do Abisynii [2]. Król Jan przyjął z radością propozycyę, a że droga wiodła przez Moskwę, bo carowie 1684 dozwolili na wolny przejazd przez swe kraje misyonarzom perskim i chińskim, byle w paszport królewski opatrzonym, więc użyć go postanowił, jako rzecznika swego, dla wytargowania na carach Kijowa z okręgiem przeddnieprskim, paktami Grzymułtowskiego Moskwie odstąpionym i kilku innych uciążliwych punktów.

W lipcu 1685 r. donosił królowi Gurdziecki, rezydent polski w Persyi, że szach Sulejman, uradowany zwycięstwem wiedeńskiem, przyjął najlepiej posłów i listy papieża, cesarza i króla polskiego, a gdy jeszcze rezydent szwedzki Fabrycyusz do wojny z Turkiem mocno go zachęcał, oświadczyć kazał polskiemu królowi, że 30000 perskiego wojska stoi w Gandzie, w pogotowiu na wojnę turecką. Jakoż w czerwcu 1685 r. wojska te ruszyły do Naksywanu, skąd pójść miały do Babilonu [3].

Ażeby zaś nadać ablegatowi swemu powagi i znaczenia u ludów kochających się w wystawności, którzy zwykłego kapłana lekceważą, ponowił 26 czerwca 1686 r. dawną swą prośbę

---

[1] *Vol. leg.* VI, 78.

[2] Już w sierpniu 1684 roku zwracali się do szacha perskiego przez swych posłów i listy: Innocenty XI, cesarz i król polski; a ten ostatni zaś utrzymywał od dawna na dworze perskim w Szamachu stałego rezydenta, Bohdana Gurdzieckiego. Theiner: *Monum. de Russie,* str. 285. Innocenty XI do szacha perskiego 16 sierpnia 1684 r.

[3] Tamże, str. 299. Gurdziecki do podkanclerzego Gnińskiego z Szamachu 30 lipca 1685.

do Innocentego XI, ażeby O. Votę, „męża dla sprawy chrześcijańskiej wielce zasłużonego, a niestrudzonego, roztropnością, nauką i doświadczeniem znakomitego“ godnością biskupią *(episcopali)* ozdobił[1]. Papież odmówił. „Trudności, pisał 10 sierpnia 1686 r., są tak wielkie, że nie dozwolą nam odstąpić od powziętego raz postanowienia“. Nuncyusz da wyjaśnienie[2].

Cóż to za trudności? Wyjaśnień ustnych nuncyusza nie znamy, ale myślę, że główną grał tu rolę jenerał zakonu Noyelle, który nominacyę Jezuity, profesa, biskupem w katolickiem państwie Europy uważał słusznie za niebezpieczny wyłom w instytucie zakonu, a dla misyi O. Voty niekonieczny. Brak bowiem mitry można było zastąpić szumnym jakim dworskim tytułem, zresztą cała ta misya perska wydała się w Rzymie bardzo wątpliwej wartości. Jakoż niebawem odebrano tam list neksywańskiego arcybiskupa Knaba z Ispahanu 26 kwietnia 1686 r., przez Dominikanina Piusa Wilhelma przywieziony, który odejmował wszelką nadzieję poruszenia Persyi do wojny tureckiej[3];

[1] Theiner: *Monum. de Russie* 306.

[2] Tamże. Kiedy król prosił pierwszy raz o mitrę dla Voty? Nie znajduję w aktach. Przypuszczam, że w jesieni 1685 r. i że chciał Votę wysłać do Moskwy jako sekretarza poselstwa polskiego.

[3] „Nic pomyślnego nie można się spodziewać z tego dworu. Dla zniewieściałości i zbytków szacha, sprawy państwa w zastoju. W różnych prowincyach państwa już od dwóch lat grasuje morowe powietrze. Fałszywa moneta nieznośna i jakby dla podburzania ludności, utrzymuje zamieszanie, więc i handel leży odłogiem, a drożyzna wszystkiego i wiktuałów rośnie. Kozacy, Tatarzy i Kałmuki wpadli do Dagestanu nad morzem Kaspijskiem, niedaleko Derpentu. Nieporozumienia między szachem a książętami gruzyjskimi (Georgianos), dla których wojska perskie stoją w Gandzie na granicy Gruzyi, nie ustały, owszem wzmagają się. Pierwszy minister szacha nie tylko sprzyja bardziej sekcie otomańskiej, niż sofijskiej perskiej, ale, mając swe dobra blizko granic Babilonii, dla ocalenia ich od łupieży, prywatę nad dobro publiczne przekłada (nie chce wojny z Turcyą). Z dygnitarzy dworu, marszałek *(Escikagatibasci)* i sekretarz dyplomatyczny szacha (Vaghianavis) zostają na żołdzie tureckim i są raczej szpiegami dworu, a z sekretarzem trzyma się za ręce tłumacz nadworny, Kapucyn O. Rafał de Mons, Francuz, który, jak to sam poznałem, podejrzliwem okiem patrzy na posłów europejskich, chociaż z tem się kryje. Jak długo więc dwór perski w obecnym trwać będzie stanie, nie można się spodziewać, aby na korzyść chrześcijańskich książąt cokolwiek uczynił, i wszelkie dalsze starania w sprawie wojny uważam za daremne“. (*Monum. de Russie,* 301).

nie poruszyłby więc jej i O. Vota. Zobaczymy, że mimo papieskiej odmowy, król po trzeci raz starał się w Rzymie nie o biskupią już, ale arcybiskupią godność dla O. Voty, nie z lepszym skutkiem.

Pozostał więc O. Vota „przy boku królewskim“ i zażył niemało trudu, aby go w lidze z cesarzem, jak tego żądał papież, utrzymać. Zrażony doznanym afrontem, nieszczerością i nieużytością Leopolda, nakłoniony przez posłów Ludwika XIV (z którym, po pokoju ratysbońskim 1684 r. Francyi z cesarstwem, odnowił przyjazne stosunki), margrabiego de Bethune i biskupa z Beauvais (Ballovacum) de Forbin-Janson, do zawarcia pokoju z Turcyą, znękany niezgodą Paców z Sapiehami i ustawicznym brakiem pieniędzy, zmierził sobie król wojnę i ligę, z której oprócz zawodów i upokorzeń dla siebie i wyniszczenia Rzpltej, żadnej nie wyniósł korzyści. A nie brakło ze strony Porty objawów szczerej chęci pokoju, jak świadczy list wezyrskiego tłumacza, Aleksandra Maurocordato do rezydenta polskiego Samuela Proskiego 18 września 1686 r.[1]

Sam też cesarz Leopold, uszczęśliwiony odebraniem Siedmiogrodu i Węgier, mając za pasem nową wojnę francuską, inaugurowaną sojuszem cesarstwa i Rzeszy, Hiszpanii, Holandyi i Szwecyi przeciw Francyi w Augsburgu 1686 r., nie był przeciwny zawarciu pokoju z Turcyą, która w latach 1687—90 przebyła niebezpieczną kryzys. Po klęskach bowiem w Węgrzech, bunt janczarów zrzucił 1687 r. naprzód w. wezyra Solimana, potem samego sułtana Mohameda IV z tronu; nowy sułtan Soliman III, zaskoczony powstaniem w Aleppo i Kandyi, zgłosił się o pokój do cesarza i sprzymierzonych; 19 lutego 1689 r. posłowie tureccy stanęli w Wiedniu. Cesarz podał im 10 warunków pokoju z 4 objaśnieniami[2]. Równocześnie prawie han tatarski ofiarował królowi polskiemu osobny *(seorsim)* pokój, bardzo korzystny[3]. Przeciwny rokowaniom wiedeńskim nuncyusz

[1] Theiner: *Monum. de Russie*, 313.
[2] Theiner: *Monum. Regni Pol.* III, 707—709.
[3] Tamże 715.

Cantelmi, polecił O. Vocie, bawiącemu w Wilanowie, wybadać usposobienie króla i nakłonić go do odrzucenia pokoju.

Przyszło to O. Vocie łatwo. Znalazłszy się sam na sam z królem 16 maja 1689 r., usłyszał od niego, między innemi i to, że, jak rezydent polski z Wiednia donosił, Leopold zamierza Wołoszę i Multany uczynić zależne od korony węgierskiej, (a przecie przeznaczone one były jeszcze 1683 r. królewiczowi Jakóbowi prawem dziedzicznem), że więc w Wiedniu wszystko biorą dla siebie, a nic dla niego. Nie można też pominąć w układach carów moskiewskich, którzy wielokrotnie oświadczali się (kłamliwie) z gotowością wyprawy na Krym [1], i całego ciężaru wojny zwalać na ich barki. Jeżeli więc w Wiedniu odstąpią Mołdawię i Wołoszę dla Polski, jako słuszne odszkodowanie za utracone tak wielkie kraje do Moskwy, i zabiorą się energicznie do wojny, to on natychmiast wraca na Ruś, zachęci carów do wojny, gromadzi wojska i zdobywa Kamieniec [2].

Korzystał z tego usposobienia króla O. Vota i wraz z nim ułożył nowy plan wojny tureckiej w 19 artykułach, i z Żółkwi 13 listopada 1689 r. przez nuncyusza Cantelmi'ego przedłożył niewojennemu papieżowi Aleksandrowi VIII. Oto jego osnowa:

Polska, wyniszczona od lat 40 wojnami z Kozactwem, Szwedami, Moskwą, Tatarami i Turkiem, potrzebuje pokoju. Potrzebuje go jeszcze bardziej wskutek wewnętrznych rozterek, wynikłych z nadmiaru wolności, przedajności, zrywania sejmów i zupełnej bezkarności niepłatnego wojska. Ale zważyć należy, że przedwczesny pokój z Turcyą stałby się większem nieszczęściem dla chrześcijaństwa. Bo z jednej strony wyniknęłyby odrazu wojny między chrześcijanami, z widoczną szkodą dla Kościoła a połączeniem się i rozrostem protestantów; z drugiej zaś strony potęga otomańska, mając czas po temu, odzyskałaby

[1] Golicyn wyprawił się istotnie 1688 r. z znacznem wojskiem na Krym. Dotarł do Perekopu i wrócił, rozkazawszy Kozakom osaczyć Tatarów przez zimę, aby nie wpadli do Polski. Na wiosnę 1689 r. miał podjąć stanowczą już wyprawę na Krym, równocześnie gdy król wyruszy na Budziak, ale na wieść o rokowaniach pokoju w Wiedniu zaniechał jej, wnet też upadł poszedł na Sybir. *Monum. de Russie* 335, 336.

[2] Vota do nunc. Cantelmi 16 marca 1688. *Mon. Reg. Pol.* III, 707, 709.

dawne siły, zreformowała się i wyruszyła z nowym wigorem przeciw chrześcijanom. Nie można łudzić się tem, że Turcya teraz osłabiona utratą tylu prowincyi. W kilku bowiem latach wzmoże się i spotężnieje, a ludzi ma dosyć z Europy, Azyi i Afryki. Wszak Soliman, Selim I i następni nie posiadali Węgier, Siedmiogrodu, Mołdawii, Wołoszy, Serbii, Bośni, Slawonii, Kandyi, Rodosu, Cypru; a Mahomet II samemi siłami Azyi zdobył cesarstwo wschodnie, Trebizondę i inne kraje w Europie.

Chrześcijanom też, wyczerpanym tyloletniemi wojnami, braknie środków do zabezpieczenia fortami i zamkami brzegów Dunaju i granic od Zofii i góry Emo, i utrzymania znacznego stałego wojska przeciw niespodziewanemu napadowi Turków, zwłaszcza, że widocznie niespokojnych Węgrów i Siedmiogrodzian bardziej gniecie jarzmo chrześcijańskie, niż tureckie, wolą mahometanizm niż katolicką wiarę.

Mam w największej tajemnicy od króla JM. pewną wiadomość, że Kozacy gotują powszechne powstanie przeciw Moskwie; skoro tylko chrześcijanie zawrą pokój z Turkiem, połączą się z Tatarami dla wspólnej wolności i chcą zaprosić Polskę do tego związku. Otóż Kozacy, dzielni i odważni, mogą postawić do wojny 200000 konnicy, zbrojnej w muszkiety; ale prędzej, niż ze słabą, rozerwaną Polską, połączą się z Turcyą, jak to już raz uczynili, i prawdopodobnie uderzą i zniszczą Moskwę, a wtenczas jaka straszna potęga wystąpi nie tylko przeciw Polsce, ale całemu światu? A wtenczas i Turcya przy jej pomocy odzyszcze utracone prowincye i powstanie potężniejsza, niż przedtem.

Dla tych powodów król JM. tego jest zdania, że nie należy miecza chować do pochwy, dopokąd Turcya nie zostanie wypchnięta poza morze (do Azyi), a Tatarzy poza Dunaj, z Krymu i Budziaku, tem bardziej, że tuszyć należy, że ta Opatrzność boska, która dozwoliła chrześcijanom, zwłaszcza cesarzowi, odnieść tyle nadzwyczajnych zwycięstw nad Turkiem, użyczy dalszych zwycięstw aż do odzyskania Konstantynopola i Jerozolimy z Ziemią świętą. Zawierając teraz pokój, odpychamy opatrznościową pomoc wszechmocy bożej.

To postanowienie królewskie tem większej jest ceny, że

bezinteresowne, bo z tej wojny Polska prawie żadnej nie odnosi korzyści: odnoszą zato sprzymierzeni, zwłaszcza cesarz. Uważyć i to, że świeżo teraz król JM. spokrewnił się z domem cesarskim przez małżeństwo królewicza z palatynówną, siostrą cesarzowej, a więc powinowatą cesarza[1], chwałę więc tego domu uważa za swoją i tem gorliwiej przystąpi do wojny.

Ani wątpić, że Stolica św. poprze skutecznie tę pobożność i wspaniałomyślność chrześcijańską króla JM. i sprzymierzonych, bo chodzi tu o pomszczenie krzywd chrześcijaństwa, o rozszerzenie królestwa Chrystusowego poza Europą... o unię Kościoła wschodniego z zachodnim, o oddanie Chrystusowi miejsc Jego narodzenia i grobu, wreszcie o chwałę papieża.

Po tym przydługim nieco (punkt 1—12) wstępie, przystępuje Vota do właściwego planu.

Papież przez nuncyusza Cantelmi'ego niech zawezwie cesarza, aby bezzwłocznie wyprawił do Moskwy „osobę doświadczoną, gorliwą, wytrwałą i obrotną, bez wielkich kosztów i bez przepychu wystawności“ (miał widocznie siebie na myśli). Poseł ten zaprosi Moskwę do energicznego prowadzenia wojny, zaraz na wiosnę, i w tym celu ułoży wspólny plan działań wojennych który równocześnie, każdy ze sprzymierzonych zgodnie i ściśle przeprowadzi; gdyż dotąd wojowała każda strona na swoją rękę, szukając własnej jedynie korzyści, a nie ogólnej chrześcijaństwa. Wspólny zaś plan akcyi byłby ten:

Wenecyę należy nakłonić, aby zwycięskie swe siły, zamiast na odległe od serca Turcyi kraje i wyspy, obróciła na zdobycie wyspy Tenedos i cieśniny Dardanellów, ażeby przez to ogłodzić Konstantynopol, i przywieść zgłodniałą ludność do rozpaczy, a jeżeli się da, i do buntu.

W tym samym czasie Moskwa, zamiast bezowocnej wyprawy przez stepy i pola puste na Krym, niech wzdłuż Dniepru zdąża wprost na zdobycie Oczakowa i, postawiwszy u ujścia

---

[1] Widoczna więc, że projekt tego małżeństwa stanął już w jesieni 1689 r.

rzeki kilka fortów, niech zamknie przywóz drzewa morzem Czarnem do stolicy, przez co przyśpieszy ogłodzenie miasta.

Budziak, Wołosza i Besarabia, przez które Tatarzy dają i otrzymują pomoc od Turków, przypadną królowi polskiemu, który wszystkie swe siły, wzmocnione jeszcze jakim korpusem niemieckim, obróci na nich i zatrudni, tak, że sami tylko Turcy nad Dunajem zostaną dla cesarza i jego wojsk zwycięskich. Świeżo zawarte związki familijne, usuwając wszelką obcą intrygę i nieufność, ułatwią wspólną, zgodną akcyę wojsk cesarskich z polskiemi.

Poseł ów, od papieża i sprzymierzonych w Moskwie, niech nakłoni carów, aby z pod Oczakowa pchnęli jeden korpus piechoty do wojska króla JM., aby tem skuteczniej zwalczał Tatarów w Budziaku, a, w razie jakowej potrzeby, miał z czem przyjść w pomoc armii moskiewskiej. Zato upewni poseł carów, że sprzymierzeni bez nich w żadne układy z wrogiem wchodzić nie będą.

Byłoby dobrze, żeby papież i sprzymierzeni pomogli królowi do szczęśliwego dojścia sejmu. A jeżeli to wyda się niewłaściwem, to niech najdalej z końcem przyszłego marca zabiorą się sprzymierzone mocarstwa do ścisłego, energicznego wykonania powyższego planu [1].

Dobrym Jezuitą był Vota, ale słabym politykiem. Plan jego był w części powtórzeniem pierwotnej myśli króla, aby Moskwa opanowała Krym, Polacy Wołoszę i Multany, Austryacy Węgry i Siedmiogród, aby te trzy mocarstwa, przeszedłszy Dunaj od strony lądowej, a Wenecyanie od strony morskiej, ścisnęły i zdobyły Konstantynopol, — ale plan swój opierał na abnegacyi siebie, i kazał sprzymierzonym zrzec się prywatnej korzyści dla ogólnego dobra sprawy chrześcijaństwa, według słusznej

[1] Theiner: *Mon. de Russie* 716—719. Przesyłając ten plan kard. protektorowi, O. Vota pisze 16 listopada 1689: „Król JM. pozostaje zawsze w związku ze Stolicą św., dopokąd nie wypędzi z Europy Turka według projektu spisanego przeze mnie z rozkazu i pod dyktowaniem JKMci ułożonego i doręczonego nuncyuszowi Cantelmi'emu". Wyciąg z listów Voty nr. 5.

zasady: *bonum privatum debet cedere publico bono.* Ale już od dawna, a zwłaszcza od traktatu westfalskiego, trzymano się w polityce zasady przeciwnej: ogólne dobro ustąpić powinno prywatnemu dobru. Żaden z sprzymierzonych nie miał ducha i zapału króla Jana, a każdy miał politykę od ligi świętej niezależną. Więc też plan Voty chybił celu, a w roku następnym (1690) liga znajdowała się w najopłakańszym stanie.

Pomimo marcowej odpowiedzi króla, zakomunikowanej Wiedniowi przez nuncyusza Cantelmi, Leopold układał się z Turkami dalej, aż do listopada 1689 roku, ale nie przerwał wojny w Węgrzech. Nie była ona pomyślna, wielki wódz Karol Lotaryński umarł 3 kwietnia, następca jego Ludwik Badeński nie rozwinął jeszcze talentów wodza, podczas gdy na czele armii tureckiej stanął nowy wielki wezyr, mądry i dzielny Kiuprili Mustafa, i 1690 roku zdobył na cesarskich Nissę, Semendryę i Belgrad, a, wypuszczony z więzienia Siedmiu wież, Tekeli, po śmierci Apaffiego, zajął Siedmiogród, pobił kilkakrotnie cesarskiego jenerała Häusslera. Na domiar nieszczęść, Ludwik XIV wypowiedział 1789 r. Leopoldowi i lidze augsburskiej wojnę, wojska francuskie zajęły palatynat, i niszczyły niemiłosiernie. Wenecya, wskutek obłożnej choroby doży i admirała Morosiniego, nic nie przedsięwzięła na Peloponezie, a na dworze polskim przeważał wpływ francuskich ministrów, de Béthune, Gravelle i Tellier, którzy, nie żałując pieniędzy, tworzyli silną partyę francuską, niechętną wojnie. Zrażał się do niej i sam król, „nie chcąc zdejmować z siebie sukni, aby nią okryć sąsiada".

Na sejmie warszawskim, w styczniu 1690 roku, domagano się kategorycznej odpowiedzi cesarza, azali da skuteczną pomoc w ludziach, i jakie jego zamiary względem Wołoszy i Multan? Aleksander VIII pracował raczej nad pogodzeniem Ludwika XIV z cesarzem i ligą augsburską, o wojnie tureckiej milczał, i dopiero na przedstawienia O. Voty wyprawił do króla, senatu i koła rycerskiego listy (datowane 14 stycznia 1690 roku), zachęcające do podtrzymania wojny z Turkiem

i nietykalności kościelnej [1]. Z trudnością tylko zwyciężyła na sejmie partya wojenna austryacka, i to głównie staraniem Voty, nuncyusza i biskupów; uchwalono „poparcie wojny świętej, pospolite ruszenie koronne, podatki i skrypt do archiwum“ [2].

Zrozumiał nareszcie cesarz, że mu się zbliżyć należy do polskiego króla, i upadającą ligę, a z nią zachwiane swe interesa na Węgrzech, podźwignąć i naprawić. Pomostem był projekt małżeństwa Jadwigi Elżbiety, siostry cesarzowej a córki Filipa Wilhelma, palatyna Renu, z królewiczem Jakóbem, przyjęty dobrze (w lecie 1690 r.) na dworze polskim i ratyfikowany 16 listopada 1690 r. w Żółkwi. W króla wstąpił duch wojenny.

Postanowił wyprawić do Moskwy, w charakterze nadzwyczajnego posła, O. Votę, „który w trudnych okolicznościach, zwłaszcza do tej świętej ligi, przez cały czas wojny otomańskiej, zawsze się nam poczciwie wysługiwał *(charissimus semper extitit)*, aby dopilnował tylokrotnych obietnic carskich, podjęcia decydującej wyprawy na Tatarów krymskich“. W tym celu prosił już po raz trzeci przez kardynała protektora i posła swego w Rzymie, i listownie (z Warszawy dnia 15 sierpnia 1690 roku) Aleksandra VIII, aby O. Votę zaszczycił godnością arcybiskupa *in partibus*, któremu już on sam utrzymanie opatrzy. Wskazywał na jego przymioty, naukę, usługi oddane osobie jego królewskiej i sprawie ligi: nowa ta godność, potrzebna O. Vocie do przeprowadzenia unii biskupów ruskich, a także do utwierdzenia chwiejącej się w lidze Moskwy, i do połączenia jej z Stolicą świętą, do której już dawniej i z pożytkiem posłował. „Uczyniłby to i teraz, gdyby znienawidzone u Rosyan imię Jezuitów, których świeżo (1689) wygnali, infułą biskupią okryte i osłonione zostało“. A uprzedzając opór ze strony jenerała Jezuitów, dodaje: „Co się tyczy Towarzystwa, to uszanować ono powinno postanowienie Świątobliwości Waszej względem O. Voty, w tak naglącym wypadku dla sprawy chrześcijaństwa i chwały

[1] *Mon. Reg. Pol.* III, 719. Wyciąg z listów O. Voty, nr. 10.
[2] *Vol. leg.* VI, 372, 373. — *Monum. Reg. Pol.* III, 722.

bożej, co często poprzednicy Świątobliwości Waszej nie tylko w Indyach — a mamy Indye w prawosławnej naszej i moskiewskiej Rusi — ale także w Hiszpanii i innych krajach Europy uczynili. I nie można wątpić, że toż Towarzystwo, które w sercu mem miłośnie noszę i którego wszelkiemi siłami bronię, uzna za słuszne, gdy Świątobliwość Wasza uwzględni najgorętsze życzenia króla, który za sławę Świątobliwości Waszej i jego papiestwa krew przelać najgotowszy".

Do tego listu, ułożonego w sekretaryacie królewskim, dopisał król własnoręcznie: „Ojcze Święty! Co w powyższym liście się zawiera, bardzo mi leży na sercu, a mądrości Świątobliwości Waszej i dobru chrześcijaństwa bardzo jest odpowiednie. Nie chodzi tu o wynagrodzenie O. Voty; jego znamienitym czynom i zasługom większe się należy, lecz o ułatwienie mu prac dla chwały bożej przez nadanie tytułu arcybiskupiego, który Towarzystwo często i chętnie przyjmowało a papieże na prośbę, lub bez prośby królów nadawali. Najpokorniej więc proszę, jeżeli mnie kocha najukochańszy Ojciec, aby prędkiem a sekretnem brewem uprzedzić raczył zakonny opór O. Voty, i przeszkody towarzyszy, jeżeliby jakie z domowej zazdrości *(zelotypia)* stawiane być mogły" [1].

Papież w nader uprzejmej formie, podnosząc zasługi króla, wyrażając boleść swą, odmówił, a „nader ważne przeszkody" miał wytłumaczyć królowi nuncyusz Jędrzej Santa-Croce [2].

(D. c. n.).

Ks. St. Załęski.

[1] *Mon. Reg. Pol.* III, 724.

[2] Tamże 725.

Z PODRÓŻY DO WŁOCH.

Katakomby św. Kaliksta.

Rzym dzisiejszy można porównać z pobojowiskiem. Dwa światy zetknęły się tam ze sobą: chrześcijaństwo starło się z pogańskiem cesarstwem. Na polu bitwy zwłoki obustronnych hufców legły obok siebie. Zwyciężony nieprzyjaciel tarza się w pyle, a ujarzmiony niewolnik zmieszał się z szeregami zwycięzców.

Koloseum, Termy Karakalli, Forum, Palatyn to zwłoki poległych, leżące bez życia, zgruchotane, pokryte murawą grobową, zaś Panteon, Mauzoleum cesarza Hadryana i pogańskie świątynie, zamienione w kościoły, to niewolnicy pełniący służbę u zwycięzcy.

Wędrując po mieście, napotyka się szczątki świadczące o potędze barbarzyńskiego Rzymu, obok których wznoszą się pomniki chrześcijaństwa, a nad tem wszystkiem góruje i błyszczy w słońcu, jak sztandar zwycięzcy, kopuła św. Piotra.

Spoglądając na nią, z uczuciem podziwu i świętego uszanowania, trudno sobie dziś uprzytomnić czasy, gdy pogańskie cesarstwo gniotło stopą olbrzyma zarzewie nowej wiary i gdy ta zaledwo w ukryciu mogła tleć słabym ognikiem, lecz, zstąpiwszy do katakomb, widzi się własnemi oczami i własnemi rękami dotyka kolebki, w której tę młodą wiarę pierwsi chrześcijanie wyhodować umieli. Te podziemia to tajemnicze, ukryte ganki w obrębie nieprzyjacielskiego obozu, z których wyszły

niezliczone hufce, wydające okrzyk wojenny, przed którym wszystko się rozpierzchło i rozpadło w gruzy.

Jakby dla podniesienia kontrastu droga, wiodąca do katakomb, prowadzi koło najwspanialszych gmachów starego Rzymu, które przesuwają się po kolei przed oczami widza, świecąc zgruchotanymi murami i złamanemi kolumnami.

Ostatnie w tym szeregu są Termy Karakalli, olbrzymie, fantastyczne, ze sterczącymi łukami i sklepieniami, jak złe duchy, uwięzione w kajdanach z zieleni, obrośnięte bujnym chwastem i młodem drzewiem...

Minąwszy to miejsce zabawy i rozpusty, najwyższy wybryk zbytku i przepychu cesarstwa, — dzisiaj, co prawda, podobniejszy do cmentarzyska, — wjeżdżamy na drogę *Via di Porta San Sebastiano,* która jest nowoczesną nazwą dawnej *Via Appia.*

Brukowana płytami z wulkanicznego kamienia, otoczona dwoma murami, bieży, jak biegła przed dwoma tysiącami lat. Wiele ludów, wiele pokoleń deptało po niej, wiele dziejowych postaci po niej się przesunęło.

Założono ją w r. 312 przed Chr. dla celów wojskowych. Po niej wchodziły do miasta zwycięskie legiony, wracające z wypraw przeciw Samnitom i greckim koloniom, po niej następnie kroczyły wspaniałe orszaki, towarzyszące rzymskim cesarzom, gdy się udawali na wilegiaturę do Kapuy lub na wyspę Kapri; a kilka wieków później zatętnił ten światowy gościniec od toczących się po nim hord Gotów i saraceńskich hufców. Wreszcie przechadzały się po niej w średnich wiekach wojska wszystkich mocarstw środkowej Europy, naprzemian zwycięskie lub zwyciężone.

Dziś wije się przed nami pusta i cicha. Czasem tylko zaturkocze po bruku powóz, wiozący podróżnych, którzy śpieszą, z ciekawości lub z uszanowania, do grobów pierwszych chrześcijan.

Wzdłuż drogi wznoszą się zabytki wszystkich epok, jak skamieniałe wspomnienia.

Za Termami Karakalli, grób sławnej, starorzymskiej rodziny Scypionów drzemie koło drogi od dwóch tysięcy dwustu lat.

Stoi samotny i opustoszały, bo misternie rzeźbione, marmurowe sarkofagi, które tam spoczywały, zabrano i wywieziono do różnych zbiorów na cztery krańce świata. Miało to być wspólne pośmiertne schronisko dla całej rodziny, tymczasem, jak żywi ludzie żegnali się umierając, tak i popioły musiały się raz jeszcze wzajemnie pożegnać, opuszczając ten przybytek. Dziś zostało jedynie puste, w wulkanicznej skale wykute, sklepienie.

Dalej rysuje się, przed nami, łuk tryumfalny Druzusa, zbudowany na pamiątkę wyprawy przeciw Germanom, wśród której Rzymianie po raz pierwszy dotarli do Północnego morza; z poza łuku wysuwa się, jak średniowieczne zamczysko, brama św. Sebastyana, którą *Via Appia* przebija aureliański mur, opasujący miasto.

Bramy sklepionej strzegą dwie wysokie wieże, o zębatych gzymsach i grubych murach, zbudowanych ze zczerniałej i od kul wyszczerbionej cegły. Ozdobę jej stanowią marmury, pochodzące ze starorzymskiej świątyni; na zworniku sklepienia nosi greckie napisy z czasów wschodniego cesarstwa, a tablica pamiątkowa, umieszczona w przejeździe, uwiecznia walkę, stoczoną pod murami z królem Robertem Neapolitańskim w r. 1327. Jest to istna historyczna mozajka, która przywołuje na pamięć całe okresy dziejowe!

Za bramą droga dalej prowadzi między murami, koło małego kościółka noszącego nazwę: *Domine, quo vadis?* Ten niepokaźny przybytek Pański, wśród otoczenia, przypominającego pychę Rzymian lub krwawe boje średnich wieków, zda się być skromnym kwiatem, wystającym z pomiędzy bujnych chwastów.

Tradycya mówi, że miejsce, gdzie stanął jeszcze w pierwszych wiekach naszej ery ten skromny kościółek, który dotrwał obecnych czasów, było świadkiem spotkania Piotrowego z Chrystusem, znanego dziś ogólnie z opowieści sienkiewiczowskiej.

Stamtąd już niedaleka droga do bramy, noszącej napis: „Katakomby Kaliksta“, (po włosku *Callisto*).

Wchodzimy w obręb muru, rozglądając się naokoło z uczuciem ciekawości i uszanowania. Zastajemy cichy, skromny ogródek. Idziemy ścieżką, która nas prowadzi do murowanego domku,

podobnego do małej kapliczki, gdzie spotykamy dwóch zakonników. Proszą nas włoszczyzną, brzmiącą obcym akcentem, abyśmy wypoczęli, a my z chęcią przyjmujemy zaproszenie, chcąc się w otoczeniu rozpatrzeć.

Izdebka maleńka zawiera skład pamiątkowych przedmiotów, które zwiedzający goście kupują i w dalekie światy wywożą. Różańce z bursztynu lub granatów, srebrne krzyżyki z napisami, fotografie, przedstawiające wnętrza katakomb i symboliczne rysunki, zdobiące ich ściany — oto pamiątki, których tam za drobną kwotę dostać można.

Domek stoi wśród ogrodu, a ten ogród to już ostatni kawałek uprawnej ziemi na zewnętrznym obwodzie Rzymu, na granicy Kampanii.

Leży na brzegu, nad zieloną pustynią, jak przylądek nad morzem, a gdy stamtąd oko przed siebie kołem zatoczy, zobaczy w dali widnokrąg, ponad nim niebo a pod niem step bez końca.

Smętny ale uroczy krajobraz, pełen ciszy i powagi.

Czasem z tych siniejących obszarów zawionie wiatr, który tchnie świeżością i wonią traw, kołysząc kwieciem róży, rosnącej na grządce zakonników. Pierś skwapliwie wciąga ten miły powiew, orzeźwiający jak samo zdrowie, aromatyczny jak bukiet polnego ziela, tymczasem jest to zatruty oddech Kampanii rzymskiej, przynoszący ze sobą zarodki malaryi... Ciągnie od tych rozległych, zielonych stepów i oblewa swym jadem skrajne obszary miasta, wysunięte na przód jak strażnice.

Zakonnicy musieli także płacić daninę Kampanii. Zaraz po przybyciu zapoznali się z malaryą, a i teraz jeszcze, wśród pełnego lata, gdy każdy podmuch przynosi miliony zarodków, niemoc ich chwyta.

Obydwaj są Francuzami, w pełnej sile wieku. Jeden z nich, młodszy, wysoki i smukły, o cienkich rysach twarzy i pięknym profilu, z żywem okiem i czarną brodą, przedstawił nam godną i ujmującą postać zakonnika, co, zrezygnowawszy ze świata, znalazł w tem nowem życiu spokój i pogodę ducha. Drugi,

o ostrych rysach i oliwkowej cerze, nosił na sobie piętno żarliwego ascety.

Siedząc w tym domku, wśród róż i kwiatów, patrząc na rozległą Kampanię, rozmawiali ze sobą swobodnie o drobnych troskach gospodarskich, o owcach, które należało strzydz, i o ogrodzie, który należało uprawiać. Miasto, cały Rzym, cały świat był dla nich tak obcy i daleki, jak gdyby zupełnie nie istniał. Katakomby, których strzegą i po których z podróżnymi wędrują całymi dniami, to cel i zadanie, zapełniające ich życie; praca około ogródka i gospodarstwa, to jedyna rozrywka i urozmaicenie, podczas gdy wieczorne chwile, spędzone z różańcem w ręku, to zapracowany wypoczynek. Wtedy, siedząc w ogródku, z oczami utkwionemi w szare przestrzenie Kampanii i w palące się nad nią zachodnie niebo, wśród samotności i ciszy wieczornej, uciekają może myślami do stron rodzinnych, nad brzegi srebrnego Renu lub między sabaudzkie szczyty i bronią się przed obrazami przeszłości, której zapomnienia szukali w dalekich, obcych stronach i w głębokościach katakomb...

Zbieramy się wreszcie wejść w podziemia. Młodszy zakonnik ofiarowuje nam przewodnictwo, gdy wtem zjawia się młoda para Francuzów. Ona wysoka, szczupła, o ciemnej cerze, on mały, drobny, bardzo ruchliwy i wiele mówiący, dwa odrębne a jednak bardzo charakterystyczne typy gallickiego szczepu. Przyłączają się do nas i zabieramy się w drogę.

Zakonnik zarzucił na siebie czarną chustę, dla ochrony przed zimnem, zapalił stoczek na długiej lasce i dał każdemu z nas po kawałku woskowej świeczki. Przyodzialiśmy się w co kto miał. Tylko jeden Francuz wybrał się jak stał, w lekkiem, krótkiem ubraniu.

O kilka kroków od domku znajduje się wejście do katakomb, — niewielki otwór, cały zasłonięty zielenią.

Zakonnik idzie przodem, my postępujemy za nim wolno i ostrożnie.

Zaraz na pierwszych stopniach schodów Francuz zasypał zakonnika gradem pytań, stawiając nowe, zanim tamten zdołał odpowiedzieć na poprzednie.

W ciągu tej urywanej rozmowy opowiadał o zawodzie, jakiego doznał zwiedzając katakomby Neapolu. Spodziewał się tam ujrzeć wspaniałe, podziemne kaplice, śmiałe sklepienia, ze stanowiska sztuki ciekawe zabytki, tymczasem zastał tylko wązkie korytarze i ciasne grobowe framugi. Do tej naiwnej opowieści nawiązał jeszcze naiwniejsze zapytanie, czy tutaj może liczyć na widok cennych dzieł malarstwa i architektury. Zakonnik, z lekko ironicznym uśmiechem, rozprószył jego nadzieje, oświadczając, że kto tu szuka czegoś więcej aniżeli wspomnień po pierwszych wyznawcach i męczennikach wiary, ten się spotka z zawodem.

Lekki uśmiech i nam się udzielił mimo naszej woli, lecz, gdyśmy zeszli kilkanaście kamiennych schodów w głąb ziemi, znikł z naszych ust równocześnie z ostatnim promykiem światła dziennego, gasnącego nad nami w górnym otworze. Poważny nastrój i głębokie ciemności nas ogarnęły.

Znaleźliśmy się w labiryncie wązkich, stromych schodów i ciasnych korytarzy, w których się zaledwo można wyprostować, a które się nawzajem krzyżują i przecinają na milowych przestrzeniach. Zakonnik, odziany w chustę, szedł przodem, a jego sucha twarz, oświecona drgającym płomykiem świeczki, przybierała w tem otoczeniu wyraz niezwykłej powagi i skupienia. Za nim kroczyliśmy, nawpół w cieniu pogrążeni, stąpając nieśmiało, wzdrygając się za każdym odgłosem własnych kroków.

Po krótkim czasie ujrzeliśmy znowu nad nami światło dzienne, przedzierające się przez szczelinę i oświecające wązki gardziel, ulatujący ku górze, zatarasowany gruzami i kamieniami, zawalony szczątkami połamanych, ciosowych schodów. Jest to pamiątka z III-go wieku, z czasu największych prześladowań chrześcijan, przedstawiająca wejście do katakomb, w stanie obronnym. Siepacze cesarscy, odkrywszy wówczas miejsca schadzki chrześcijan, doszli za śladem do tajemnego wejścia, i stoczyli walkę. Po jednej stronie walczył zapał i poświęcenie dla wzniosłej idei, po drugiej barbarzyńskie okrucieństwo zgrai zapłaconych żołdaków. Chrześcijanie nie bronili własnego życia, bo wówczas każdy był gotów poświęcić je bez wahania dla

wiary, lecz bronili miejsc świętych, gdzie spełniali obrządki kościelne, modlili się za zmarłych i gdzie się nawzajem zagrzewali słowem i przykładem... Wiedzieli, że tam się jedynie przechowuje młoda latorośl nowej religii, słaba iskra prawdziwej wiary, która miała kiedyś wybuchnąć jasnym płomieniem i świat cały ogarnąć... Ta świadomość szczytnego powołania dodawała im nadludzkich sił. Kamienne stopnie wyłamywali rękami, kruszyli skaliste ściany, zastawiali mury, a gdy wszystko zawodziło, zamykali wejście stosem własnych ciał... I zdołali ochronić przybytek Pański przed znieważeniem...

Lecz Kościół nie zawsze uchodził przed wymierzonym ciosem barbarzyńców. Wysłańcom cesarza Waleryana udało się bowiem wedrzeć do katakomb w czasie uroczystego nabożeństwa, i wtedy zginął pod ich mieczami papież Sykstus II-gi i czterej księża, odprawiający razem z nim świętą ofiarę.

Zeszedłszy na dolne piętro, natrafiamy na korytarze, które niegdyś służyły za grobowce, a które zawierają w swych ścianach podłużne otwory, wykute w wulkanicznej skale, przeznaczone do składania zwłok. Grzebano je tam, zawinięte w płótnie, obłożone aromatycznemi ziołami, dla zapobieżenia rozkładowi, a po złożeniu zamykano otwór marmurową tablicą z odpowiednim napisem. Obok każdej tablicy znajduje się mała framuga na lampki, które stawiali pobożni, modlący się przy zwłokach zmarłego. W dni uroczyste, poświęcone pamięci zmarłych, wszystkie framugi jarzyły się od światełek, które na krótki czas rozpraszały wieczne ciemności.

Zwłoki, które przetrwały w swych kryjówkach i sarkofagach do dni naszych, przechowały się w suchem powietrzu w nadzwyczaj dobrym stanie, z nietkniętymi włosami, ze szczątkami ubrań i klejnotami. Lecz takich zwłok bardzo mało, bo grobowce stoją przeważnie pustkami. Do „wyludnienia“ katakomb przyczynili się Longobardowie, w czasie oblężenia Rzymu w r. 756. Niszcząc i wywożąc, co im w ręce wpadło, nie oszczędzili także przybytku umarłych. Gospodarowali tam nie mniej po barbarzyńsku, jak na powierzchni ziemi, rozbijając sarkofagi, tablice, marmurowe płaskorzeźby; wiedzeni szaloną żądzą ni-

szczenia, rozprószyli następnie szczątki grobowców po całych podziemiach, tak, że dziś niepodobna nawet odnaleźć przynależnych części całości.

Lecz nie dość im było tego wandalizmu, więc wpadli na bardziej szatański pomysł. Uznając, że szczątki świętych męczenników są cennym artykułem handlowym, uwieźli, co tylko odnaleźć mogli, ze sobą do Lombardyi, aby tam spieniężyć wiernym chrześcijanom na wagę złota!

Po tym rabunku papieże postanowili ochronić zwłoki męczenników, przechowywane w katakombach, od dalszej zguby, przenieśli je więc do rzymskich kościołów. Wreszcie wydobyto w r. 817 jeszcze parę tysięcy szkieletów ze zaniedbanych i opuszczonych katakomb i pogrzebano koło kościoła św. Praksedy.

Nasz przewodnik, prowadząc nas do grobowca papieży, opowiada nam te szczegóły gładką francuszczyzną, miękkim i cichym głosem, jak gdyby nie chciał zbudzić ze snu spoczywających popiołów.

Mała podziemna kapliczka nieregularnego kształtu, zawierająca naprzeciw wejścia szczątki ołtarza a w czterech ścianach ośm otworów, gdzie niegdyś stały sarkofagi, była grobowcem papieży. Na jej ścianach i sklepieniu widać jeszcze resztki ozdób stukowych i ślady malowideł *al fresco*, przedstawiających archaiczne postaci Starego i Nowego Zakonu. Postaci te, dalekie od typów, przyjętych przez nowoczesną sztukę, wymagają klucza dla zrozumienia, zarówno z egipskimi hieroglifami. Wówczas musiano ukrywać nową wiarę przed szpiegowskiem okiem nieprzyjaznych władz rzymskich.

Chrystus przedstawiony na malowidłach, pochodzących z pierwszych wieków naszej ery i zachowanych w katakombach w drobnych ułamkach, jako pasterz niosący jagnię, często obleczony w klasyczną postać Hermesa Kriofora (Merkura niosącego barana). Chrystusa na krzyżu zastępuje delfin nadziany na trójząb albo też rybak łowiący ryby na wędkę, — obraz grzesznych dusz, zbawionych męką Chrystusową.

Dusze wierzące, które zeszły z tego świata, otrzymały postać modlącej się kobiety, ubranej w podwójną rzymską tunikę

i długą zasłonę, z rękami wzniesionemi w górę i z twarzą przypominającą rysy zmarłej osoby.

Z szczególnem zamiłowaniem odtwarzano w grobowych podziemiach sceny Starego i Nowego Zakonu, mające allegoryczny związek ze zmartwychwstaniem i z przyszłem życiem. Może to był środek przygotowania wiernych na śmierć, która na nich czyhała u wyjścia z katakomb, sposób wyplenienia obawy przed męczeńskim zgonem.

Te allegoryczne obrazki pełne są naiwnej prostoty. Na jednym z nich kaleka, uzdrowiony przez Chrystusa, niesie pod pachą swe łoże, — na innym historya Jonasza jest uwidoczniona we wszystkich trzech fazach: Jonasz siedzący w cieniu liści dyni, połknięty przez wieloryba i wyrzucony przez niego.

Przeszedłszy parę korytarzy z pustymi przedziałami w ścianach, napotkaliśmy „grób rodzinny“. Wspólne groby zakładały wówczas tylko najbogatsze rodziny chrześcijańskie, lecz mimo tego wiele się ich przechowało, bo właśnie między patrycyuszami starego Rzymu nowa wiara liczyła najwięcej zwolenników. Zapuściła korzenie w samo serce spróchniałego olbrzyma i przyśpieszyła jego rozkład.

Rodzinne groby mają, zarówno jak groby papieży, pozór małej kapliczki, w której ścianach składano zwłoki członków rodziny. Taki przybytek ma naprzeciw wejścia framugę przeznaczoną dla zwłok męczennika, należącego do rodziny. Każda rodzina, zakładając grób, przygotowywała już naprzód miejsce dla „swego męczennika“, z ufnością czekając chwili, gdy kto ze swoich przeleje krew za wiarę. Ufność ta nie zawodziła i wybrane miejsce nie stało pustką. A dopiero, gdy zwłoki męczennika złożono w kaplicy, była ona niejako poświęconą, stawała się prawdziwym przybytkiem dla wiernych.

Ciasne i ciemne podziemie napełniało się postaciami, oświeconemi słabym, drgającym płomykiem lampek, a szaty powłóczyste, twarze pełne religijnego zachwytu, powaga obrządku i nastrój duchowy tej rodzinnej gromadki, skupionej około zwłok blizkiej im istoty, — był to widok, który mógłby sam starczyć do nawrócenia niedowiarka!

Między rodzinnymi grobami znajduje się także grób męczenniczki, której wspomnienie napełnia uroczą legendą ciemne, podziemne ustronie.

Jest to grób św. Cecylii, obok grobów papieży, główny cel pielgrzymek i przedmiot szczególnego uszanowania dla pierwszych chrześcijan.

We framudze nad jej grobem znajduje się fresk, pochodzący z VII-go wieku, przedstawiający świętą. Stoi przed nami, naiwnie, sztywna i zarazem groźna. Złoty nimbus otacza młodą twarz o surowym wyrazie; ubrana jest w bogatą tunikę patrycyuszki, zdobną w kosztowne kamienie, ręce trzyma nawpół rozwarte i wzniesione do modlitwy, jak to było staro-chrześcijańskim zwyczajem. Oświecona słabym płomykiem świecy, gdy ostre zarysy, twarde fałdy i surowe barwy miękną i zlewają się w półcieniu, postać świętej przybiera wyraz dziwnej prostoty i niebiańskiego spokoju.

Gdyśmy tak stali w milczeniu, zapatrzeni w tę pracę nieznanego mistrza, wykształconego na bizantyńskich wzorach, stanęły nam na myśli dwa arcydzieła sztuki, natchnione legendą o świętej patronce muzyki.

Jednem z nich jest posąg w kościele św. Cecylii w Rzymie, wykonany dłutem Stefana Maderuy, przedstawiający świętą, w postaci nietkniętej, w jakiej znaleziono jej zwłoki w r. 817, gdy je papież Paschalis przeniósł z katakomb do tegoż kościoła, i w r. 1599, gdy sarkofag powtórnie otworzono by sprawdzić podanie.

Leży z wyciągniętemi rękami, z głową nawpół odciętą i przekręconą... Mimo, że chwila skonu, uwieczniona w posągu, grozą przejmuje, to jednak mistrz dłuta zdołał wlać w tę postać dziewiczą tyle nadziemskiego spokoju, nadać jej tyle szlachetności wyrazu, że ta marmurowa „błogosławiona“ promienieje wieczną szczęśliwością i doznaje od wieków szczególnego kultu od rzymskich kobiet, które z upodobaniem noszą imię męczenniczki.

Drugiem arcydziełem jest św. Cecylia Rafaela, w akademii bolońskiej. Mistrz umbryjski, który odkrył harmonię barw i me-

lodyę linii, uchwycił w tym obrazie chwilę, gdy święta, prowadzona na męczeńską śmierć, żegna się z ulubionymi instrumentami muzycznymi.

Wydobywszy z nich kilka akordów kościelnego hymnu, rzuciła je na ziemię połamane, ze zerwanemi strunami, aby już nie służyły nikomu do pogańskiej rozrywki. Lecz w tej chwili niebo się otworzyło i chór aniołów dośpiewuje urwaną melodyę. Stoi, pogrążona w zachwycie, z oczami wzniesionemi, pełnemi anielskiego wyrazu, szukając niebiańskich muzykantów, którzy dalej nucą przerwaną melodyę. Obok niej stoi po jednej stronie św. Paweł, wsparty na mieczu, w głębokiej zadumie, przez którą przebija iskra ziemskiego współczucia dla słabej i pięknej istoty, mającej zginąć pod razami miecza — po drugiej św. Agnieszka, z twarzą o typie „Fornariny“, w powiewnej szacie, z ruchem pełnym wdzięku i patrzy w dal wielkiemi oczami bez troski, gotowa podobnież pójść z pogodnem czołem na męczeństwo...

W obrazie tym Rafael wywołał przed nasze oczy, zarówno jak w Madonnie Sykstyńskiej, nie postaci, złożone z barw i linii, lecz zjawiska nadziemskie.

Z wrażeniem, które na nas wywarło miejsce spoczynku św. Cecyli, z obrazami, które się nam równocześnie na myśl nasunęły, opuściliśmy podziemia.

Na ostatnich schodach, zagasiwszy świeczki, stanęliśmy u wyjścia, oślepieni światłem dziennem.

Niebo, ozłocone zachodzącem słońcem, bujna zieleń i kwiaty nas powitały, — dziwne przeciwieństwo do przybytku, skąd powracaliśmy. Tutaj światło i życie, świat obszerny, który nam się wydał więcej uroczym i ponętnym aniżeli kiedykolwiek — tam wieczna, ponura ciemność i wspomnienia śmierci... Pożegnawszy się z naszym zakonnikiem, jako z gospodarzem, który nas gościnnie przyjął wśród swoich murów, opuściliśmy ten zakątek w poważnym nastroju, z uczuciem, jak gdybyśmy się byli otarli o widome ślady „wieczności“...

Józef Rystan.

PRZYSZŁE UKSZTAŁTOWANIE SIĘ

AUSTRO-WĘGIERSKIEJ POLITYKI HANDLOWEJ.

(Dokończenie).

Musimy się liczyć z dalszym wzrostem prądu protekcyjnego w Austryi. Nowa niemiecka taryfa autonomiczna, o ile z dotychczasowych przygotowań i projektów można sądzić, będzie znacznie wyższą, niż ta, na podstawie której doszły do skutku traktaty grudniowe. W Austryi prawdopodobnie znowu zwycięży hasło tak popularne w epoce przed zawarciem traktatów obecnie obowiązujących, hasło równorzędności ceł austro-węgierskich z niemieckiemi, prawdopodobnie zatem nowa austryacka autonomiczna taryfa celna będzie znacznie wyższa, niż taryfa z r. 1882, uzupełniona nowelą z r. 1887. Ogłoszenie pruskiego projektu nowej niemieckiej taryfy autonomicznej wpłynęło oczywiście w wysokim stopniu na wzmocnienie dążności protekcyjnych. Licząc się z tem, że nowa umowa handlowo-polityczna z Niemcami albo wcale nie dojdzie do skutku albo na mniej korzystnych warunkach, jak obecnie obowiązująca, sfery agrarne, poszkodowane w swych interesach wywozowych, tem usilniej domagają się ochrony targu wewnętrznego przed dowozem zagranicznych, zwłaszcza ze Wschodu pochodzących płodów rolniczych, sfery przemysłowe zaś podnoszą dwa argumenta: jeśli potężny przemysł niemiecki uważa za potrzebne dalsze wzmocnienie ochrony celnej, tyczy się to w jeszcze wyż-

szym stopniu bardziej opodatkowanego, technicznie przeważnie mniej rozwiniętego przemysłu austro-węgierskiego, zresztą wobec trudności, które Niemcy stawiają austro-węgierskiemu eksportowi, należy reagować przez podwyższenie ceł na przedmioty niemieckiego importu do Austro-Węgier. Choćby nawet to obustronne podwyższenie taryf nie uniemożliwiło zawarcia traktatu handlowego, to przecie przypuszczać należy, że także poziom nowych ceł umownych będzie wyższym, jak obecne cła umowne. Ten prawdopodobny rozwój wypadków, zgodny z życzeniami producentów przemysłowych i rolniczych oraz z bezpośrednim interesem państwowego skarbu, zawiera jednak w sobie liczne niebezpieczeństwa, właściwe systemowi protekcyjnemu w ogólności.

Jest objawem korzystnym, że minęły czasy, w których znoszono lub obniżano cła, w których zawierano traktaty handlowe tylko dla zadosyćuczynienia zasadzie wolnego handlu, nie badając należycie wszystkich następstw tego rodzaju zarządzeń, ale jest rzeczą w wysokim stopniu ujemną, że obecnie popada się w drugą ostateczność, wprowadzając nowe lub podwyższając istniejące cła na każde życzenie poszczególnych grup producentów lub tylko w celu uzupełnienia taryfy, dla zasady otaczania ochroną celną każdej gałęzi rodzimej wytwórczości, dla zapewnienia im chwilowej rentowności, bez względu na trwały interes całości. Wobec tego stanu rzeczy należyte zdanie sobie sprawy z wszystkich następstw, zarówno dodatnich, jak ujemnych systemu protekcyjnego, ma nie tylko teoretyczne, ale wybitnie praktyczne i aktualne znaczenie.

W r. 1880 gdy większość parlamentu francuskiego domagała się podwyższenia ceł, minister handlu Tirard oświadczył, że istnieje bardzo prosty środek wykluczenia towarów włoskich z targu francuskiego, wystarczy zamknąć tunel Mont-Cenis i skierować w ten sposób ich transport drogami przez góry. Zwolennicy systemu protekcyjnego widzą właśnie w szybkim rozwoju środków przewozowych jedną z głównych racyi bytu ochrony celnej. Dawniej trudności komunikacyjne były naturalnym poniekąd wałem ochronnym dla krajów o zastarzałej technice

produkcyi lub niekorzystnie pod tym względem uposażonych. Dziś trudności te niemal z każdym dniem maleją, jest zatem może rzeczą wskazaną zastąpić je cłami. Do zadań państwa należy łagodzić zbyt gwałtowne, zbyt szybkie przewroty i wstrząśnienia ekonomiczne. Argument ten uzasadnia tylko cła przejściowe, czasowo ograniczone jako środek, ułatwiający ludności terytoryum cłami chronionego przystosowanie się do zmienionych warunków komunikacyjnych. Rozumowanie to nie usuwa zatem istnienia zasadniczej sprzeczności między czynieniem nakładów na ulepszanie środków przewozowych (np. na budowę kanałów) i nakładaniem ceł ochronnych.

Najważniejszym i niewątpliwie najtrafniejszym argumentem przeciwko radykalnie pojętej teoryi wolnego handlu jest przeciwstawienie jej różnorodnych, historycznie wytworzonych warunków produkcyi w rozmaitych państwach. Teorya wolnego handlu zapoznaje doniosłość różnic uzasadnionych długoletnią tradycyą. Ogólno ludzka teorya wolnego handlu nie liczy się dostatecznie z instynktem samozachowawczym jednostek państwowych. Rozumowanie to przemawia przeciwko zniesieniu istniejących ceł, ale trudniej na tej podstawie bronić wprowadzania nowych. Merkantyliści uzasadniali system protekcyjny przedewszystkiem koniecznością utrzymania czynnego bilansu handlowego, rozumowanie to mocno zakwestyonował Adam Smith. List zatem i jego następcy kładą główny nacisk na wychowawcze znaczenie ceł, którym to argumentem najłatwiej bronić wprowadzenia nowych ceł. Jest jednak niewątpliwie dziwną rzeczą, że okres dzieciństwa cłami chronionego przemysłu w praktyce prawie nigdy nie przechodzi w okres dojrzałości, w okres pełni sił, czyniący zbędnym ochronę celną; gdy zaś znajdą się zwolennicy usunięcia ceł wobec niewątpliwego rozwoju danej gałęzi przemysłu, wówczas powiadają przedstawiciele danej gałęzi przemysłu, że przemysł wyhodowany w sztucznej, cieplarnianej atmosferze nie potrafi obejść się bez pomocy państwa w formie protekcyi celnej; okazuje się z tego, że raz nałożone cło trudno bardzo cofnąć, cło wychowawcze, z natury swej przejściowe, ma w sobie tendencyę trwałości, do czego

niemało przyczynia się interes fiskalny skarbu państwa, niechętnie zrzekającego się w epoce ciągle i szybko wzrastających wydatków publicznych raz już otwartego źródła dochodu. Trudność cofnięcia nawet cła przejściowego w swem założeniu jest niewątpliwie także argumentem przeciwko nakładaniu nowych i podwyższaniu istniejących ceł.

System protekcyjny zazwyczaj szkodzi interesom eksportowym danego państwa [1], wywołuje bowiem represalia; objawia się to nawet w gałęziach przemysłu, w chwili ustanowienia cła, jeszcze nie eksportujących; wobec stanu nowoczesnej techniki, przemysł, znajdujący się w rozwoju, zazwyczaj nie może zadowolnić się targiem wewnętrznym jednego państwa, współczesny wielki przemysł musi szukać międzynarodowego zbytu, aby uzyskać amortyzacyę i oprocentowanie znacznych kapitałów, potrzebnych do jego egzystencyi. Z chwilą zaś, gdy ochronę celną uwieńczy pomyślny skutek, a dana gałąź przemysłu dojdzie do tego punktu rozwoju, wówczas cła innych państw stanowią przeszkodę trudną do zwyciężenia. Są wprawdzie i na to sposoby, ale zastosowanie ich nie jest bezwzględnie pożądanem. Przedsiębiorcy, znajdujący się w tem krytycznem położeniu, zawierają kartel, sprzedają swój towar drogo na targu wewnętrznym, poniżej kosztów produkcyi za granicą [2]. W ten sposób rozszerzają swą produkcyę do rozmiarów, przy których opłacać się może, a poddani państwa cłem chronionego nie korzystają całkiem albo przynajmniej nie w należytej mierze z udoskonalenia techniki produkcyjnej w danej gałęzi przemysłu, gdyż muszą za towar płacić równie drogo, jak w czasach zastarzałej techniki.

---

[1] E. Heitz *(Das Interesse der Landwirthschaft an den Handelsverträgen.* Berlin 1900) stara się wykazać, że, w miarę wzrostu protekcyjnych ceł agrarnych w Niemczech, zmniejszał się wywóz tamtejszych produktów rolniczych.

[2] Olbrzymi wzrost wywozu fabrykatów ze Stanów Zjednoczonych w ostatnich latach opiera się na znacznej różnicy między cenami wewnętrznemi a zagranicznemi. Przy eksporcie żelaza i towarów żelaznych ceny ustanowione dla zagranicy są o 20—60% niższe od wewnętrznych. Por. Ballad: *Die deutsch-amerikanischen Handelsbeziehungen* w *Schr. d. V. f. Socpol* t. LXXXI, str. 197.

Natomiast zagranica dostaje podarunki na ich koszt. W pewnych wypadkach organizacya kartelowa tego rodzaju nie wystarcza, a państwo musi produkcyę, powołaną do życia cłami ochronnemi, poprzeć przez płacenie premii wywozowych. Typowym przykładem tego procesu, produkcya cukru w Europie.

Łączność między systemem protekcyjnym a kartelami może się objawiać także w inny sposób; celem kartelu może być nie tylko ułatwienie zbytu zagranicznego, ale po prostu podniesienie ceny na targu wewnętrznym. Jeżeli się przedsiębiorcy nie porozumieją między sobą, to łatwo stać się może, że cena wewnętrzna będzie niższą od ceny międzynarodowej *plus* cło i koszta przewozu, ponieważ rozwój, chronionych przez cło, ale konkurujących między sobą przedsiębiorstw, obniży cenę. Współczesna koncentracya przemysłu w nielicznych wielkich przedsiębiorstwach, ogarniająca coraz to nowe gałęzie wytwórczości przemysłowej, ułatwia osiągnięcie tego celu, co bezpośrednio interesowanym zapewnia sprzedaż towaru po cenie, przewyższającej o całą wysokość cła i kosztów transportu cenę międzynarodową.

Rozwój ten odbił się szczególnie niekorzystnie na Galicyi, która nie tylko ponosiła straty z powodu coraz to większych utrudnień zbytu płodów rolniczych do Niemiec (od r. 1879), ale która także traciła na austryackim protekcyonizmie przemysłowym. Kartele powstawały oczywiście w prowincyach przemysłowych, przeważnie w krajach Korony czeskiej i Dolnej Austryi. Podwyższenie cen odbija się wprawdzie na konsumentach zamieszkałych w całem państwie, ale dotknięte w pierwszym rzędzie są prowincye, złożone niemal wyłącznie z konsumentów, niezamieszkałe przez wytwórców, chronionych cłem i związanych kartelem. Najbardziej dał się we znaki Galicyi kartel żelazny z powodu stosunkowo znacznej konsumcyi tego towaru i nadmiernego podniesienia cen, ale i inne cła przemysłowe są także szkodliwe. Dość przypomnieć oclenie wyrobów z juty; Galicya używa bowiem do przewożenia swych płodów rolniczych wielkiej ilości worków.

Wielce ujemną stroną systemu protekcyjnego jest właściwa

mu dążność do rozszerzania się. Przyznając ochronę celną jednej gałęzi produkcyi, trudno odmówić jej drugiej, zwłaszcza w krajach parlamentarnie rządzonych, w których w myśl zasady „ręka rękę myje“, można znaleźć większość zazwyczaj tylko dla systemu protekcyjnego, obejmującego kilka większych grup producentów [1]. Wynika jednak z tego wzajemne neutralizowanie się ceł, dana jednostka zyskuje wprawdzie jako producent ale traci w charakterze konsumenta, a ogólne podrożenie produkcyi umniejsza wywóz, utrudnia jej zdolność konkurencyjną z zagranicą [2].

Z tego cośmy dotychczas powiedzieli o ujemnych stronach systemu protekcyjnego wynika, że nałożenie nowych ceł lub podwyższenie istniejących wymaga dokładnego zbadania konkretnych właściwości danego przypadku, dowodzących niewątpliwie potrzeby takiego postanowienia ustawodawczego [3]. Nie są dostatecznymi argumentami ani życzenia bezpośrednio interesowanych producentów, którzy prawie zawsze domagają się w swych rezolucyach i uchwałach zamknięcia prohibicyjnemi cłami targu wewnętrznego, oraz równoczesnego obniżenia ceł w drodze traktatów handlowych przez państwa, do których wywożą swe wytwory, ani okoliczność, że państwa zagraniczne podwyższyły cło na dany towar. Już Adam Smith uczył, że cło przynosi chwilowo korzyść przedsiębiorcom pracującym w danej gałęzi produkcyi, to jednak nie jest jeszcze dostatecznem uzasa-

---

[1] Dzieje ruchu protekcyjnego w Niemczech dostarczają licznych przykładów, stwierdzających tę zasadę. Wspomnieliśmy już o znacznym wpływie porozumienia się rolników z fabrykantami żelaza na dojście do skutku taryfy z r. 1879. Obecnie prąd, dążący do znacznego podwyższenia ceł w Niemczech, zgodny jest z życzeniami sfer rolniczych oraz skartelowanych gałęzi przemysłu, które właśnie, dzięki kartelowi, mogą spodziewać się podniesienia ceny na targu wewnętrznym niemal o całą wysokość cła.

[2] O ważnej kwestyi ceł zbożowych piszemy poniżej w kronice ekonomicznej.

[3] Nawet Daniel Ricardo oświadczył się za dopuszczalnością ceł zbożowych w pewnych warunkach, a w swych listach do Mac Cullocha zapewnia, że nie widzi sprzeczności między swą działalnością parlamentarną a teoryami wolno-handlowemi, głoszonemi w swych pismach.

dnieniem [1]. Potrzeba ochrony krajowej produkcyi będzie tem silniejszą, im bardziej zmniejszać się będzie wywóz z powodu utrudnień celnych, stawianych przez inne państwa. Również nagły a znaczny wzrost techniki produkcyjnej w innych krajach lub powiększenie się produkcyi zagranicznej z powodu korzystnych naturalnych warunków dla rozwoju przemysłu (dogodne położenie, pokłady węgla i rudy żelaznej, łatwość eksploatacyi i t. d.) może uzasadniać chwilowo nałożenie lub podwyższenie cła celem ułatwienia produkcyi krajowej, przetrzymania czasokresu potrzebnego do zastosowania się do nowych warunków konkurencyjnych. Potrzeba wyrównania ciężarów podatkowych lub socyalno-politycznych może także usprawiedliwić pewne zarządzenia protekcyjne. Podwyższenie ceł może mieć także na celu sztuczne tworzenie objektów komparacyjnych przy przyszłych rokowaniach o zawarcie traktatów. Węgrzy popierali politykę protekcyjną po rozbiciu się rokowań z Niemcami w r. 1878, w nadziei zmuszenia w ten sposób Niemiec do ustępstw w zakresie ich ceł rolniczych. Pamiętać jednak trzeba, że takie cło łatwiej nałożyć jak cofnąć. Cło niemieckie pięciomarkowe na pszenicę i żyto z r. 1887 miało początkowo na celu skłonić Rosyę do zawarcia traktatu, poczem miał nastąpić powrót do dawniejszego, niższego wymiaru. Gdy się to stało w r. 1894, rolnicy, wychodząc z założenia, że cło pięciomarkowe miało charakter normalny i stały, rozpoczęli agitacyę protekcyjną, której wyrazem pruski projekt nowej autonomicznej taryfy celnej.

Podwyższenie ceł austro-węgierskich uważać należy za uzasadnione tylko o tyle, o ile to jest koniecznem ze względu na zarządzenia protekcyjne państw zagranicznych, zwłaszcza Niemiec. Przewodnią myślą powinno być dążenie do ponownego

---

[1] „That this monopoly of the home market frequently gives great encouragement to that particular species of industry which enjoys it, and frequentily turus towards thąt employment a greater share of both the labour and stock of te society than would otherwise havegone to it, cannot be doubled, But whether it tends to increase the general industry of the society, or to give it the most advantageous direction, is not, perhaps, altogether so eviclent". (*The Wealth of Nations,* B. IV, Ch. II).

zawarcia umów handlowo-politycznych [1], obejmujących dłuższy przeciąg czasu, np. przewidziany w obecnie obowiązujących traktatach grudniowych. To też nieuniknione podwyższenie ceł rolniczych powinno być umiarkowane ze względu na potrzebę odnowienia traktatów handlowych z państwami bałkańskiemi oraz z Włochami i z Rosyą.

Byłoby błędem uważać co dopiero ogłoszony projekt pruskiej niemieckiej autonomicznej taryfy celnej za stanowczą zapowiedź znacznego wzmocnienia prądu protekcyjnego na dłuższy czasokres. Przypuściwszy nawet, że pruski projekt stanie się ustawą, ewentualnie z mniej zasadniczemi zmianami, to mimo tego nie można sprawy uważać za przesądzoną. Ostrze pruskiego projektu zwraca się głównie przeciwko Stanom Zjednoczonym [2], których import do Niemiec wzrasta z roku na rok z nadzwyczajną szybkością, podczas gdy wywóz niemiecki do Stanów Zjednoczonych od kilku lat utrzymuje się mniej więcej na tym samym poziomie. Mimo tego Stany Zjednoczone robią trudności handlowo-polityczne Niemcom, podczas gdy wobec Francyi okazują się skłonniejsze do ustępstw. W Niemczech zdaje się obecnie przeważać zapatrywanie, że przy zawieraniu traktatów grudnio-

---

[1] Jest rzeczą charakterystyczną, że uczeni niemieccy, nawet zwolennicy podwyższenia ceł rolniczych są za zawieraniem długotrwałych traktatów handlowych. Było to jedno z tych nielicznych zapatrywań, na które zgodzili się niemal wszyscy uczestnicy tegorocznego zjazdu towarzystwa dla polityki socyalnej podczas obrad handlowo-politycznych. Także rząd niemiecki ciągle z naciskiem podnosi, że będzie się starał o zawarcie długotrwałych traktatów handlowych mimo znacznego podwyższenia ceł rolniczych.

Natomiast niemieckie stronnictwo agrarne, a za niem austro-węgierskie, przypisuje zasadniczą wyższość autonomicznej polityce celnej, godząc się co najwyżej na krótkotrwałe traktaty handlowe, chce sobie w ten sposób zapewnić możność szybkiego zastosowania się do zmian konjunktury na targu międzynarodowym. Jest to znowu naśladownictwem Francyi, w której cło na zboże, bydło i mąkę od dwudziestu lat nie znajduje się w taryfie umownej.

[2] Jednym z objawów tej dążności jest podwyższenie ceł na żelazo i wyroby żelazne, oraz specyalizacya dotyczących pozycyi celnych; jest ich w tej grupie towarów 125 w pruskim projekcie, podczas gdy Austro-Węgry zadowalniają się obecnie 37 pozycyami.

wych popełniono błąd, regulując najpierw stosunki z Austro-Węgrami, a potem dopiero stosunki z Rosyą, a zwłaszcza ze Stanami Zjednoczonymi, które skutkiem tego, dzięki klausuli największego uprzywilejowania, uzyskały znaczne korzyści za stosunkowo małe ustępstwa. Istnieje więc podobno zamiar prowadzenia rokowań najpierw ze Stanami Zjednoczonymi na podstawie taryfy, dającej sposobność do wielostronnych targów. Przyszłe ukształtowanie się stosunku handlowo-politycznego Niemiec do Stanów Zjednoczonych jest na razie przynajmniej jednym z licznych, nieobliczalnych czynników w tym rachunku prawdopodobieństwa, ale nie zawadzi przypomnieć, że sfery rządowe w Stanach Zjednoczonych w przeciwstawieniu do niemieckich głoszą potrzebę pewnego obniżenia ceł. Stosunki gospodarcze w Ameryce zmieniają się szybciej jak u nas, to też i tamtejsza polityka handlowa podlega ciągłym zmianom. Po wysoce protekcyjnej taryfie Mac Kinleya z r. 1891, która Kanadę popchnęła do udzielenia Anglii ceł różniczkowych w t. zw. taryfie preferencyalnej, i która chwilowo pozbawiła republikanów większości na korzyść demokratów, zwalczających kartele i trusty, jako czynniki podnoszące ceny wewnątrz kraju, nastąpiło pewne złagodzenie ochrony celnej przez bil Wilsona w r. 1894. Zwrot ten okazał się nader krótkotrwałym; taryfa Dingleja z r. 1896 przywraca cło na wełnę, zniesione przez bil Wilsona i na ogół rzecz biorąc, jest jeszcze bardziej protekcyjną jak Mac Kinleya. Obecnie jednak, zdaniem sfer rządzących, wychowawcza epoka ochrony celnej minęła, Stany Zjednoczone głoszą hasło wzajemności celnej, chcąc traktatami, opartymi na obustronnych ustępstwach, zabezpieczyć i ułatwić szybko wzrastający wywóz płodów przemysłowych. Wobec coraz to ściślejszej łączności gospodarczej między poszczególnemi państwami, uzasadnionem wydaje się przypuszczenie, że pojednawcze usposobienie handlowo-polityczne Stanów Zjednoczonych stanowić będzie pewną przeciwwagę dla wychodzącego z Niemiec prądu protekcyjnego. Jeżeli mimo tego w Niemczech dążność do znacznego podwyższenia ceł zwycięży, to wedle wywodów Lotza,

zawartych w jego najnowszej pracy [1], należy przypuszczać, że po wyjściu na jaw wszystkich ujemnych stron wygórowanego systemu protekcyjnego, nastąpi otrzeźwienie, zwrot ku bardziej wolno-handlowym poglądom. Rząd austro-węgierski powinien się już obecnie liczyć z tą ewentualnością i podwyższenie ceł przy sposobności wygaśnięcia traktatów handlowych uważać za środek przejściowy, wskazany chwilową konstelacyą handlowo-polityczną w Niemczech, którego potrzeba zastosowania w znacznej mierze odpadnie z chwilą zmiany tej konstelacyi.

Prąd protekcyjny w Austryi objawia się nie tylko dążeniem do podwyższenia ceł, ale także żądaniem zniesienia lub ograniczenia klausuli największego uprzywilejowania, którą podejrzywa się o wywoływanie skutków wolno-handlowych.

Jak wiadomo Francyę głównie obawa przed następstwami wieczystej klausuli największego uprzywilejowania popchnęła do zastosowania systemu taryfy podwójnej. Gdy skutkiem traktatów grudniowych zniżono cło na pszenicę węgierską, dostało się także w udziale Stanom Zjednoczonym, korzystającym w Niemczech, na podstawie układu zawartego niegdyś z Prusami, z praw objętych klausulą największego uprzywilejowania, bez żadnego ustępstwa dla przedmiotów wywozu niemieckiego do Stanów Zjednoczonych, wówczas w Niemczech podnoszono ciężkie zarzuty przeciwko temu systemowi. W Austryi przeciwnicy klausuli powołują się głównie na stosunek z Rumunią; traktat handlowy między obu temi państwami ogranicza się, jak wiadomo, tylko do wzajemnego przyznania sobie klausuli największego uprzywilejowania. Otóż jedną z przyczyn powodzeń niemieckich w stosunkach handlowych z Rumunią jest zawarcie traktatu, obejmującego nie tylko zasadę największego uprzywilejowania, ale specyalne ustępstwa, przykrojone do interesów eksportowych niemieckiego przemysłu. Natomiast przemysł austryacki zadowalniać się musi ubocznem korzystaniem z ustępstw zrobionych

[1] *Die Handelspolitik des deutschen Reiches 1890—1900* w *Sch. d. V. f. Socpol.* B. XCII. Jest to uzupełnienie już cytowanego dzieła: *Die Ideen der deutschen Handelspolitik.*

Niemcom, a nie zastosowanych do specyalności wywozu austryackiego.

W ostatnich czasach niektórzy autorowie[1] podnosili z naciskiem, że klausula największego uprzywilejowania ma czysto formalne znaczenie, z natury swej nie jest ani protekcyjną ani wolno-handlową, może mieć także skutki protekcyjne, jeżeli powstrzymuje od robienia ustępstw jednemu państwu z obawy nieprzyznania ich *eo ipso* innym uprawnionym do korzystania z klausuli. W zasadzie taryfa podwójna i specyalizacya schematu mogą być wprawdzie wyrazem dążeń wolno-handlowych, obecnie jednak tam, gdzie domagają się zastosowania tych dwóch środków formalnej techniki celnej, służyć one mają celom protekcyjnym, a klausula największego uprzywilejowania ma w praktyce przeważnie wolno-handlowe znaczenie.

Austryacka technika celna nie stosuje się ściśle do wymogów zasady największego uprzywilejowania. Obrót graniczny z Serbią i Włochami, różniczkowe oclenie towarów, *per mare* sprowadzanych, są wyjątkami, milcząco uznanymi przez inne państwa. Zawieranie traktatów, których całą treść stanowi tylko klausula największego uprzywilejowania z państwami, z któremi stosunki handlowo-polityczne są ożywione, może mieć racyę chyba tylko z punktu widzenia Anglii, która nie ma żadnych ustępstw do robienia, której zatem zależy przedewszystkiem na równouprawnieniu z innemi państwami. Z austryackiego stanowiska traktat z Rumunią na tej podstawie zawierany nie jest wskazany. Austrya może bowiem zrobić Rumunii koncesye dla niej ważne w zamian za równowartościowe ustępstwa dla swego eksportu.

Znaczne ograniczenie klausuli największego uprzywilejowania i odmienne oclenie towarów, pochodzących z różnych państw, pociągnęłoby za sobą tę wielką praktyczną niedogodność, że istniałoby obok siebie kilka różnych taryf, podczas gdy obecnie mamy do czynienia zazwyczaj tylko z dwoma, jeneralną i umowną. Z drugiej strony niewątpliwą wadą klausuli jest jej

[1] Vosberg-Rekow; *Die Politik der Handelsverträge.* Berlin 1898, str. 135.

szablonowość i niedostateczne uwzględnianie indywidualnych potrzeb, interesów państw, zawierających ze sobą umowę.

Sposobem wyjścia z tych trudności byłoby może proponowane z wielu stron pewne zróżniczkowanie klausuli największego uprzywilejowania. Nieograniczonej klausuli, obejmującej wszystkie pozycye taryf umownych, nie przyznawanoby każdemu państwu, z którem zawiera się traktat; niektórym z nich należałoby przyznać klausulę największego uprzywilejowania, ograniczoną do pewnych ściśle oznaczonych pozycyi taryfy umownej. Ułatwiłoby to ewentualne tworzenie unii celnych, dając możność różniczkowego oclenia, tego koniecznego warunku stworzenia unii celnej.

Pozostaje nam jeszcze rozpatrzeć w kilku słowach specyalne interesa Galicyi w przyszłem ukształtowaniu się stosunków handlowo-politycznych monarchii.

Jedno z najradykalniejszych stronnictw niemieckich w Austryi wypisało na swym sztandarze hasło zerwania unii celnej z Węgrami, a zastąpienia jej unią z Niemcami. Ekonomicznie rzecz biorąc, Galicya zyskałaby dużo na tej kombinacyi, cła utrudniłyby dowóz węgierskiej mąki, słoniny, bryndzy, węgierskiego zboża etc., a nasz eksport agrarny miałby otwartą drogę do Niemiec. Tylko stosunkowo nieliczni producenci przemysłowi, którzyby analogicznie mogli domagać się unii celnej z Rosyą, czuliby się pokrzywdzeni. Projekt ten jest oczywiście ze względów politycznych nie do przyjęcia, ale jego ewentualne skutki charakteryzują sytuacyę handlową Galicyi. Jak już poprzednio starałem się wykazać, przyniosły nam straty zarówno zamykanie granic niemieckich dla importu produktów agrarnych, jak niemniej austryacka ochrona przemysłowa, uwzględniająca przeważnie inne kraje koronne.

Choćby nawet doszedł do skutku nowy traktat z Niemcami, nastąpi prawdopodobnie dalsze utrudnienie eksportu rolniczego, które dotknie nie tylko to, co już obecnie wywozimy lub wywoziébyśmy mogli, ale także te gałęzie wytwórczości, które powoli poczynają się rozwijać i mają po temu pomyślne warunki: sadownictwo, warzywnictwo i mleczarstwo. Chodzi tu

o produkta doniosłego znaczenia, zwłaszcza dla rentowności gospodarstwa włościańskiego. Szkoda jest często podwójną: niemieckie cło na owoce utrudnia nie tylko wywóz, ale naraża Galicyę także na zwiększoną konkurencyę na targu wewnętrznym. Owoce krajów alpejskich, którym cło także utrudni eksport, tem bardziej będą szukały zbytu wewnątrz Austryi.

Słowem należy się liczyć z pewnem utrudnieniem przejścia do bardziej intenzywnej gospodarki, tego w gruncie rzeczy jedynego sposobu zatrzymania w kraju przyrostu ludności, a przyrost ludności jest objawem, który ostatecznie rozstrzyga o żywotności społeczeństwa. Podobno już dziś w niemieckich tartakach spotyka się galicyjskich robotników, obrabiających galicyjskie okrąglaki. Zwrot, na który się zanosi w niemieckiej polityce handlowej, z pewnością nie osłabi prądu emigracyjnego, dotąd niezorganizowanego i niepokierowanego zgodnie z interesem kraju, aczkolwiek już w ostatniem dziesięcioleciu zeszłego wieku przeszło 30 tysięcy ludzi rok rocznie emigrowało.

Zachodzi zatem potrzeba szukania środków zaradczych na innych polach. Węgry, znajdujące się do pewnego stopnia *mutatis mutandis* w podobnej sytuacyi, robią obecnie gorączkowe wysiłki, skierowane do uprzemysłowienia kraju. Wobec zamknięcia granicy niemieckiej dla naszego bydła i trzody chlewnej, ułatwienie ich zbytu na targu wewnętrznym staje się rzeczą pierwszorzędnej doniosłości. Zwłaszcza usunięcie praktyk weterynaryjnych w innych krajach koronnych, zwróconych przeciwko wywozowi naszej trzody chlewnej do Pragi i do Wiednia, jest nader ważne dla chłopa. Produkcya ta nie wymaga i równie znacznego nakładu kapitału, czasu i fachowej znajomości rzeczy, jak wiele innych gałęzi wytwórczości rolniczej, jest zatem w danych warunkach szczególnie dogodną [1]. Wobec sytua-

[1] Galicya wywozi mało materyału tuczonego, eksportowanego np. z Węgier. Galicya ogranicza się do wywozu materyału chudego, przeznaczonego na szynki lub do dalszego tuczenia, ponieważ ten towar wymaga znacznie mniejszych nakładów. Woły tutejsze zazwyczaj bywają tuczone w innych prowincyach lub zagranicą. Wedle Fiszera (l. c. str. 142) istnieje w Bawaryi zakład tuczenia raków galicyjskich. Pewną analogię w rzemio-

cyi geograficznej kraju, polityka taryfowa, zastosowana do jego interesów, nabiera wielkiej wagi. Streszczając wyniki, do których doszliśmy, niepodobna uznać traktatów grudniowych wraz z tworzącymi ich uzupełnienie [1] umowami z Serbią i z Rumunią za dzieło doskonałe. Podstawowa ich idea: unia celna bez ceł różniczkowych, była w założeniu fałszywą, i dla Niemiec przedstawiała sposób wyjścia za jednym zamachem z ówczesnego osamotnienia handlowo-politycznego, oraz obniżenia ceł zbożowych, którego w Niemczech powszechnie się domagano z powodu nieurodzaju i wielkiej drożyzny w r. 1891 w zamian za ustępstwa dla niemieckiego eksportu przemysłowego; Niemcy, korzystając z tradycyjnej popularności idei unii celnej w Austryi, zapomocą niej usposobiły przychylnie opinię publiczną w Austro-Węgrzech dla traktatów grudniowych. Idea unii celnej nie tylko nie przyniosła Austryi korzyści, których się po niej optymiści spodziewali, ale stała się przyczyną pozytywnych strat. Traktat obecny z Włochami zawiera pewne pogorszenie w porównaniu z dawniejszym (dość przypomnieć kwestyę ceł na wyroby lniane); przejął z dawnego niekorzystną klausulę winną. Broniono tych postanowień uwagą, że traktaty tworzą całość, której nie można na szwank narażać odrzucaniem jednej pozycyi. Dalsza kooperacya handlowo-polityczna Niemiec z Austryą wobec Rumunii zapewniła Niemcom traktat handlowy, a nam tylko ukończenie wojny celnej i klauzulę największego uprzywilejowania. Różniczkowe oclenie produktów serbskich mimo ciężaru, jaki nakłada na rolnictwo, dałoby się może usprawiedliwić, gdyby przynajmniej Serbia przyznała równowartościowe różniczkowe oclenie dla importu z Austryi. Pod tym względem dziś obowiązujący traktat jest także pogorszeniem w porównaniu z dawniejszym.

Umowie z Belgią zarzucają, że nie obejmuje cła na słód.

śle stanowi stosunkowo znaczny rozwój szewstwa w Galicyi, ponieważ wystarcza kapitał mniejszy, jak w innych gałęziach przemysłu.

[1] W parlamencie austryackim rząd, przedkładając traktaty grudniowe, zapowiedział, że starać się będzie o ich uzupełnienie w najbliższej przyszłości umowami z państwami bałkańskiemi.

Przechodząc do najważniejszego z traktatów grudniowych, do traktatu z Niemcami, zaznaczyć należy, że wywalczanie ustępstw rolniczych pozostawiono Węgrom, którzy swoje interesa zdołali wysunąć na pierwszy plan: dowodem znaczne ustępstwo dla pszenicy, stanowiącej niemal wyłącznie przedmiot wywozu węgierskiego i konwencya weterynaryjna, korzystniejsza dla Węgier, niż dla Austryi. Wybuch zarazy powoduje w Austryi zamknięcie wywozu do Niemiec z całego kraju koronnego, w którym zdarzył się wypadek zarazy, w Węgrzech zamknięcie komitatu, a zatem okręgu terytoryalnie znacznie mniejszego. Praktyka weterynaryjna niemiecka zaostrzyła ten stosunek na największą niekorzyść Galicyi, którą zamykano częściej, niż inne kraje. Woły wschodnio-galicyjskie wysyłano do Niemiec często z Bukowiny, a zachodnio-galicyjskie z Salcburga. Ważną ujemną stroną umowy z Niemcami jest nadto nieuregulowanie wysokości cła na piwo. Bądź co bądź jednak traktaty grudniowe powstrzymały na dłuższy przeciąg czasu zwyżkę agrarnych ceł niemieckich, datującą się od r. 1879, ustaliły wysokość ceł na lat dwanaście, w czem szukać należy głównej ich zasługi. Umożliwiły przez to wyzyskanie wzrostu ludności w Niemczech i pomyślnej tamtejszej konjunktury przemysłowej w kierunku powiększenia eksportu koni, jaj, drobiu, drzewa, koniczyny i utrzymania dotychczasowego poziomu w wywozie chmielu, jęczmienia, słodu, owoców etc. Jeżeli mimo ustępstw celnych Niemiec nastąpiło znaczne cofnięcie się eksportu w innych płodach rolniczych, to przyczyny tego są rozmaite, a jedną z głównych wzrost wewnętrznej konsumcyi i niemożność konkurowania w dostawie zboża z krajami o niższej cenie ziemi i niższych kosztach produkcyi. Tu może pewien skutek mogłyby wywrzeć tylko cła różniczkowe.

Na czas trwania traktatów grudniowych przypada okres wielkiego rozwoju przemysłu i handlu w latach 1894—1900, którego Austrya (podobnie zresztą jak Francya) nie zdołała należycie wykorzystać, a w eksporcie do krajów bałkańskich nie umiała utrzymać dawnego, przeważającego stanowiska, aczkolwiek bezwzględnego cofania się wywozu, na ogół biorąc, nie

można stwierdzić. Przyczyny tego zjawiska leżą jednak w znacznej mierze poza polityką handlową; brak komunikacyi wodnych, przesilenie w polityce wewnętrznej, nieodpowiednia kupiecka i kredytowa organizacya eksportu austryackiego, której wady często podnoszą sprawozdania konsularne — oto szereg czynników, wpływających obok polityki handlowej na ostateczny rezultat. Chcąc ocenić należycie pogorszenie się bilansu handlowego w czasie obowiązywania traktatów grudniowych, trzeba uwzględnić wzrost importu surowców, który wpływa ujemnie na wynik rachunkowy bilansu, ale jest objawem korzystnym powiększania się produkcyi przemysłowej. Wspomnieliśmy już o silnym wzroście przywozu węgla, wartość importu bawełny podniosła się z 97·4, w r. 1892 na 152·8 milionów koron w r. 1900, a wartość importu wełny wzrosła w tym samym czasie z 72·2 na 88·3 miliony koron.

W traktatach grudniowych niewątpliwie trafną była myśl porzucenia dawniejszej autonomicznej polityki celnej z właściwą jej wówczas w Austryi ciągłą niepewnością co do wysokości ceł i dążnością do dalszej zwyżki, celem zastąpienia jej szeregiem traktatów, ustalających wysokość ceł na dłuższy przeciąg czasu, co nie mogło nie wpłynąć korzystnie na stosunki handlowe, usuwało bowiem jeden z momentów niepewności w kalkulacyi cen — do czasu przynajmniej. Chęć zapewnienia w ten sposób zbytu na Zachodzie produktom rolniczym, a na Wschodzie przemysłowym była niewątpliwie uzasadnioną ekonomicznymi stosunkami w obrębie monarchii. Dalsze kontynuowanie dotychczasowej polityki handlowej w tych dwóch kierunkach, z uniknięciem błędów popełnionych przy zawieraniu traktatów grudniowych i umów z państwami bałkańskiemi, byłoby zatem pożądanem, o ile wzrost tendencyi protekcyjnych w Niemczech nie stanie na przeszkodzie. Mówiąc o przyszłem ukształtowaniu się stosunków handlowo-politycznych, miałem na oku ewentualność odnowienia ugody austro-węgierskiej. Zerwanie jej mogłoby przynieść chwilową korzyść pewnym partykularnym interesom, ale byłoby błędem nie do darowania ze względu na ogólny interes państwa, błędem nie tylko politycznym, ale i eko-

nomicznym [1]. Rozbicie unii celnej w chwili, gdy tworzą się wielkie światowe terytorya cłowe z tendencyą odgraniczenia się od innych krajów, byłoby zupełnem niezrozumieniem kierunków rozwoju historycznego.

Adam Krzyżanowski.

---

[1]) Por.: Julius Bunzel: *Zur Neuregelung der wirtschaftlichen Beziehungen zwischen Österreich und Ungarn (Schmollers Jahrbuch* 1900, str. 33—74). Autor przekonywująco wykazuje, że aczkolwiek Węgry są główną siedzibą przeciwników odnowienia ugody cłowej, to przecież Węgry są bardziej interesowane w jej odnowieniu, niż Austrya.

Różnica między Dyonizym a staro-chrześcijańską erą.

Zwrot umysłów do pozytywnej pracy śladem przodków i odraza do nowostek na zaraniu wieków średnich nie pozwala wątpić, że Dyonizy Szczupły pracował w zgodnym duchu z kościelnymi pisarzami ówczesnymi, jeżeli zdobył sobie między nimi chlubne stanowisko. Przeciwnie, przypuszczać należy, że zginąłby zapomniany, gdyby dla swoich czytelników spisywał czysto osobisty pogląd na chronologię, zamiast zapoznawać ich wiernie z dziełami zawodowych chronologów aleksandryjskich. Niewątpliwie tedy można z Bedą wnosić, że Dyonizy nie myślał o żadnej zmianie w erze staro-chrześcijańskiej, kiedy ją przenosił z Aleksandryi do Rzymu i widocznie skutkiem jakiejś pomyłki policzył lata tak niestosownie, że u niego 42-im zamiast 34-ym wypadł rok odznaczony piątkiem, pełnią i równonocnią przy śmierci Chrystusowej. We wniosku Bedy spostrzegamy prawdę tem oczywistszą, im baczniej uważamy na niektóre słowa w samem dziele Dyonizego, mianowicie w jego przedmowie do tablic wielkanocnych, zwłaszcza w ustępach, gdzie wykłada zasady, na jakich te tablice ułożył.

Dzieła Dyonizego[1], głównie dogmatycznej treści albo kaznodziejskiej, okazują w nim teologa z zawodu i niepośledniego znawcę nauk wyzwolonych, zatem humanistę i matematyka na owe czasy wybitnego, skoro wprawnie władał zawiłymi wzo-

[1] *Migne P. L.* LXVII, 1—527.

rami ówczesnej arytmetyki z układem cyfr rzymskim, a nie dziesiątkowym, których użył, aby obliczyć tablicę świąt ruchomych do kalendarza. A właśnie dobiegała już do końca taka tablica, ułożona na 95 lat przez św. Cyryla Aleksandryjskiego. Uczony Aleksandryjczyk obrobił swoją pracę, jako rzeczoznawca: sam powziął przewodnią myśl, wedle której wydoskonalił dzieło poprzednika na patryarszej stolicy, św. Teofila, co na poprzednich sto lat był taką tablicę ułożył. Według dokładnych wskazówek św. Cyryla mogli już następcy prowadzić jego dzieło, choćby nieobeznani z astronomią zawodowo.

Dyonizy więc przedsięwziął zamiar i prosty i jasny, i zupełnie stosowny dla sił światłego pisarza kościelnego, oddanego pracy dla duchownego pożytku bliźnich. Tego zamiaru dokonał bez zarzutu i zaspokoił doraźną potrzebę chrześcijan, strwożonych blizkim brakiem wskazówek co do dnia Wielkanocy; napisał kilka rozpraw w tym przedmiocie, streścił zasady poprzedników, zdał sprawę z dzieła ich przerwanego, zaopatrzył je w dalszy ciąg na lat 95 i szczęśliwie przeszedł ciemny las liczb, wyrażanych temi głoskami łacińskiemi, które tak utrudniały arytmetykę, jak na to później utyskiwać miał Kopernik.

W tej pracy kalendograficznej Dyonizy nie postawił ani jednego kroku samodzielnie: szedł ślad w ślad za Aleksandryjczykami, czyli, jak wówczas Zachód ich nazywał, za Egipcyanami i wypełniał nagłówki tablic według porządku, który znalazł u św. Cyryla.

Wobec ówczesnego stanu oświaty nie mógł nawet szukać gdzieindziej Dyonizy wskazówki przy swojej pracy, jak tylko u owych Egipcyan, którzy w szkole aleksandryjskiej wydawali najlepszych znawców astronomii czystej i zastosowanej do chronologii i kalendografii.

Na cały Wschód i daleki Zachód bił już wtenczas blask sławy z Aleksandryi. Tam na stolicy patryarszej zasiadali mężowie, równie czczeni dla cnoty niepospolitej jak poważani dla prac naukowych. Z dzieł Hillela można dostrzedz, że nawet innowiercy korzyli czoło przed głęboką wiedzą i ścisłą nauką Egipcyan; Żydzi nie tak zazdrośnie usiłowali Aleksandryjczykom

przeciwstawić własne zdobycze w dziedzinie nauki jak Bizantczycy. Carogrodzki patryarchat, choć młodszy i tylko tytularny, przeświadczony jednak o swojem pierwszeństwie, iż stał przy boku samego cesarza, spoglądał z wyżyny stołecznego miasta na apostolski patryarchat w prowincyonalnej Aleksandryi, jako na natrętnego współzawodnika co do powagi na Wschodzie: nauce egipskiej przeciwstawił oświatę bizantyńską, nawet erę aleksandryjską zaprowadził wprawdzie u siebie, ale w odmiennej postaci; słowem, tak zazdrośnie wówczas szukał pola do wyścigów ze sławą Aleksandryi, jak zarozumiale później odmawiał pierwszeństwa przed sobą Rzymowi. Od zazdrośnego współzawodnictwa Bizantczyków z Egipcyanami dziwnie odbijały węzły stosunków między patryarchami aleksandryjskimi a stolicą świętego Piotra. Najuczeńsza stolica św. Marka przestawała z nauczycielem wszystkich stolic biskupich jak córka z ojcem, u którego znajduje opiekę w każdej przygodzie, i do którego śpieszy z odpowiedzią w zakresie świeckiej wiedzy, zdobytej pracą zawodową. Z Rzymem najznakomitsze umysły na Zachodzie wyciągały do Egipcyan rękę za każdym razem, kiedy im trzeba było pomocy astronomicznej.

Nie dziw tedy, że u Dyonizego nie czytamy ani słowa wzmianki o żadnych innych źródłach jego pracy, prócz nauki pożyczonej od Egipcyan. Po szczegółowym opisie zasad, na których św. Anatol ułożył kanon kresów wielkanocnych, a św. Cyryl z tego kanonu wyciągnął tablice, Dyonizy najotwarciej przy końcu przedmowy wyznaje: „Po tablicy przydaliśmy także argumenta, wynalezione przez rzeczoznawców egipskich, aby łatwo każdy znalazł tytuły paschalne, kto ich nie zna“, i istotnie zaraz po tych słowach Dyonizy podaje tablicę, ułożoną z różnych liczb, nad ich rzędami wypisuje nagłówki czyli, jak je nazywa sam, tytuły paschalne, a dalej stawia krótkie ustępy, zwane argumentami, w których wyprowadza ogólne wzory dla liczb, umieszczonych pod każdym tytułem.

Otóż jeden z tych argumentów zasługuje tutaj na staranniejszy rozbiór, aby okazać, że Dyonizy rzeczywiście wiernie powtarza te same liczby, któremi Ojcowie wyżej przytoczeni

określają lata narodzenia i śmierci Pańskiej i całą dobę Jego męki.

Czytamy tedy w argumencie pod napisem: *O dniach przesilenia i równonocni:*

Pierwsze przesilenie przychodzi w dniu grudnia 25-ym, „w którymto dniu narodził się Pan Jezus z Maryi Panny w Betleem; odtąd zaczynają róść dnie. Równonocnia pierwsza przychodzi w dniu marca 25-ym, w którym dzień dorównuje nocy. W tym samym dniu Gabryel zwiastuje Maryi, mówiąc: Duch święty i t d., w którym dniu także cierpiał Chrystus wedle ciała. Drugie przesilenie przychodzi w dniu czerwca 24-ym, kiedy także narodził się św. Jan Chrzciciel, odkąd zaczyna zmniejszać się dzień. Równonocnia druga przychodzi w dniu września 24-ym, w którym dniu począł się Jan Chrzciciel, i odtąd nastają dnie krótsze od nocy aż do Bożego Narodzenia. — Od 25-go marca do 25-go grudnia liczymy dni 275: więc liczba dni wykazuje, że Chrystus Pan nasz, poczęty w niedzielę 25-go marca, przyszedł na świat we wtorek 25-go grudnia. Do dnia kiedy cierpiał, upłynęło lat 33 i miesięcy 3“ (bez dwóch dni), „co daje dni 12133, a z przestępnymi swoimi razem dni 12141: więc liczba dni Jego wykazuje, że na pewno urodzony we wtorek, cierpiał w piątek...“

Naprzód wogóle można zauważyć, że Dyonizy w tym ustępie podaje wiele szczegółów przechowywanych w pamięci chrześcijańskiej od wieków najdawniejszych. Więc nawet już Konstytucye apostolskie [1] wymieniają szczegółowo najważniejsze święta uroczyste: „Strzeżcie dni świątecznych, i naprzód dnia Narodzin 25-go w miesiącu 9-ym, a po nim dnia Epifanii 6-go w miesiącu 10-ym“ i t. d.

Następnie, co do pierwszej części tego dowodu, nie trzeba już długich uwag, aby rozpoznać, co Dyonizy powtórzył żywcem za Egipcyanami, a co wyraził swojemi słowami albo wyjaśnił według pojęć zachodnich. U Egipcyan znalazł pory roku określone początkiem dni najkrótszych z końcem jesieni, naj-

[1] Migne, *P. G.* I, 858.

dłuższych z końcem wiosny, a równych nocy z końcem zimy i lata; u Egipcyan także znalazł liczbę dnia miesiąca, odpowiednią na początek każdej pory roku, i pozostawił te liczby, ale gdy znalazł nazwę miesiąca egipskiego Famenot albo Pauni albo Toth albo Chiachi, to wyraził te nazwy z łacińska marcem, czerwcem i t. d. Więc przy miesiącu łacińskim zostawił liczbę dnia właściwą miesiącowi egipskiemu: stąd otrzymał dnie równonocne i przesilenia, określone liczbami cesarskiemi, zgodnie ze zwyczajem zachodnim. Nakoniec, aby wyjaśnić sprawę jak najdokładniej, dodał szczegół, wyrażony terminologią z czasów Hipparcha, przez co zaciemnił wszystko zupełnie, mianowicie wspomniał o świętach, których Egipcyanie po-nicejscy pewno nie kładli na dnie równonocne z czasów Hipparcha. Przez to Dyonizy zatarłby zupełnie pierwotną myśl Egipcyan, gdyby nie zostawił drugiej części przytoczonego ustępu, z której właśnie wynika, że za Egipcyanami powtórzył, przy opisie równonocni wiosennej, wzmiankę o śmierci Chrystusowej.

Druga część nosi na sobie jeszcze niezatarte piętno egipskie i wogóle wschodnie, bo do dzisiaj tamtejsi pisarze arabscy, przy wywodach chronologicznych, używają długiej liczby tysięcy dni, kiedy mają wyrazić miesiące i lata. Otóż Dyonizy powtarza za Egipcyanami ich dowód, używany, aby pokazać, w których dniach tygodnia Anioł zwiastował tajemnicę Wcielenia i następnie Chrystus się narodził. Dowód polega na tem, że od Zwiastowania do Narodzenia Chrystusowego upłynęło dwa dni prócz liczby tygodni całych, następnie od Narodzenia Chrystusa Pana do Jego śmierci upłynęło trzy dni prócz liczby tygodni całych: więc od piątku, dnia śmierci Pańskiej, trzeba zawrócić wtył o trzy dni, aby znaleźć dzień Jego Narodzenia, mianowicie wtorek 25-go grudnia, a od tego wtorku znowu o dwa dni, aby znaleźć Zwiastowanie 25-go marca.

Tę myśl znajdujemy wyrażoną liczbami podanemi wyżej: od 25-go marca do 25-go grudnia upływa, — jak łatwo każdy sprawdzi, — dni 275, (bez 5-ciu dni 40 tygodni całych) albo 39 tygodni i dwa dni. Następnie od 25-go grudnia do 23-go marca

w roku zwykłym liczymy 3 miesiące bez 2-ch dni, czyli dni 88[1], a 33 lata (pomiędzy któremi przestępnych 8) dają 12053 dni[2], więc 33 lat i 3 miesiące bez 2-ch dni tworzą liczbę (12053+88=) 12141 dni, czyli 1734 tygodni całych i nadto 3 dni. Na tych liczbach oparty Dyonizy, za Egipcyanami wywodzi, że Chrystus Pan, zwiastowany w niedzielę, w kilkadziesiąt tygodni całych później i nadto po dwóch dniach urodzony we wtorek, w setki tygodni całych później i nadto po trzech dniach umarł w piątek.

Z naciskiem trzeba podkreślić tutaj liczby, że od Narodzenia Chrystusa we wtorek 25-go grudnia do Jego śmierci w piątek 23-go marca podał Dyonizy z Egipcyanami dokładnie 33 lata i 3 miesiące bez dwóch dni, a z tego ściśle wyliczył 3 dni ponad liczbę całych tygodni. A nie dostałby dni t r z e c h, prócz tygodni, gdyby podał śmierć Chrystusową nie 23-go marca, tylko o dwa dni później: 25-go marca; w takim razie liczyłby Chrystusowi Panu lat 33 i 3 całe miesiące, więc p i ę ć dni ponad liczbę tygodni, stąd znalazłby Narodzenie Chrystusa w pięć dni przed piątkiem w niedzielę, a Zwiastowanie we dwa dni przed niedzielą w piątek.

Chociażby nawet kto przypuścił, że w ciągu wieku Chrystusowego zaszło 9 lat przestępnych, a nie 8, jak podają powyższe liczby, jeszczeby nie doszedł do wniosku zgodnego z Dyonizym, bo do tego wniosku nie można dojść z innych liczb, prócz wypisanych powyżej szczegółowo. Słowem, Dyonizy dwojako wskazuje na 23-ci marca, jako na dzień śmierci Chrystusowej: raz, kiedy nazywa ten dzień równonocnym, drugi raz, kiedy wylicza tygodnie i nadto pięć dni między niedzielą Zwiastowania a piątkiem Śmierci, bo przez to podaje 33 lata i 3 miesiące b e z d w ó c h d n i.

W tem wszystkiem Dyonizy wyznaje, że powtarza, co znalazł u Egipcyan: im też przypisuje wzór, według którego liczy lata od Chrystusa do swojego roku 525-go. W tym wzorze leży teraz cała trudność, bo jeżeli według niego Dyonizy wyliczył

[1] 6 w grudniu + 31 w styczniu + 28 w lutym + 23 w marcu.

[2] 8 razy 366 dni, 25 razy 365 dni, czyli tworzą liczbę $365 \times 33 + 8 = 12045 + 8 = 12053$.

inne lata, niż Egipcyanie, tedy oczywiście korzystał ze wzoru błędnie przepisanego.

Wzór ten przychodzi najwyraźniejszemi słowami opisany u Dyonizego zaraz po samej tablicy świąt ruchomych w dodatku, który zawiera tak zwane a r g u m e n t a czyli wykład pojedynczych nagłówków tej tablicy.

W tym dodatku nie zagłębiają się nowsi chronolodzy, więc nie spostrzegają tego wzoru i nie znajdują u Dyonizego odpowiedzi na swoje pytanie, skąd pochodzi nasza era? w jakich źródłach Dyonizy czerpał i na jakiej podstawie, na jakich rocznikach i pomnikach dziejopisarskich oparł swoją chronologię i w jaki sposób odkrył swoje lata od Chrystusa Pana?

Na pytanie tak postawione, Dyonizy nie odpowiada wcale, wyraźnie oczekiwał innego pytania, na pozór może podobnego, ale w istocie różnego całkowicie, bo nie przypuszczał, aby ktoś w nim upatrywał wynalazcę jakiejś ery nowej. Wystąpił jako sprawozdawca wobec łacinników ze zasad, ustalonych między Grekami co do Wielkanocy przedewszystkiem, a także co do lat ery chrześcijańskiej: więc nie mógł oczekiwać pytania o źródła, w którychby odkrył nową prawdę, tylko był gotów zdać sprawę, w jaki sposób Aleksandryjczycy obliczają lata ery ustalonej i znanej. I z tego ich sposobu istotnie zdaje sprawę czarno na białem w miejscu wspomnianem:

„Argument pierwszy: o latach Chrystusowych.

„Jeżeli wiedzieć chcesz, który obecnie liczymy rok od Wcielenia Pana naszego Jezusa Chrystusa, policz 15 razy liczbę 34“, — która wyraża, ile dotąd upłynęło całych piętnastoleci po Chrystusie Panu, — „będzie 510; do tego iloczynu“, — zmiennego z biegiem wieków, — „dodawaj zawsze 12 lat stałych *(xii regulares)*, będzie 522; dodaj także indykcyę roku, dla którego chcesz liczbę znaleźć, więc np. 3-cią obecnie za konsula Probusa Młodszego: będzie razem lat 525. Tyle lat liczymy obecnie od Wcielenia Pańskiego“.

Do tych słów Dyonizy nie dodaje żadnych uwag ani nie wyjaśnia nic więcej, tylko podaje przyczynę, dlaczego wspomina o latach Chrystusowych.

W układzie swojej tablicy świąt ruchomych Dyonizy szedł krok w krok za aleksandryjskim patryarchą, św. Cyrylem, i wypełniał liczbami każdy nagłówek tablicy według wzorów swojego poprzednika. Oczywiście trzeba było jakiemiś liczbami porządkowemi pooznaczać lata, na które tablica wypisywała niedziele wielkanocne. Więc św. Cyryl pooznaczał lata sposobem, używanym w Aleksandryi. Tam panował naprzód państwowy zwyczaj ogólno-rzymski, przyjęty już za Konstantyna W-go, żeby oznaczać lata porządkową liczbą indykcyi. Nadto Egipt używał ery, wprowadzonej od Dyoklecyana i nazywanej albo imieniem tego cesarza albo erą męczenników. Dyonizy w nagłówku: *Indykcye,* nie znalazł powodu do żadnej zmiany, bo ówczesny czytelnik jego dzieła wiedział w państwie rzymskiem, którą indykcyę co roku liczą urzędy. Ale w nagłówku: *Lata Dyoklecyana,* Dyonizy nie uważał za stosowne iść ślepo za poprzednikiem, bo patryarcha aleksandryjski mógł w Aleksandryi zrozumiale określać rok każdy liczbą lat od Dyoklecyana, przyjętą w Egipcie, Dyonizy jednak nigdzie między łacinnikami nie słyszał lat liczonych według ery męczenników, chociaż znał Zachód dostatecznie, bo w Rzymie zamieszkały, syn słowiańskiej ziemi, widział w podróżach dużo zwyczajów i ludów:[1] nie widział zatem potrzeby oznaczać dla łacinników lat liczbami ery Dyoklecyana, nadto nie uznawał, jak sam dodaje, żeby wypadało w księgach obrzędowych uwieczniać pamięć okrutnego prześladowcy. Więc ani nie chciał wpisywać lat Dyoklecyana do tablicy swojej, ani z drugiej strony nie chciał opuścić nawet nagłówka w tablicy poprzednika; zatem w tym względzie jedynym i bardzo pobocznym, odstąpił od św. Cyryla o tyle, że umyślił w tym nagłówku umieścić lata określone liczbami stosowniejszemi i zrozumialszemi na Zachodzie. Wpadł na myśl bardzo prostą, żeby wstawić lata od Wcielenia Pańskiego. Do

[1] Cassiodor, *Divin. lect.* c. XXIII: „Dionysius monachus, Scytha natione, sed moribus omnino Romanus, in utraque lingua valde doctissimus etc. Fuit in illo cum sapientia magna simplicitas, cum doctrina humilitas, cum facundia loquendi parcitas". Dyonizy z Kasiodorem razem słuchali filozofii. Migne, *P. L.* LXVII, 9.

pracy tedy wykończonej w istocie i gotowej do użytku właściwego, Dyonizy dodał, na wzór poprzednika, argument z lat Chrystusowych. Przypadkowy zamiar, w jakim Dyonizy obliczył te lata, nie wymagał od niego mozolnej pracy nad pomnikami chronologii; wystarczało Dyonizemu zajrzeć do biblioteki i z pierwszego lepszego rękopisu odpisać wzór, według którego Aleksandryjczycy wyliczali z lat indykcyi rok od Wcielenia Pańskiego. To też Dyonizy tylko ogólnie nadmienia: „dodaliśmy także argumenta, wynalezione przez rzeczoznawców egipskich, aby każdy znalazł nagłówki tablicy wielkanocnej, jeżeli ich nie zna". Najwyraźniej temi słowami sam Dyonizy przypuszcza, że nie każdy czytelnik znajdzie w tych argumentach liczby nieznane; ale, jeżeli kto ich nie zna, znajdzie je dla siebie po łacinie wyrażone według rzeczoznawców greckich. W tej myśli, jako sprawozdawca z cudzych wynalazków, Dyonizy daje wzór, że liczba lat od Chrystusa Pana równa się iloczynowi z piętnastu przez ilość indykcyi już skończonych, zwiększonemu naprzód przez stałą liczbę 12, a potem przez porządkową liczbę roku indykcyi zaczętej: więc w roku konsulatu Proba, w którym pisał Dyonizy, każdy znał i ilość indykcyi skończonych, czyli 34, i rok indykcyi zaczętej, czyli 3-ci, mógł tedy według owego wzoru obliczyć rok Chrystusowy.

Na tym wzorze Dyonizy zaczął i skończył całą swoją pracę chronologiczną, z której następnie zasłynął, jako twórca nowej ery. Jednak, chociażby Dyonizy nawet nie przestrzegał wyraźnemi słowami, że załącza te wzory jako wskazówki wogóle znane, w każdym razie sam sposób, w jaki Dyonizy podaje ten wzór, nie wygląda na wynalazek chronologiczny. Dyonizy takim sposobem mógł wyrazić myśl swoją, kiedy wiedział, że zdaje sprawę ze szczegółu, o którym mogliby wiedzieć wszyscy, bynajmniej zaś wtedy, gdyby mniemał, że występuje z nową erą, której nikt przed nim nie zbadał.

Skoro tedy Dyonizy z tego wzoru wyprowadził swoją erę, w której rok 0 wyprzedza o ośm lat jej epokę, zatem w tym wzorze tkwi jakiś błąd o ósemkę. Otóż pisma Aleksandryjczyków, dochowane do naszych czasów, pozwalają odtworzyć wzór

aleksandryjski w jego pierwotnej postaci, w której rok 0 przypada na samą epokę, czyli 25-y dzień marca, kiedy Anioł zwiastował Wcielenie Pańskie.

Przytoczone już, przy rozprawie o indykcyi, ustępy Aleksandryjczyków świadczą, że:

po 1-e) Dyonizy zgodnie z Egipcyanami liczył 3-ci rok zaczętej indykcyi, kiedy pisał za konsulatu Proba; tę część wzoru znalazł u rzeczoznawców;

po 2 e) Dyonizy zgodnie z Egipcyanami liczył 34 indykcyi całych między konsulatem Proba a rokiem Wcielenia Pańskiego; tę część wzoru tak znalazł, jak podał i słusznie wnosił, że $34 \times 15 + 3 = 513$;

po 3-e) Dyonizy zgodnie z Egipcyanami widzi jeszcze liczbę 12 lat, ale gdzieindziej ją widzi, niż Egipcyanie pokazują.

Egipcyanie wyraźnemi słowami świadczą, że zaczynają liczyć indykcye od drugiego roku Augusta a 712-go Rzymu[1]. Na razie nic na tem nie zależy, czy istotnie już August zaprowadził indykcye, czy ktobądź z późniejszych rządców państwa; w tym drugim wypadku Egipcyanie liczyliby od swoich czasów wtył i znaleźliby, że jeżeli za Proba wypadał trzeci rok któregoś piętnastolecia, tedy przed tylu a tylu latami na drugi rok Augusta wypadał rok pierwszy któregoś z poprzednich piętnastoleci; czy tedy Egipcyanie błądzili czy nie błądzili co do początku indykcyi od 2-go roku Augusta, zawsze zostanie prawdą, że według wskazówek egipskich Dyonizy liczył indykcye, a Egipcyanie podają:

w roku	2-im	Augusta	a	712-ym	Rzymu	rok		I-y	indykcyi	1-ej
„ „	32-im	„	„	742-im	„	„		„	„	3-ej
„ „	43-im	„	„	753-im	„	„		XII-y	„	„
„ „	16-ym	Tyberyusza	„	783-im	„	„		XII-y	„	5-ej
„ „	19-ym	„	„	786-ym	„	„		XV-y	„	„

[1] Μάξιμος (Migne, *P. G.* XIX, 1249): „Γέγονε δὲ κατὰ τοὺς ἱστοριογραφοῦντας ἀπὸ Αὐγούστου Καίσαρος τῷ δευτέρῳ ἔτει τῆς βασιλείας αὐτοῦ". Χρόνικον (Migne, *P. G.* CXII, 459) przy 712-ym roku Rzymu pisze: Ἀρχὴ ἰνδικτιώνων.. „καὶ αἱ ἴνδικτοι δὲ χρηματίζειν ἤρξαντο ἀπο πρώτης καὶ αὐτοῦ Γορπιαίου μηνός"; (Migne, CXII, 1054) wspomina, że roku 15-go indykcyi Pan zmartwychwstał 25-go marca. Κέδρενος (Migne, *P. G.* CXXI, 623): „Τούτου τῷ δευτέρῳ ἔτει αἱ ἴνδικτοι ἐπενοήθησαν".

W roku 753-im Rzymu i Aleksandryjczycy i Dyonizy liczą rok 1-y wieku Chrystusa Pana, urodzonego 25-go grudnia w kilka dni przed początkiem roku 753-go według naszych pojęć, skoro zaczynamy rok 1-go stycznia.

W roku tym Aleksandryjczycy mają liczbę 12-go roku indykcyi 3-ej: to znaczy, że, według nich, przed Chrystusem upłynęło 11 łat od początku rzeczonej indykcyi 3-ej; w roku 12-ym od jej początku a 4-ym przed jej końcem Chrystus liczył 1-y rok wieku swojego; po tym roku upłynęło jeszcze trzy lata do końca tejże indykcyi 3-ej.

Na widok tych liczb niejeden umysł musi trochę natężyć uwagę, aby niczego nie pomieszać. W biegu wieków niepodobna przypuszczać, aby z natężoną uwagą każdy pisarz kreślił znaki tych liczb: otóż u Dyonizego wyszły dwie z tych liczb przestawione, czwórka z dwunastką, czyli jak wówczas pisano te znaki: *iiii* stoi zamiast *xii*.

Między Chrystusem a konsulatem Proba i Aleksandryjczycy i Dyonizy liczą lat $15 \times 34 + 3 = 513$;

dalej Aleksandryjczycy widzą przy roku 1-ym Chrystusa rok *iiii*-y przed końcem indykcyi zaczętej a *xii*-y od jej początku: więc dodają do lat 513-u owych lat *iiii* ostatnich, które, według nich, upłynęły od roku 1-go Chrystusa włącznie do końca indykcyi, mają tedy za konsulatu Proba $4 + 513 = 517$-ty rok od Chrystusa Pana;

otóż tu Dyonizy przy roku 1-ym Chrystusa wyczytał rok *xii*-y przed końcem indykcyi zaczętej a *iiii*-y od jej początku: więc dodał do lat 513-u owych łat *xii*, zamiast *iiii*-ech, które według jego rzeczoznawców upłynęły od roku 1-go Chrystusa włącznie do końca indykcyi, otrzymał tedy za konsulatu Proba $12 + 513 = 525$-ty rok od Chrystusa Pana.

Niezbyt dalekie powinowactwo ówczesnych znaków pisemnych *iiii* i *xii* łatwo narażało na pomyłkę nieuważnego pisarza.

Tym sposobem Dyonizy w dokładnym opisie słowami określił epokę swojej ery na rok 517-y przed konsulatem Probusa, ale we wzorze dodał nie czwórkę tylko dwunastkę do lat 513-u

i otrzymał rok 0 w lat 525 przed konsulatem Probusa, więc w 8 lat przed epoką.

I na tejto drodze doszedł Dyonizy ze wzoru źle przepisanego do swojego roku 525-go od Chrystusa, zamiast wyliczyć rok dopiero 517-y, zgodnie z Egipcyanami; innych źródeł nie wymienił, prócz owego wniosku z lat indykcyi.

Mógłby wprawdzie Dyonizy nawet ze samych lat indykcyi dojść do prawdziwej liczby lat od Chrystusa, gdyby posiadał jakiebądź wskazówki, aby zauważyć, że w swoim wzorze wyczytuje poprzestawiane znaki *iiii* i *xii*, ale znikąd takiej pomocy znaleźć nie mógł. Astronomii nie znał na tyle, aby spostrzedz, że tylko 483 lat ubiega między jego rokiem 525-ym a rokiem oznaczonym przez zbieg piątku i pełni z równonocnią, czyli rokiem przez niego samego opisanym jako 34-y rok Chrystusa. W świetle tej wskazówki astronomicznej wyliczyłby, że w 483 lata po roku 34-ym upływa rok dopiero 517-y. Również nie mógł znaleźć pomocy w dawniejszych erach, które w paręset lat wcześniej mogły jeszcze wskazać najoczywistszą drogę Aleksandryjczykom. Póki pomniki i dziejopisowie przypominali liczbę lat od założenia Rzymu, — chociażby niepewną co do lat początkowych, — póty łatwo było sprowadzić lata Rzymu na lata Chrystusowe, bo chrześcijańskie źródła starożytne podawały, i do dziś w martyrologium rzymskiem podają, że w 752-im roku Rzymu Chrystus przyszedł na świat. Ale już za czasów cesarzów ostatnich pisma urzędowe przyjęły indykcyę zamiast ery od założenia Rzymu, więc Dyonizy nie mógł wiedzieć, że w jego roku 525-ym upływał dopiero rok $517 + 752 = 1269$-y Rzymu według Varrona, więc nie mógł sprowadzić lat Rzymu na lata ery chrześcijańskiej.

Również po upadku igrzysk olimpijskich Grecy w końcu IV-go stulecia przestali liczyć lata według Olimpiad: więc Dyonizy nie miał już w roku Olimpiad wskazówki dla ery chrześcijańskiej. Przeciwnie Aleksandryjczycy w ciągu IV-go stulecia co roku liczbę lat Olimpiady znali z pism urzędowych, a przechowywali pamięć, że Chrystus przyszedł na świat w roku 3-im, Olimpiady 194-ej, — czyli krócej: w roku 194,3—: więc mogli

co roku obliczyć liczbę lat od Chrystusa. Tak Euzebios[1] podaje świadectwo Flegonta, który zawodowo obliczył lata Olimpiad i donosi, że w roku 4-m Olimpiady 202-ej (= 202,4), kiedy księżyc w pełni nie może słońca pokryć, wypadło wielkie i osobliwe między wszystkiemi poprzedniemi zaćmienie słońca: dzień jasny w południe tak zmienił się w czarną noc, że widać było gwiazdy na niebie, a trzęsienie ziemi zburzyło wiele miast. O tem świadectwie Flegonta wspomina także Afrykanos[2] i świadczy przytem, że w roku 31-m wieku Chrystusowego a XVI-ym Tyberyusza, w ciągu roku 783-go Rzymu upływał rok olimpijski 202,2, stąd rok olimpijski 202,4 odpowiadał miesiącom letnim, jesiennym i zimowym roku 33-go Chrystusa, 18-go Tyberyusza, 785-go Rzymu i trwał przez miesiące wiosenne roku 34-go Chrystusa, 19-go Tyberyusza, 786-go Rzymu aż do pory igrzysk, a od tej pory nastał rok 203,1. Z tych świadectw Flegonta z Afrykanosem i Eusebiosem wynika, że Chrystus przyszedł na świat w 34 lata przed rokiem 203,1, czyli o ośm Olimpiad całych i dwa lata wcześniej, więc w roku 194,3. I tę liczbę lat olimpijskich przy Narodzeniu Pana znali jeszcze i Dyonizy i Beda, ale już nie mogli z niej korzystać, aby obliczyć rok ery chrześcijańskiej, kiedy nie znali już liczby lat olimpijskich na swoje stulecia.

Słowem wobec rozstroju chronologii nie można było korzystać z lat Rzymu ani z Olimpiad: Dyonizy mógł oprzeć swoją liczbę na jedynym wzorze arytmetycznym, do którego mógł znaleźć dane w urzędowej liczbie indykcyi; użył w tym wzorze czwórki zamiast dwunastki i przekazał nam staro-chrześcijańską erę z pomyłką ośmiu lat.

Zwrócić tu uwagę trzeba, że Kasiodor[3] korzystał także z rękopisu, który przestawiał znaki *iiii* i *xii*, bo tak samo jak Dyonizy powtarza wszystkie wskazówki Egipcyan dokładnie, a tylko przez te dwa znaki poprzestawiane wpada w przeci-

---

[1] Migne, *P. G.* XIX, 535.
[2] Migne, *P. G.* X, 89.
[3] Migne, *P. L.* LXIX, 1249.

wieństwo z Egipcyanami i własnemi słowami, któremi także wyznaje, że nie ogłasza nowej ery, tylko powtarza wzory wynalezione przez Egipcyan. A nie lekkomyślny to człowiek, ów Kasiodor, senator i konsul, który więcej czasu, niż Dyonizy, poświęcił chronblogii, jako zawodowy rocznikarz, posiadał zaś i wpływów i środków dosyć, aby sprowadzać wierzytelne rękopisy z Egiptu. Pomimo wszystkiego, obaj jednakowo wzięli od Egipcyan erę, o ośm lat dłuższą, niż Egipcyanie dawali. Chociaż tedy zawierzyli rękopisowi, który ich zawiódł, jeszcze przez to nie podpisali sobie świadectwa niedołęstwa umysłowego albo ciemnoty. Zarzut ten nie spotkał Kasiodora; ten świecki mąż stanu nie zawadza nikomu. Ale mnich katolicki w kilkanaście wieków po śmierci może jeszcze słuchać szyderstwa z pomyłki, popełnionej w liczbach, wciągniętych do pracy swojej z zamiarem wcale podrzędnym. Wszak postąpił, jak każdy pisarz dobry obrabia swój przedmiot: źródłową pracę wykonał źródłowo i sprawdzał każdą liczbę samodzielnie; z drugiej ręki, i to od rzeczoznawców, spokojnie brał to wszystko, przez co zamyślał tylko uzupełnić albo udoskonalić swoje tablice. Mimo to słyszy od Lewina[1] wyrok, że „jako mnich, kwitnący w wiekach ciemnoty, nie dziw, że mógł błędnie rozwiązać zagadkę zawiłą i trudną". Dyonizemu przez myśl nie przeszło badać chronologiczne zagadki i rozwiązywać je jako twórca nowej ery.

Jak Dyonizy sam, tak jego czytelnicy przez całe wieki poczytywali jego tablice świąt ruchomych za szczęśliwą pracę, pożytecznie używaną w zakresie potrzeb obrzędowych, a nikt nie poczytywał za dzieło chronologiczne spisu lat od Chrystusa Pana, wstawionych zamiast ery Dyoklecyana. Zachodni pisarze, mniej przekonani o powadze Aleksandryjczyków, niż ją cenił Dyonizy, mało uwagi zwracali na lata Chrystusowe, obliczone u Dyonizego podług Egipcyan: każdy liczył lata według którejś z er zachodnich, którą znał w swoim kraju. Więc biskup

[1] *Fasti sacri* by Th. Lewin. London 1869, str. IX: „a monk.. as he florished in the dark ages, it is no surprising, that he should have failed in solving satisfactorily a perplexed and difficult problem".

z Saragossy, Maksym, wezwany do pracy chronologicznej przez krajowy sobór hiszpański, nie pomyślał o tablicy świąt ruchomych Dyonizego, aby z niej czerpać zasady egipskie, tylko ciągnął dalej roczniki Dextra i układał wypadki według ery, przyjętej w jego ojczyźnie od czasów Juliusza Cezara i dla tego zwanej cesarską[1]; w ślady Maksyma poszedł jego następca, dyakon Eutrond[2]. Ani nawet Kasiodor, choć blizko zetknięty z Dyonizym, nie pomyślał o jego erze i w rocznikach swoich[3] znowu swoim sposobem liczy lata, których naliczył znacznie więcej niż Dyonizy. Również św. Izydor[4] w swoich rocznikach liczy lata albo od Adama, albo według innej jeszcze ery, zwanej hiszpańską, a za przewodnika swojego uważa tylko Eusebiosa w przekładzie św. Hieronima, — o Dyonizym i powadze chronologicznej jego tablicy wielkanocnej nie wspomina ani słowem.

Sam widok lat, wyliczonych rzekomo od Wcielenia Pańskiego, w wielkanocnej tablicy nie zdobywał jeszcze dla jej twórcy powagi chronologa. Także Eusebios w księgach roczników porządkował wypadki przed dobą chrześcijańską pod latami Abrahama, Olimpiad i Rzymu, a w dobie chrześcijańskiej zastąpił lata Abrahamowe latami Chrystusowemi, — i tych naliczył trochę więcej niż Dyonizy. Mimo tego porządku, zaprowadzonego już z myślą chronologiczną, mimo powagi św. Hieronima, który usiłował rozpowszechnić na Zachodzie roczniki Eusebiosa, przecie Zachód tego spisu lat nie uznał za erę poważną i tylko Martyrologium Rzymskie pożyczyło od Eusebiosa i Hieronima chronologiczny ustęp, umieszczony pod 25-m dniem marca.

Miałby tedy Zachód podostatkiem er różnych, gdyby chciał wybierać, ale żadnej nie przypisywał wagi równie zasadniczej, jak ta, której zażywała era aleksandryjska na Wschodzie, obliczona przez znawców z zawodu. Dopiero bieg wieków przyzwyczaił społeczeństwo chrześcijańskie do lat dyonizyańskich, i to w sposób bardzo zrozumiały. Ogół nie zagląda tak często

[1] Migne, *P. L.* LXXX, 618.
[2] Tamże 633.
[3] Migne, *P. L.* LXIX.
[4] Migne, *P. L.* LXXXIII, 1018.

do ksiąg naukowych i pomników dziejopisarstwa, jak do kalendarza i tablicy świąt, więc zawsze miał przed oczyma lata dyonizyańskie i przywykł do nich, aż zwyczaj nakoniec utarł pojęcie o chronologicznej pracy Dyonizego i przypisał jego zapisce kalendarskiej powagę naukowego pomnika.

Głównie przyłożył ręku W. Beda do tego zwyczaju i mozolnie pracował nad dziełem Dyonizego, aby dać je poznać i ocenić swoim rodakom. Jeden z nich, św. Bonifacy, przewodniczył na soborze w Soissons, który podpisał swoje akta, dając datę dyonizyańską. W świeckiej dyplomatyce spotykamy ją dopiero w podpisach Ludwika III-go i Karola III-go w dacie dokumentów, a przedtem na pewno dopiero u Ludwika Pobożnego (*form. Imp.* 37). W papieskich bullach przed Leonem IX-ym w wieku XI-ym prawie nikt nie używa tej ery, bo tylko Jan XIII-y w latach 968—970 [1]. Następni papieże wspominają o niej od czasu do czasu, ale tak, jak gdyby sami nie chcieli na nią przystać: np. Urban II-i pisze: *data Laterani vii cal. Apr. anno ab Inc. D. secundum Dyonisium 1098, secundum vero certiorem Evangelii probationem 1121, ind. vi, ep. xv.*

Uderza tu, dla czego niektórzy pisarze ówcześni w rocznikach swoich odróżniają tak samo, jak Urban II-gi, erę ewangeliczną od dyonizyańskiej, np. Maryan Scot, Sigebert Gemblacensis i Gerwazy z Canterbury liczą erę ewangeliczną dłuższą o 22 lata od dyonizyańskiej. Mianowicie w roku 12-ym ery naszej 14-y dzień od nowiu wypadł [2] 24-go marca we czwartek, więc pisarze, jeszcze nie odzwyczajeni od cesarskiej równonocni 25-go marca, a pamiętni, że głos starożytny wskazywał Mękę Pańską w piątek w dzień pełni i zarazem równonocny, znaleźli do tych wskazówek stosowny rok 12-y dyonizyański, a liczyli Chrystusowi Panu 34 lata przy śmierci, więc uważali, że według ewangelii era chrześcijańska wypada o 22 lata dłuższa od dyonizyańskiej. Ten ich wniosek świadczy, że jeszcze Zachód w śre-

[1] Jossé 3728, 3841. Pr. Bresslau: *Urkundenlehre,* p. 839, 840.

[2] Według Kalendogr. tabl. prof. Karlińskiego przy b=12=c, p=24, $r\left(\frac{24+1+0}{7}\right) = r\left(\frac{25}{7}\right) = 4.$

dnich wiekach przechowywał pamięć o starożytnym opisie dnia Męki Pańskiej, ale wniosek ten tyle niedorzecznych następstw za sobą pociąga a spotyka tyle przeciw sobie napiętrzonych zarzutów, że można krótko powtórzyć surowy sąd Dyonizego Pétau[1]: do kapuścianej chyba głowy, a nie do ludzkiej, przemówić mogą podobne dowody.

Pierwszą bullę, własnoręcznie podpisaną przez papieża z datą jedynie Dyonizyańską, znajdujemy dopiero za Eugeniusza IV-go: *data Romae apud S-m Petrum anno Inc. Dom. 1431.* Ale to za późno już, żeby stąd wnosić, że papieże co bądź przez to orzekli o powadze tej ery. Za wiele już przed XV stuleciem toczono sporów w tej sprawie, aby nie widzieć, że Eugeniusz IV-y mógł tak użyć tej daty, jak ją dzisiaj piszemy ze zwyczaju utartego bez względu na jej podstawę. Co za czasów Bedy zarzucano, że u Dyonizego nie można znaleźć dnia Męki Pańskiej, to samo sprawiło, że XI stulecie wynalazło erę ewangeliczną, ale dopiero XIII stulecie rozogniło spór na dobre.

Ks. K. Czaykowski.

---

[1] Migne, *P. G.* XLII, 911, 946: „fungum non hominem oportet esse, cui ista persuadeant".

„WESELE“ WYSPIAŃSKIEGO.

Czy może dziś jeszcze powstać natchniona pieśń narodowa, donośne echo wielkiej naszej poezyi, pieśń taka, jak ją określił Ujejski:

> Pieśń polska, niepodległa, ta co jeno wierzy
> w Boga, w ducha narodu i w jego rycerzy.

Zdawałoby się, że nie. Bóg przyćmił się w wielu umysłach, rycerstwa niema — a duch narodu?

Czy nie rozpłynęły się już dawno ostatnie dźwięki „złotego rogu“, i czy duch ten nie stał się podobnym do obumarłego krzewu wśród martwoty zimy, krzewu, że użyjemy symbolu poety, skrępowanego słomianem powrósłem „chochoła“.

A jednak wbrew wszelkiej oczywistości otaczających zdarzeń, mimo takiej beznadziejności położenia, iż i w najpoufniejszych rozmowach tej sprawy już nie dotykano, mimo płynącej z tych zewnętrznych warunków wewnętrznej obojętności, mimo to wszystko, raczej poprzez te wszystkie nieprzeliczone, nieprzebite, pokłady trudności, pieśń taka przedarła się. Choć zdawało się, że wszystkie już struny zerwane, na których grali nasi narodowi twórcy, widocznie została jeszcze jedna, i ta z gęśli w kąt niepamięci rzuconej, okurzona pyłem, zapomniana, nie przeczuwana nawet, obecnie szczęśliwym potrącona przypadkiem, wydała dźwięk donośny, głęboki, a smutny i gorzkim brzmiący wyrzutem. W zapomnieniu miała czasu dużo, by smutkiem dni dzisiejszych nabrzmieć i oboleć i tyle nabrać siły, że

i pęta martwoty na chwilę rozrywa, i, choć opiewa utratę złotego rogu, sama w sobie dźwięk tego rogu niesie.

Pieśń ta, w takich warunkach zjawiająca się, zdawałaby się przemawiać za jednym, bardzo pocieszającym faktem, tym mianowicie, że na dnie słabej polskiej natury i wszystkich naszych połowiczności, istnieje jednak jeszcze wielka siła odporna. Przeczuwa tę siłę Ujejski, gdy pisze, że pieśni tej nie zabrali do grobu wieszcze, że ona

> Zawsze komuś w narodzie rozpłomieni usta
> Rozkazując: Idź, mów, głoś!

Jeżeli dodamy, że pieśń ta, poemat dramatyczny Wyspiańskiego, „Wesele“, nietylko pod względem społecznym, ale i literackim jest niezwykłem zjawiskiem, stanie się jasnem, że znaczenie jej w obecnej chwili jest sprawą literacką pierwszego rzędu.

I.

Typ literacki, zbliżony do Wyspiańskiego spotkać się tylko daje na przełomie dwu epok, kiedy dotychczasowe kształty już się przeżyły, a nowe nie wyłoniły się jeszcze. Temperament ognisty, niespokojny, niezrównoważony, obdarzony zazwyczaj przebujną wyobraźnią, którego istotę stanowi nieuskromiona dążność do szukania i stwarzania nowych form, czy literackich widnokręgów.

Współczesna rewolucya, czy anarchia literacka na Zachodzie nie pozostała i u nas bez skutku, zaroiło się i u nas od przeróżnych kierunków, prób, nowych form, często wzorowanych na przykładach zachodnich, niekiedy jednak zupełnie oryginalnych. W tym wirze literackich wysiłków, często schodzących się i do siebie podobnych, twórczość i indywidualność Wyspiańskiego, jeżeli nie we wszystkiem, to przynajmniej w głównej swej istocie, stoi zupełnie odrębna. Nie obchodzi go ani cyzelatura słowa, ani realistyczna faktura, ani nastroje, ani psychologiczne wnikanie w nieznane tajniki duszy; z tych i z innych odcieni niektóre, w większej lub mniejszej mierze, uwzględnia, ale żadnego nie jest niewolnikiem. Tych zależności lub

przynajmniej pokrewieństw, możnaby wskazać w utworach Wyspiańskiego wcale pokaźną liczbę; z nowszych odczuwa się w nim Maeterlincka, Hauptmanna, Wagnera, z dawniejszych Mickiewicza i Słowackiego, a z jeszcze dawniejszych Dantego i Sofoklesa. Ale już ta ilość i taka różnorodność pokrewieństw wyraźnie poucza, że nie można mówić o poddaniu się poety jednemu kierunkowi, co więcej, każe przypuścić, że zależności te są czemś chwilowem, że jest to pierwsze stadyum rozwojowe jego twórczości, w którem zazwyczaj różne wpływy dopóty krzyżują się, dopóki nie skrystalizują się w jednę zwartą organizacyę artystyczną.

To stadyum rozwojowe sprawia, że charakterystyka Wyspiańskiego, jako poety, nie da się jeszcze stanowczemi liniami nakreślić. Jeszcze jest w tej fizyognomii zagadka, którą tak, albo inaczej rozwiązać można. Tak, naprzykład, aż po ostatnie dzieło, mogłoby się komuś zdawać, że zewnętrznem znamieniem talentu Wyspiańskiego, nadającem odrębny charakter wewnętrznym uzdolnieniom, będzie jeden z odcieni francuskiego modernizmu, archaiczność. W dramat usiłuje wprowadzić pewne pierwiastki z dramatu greckiego, pewne z dawnego romantyzmu; co do treści, częściowo przebywa w świecie greckim, głównie w naszej przeszłości. Ta archaiczność przejawia się nadto w używaniu form gramatycznych z epok poprzednich, w tworzeniu nowych słów na starą modłę, w tonie archaicznym rozlanym po wszystkich utworach, nawet w wyglądzie okładki utworów, papieru i doborze czcionek tytułowych. — Ale ostatni dramat, odnoszący się do doby obecnej, to przypuszczenie ogranicza; odsłania natomiast inną głębszą artystyczną wartość — duszę spragnioną prawdziwego ideału. Dzisiejsza płaska rzeczywistość wypędzała go ku przeszłości, ale jak tylko znalazł wyraz odpowiedni na ideał dzisiejszy, rzetelną wartość mający, zaraz się ku niemu zwrócił.

To, co najbardziej zdaje się istotę Wyspiańskiego, jako poety, stanowić, i co go najbardziej od innych współczesnych wyodrębnia, to byłby romantyzm, ale romantyzm w jakiemś nowem zaraniu. W głównych rysach podobny jest Wy-

spiański do dawnych romantyków: żywiołowa wyobraźnia i potężna uczuciowość, ten sam polot duszy do ideałów, zamiłowanie do nadzwyczajnych charakterów i wypadków, do świata duchów i widziadeł, potrzeba szerokich przestrzeni i wielkich dekoracyj. Ale na tem samem polu szuka nowych odcieni, nowych form, nowych syntez. I na tem polu stoi Wyspiański dziś sam. Dokoła widzimy wiele pozorów romantyzmu, ale duszę szczerze romantyczną tylko w nim jednym.

Dążność taka, przeczuwająca dopiero nowe formy i gorączkowo ich szukająca, pociąga z natury rzeczy pewne następstwa. W tym względzie może być dobrą ilustracyą zestawienie Wyspiańskiego z poprzednikiem jakiejś romantyki. Otóż pewien rys drobny, mianowicie skłonność poety do niezwykłości czysto zewnętrznej, co do papieru, okładki, czcionek tytułowych swoich utworów, przejawiająca się nawet w takiej drobnostce, jak zaczynanie zdań od małych liter, nasuwała nam często na myśl jakieś podobieństwo Wyspiańskiego z poprzednikiem francuskiego romantyzmu, Karolem Nodier'em, nie co do stopnia talentu, bo Wyspiański stoi nieporównanie wyżej, ale co do rodzaju. Dążność do niezwykłości zewnętrznej była także właściwa Nodier'owi, tylko że to, co występuje u Wyspiańskiego w łagodnej formie, przybierało u Francuza olbrzymie rozmiary. W dziełach Nodiera można się spotkać ze stronami, gdzie czcionki gotyckie mieszają się z łacińskiemi, to znowu olbrzymieją tak, że zajmują całe strony lub maleją do niezwykle drobnych kształtów, innym razem wykrzywiają się ukośnie. Czasem wiersz drukowany jest odwrotnie tak, że do odczytania go trzeba książkę odwrócić, kiedyindziej myśl tekstu oddana jest ściśle układem czcionek. Zejście schodami oddane jest w ten sposób:

Potem
nasz
bohater
zgnębiony
do reszty
zszedł
na dół
schodami.

Podobną kombinacyę, mającą oddać zbliżanie się do kresu pędzącego gościńcem jeźdźca, złagodzoną tylko przez formę dramatu, spotykamy w ostatnim utworze Wyspiańskiego.

Lecz nietylko tu rewolucya czcionek zbliża Nodier'a do naszego poety, jest w tych indywidualnościach jeszcze inny rys wspólny. Jest nim wybujała fantastyczność. Pomijamy już to, że jeden i drugi otacza się chętnie orszakiem duchów i nieziemskich zjawisk. Chodzi nam tu o fantastyczność pomysłów. U Wyspiańskiego, np. w „Legendzie“ spotykamy rozmowę Kraka w głębi Wisły z wodnikami, lub te fantasmagorye w „Legionie“, gdzie wypadki z 1848 roku mieszają się z wypadkami starożytności; Mickiewicz obejmuje w sobie dwie postacie, jest sobą i Brutusem zarazem, to znowu zjawia się wśród tłumów w złotej koronie tryumfatorów. W tym samym utworze znalazły się litewskie boginki, świtezianki, guślarze, znachory, wiedźmy w kopule św. Piotra, gdzie przechylone o balustradę tamburu patrzą w dół ku zawrotnej przepaści kościoła — wtem pada piorun i oknem kopuły wjeżdża na balustradę Mendog. Podobnie u Nodier'a Figaro przedzierżga się w kota, a Odyseusz skurczony do rozmiarów małego palca, odbywa podróż po wiadrze mleka. Wyobraźnia tu i tam przekracza granice możliwości, zmienia się w fantasmagoryę senną, i to fantasmagoryę przebujałej wschodniej, lub przynajmniej scytyjskiej wyobraźni. Z małą tylko zmianą znaczenia dadzą się zastosować do utworów Wyspiańskiego, przynajmniej tych, co są zależne od literatury greckiej, słowa Mérimée'go o utworach Nodier'a, iż są one podobne „do snu Scyty w opowiadaniu starogreckiego poety“.

Wskazaliśmy w tem zestawieniu na dwa zboczenia: jedno najbardziej podpadające pod oczy, drugie najwydatniejsze w skutkach dla artystycznej wartości dzieł.

Przyznaliśmy sami, że te i tym podobne objawy są łatwo zrozumiałem następstwem każdej *Sturm und Drang-Periode*. Nodier stawiał te kroki w przeczuciu nowej ery, cała jego twórczość miała pośrednie znaczenie, jako łącznik między dwoma światami — nie koniecznie to samo trzeba powiedzieć o Wyspiańskim. Może

sam w sobie nosi kilka, czy kilkanaście nowych syntez, na tle romantycznem opartych, ku którym przez chaotyczne formy się przedziera. Dotychczasowa twórczość Wyspiańskiego przemawia silnie za tem przypuszczeniem.

Wyobraźnia poety, choć Wyspiański jest także malarzem, nie jest plastyczną. Zwraca się ona raczej ku światu wewnętrznemu, niż zewnętrznemu, raczej ku odczuwaniom zjawisk, niż ich wyobrażeniom, więcej ku fibrom serca, jak ku nerwom wzrokowym. Jest tej wyobraźni właściwą rozlewność muzyczna, przybierająca tak wyraźne kształty w skłonności poety do ciągłych *refren'ów*. Wśród tej rozlewności, jak na oceanie wyspy, rozrzucone są także momenty plastyczne, i to nieraz niezwykle silne. Towarzyszy jednak tej wyobraźni często jakaś wewnętrzna niemoc, niedozwalająca jej skoncentrować się w określone kształty, a wtedy rozlewność wyradza się w nieuchwytność, wtedy zamiast szerokiego oceanu widzi się skłębione chaotycznie obłoki, nie pomysły, nie pojęcia, nie obrazy, nie uczucia, ale jakieś mgławice uczuć, pojęć, pomysłów, obrazów. Jest coś we wszystkich utworach Wyspiańskiego, co jest właściwe pierwszym malarskim rozmachem, nie pod obraz, ale pod szkic obrazu — cały pomysł rzucany gorączkowo głównymi tylko liniami, urwanemi kreskami, przeciągającemi się w wyraźniejsze kontury w tych tylko miejscach, gdzie wyobraźnia coś więcej mówi i przytrzymuje rękę. Następstwem stąd, że brak czasem jego utworom jasnej kompozycyi, że nieraz forma, rym, rytm w wielkiej poniewierce, że na prawdziwych perłach stylu cięży nieraz gruz niepotrzebnych słów. Ale bywały chwile, chwile harmonijnej koncentracyi władz, w których poeta ten sposób tworzenia porzucał, i do swego rydwanu, ponoszonego przez rozhukanego rumaka, wprzągał także artystyczną rozwagę i pracę nad szczegółami, i wtedy wychodziły zwrotki prześliczne, strofy Słowackiego, zabarwione archaicznością i nowoczesnym nastrojem.

Twórczość Wyspiańskiego przejawiała się dotychczas głównie na polu dramatu. W różnych dramatach zastanawiały różne dramatyczne przymioty, to wyrazista charakterystyka, to

umiejętne przeprowadzenie akcyi, to sytuacye i momenty dramatyczne, przymioty, które, gdyby kiedyś były harmonijnie zespolone, zapewniłyby niewątpliwie naszej literaturze wielką dramaturgię. Głównem znamieniem tych dramatów był jakiś moment, lub sytuacya niezwykle dramatyczna — wystarczy przypomnieć sytuacyę, jak Krak umiera w drewnianym zamku, gdy za ostrokołami walka z wrogiem, a umierając, zostawia następstwo nieczującej się na siłach dziewicy, albo scena Makryny i cara Mikołaja u papieża, lub, jako moment, ta głownia w skrzynce Altei, od której w każdej chwili zależy życie syna — na tle zaś tego momentu, czy sytuacyi, nie tyle chodziło poecie o akcyę i konflikt dramatyczny, jak raczej o rozsnucie jakiegoś uczucia i nastroju: melancholii, smutku, zgrozy, miłości, przygodnie tylko namiętnych pożądań.

Jeżeli który poeta rokuje wielką przyszłość, to chyba ten, który twórczość swoją zespolił z życiem, szeroko i podniośle pojętem. Romantyk, idealista, człowiek szlachetny o szerszym poglądzie na życie, indywidualność artystyczna niezwykła, przejawiająca się raz w raz potężnymi rysami — ale jeszcze mgłą zawianymi. Często ta mgła częściowo się odchyli i wtedy widać to tę, to tamtą, linię jakiegoś wielkiego posągu, ale czy to posąg cały, czy tylko wielki odłam jakiejś wielkiej całości, osądzić dziś niepodobna. W każdym razie i tors belwederski ma niespożytą wartość.

A teraz na Wesele.

II.

W jednej z wiosek, ścielącej się u stóp Krakowa, stoi domek, co już od szeregu lat zwraca na siebie powszechną uwagę. Zna go Polska cała z powieści Sewera, powieści opisującej wypadek rzeczywisty z życia artysty-malarza, który poślubił chłopkę i osiadł z nią pod sielską strzechą. W domku tym, pół-dworku, pół-chacie, zespolił się harmonijnie chłopski i pański obyczaj. Gospodyni z wiejska ubrana, gospodarz po miejsku, ona zajmuje się gospodarstwem, on przy innych zaję-

ciach poświęca się nadal swej artystycznej pracy. W urządzeniu domku także wieś i miasto podały sobie ręce. Strop drewniany w długie belki proste, z wypisanem na nich słowem bożem i rokiem pobudowania; izba wybielona siwo, piec do maści z izbą; stołki proste z białego drzewa, w kącie ogromna, wiejska skrzynia, malowana w kwiatki pstre i pstre desenie — a wśród tej prostoty wiejskiej mieści się i stolik *empire*, na którym stoi stary zegar, alabastrowemi kolumenkami dźwigający złocony krąg godzin i jakaś sofa i biurko zarzucone mnóstwem papierów. Na ścianach, przy wianku dożynkowym z kłosów widzi się złożone na krzyż szable, a prócz obrazów Matki Boskiej Częstochowskiej i Ostrobramskiej wiszą reprodukcye Matejkowskich Racławic i Wernyhory.

W tej chacie odbywało się zeszłą jesienią wesele. Zaszedł znowu wypadek do poprzedniego zupełnie podobny, siostra gospodyni wychodziła za młodego literata.

Dla poety, który był na tem weselu obecny, mogła ta uroczystość stać się rzeczywiście potężną pobudką podniosłej twórczości. Już po raz drugi ludzie inteligentni, potomkowie szlacheckich rodzin, wiążą się z wieśniaczkami w małżeństwo. Coś jakby w tradycyę wchodzić zaczynają zrękowiny dwóch stanów; w sposób nieprzewidziany, nieprzeczuwany nawet, spełniać się powoli zaczynają idealne marzenia poetów o odbudowaniu ojczyzny przez połączenie się szlachty z ludem:

„Z szlachtą polską polski lud“.

I na samem weselu mieszający się w jednym tłumie goście ze wsi i z miasta — czamary i fraki i strojne suknie pań i panienek zapadające raz w raz w wir wiejskich kabatów i barwnych kaftanów, krasych wstążek i pawich piór — i to wszystko rozbawione, podniecone, w rozmowie poufałej, wprawdzie jeszcze nie zbyt wzajemnie się rozumiejącej, ale w każdym razie już bardzo przybliżającej dwie warstwy narodu do siebie — to wielki krok naprzód ku marzonemu dotychczas ideałowi. I to pod strzechą rodziny, urzeczywistniającej tak

dosadnie zespolenie dwóch stanów, w tym pół-dworku, półchacie, na każdym kroku to zespolenie symbolizującym, w cieniu obrazów Królowej Korony Polskiej, Racławic i Wernyhory, w noc listopadową, a więc w jakąś rocznicę bohaterskich wysiłków, przy samem sercu Polski, Krakowie i jego Wawelskim dworze, to wszystko mogło i powinno było nastroić umysł głębiej patrzący i szlachetny na ton wyższy, potrącić bujną i żywą wyobraźnię do rozprzestrzenienia tego małego, rodzajowego, obrazka chłopsko-pańskiego wesela w obraz wielki, potężny, ogólnonarodowej sprawy. Oto mamy genezę tego dramatu.

Co się przed oczami poety działo, co na ten widok wzruszona do głębi dusza mu mówiła, to najdokładniej, najwyraziściej przetworzył w dramatyczny poemat. Dwa ostatnie akty, akt drugi i trzeci, mówią o tem, o czem poeta myślał i marzył, malują w wielkich rysach sprawę ogólniejszego znaczenia, akt pierwszy jest wstępem do tamtych, jest odźwierciedleniem tego, na co poeta patrzył, skąd jak ze źródła czerpał następnie uczucia i myśli, jest realistycznym portretem wesela. Portret jaskrawy, żywy, rojący się od postaci chłopskich i pańskich, oddający silniejsze i łagodniejsze tony podniecenia i wesołości, wraz z całą przypadkowością podobnych zabaw — portret literacki w najprawdziwszym sensie, a nie dramatyczna akcya, bo od wszelkich dramatycznych zawikłań daleki, w formę tylko dyalogową ujęty.

Widzimy izbę taką, jak ją poprzednio opisaliśmy. Przez otwarte drzwi boczne słychać odbywające się w drugiej połowie chaty szumne weselisko, wiejską muzykę, hukania chłopów, tupotanie tancerzy, stamtąd też co chwilę wpada ktoś z gości do izby na krótki moment spoczynku i poufnej pogawędki, kilka zdań rzuci i napowrót do tańczącej gromady wraca. W ten sposób poznajemy wszystkie osoby dramatu. Osoby te nie starają się mówić mądrze, podniośle, nie rezonują, ale jak w podobnych okolicznościach bywa, rozbawione, nieskrępowane salonowym ceremoniałem, wypowiadają bez omawiań i ogródek

co myślą i czują, odsłaniają całą duszę, chwilowe usposobienia i nastroje i na dnie ich tkwiące słabe swe strony.

Z rozmów tych wyłaniająca się charakterystyka jest niezwykle jędrna i wyrazista. Pan młody, idealista, cały rozkochany w swej żonie, ona wzajemna mu, zachowująca przytem zawsze umysł trzeźwy i realny. W gospodarzu domu widzimy człowieka szczerego i szlachetnego; spokojny a zarazem pełen podniosłych myśli i porywów. Jest i zalotny poeta, obracający się tylko w sferze pięknych słów, i znudzony do życia dziennikarz. Lud przedstawia idealnie zamaszysty chłop Czepiec, bywalec, trochę mądrala, człek energii i czynu, ojczyźnie duszą i ciałem oddany, jeden z takich, „z jakich był Głowacki“. Wiele mówi w tym akcie, przeczulona poetycznością żydówka Rachela, sama jedna wśród swobodnych rozmów rezonująca, i to na temat poezyi i nastrojów, także i wolnej miłości. To główniejsze postacie, prócz nich wiele innych, sentymentalnych panien wiejskich i raźnych parobków, jakaś pani radczyni i wiejskie gosposie, zjawia się i żyd i ksiądz, obaj, jak już ktoś inny zauważył, najdziwniej na jednej linii ustawieni, jako łakomi chłopskiego grosza.

To akt pierwszy. Sytuacya dla zobrazowania wesela doskonale, z artystycznym gustem obmyślana. Bardzo dobrze, że obchodzi się bez skoków i wirowań na scenie, sprawiających w dramacie tak łatwo wrażenie niemowlęcej, prymitywnej sztuki. Skoki te, wirowania, krzyki i muzyka, ustawione w głąb, przez otwarte tylko drzwi z oddali widoczne i słyszane, a na scenie zjawia się tylko sam wykwit wesela, ochoczy nastój, swobodna dusza i podniecenie. Zjawianie się osób, jak i ich rozmowy, nie mają wprawdzie w sobie wewnętrznej dramatycznej logiki, są przygodne i przypadkowością tylko złączone, ale przypadkowość ta uzasadniona jest dostatecznie samą naturą wesela, odbywającego się w dodatku tuż za ścianą. Dalsze refleksye odkładamy na później.

Akt pierwszy wywołuje zajęcie, ale w dalszym ciągu poczyna niepokoić brak przewodniej w nim myśli; widok wesela samego dla siebie, wywołuje pytanie: do czego to wszystko

dąży. Zapewne spotyka się i tu idee, które mogą głębiej zastanowić, naprzykład taki idealny pogląd na lud:

A bo chłop i ma coś z Piasta,
coś z tych królów Piastów — wiele!
— już lat dziesięć pośród siedzę,
sąsiadujemy o miedzę,
każdy sieje, orze, miele,
taka godność, takie wzięcie;
co czyni, to czyni święcie;
godność, rozwaga, pojęcie.
A jak modli się w kościele,
taka godność, to przejęcie;
bardzo wiele, wiele z Piasta;
chłop potęgą jest i basta.

Albo ten niewyraźny dotąd stosunek między szlachtą a ludem, między wsią a miastem, zbliżanie się warstwy wyższej do niższej tylko z przypadku, bez należnego szacunku i miłości, wyrażone tak dosadnie słowami chłopa do dziennikarza: „Pan nas obśmiwajom w duchu“. Są i inne, mimochodem rzucone myśli, w których jak w ziarnie mieszczą się przyszłe sceny dramatu, jak o rzezi z 46 roku, jak o przyszłości Polski przez lud, ale ogółem to wszystko jest przyćmione jaskrawymi barwami rodzajowego obrazu wesela, ginie w swobodnej rozmowie, odpowiadającej chwilowemu nastrojowi. Obraz wesela — oto akt pierwszy.

* * *

Połączenie aktu pierwszego z drugim, wesela z myślami i uczuciami, jakie to wesele nasuwa, jest dość przypadkowe. Poetyzującej Racheli przyszedł fantastyczny pomysł, aby dla zwiększenia uroku zaprosić na wesele

„wszystkie dziwy, kwiaty, krzewy,
pioruny, brzęczenia, śpiewy“.

„I chochoła“ — dorzuca poeta.
W żartach proszą — no a chochoł przychodzi.
Pomysł z chochołem, słomianą pałubą, otulającą krzak

róży przed zimnem, sam w sobie wzięty, ma taką samą racyę bytu, jak każde inne uosobienie przyrody; tak samo można było obdarzyć życiem uschłe badyle, albo kołki w płocie. Dziś w tej sprawie niema już o czem mówić; rzecz i ze względów psychologicznych jasna, a nadto historya literatury naocznie uzasadnia, jak w tym względzie poeci, z zupełnem prawem, wielką cieszyli się swobodą. To, co w tym pomyśle wydaje się być zbyt śmiałem, zdaniem naszem pochodzi stąd, że jest zupełnie nowem. Niech chochoł Wyspiańskiego uleży się w wyobraźni ogółu, a już chochoły następnych poetów nikt o legitymacye pytać nie będzie. Po za tem nie będzie od rzeczy uwzględnić z poprzedniej twórczości Wyspiańskiego jeden szczegół, kóry nam genezę tego pomysłu wyjaśni. Między obrazami Wyspiańskiego jest jeden obrazek przyrody. Wśród nocy, przy świetle latarń miejskich, odbijającem się po kałużach, widać kawałek plantacyj, na plantacyach szereg krzewów w słomiane chochoły poowijanych, a przegiętych wiatrem. To szamotanie i kręcenie się krzewów przy wietrze przypomniało malarzowi kręcenie się przy tańcu, dał więc obrazowi nazwę „kadryl“. Od chochołów tańczących kadryla do chochoła zjawiającego się na weselu przejście logiczne jest już zupełnie naturalne. Kwestya mogłaby być tylko, czy wprowadzenie go jako symbolu, jest we wszystkich szczegółach należycie przeprowadzone.

Chochoł, zjawiający się o północy dziecku, jest tylko przesłańcem całego szeregu niezwykłych zjawisk. Na ważną jego rolę później czas przyjdzie, na razie zjawił się po to tylko, by zapowiedzieć, że na wesele przyjedzie jeszcze wiele gości,

co się w duszy komu gra,
co kto w swoich widzi snach
. . . . . .
na wesele przyjdzie w tan.

I przychodzą niezwykli goście. Najpierw wieśniaczce zjawia się widmo nieboszczyka dawnego jej narzeczonego. Scena bardzo udana, ale że ze sprawą ogólniejszego znaczenia, z ideą przewodnią dramatu, niema żadnej łączności, jest więc tylko

zejściem z właściwej drogi. Będzie tc hołd poety złożony poezyi ludowo-romantycznej.

Zjawia się stańczyk. Usiadł, potoczył okiem do koła, ale tem okiem, co przez ściany chatki przegląda kraj cały i aż do głębi dusz dociera...

domek mały, chata skąpa:
Polska, swoi, własne łzy,
własne trwogi, zbrodnie, sny,
własne brudy, podłość, kłam;
znam, zanadto dobrze znam.

Zaczyna się rozmowa dziennikarza ze Stańczykiem, bolesna, ponura, o smutnym stanie ojczyzny, o przebiegach zdarzeń, co „dalekie, dalekie od marzeń“, że ze wszystkiego zostało nam tylko serce, spłakane u bram kościoła, i to serce nie zaznające chwili spokojnej, lecz wciąż samo siebie winiące w męce okrutnej. Stańczyk swoim błazeńskim zwyczajem refleksyom dziennikarza przedrzeźnia, ale i on trudność położenia czuje:

Byś serce moje rozkroił,
nic w nim nie znajdziesz inszego,
jako te niepokoje:
Sromota, sromota, wstyd,
palący wstyd;
jakoweś Fate nas pędzą
w przepaść...

Ale kiedy dziennikarz wobec tych smutnych stosunków traci głowę, kiedy boleść, zamiast prowadzić do jakiegoś czynu, zmienia się w rozpaczliwą beznadziejność, pragnącą już tylko nirwany, unicestwienia wszystkich nadziei, nawet wiary i świętości, Stańczyk w oburzeniu wypowiada wielkie słowa:

Znam ja, co jest serce targać
gwoździmi, co się w serce wbiły,
biczem własne smagać ciało,
plwać na zbrodnie, lżyć złej woli,
ale świętości nie szargać,
bo trza, żeby święte były,
ale świętości nie szargać:
to boli.

I potem, kiedy opuszcza dziennikarza, jeszcze raz to „serce strute“, tę beznadziejność, tę krytykę ubezwładniającą czyn, potępia, zachęcając go ironicznie do dalszego mącenia pojęć i zatruwania uczuć:

Idź!
Mąć tę narodową kadź,
Serce truj, głowę trać!

To jedna myśl, jaką nasunęło poecie chłopsko-pańskie wesele. Zbliżenie się wzajemne dwu stanów mogłoby być dobrą wróżbą na przyszłość, ale cóż najlepsze wróżby znaczą wobec powszechnego przygnębienia i apatyi? Zjawia się więc Stańczyk w tej samej roli, jaką gra w Hołdzie pruskim Matejki, tam fakt dziejowy, tu stan umysłów potępia. Tylko, że tam potępienie biegu wypadków odbiło się na twarzy błazna w beznadziejnem zamyśleniu, tu potępienie beznadziejnego zastoju jest pobudką do ocucenia się i czynu.

Już wprost żąda czynu następna pozagrobowa postać. Przeszłość Polski nie tylko ma ludzi, którzyby do dni dzisiejszych mogli zbliżyć się z radą i wskazówką, jak Stańczyk, ona ma także czyny bohaterskie i wojenne tryumfy, których pamięć w takich podnioślejszych chwilach i jako wspomnienie i jako pobudka do duszy kołace. Poecie, który już poprzednio marzył o bohaterze w zbroi, potężnym, jak złom granitu, zjawia się zakuty w żelazo rycerz z pod Grunwaldu. Niesie z sobą w dani „orężny szał“. Wspomniawszy o grunwaldzkiem pobojowisku, najeżonem trupami, zbroją, żelezcami, tam wysyła poetę:

tam leć
brać z tej zbrojowni zbroje,
Kopije, miecz i szczyt
i stać tam wśród krwi,
aż na ogromny głos
bladością się powlecze świt
a ciała staną
a zbroje wzejdą
i pochwycą kopije i przejdą!!!

Ale w tej przeszłości są i winy, i szlachty i ludu. Jawią się więc na scenie dwie okropne mary, wojewoda i Szela, dwaj

potępieńcy, jeden wśród zgrai szatanów, drugi z krwawymi plamami po włosach i łachmanach. Targowica i rok 46.

Przeszły na chwilę widziadła. Zjawiały się tylko samotnym, nie biorącym chwilowo udziału w zabawie, każde jednemu tylko z weselników, więc na tok wesela nie wpływały. Zresztą w tym czasie odbywały się w drugiej izbie czepiny. Teraz czepiny skończone, na scenie zjawiają się znowu rozmawiające pary. Już noc późna, zaczynają już grać poziome instynkty, innymi zawłada znużenie.

Wtem dają znać gospodarzowi, że jakiś pan z siwą brodą, w czerwonym stroju, z lirą u siodła, zsiada z ogromnego siwego konia w podwórzu. To „pan-dziad“, szlachcic-chłop, Wernyhora.

Rozmowa gospodarza z Wernyhorą należy do najlepiej wykończonych scen dramatu. Ton rozmowy poufny, serdeczny, potem podniosły, odczuty głęboko i wyraziście oddany.

GOSPODARZ.
Wolnoć spytać o nazwisko?

WERNYHORA.
Nie poznałeś?

GOSPODARZ.
Ktoś mi znany,
Ktoś serdeczny, ktoś kochany,
ktoś co groźny — dawny, stary
jak wiek cały —

WERNYHORA.
dawnej wiary,

GOSPODARZ.
Ktoś mi znany, niespodziany.

WERNYHORA.
Przypominasz krwawe łuny
i jęk dzwonów i pioruny
i rzeź krwawą, krwawe rzeki?

GOSPODARZ.
A sen, sen, jakiś daleki
jeszcze w uszach mam te dzwony,
mieszają weselne grajki,
jakieś stare dumy, bajki.

WERNYHORA.
Jeszcze w uszach mam te dzwony,
ponad ich weselne grajki

jęk posępny, jęk męczony
tyle krwi, rzezanych ciał,
Ja tam był, przy trupach stał;
jeszcze w uszach mam te dzwony.
Patrzyłem się na lud święty,
jako upadał przeklęty,
przekleństwami potępiony:
kiedy ojce klną na synów,
kiedy syny przeklną ojce,
takie jęczące ogrojce
łez krwawiących, łez serdecznych
słyszałem w tych głosach wiecznych:
w głosach dzwonów, jęk szalony, —
jeszcze w uszach mam te dzwony
. . . . . .
Ja stałem w pożarnej łunie
na siwym, na siwym rumaku,
czekając Bożego znaku.
Za mną piorun, po piorunie
bije z chmur, przez niebo łyska.

GOSPODARZ.

Rzecz daleka — taka bliska,
ktoś mi znany, niespodziany;
ktoś, o którym jeszcze wczora
tylko we śnie, tylko w marze
Pan — dziad z lirą.

WERNYHORA.

Wernyhora.

Wernyhora przyjeżdża z rozkazem. Każe gospodarzowi rozesłać przed świtem wici, powołać gromadzkie stany, i przed wschodem słońca zgromadzić przed kościołem lud uzbrojony. Wszyscy powinni w ciszy nasłuchiwać tętentu od krakowskiego gościńca, skąd ma się zjawić Wernyhora z Archaniołem. Prócz rozkazu daje mu czarodziejski, złoty róg, na którego głos „spotężni się Duch“. „Jutro wielką tajemnicą“ dodaje i wyjeżdża.

Gospodarz spełnia rozkazy i wysyła parobka Jaśka z wiciami. Daje mu też złoty róg, by na nim z powrotem zagrał, ale przestrzega, by nie zgubił, bo od niego zależy zwycięstwo, i powstanie ojczyzny,

„bez tego złotego dźwięku
w niwecz pójdzie cały ruch.

* * *

Koniec aktu drugiego i pierwszą część trzeciego wypełnia znowu defilada rozmawiających o tem i owem gości weselnych. Tu i ówdzie widać już naocznie skutki nietrzeźwości i znużenia. Sam gospodarz usnął, a tymczasem po wsi rozchodzi się wieść o tajemniczym gościu z Ukrainy i o wiciach. Pierwszy Czepiec zjawia się z kosą i oznajmia, że podwórze już zapełnia się ludźmi. Ale gospodarz choć obudzony nie może przyjść do pamięci, o całej sprawie zapomniał. I tu z każdą chwilą napięcie dramatyczne rośnie. Na niebie i w powietrzu zaczynają się pokazywać jakieś dziwne znaki, błonia napełniają się ludem uzbrojonym w kosy. Goście weselni pod wpływem tajemniczych znaków poddają się zwolna niezwykłemu nastrojowi, który zmienia się w podniosłe uczucie i w gorączkowe oczekiwanie, gdy gospodarz po długiem szamotaniu się ze sobą przypomina wreszcie sobie i opowiada o nocnej rozmowie. Już wszyscy w najwyższem napięciu ducha czekają na Wernyhorę, Archanioła, i na idącą z nimi tajemnicę. Scena to pierwszorzędnej piękności. Olbrzymia cisza, płynąca z przyciszenia wszystkich drgnień duszy, wobec wielkiej, świetlanej, lada chwilę dopełnić się mającej nadziei, cisza przerywana tylko jakiemś przelotnem słowem, gdy się komuś zdaje, iż od gościńca coś słyszy, a w tem oczekiwaniu, w tem łowieniu najmniejszego szmeru, biorący udział cały naród w swoich przedstawicielach, szlachta i lud, starsi i młodzi, subtelni artyści i wiejscy parobcy. Zrazu były złudzenia, ale wkrótce daje się słyszeć tętent wyraźny. Już nie ulega wątpliwości, to on — Wernyhora... Jakaż głębia uczucia kryje się w słowach gospodarza w tej chwili, słowach, przedostających się przez zamęt, czy zamilknięcie wszelkiego uczucia i myśli, a stąd urwanemi zdaniami wypowiadanych.

GOSPODARZ.

cicho, — świta, świta, zorze!
prawie widno, — to On — Boże!
On, On, — cicho — Wernyhora. —
W pokłon głowy, prawda żywa,
Widmo, Duch, Mara prawdziwa.

PAN MŁODY.

tętni

PANNA MŁODA.

jedzie

GOSPODYNI.

tętni

CZEPIEC.

— pędzi.

(Wszyscy w nasłuchiwaniu, pochyleni ku drzwiom i oknu — w ogromnej ciszy w przejęciu).

GOSPODARZ.

. . . . . .

Słuchajcie, kochane dzieci, —
ażeby to była prawda:
że Wernyhora tam leci
z Aniołem, Archaniołem, na czele;
że tej nocy, gdy my przy muzyce,
przy weselu, gdy my w tańcowaniu,
tam, kędyś, stało się tak wiele:
że Kraków ogniami płonie
a Matka Boża w koronie,
na Wawelskim zamkowym tronie
siedząca, manifest pisze:
skrypt, co przez cały kraj poleci
i tysiące obudzi i wznieci. —
Słuchajcie serce mi dysze,
ażeby to prawda była,
że Wernyhora tam leci
a za nim tabunem konie!...

PAN MŁODY.

coraz bliżej!

POETA.

klęknąć!!

CZEPIEC.

. . . stanął, wrył.

Przyjechał — lecz nie Wernyhora, tylko Jasiek z wici. Wpada do izby, ale nikt na niego nie zwraca uwagi, wszyscy pochyleni, pół-klęczący, zasłuchani, dzierżąc w prawicach to kosy, to szable, jakby zahypnotyzowani, pozostają nadal nieruchomi. Przypomina sobie, że trzeba zadąć w złoty róg... Ale rogu niema. Kiedy schylał się po czapkę z pawiemi piórami, spadł mu gdzieś po drodze róg ze sznura. Pełen zgrozy, nie widzi wyjścia.

Wtem zjawia się chochoł. Wygramolił się na skrzynię,

kazał Jaśkowi podać sobie skrzypce, zaczarowanej gromadzie kazał powyjmować kosy z rąk, a na czołach porobić im kółka, i zaczyna grać i śpiewać:

miałeś, chamie, złoty róg,
miałeś, chamie, czapkę z piór:
Czapkę wicher niesie,
róg huka po lesie,
ostał ci się ino sznur...

Przy grze chochoła zaczyna martwa gromada wodzić dokoła tan powolny, spokojny, sztywny, nie jak żyjący ludzie, ale jak maryonetki, z czaru podniosłego w jakieś drugie zaczarowanie, ale przygnębiające, przeniesieni. Wielkie oczekiwania, nadzieje, podniosłe uczucia, gdzieś zniknęły, jakby ich wcale nie było. Nadarmo Jasiek, na pianie koguta przytomniejąc, woła co sił starczy, by chwycili za broń, bo czeka ich wawelski dwór, na darmo rzuca się z rozpaczą, by rozerwać krąg tańczących, oni tańczą dalej, a nad ich martwem, bezmyślnem kręceniem się, nad rozpaczą Jaśka, rozlega się, jak chichot piekielny, sarkastyczny śpiew chochoła: miałeś chamie złoty róg.

Tak się kończy ten dramat.

(Dok. nast.).

Ks. J. Pawelski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Bogurodzica. Rozwiązanie zagadki. *Aleksander Brückner.* Biblioteka Warszawska, t. CCXLIV, 1901, str. 79—106.

Senzacyjny tytuł! „Bogurodzica“ to przecież najczcigodniejszy, najdawniejszy zabytek polskiego piśmiennictwa, śpiewany niegdyś przed bitwy rozpoczęciem. Niema też chyba żadnego historyka literatury, któryby nie wyczekiwał z utęsknieniem rozwiązania zagadki z nim połączonej.

Ważności tematu odpowiadało szerokie jego uwzględnienie w literaturze naukowej. Obok obszernych ustępów, poświęconych mu w opracowaniach większych prof. Nehringa, mamy aż cztery osobne rozprawy z przed lat już przeszło dwudziestu i więcej: Przeździeckiego, Rymarkiewicza a zwłaszcza Romana Pilata i Ant. Kaliny. Wynik ich doniosły, bo gruntowne porównanie tekstów i dowód, że tylko dwie pierwsze zwrotki mogą sobie rościć pretensyę do miana najdawniejszego pomnika polskiego słowa; dalsze są dodatkiem już późniejszym. Lecz komuż te pierwsze zwrotki przypisać? Czy może przecież nie św. Wojciechowi? Do jakiego czasu i wpływu je odnieść? Czy w istocie do wzoru czeskiego? Wprawdzie to wszystko wydawało się już prawie rozstrzygniętem, ale wywody autorów wobec zastrzeżeń, wzajemnej polemiki i licznych rekonstrukcyi tekstu nie wzbudzały pełnego zaufania i mimowolnie każdemu poważniej myślącemu nasuwały przecież niejedną wątpliwość. Pojąć więc łatwo, z jakiem nie wrażeniem, ale niemal wzruszeniem wewnętrznem brałem do ręki pomienioną pracę, zwłaszcza że za uprawnienie do sensacyjnego nagłówka ręczyło mi nazwisko

autora, dzisiaj dla ogromu pracy, wiedzy i bystrości umysłu przez wszystkich z największem uznaniem wspominanego. Odłożyłem też książkę w istocie z pełnem zadowoleniem i prawdziwą radością. Dlatego nim w sprawie tak ważnej odezwie się głos lingwistów z fachu i urzędu, niechaj moje słowa czytelnikom *Przeglądu Powszechnego* posłużą do pierwszej, obszerniejszej informacyi.

Wiek XIII, nieszczęsny u nas podziałem kraju i napadem Mongołów, był wiekiem najwyższego skupienia religijnego, stuleciem nowo powstających zakonów i licznych ascetów z książęcych rodów. Dwór budapeszteński węgierskich Arpadów, zaciekłe, braterskie boje nieraz z sobą prowadzących, obfitował właśnie podówczas w święte, bogobojne niewiasty, do których, obok innych, zaliczyć wypadnie Salomeę, córkę Leszka Białego a żonę Kolomana, nominalnego króla halickiego, tudzież córki Beli IV, Małgorzatę zakonnicę, Jolentę wielkopolską i Konstancyę lwowską, małżonkę Lwa czerwonoruskiego. Do nich dostrajała się i czwarta Beli córeczka, Kinga czyli Kunegunda, zwyczajem ówczesnym już w piątym roku do Krakowa wbrew woli matki cichaczem wywieziona, aby i przyszłe swoje księstwo lepiej poznała i przyzwyczaiła się do przyszłego oblubieńca, nieletniego podówczas chłopca, księcia Bolesława Wstydliwego. Kinga rosła tu pod wpływem żaru religijnego owych czasów, z mocnem postanowieniem, by zostać na zawsze czystą dziewicą, Bogu tylko oddaną. Kiedy więc nadszedł naznaczony termin i ślub młodej pary odbył się z należną uroczystością, uprosiła w imię Stwórcy u małżonka — opowiada późniejszy biograf — by jeszcze przez jeden rok mogła pędzić żywot „grzechem nieskalany". Po roku prosiła o drugi dla Najświętszej Panny i Bolesław przystał znowu dla świętego imienia, którem go zaklęła. Gdy jednak na trzeci rok powtórzyła prośbę w imię św. Jana Chrzciciela, Bolesław podejrzywając jej intencye, nie chciał już więcej zgodzić się na to. Wówczas Kinga pogrążyła się w modlitwach i oto błagającej ukazał się sam św. Jan Chrzciciel i zapewnił, ze jutro rano spotka ją książę, poda jej rękę i uczyni, czego sobie życzy. Skutek potwierdził w całości daną zapowiedź a Kinga w podziękę zato ślubiła świętemu Janowi, że jakikolwiek przestępca w wigilię Świętego o przebaczenie winy ją poprosi, odpuści mu niechybnie; odtąd też spędzała czas głównie na modlitwie, pokucie i pobożnych uczynkach. Po śmierci małżonka w r. 1279 wstąpiła natychmiast do klasztoru nowosandeckich Klarysek, gdzie żyła jeszcze lat trzynaście do r. 1292.

W klasztorze zachowywała niektóre odrębne zwyczaje. Co nie-

dzielę np. witała pierwszą napotkaną siostrę słowami: „Chrystus zmartwychwstał prawdziwie". „Prawdziwie zmartwychwstał" — odpowiadała siostra. Przed wyjściem z kościoła odmawiała zawsze po dziesięć psalmów w języku narodowym, dodając modlitwę do Wszechmocnego na intencyę Kościoła. „Jest to najdawniejsza, wyraźna wzmianka o książce polskiej, a pewnie to i pierwsza książka polska, jaka ogółem powstała, chociaż ją może już dla Salomei w Krakowie wytłumaczono, a nie dopiero dla Kingi w Sączu".

Salomea i Kinga umiały po łacinie, ale głód słowa bożego w trzynastym wieku był tak wielki, że nie wystarczała mu już księga łacińska. Zresztą u Klarysek sądeckich zebrało się liczne grono kobiece, od księżniczek polskich i ruskich aż do kobiet z ludu. „Te nie umiały po łacinie, więc koniecznie zaradzić należało ich potrzebom: psałterz polski, kazania polskie, wreszcie śpiew polski rozbrzmiewały po raz pierwszy w klasztorze sądeckim. Nie darmo zapisały akta klasztorne wiadomość, jakoby św. Kinga ustanowiła w klasztorze odśpiewywanie wieczorne pieśni polskich na cześć Maryi Dziewicy; „dziś — powiada prof. Brückner — „możemy taką pieśń wskazać; jest nią Bogurodzica",

Po przypomnieniu nam tego z biografii Kingi (ob. głównie: *Monumenta Poloniae* t. IV, str. 662—744) i wysnuciu odpowiednich wniosków poddaje szan. autor rozbiorowi tekst dwu pierwszych zwrotek, przechowanych bez późniejszych dodatków jedynie w bibliotece Jagiellońskiej na okładce kazań łacińskich księdza Macieja z Prochowa. Kazania spisane w r. 1407, okładka zaś jest jeszcze o jakich kilkanaście lat dawniejszą. Drugi najstarszy odpis, mniej więcej o 20—30 lat młodszy od poprzedniego, znalazł się również w bibliotece Jagiellońskiej na odwrotnej stronie ostatniej karty rękopisu z r. 1408. Tekst zawiera już obok dwu pierwszych także 12 dalszych zwrotek, odnoszących się do Zmartwychwstania Pańskiego i nie łączący ich się ani treścią ani pismem z dziełem kanonicznem, które zresztą cały rękopis wypełnia. W innych odpisach i drukach pojawiają się, oprócz poprzednich, coraz to nowe zwrotki na cześć rozmaitych świętych i za króla, prawie aż w nieskończoność, gdyż przy luźnej kompozycyi zwrotek wielkanocnych można było doczepiać coraz to świeże dodatki.

Wykład autora nadzwyczaj jasny napawa od razu czytelnika największą otuchą, gdyż prof. Brückner unika o ile możności wszelkich konjektur i stara się przestrzegać ściśle tradycyi rękopiśmiennej, jak przystało na pieśń powszechnie znaną i śpiewaną. Tylko trzykrotnie (nie licząc widocznych omyłek, jak np. spuci zam. spuści) zmienia

w dwu pierwszych zwrotkach tekst najdawniejszego odpisu (I 3, II 2 i II 4), nie całkiem trafnie i słusznie, jak to niżej obaczymy, — zresztą „Istne jajo Kolumba“ — woła szan. autor i tłumaczy wszystko bystro i przekonywująco, a przytem bez żadnej hiperkrytyki filologicznej, w sposób najnaturalniejszy w świecie, tak, że w istocie pytamy się sami siebie zdziwieni, jakżeż można było tego nie wiedzieć? Żadnych nadto czechizmów, czysto polski, bardzo jednak dawny język, powiada dalej autor, różniąc się pod tym względem stanowczo od poprzedników, którzy odrzucali wprawdzie legendę o św. Wojciechu, ale równocześnie prawie jednozgodnie wskazywali na wzór czeski w pieśniach: *Maria žaduci* i *Hospodyne pomiluy ny*.

Pojedyncze słowa starano się już pierwej trafnie wytłumaczyć. Autor powtarza więc częściowo rzeczy już znane, a częściowo uzupełnia je własnymi wywodami. A zatem *dativus* w „Bogurodzica“ (ob. tekst niżej podany) utworzono wedle dawnej składni słowiańskiej, jak: psubrat, na wiek wiekom. Pierwszego przypadku zamiast wołacza w I 1, 2 i 4 użył kleryk, pieśń układający, aby uniknąć ludowego „Marze“ (od Marza = Marya), jakby profanacyi jakiej, a zatrzymać łacińską, mile dla niego brzmiącą formę Marya. *Instrumentalis* Bogiem (= od Boga), jak do dzisiaj w języku małoruskim. Zamiast: sławiena, zwolena powiedzielibyśmy obecnie: sławiona, zwolona, bo cechą języka polskiego, odróżniającą go od czeskiego, jest właśnie zmiana artykulacyi *ie* na *io* w pewnych warunkach, przed twardemi brzmieniami, zmiana więc siestry w siostrę, żeny w żonę. Ale polszczyzna obfituje w przykłady, że obok jednego procesu językowego przechowują się ślady drugiego np. powiedać obok powiadać, wnęk obok wnuk, Pietryk obok Piotra, więc i forma zwolena pozornie tylko trąci czeszczyzną. Przytem czasownik: zwolić (= wybrać) dochował się do dzisiaj w złożonych: dozwolić, zezwolić, pozwolić, wyzwolić, i to w drugiem znaczeniu: przystać na co, jakie miało niegdyś obok zdaje się pierwotnego: wybrać.

Gospodzin (= pan) z dawniejszego gospodź; zyszczy równa się naszemu: zyskaj, nie: uzyskaj, wobec czego należy opuścić rękopiśmienne „u“ na początku trzeciego wiersza, skoro ma być ośm nie dziewięć zgłosek, i, pojmując wyraz: gospodzin jako przedmiot, czytać: Twego syna gospodzina a nie: U Twego syna, gospodzina — szczegół, na który już prof. Kalina zwrócił całkiem słusznie uwagę.

W drugiej zwrotce, odmiennie od pierwszej zbudowanej, wyraz dziela odpowiada naszemu: dla, które niegdyś kładziono po rządzo-

nem słowie, mówiąc: tego dla, nas dla i t. d. zam. dla tego i t. p. Chrzciciel — i tu jest punkt najważniejszy w interpretacyi prof. Brücknera — nie oznacza wcale, jak się niesłusznie domyślano, Chrystusa, Zbawiciela, ale dosłownie św. Jana Chrzciciela. Słowo Bożyc (= młody Bóg), urobione w sposób najzwyklejszy, jak od pana i sędziego, panic, sędzic. Jąż i jegoż, znane formy zaimka względnego, odpowiadające naszym: którą, czegoż (któregoż). Na świecie czysto po polsku, bez miru (świata), jak w pieśni czeskiej; natomiast przymiotnik zbożny zachowali tylko Czesi; my dzisiaj, uciekając się do innych złożeń, mówimy przeważnie: nabożny, pobożny.

A zatem i w drugiej zwrotce wszystko jasne, choć dawnego pochodzenia, mówi szan. autor, przetwarzając jednak w w. 2 rękopiśmienne: napelni na nowożytne: napełń i czytając w w. 4 To dać racz zam. rękopiśmiennego: O dać raczy.

Treścią „Bogurodzicy", jak poznajemy z tekstu, nie jest wezwanie Maryi, lecz prośba do samego Boga, — tylko ten, który prośbę zanosi, jako człowiek korny, nie ufa własnej modlitwie, ale poleca się w pierwszej zwrotce opiece Matki Zbawiciela, a w drugiej Chrzciciela jego: Jana świętego. Bogurodzica ma nam zyskać i zesłać syna swego, a św. Jan Chrzciciel uprosić jego, aby wysłuchał głosy i spełnił myśli człowiecze, aby modlitwę usłyszał, którą nosimy, i dać raczył, o co prosimy, tu na świecie pobożny żywot, a po żywocie rajski przebyt.

Wobec takiego stanu rzeczy niema mowy o św. Wojciechu. Brak czechizmów wyklucza możliwość podobnego przypuszczenia. Skoro zaś dalej język wykazuje znamiona okresu wyprzedzającego bezpośrednio wiek XIV, to któżby mógł być jego autorem? Szan. autor odpowiada: kleryk jakiś z inicyatywy św. Kingi. Argumentami, przemawiającymi najsilniej za podobnem przypuszczeniem, jest owo zatrzymanie *nominativu* i łacińskiej formy: Marya w pierwszej zwrotce, owa tradycya o szczegółach pobytu św. Kingi w klasztorze, wreszcie owo połączenie Bogarodzicy z św. Janem Chrzcicielem, odpowiadające ściśle sytuacyi, przez biografa nakreślonej.

Dalsze uwagi poświęcono dwunastu następnym zwrotkom, tworzącym jakby osobną pieśń wielkanocną. Prof. Brückner usuwa stanowczo próby nowszych badaczy przestawiania zwrotek, wyrzucania i zlepiania ich odmiennego, jak w tekście krakowskim. Zwrotka i tu zahacza jedna o drugą, tylko całość szwankuje, bo poeta grzeszy wielomównością, nie zdoła uchwycić się konsekwentnie jednej myśli przewodniej i przeprowadzić ją należycie, lecz kręci się wkółko i poddaje

chwilowemu kojarzeniu myśli i obrazów. Już „Bogurodzica“ była luźnie zbudowaną, nawet formą odskakiwała jedna zwrotka od drugiej, lecz przy krótkości jej nie raziło to wielce; w pieśni dłuższej brak budowy prawidłowej odczuwa się o wiele silniej.

Sądząc z terminologii utartej, wprawniejszego nieco wysłowienia i dość licznych pożyczek ze starożytnej pieśni czeskiej: *Buoh nasz wszechmohuci*, będzie to już utwór nowszy, mniej więcej z pierwszych dziesiątków lat XIV stulecia. Prof. Brückner „nie może się oprzeć pokusie“, by przynajmniej dla tej drugiej części „Bogurodzicy“ nie wskazać autora po imieniu. Ks. Juszyński doniósł na podstawie nieznanego dzisiaj kazania na obłóczyny panien w zwierzynieckim klasztorze, wygłoszonego w r. 1602 przez ks. Jana Zarecensis, że „opat witowski, Jan, towarzysz wypraw Władysława Łokietka, złożył pieśni o męce Pańskiej, które długo w kościołach podczas postu śpiewano“. Ponieważ w istocie między pieśniami staropolskiemi odnajdujemy jedną bardzo dawną: Jezus Chrystus, bóg człowiek, mądrość oćca swego, opowiadającą w dziewięciu czterowierszowych zwrotkach mękę Pańską wedle godzin kapłańskich (*matutina, prima* i t. d.), przeto, kto wie, czy właśnie do niej i naszej pieśni wielkanocnej nie należałoby odnieść świadectwa księdza Zarecensis. Byłby to wówczas drugi etap w rozwoju poezyi narodowej. Za trzeci również z pierwszej połowy XIV wieku uważa prof. Brückner „Pozdrowienie Maryi“, przeznaczone do odśpiewania przed kazaniem, tudzież przekład prozy Abelarda: „Posłał przez anioły twórzec (= Stwórca) swe poselstwo dziewce archanioła“. Sameto pieśni i pomniki XIV wieku, „zapełniające lukę, dotychczas tak dotkliwą, niemal nas upokarzającą“.

W ten sposób, kończy szan. autor, literatura nasza przybiera i zyskuje na ciągłości pomników. W drugiej połowie wieku XIII rozpoczyna ją zaginiony psałterz i pieśń o Bogurodzicy, jako znamienny objaw dla przyszłych *sodales Mariani*. Burzliwe czasy Łokietka dorzucają niewiele do odziedziczonego dorobku, natomiast panowanie Kazimierza W. może się już pochlubić zbiorkami kazań: świętokrzyskim i gnieźnieńskim, a Jadwiga rozporządza już znacznym zasobem literatury ascetycznej i całym szeregiem psałterzy, modlitewników i t. d. pod wpływem czeskim napisanych. W XIII stuleciu Czesi znaczniejszego wpływu jeszcze nie wywierają. Język też polski występuje na widownię wprawdzie nieco później, niż inne, ale za to występuje w formie już więcej wyrobionej, od razu z utworem pełnym uroczystego nastroju i zwięźle powiązanych myśli, jakim jest właśnie „Bogurodzica“.

Do rozwoju poezyi i literatury polskiej przyczyniają się głównie kobiety, pragnące odnosić się do Boga w języku narodowym, nie łacińskim — szczegół charakterystyczny, obcy zupełnie literaturze czeskiej.

Tak się przedstawiają uczone wywody autora, śmiałe pomysłem, a bystre w rozumowaniu. Nie przesądzając, czy w całej rozciągłości utrzymują się wobec krytyki fachowej, która niewątpliwie podda je dokładnemu rozbiorowi, muszę przecież zauważyć, że przemawiają do naszego przekonania jasnym, naturalnym sposobem interpretacyi, tudzież prawdopobieństwem sytuacyi i stosunków XIII stulecia, o ile je już dzisiaj zdołaliśmy poznać.

Zapewne domysł prof. Brücknera, że pieśń napisano z inicyatywy św. Kingi, pozostaje na razie tylko domysłem. Ażeby uzyskać pod tym względem jakąkolwiek większą pewność, należałoby dowieść, że w istocie połączenie Bogarodzicy z Janem Chrzcicielem było czemś niezwyczajnem w ówczesnych prośbach o wstawienie się do Chrystusa Pana. Inaczej można słusznie utrzymywać, że Matka, przez którą Zbawiciel otrzymał żywot doczesny, i poprzednik, który Mu drogi prostował i chrztu w Jordanie udzielił, mogli w pojęciu ówczesnem uchodzić u każdego za pierwszych i najskuteczniejszych opiekunów i łączyć się tak dobrze w modlitwie, jak dzisiaj np. lud łączy Najświętszą Pannę z jej oblubieńcem, św. Józefem. Z drugiej jednak strony niepodobna nie przyznać, że hipoteza autora ma za sobą wszelkie cechy prawdopodobieństwa, zwłaszcza jeśli się uwzględni przekazaną tradycyą — tradycyą bezpośrednich następców św. Kingi. W całem stuleciu XIII nie moglibyśmy istotnie wskazać żadnej postaci, do którejby lepiej wszystkie dane przystawały!

Równie trafnym jest protest stanowczy przeciw skrzętnemu doszukiwaniu się czeskich pożyczek już zaraz w dwu pierwszych zwrotkach, o które mi tu głównie chodzi. Przypatrzywszy się bez uprzedzenia treści pieśni: *Hospodyne pomiluy ny* — bo o drugiej już wcale nie mówię — nie widzę rzeczywiście, w czemby okazywać się miała ta rzekoma zawisłość. Przecież to temat wspólny, ogólno-chrześcijański, więc chyba nic naturalniejszego nad to, jak owa myśl tu i tam, żeby Bóg wysłuchał głosów naszych *(exaudi nos nostrisque adnue precibus!)* i użyczył nam spokojnego życia na ziemi, jeśli zwłaszcza prócz tego nie ma żadnej innej analogii. Słusznie zatem autor cały wpływ czeski redukuje do terminologii, niekiedy na języku pobratymczym z lekka opierającej się. Jedynie w słowach: zwolena, napełni i zbożny, choć także czysto polskich i pierwotnej słowiańskiej morfologii i etymologii

zupełnie odpowiadających, można dopatrywać się pewnego, nieznacznego wpływu, skoro, jak wiemy, w pierwszych wiekach chrześcijaństwa było u nas czeskich księży niemało, i skoro nawet w najbliższem otoczeniu Kingi znajdował się Czech z rodu, Piotr Odraniec, spowiednik księżnej.

Zaznaczyłem też już poprzednio dobitnie, że jedyną drogą racyonalną przy pieśni tak powszechnie znanej, było ścisłe o ile możności przestrzeganie tradycyi rękopiśmiennej. Prof. Brückner rzeczywiście tak postępuje. Co się zaś tyczy skrupułów, które przecież napotyka, to pozwoli szan. autor, bym do jego uczonych wywodów dorzucił jeszcze kilka myśli, jako filolog, który nie raz już w życiu miał do czynienia z restytucyą tekstów rękopiśmiennych.

Przyimek „u“ na początku 3-go wiersza I-ej zwrotki należy w istocie bezwarunkowo usunąć. Dodał go zapewne kopista nie sam od siebie, ale pod wpływem konstrukcyi, jaką zdanie przybrało z czasem w ustach wygłaszających czy śpiewających. Od Kingi do r. 1400 upłynęło przecież więcej, niż jedno stulecie. Pierwotne pojęcie wyrazu „zyszczyć“= zyskać kogoś zatraciło się już było widocznie z biegiem lat, a śpiewający czy wygłaszający usiłowali nagiąć składnię zdania do nowego słowa: uzyskać u kogoś. Można to było uskutecznić z wielką łatwością bez naruszenia melodyi, gdyż słówko „u“ zdołamy i dzisiaj tak szybko wymówić, że w śpiewaniu staje się nieznaczną odbitką, taktu wcale nie naruszającą. Nawet i w czytaniu przejść może ono tak niespostrzeżenie, że nie razi nas zupełnie większa liczba zgłosek (9:8); należy tylko całą wagę przenieść na następujący wyraz: Twego. Podobnie było także i w języku rzymskim, gdzie np. słowo *genua*, choć z innych nieco powodów, liczy się czasem jako trzyzgłoskowe a czasem tylko jako dwuzgłoskowe.

W wierszu 4-ym II-ej zwrotki mamy w rękopisie: O dać racz, jegoż prosimy, a więc znowu dziewięć zgłosek zamiast ośmiu. Prof. Brückner, unikając nietrafnej konjektury: Oddać racz, czyta: To dać racz, tj. odrzuca końcówkę trybu rozkazującego i zmienia „o“ na „to“. Zaimek jednak: „to“ odpowiadałby może naszemu dobitnemu wyrażaniu się, ale w tym wypadku nie byłby ani poetycznym ani ludowym. Musimy więc szukać innej drogi. Otóż porównując rękopiśmienne: raczy z formami: ziści i spuści, przychodzimy do przekonania, że w XIII wieku, w czasie kiedy pieśń składano, żyło jeszcze przy największej części słów pełne poczucie końcówki imperatiwu, które widocznie dopiero w ciągu XIV stulecia zanikało powoli. Układający

zatem pieśń napisał wprost: Dać raczy, jegoż prosimy. Później jednak kiedy końcówka w wymowie odpadła i utworzyło się: racz, trzeba było jakoś poradzić, aby otrzymać równą liczbę zgłosek; dodano więc na początku: „o“, które kopista oddał na piśmie, zatrzymując równocześnie utartą już pisownię: raczy.

Teraz przedstawia mi się jasno także 2-gi wiersz II-ej zwrotki. Prof. Brückner czyta: Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze, choć wtedy mielibyśmy i tu w porównaniu z wierszem poprzednim o jedną zgłoskę za wiele (11:10). Byłaby to już nie podwójna, ale potrójna nierównomierność. Wiersze inne wszystkie wykazywałyby stale po 8 zgłosek, a tylko wiersz 1 zwrotki II-ej miałby ich 10, a następny aż 11. Czegoś podobnego nie możemy przypuścić, skoro, jak słusznie szan. autor sam zauważył, mamy przed sobą wcale niepośledni utwór. Ponieważ zaś zmiana „człowiecze“ na człecze, jak także, gdzieindziej proponowano, byłaby dowolną, sprzeczną z tekstem rękopiśmiennym, przeto musimy szukać innej drogi. Otóż tak tradycya rękopiśmienna, jak i formy: raczy, zyszczy i spuści przemawiają za tem, że i przy wyrazie: napełnić, utrzymywało się jeszcze w XIII stuleciu żywe poczucie końcówki imperatiwu, która wyjątkowo dopiero zaczynała się zatracać przy niektórych słowach, takich jak: słysz. Rękopiśmienne zatem: napełni ma swoją uzasadnioną racyę bytu, nietylko ortograficzną, ale i fonetyczną. Cóżby jednak stąd dla nas wynikło? otrzymalibyśmy wtedy już nie 11 ale aż 12 zgłosek w wierszu. To znowu naprowadza nas na przekonanie, że autor pieśni użył słów niedokonanych: „słysz“ i „pełni“ zamiast przechowanych dzisiaj dokonanych: usłysz i napełni. 1) Po pierwsze bowiem nie widzę powodu, dlaczegoby miał napisać: słysz modlitwę, a przeciwnie: usłysz głosy. Owszem przez powtórzenie jednego i tego samego słowa tok wiersza staje się i ludowym i uroczystszym.. 2) Powtóre wyrażenie: pełnić myśli odpowiada w zupełności polszczyźnie, skoro i dzisiaj jeszcze mówimy np. pełnić powinność, przeciwnie zaś: napełnić myśli daje i pojęcie niezwykłe i trąci czeszczyzną, której tu nie ma, a którą chyba gwałtem chcielibyśmy wprowadzić, wbrew wywodom samego prof. Brücknera. 3) Po trzecie wreszcie — co najważniejsza — da się w ten sposób doskonale wytłómaczyć tradycya rękopiśmienna. Oto najpierw widocznie zatraciła się końcówka imperatiwu i utworzyła się forma: pełń; wtedy poradzono sobie w śpiewie i wygłaszaniu zapomocą czasownika dokonanego: usłysz czyli przez dodanie litery „u“ jak w 3-im wierszu I-ej zwrotki. Jakiś czas miano więc znowu potrzebną,

równą liczbę zgłosek (10), ale później wyrażenie: „pełnić myśli“ wyszło widocznie także z użycia; wówczas już pod wpływem czeskim, który w XIV stuleciu zaczął wzmagać się na dobre, wprowadzono: napełń myśli człowiecze, bez oglądania się na względy rytmiczne i nieinteligentny lud, który chyba nie wiedział, że zwrot ten należy pojmować nie fizycznie jak: napełnić dzban, ale zupełnie inaczej, w znaczeniu spełń, wypełń. Tak wytworzył się z czasem dziwoląg rzeczowy i rytmiczny, powtarzany przez wszystkich i oddany wiernie przez kopistę pisownią, wówczas panującą. Przynajmniej jednak w tym wypadku wdzięczni musimy być konserwatyzmowi w ortografii, gdyż nam dopomógł do odszukania prawdy.

Powyższe uwagi tłumaczą nam zatem całkowicie i tradycyą rękopiśmienną i przez porównanie z formą: słysz oznaczają bliżej czas, w którym końcówki trybu rozkazującego powoli zanikać poczęły, i wreszcie dowodzą, że w wieku XIII pieśni czeskie na autora Bogurodzicy nie wywarły w istocie żadnego wpływu. Wpływ czeski zaznaczył się dopiero później w stuleciu XIV przez wprowadzenie słowa: napełnić, niezrozumiałego dla ludu i sprzecznego z pojęciem pierwotnem. Tym sposobem w myśl powyższych uwag tekst pierwotny brzmiałby tak:

I.

Bogarodzica, dziewica,
Bogiem sławiena Marya!
Twego syna, gospodzina,
Matko zwolena, Marya!
Zyszczy nam, spuści nam! Kyrieleison.

II.

Twego dziela Chrzciciela, Bożyce!
Słysz głosy, pełni myśli człowiecze!
Słysz modlitwę, jąż nosimy,
Dać raczy, jegoż prosimy,
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt. Kyrieleison.

Wczytawszy się dokładnie w tekst powyższy, musimy powtórzyć za prof. Brücknerem: Postęp to ogromny jak na XIII stulecie. Dodajmy: Utwór to jednem słowem poważny, natchniony, o zwięzłem, dość nawet obrazowem wysłowieniu się. Zwracam nadto uwagę na zacięcie ludowe w połączeniu naiwnem ostatnich dwu wierszy zapomocą spójnika „a“, przypominającego tak żywo jeszcze Rejowskie; „ano“

zwracam uwagę na dwukrotne powtórzenie wyrazów: Marya, nam i słysz, na podwójne wreszcie rymy: Bogurodzica — dziewica, Twego syna — gospodzina, Twego dziela — Chrzciciela, nie obce łacińskiej poezyi średniowiecznej. Zbyt wielka też nierówność rytmiczna między pierwszą a drugą zwrotką dowodzi, że pieśń przeznaczoną była pierwotnie do wygłaszania, nie do śpiewania. Melodya, przechowana w rękopisie krakowskim i częstochowskim, nad którą rozwiódł się prof. Kalina w sposób mało przekonywujący, jest stanowczo późniejszego pochodzenia i w rozstrzygnięciu kwestyi właściwej nader podrzędnej wagi. — Swoją drogą ta dość wysoka, artystyczna wartość pieśni jest dla mnie pośrednim, stanowczym dowodem, że przed nią mniej więcej od czasu synodu łęczyckiego musiały istnieć jeszcze inne, mniej udolne próbki. Bogurodzica prześcigła je tylko i stała się hymnem narodowym, głośnym w dziejach i ważnym dla rozwoju literatury. Pamiętajmy jednak równocześnie, że chrześcijaństwo utrwaliło się w Polsce na dobre już za Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego, i że od Mieszka I do Kazimierza Sprawiedliwego mijają całe dwa wieki. Czyż zatem trzeba było czekać jeszcze całe jedno nowe stulecie, aby ludność do śpiewu tak pochopna, jak nasza, zdobyła się na kunsztowniejszą modlitwę?

Korneli Juliusz Heck.

Agenor hrabia Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859). Przez *d-ra Bronisława Łozińskiego.* We Lwowie. Księgarnia H. Altenberga. 1901. (Str. 288, z portretem).

Monografia niniejsza o Gołuchowskim daje niezwykle interesujący, na gruntownych studyach epoki oparty obraz tych wszystkich przesileń, które kraj przechodził w latach 1846—1859.

Autor rozpoczyna już od r. 1846, bo choć właściwe rządy Gołuchowskiego rozpoczęły się dopiero w r. 1848, to przecież słusznie sądzi, że niepodobna pozostawić w zawieszeniu, a tem mniej zupełnie pominąć pytania, jaką rolę odegrał i jakie stanowisko zajmował przyszły namiestnik kraju w r. 1846, w roku strasznej dla kraju pamięci, a zarazem, z powodu sprawy pańszczyźnianej, w roku przełomowego znaczenia dla ustroju ekonomicznych i społecznych stosunków Galicyi. Powtóre czyni to autor i dla tego, ponieważ Gołuchowski, jako radca gubernialny, odegrał w ówczesnych obradach rządowych nad sprawą uregulowania, a właściwie powikłania stosunków pańszczyźnianych, rolę wybitną i odznaczył się samodzielnym elaboratem, który z jednej strony,

jako akt śmiałego ujęcia się za zagrożonemi prawami i interesami szlachty, reprezentującej wówczas jedyny świadomy żywioł narodowy, zasługuje dziś jeszcze na odświeżenie w pamięci kraju, a z drugiej strony niemało przyczynia się do wyjaśnienia kwestyi, dlaczego późniejszy gubernator galicyjski, hr. Stadion, tak cenił, odznaczał, a w końcu nawet wyniósł hr. Gołuchowskiego ponad całe gremium gubernialne, wybierając go, z pominięciem wszystkich starszych odeń radców dworu i radców gubernialnych, na stanowisko wiceprezydenta.

W następnych rozdziałach przedstawia autor szczegółowo krótkie rządy Wacława Zaleskiego, następnie zaś walkę Gołuchowskiego z generałem Hammersteinem.

Pełne grozy są obrazy nędzy galicyjskiej, jaka się wytworzyła po zniesieniu pańszczyzny wskutek braku robotnika, gnuśności włościan i nieurodzaju. Następuje opis sprawy indemnizacyjnej i opis usiłowań Gołuchowskiego, około natychmiastowego załatwienia spraw serwitutowych. Erę koerberowską wprost przypominają projekty Gołuchowskiego w sprawie regulacyi rzek, kolei żelaznych i dróg wicynalnych.

Przechodząc do oceny politycznej działalności hr. Gołuchowskiego, autor zaznacza, że mylnie pojmowano dotychczas jego indywidualność w ten sposób, jak gdyby odróżniać należało zasadniczo pierwszy okres jego rządów, z cechą ściśle biurokratyczną, co najmniej obojętną dla interesów narodowych, od dalszych okresów, zapisanych świetnie w historyi kraju wielkiemi zdobyczami dla jego autonomii i dla polskości. Tylko do pewnego stopnia można to zapoznawanie doniosłości pierwszego okresu rządów hr. Gołuchowskiego położyć na karb nieznajomości materyału urzędowego, oświetlającego ten okres. Niektóre szczegóły znane były i bez tego materyału, bo uczuwało je na swojej doli całe ówczesne pokolenie. Już to np., że Gołuchowski poskromił radykalnie biurokracyę starego autoramentu, uważającą polskość za synonim spisków i buntów, a tem samem traktującą Galicyę jakby kraj świeżo zawojowany i z pod prawa wyjęty, i, zwyrodzonej w brutalną dowolność administracyi, przywrócił charakter prawny, to było rzeczą jawną, niewymagającą żadnych rewelacyj, ani nawet objaśnień materyału archiwalnego. Że dalej tylko Gołuchowskiemu kraj zawdzięcza, iż indemnizazya nie stała się w ostatecznym przebiegu swoim prostą konfiskatą prawa historycznie ugruntowanego i pozytywnymi przepisami prawnymi samego rządu austryackiego zagwarantowanego, a sprawa serwitutowa nie została skrzywioną w sposób, podsycający źródło zabójczej dla

interesu społecznego i narodowego waśni między dworem a gromadą, to także było rzeczą jawną dla całego współczesnego pokolenia szlachty.

W tym pierwszym okresie rządów hr. Gołuchowskiego, na każdym kroku znaleźć można zawiązki tych akcyj, któremi późniejsze jego rządy tak świetnie zapisały się w historyi kraju. Gołuchowski nie zrywał się jednak do kroków stanowczych w chwili, gdy przewidzieć można było, że wysiłek będzie daremny. Najlepszym tego przykładem ów dziwaczny podział kraju na dwa okręgi administracyjne, z niewyraźnem stanowiskiem okręgu krakowskiego. Był on dlań solą w oku, bo mu zawadzał zawsze, nietylko w ważniejszych sprawach politycznych, lecz we wszystkich sprawach ekonomicznych nawet. Utyskiwał na ten podział w swoich relacyach do ministerstwa i dawał wyraźnie do zrozumienia, że na tym podziale cierpi administracya, ale wniosku pozytywnego nie formułował, bo nie widział dlań żadnej szansy. Jak mu jednak ta sprawa leżała na sercu, pokazało się później, gdy, jako minister, pamiętał o niej i uporał się z nią po swej myśli i po myśli kraju, chociaż wówczas sprawa konstytucyjna wszystko spychała na szary koniec i o wszystkiem kazała zapomnieć.

Różne panują poglądy na stanowisko Gołuchowskiego wobec kwestyi językowej. Jedni nazywają go zaciekłym wrogiem niemczyzny, gdy inni sądzą, że, w pierwszym okresie swych rządów, Gołuchowski niemczyznę forytował, a dopiero w drugim i trzecim okresie stał się jej przeciwnikiem. Prawda leży, jak zwykle w pośrodku. Gołuchowski nie zapoznawał stanowiska należnego językowi niemieckiemu w Austryi i za drugim i trzecim powrotem do rządów w kraju, ale też pamiętał zawsze na prawa odrębności, narodowych. W pierwszych latach, po zawierusze rewolucyjnej, prąd germanizacyjny, idący z góry, był tak silny, że powstrzymać go nie można było nawet wtedy, gdy mu na drodze stawały nie same tylko aspiracye narodowe, uważane za echo przebytej fazy rewolucyjnej, lecz ważne interesa prawne, społeczne i państwowe. Już też wtedy miał Gołuchowski na myśli przyszłą rekonstrukcyę Austryi na zasadzie autonomicznej, uwzględniającej odrębności narodowe jej części składowych, ale bez rozbijania jedności państwowej na okruchy federalistyczne. A tem bardziej podnieść to należy, że działo się to w czasie, gdy w kraju zamarły wszelkie aspiracye narodowo-autonomiczne, a w Wiedniu, w sferach ministeryalnych, wspomnienia w tym rodzaju uchodziły za anachronizm, wśród pewnych okoliczności, nawet za zbrodnię polityczną.

Dr. Zygmunt Gargas.

O prawdziwej kobiecie. *John Ruskin.* Warszawa, nakładem księgarni Teodora Paprockiego.

Niepodobna zebrać w krótkiem sprawozdaniu wszystkich poglądów Ruskina na przeznaczenie niewieście. Piśmienna jego spuścizna jest olbrzymia. Dość wspomnieć, że zaczął pisać, mając lat piętnaście, a nie porzucił pióra do śmierci, a więc do lat osiemdziesiątych życia. Esteta ten i artysta był jednocześnie niepowszednim moralistą, i choć w pismach jego chrześcijaństwo występuje w interpretacyi zbyt dowolnej i mglistej, był przecież mężem dobrego przykładu. Rozdał ubogim milionowe dziedzictwo ojcowskie. Zdobył sobie w angielskim świecie tak niesłychaną i stałą poczytność, że np. książka, głównie wskazująca szlaki, po których nowoczesna kobieta postępować winna, *Sesame and lilies*, od lat 35 nie przestaje się rok rocznie rozchodzić w kilku tysiącach egzemplarzy. Cząstkę tej księgi, urosłej z trzech oxfordzkich odczytów mistrza, przełożył na polskie p. Józef Jankowski, a choć urywek ten pozwala ocenić poglądy Ruskina na kwestyą kobiecą, nie wyczerpuje wszystkich szlachetnych myśli, rzuconych i rozrzuconych po innych jego dziełach, żeby tylko wspomnieć księgę zatytułowaną: *Fors Clavigera.*

Główną zasadą Ruskina jest powtarzane wciąż hasło, że kto dobrem sercem zrozumie i podejmie zakreślony sobie obowiązek, z czasem i najtrudniejszy ukocha. W toczącym się boju o prawa kobiety, Ruskin zajął stanowisko, nie wszechstronne wprawdzie, jak to dziś czyni socyologia, ale w każdym razie poważne rzuca światło na całość, kwestyi, nawet w teraźniejszem jej stadyum. Przedewszystkiem szermierzom feminizmu zarzuca rozdział, przez nich stawiany między obydwu płciami, które tylko wspólnie działać, nawzajem uzupełniać się mogą. Niema osobnych praw męskich i praw niewieścich, są tylko ludzkie prawa, ludzkie przeznaczenia, ludzkie też powinności.

Jeśli jest jaka różnica w przypadłej mężczyźnie czy kobiecie roli, samaż przyroda o tem stanowi. Mąż stworzon do walki, do bronienia siebie i swoich; kobieta nie nadaje się do bojowania, lecz natomiast jej zadaniem, wnosić wszędy ład i spokój. Przypadło jej w udziale pracować, kochać, upiększać życie swego otoczenia i zakładać domowe ognisko, strzedz go, aby nie miało doń przystępu nic złego, żadne zwątpienie, lęk ani niezgoda. Jeśli zewnętrzna rozterka wkroczy do tej świętej przystani, jeśli do niej wtargną obojętni, lekkoduchy i niechętni, jeśli wciśnie się czczość świata i ludzi światowych, już ogniskiem być ono przestało, a jest tylko kawałkiem ziemi, nad

którym dorywczo ustawiono dach i rozpalono płomyk, wiatrem miotany. Ślicznie Ruskin porównywa wewnętrzne działanie kobiety ze światłem, ogarniającem i oblewającem wszystko dokoła na to, aby nie siebie, lecz przedmioty owem światłem oblane, uwydatnić.

Do ogólnych uwag, Ruskin nie rzadko dodaje mnóstwo uwag ściślejszych i praktycznych wskazówek. Bardzo słusznie uważa, że charakter chłopca można wykuć żelazem, można wyrzeźbić dłutem, podczas gdy dobra dziewczynka potrzebuje przedewszystkiem swobody, aby się rozwinąć jak kwiat i jak kwiat też rozwonieć. Duszę dziewczęcą należy oprzeć o pewne, stałe rusztowanie, ale jej spętać nikt nie potrafi. Ruskin jest za szerokiem, ale dowolnem i domorodnem wykształceniem kobiety, zawsze w wyraźnym celu, aby życie męża, dzieci, blizkich ozdabiała i wieńczyła. Bardzo trafnie orzeka, iż tak dziewczyny jak chłopcy mogą uprawiać te same nauki, byle w różnych granicach i kierunku. Ruskin rozróżnia wiadomości powierzchowne od elementarnych. „Kobieta będzie zawsze pomocą małżonka w tem, co zna dokładnie, zmęczy go tylko i rozstroi tem, co umie połowicznie lub powierzchownie".

Prześliczne są ustępy, traktujące o koniecznem w życiu niewieściem posłuszeństwie miłosiernem i dobroczynnem, z naciskiem położonym na osobistą służbę, osobistą z siebie ofiarę, na konieczności przybliżenia się do ubogich, poznawania ich niedoli. Nie brak tu wprost praktycznych wskazówek; ten sam Ruskin, tyle dbały o zewnętrzną krasę i ozdobę, że nie lekceważy zgoła wykwintnego ubrania kobiety, radzi np. panienkom raczej biednej używać szwaczki, zamiast kupowania w wielkich i bogatych magazynach. Doskonały jest ustęp o rozrywkach, gdzie radzi nigdy zabaw nie szukać, lecz zawsze być gotową wszystkiem się zabawić. Najdrobniejsza rzecz może przysporzyć rozrywki rozweselenia, natomiast kto z zabaw cel życia sobie zrobił, tego żadne sztuki nie potrafią do uśmiechu nawet zniewolić.

W dwóch ramach nie zupełnie podzielilibyśmy zapatrywania Ruskina. Wstręt do kobiecych predykantek, których się tyle namnożyło w Anglii, pobudza go do wyłączania kobiet od wszelkich teologicznych studyów. Zapewne katechizm wystarcza, ale dla kobiet chrześciańskich pożądanem jest wzmocnienie tego koniecznego rusztowania gruntownem poznaniem prawd wiary, historyi kościoła, przykładów świętych Pańskich, słowem tego wszystkiego na czem się opiera świadomość religijna. Kobiety dziś więcej niż kiedykolwiek stoją na straży wiary, a jeśli Ruskin chce je mieć przesłankami piękna, to przedewszystkiem

temu zadaniu dorosną, jeśli strzedz będą, nieść i krzewić prawdę w zakresie swego działania i wpływu.

Skądinąd zaś, przestrzegłszy przed niebezpieczeństwem złych książek i czczych powieści, Ruskin chciałby oprzeć kulturę niewieścią nie tyle na studyach, ile na lekturze, co bardzo słusznem, tylko że może nadto luźne zakreśla granice temu czytaniu, radząc zostawić zupełną swobodę wyboru, wpuszczonej w obręb poważnej biblioteki panience. Otóż zdaje nam się, iż z młodym, z dziewiczym umysłem, umiejętne pokierowanie przyrodzoną ciekawością jest koniecznem, że nie należy nigdy jej rozkiełznać, nawet wśród najlepszego księgozbioru; i że zawsze musi znaleść się sternik doświadczony, oryentujący młodą nawę, by nadmiernym lub szkodliwym nie obciążyła się balastem.

Chcieliśmy powitać drobną a wytworną książeczkę w przekładzie p. Jankowskiego, przyswajającą mowie naszej jedną zaledwie cząstkę ruskinowskiej spuścizny, a zapuściliśmy szersze więcierze na ogólnej fali jego dźwięcznej i wdzięcznej twórczości. Dźwięk czarowny stylu Ruskina niknie czasem w tłumaczeniu, niezawsze wzorowem, przejrzystość jasnego wysłowienia się nieco się zamąca, ale wdzięk i doniosłość treści pozostaje jednaka i niewoli czytelnika.

Szekspir dla prawowitych Brytonów stał się drugą księgą zakonu. Ruskin czerpie przykłady i nauki przygodne z dramatów potężnego geniuszu, który zawsze niemal przyznawał kobiecie właściwe jej, bo łagodne i łagodzące posłannictwo, oblekając ją w moc miłości stokroć więcej, aniżeli w inne siły. Przytaczając wiersze i wzory szekspirowskie, Ruskin przepomniał jeden, nad inne rozstrzygający, gdy w „Poskromieniu złośnicy“ skruszona i złagodzona niepowrotnie Katarzyna pyta, czemu kobiety próbują

Rządzić, rozkazywać, burzyć,
Kiedy im trzeba kochać, słuchać, służyć.

Ruskin powołuje niewiasty do królowania, ale nie nad marnościami świata, nie na rynkach miejskich i arenach politycznych, lecz w zakresie rodziny i domu, w obrębie najbliższych obowiązków, opromienionych miłością prawdy i piękna, tęczowymi blaski ukochania i zastósowania w powszedniem życiu rzeczy lepszych tylko i szlachetnych. Nie sztuczną kobietę, lecz prawdziwą, zgodną z przeznaczeniem i powołaniem swojem niewiastę, angielski pisarz przedstawia, wskrzesza, idealizuje jak królowę i koronę życia.

M.

Klasztory Karmelitanek Bosych w Polsce, na Litwie i Rusi. Kraków. W drukarni „Czasu". 1901.

Wydawnictwo, z którem już raz mieliśmy sposobność czytelników naszych zapoznać, w dalszym swym ciągu wtajemnicza nas w dzieje karmelitańskich na ziemi polskiej warowni. Po Wilnie, otrzymujemy echa Karmelu lwowskiego i warszawskiego. Historyczne to fundacye, dokonane przez dobrze zasłużone w Rzeczypospolitej rodziny, które spłaciwszy haracz krwi ojczyźnie, chciały nadto ją obwarować modlitwą dziewic wybranych. Dwie wnuki Żółkiewskiego, z przezacnego Daniłowiczów domu, Izabela Ossolińska i Teofila Sobieska, wespół z małżonkami swymi, przystąpiły do zbożnego dzieła. Sobiescy lwowską, Ossolińscy warszawską osadę modlitwy założyli. Z kronik klasztornych wyłaniają się owe początki, świadczące, jak dalece przodkowie nasi rozumieli znaczenie ofiary i modlitwy w rozwoju ludzkich przeznaczeń. Jakby w przeczuciu, że oblubienice Chrystusowe wyproszą tryumf orężа Jana III, rodzice bohatera z pod Wiednia z najrzewniejszą troskliwością wprowadzają zakonnice do zgotowanej im przez nich siedziby. Wojewoda ruski sam w progach klauzury ma oracyę przerywaną łzami, a, gdy niepokoje publiczne przeszkadzają rozwojowi rodzicielskiej fundacyi, po latach ją król Jan uzupełnia i wyposaża. Oba domy z jednakiego pnia wyrastają, we Lwowie i w Warszawie zakłada podwaliny konwentu świątobliwa Matka Teresa od Jezusa, w świecie Maryanna Marchocka. W chwili gdy

nieprzyjaciel na to się usadził,
By wiarę świętą z ojczyzny wygładził...,

onato nieustanną modlitwą „zastawiała się" u miłosierdzia bożego za kraj „ogniem i mieczem" pustoszony. Jan Kazimierz i żona jego, wielkiego ducha Marya Ludwika, uciekali się oboje do Matki Teresy w każdej potrzebie i trosce panowania. Nierzadko, w kronikach klasztornych, para królewska zabiega do wnętrza klasztoru, przysparzając zakonnicom zbudowania. Gdziekolwiek losy króla zapędzą, odzywa się w najmętniejszych chwilach do Matki Marchockiej, polecając się jej modlitwom. W Karmelu składa zwłoki pierworodnej córeczki swojej, Karmelowi ślubuje jedynego syna, zbyt wcześnie opłakanego. Do tej samej kraty zabiegają dostojnicy koronni: kanclerz Jerzy Ossoliński, zwierzający Matce Marchockiej doznane zawody świeckie i upokorzenia, koniuszy koronny Lubomirski z żoną, wielką Karmelitanek przyjaciółką, i drugi Lubomirski, marszałek wielki koronny. Kronika klasztorna nie ma tu monotonności zapisków klauzurowego, jednostajnego życia. Były

to czasy dziwnie niespokojne, nawet dla mniszek. Raz po raz przychodzi im uchodzić, to przed powietrzem, to przed Szwedem lub Tatarzynem, a wtedy, w owych uciążliwych drogach, uwydatnia się pobożność i przychylność corazto innych dobrodziejów, ugaszczających Chrystusowe panny, to w Wiśniczu, to w Niepołomicach, to w Podolińcu. Tu ich wywozi samaż pani kanclerzyna Ossolińska z dwiema córkami: Lubomirską i Kalinowską, tu ich dalej odstawia kasztelanowa biecka, Michałowska, lub kasztelanowa czerska, Giżycka. Nigdzie święte panienki nie pozostają bez opieki, a te poniewolne wędrówki pozwalają nam wniknąć w ówczesne stosunki społeczeństwa polskiego, onego dostatki zarazem i ofiarność wielką, prostotę ducha a dzielność charakteru, szczerość wiary i do ofiary gotowość. Przedewszystkiem rzewną, a ciągłą nutą, przewijającą się poprzez całą tę księgę, jest udział Sióstr zakonnych w walkach i utrapieniach Rzeczypospolitej. Walne pod Beresteczkiem zwycięstwo odbiło się w zapiskach klasztornych tryumfem modlitwy. Niedarmo powtarzały wspólnie modlitwy, ułożone wierszem przez świątobliwą przeoryszę:

O krzyżu błogosławiony,
Bądź od wszystkich wysławiony:
Brońże dziś wojska polskiego,
Za twe imię walczącego.

„I tak pomocne były wojsku polskiemu te modlitwy, że Pan Bóg Zastępów raczył dać dziwne zwycięstwo, kiedy po kilkakroć bezecnych Kozaków z Tatarami z placu od bitwy uciekło i obozu niezmiernego odbiegli".

Znane nazwiska snują się w poczcie córek św. Teresy, z żalem niedoczytujemy się przy wielu klasztornych, przybranych imionach, rodowej nazwy mniszek, które w świecie nieraz najświetniejsze nosiły imiona. Nierzadko matrony, którym nie dane było za życia w święte zaciągnąć się szeregi córek Karmelu, przynajmniej w śmierci się z nim łączyły, przywdziewając habit tercyarski i prosząc o miejsce w grobach klasztornych. O taką łaskę dopraszała się Marya Ludwika dla swojej „królewniczki", tak np. pochowały matkę, córki kanclerzyny Ossolińskiej. Kiedy się widzi ten ścisły stosunek całego społeczeństwa, począwszy od króla, aż do ludu, z dziewicami Bogu poświęconemi, żyjącemi ofiarą, lepiej przychodzi zrozumieć rycerską cnotę owych pokoleń, nietargujących się ani o datek życia, ani o haracz krwi, dobrem sercem dla ojczyzny rozlanej. Widok spełnionej ofiary, do ofiarności czyni sposobniejszym. Nie dziw, że bracia szli ginąć pod Bere-

steczkiem i Batowem, pod Zbarażem i Wiedniem, kiedy siostry tak mężnie wychodziły z wspaniałych rodzicielskich siedzib, aby się dobrowolnie zamykać w ubogiej karmelitańskiej celi. Wszystkie ofiary, wszystkie bohaterstwa, tajemnym ze sobą połączone bywają węzłem.

Niniejszy tom pięknego karmelitańskiego wydawnictwa, osobny ma cel, osobnem tchnie życzeniem. Stwierdzona cudami, duchem proroczym, nieskazitelnością ciała, świątobliwość Matki Teresy Marchockiej, doprasza się uczczenia jej publicznego, podniesienia do czci ołtarzy. Postać jej i pamięć przewija się złotą nicią doskonałej cnoty i łask nadprzyrodzonych poprzez całą księgę kronik klasztornych. Czyż ich publikacya nie da pochopu do podniesienia sprawy jej beatyfikacyi, do podniesienia kości uwielbionych, do ogrzania wiary i ufności w jej przyczynie.

M.

Przewodnik po Śląsku Cieszyńskim wraz z opisem topograficzno-etnograficznym i szkicem dziejów Księstwa Cieszyńskiego. *Ks. Antoni Macoszek.* Lwów. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. Warszawa. Księgarnia S. Sadowskiego. 1901. (Str. 128). Z 19 rycinami, 6 mapkami i planem miasta Cieszyna.

Autor, doskonały znawca tego kawałka ziemi polskiej, tchnący ku niemu przywiązaniem i miłością, robi z czytelnikiem wycieczkę po Śląsku cieszyńskim wzdłuż i wszerz, a więc z Dziedzic do Bogumina, (Oderberg), już w pobliżu granicy językowej morawskiej położonego, a stamtąd w kierunku południowym przez Orłowę, założoną przez księcia Mieczysława Opolskiego, Karwinę, najludniejszą wieś polską na Śląsku cieszyńskim (14000 mieszkańców), Frysztak, ongi przez pewien czas drugą stolicę Piastów cieszyńskich, dalej przez Raj-Darków (kąpiele jodowe) i Cieszyn (17830 mieszkańców bez wojska), do Jabłonkowa, malowniczo rozłożonego w kotlinie okolonej górami należącemi do pasma Beskidów. We wsi tej urodził się pierwszy poeta ludowy na Śląsku cieszyńskim, tkacz, Adam Sikora, który pisał po polsku wcale udatne wiersze świeckie i religijne, choć w szkołach uczył się „po morawsku“ († 1871).

Następnie zwiedza źródła Wisły („wykap“), wieś Wisłę, Ustroń, Skoczów i — na samych już kresach wschodnich Śląska cieszyńskiego położone — kipiące przemysłem miasta: Bielsk (16554 mieszkańców) i Białę. Również — kraj nad Ostrawicą, ów najbardziej na zachód wysunięty skrawek Śląska cieszyńskiego.

Wszystkie te wędrówki po kraju i wycieczki opisuje autor barwnie i żywo, nie przeciążając opowiadania zbytnimi szczegółami i cyframi; przytacza natomiast przy sposobności piękne legendy ludowe, a nawet całe osobne rozdziały poświęca etnograficznemu opisowi górali, stroju i języka ludności polskiej w Księstwie Cieszyńskiem. Najwięcej miejsca poświęcił autor opisowi Cieszyna, kreśląc jednocześnie dzieje zamku i miasta, na tle dziejów ogólnych Księstwa Cieszyńskiego.

Dziś ziemia cieszyńska tworzy dość regularny czworobok, o rozległości 2300 kwadratowych kilometrów, graniczący od północy ze Śląskiem pruskim, od zachodu z Morawą, od południa z Węgrami, a od wschodu z Galicyą. Od strony Śląska pruskiego dzieli kraj ten Odra, Piotrówka i Wisła, od Morawy Ostrawica, od Węgier główny łańcuch Beskidów, od Galicyi Białka i pasmo gór z Baranią i Magórą.

Według danych urzędowych z roku 1900 w Ks. Cieszyńskiem było 177403 Polaków, 74856 Czechów i 41857 Niemców. Ogólna zaś liczba ludności wynosi 368241. Ks. Macoszek jednak twierdzi, iż cyfra Polaków w rzeczywistości jest znacznie wyższą, a mianowicie wynosi około 225000. Niemcy zamieszkują Bielsk i okoliczne wsi, Czesi zaś, a właściwie Morawianie, dorzecze Ostrawicy.

Już w r. 1155 czytamy w aktach wzmiankę o *castellatura Tessin.* Kiedy w r. 1290 podzielono księstwo opolskie na cztery części, jedną z nich, a mianowicie miasto Cieszyn z okolicą otrzymał ks. Mieczysław, który się poddał pod zwierzchnictwo króla czeskiego Jana. Najpotężniejszym księciem cieszyńskim był Przemysław (1358—1407). Po śmierci Elżbiety w r. 1653, siostry ostatniego Piasta cieszyńskiego, Fryderyka Wilhelma, rząd cesarski objął Cieszyn jako lenno opróżnione. Od tej chwili też kończą się dzieje tego miasta, jako stolicy księstwa udzielnego. Poniżej opustoszałego zamku, rozpadającej się w gruzy starej siedziby Piastów, wzniesiono z czasem skromny „zamek“ — mieszkanie dla dyrektora dóbr kameralnych, których właścicielem jest dziś arcyksiążę Fryderyk.

Kreśląc swój szkic historyczny „dziejów zamku i miasta Cieszyna“, na tle ogólnych dziejów Ks. Cieszyńskiego, nic nie wspomina ks. Macoszek o r. 1335. A jest to data w dziejach Śląska ważna, w tym bowiem roku odbył się w Wyszehradzie zjazd Kazimierza Wielkiego z Janem Czeskim i Karolem Robertem, na którym właśnie Kazimierz Wielki zrzekł się tych księstw śląskich, co już lenną zwierzchność Czech uznały. W ten sposób od r. 1335 datuje się formalne odłączenie Śląska od Korony Polskiej.

Dodać tu jeszcze winniśmy, iż omówioną książeczkę zdobią bardzo dokładne i liczne mapki i ryciny, przedstawiające widoki miejscowości, również typy, stroje i hafty ludowe, co znacznie podnosi wartość tego „Przewodnika“.

Henryk Ułaszyn.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Studien zur oesterreichischen Agrargeschichte von *Dr. Karl Grünberg*, Professor der politischen Oekonomie an der Universität Wien, Leipzig Duncker und Humblot 1901 str. VI, + 281.

Autor, zaszczytnie znany jako historyk kwestyi zniesienia stosunków poddańczych w Czechach, na Morawach i na Śląsku, zebrał obecnie trzy studya, odnoszące się do historyi stosunków agrarnych i wydał je w książce, której tytuł wymieniliśmy powyżej.

Pierwsze studyum, to praca o zniesieniu stosunków poddańczych na Bukowinie. Praca ta, oparta na źródłach archiwalnych, zwłaszcza na materyałach tajnych archiwów wiedeńskich, nosi tytuł *Die bauerlichen Unfreiheits und ihre Beseitigung in der Bukowina.* Autor sądzi, że niektóre stosunki, istniejące na Bukowinie, ścieśniają w znacznie wyższym stopniu swobodę indywidualną jednostek, niż to bywa zazwyczaj w stosunkach poddańczych. Dotyczy to mianowicie cyganów, których, zdaniem autora, trzeba uważać za niewolników w pełnem tego słowa znaczeniu. Ale i autor przyznaje, że cyganie nie byli w zupełności pozbawieni osobowości prawnej, ponieważ mieli *connubium*, choć co prawda tylko pomiędzy sobą. Poza tem żadnej osobowości prawnie cyganie nie posiadali. Było to więc zjawisko w XVIII w. zupełnie anormalne, a rząd austryacki musiał z natury rzeczy pomyśleć o zniesieniu stosunków tego rodzaju, najpierw dlatego, że unifikacya rzeczowa Bukowiny z Austryą leżała w interesie ogólno-państwowym, a powtóre także ze względów fiskalnych, ponieważ cyganie-niewolnicy wolni byli od podatków, jako przedmiot własności prywatnej. Zniesienie „niewoli“ cygańskiej nie miało zresztą w praktyce skutków zbyt doniosłych; korzyści materyalne z tej emancypacyi były bardzo niewielkie, gdyż cyganie często dobrowolnie przekraczali granicę i oddawali się w usługi dawnym panom lub przyłączali się do jakiejś hordy koczującej.

Bardziej ogólne znaczenie miały stosunki poddanych, zwanych *Vecini* (od *vicus*). Pierwotnie tylko księciu przysługiwało prawo do chłopskich posług i dziesięcin, a dopiero z czasem w drodze nadań książęcych prawa te przeszły na osoby prywatne, na bojarów i na klasztory. Prawa posiadania były ściśle oznaczone, a wolność przesiedlania się zawarowana. Stosunki te później znacznie się nawet pogorszyły. Większe pretensye podatkowe książąt względem panów, zamiana danin naturalnych na daniny pieniężne i coraz dalej potępiające różniczkowanie się potrzeb klas posiadających spowodowały przywiązanie chłopa do gleby, ograniczenie praw posiadania, zwiększenie zawisłości chłopa od pana, wreszcie zwiększenie danin i usług chłopskich.

Ale chłop bukowiński nie był niewolnikiem. Przywiązaniu do gleby odpowiadało także prawo do gleby. Pan nie miał też prawa życia i śmierci nad chłopem. Ale najbardziej uwagi godnym momentem w tym stosunku — w odróżnianiu od stosunków analogicznych, panujących w innych krajach austryackich — było to, że poddaństwo było stosunkiem natury tylko ściśle prywatnej, gdyż panowie nie pełnili żadnych funkcyi publiczno-prawnych.

Pewne ulgi w tym stosunku starano się zaprowadzić już za czasów rumuńskich. Ale reformy te nie ostały się faktycznie, z jedynym chyba wyjątkiem regulacyi podatków, dokonanej zresztą na niekorzyść chłopów. Po okupacyi austryackiej nadano przedewszystkiem stosunkowi poddaństwa pewien charakter publiczno-prawny, a mianowicie poruczono panom funkcye administracyjne pierwszej instancyi. Z jednej strony było to zwiększeniem władzy dominiów, z drugiej zaś ściśle z niem połączone powiększenie nadzoru władzy państwowej.

Nowy rząd zdążał również do utrzymania chłopskiej własności w rękach chłopskich, do polepszenia indywidualnych chłopskich praw posiadania i do regulacyi powinności poddańczych.

Powinności poddańcze niedługo przed okupacyą austryacką uległy regulacyi przez rozporządzenie Grzegorza Ghiki z 1 stycznia 1766. Rozporządzenie to stało się później główną podstawą dalszej działalności administracyi austryackiej. Powinności poddańcze są wedle tego rozporządzenia dwojakie: robocizny i dziesięciny. Robocizny są dla wszystkich poddanych równe. Wynoszą one z reguły 12 dni w roku. Zamiast robocizny może dominium zażądać daniny, która wynosi za każdy dzień robocizny 10 krajcarów. Rozporządzenie Ghiki ma znaczenie tylko dyspozytywne. W wielu wypadkach były też faktycznie robocizny zupełnie inne, a dziesięciny były główną podstawą dochо-

dów dominialnych. Już wtedy pojawia się tendencya do rozszerzenia gospodarstwa folwarcznego, która łącznie z dyspozytywnym charakterem rozporządzenia Ghiki sprawia, że skutki jego praktyczne są mało znaczące.

Reforma stosunków poddańczych z natury rzeczy rozpocząć się musiała od indywidualizacyi posiadania gruntów chłopskich. W przeciwstawieniu do innych krajów austryackich, kontrahentem, z którym pan zawierał umowę, nie był każdy z osobna chłop, ale gmina. Oddzielne grunta mieniano między sobą. Miało to skutki ujemne tak ze względu na jakość kultury rolnej, jak i ze względu na stałość własności indywidualnej. Wprawdzie wspólność gruntów nie była jedyną formą posiadania gruntów poddańczych, bo obok niej, zwłaszcza w okolicach górzystych, znachodzi się także posiadanie indywidualne, ale w każdym razie na nizinach wspólność gruntów była formą typową. Indywidualizacya posiadania stała się jednak trwałem dążeniem rządu austryackiego od pierwszej chwili okupacyi. Po licznych próbach i nieudałych usiłowaniach dokonała ostatecznej reformy w tym względzie Najw. rezolucya z 24 października 1835.

Dalsze fazy tej sprawy na Bukowinie nie przedstawiają żadnych specyficznych właściwości.

Druga rozprawa poświęcona jest kwestyi zdolności nabywania własności ziemskiej w krajach czeskich przed r. 1848. Osoby nieszlacheckiego pochodzenia były tu mianowicie wykluczone od nabywania gruntów dominialnych nawet wtedy, gdy grunt nie był ani lennym ani powierniczym. W przeciwstawieniu do gruntów dominialnych były grunta chłopskie dostępne dla każdego, a wyjątek w tym względzie stanowiły tylko własne zwierzchności gruntowe. Miejskie grunta wreszcie były dostępne wszystkim stanom, z wyjątkiem poddanych (na czas trwania stosunku poddańczego).

Ograniczenie zdolności prawnej do nabywania gruntów tabularnych miało wyłącznie polityczne cele na oku tj. utrzymanie dawnego układu sił społecznych na korzyść szlachty, nie uwzględniało zaś bynajmniej ani sposobu prowadzenia gospodarki rolnej na gruntach dominialnych ani stosunków prywatno-gospodarczych oddzielnych rodzin szlacheckich. Tym potrzebom prywatno-gospodarczym miały zaradzić powiernictwa i tym podobne instytucye prawne. Tu zaś chodziło o to, by szlachta nie utraciła gospodarczej podstawy swej przewagi politycznej. Więc mogące zachodzić zmiany posiadania, miały się wyłącznie obracać w łonie szlachty.

Również polityczne względy zdecydowały o wyłączeniu klasy poddanych od zdolności posiadania gruntów miejskich. W ten sposób chciano mianowicie uchronić dawną organizacyę administracyjną i sądową w mieście, jako też i dawną wiejską organizacyę roboczą. Natomiast zakaz nabywania gruntów chłopskich przez własne dominia był spowodowany względami na kulturę krajową i okolicznościami natury socyalno-politycznej, mianowicie dążnością do utrzymania rolniczego przedsiębiorstwa drobnego i średniego. Podobne też cele miał na oku zakaz połączenia dwóch gospodarstw włościańskich w jednem ręku.

R. 1848 obalił cały ten system stopniowanej zdolności nabywania własności ziemskiej. Obrót gruntów nie napotykał obecnie na żadne ograniczenia. Skutki tej zmiany były wszakże w oddzielnych kategoryach własności ziemskiej różne. I tak, o ile chodzi o własność chłopską, widoczną stała się teraz tendencya pochłonięcia tej własności przez własność wielką, bądź to oddawna istniejącą, bądź też nowo powstałą. Te dążenia objawiały się tu i owdzie i przed r. 1848, ale pełny ich rozwój był uniemożliwiony już to przepisami ustawowymi, już też strukturą ustroju własności ziemskiej. Odtąd upadł zakaz nabywania gruntów chłopskich przez dominia. Odtąd też mógł chłop bogaty rozszerzać swoje gospodarstwo bez żadnych ograniczeń. Również i miejski kapitalista, który dawniej na obszarze tego samego dominium mógł nabywać tylko jedno gospodarstwo, stojące przy tem pod jurysdykcyą dworską (więc mógł nabywać tylko parcele rozrzucone), odtąd mógł przystąpić do utworzenia większego gospodarstwa folwarcznego. A choć mogą być sporne rozmiary, w jakich się ujawnia ta tendencya, jej istnienie nie ulega żadnej wątpliwości.

Nie tak doniosłe zmiany nastąpiły we własności tabularnej; z końcem lat osiemdziesiątych bowiem zaledwie 7·69% tej własności należało do mieszczan, a na samych książąt i hrabiów wypada 65·53%. Ważną pomocą dla konserwacyi tej własności była indemnizacya, która w krajach czeskich wynosiła $72^1/_4$ milionów złr. Równie ważnym czynnikiem w tym względzie były także liczne powiernictwa (30%) a nadto same znaczne rozmiary własności tabularnej.

W trzeciej rozprawie autor roztrząsa wiarogodność twierdzenia, że, obok wielu innych okoliczności, zniesienie w r. 1868 i 1869 przepisów o odrębnym porządku dziedziczenia w gospodarstwach włościańskich i o niepodzielności tych gospodarstw, jest jedną z walnych przyczyn upadku stanu chłopskiego.

Autor stara się wykazać częściową mylność tej opinii. Osobne prawo o porządku dziedziczenia dla gospodarstw chłopskich nie istniało wcale w tych prowincyach, w których je zniesiono w r. 1868—1869, a w Przedarulanii i Tyrolu północnym istniało jak dawniej, tak i dzisiaj. W innych prowincyach austryackich zniesiono faktycznie tylko odrębne przepisy o podziale spuścizny, nie zaś o porządku dziedziczenia.

I w tem studyum, jak w poprzedniem, uwzględnia autor w pierwszym rzędzie stosunki krajów czeskich, a tylko cokolwiek potrąca o Galicyę i Bukowinę. Od ostatniej ćwierci XVIII w. aż do r. 1868 grunta chłopskie czyli sadyby poddańcze były ustawowo, albo zupełnie niepodzielne, albo niepodzielne pod pewnymi tylko warunkami. Ponieważ wspólne gospodarowanie kilku współwłaścicieli było z jednej strony przeciwne zwyczajom ludowym, z drugiej zaś było zwalczane przez ustawodawcę ze względu na kulturę krajową, przeto jeśli było kilku dziedziców uprawnionych do dziedziczenia, to posiadłość trzeba było albo sprzedać a kwotę ze sprzedaży uzyskaną rozdzielić między współdziedziców, albo też całą posiadłość obejmował jeden ze współdziedziców. Nie uniemożliwiając zastósowania pierwszej alternatywy, państwo dążyło widocznie do rozpowszechnienia drugiej. Dążenie to jest widoczne przedewszystkiem w tem, że — subsydyarnie co prawda i na wypadek dziedziczenia beztestamentowego — ustawa oznacza osobę descendenta, mającego objąć posiadłość, nie pozostawiając unormowania tej kwestyi dowolnemu porozumieniu się każdego z descendentów.

O ile chodzi o porządek dziedziczenia posiadłości włościańskich, to w tym względzie dawne prawo austryackie w niczem się nie różni od powszechnego prawa cywilnego. Dziedzic, obejmujący posiadłość włościańską, w żadnym kierunku nie zajmował innego stanowiska, jak obcy nabywca. Nie wyklucza to zresztą pewnego uprzywilejowania go, ponieważ spadkodawca mógł ograniczyć współdziedziców do samego zachowku tylko. Ale wówczas było koniecznem istnienie rozporządzenia ostatniej woli. Odrębne przepisy istniały tylko w kwestyi podziału spuścizny, w szczególności w sprawie, kto ma objąć posiadłość. Ale przepisy te były logiczną konsekwencyą ustawowej niepodzielności gruntów poddańczych, miały zresztą charakter subsydyarny tylko.

W praktyce, w różnych obwodach wytwarzało się różne prawo

zwyczajowe. Faktyczne stanowisko dziedzica, obejmującego gospodarstwo włościańskie jest w wyższym lub niższym stopniu uprzywilejowane.

Obecnie tendencya zwyczajowa coraz bardziej przejawia się w kierunku równych praw do spuścizny. Wobec tego, że w krajach czeskich do podziału *in natura* nie dochodzi prawie nigdy rodzeństwo jest bardzo w tem interesowane, by wypłata kwot mu należnych rychło nastąpiła, wobec tego, że emigracya ze wsi do miasta lub za morze jest coraz częstszym objawem. W tej zmianie warunków gospodarczych widzi też autor wielką przyczynę zmiany w postępowaniu przy podziale spadków włościańskich jak i przyczynę coraz bardziej wzrastającego podziału własności chłopskiej.

Zasada równego traktowania dziedziców istniała także w Galicyi. Autor opisuje na podstawie wiedeńskich materyałów archiwalnych próby, jakie czyniły władze ówczesne celem zaprowadzenia w Galicyi odrębnych przepisów w tym względzie. Usiłowania te nie doprowadziły do żadnego pozytywnego rezultatu. Bliższe zbadanie tej kwestyi specyalnie dla Galicyi byłoby bardzo pożądanem, zwłaszcza że tu właśnie panują w wielu kierunkach zupełnie odrębne stosunki, a przedewszystkiem częsty podział spuścizny *in natura*, nie praktykowany w krajach czeskich.

Teza, którą autor postawił w tej pracy, nie jest zupełną nowością. Postawił ją jeszcze przed laty Unger, potem Tad. Pilat i inni. Niewątpliwą zasługę autora stanowi to, że zebrał dla udowodnienia tego twierdzenia obszerny materyał agrarno-historyczny, którego brak odczuwano dotychczas dotkliwie.

Dr. Z. Gargas.

Les soeurs aveugles par *Maurice de la Siseranne*. Paris. Lecoffre 1901.

Czytelnicy *Przeglądu* spotkali się już z nazwiskiem autora, którego nowe dzieło dziś witamy. Przed kilkoma laty zdawaliśmy na tem miejscu sprawę z wrażeń niewidomego, *Impressions d'un aveugle*, tegoż samego pióra. Pan Maurycy de la Siseranne jest bowiem ociemniały, i całą duszę, życie, majątek oddał spółtowarzyszom niedoli. Z własnego doświadczenia czerpiąc odpowiednie wskazówki, dowodzi on niezbicie, iż byle ślepemu podać rękę pomocną, nie uczuje on wydziedziczenia z praw ogólno-ludzkich, że wytrącenie niewidomych z pola zwykłych zajęć, zabiegów i wspólności usiłowań jest niesprawiedliwością przydaną do ich niedoli. Twierdzi dalej, że wydoskonaleniem innych zmysłów, ciemni mogą utracony zmysł zastąpić i wy-

nagrodzić sowicie, że o to tylko chodzi, aby dopuścić nieszczęśliwych do dorobku kultury ludzkiej, ułatwić im kształcenie się i czytanie. Bo dzięki dobroczynnym wynalazkom, udostępniono ślepym książki, dla nich w właściwy sposób drukowane. Już w końcu XVIII w. Walenty Haüy, ulitowawszy się nad losem niewidomych, wpadł na myśl wypukłych czcionek, któreby im pozwoliły kształcić się i rozwijać umysłowo. W 1829 r. inny Francuz Ludwik Braille, sam ociemniały, ułatwił towarzyszom niedoli sztukę czytania. Stworzył bowiem osobny alfabet, złożony z kilku zaledwie kropek wypukłych, coraz to inaczej ustawianych, a więc A. B.., C:, E:: i tak dalej. Za pomocą tych znaczków tajemniczych drukują się całe biblioteki dla użytku ślepych, drukują nuty najzawilszych kompozycyi muzycznych, powstają całe zbiory t. zw. „ksiąg białych", bo zaledwie nakrapianych wypukłymi punktami, po których palce ciemnych czytelników tak szybko, tak biegle się przesuwają, iż dziecko nawet w przeciągu jednej minuty do 89 słów odczytać jest w stanie. Największy dziś dobrodziej ociemniałych, autor książki, której tytuł wypisaliśmy powyżej, stworzył całą t. zw. bibliotekę Braille, doliczającą się przeszło 4000 tomów a mającą już kilkanaście filii i wypożyczalni na prowincyi. Francya ma co najmniej 40 000 ociemniałych, z których niestety! zaledwie jedna czwarta doznaje właściwej opieki i odpowiedniego rozwinięcia. Reszta, a więc 30000, marnieje w cieniach nocy, z której umiejętne starania mogłyby ich choć w części wydostać. Dla tego też dzieło, z którem nas autor niniejszej książeczki zapoznaje, osobne ma znaczenie, osobnego a pożądanego powinnoby się doczekać rozrostu.

Mało kto u nas słyszał o Ciemnych Siostrach św. Pawła. Anna Bergunion, urodzona w Paryżu na początku XIX wieku, rwała się całą gorącą duszą do jakiego większego poświęcenia, zupełniejszej ofiary. Własne wątłe zdrowie, niedomaganie starych rodziców, chybione próby zakonnego życia, wszystko to razem wzięte zatrzymało ją w świecie aż do połowy co dopiero zamkniętego stulecia. Od pewnego już czasu przygarniała dokoła siebie ociemniałe dziewczątka, litując się nad ich losem, ubolewając między innymi iż tym duszom, z natury swej bardziej skupionym i do wewnętrznego życia sposobnym, niedostępnymi są klasztory, zamknięte drogi zakonnego powołania. A gdyby tak im osobną otworzyć przystań? Zasięgnąwszy rady znakomitych dostojników Kościoła, otrzymawszy błogosławieństwo Piusa IX dla swego zamiaru, ubezpieczywszy sobie pomoc światłego kapłana, ks. Juge, który po utracie wszystkiego, co ukochał na ziemi, oblekł się

był w duchowną sukienkę i rwał się do większych poświęceń, Anna Bergunion zawiązała zgromadzenie Ciemnych Sióstr św. Pawła, w których poczet przyjmowane bywają na przemian i widzące i niewidome postulantki. Każda ciemna siostra ma sobie przydzieloną widzącą towarzyszkę, której oczy służą siostrzanej parze, podczas gdy praca na obiedwie się rozkłada. Widząca siostra wiedzie niewidomą do chóru, do Stołu Pańskiego, opiekuje się nią, niby Stróż Anioł łagodzi tęsknotę za światłem, niecierpliwe nieraz wyglądanie, bądź cudu darzącego doczesnym już wzrokiem, bądź też wiekuistą światłością. Dobre siostrzyczki rozdzielają między siebie domowe zajęcia, widzące np. zamiatają korytarze i cele, niewidzące ścierają kurze; widzące piorą, niewidzące składają bieliznę; widzące przykrawają, przygotowują roboty ręczne, niewidzące je wykonywują, władając biegle igłą czy igliczkami, a przedewszystkiem i jedne i drugie znajdują ciągłe zajęcie w drukarni klasztornej, skąd rozchodzą się na całą Francyę owe „białe książki", ustawiające pomost między umysłem ociemniałych a światem żyjących. Tu się one składają, drukują, wydają z dokładnością i starannością, budzącą podziw u najbieglejszych typografów. Ciemne siostry oddają tu walne usługi, a tak są wprawne i uważne, że nie było wypadku, aby się nakład rozsypał, jak się to nieraz po innych drukarniach wydarza. Zakłady św. Pawła są ogniskiem skąd tryska światło dla wszystkich ociemniałych obeznanych z alfabetem Braille'a. Między innymi, wydrukowano tym sposobem najpiękniejsze utwory Wiktora Hugo, wydano całego Wagnerowskiego *Parsifala.*

Muzyka oczywiście z osobnem zamiłowaniem bywa uprawianą wśród Zgromadzenia. Ociemniali zwykli mieć wydekalicone ucho i osobne do muzyki zdolności. W samym ubogim klasztorku paryskim znajduje się aż siedem fortepianów! Dziwić się temu niepodobna, zważywszy, iż dla wielu ociemniałych muzyka, krom rozkoszy, przynosi w późniejszem życiu pewny zarobek. Nie brak w Paryżu organistów pozbawionych wzroku, stroicieli fortepianów, nauczycielek muzyki ociemniałych. Siostry św. Pawła przygarniają do siebie nieszczęśliwych wszelkiego wieku; rosną pod ich kierunkiem całe zastępy ślepych dziewczątek, nieraz zaledwie kilkoletnich, umierają w ich objęciu staruszki siedmdziesięcioletnie, które pod ich opieką ostatnie przepędzają lata.

Św. Paweł został obrany patronem Zgromadzenia, przez pamięć na jego olśnięcie w drodze do Damaszku; poczem tknięty łaską, wraz z wodą chrztu św. i wzrok doczesny odzyskał. Jego też święto z oso-

bną uroczystością tu bywa święcone. Drugim patronem zgromadzenia jest święty Rafał, towarzysz młodego Tobiasza, który wzrok staremu Tobiaszowi przywrócił. Czarna suknia i zasłona nie odróżnia sióstr św. Pawła od zwykłej rzeszy zakonnej. Życie ich ubogie i zaparcia pełne, trzymane jest w karbach najprostszej reguły, nie wymagającej żadnych większych umartwień, wielkiego tylko wymaga poświęcenia. Nic rzewniejszego nad obłóczyny w klasztorku św. Pawła. Brzmią wzruszająco responsa chóru, powtarzającego wciąż jednakie zapewnienia:

Chór I. Królestwem świata i wszelką ozdobą jego wzgardziłam dla miłości Chrystusa Pana, którego ujrzałam, ukochałam i obrałam na wieki.

Chór II. Serce moje zanuciło pieśń wesela, śpiewam chwałę Pana mojego.

Chór I. Którego ujrzałam, obrałam i ukochałam na wieki.

Chór II. Chciałam być wzgardzoną w domu Pana mojego.

Chór I. Którego ujrzałam, ukochałam i obrałam na wieki.

Chór II. Chwała Ojcu i Synowi itd.

Chór I. Którego ujrzałam, ukochałam i obrałam na wieki!

Quem vidi, quem dilexi, quem semper optavi, te słowa z liturgii, na dzień św. Agnieszki wyjęte, tu brzmią dziwnie przejmująco — zwłaszcza to zapewnienie oglądania Bożego oblubieńca przez pozbawione doczesnego wzroku dziewice.

Wśród rozlicznych zadań klasztorów św. Pawła, znajduje się i przyjmowanie ociemniałych pań, które za stosowną opłatą, znajdują tu, obok starannego utrzymania, najtkliwszą, serdeczną opiekę. Dzieci kształcone bywają w miarę zdolności swoich. Niektóre z nich do wyższych dochodzą studyów, uzyskując nawet patenta nauczycielskie. Większość atoli skierowaną raczej bywa na zawodowe szlaki zarobkowania, aby im zapewnić chleb w dalszym ciągu życia.

Rzewna ta książeczka wprowadza nas w świat niedoli, rozpogodzonej miłością i wiekuistą nadzieją. Z krzyża nie rzadko zielone puszczają liście, kwiaty wonne, owoce szlachetne. Drzewo to rodzajne, w którego cieniu ludzkie cierpienia przemieniają się cudownie i opromieniają zasługą. Czyż i krzyż ociemniałych, i niewidoma gromadka Anny Bergunion podlegać będą nowej ustawie przeciw kongregacyom? Czy i „ciemne siostry“ po omacku zmuszone będą szukać drogi wygnania, a ich ślepa trzódka pójdzie w rozsypkę? Wszystko dziś jest przypuszczalnem i możliwem, bo na tym samym gruncie francuskim, z którego najpiękniejsze, zbożne wyrastają dzieła, rosną bujnie i chwa-

sty bezbożności, usiłujące kąkolem stłumić, zadusić żniwo Boże. Kiedyż ustanie „zaślepienie“ rządzących, kiedyż Francya, chwilowem tknięta olśnięciem, odzyska utracony zmysł jasnowidzenia i rozpoznania, które to rzeczy i dzieła są ku jej dobru, wielkości, zbawieniu?

M.

Meinrad Helnysergers denkwürdiges Jahr. Eine Erzählung von *E. von Handel Mazetti.* Stuttgart und Wien. Jos. Roth'sche Verlagshandlung. Str. 610.

Uczony angielski, Mac Endoll, żyjący w drugiej połowie wieku XVII i w początkach XVIII, wysyła swego dziewięcioletniego syna na dłuższy pobyt do przyjaciela, mieszkającego w Wiedniu; nie chce bowiem, by pacholę było świadkiem śmierci nieuleczalnie chorej, a ubóstwianej, matki. Przyjaciel jednak już umarł, chłopca spotyka zakonnik benedyktyński, Meinrad, i zaprasza wraz z jego sekretarzem, Mario, do klasztoru. Po jakimś czasie Mario wraca do Anglii, a dziecko udaje się z Meinradem do sławnego benedyktyńskiego gimnazyum w Kremsmünster. Ciężkie chwile przechodził tu syn angielskiego pana; począwszy od opata a skończywszy na najmłodszym z uczniów, wszyscy mu dokuczają, jako heretykowi — w takich chwilach łagodzi wzburzone serce dziecka O. Meinrad, chłopię też coraz więcej do niego się przywiązuje. Nadchodzi jednak czas rozstania, matka w dalekiej Anglii umarła, ojciec przyjechał, by dziecko z klasztoru zabrać; zakonnicy nie chcą chłopca oddać, muszą jednak ustąpić wobec słusznych praw ojcowskich. Dziecię odjeżdża, Meinrad za niem tęskni a jedyną jego pociechą jest myśl, że poczta przyniesie mu list od ukochanego dziecięcia. Mac Endoll po rozmaitych przygodach przybył do Berlina, gdzie stanął w domu swej krewnej; w Berlinie szuka nakładcy dla swego ateistycznego dzieła *Ratio crucifixa* a Żyd Meyer zgadza się na drukowanie książki. Mario tymczasem, który udawał wiernego sługę swego pana, w gruncie zaś rzeczy go nienawidził, ponieważ przypisywał jemu śmierć żony, w której sam się potajemnie kochał, oskarżył przed superintendentem o ateizm swego pana; siepacze zabrali Mac Endolla do więzienia a tłum, dowiedziawszy się o prawdziwej przyczynie aresztowania, chciał go ukamienować. Wina była jawna, czekała więc Anglika kara śmierci, lecz niektórzy z sędziów, porwani wymową Hartmanna, ucznia Leibniciusza, głosowali za wolnością. Wtenczas Mario, widząc, że ofiara jego zemsty z rąk mu się wymyka, złożył przeciwko oskarżonemu świadectwo, że zawarł

pakt z szatanem. To przeważyło szalę na niekorzyść więźnia. Wzięto go na tortury, a gdy się do przymierza przyznać nie chciał, boć nie mógł, kazał przewodniczący przyprowadzić młodego syna Mac Endolla. Chłopiec miał być biczowany, by ojciec, przerażony jego widokiem, winę swoją wyznał. Serce ojca ściskało się boleśnie, lecz pozostał nieubłagany — cierpienie jednak moralne było tak silne, że umarł wśród mąk. Przedtem jeszcze łaska skruszyła twarde serce, skonał z słowami: wierzę. W jakiś czas potem, syn zamordowanego złożył w Kremsmünster wyznanie wiary.

Oto treść, świadcząca już samą naiwnością swej inwencyi o artystycznym poziomie tej książki. Widać w książce wiele dobrej chęci autorki, zdarzy się nawet w niej jeden, drugi epizod udatny, za mało to jednak wobec słabej całości, przymglonej w dodatkn zawiłą kazuistyką.

X. W. Wiecki.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

BISKUP RZYMSKI »IN PARTIBUS INFIDELIUM« I NIEUDANY ZAMACH NA JEGO PRAWA.

Nieprzyjaciele Kościoła marzyli przez długie i długie lata, że papież, odarty z władzy świeckiej, straci wszelką potęgę i Kościół Powszechny, pozbawiony Głowy, runie sromotnie, a wichry rozmiotą jego zwaliska i nie zostawią po nich śladu, jak śladu po sobie w społeczeństwie nie zostawiły różne wierzenia pogańskie. Więc wolnomularstwo przez blisko sto lat krzewiło zasadę: „precz z papieżem-królem!“, aż nakoniec wydarto państwo kościelne Piusowi IX-mu. I już ćwierć wieku upłynęło, odkąd następca Piotrowy, odarty z władzy świeckiej, miał według wolnomularzy patrzeć na stopniowy upadek zwierzchniczej swojej władzy nad Kościołem Powszechnym. Ale duchowna potęga Rzymu nie legła w gruzach, owszem Leon XIII, zamknięty w Watykanie, więcej zdziałał, niż mogło dokazać wielu papieży, na stolicy niezależnego państwa kościelnego. Więc nowy pomysł zaświtał, jak gwiazda przewodnia, dla nieprzyjaciół Kościoła: niech biskup rzymski straci także duchowną władzę nad własną dyecezyą, niech jego własna stolica biskupia od niego odstąpi a przejdzie pod chorągiew Lutra, wtedy zostanie w Watykanie pasterz bez owczarni, biskup *in partibus infidelium;* wtedy

Głowa Kościoła, odcięta od ciała, przestanie krępować wolne myśli, a człowieczeństwo bez pana, bez wiary, bez Boga zazna swobody i w pełni użyje swoich praw do woli.

Za przewodnią gwiazdą tego pomysłu ruszyli na Rzym głównie metodyści, waldensi i nowochrzczeńcy. W samej Ameryce zebrali z początkiem tego roku miliony i wydają je hojnie na zakłady „dobroczynne", którymi zamierzają oderwać Rzym od papieża.

Przejezdni pątnicy, zwłaszcza młodzież obojga płci, kiedy zajeżdżają na dworce rzymskie, doznają od pewnego czasu grzecznej usługi ze strony jakichś panów, którzy jako profesorowie archeologii niby przypadkiem spotykają przyjezdnych i objawiają ochotę oprowadzania ich po Rzymie. Profesorów takich wysyła do przyjezdnych jeden z „dobroczynnych" zakładów protestanckich i wprawia ich do obowiązków *ciceronego*, aby na tle archeologicznem, przy opisie starożytnych zabytków miasta wiecznego, wsiewali w umysł niebacznej młodzieży ziarno wszelakich zarzutów przeciw papiestwu. Do rąk duchowieństwa wpadają uprzejme zaprosiny do zakładu na Via Palermo; w tym także „dobroczynnym" zakładzie protestanci przygotowali wszelką opiekę i wygodę dla księży katolickich, którzyby zapragnęli zostać pastorami. Kiedy zubożały szlachcic szuka po Rzymie dobrej a taniej szkoły dla córki, uprzejmy wysłannik z „Instituto Crandon" prowadzi na Via Venetà do wspaniałego pałacu, gdzie dumny choć goły pan umieści córkę w gronie panien z najlepszych domów za przystępną cenę; złoto amerykańskie opłaca tam naukę, a pierwszorzędni mistrze uczą języków, muzyki, rysunku, pedagogii i wielu innych przedmiotów nader pożytecznych dla córek ubogiej arystokracyi, której nigdzie tyle nie widać, jak w Rzymie. Wiedzą ci katoliccy patrycyusze, że ich córki wstępują do zakładu metodystów, ale polegają na słowie zarządców, że „Instituto Crandon" nie wywiera żadnego wpływu na uczennice pod względem wyznaniowym. A angielski sprawozdawca donosi jednak, że uczennice co tydzień wykonywają swoje *church-office*, słuchają przemowy głoszonej przez „ministra słowa", w niedzielę muszą brać udział w modlitwie i śpiewie,

a nadto uczestniczą w „rozmowie pobożnej“, na którą „dla towarzyskich stosunków“ przychodzą predykanci i teolodzy protestanccy. Skutki nie dają na siebie czekać długo: w marcu roku bieżącego już cztery uczennice przeszły na protestantyzm a inne, za świadectwem zarządczyni objawiają poglądy wolne od rzymskiej ciasnoty a skłonne ku czystej ewanielii. I ten to zakład obiecuje dostarczać nauczycielek, ochmistrzyń i zarządczyń dla domów włoskich. Dla chłopców jeszcze więcej pootwierali metodyści zakładów. Nadto chciwą nauki zawodowej najuboższą młodzież przygarniają liczne szkoły bezpłatne z wykładami handlowymi, muzycznymi, języków i t. d., nakoniec czytelnie i księgozbiory udzielają pomocy naukowej.

Prócz tych środków „dobroczynnych“ wchodzą w grę także inne środki: czasopismo *l'Evangelista* i powódź pisemek ulotnych obrzucają błotem Kościół Powszechny i jego sługi; hasło: ze Rzymem precz! pod bokiem papieża brzmi coraz zuchwalej i, jak twierdzi *Reichspost,* nie bez oddźwięku brzmi między Włochami.

A na właściwe ubóstwo i żebractwo Rzymu zakłada „miłosierdzie“ protestanckie najwięcej sieci. W każdej dzielnicy widnieją na ulicach wydatne napisy: *Sala cristiana,* które gromadzą tłumy starców, żebraków i kalek, aby im dostarczyć chleba, pieniędzy i lekarstw a przy tem wszystkiem nałożyć tylko jeden obowiązek: żeby posłuchali nauki pastora. Na placu św. Wawrzyńca tani sklep bielizny i sukień służy za miejsce odbytu dla robót, wykonywanych po różnych laboratoryach, czyli pracowniach, gdzie każda szwaczka znajdzie dobrze płatną robotę, byle tylko w oznaczonych dniach co tydzień słuchała przemowy predykanta. Główny jednak nacisk pada na dzieci biednych rodzin, dla których powstały liczne ochronki protestanckie. Gdzie katolicy zdołali założyć ochronkę własną, tam protestanckie prędko pustoszały, nawet najliczniej odwiedzane, jak np. na *via Cola di Rienzo* schronisko dla sześćdziesięciorga dzieci, a na *via Conte Verde* pozostało protestantom kilkanaścioro dzieci ze stu kilkudziesięciu; ale ani myśleć o tem nie mogą katolicy, żeby dali przytułek dla kilkuset co roku dzieci, które, —

jak świadczy *Vera Roma*, — wpadają w ręce protestanckie. Przykpiwają wprawdzie z protestantów nawet bezwyznaniowe pisma, np. *Don Chisciotte*, iż na wagę złota wypada im jeden Włoch nawrócony: ale „misyonarzom“ wystarczy posłać opis „radosnych postępów ewanielii w Rzymie“ do Anglii albo Ameryki, a nowe potoki złota zaleją nieszczęsny Rzym.

Najnowszym czynem najezdców protestanckich na Włochy był ich udział żywy w obchodzie 20-go września, pamiątki zaboru Rzymu. Między innemi ogłoszeniami, które wzywały do objawów nienawiści ku Rzymowi i nosiły na sobie podpisy najgłówniejszych mistrzów loży: Nathana, Ballorego i Nasego, jaśniały gęsto porozlepiane także odezwy przeróżnych sekt protestanckich, które zapowiadały na wieczór w dzień pamiątkowy nabożeństwo dziękczynne za chwalebny wyłom w *Porta Pia*. Zapał z jakim protestanci uczestniczyli w tych obchodach, musiał wolno-mularzy bardzo pokrzepić na duchu, bo ich wysiłki nie zdołały ściągnąć znacznej liczby ochotników na szopkę przeciwkościelną. Zniżyli znacznie cenę jazdy na kolejach dla stanu nauczycielskiego, ale przez to zachęcili ledwie 155-ciu nauczycieli i 48 nauczycielek do wycieczki do Rzymu, chociaż *Tribuna* liczy ich trzystu, a skutkiem dodanego zera, rządowe pisma głosiły, że na obchód zjechało trzy tysiące przedstawicieli nauczycielskiego stanu. Wolnomularze następnie najęli krzykaczy, aby uświetnić obchód wrzaskami przeciw św. Liguoremu, papiestwu i Austryi. Ale ogół pozostał obojętny, jak wyznaje wolnomyślny *Secolo XIX* z Genewy; a tylko zbory wraz z lożami na wyścigi szły przy obchodzie święta przeciwkościelnego. *Evangelista* wydał illustrowany dodatek pod napisem „20-y września“, który powtórzył najjaskrawsze zwrotki z obelżywej na Kościół piosnki, nuconej przez jego wrogów, na koniec dodatek ów podał rozprawkę o wybitnem stanowisku, zajętem przez protestantów przy zaborze państwa kościelnego. Protestanci odśpiewali po zborach uroczyste nabożeństwo dziękczynne, przy czem oczywiście nie brakło przemów odpowiednich, a do pochodu garybaldczyków, republikanów i t. d. wysłali setki biednych dzieci rzymskich, wychowywanych w „miłosiernych“ zakładach u metody-

stów. Po drodze pochód stawał przy każdym kościele, aby wznosić wrzaski przeciw papiestwu, a kiedy doszedł do *Porta Pia*, książę Colonna, katolik, uważał za stosowne, jako burmistrz Rzymu, przemówić w duchu zupełnie niezgodnym z wiarą, którą przecie wyznaje. Staruszka jakaś w przechodzie usłyszała jego głos i zdumiona spostrzegła, że katolicki książę powstaje przeciw Stolicy świętej: nie przytłumiła w sobie gniewu i doniośle na księcia krzyknęła, jakby matka na niegrzeczne dziecko: „milcz tam ty, Colonna! cześć papiestwu!“ Widocznie dotychczas odstępstwo od zasad katolickich nie u wszystkich mieszkańców Rzymu popłaca, skoro wywołuje głośny okrzyk nagany, i ani blaskiem rodu, ani widokiem mitry książęcej, ani powagą stanowiska nie przyćmiło zdrowego oka w duszy mieszczanki, gotowej nawet takiego Colonnę, jakby urwisza, po macierzyńsku upomnieć. Oczywiście okrzyk śmiałej Rzymianki nie przerazi zaborców państwa kościelnego: pobudzi chyba wolnych mularzy i protestantów do tem silniejszej pieczy, aby szkoły przyuczały młode pokolenie do okrzyków nienawiści i pogardy dla papiestwa.

Ale jak owa staruszka ze swoją czcią dla papieża nic nie znaczy dla wszechwładnej potęgi wolnomularstwa w Rzymie, tak cała potęga wolnomularskiego rządu z jego polityką, wojskiem i dyplomacyą, z jego szkołami, obchodami przeciwkościelnymi i złotem protestanckiej propagandy mało przeraża Starca, internowanego w Watykanie. Świeżo doznał rząd porażki w dyplomatycznym zamachu na prawa papieskie i stroskany układa teraz odpowiedź na interpelacyę, jaką w tej mierze zapowiedzieli wolnomularze w izbie.

Nieudany zamach rządu włoskiego na prawa papieskie, dotyczy świeżo wydanej przez Leona XIII-go bulli, mocą której na miejscu dawnego przytułku dla pątników, zwanego *degli Schiavoni*, powstało duchowne seminaryum południowo-słowiańskie pod nazwą Kollegium świętego Hieronima. Dawny przytułek, dzieło miłosiernych papieży, głównie Mikołaja V-go i Sykstusa V-go, i słowiańskich dobroczyńców z roku 1453-go, należał do zakładów, wyjętych z pod władzy włoskiego rządu po

zaborze Rzymu i pozostawionych na prawach „eksterrytoracyi“ mianowicie różne zakłady duchowne, — bądź miłosierne dla ubogich, chorych i pątników, bądź naukowe dla młodzieży, — wzniesione przez papieży i przez nich utrzymywane za państwa kościelnego, także po zaborze Rzymu pozostały pod rządem papieża i, jakoby wyłączone z terytoryum włoskiego, używały opieki Austryi. W średnich wiekach różne narody budowały dla swoich pątników w Rzymie podobne przytułki, jak owo południowo-słowiańskie, w którym szukali gościny Dalmatyńcy, Istryjcy, Chorwaci, Słoweńcy, Bośniacy i t. d. zwani ogólnie w potocznej mowie włoskiej Chorwatami albo Illyryjczykami, a także Słowianami. Polakom zbudowała w tej myśli królowa Anna Jagiellonka dom, obecnie oddany pod opiekę Rosyi. Ale jak w naszych czasach pątnicy polscy może ani nie wiedzą już o swoim domu, tak południowi Słowianie z biegiem czasów przestawali używać swojego przytułku, w którym gościny szukali często Włosi dalmatyńscy, a majętniejsi z nich wsparli nieraz ten zakład hojniejszą zapomogą; stąd rościli sobie prawa do całego zaniedbanego przez Słowian budynku. Ale tych praw nie uznawała żadna władza, a południowo-słowiańscy biskupi kilka razy przedstawiali papieżom, że pożyteczniej byłoby użyć dawnego przytułku na zakład naukowy, — oczywiście dla Słowian, którzy właściwie mieli prawo używać tego domu. Na biskupie prośby przystał Leon XIII-y i osobną Bullą erekcyjną zniósł w dawnym budynku przytułek dla pątników, rozwiązał t. zw. „kapitułę“ w przynależnym kościele św. Hieronima, i oddał budynek wraz z kościołem na seminaryum dla południowych Słowian, których nie potrzebował w Bulli wymieniać wszystkiemi etnograficznemi czy geograficznemi nazwami: Słoweńców, Chorwatów, Dalmatyńców, Kraińców, Karyntczyków i t. d. i t. d.; nazwał ich wogóle albo Słowianami albo Chorwatami, a wykluczył z tego zakładu uczniów nie-słowian albo nie-katolików. Według wymienionej już poprzednio umowy rządu włoskiego z państwami, Leon XIII-y miał wszelkie prawo rozporządzać kościelnym zakładem eksterrytoryzowanym; ani rząd włoski pewno nie dostrzegłby nic szczególnego w bulli

erekcyjnej, ani nie wywołałby zatargu, z którego musiał wyjść ze wstydem, gdyby nie był popadł w kłopoty z radykalniejszemi odnogami wolnomularstwa.

Wiadomo, że wolnomularstwo tylko do czasu cierpi ukoronowane głowy a w duszy pragnie w każdym kraju widzieć rzeczpospolitą. Przez śmierć Humberta nie nabrał rząd włoski wielkiej otuchy, że długo jeszcze utrzyma monarchię we Włoszech. Otóż korespondent rzymski *Univers'a* umiał pozawierać stosunki z rządowcami, którzy nie taili, że pierwszy minister Zanardelli usiłuje nakłonić króla do wszelkich możebnych ustępstw dla stronnictw radykalnych, aby nie dać przeciw sobie broni skrytobójczej nowemu Lucchesiniemu albo Czołgoszowi: trzeba monarchię zdemokratyzować, aby demokracyę zmonarchizować. Owocem tych usiłowań rządu były świeże odwiedziny pary królewskiej w Medyolanie, gnieździe radykalizmu do niedawna, gdzie teraz Wiktor Emanuel III przyjęty najgościnniej, obchodził tryumfy demokratycznego monarchy. Otóż na tej drodze ustępstw dla skrajnych żywiołów rząd włoski wpadł w bagno, z którego czystym nie wyjdzie. Włosi świeccy i duchowni, przez ministra zachęceni, wtargnęli do nowo utworzonego seminaryum i oświadczyli, że bulla erekcyjna nie obowiązuje nikogo, więc że istnieje tylko dawny przytułek pątników, do którego Włosi mają prawo: zatem zostają tu i rządzą, a przysłanego z Watykanu rektora, księdza Pazmana, wypraszają za drzwi. Po tych słowach napastnicy rzeczywiście czynnie rozpoczęli swoje rządy i na wstępie do gospodarki własnej wyprawili ucztę, z której wysłali tryumfalne telegramy do króla Emanuela i t. d.

Ks. Pazman wezwał policyę do obrony zakładu przed napastnikami, ale policya zajęła tylko stanowisko pod bramą domu, aby przeszkodzić bójkom, a nie wyrzuciła napastników. Ks. Pazman wtenczas wezwał opieki ambasady austryackiej, na której czele wtenczas stał Leopold hr. Starzeński. List ambasady do rządu włoskiego nie odniósł skutku, owszem ministrowie po odbytej naradzie wysłali komisarza Suskę, aby ten w imieniu rządu zajął zakład. Komisarz spełnił rozkaz, ale nie mógł zająć

kasy i archiwów, bo kluczów nie wydał hr. Starzeński. Ks. Pazman wytoczył przed sądem sprawę przeciw napastnikom, ale zyskał wyrok, że napastników żadnych już niema, bo w zakładzie przebywa komisarz z ramienia rządu.

Za czynnym zamachem na międzynarodowe prawo eksterytoryalne, poszły napaści słowne na bullę erekcyjną ze strony najprzód kilkudziesięciu redakcyi wolnomularskich. Przykro, ale trzeba wytknąć, że takie nawet pismo, jak *Gazeta Narodowa,* pomimo swoich zasad, umieszczała w korespondencyach z Rzymu wzmianki o tej sprawie, z których wieje ledwo że nie ten sam duch, w jakim o niej donoszą włoskie pisma wolnomularskie. Następnie podobne zarzuty znalazły rzeczników ze strony rządów, spokrewnionych z Włochami ciałem albo duszą. Więc od teścia króla włoskiego z Cetynii usłyszeliśmy dziwny protest przeciw papieżowi, jakoby Leon XIII-y w swoim akcie, czysto kanonicznym, uprawiał politykę świecką, zrzucał z tronu księcia Nikitę i proklamował jego państwo częścią królestwa chorwackiego, erygowanego ową bullą! Podstawę do tego protestu znalazł doradca księcia czarnogórskiego w nazwie Chorwatów, danej ogólnie południowym Słowianom: stąd wniosek, że Papież-król nie uznaje Czarnogóry za osobny kraj, więc grozi jego bezpieczeństwu politycznemu. Duchowne pokrewieństwo wolnomularzy włoskich i węgierskich natchnęło także w Budapeszcie koła rządowe wykrzyknikami zgrozy nad bullą, w której papież, samodzielnie ustanawia seminaryum duchowne w stolicy państwa włoskiego dla Słowian, a nie dla Włochów, jakby jeszcze pan i król Rzymu.

Wobec krzyków, wywołanych bullą, można było stracić ducha wraz z niektórymi dziennikami katolickimi i oczekiwać, że Słowianie daremnie wołać będą o prawa do budynku, którego nie strzegli przed Włochami, póki był czas, a teraz Papież bezwładny nie dokaże nic, — ulegnie cicho przemocy.

Leon XIII-y nie uległ i liczył, że Austrya wykona swoje prawa opiekuńcze do zakładu eksterrytoryzowanego. Tę nadzieję Papieża ze śmiechem witały pisma przekonane, że ospała i niedołężna Austrya za żadną cenę nie zechce stawić czoła

zjednoczonym siłom przeciwników we Włoszech, Nadbałkaniu i na Węgrzech. Ale Austrya zadała kłam wszelkim przepowiedniom. Włochy ustąpiły a wolnomularskie pisma czy to wprawione w osłupienie stanowczą odwagą protektora zakładu, czy niezdolne uwierzyć w zwycięstwo praw papieskich, albo umilkły albo półgębkiem nadmieniły coś niezrozumiałego o wyniku sprawy, a niektóre wprost kłamały przed czytelnikami i plotły bajkę, jakoby papież osiadł na lodzie ze swoją bullą. Jednak w końcu wolnomularstwo poznało prawdę, że samo poniosło porażkę w nieszczęsnym zamachu na bullę papieską. Stąd nowy gniew i surowsze groźby; gniew na włoski rząd, za ustępstwo przed Austryą, — groźby przeciw Papieżowi, że już nie długo poczeka, a zobaczy włoskie zakony wypędzone z kraju na krańce świata,

Leon XIII-y słucha tych pogróżek, zaniepokojony więcej o dusze prześladowców, niż o zakonników, bo wie, ilu zakony członków liczą gotowych nie tylko na tułaczy chleb, ale i na męczeńską śmierć za sprawę Kościoła.

Ks. K. Czaykowski.

Z Buffalo.

12 października 1901.

Bicz amerykański nad naszą Polską w Stanach Zjednoczonych podniesiony, wywołał hasło zgody między nami. Tak pisał *Przegląd Powszechny* przed kilku miesiącami [1], ale donoszą nam, że któryś z najpoważniejszych przedstawicieli polskiego narodu wydał o tem haśle zgody bardzo wątpliwy wyrok, kiedy niedawno objeżdżał nasze osady w Ameryce.

Widocznie ów dostojnik polski jest Europejczykiem, bo nie po amerykańsku myśli o naszych stosunkach i nie poczytuje za objaw ducha pojednawczego takiej wymiany myśli, jaka po dworach i w pałacach arystokratycznej Europy wygląda na sprzeczkę źle wychowanych ludzi, ale w demokratycznych kołach naszych uchodzi za roz-

[1] Tom LXXI, str. 281.

mowę prowadzoną szczerze i po przyjacielsku. Słusznie ocenił nasze społeczeństwo sprawozdawca *Przeglądu*, który półpięta roku temu pisał [1], że tu za oceanem znajdujemy wszystkie odcienie stronnictw, prócz stronnictwa arystokratycznego; że mamy tylko demokracyę, ale demokracyę w części niewyrobioną jeszcze, w części niedojrzałą, że stąd przesadne frazesy, patetyczne dytyramby, zwłaszcza krzykackie hasła patryotyczne są na porządku dziennym; że stronnictwa zwykle — jedne w stopniu większym, drugie mniejszym — grzeszą skrajnymi pomysłami i przesadą poglądów. Nakoniec słusznie ów sprawozdawca przypuszcza, że ten sposób walki, zwłaszcza dziennikarskiej, odpowiada smakowi amerykańskiemu, choć Europejczyków razi.

Naprzód tedy powyższe uwagi muszą służyć Europejczykowi jakby za szkła zmniejszające, kiedy czyta nieociosane zwroty językowe w dziennikach naszych. W europejskich dziennikach dowcipny czytelnik widzi między wierszami niedopowiedziane myśli; w amerykańskich widzi rubaszne gadulstwo.

Następnie trzeba wiedzieć, o jakiej zgodzie i wspólnej pracy można mówić między nami w Ameryce. Znowu tu można przywołać na pomoc wymienionego sprawozdawcę, który wyjaśnił, że wielkich stronnictw w łonie demokracyi polskiej mamy w Stanach Zjednoczonych trzy: 1) Zjednoczenie czyli obóz katolicki, konserwatywny, umiarkowany, według sposobu mówienia europejskiego; 2) Unię czyli odłam Zjednoczenia, powstały z pobudek osobistych raczej, niż zasadniczych; 3) Związek czyli obóz wolnomyślny, patryotyczny, skrajny podług pojęć europejskich. Dlatego nie trudno zbliżyć Zjednoczenie do Unii, bo te dwa stronnictwa tworzą w zasadzie jeden obóz, ale dużo rozsądku i wiele zachodu potrzeba, aby załagodzić przeciwieństwa między Związkiem z jednej strony, a Zjednoczeniem i Unią z drugiej, i doprowadzić do jednakowych poglądów na jakąbądź ważniejszą sprawę pisma urzędowe i półurzędowe obu rzeczonych obozów głównych. Walczy obóz wolnomyślny, — czy, jak kto chce: patryotyczny, — tą samą bronią u nas, co w Europie *Kuryer Lwowski* albo *Naprzód*, ale ostrzy tę broń po amerykańsku: starannie oducza czytelników od miękkich i wykwintnych słówek, używanych po arystokratycznych salonach europejskich, a przyzwyczaja do dobitnych wyrazów, używanych w naszych salonach (nie każdemu może wiadomo, że salonem w Stanach Zjednoczonych nazywamy karczmę). Więc tych amerykańskich zwrotów

[1] W tomie LIV, str. 313.

salonowych często używają dzienniki, np. zdrajca, wstecznik, łotr, klerykalna pijawka i t. d. Pewno w Europie nikogo nie dziwi, że sejmowy sprawozdawca ze stronnictwa lewicy w jej dzienniku gani z zasady wszelkie wnioski prawicy, owszem przeciwny wypadek musi zachodzić rzadko i dziwić jako niezwykły objaw dobrej woli; tem bardziej w Ameryce uderzyć nas musi i cieszy, jeżeli jakiś, donioślejszy dla narodu, zamiar albo wniosek jednego stronnictwa nie zjadliwą naganę u przeciwników spotka, tylko wzmiankę życzliwą, — jeżeli nawet popierają Zjednoczeni w swoich dziennikach i tygodnikach myśl podniesioną w czasopismach Związku, *Kuryerze Polskim* i *Zgodzie,* albo na odwrót.

Tę właśnie pociechę mieliśmy latem, kiedy *Polak w Ameryce,* półurzędowy dziennik Unii, znalazł i u Zjednoczenia i w Związku przychylnych sprawozdawców dla myśli, którą podniósł o potrzebie walnego zjazdu Polaków w Stanach Zjednoczonych. Wkrótce powstał Wydział, przeznaczony do pracy przygotowawczej dla wiecu, i wydał odezwę z zaproszeniem na wiec, którą rozesłał do wszystkich stronnictw, z wyjątkiem oczywiście socyalistów i Niezależnych. Odezwę tę powtórzyły dzienniki wszystkich obozów, prócz dwóch wymienionych; a kiedy Wydział przygotowawczy podał szczegółowo obrobione wnioski co do porządku obrad i ich treści, wtenczas dostał wcale spokojnie przedstawione uwagi w *Zgodzie* Związkowych. Na niektóre z tych uwag Wydział zaraz przystał i według nich zmienił zamiar powzięty z początku, np. co do dnia zjazdu; ale głównego zarzutu *Zgody* Wydział nie uznał za słuszny i nie zmienił pierwotnego wniosku. Szło o Niezależnych: Wydział nietylko wykluczył Niezależnych od wiecu, ale nadto przedłożył wniosek, żeby uczestnicy zjazdu, jako przedstawiciele całej Polski amerykańskiej, gromadnie potępili na wiecu rokosz Niezależnych przeciw biskupom katolickim; naczelny Zarząd Związku w swoim tygodniku odrzucił ten wniosek, nie iżby bronił Niezależnych, ale z powodu zasadniczego: jako stronnictwo z zakresem pracy wyłącznie narodowej, Związek przyjął ustawy, które ściśle oznaczają przedmiot możebnych uchwał na urzędowych obradach członków i wykluczają stanowczo wszelkie sprawy nie związane wprost z rozwojem narodu. Tylko we właściwym zakresie swojej pracy Związek usiłuje skupić wszystkie siły, aby przechować polski język, obyczaj, majątek, narodowe zalety i wszelki dobytek duchowy i skarby odziedziczone po przodkach, bez których żaden naród nie może istnieć ani z upadku powstać. Do tej pracy Związek wzywa wszystkich ziomków na wy-

chodztwie w Stanach Zjednoczonych, aby każdy przykładał rękę do dzieła narodowego bez różnicy stanu, zawodu, majątku, nauki a nawet mimo różnic wyznaniowych. Na tułactwo idą i mogą iść wszyscy Polacy: i z Litwy, tatarskiego rodu, czciciele Mahometa, i z Mazurów ewangelicy, i synowie z małżeństw mieszanych, ochrzczeni i wychowani w prawosławiu a mimo to gorliwi obrońcy praw narodowych: bez względu na te różnice wyznaniowe, Związek znaleźć może w nich pracowników szczerze oddanych sprawie polskiej: więc, aby widzieć wszystkich członków swoich na właściwem polu skupionych nad pracą w zgodnym duchu, Związek wyklucza ze swoich obrad i wieców wszelkie spory i przedmioty drażliwe: zarzewie wszelkich nieszczęsnych rozterek. Do drażliwych przedmiotów i do iskier zdolnych rozniecić nieszczęsne pożary należą niezawodnie sprawy wyznaniowe: spory w tej mierze łatwiej niż wszelkie inne rozdzierają społeczeństwo na obozy zażartych przeciwników. Aby uniknąć tego niebezpieczeństwa, Związek N. P. urzędowo nie przystępuje do udziału w żadnej pracy, prócz czysto i wyłącznie narodowej: z tego powodu Związek widzi dla siebie otwarty wstęp na wiec, który radzi o narodowych sprawach, ale nie znajduje dla siebie dostępu do obrad, które poruszają zatarg „niezależnych“ z biskupami, aby potępić ich rokosz uroczyście.

Tak streszczają zasadę Związku obywatele bezstronni, którzy w członkach Związku zarówno jak w Zjednoczeniu i jak w każdym bliźnim usiłują wypatrzyć jego dobre strony, i w jego słowach i poglądach wynajdują prawdę, choćby ukrytą słowami niewłaściwemi. Niezawodnie tak streszczone zasady Związku, mogą niczem nie razić i owszem znaleźć obronę ze strony każdego obozu, który walczy o dobra narodowe na jakiembądź polu. Nieszczęściem organ Związku *Zgoda* nie posiada w swojej redakcyi katolików dość obeznanych ze zasadami wiary, aby wyrazić powyższe zasady w słowach zupełnie poprawnych i uniknąć zwrotów podobnych jak kropla wody do indyferentyzmu religijnego; nadto podobno w samej redakcyi przeważają głosy liberalne tak samo, jak wogóle prąd wolnomyślny nadaje piętno Związkowi, mimo tysięcy katolików i grona księży między jego członkami; nakoniec *Zgoda* oczywiście po amerykańsku używa języka rozhukanego, nie lubi przedstawiać myśli spokojnie i rozwijać jej ściśle, ale jaskrawemi barwami i przesolonymi opisami dogadza smakowi swoich stronników a przeciwników jątrzy. Stądto w Europie tak trudno wycisnąć jądro prawdy z wieści amerykańskich. Polacy tutejsi narzekają, że nie znajdują w kraju rodzinnym należytego opisu stosunków swoich: znaleźliby,

gdyby sami w swoich dziennikach choć raz w miesiąc chcieli przeznaczyć jedną stronicę na opis swoich stosunków nie amerykańskim językiem, tylko zupełnie rzeczowo, bez przesady i dziwacznych wykrzykników, bez prostackich przezwisk dla przeciwnika a śmiesznych pochlebstw dla przyjaciela. Kiedy *Zgoda* rozmacha pióro i opowiada obrazami z tysiąca i jednej nocy o swoich zamiarach, kiedy najoczywistszą myśl, że potrzeba powstać z upadku, okrasi zaraz wróżbami, że wskrzesimy ojczyznę od morza do morza, kiedy do składek na wydatki Związku zachęca przez wykłady jurydyczno-historyczne o państwie polskiem, jakoby do dziś dnia istniejącem i rządzonem konstytucyą 3-go maja: wtedy nie dziw, że i o swojej niechęci bardzo słusznej do sporów wyznaniowych pisze słowami jaskrawemi i najjaskrawszemi, jakie kiedy doleciały do uszu amerykańskich; nie dziw, że w tych wykładach chwyta za zwroty i dowody, godne bezwyznaniowca, i że tymi wykładami zaciemnia swoją myśl w stopniu dostatecznym, aby czytelnik z przeciwnego obozu, rozgorączkowany sporem, wyczytał w *Zgodzie* zasady bardzo nieprawowierne albo przynajmniej bardzo podejrzane.

O ile tedy można dojść do jakiego zdrowego tła myśli w tej amerykańskiej powodzi zarzutów i prawie przezwisk, o tyle sprawa rozterki między Wydziałem przygotowawczym a Związkiem każe powtórzyć to samo, co kiedyś *Przegląd* mówił: „Więcej umiarkowania, więcej względności, pobłażliwości wobec przeciwników — nie mówimy, wobec złych zasad — przydałoby się wśród Polonii amerykańskiej". I Wydział i Związek okazały w pierwszej chwili chęć do pracy spólnej na wiecu, ale ledwo podeszły do siebie, zaraz, zamiast podać sobie ręce, stanęły nieruchomo i po krótkiej wymianie myśli okazały, że jeszcze trudno im przez wzajemne ustępstwa połączyć siły na pożytek narodu. Przecie za dobry objaw można poczytać także sposób, w jakim oba stronnictwa wypowiadały swoje zasady bez goryczy i kwasu. *Zgoda* umieściła naprzód w numerze 27-m z 4-go lipca odezwę Wydziału z zaprosinami na „Dzień Polski", w następnym numerze z 11-go lipca dodała, że naczelny Zarząd Związku Narodowego Polskiego wprawdzie nie uważa za stosowne wykluczać Niezależnych od wiecu, ale do udziału w nim zachęci bądź co bądź braci Związkowych. Ta zapowiedź, jako wyraźny krok na drodze pojednawczej, wzbudziła w nas otuchę, jaką podzielał i *Przegląd Powszechny* i nasza prasa, kiedy powtórzyła za *Przeglądem* jego wyrazy nadziei. Ale w parę tygodni później *Zgoda* inaczej przemówiła: w num. 30-m z 25-go lipca

ogłosiła, że zarząd Zw. N. P. oczekiwał — dla swojego przedstawiciela — miejsca w naradach Wydziału przygotowawczego, a w nadziei zawiedziony, odmawia urzędowego udziału w wiecu jako Związek, tylko członkom zostawia swobodę, żeby uczestniczyli w wiecu podług własnej ochoty. W następnym numerze z 1-go sierpnia powtarza poprzednie słowa i podkreśla, że zostawia swobodę związkowym, ale im nie daje rady, żeby uczestniczyli w wiecu; nadto dodaje, że i Unia Polska już zostaje na uboczu, ani na wiec urzędowo nie przybędzie, ani nie zachęci nikogo. W następnym numerze z 8-go sierpnia nakoniec odmawia stanowczo udziału w wiecu z tej przyczyny, iż Wydział nie przyjął warunków Związku i wyklucza Niezależnych. Z hasłem tedy pojednawczem na ustach ruszyły wszystkie stronnictwa główne w drogę na wiec, ale w połowie drogi ustały.

Przecie bezstronny świadek mógłby w biegu tych wypadków zauważyć nawiązaną nić lepszych stosunków, która choć dotąd nie połączyła wszystkich na wiecu, przecie nie pękła jeszcze zupełnie. Znowu po wiecu już odbytym, przychylnie o jego obradach pisze dziennik Związku, wydawany w Milwaukee, *Kuryer Polski*, a organ pana Szopińskiego, prezydenta Zjednoczenia, *Gazeta Katolicka* (nr. 41) i organ urzędowy Unii, *Wielkopolanin* (nr. 41) powtarzają sąd *Kuryera Polskiego*. Być może, że po pierwszej gorączce zatargu wszystkie stronnictwa ochłonęły i już poznają, jakby im łatwo ustępować sobie wzajemnie w szczegółach, na których oczywiście mogłoby komuś wiele zależeć, ale bez których rozwój sprawy narodowej wcale nie poniósłby strat niepowetowanych. Wydziałowi zależało na tem, żeby wszechpolski wiec uroczyście zerwał z Niezależnymi; niewątpliwie każdy katolik szczery oglądałby zbudowany, jak jednomyślnie cała Polska w dogodnej chwili potępia odszczepieńców; niezaprzeczenie Wydział powziął zamiar najlepszy. Ale czy trudnoby w takim razie odstąpić od najlepszego zamiaru a poprzestać na dobrym? Anglicy podobno z góry powiedzieliby sobie w takim wypadku: *grasp all, lose all,* i odłożyliby na dogodniejszą chwilę zamiar najlepszy, a tymczasem straciliby Niezależnych z oczu, aby przynajmniej raz zaczął Związek wraz ze Zjednoczeniem o wielu innych sprawach pierwszorzędnych wspólnie radzić z niewątpliwym pożytkiem dla narodu. Tak nie postąpił Wydział i ostatecznie ani w sprawie Niezależnych nie osiągnął swego zamiaru, ani nie połączył sił polskich. Jeżeli przez to zbłądził, tedy uchybił przez zbyt dobre zamiary.

Z drugiej strony Związkowi zależało na tem, żeby pozostawać

na uboczu przy sporze Niezależnych z władzą kościelną; możnaby tu rozumieć, że Związek, urzędowo skrępowany ustawą, umywa ręce od uchwały, przez którą wiec miał uroczyście potępić odszczepieństwo kościelne Niezależnych; mógł Związek urzędowo nie przyjść na to posiedzenie, na którem miała zapaść uchwała przeciw Niezależnym, aby nie przekroczyć zakresu pracy ustawowej; ale czy nie wypadałoby Związkowi uczestniczyć w innych obradach i gromadnie pomagać do dzieła narodowego? W sprawie uchwały przeciwko Niezależnym może trzeba było nieugięcie przestrzegać ustawy, która usuwa spory kościelne z zakresu prac Związku, ale czyż ten szczegół potrzebował usunąć Związek od całej pracy na wiecu? Czemu Związek miał podczas wiecu zwracać oczy na to, czy na nim uczestniczą Niezależni, czy ich niema? Czemu nie wolał nie widzieć Niezależnych, którzy mogliby właśnie wytoczyć na porządek dzienny ostrą kłótnię w sprawie kościelnej? I czemu w innej sprawie, także kościelnej, *Zgoda* zabierała głos nieraz? Mianowicie poruszała wraz z czasopismami innych stronnictw sprawę biskupstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych: czyżby sprawa tak ściśle kościelna nie wybiegała poza zakres przepisany ustawami Związku w pracy narodowej? Dla czegoż uroczysta nagana, udzielona przez wiec tym Polakom, którzy hańbią swój naród wobec Ajryszów, już wybiega poza zakres spraw narodowych, a do nich należą jeszcze zabiegi o polskiego biskupa? Podobno zarząd Związku po chwili rozwagi przyznaje, że odstąpił od wszelkiej na wiecu pracy wspólnej ze Zjednoczeniem dla przyczyny nie zbyt ważnej; można przewidywać, że z powodu równie drobnego już Związek nie odmówi chętnego uczestnictwa w następnym kongresie, który zdoła wiele pomódz sprawie naszej, jeżeli wszyscy staniemy do niej potężni zgodą i siłą skupioną.

Tę myśl o naszej potędze, jeżeli do czynu stajemy jednogłośnie, poruszył ks. Paweł Ćwiąkała zaraz, kiedy *Polak w Ameryce* zwrócił uwagę na potrzebę polskiego wiecu, aby wszyscy Polacy bez różnicy stronnictw stwierdzili wspólne potrzeby i przedsięwzięli środki stosowne; do tych potrzeb *Polak w Ameryce* zaliczał przedewszystkiem sprawę biskupstwa polskiego. Ksiądz Ćwiąkała poparł tę sprawę i z naciskiem podniósł, że do niej potrzeba przedewszystkiem zgodnego podpisu wszystkich księży polskich na prośbie, którą podaliby członkowie wiecu, a mogliby poprzeć polscy biskupi w Europie. Na te wspólne zabiegi wszystkich stronnictw przystały bez zwłoki pisma zarówno Związku, jak Zjednoczenia i Unii: wszyscy zaczęli podawać wnioski, na jakiej drodze możnaby dojść do upragnionej stolicy biskupiej dla Ameryki

polskiej. *Gazeta Katolicka* utrzymywała, że Stolica apostolska zgodzi się niewątpliwie na ustanowienie przy Delegacyi apostolskiej w Washingtonie sekretarza dla spraw polskich, któryby posiadał charakter biskupa *in partibus infidelium* i stałby się punktem środkowym w polskiem życiu religijno-narodowem. Władza takiego sekretarza byłaby większa, aniżeli biskupa dyecezyalnego: byłby to prawdziwie biskup polski dla wszystkich Polaków w Ameryce. „Mamy prawo — kończy *Gazeta*, — żądać takiego dostojnika i niezawodnie też go otrzymamy".

Na to *Gazeta* dostała przestrogę z Rzymu od księdza Ćwiąkały, że jej myśl nie znajdzie posłuchu w Rzymie, jako po pierwsze zbyt kosztowna dla Polaków, którzyby musieli utrzymywać sekretarza-biskupa, jako po wtóre zdolna wywołać skargi ze strony tylu innych narodów, które nie dostały podobnych sekretarzów, jako po trzecie nie zgodna z powagą Delegata apostolskiego, któryby uznał swoją władzę skrępowaną przez pełnomocnictwo sekretarza dla spraw polskich. Zatem ks. Ćwiąkała radzi prosić papieża o polskich biskupów sufraganów po dyecezyach, gdzie mieszkają Polacy w liczbie znaczniejszej.

Powstały tedy już dwa poglądy. W demokratycznym kraju zamieszek i sporów rzadko kto lubi szukać prawdy w cudzych słowach a nie wystąpi natychmiast ze swoją prawdą, na którą naprowadza duch przeciwieństwa: wiec rada księdza Ćwiąkały wywołała zaraz zarzuty ze strony jednego z naszych księży, zamieszkałego między nami od dawna i obznajmionego ze stosunkami. Jego zarzuty, umieszczone znowu w *Gazecie Katolickiej*, zmierzają do tego, że po pierwsze drożej wypadnie utrzymać kilku sufraganów, niż jednego sekretarza, że powtóre tak samo mogą zazdrościć nam inne narody sekretarza, jak sufraganów, jeżeli nam zazdrościć mogą tego, o co sami także mogą kołatać w Rzymie dla siebie, że po trzecie zarówno biskupów krępowaliby sufragani swojem pełnomocnictwem nad Polakami, jak Delegata sekretarz, jeżeliby nie działali w zgodnym duchu.

Zarzuty te nie przekonały księdza Ćwiąkały, który upomniał przeciwników, żeby jego myśli nie przekręcali, ale rozumieli jego wywody tak, jak czytają po prostu napisane.

Wiecznie tedy wraca w każdej wymianie myśli ten sam błąd amerykański: nastrój kłótliwy... Tymczasem ks. Fr. Lange (pierwszy już właściwy proboszcz polski, świeżo kanonicznie instytuowany) i ks. St. Nawrocki pośpieszyli zwrócić uwagę, że ks. Delegat Martinelli rozmawiał z ks. Spetzem o sprawie biskupstwa polskiego i przestrzegł,

żeby nie poczynać nic w tej sprawie w sposób niestosowny, bo łatwo można ją popsuć na jakie dziesięć lat.

Przestroga Delegata poskutkowała na zapaleńców jak oliwa... ale nie do rany przyłożoną, tylko w ogień wylana. Zamiast ucichnąć, zaczęli ci i owi odgrzebywać plotkę, odwoływaną wiele razy, że Delegat ustąpi, a na jego miejsce przybędzie ks. arcybiskup Zaleski: więc że Polacy zamiast cierpieć przez amerykanizatorów ajryskich, sami chwycą ich za łeb ręką Polaka Delegata; bo papież wie, co myślą o Polakach obcy: myślą, że Polacy przychodzą na świat z siodłami na karku, a Ajrysze z ostrogami w butach, więc wsiadają na Polaków i jeżdżą na nich; tego nie chce papież, więc przyszle im sprawiedliwego Delegata. Można sobie wystawić, jak te pomysły zadowolą obecnego Delegata, kiedy dojdą do jego uszu, i jak usposobią jego serce dla nas. W nawiasie tu wtrącić mogę, że świeżo miałem przed sobą list księdza biskupa Zaleskiego, który poczytuje za amerykańską kaczkę — nowinę, jakoby miał zastąpić księdza Martinellego na Delegaturze; przed dwoma tygodniami słyszałem też w kołach blizkich Delegaturze, że o zmianie żadnej ks. biskup Martinelli nic nie wie. Biskupi zaś wiedzą o zamiarach polskich i skargach na brak opieki duchownej, której ma zaradzić polski biskup; na te skargi zaczynają sami już radzić w sposób nowy: posyłają teologów Ajryszów do seminaryów polskich w Detroit i w Krakowie czy we Lwowie. Możemy tedy oczekiwać księży a potem biskupów ajryskich, zdolnych przestawać z nami i rozumieć nasze potrzeby, wyrażone po polsku. Czy to nie zapowiada, że myśl o polskiej katolicy biskupiej znajdzie opór ze stron najpoważniejszych?

Jednak sprawa ta zajęła żywo uczestników wiecu, który nad nią obradował jako nad najważniejszą z wymienionych w odezwie Wydziału. Tę odezwę streszczoną umieścił w swoim czasie *Przegląd:* więc tu wystarczy dodać, że uchwały objęły ten sam zakres potrzeb naszych, o którym mówiła odezwa.

M. N.

Kronika ekonomiczna.

Cła zbożowe.

W obecnej po ze kształtowania się nowych traktatów handlowych, może nie od rzeczy będzie wspomnieć szczególniej o projektowanem podwyższeniu ceł zbożowych, które zajmują odrębne stanowisko w sy-

stemie celnym choćby dlatego, że zboże jest jednym z najważniejszych i najpowszechniejszych artykułów konsumcyi. Przyczyny powołujące do życia cła zbożowe i skutki wywierane na gospodarstwo społeczne znacznie się różnią od podobnych objawów, dotyczących ceł na inne towary. Zresztą w Niemczech dążność do podwyższenia ceł zbożowych jest dziś jądrem tamtejszego systemu protekcyjnego, jego główną treścią, to też prawie cała dyskusya o zmianie w polityce handlowej obraca się przeważnie około kwestyi ceł zbożowych, a sposób myślenia i argumentowania austryackiego związku towarzystw rolniczych jest niemal niewolniczem odbiciem agitacyi niemieckich sfer agrarnych. Zważywszy zaś nadto, że dla Austryi (zwłaszcza dla Galicyi) są groźne w pierwszym rzędzie cła rolnicze nowo projektowanej niemieckiej autonomicznej taryfy celnej, jest wskazanem zwrócić specyalnie uwagę na współczesną niemiecką polemikę o podwyższeniu ceł zbożowych.

Zniżone w traktatach grudniowych na $3^1/_2$ marki niemieckie cło na pszenicę i żyto jest mimo tego wyższem od cła austryackiego, wynoszącego 1·50 złr. w złocie. Wielu upatruje w stosunku tych dwóch ceł jedną z przyczyn istnienia niewielkiego wprawdzie, ale nieuzasadnionego niedostatecznością miejscowej produkcyi importu pszenicy i żyta z Niemiec do Austryi, datującego się od r. 1897. Fakt, że import okazał się ilościowo niewielkim, nie odgrywa tu decydującej roli, gdyż doświadczenie uczy, że sama możność nabycia danego towaru po niższej cenie wystarczy do obniżenia ceny. Uważa się za błąd traktatów grudniowych ustalenie ceł zbożowych austryackich niżej poziomu ceł niemieckich, ponieważ oczywiście zapasy zboża, pochodzące z krajów wywożących *ceteris paribus* będą się zwracały głównie ku targom mniej chronionym wysokością ceł. Na tej podstawie opiera się postulat zrównania na przyszłość ceł zbożowych austryackich z niemieckiemi. Przeciwnicy tego zapatrywania podnoszą, że Austrya jest chroniona nie tylko cłem, ale brakiem dogodnych komunikacyi wodnych. Argument ten odpadnie na przyszłość z powodu uchwalonej budowy kanałów, a już obecnie dotyczy głównie zboża pochodzenia zamorskiego a nie zboża krajów bałkańskich i rosyjskiego, którego współzawodnictwo jest dla nas groźniejsze, jak konkurencya amerykańska. Wobec żądań dalej idących, zaznaczyć jednak należy, że także cła zbożowe mają w zasadzie charakter przejściowy; nie brak im właściwości ujemnych, których znajomość powinna być ostrzeżeniem przed próbami ich nadmiernego podwyższenia.

Ścisły związek zachodzi między cenami zboża a wartością ziemi.

Lata 1840—1880 były epoką wysokich cen zboża, 20 nawet 21 mark za 100 kg. pszenicy nie było ceną normalną, ceny ziemi poszły w górę; każdy, kto wówczas sprzedawał lub kupował ziemię, zapominał o tem, że około roku 1825 płacono tylko 10 m. za ctm. pszenicy i liczył na trwałość cen ówczesnych, gdy zaś w roku 1894 płacono w Berlinie 13·5 m. za ctm., wówczas oczywiście dochód w stosunku do wartości ziemi okazał się małym. Gdyby nie ochrona celna, nagły spadek cen zboża wywołałby przesilenie daleko dotkliwsze jak obecne.

Zniżki cen ziemi należało unikać zarówno ze względu na rolników, jak niemniej ze względu na miliardy ulokowane w listach zastawnych, którym państwo w wielu wypadkach poprzyznawało bezpieczeństwo pupilarne. To też dziś w Niemczech toczy się dyskusya nie tyle nad zniesieniem ceł zbożowych — mało jest zwolenników tak radykalnych kroków, któreby znacznie uszczupliły dochody państwa [1] — ile nad kwestyą ich dalszego podwyższenia. Mamy tu do czynienia z powtórzeniem odwiecznej polemiki o zalety wysokich i nizkich cen zboża, w której zabierali niegdyś głos Galiani, Anderson, Malthus, Ricardo i wielu innych [2].

Zwolennicy utrzymania dotychczasowego poziomu ceł zbożowych powołują się przedewszystkiem na wpływ cen zboża na ceny ziemi. Widzą oni główny powód przesilenia agrarnego w wygórowanej cenie ziemi, obawiają się wpływu podwyższenia ceł, ponieważ sądzą, że wywoła dalszy zwyżkowy ruch [3] cen ziemi, a jeżeli cło skapitalizuje się

---

[2] Goltz (*Agrarwesen und Agrarpolitik*, Jena 1899, str. 266) przytacza, że w r. 1897 Niemcy miały 134·8 milionów mark dochodu z ceł na zboże, słód i owoce strączkowe.

[2] Poglądy tych dawniejszych uczonych zestawia August Oncken: *Was sagt die Nationalökonomie als Wissenschaft über die Bedeutung hoher und niedriger Getreidepreise.* Berlin 1901.

[3] Z nowszych prac, zajmujących podobne stanowisko wymienić należy: Conrad (l. c. str. 117 i nast.), Philippowich: *Grundriss der politischen Oekonomie,* Freiburg 1899, II B., str. 305), Paasche: *Getreidezölle* (*Handwörterbuch der Staatswissenschaften*, I Auflage, III B.), Kautsky: *Handelspolitik und Socialdemokratie,* Berlin 1901, str. 62, Brentano: *Das Freihandelsargument,* Berlin 1901, str. 18 i nast. i cała jego szkoła, Buchenberger: *Agrarwesen und Agrarpolitik,* II B., str. 608, podziela to zapatrywanie ale z pewnemi zastrzeżeniami, oświadcza się jednak stanowczo za przejściowym charakterem ceł zbożowych. Przeciwne poglądy wyrazili w ostatnich czasach: Antoni Górski: „Produkcya zboża w Galicyi wobec odnowienia traktatów handlowych". Kraków 1901, Gustav Ruhland: *Gegengutachten zu Prof. Dr. Conrads Stellung der landwirthschaftlichen Zölle in den 1903 zu schliessenden Han-*

w cenie ziemi, wówczas znowu okaże się potrzeba dalszego podwyższenia cła, celem zapewnienia rentowności gospodarstwa rolnego, powstaje zatem rodzaj *circulus vitiosus*, z którego jest tylko jedno wyjście — raz trzeba sobie powiedzieć, że należy zaprzestać dalszego podwyższania ceł zbożowych.

Górski i Wagner powołują się na stosunkowo rzadkie przechodzenie własności ziemskiej z ręki do ręki, a Wagner podnosi, że rolnik nie jest spekulantem, któryby sprzedawał ziemię jak akcye wtedy, gdy idzie w górę. Z podwyższenia ceny ziemi oczywiście nie każdy rolnik od razu zrobi użytek przez sprzedaż majątku, ale niewątpliwie sąsiedzi, widząc, że majątek dawniej wart x, obecnie przy sposobności sprzedaży, podziału spadku lub nowego szacunku, celem zaciągnięcia nowego długu hipotecznego, ma wartość $x + y$, będą oczywiście uważali, że także ich dobra poszły w górę w odpowiednim stosunku, będą zatem czuli się uprawnionymi do wyższych czynszów dzierżawnych i do wyższych dochodów w razie własnej administracyi.

Jeżeli okaże się znaczna zniżka cen zboża na targu międzynarodowym, wówczas cło nie podwyższy cen zboża i ziemi, lecz, dajmy na to, utrzyma je na dotychczasowym poziomie. Ale i w tym wypadku wpływ podwyższonego cła nie jest bezwzględnie korzystny. Wysoka cena ziemi w Europie nie jest głównym powodem przesilenia rolniczego z powodu swej bezwzględnej wysokości, lecz wskutek tego, że cena ziemi w krajach współzawodniczących z miejscową produkcyą jest znacznie niższa. Powodem zatem przesilenia jest niekorzystny stosunek między ceną ziemi tutejszą a amerykańską lub rosyjską. Otóż ten stosunek pogorszy się zarówno w pierwszym jak i w drugim wypadku; w pierwszym z powodu podwyższenia miejscowych cen ziemi, w drugim z powodu zniżenia się tamtejszych cen zboża i ziemi. Oczywiście nałożenie cła w drugim z tych dwóch wypadków jest bardziej uzasadnione, powszechna, wielka a nagła zniżka cen ziemi byłaby klęską, którą powstrzymać należy choćby kosztem pewnych ofiar. Trudno jednak przewidzieć, czy ceny targu międzynarodowego w przyszłości obniżą się, biorąc za podstawę porównania rok 1894. O stałej tenden-

---

delsverträgen Deutschlands, Neuwied 1901, Adolf Wagner: *Die socialen und wirthschaftlichen Gesichtspunkte, welche für einen wirksamen Schutz der deutschen Landwirthschaft im Bereiche der Zollpolitik massgebend sind*, Wien 1901. Ciekawe zestawienie polemiki dziennikarskiej o podwyższeniu ceł zbożowych zawiera: Tischert: *Unterwegs zu den neuen Handelverträgen*. Berlin 1901, str. 80—87.

cyi zniżkowej mowy być nie może. Więc i w tym wypadku można uzasadnić cła zbożowe tylko jako instytucyę przejściową.

W szczególnym kłopocie znajduje się Ruhland właśnie wobec argumentu, dotyczącego tendencyi do kapitalizowania się cła w cenie ziemi, ponieważ w poprzednich swych pismach starał się przekonywująco dowieść, że głównym powodem przesilenia agrarnego jest wygórowana cena ziemi. Wybawia go z kłopotu teza o ponoszeniu cła przez zagranicę. Jest to możliwem w latach wielkiego powszechnego urodzaju, objawiającego się równocześnie zarówno w krajach importujących jak eksportujących, ale normalnym oczywiście ten wypadek nie jest. Cena miejscowa będzie wprawdzie tylko w latach wielkiego nieurodzaju wyższą o całą wysokość cła od cen targu międzynarodowego, ale w latach normalnych okaże się rożnica o pewną część wysokości cła. To też notowania berlińskie są w ostatnich czasach wyższe od notowań londyńskich. Fakt ten jest niemal powszechnie uznanym. Gdyby twierdzenie Ruhlanda o ponoszeniu cła przez zagranicę było prawdziwe, podwyższenie cła nie miałoby celu. Wówczas byłoby to stratą dla producentów kraju eksportującego, ale nie zyskiem dla rolników państwa przywożącego zboże, chyba, że celem cła byłoby skłonienie wytwórców kraju eksportującego do zaniechania produkcyi obliczonej na wywóz. Dotychczasowe wyniki podwyższania ceł nie przemawiają za możliwością takiej ewolucyi. Zarzut kapitalizowania się cła w cenie ziemi formułuje Brentano, Philippovich i wielu innych w ten sposób, że na podwyższeniu cła korzysta nie rolnictwo, lecz właściciel ziemski. Niejasna ta stylizacya jest źródłem szeregu mylnych wniosków. Trudno zrozumieć czem jest właściwie rolnictwo w oderwaniu od właścicieli ziemskich, zwłaszcza jeżeli sami gospodarują a nie wydzierżawiają swych majątków. Wniosek wyciągany z tego przeciwstawienia, że zadaniem państwa jest chronić rolnictwo (czy może być raz osiągnięty stopień intenzywności w produkcyi?), a nie właścicieli ziemskich, jest nieuzasadniony. Powszechna bowiem zmiana w osobach właścicieli ziemskich jest z pewnością dla państwa niepożądaną, zresztą ich następcy byliby przeważnie prawdopobnie fachowo mało uzdolnieni, a zatem nastąpiłoby zapewne z tego powodu obniżenie techniki produkcyi.

Przeciwnicy dalszego podwyższenia ceł zbożowych obawiają się nadto podrożenia chleba, dającego się we znaki zwłaszcza robotnikom i warstwom biedniejszym. Jeżeli się przyjmie, że część cła zbożowego spada na konsumenta, wówczas niepodobna zaprzeczyć pewnemu podwyższeniu cen chleba z powodu zwyżki cła. Trudno bowiem przypuścić,

by pośrednicy (młynarze, piekarze, handlarze) *à la longue* zwyżkę cen zboża ponosili z własnej kieszeni [1].

I temu faktowi mało kto przeczy, ale związek między ceną zboża a wynagrodzeniem za pracę jest przedmiotem polemiki. Dietzel zwalcza teoryę paralelizmu, wedle której nizka płaca i nizkie ceny zboża z jednej, a wysoka płaca i wysokie ceny z drugiej strony idą ręka w rękę. Dietzel jest wyznawcą przeciwnej zasady *(Conträrtheorie)*, wedle niego wysokie ceny zboża powodują nizkie płace i *vice versa*. Diehl dowodzi, że nauka nie jest dziś w stanie zbadać zawiłego związku, zachodzącego między tymi dwoma faktami. Jeżeli jednak z powodu podwyższonych cen chleba pracodawca podniesie robotnikowi płacę, to w tym razie podwyższenie cła może nie jest podrożeniem kosztów utrzymania robotnika, ale w każdym razie zmniejszeniem zdolności konkurencyjnej przemysłu w porównaniu z krajami nie posiadającymi ceł. To zmniejszenie zdolności konkurencyjnej przemysłu zachodzi i w pierwszym wypadku, ponieważ robotnik, gorzej odżywiający się, gorzej pracuje.

Oczywiście ci, którzy uważają rozwój przemysłowy, opierający się coraz bardziej na eksporcie fabrykatów oraz na imporcie surowców za pożądany, widzą właśnie w tym skutku ceł zbożowych najpoważniejsze niebezpieczeństwo. Podwyższenie ceł zbożowych hamuje przejście Niemiec z państwa rolniczego do przemysłowego, z gospodarki, opierającej się przeważnie na targu wewnętrznym *(Volkswirthschaft)*, do międzynarodowej, pracującej na eksport *(Weltwirthschaft)* nie tylko dla tego, że umniejsza zdolność konkurencyjną przemysłu, ale także z powodu jego niekorzystnego wpływu na dojście do skutku traktatów handlowych [2]. Eksport niezabezpieczony traktatami musi się liczyć

[1] Por. Dietzel: *Kornzol und Socialreform*, Berlin 1901, oraz odpowiedź Diehla pod tym samym tytułem, Jena 1901, niemniej Mombert: *Die Belastung des Arbeitereinkommens durch die Kornzölle*, Jena 1901, który, biorąc za podstawę 75 drukiem ogłoszonych budżetów rodzin robotniczych, dostarczył obfitego materyału statystycznego do oceny pytania, o ile cło zbożowe wpływa na obciążenie kosztów utrzymania ludności robotniczej. Wedle Momberta w tych 75 rodzinach przeciętnie obecne cło zbożowe (3·5 m.) pochłania 3·64% rocznego dochodu, przy cle 5 m. pozycya dotycząca wyniosłaby 5·20% rocznego dochodu.

[2] Oldenberg: *Deutschland als Industriestaat*, Götingen 1897, podniósł z naciskiem niebezpieczeństwa, połączone z oparciem ekonomicznego bytu społeczeństwa na eksporcie. Obszerną polemiką z tą broszurą jest wolnohandlowa praca Dietzla: *Weltwirthschaft und Volkswirthschaft*, Dresden 1900. W obronie tej samej tezy wystąpił Helferich: *Handelspolitik*, Leipzig 1901, str. 165—206 oraz Paul Arndt: *Wirthschaftliche Folgen der Entwickelung*

z nader niepewną i każdej chwili zmienną kalkulacyą cen pod wpływem zmian w autonomicznych taryfach celnych państw, kupujących fabrykaty niemieckie, które nie będą szczędziły represaliów, jeżeli im się nadmiernie utrudni zbyt ich produktów agrarnych. Zwolennicy tego zapatrywania wskazują na świetny rozwój ekonomiczny Niemiec w dobie raktatów handlowych obecnie obowiązujących. Nawet Diehl, który w obronie podwyższonych ceł zbożowych kruszy kopię z Dietzlem o ich socyalno-polityczne skutki, oświadcza się za systemem protekcyjnym tylko z tem zastrzeżeniem, że podwyższenie ceł zbożowych nie wykluczy odnowienia traktatów handlowych. Także i dla Conrada możność zawarcia nowej umowy z Rosyą jest jednym z najważniejszych powodów, przemawiających przeciwko podwyższeniu cła na żyto i owies. Adolf Wagner w swej pracy przyznaje, że podwyższenie ceł zbożowych powstrzyma uprzemysłowienie Niemiec, a w dalszej konsekwencyi zwolni wzrost ludności, obecnie nader szybki, a możliwy tylko dzięki znacznemu eksportowi płodów przemysłowych, ale powołując się na teoryę Malthusa, nie uważa tego objawu za bezwzględnie niekorzystny.

Skutkiem przyznania, że cła zbożowe pociągają za sobą niejeden ujemny skutek, jest wniosek broniony nie tylko przez Conrada, ale nawet przez bardziej protekcyjnie usposobionego Wagnera, wedle którego należałoby zużyć dochód z ceł zbożowych na korzyść warstw uboższych jako tych, które w pierwszym rzędzie ponoszą ciężar oclenia, np. przez rozszerzenie ustawodawstwa o przymusowem ubezpieczeniu na wdowy, sieroty i pozbawionych pracy. Conrad nadto dla zaznaczenia przejściowego charakteru cła, żąda nałożenia cła na lat dziesięć, poczem mogłoby nastąpić przedłużenie, gdyby się sytuacya na targu międzynarodowym nie poprawiła. Autor spodziewa się po tem

---

Deutschlands zum Industriestaat, Berlin 1900. Pośredniczyć w tym sporze próbował Julius Wolf: *Das deutsche Reich und der Weltmarkt,* Jena 1901, dowodząc, że Oldenberg zbyt czarno, a Dietzel zbyt różowo zapatruje się na przejście Niemiec do rzędu państw wybitnie przemysłowych; zalecając wkońcu jako sposób wyjścia z sytuacyi unię celną państw środkowo-europejskich, przechyla się jednak raczej na stronę Dietzla. Polemikę wznowili Wagner i Brentano, z których pierwszy (*Agrar- und Industriestaat,* Jena 1901) stanął na stanowisku Oldenberga, natomiast Brentano (*Die Schrecken des überwiegenden Industriestaates,* Berlin 1901), który już od dawna zwalcza prądy agrarne z liberalnego punktu widzenia (wystarczy przypomnieć głośną polemikę z Seringiem o reformę prawa spadkowego), gorąco występuje w obronie zagrożonego wywozu wytworów przemysłowych.

zarządzeniu ustawodawcy pewnego powstrzymania tendencyi do kapitalizowania cła w cenie ziemi. Środek ten ma w sobie pewną pedagogiczną cechę; chodzi o przypomnienie ludności rolniczej, że zwyżka dochodu wywołana cłem ma znaczenie chwilowe

Sering na tegorocznem zebraniu towarzystwa dla polityki socyalnej, występując gorąco w obronie projektowanych przez Prusy minimalnych ceł zbożowych, przyznał, że stanowi robotniczemu należy się pewne wynagrodzenie za nałożenie na niego tak znacznych nowych ciężarów, proponował zatem zniesienie ceł skarbowych na kawę i naftę, wielce uciążliwych dla uboższych warstw ludności [1]. Schmoller [2] oświadcza się za umiarkowanem podwyższeniem ceł, ale z równoczesnem zawarciem środkowo-europejskiej unii celnej, w obrębie której obrót zbożem byłby wolny od cła; chce w ten sposób uniknąć niekorzyści, połączonych z ustanowieniem nadmiernie wysokich ceł zbożowych. Zwolennicy ceł zbożowych, o ile akcentują wyłącznie jako powody przesilenia różnicę w kosztach produkcyi i potanienie przewozu, a zapominają o różnicy w szacunku ziemi, oddają złą usługę rolnikom, ponieważ odwracają przez to ich myśl od potrzeby jeźli już nie niższego jak dotąd szacowania ziemi przy sposobności sprzedaży, podziału spadku lub zaciągania długu hypotecznego, to przynajmniej starannego unikania dalszej zwyżki, dla nich samych tak zgubnej. W argumentowaniu za cłem zbożowem byłoby może rzeczą wskazaną zważać także i na to, że chodzi tu o dopomożenie rolnictwu zapomocą ingerencyi państwa, a więc czynnika stojącego poza inicyatywą indywidualną. Wysunięcie zanadto na pierwszy plan w szeregu środków zaradczych przesileniu rolnemu kwestyi podwyższenia ceł zbożowych mieści w sobie niebezpieczeństwo pewnego osłabienia i zaufania we własne siły przy sposobności walki z przesileniem. Doprowadzić to może do przecenienia skuteczności ceł, do zbytniej ufności w ten środek ustawodawczy. W krajach, w których stan rolniczy pod względem energii, inteligencyi, fachowego uzdolnienia i zasobności w kapitał obrotowy stoi wysoko,

---

[1] W Austro-Węgrzech cło na naftę nie jest cłem skarbowem, jeżeli zatem L. Frankl, w wydawnictwach austryackiego związku towarzystw rolniczych, *(Getreidezoll und nationaler Getreidepreis in Oesterreich.* Wien. 1901. Str. 24), domaga się dla Austro-Węgier z tych samych powodów, co Sering, obniżenia cła za naftę, jest to znowu objawem powtarzania haseł niemieckich, bez uwzględnienia odrębności stosunków austro-węgierskich.

[2] *Die Epochen der Getreidehandelsverfassung und -politik. Schmollers Jahrbuch.* 1896. Str. 743.

niebezpieczeństwo to oczywiście nie jest tak znaczne, jak w innych krajach, w których dotyczące warunki są mniej korzystne. Otóż na ogół biorąc, przeciętny rolnik galicyjski po tym względem stoi niżej od swego sąsiada z Królestwa i od rolnika zachodnio-europejskiego.

Ostatecznie zaś ingerencya państwa tak w tym, jak w innych wypadkach, nie poparta przez świadome celu usiłowania bezpośrednio interesowanych, nie może doprowadzić do pomyślnych rezultatów. Nie wystarcza cła nałożyć, rolnik musi je umieć wyzyskać. Zarzucano nieraz cłom zbożowym ich nierównomierną działalność, jak to już podnieśliśmy. Skutek ich występuje w całej pełni zazwyczaj właśnie w latach nieurodzaju, a więc wtedy, gdy jest najmniej pożądany, a na odwrót w latach urodzaju cła zbożowe jako środek przeciwdziałania hyperprodukcyi i łagodzenia jej następstw często zawodzą. Już od dawna proponowano dla uniknięcia tej niedogodności wprowadzenie systemu ceł zmiennych, w razie zmiany cen na targu międzynarodowym. Praktykowała ten system Anglia z początkiem zeszłego wieku, obecnie używa go Portugalia w nieco zmienionej formie. Niema — na razie przynajmniej — widoków wprowadzenia w życie tego systemu w Austryi lub w Niemczech, w Niemczech jednak przy każdej niemal dyskusyi nad podniesieniem ceł odzywają się głosy w jego obronie [1]. Obecnie występują z tem żądaniem Kühn [2], Grabein [3], Ehrenberg [4], Human [5], Goltz (l. c.), odmienne stanowisko zajmuje Conrad (l. c.) i Diel [6].

System zmiennych ceł ma do walczenia przedewszystkiem z niepodobieństwem wynalezienia zadowalniającego sposobu, zapomocą którego możnaby wypośrodkować ceny zboża na targu międzynarodowym; świadczą przeciw niemu dotychczasowe niepomyślne wyniki w Anglii i w Portugalii [7]. Zwolennicy odnowienia traktatów handlowych sądzą, że zagranica nie zechce wdać się w rokowania na tej podstawie. Obawiać się

---

[1] Z polskich ekonomistów oświadczył się swego czasu za systemem ruchomych ceł zbożowych dr. Witołd Skarżyński: „Siedem odczytów". Poznań. 1900. Str. 234 i 278.

[2] W kalendarzu rolniczym *Menzel- und Lengerke 1896* — przytaczam wedle Conrada (l. c. str. 163).

[3] *Die deutschen Getreidezölle der Zukunft.* Berlin. 1900.

[4] *Handelspolitik.* Jena. 1900.

[5] *Der deutsch-russische Handelsvertrag vom 20 März 1894.* Leipzig. 1900.

[6] *Über die Frage der Einführung beweglicher Getreidezölle beim Ablauf der bestehenden Handelsverträge. Conrads-Jahrbücher.* März 1900. Str. 305—355.

[7] Dr. H. C. Wagner: *Die Getreidezollpolitik Portugals seit 1888. Conrads-Jahrbücher.* August 1901. Str. 145—184.

nadto należy wzmocnienia prądów spekulacyjnych w handlu zbożowym, w razie wprowadzenia zmiennych ceł. Gdy cła będą wysokie, handlarze zboża będą ograniczali dowóz dla sztucznego wyśrubowania cen zboża do poziomu, wywołującego zniżkę cła; z chwilą osiągnięcia tego celu, rzucą na targ wielkie ilości towaru, nagromadzonego w czasach wysokiego cła, a ta podaż obniży ceny; nastąpi podwyższenie cła, połączone znowu ze sztucznem wstrzymywaniem dowozu. System ceł zmniennych zawiera w sobie zatem moment podwójnej niestałości zarówno ceł, jak cen zboża, a szkodliwości ciągłych wahań tego rodzaju nie potrzeba chyba udowadniać. System ruchomych ceł zbożowych powiększa zatem zło, które ma zwalczać.

Po ogólniejsze uwagi w tej sprawie odsyłamy do naszej rozprawy powyżej umieszczonej.

Dr. Adam Krzyżanowski.

Znaczenie i wyniki I zjazdu przemysłowego w Krakowie.

I.

„Personom mieyskim y szlacheckim, mającym imiona stateczne dla swoich, — pisał w r. 1602 Sebastyan Petrycy, tłumacz „Oekonomiki Aristotelesowey to iest rządu domowego“ — nie może przystoynieyszy być żywot, ieno rolą się bawić y z niey potrzeb swoim sobie y domownikom dostawać“. „W pożyciu ziemiańskiem — mówi Haur, współczesny Petrycemu — wielka niewinność. Tylko rolnik nie czyha na zgubę drugich“.

A przemysł? Wedle Petrycego, jest to dla szlachcica zajęcie „nieprzystoyne“. A Zaremba w swych „Okularach na rozchody w Koronie y z Korony, przez które iako w zwierciedle obaczyć każdy może fortele y nieznośne zyski, zdzierstwa y łupiestwa kupieckie“, wywodzi swe żale, że szlachta, zamiast zadowalać się rolą, „nakupiwszy skór, szewcom w miasteczkach y wsiach swych wyrobić ie każą a obuwia narobiwszy, na iarmarki sami ieżdżą, drudzy rozsyłaią. Bywaią y tacy, którzy do kuśmierzów skóry dawszy, a kożuchów narobiwszy, także z nimi rozsyłają, albo, gdy ich przedać nie mogą, poddanym rozdawszy, aby im według woli ich one płacili przymuszaią. Bez wstydu iuż niektórzy zdechliną kupczą a mianowicie, gdy uśnionemi rybami poddane zarażaią. Y herbem kupczą“.

A głosy te nie były bynajmniej odosobnione. Najlepszym dowodem wielkiej ich siły i napięcia jest cały szereg przepisów ustawodawczych, postponujących i handel i mieszczaństwo i przemysł. Dopiero konstytucye majowa zrywa z tradycyą długowiekową a koniec istnienia Rzeczypospolitej styka się z pełną robotą ku wytworzeniu polskiego przemysłu. Wprawdzie i teraz i długi czas później jeszcze przemysł uważa się za zajęcie dla szlachcica „nieprzystoyne". Ale przecież już teraz nieraz komin fabryczny zdobią klejnoty prastare.

Pracę tę przerywa ustanie bytu prawnopaństwowego Rzeczypospolitej. Ale gdy później i w Księstwie Warszawskiem i w Królestwie Kongresowem ruch ten na nowo się odżywia, aż czyni wreszcie z dzisiejszego Królestwa kraj prawdziwie przemysłowy, bo eksportujący niekiedy na odległe targi, to w Galicyi, zniszczonej przez rząd opiekuńczy czasową dzierżawą, z której trzeba wyssać jak najwięcej i jak najprędzej, niema co i marzyć o jakiejś pozytywnej akcyi w tym kierunku.

Warunki prawno-państwowe a więcej jeszcze stosunki polityczne, czyniły wszelką śmielszą inicyatywę niemożebną. A jednak nie brak było rzetelnego poczucia tej potrzeby, gorącej chęci pchnięcia rozwoju gospodarczego na nowe tory. Czuć to u tych, co zakładali krajowe Towarzystwo rolnicze; a myśl ta w niejednem miejscu przebija się w licznych memoryałach hr. Agenora Gołuchowskiego już w pierwszej epoce jego rządów.

Nie tu miejsce przedstawiać historyę wszystkich tych usiłowań. Chodziło mi tylko o zaznaczenie, że myśl szeroko zakrojonej polityki przemysłowej od dawna kiełkowała. Ale jak sporadyczny charakter miały wszystkie te usiłowania w erze absolutyzmu, tak też nie zaszła w tym względzie żadna zasadnicza zmiana wraz ze zmianą stosunków politycznych czy prawno-państwowych. Jest teraz wprawdzie i osobny organ dla spraw przemysłowych, są i specyalne fundusze na ten cel przeznaczone, ale to wszystko dzieje się w bardzo nieznacznych stosunkowo rozmiarach, nieznacznych zwłaszcza w porównaniu z ogromem zadań, które tu są do spełnienia. I Zjazd przemysłowy jest znamiennym w tym kierunku objawem. Raz dlatego, że z wielkim naciskiem zwrócił uwagę na konieczność skierowania poważnej części produkcyi gospodarczej na tory przemysłu, powtóre, że, pomijając niektóre sporadyczne dążenia odśrodkowe, obrady zjazdu pod wielu kierunkami wyświetliły sprawę formy tej przyszłej produkcyi przemysłowej.

II.

Są ludzie czy stronnictwa, które mają w tem swój interes, by wyszukiwać wszelkie możliwe różnice społeczne i rozdmuchiwać wszelkie nieporozumienia stąd pochodzące do olbrzymich rozmiarów. Że pewne różnice interesów rzeczywiście istnieją, trudno temu zaprzeczyć. Ale będą one miały tylko wówczas poważniejsze znaczenie i znajdą ujście w prawno-publicznych urządzeniach czy zarządzeniach, jeśli punktem wyjścia będzie jakiś interes chwilowy czy cząstkowy. Gdy się rzecz rozpatrzy — *sine ira et studio* — ze stanowiska ogólno-społecznego interesu, ze stanowiska całości, wszystkie te dysonanse w rzeczywistości zmaleją bardzo znacznie. Tak są ludzie, co chcą rozdymać różnice interesów rolnictwa i przemysłu do przerażających rozmiarów. A przecież i rolnictwo i przemysł, pełniąc rolę wzajemnych konsumentów, są zarówno potrzebne całemu społecznemu organizmowi, jak i sobie nawzajem.

Podobnie ma się rzecz i z formami produkcyi przemysłowej. Znakomity a głęboki ekonomista, Karol Bieber, trafnie zauważył (w swem dziele o „Powstaniu gospodarstwa społecznego), że gdy zaprowadzano koleje żelazne, twierdzono powszechnie, że wszelkie inne środki komunikacyjne upadną zupełnie, a jednak, pomijając wypadki sporadyczne odmiennej natury, każda stacya kolejowa była sokiem ożywczym dla całej okolicy: droga żelazna pomnożyła bowiem w stopniu dotychczas niebywałym ilość dóbr, będących przedmiotem przewozu.

To samo dotyczy, choć w pewnym stopniu tylko, stosunku rzemiosła do przemysłu wielkiego. W razie tworzenia się wielkiego przemysłu, rzemiosłu otwierają się nowe zadania, w formie udoskonaleń, adaptacyi i reperacyi, w formie przemysłu artystycznego i t. p., tak, że w niejednym wypadku rzemiosło może stać się pionierem postępu technicznego, pośrednio więc i gospodarczego.

Trzeba wszakże mieć na uwadze, że każda epoka życia gospodarczego ma pewne typowe formy produkcyi gospodarczej, pewne jej rodzaje, stanowiące o charakterze całokształtu gospodarstwa społecznego. Z chwilą ogromnego wzrostu ludności a wolnego rozkiełznania sił gospodarczych, panem sytuacyi stała się produkcya masowa, produkcya na wielką skalę. Normalnym jej objawem — to produkcya fabryczna. Ale produkcya fabryczna — to nie jedyny ni wyłączny jej objaw.

Pomijając przemysł domowy, który w formie wielkiej produkcyi umożliwia zbyt daleko idącą przewagę przedsiębiorcy, możliwe są jeszcze spółki wytwórcze. Wprawdzie spółki wytwórcze, to już nie samoistna

i nie zawisła produkcya indywidualna, ale wszelka produkcya masowa z natury rzeczy ścieśnia swobodę jednostek, uczestniczących w tej produkcyi. Lepszym tu jest niewątpliwie system współrzędności, niż system podrzędności. O ile to się więc da przeprowadzić, spółki takie zasługują na wszelkie uznanie i poparcie, a postulaty w tej mierze, przez Zjazd przemysłowy na wniosek pp. Zygmunta Korosteńskiego i Juliusza Starkla wypowiedziane, nie powinny chyba napotkać na poważniejszą opozycyę.

Ale nie łudźmy się. Galicyi rzemiosło nie uratuje. Gdybyśmy żyli w odosobnieniu, a mogli swobodnie urządzać naszą organizacyę społeczną, mogłoby to być kwestyą sporną. Ale tak nie jest. Jak w łonie jednego gospodarstwa społecznego wszystkie jego cząsteczki łączą się w jedno ogniwo, tak oddzielne gospodarstwa społeczne stoją we wzajemnej ze sobą łączności, wywierając na siebie niewątpliwy wpływ wzajemny. I jeśli cały nasz kraj jest zalany wytworami obcego przemysłu, to nie sprawia tego ani zagraniczny przemysł domowy ani rzemiosło — choćby nawet wzmożone w formie asocyacyjnej — ale czyni w ogromnej większości wypadków przemysł wielki we właściwem tego słowa znaczeniu tj. przemysł fabryczny. Kolosalna przewaga ogromnej koncentracyi kapitałów i niezrównanie ścisła a sprężysta organizacya sprawia, że ta forma produkcyi niedomaga może pod względem społecznym, jest wszakże dotychczas nieprześcignioną formą wytwarzania jak największej masy dóbr. A co do względów społecznych, to nawiasowo zaznaczyć należy, że i rzemiosło współczesne dostarczyć może niejednego obrazka nędzy wielkiej choć cichej.

To pewna, że gdy mamy skutecznie przystąpić do walki z obcym towarem, musimy u siebie w kraju wytworzyć przemysł wielki, fabryczny. W kwestyi tej nie chodzi tyle o to, czy nasze potrzeby ma zaspokajać rzemiosło czy fabryka, jak raczej o to, czy konkurentem naszego rzemiosła ma być wielki przemysł zagraniczny czy krajowy. Poza wielkim przemysłem wszelkie inne środki to paliatywy, które otwartej rany na ciele społeczeństwa nie wygoją lecz ochłodzą chyba. I to wypowiedział Zjazd, mimo sporadyczne opinie odmiennej natury, jasno a nie dwuznacznie.

III.

Ale czy my możemy mieć wielki przemysł? Czy możemy mieć ten wymarzony wielki przemysł fabryczny?

Do przemysłu fabrycznego trzeba przedewszystkiem pewnych

warunków przyrodzonych. Do wytwarzania motorów trzeba z reguły węgla, a trzeba węgla na miejscu, bo sprowadzanie go z dalekich stron, choć jest możliwe, przecież jest nieraz zanadto kosztowne. Otóż w tym względzie p. Franciszek Bartonec, inspektor górniczy w Sierszy, dał zupełnie uspokajające wyjaśnienia. Biorąc w rachubę tylko płaszczyznę 1092 kilometrów kwadratowych, mamy przy 1000 mtr głębokości szybów 700 metrów warstw węglonośnych, które zawierają 3·95% węgla. Na tej podstawie otrzymujemy 764 sześciennych kilometrów masy warstw węglowych. Licząc na jeden metr sześcienny 12 q węgla, otrzymamy 36·2 miliardów ton węgla. Z ilości tej, jak doświadczenia okazują, należy odliczyć na filary bezpieczeństwa, stratę przy odbudowie, uskoki i t. p. 40%, pozostałoby więc do odbudowy 21·7 miliardów ton węgla. Ponieważ zaś mamy powody do przypuszczenia, że na południe grubość pokładów i liczba ich analogicznie jak na Górnym Śląsku może się zmniejszyć, przeto po odjęciu dalszych jeszcze 10% od obliczonej ilości czyli razem 50%, pozostałoby ostatecznie do odbudowy 18·1 miliardów ton. W ostatnim roku wydobyto w naszym rewirze węglowym około 13 milionów cetnarów metrycznych; przyjmując, że w następnych stuleciach ilość rocznego wydobycia powiększy się aż do 200 milionów rocznie, to owe ostatecznie obliczone 18·1 miliardów ton majątku w węglu wystarczyć mogą na przeszło 900 lat. Potomkowie nasi pójdą jednak z pewnością głębiej z szybami, niż 1000 metrów, mówi dalej p. Bartonec, bo obecnie już istnieją głębsze szyby, jak np. w Belgii, w okolicy Tl'énu ma szyb „Heuriki" 1161 metrów głębokości; w północnej Ameryce nad jeziorem Superior ma szyb „Hecla" kopalni „Rad-Jacket" 1493 mtr głębokości. Przypuścić więc można, że w przyszłości głębokość szybów dojdzie do 1500 a nawet do 2000 metrów, a przy tej głębokości zawsze w Galicyi będzie formacya węglowa, wynosi ona tu bowiem 2050 metrów.

Ale czy my koniecznie potrzebujemy węgla tj. skoncentrowanego cieplika słonecznego, wytwarzającego parę? Używając węgla — mówił na Zjeździe dr. Jan Roszkowski — popełniliśmy błąd, pominęliśmy bowiem motory o wiele tańsze i wygodniejsze, jak siły wiatru, prądów powietrza a przedewszystkiem wody. Władze nie przedsięwzięły żadnych pomiarów siły wodnej, ale już te daty, które przedstawił referent na podstawie informacyi prywatnych, a dotyczące tu i ówdzie robionych pomiarów spadu rzek, wskazują niewątpliwie, że Galicya posiada, chociaż co prawda w stanie prymitywnym, ogromne bogactwa w spadach swych rzek.

Elektryczność, którą możnaby przy pomocy tych sił wodnych wyzyskać, a mogłaby służyć do celów najrozmaitszych: do oświetlenia, dalej jako tani a nader dogodny motor poruszania np. tartaków w lesistych okolicach Karpat, które mając tam motor, mogłyby nie tylko trzeć drzewo na budulec, lecz przyczynić się znakomicie do powstania i rozkwitu fabryk drzewnika i celulozy, umożliwić wreszcie tworzenie zakładów dla produkcyi karbiolu, sody, chlorku wapna, potażu, magnezyi, glinu oraz mnóstwa fabryk dla przeróbki użytecznej płodów surowych i odpadków, tak marnowanych u nas bezprzykładnie. Wogóle centrale elektryczne mogłyby obsługiwać maszyny rolnicze, młyny, fabryki i kopalnie.

Co zaś do taniości tej siły, to najlepiej illustruje kwestyę tę fakt, że gdy koszt dziennej pracy konia żywego wynosił 3 marki, to, jak to zaznaczył w swym referacie „o elektryczności w gospodarstwie rolnem“ p. Edmund Libański, 1 HP elektryczne kosztowało 40—75 fen.

Nie omówiono na Zjeździe ani warunków klimatologicznych ani nie poddano obszerniejszej analizie przyrodzonych podstaw rozwoju przemysłowego, w świecie roślinnym i zwierzęcym. Nie są to co prawda szczegóły pierwszorzędnej wagi, ale i one nie są bez znaczenia, a ich zbadanie i wszechstronne omówienie powinno być przedmiotem obrad przyszłych zjazdów.

IV.

Przemysłu nie robią jednak same maszyny lub motory. Przemysł robią ludzie. Więc przedewszystkiem jednostki. Cały nowoczesny ustrój gospodarczy jest oparty na usiłowaniach indywidualnych. A choć organizacya państwowa znaczy bardzo dużo, to jednak ta machina państwowa nie wyczerpuje treści życia społecznego. Wiadomo zaś, że w produkcyi przemysłowej trzeba prócz wykształcenia zawodowego, jeszcze wielkiej dozy hartu moralnego, wielkiego zapasu energii, wielkiej ruchliwości i przedsiębiorczości. Pomijając wykształcenie zawodowe, wszystkie te przymioty powinien posiadać przedewszystkiem kierownik przedsiębiorstwa przemysłowego. Ale, choć w niższym stopniu, są one bardzo potrzebne, a co najmniej bardzo pożyteczne także u wszystkich pracowników niższego rzędu. W różnych gałęziach przemysłu, w różnym stopniu objawia się ta potrzeba. Tych wszystkich momentów, natury etnograficznej przeważnie, zjazd nie omawiał prawie wcale. A jeśli się tu i ówdzie pojawiały jakieś uwagi w tym względzie, to nie mogły one się złożyć na jakąś całość systematyczną, a były chyba jawnym dowodem żywo odczuwanej potrzeby. Że zaś momenta te,

zwłaszcza z uwzględnieniem terytoryalnego ich rozmieszczenia, mogłyby być przedmiotem badania naukowego, to wydaje mi się pewnikiem.

Zjazd omawiał tylko, na podstawie referatu p. Juliusza Starkla sprawę wykształcenia zawodowego. Szkolnictwo zawodowe, bo o niem głównie mówiono, nie ma może tak decydującego znaczenia, jak to się niektórym mowcom wydawało. W każdym razie, trzeba sobie jasno unaocznić, że teraz chodzi o wytworzenie przemysłu fabrycznego, technicznie o wiele różnego od przemysłu rzemieślniczego, że więc i wykształcenie praktyczne w tych szkołach, które mają kształcić robotników kwalifikowanych (nie rzemieślników) musi być w wielu szczegółach odmiennem. Zachodzi tu wszakże ta trudność, że ukończeni uczniowie szkoły zawodowej, uzdolnieni na ukwalifikowanych robotników lub kierowników fabrycznych, nie znajdą w wielu wypadkach zajęcia w kraju, wobec braku większej liczby zakładów przemysłowych. Znaczna ich część będzie więc zmuszona do emigracyi. Czy wobec tych trudności, znajdzie się odpowiednia liczba uczniów, która się będzie chciała kształcić w zawodzie, w którym niema dla niej w kraju widoków, jest mocno wątpliwem. Łatwo tę lukę zapełnić, o ile chodzi o kierowników. Kierowników sprowadzano u nas i dawniej (już w XVII w.), możemy ich więc i teraz sprowadzać. Gdy zaś chodzi o samych robotników kwalifikowanych, to miejsce szkoły zawodowej zajmie najczęściej praktyczna szkoła życia, praktyka zawodowa.

O wiele większe znaczenie praktyczne miałyby liczne, po całym kraju rozsiane wiejskie szkółki przemysłowe, proponowane przez panią Sikorską. Wprawdzie przemysł domowy nie jest takim rajem na ziemi, jak to sobie wyobraża p. Sikorska, bo przedstawia on bardzo dużo stron ciemnych, jak tego dowodzą rozległe doświadczenia, uczynione w tym względzie na Zachodzie. To wszakże pewne, że podniosłyby one ogólną zdolność zarobkową włościan, a przy odpowiedniej organizacyi spółkowej, zawczasu przeprowadzonej w przemyśle domowym, przyniosłyby mu pośrednio bardzo poważne korzyści ekonomiczne. Oczywiście, że ręka w rękę ze wspomnianą organizacyą powinnaby też iść spółkowa organizacya handlowa wyższego rzędu. Że i ta forma produkcyi będzie może później zepchniętą na drugi plan, to kwestya przyszłości, dość dalekiej.

V.

Że sama jednostka przemysłu nie wytworzy, zbyteczna dowodzić. Wszelkie usiłowania społeczeństwa obracają się w ramach pewnej

organizacyi prawno-publicznej, dzieją się przy użyciu jakichś środków ustawodawczych czy administracyjnych. Toż już Jakób Haur, kasztelan wojnicki, podając różne „remedia oekonomiczne", radzi, by poddanych czy przychodniów „rzemiosłem się bawiących, swoim accomodować sposobem, jakoby się mogli przy maiętności pozostać. Tych zrazu nie ciemiężyć podatkami także y robocizną, którą z chałupy powinienby tylko dzień ieden odprawiać a z rzemiesła podatki publiczne opłacać". Ale tę opiekę państwa czy innych ciał prawno-publicznych można stósować w różnych rozmiarach i w różnym stopniu. Najdalej poszedł w tym kierunku dr. Jan Roszkowski, który żądał wprost objęcia lub też wprowadzenia w życie całego szeregu przedsiębiorstw przemysłowych przez państwo lub ciała samorządne.

Ustały wprawdzie obecnie czasy, że wzdrygano się na samą myśl o objęciu jakiegoś zakładu gospodarczego w zarząd publiczny. Czasy skrajnego liberalizmu minęły już bezpowrotnie. Ale przecież wydaje mi się cokolwiek za obszerne stosowanie wspomnianej zasady w tych rozmiarach, w których to uczynił p. Roszkowski. Zgoda na to, jeśli mowa o objęciu w zarząd miejski tramwajów, rzeźni, wodociągów, gazowni, stacyi centralnych dla światła i siły elektrycznej. Byłoby to zresztą tylko terytoryalnem rozszerzeniem zasady, obecnie już z pożytkiem stosowanej. Podobnie rzecz się ma z propozycyą, by Wydział Krajowy zarządził we własnym zakresie działania oczyszczenie błot i bagien, regulacyę rzek. Ale już poważne wątpliwości muszą się nasunąć wówczas, gdy sprawozdawca żąda by Wydział Krajowy prowadził fabrykę papieru, lub by Wydziały powiatowe podjęły się wyrobu cukru, syropu z kartofli, krochmalu i spirytusu z kukurudzy i pszenicy, piwa i drożdży z jęczmienia, terpentyny, smoły, spirytusu drzewnego, octanu, wapna i t. d. A już szczytem naiwności wydaje nam się, jeśli p. Roszkowski proponuje, by gminy wiejskie podjęły się eksploatacyi torfu. Przedewszystkiem bowiem wątpię, czy nasze ciała samorządne mają w sobie tyle sił żywotnych, by mogły się podjąć przedsiębiorstw tak kosztownych, wymagających nie tylko znacznych kapitałów, ale i wielkiej energii i przedsiębiorczości. Bardzo znaczna liczba przedsiębiorstw, powyżej wspomnianych, wogóle nie nadaje się do kollektywnego prowadzenia. A cóż mówić dopiero o naszych reprezentacyach powiatowych, które w licznych wcale wypadkach wiodą żywot nader efemeryczny. Już nieraz upadła u nas cukrownia prywatna, której istnienie lub upadek stanowiło o szczęściu i powodzeniu jednostki, już nieraz taki przedsiębiorca prywatny wytężał

wszystkie swoje siły, by utrzymać swój zakład przy życiu. A cóż mówić dopiero o cukrowni powiatowej? A nasze gminy dychawiczne? One miałyby eksploatować rozległe torfowiska krajowe? Jeśli zaś pan Ruszkowski żąda, by gminy zakupywały na wspólny rachunek narzędzia rolnicze, lokomobile parowe, któreby w ziemi poruszały małe tartaki lub młyny, a przy tem podjęły się handlu zbożem, mąką, drzewem, zakupu nawozów sztucznych i t. p. to przedewszystkiem muszę zwrócić uwagę pana sprawozdawcy, że wszystkie te życzenia przekraczają bardzo znacznie kwestyę podniesienia przemysłu krajowego, a powtóre, że wchodzą w zakres działania asocyacyi rolniczych, które, wedle powszechnego doświadczenia za granicą, a częściowo i u nas uczynionego, są najlepszym terenem dla podjęcia akcyi w tym kierunku. A jeśli np. Kółka rolnicze nierozwinęły należytej pod tym względem działalności, to stało się to dlatego, że organizacya tych Kółek i ich kierownictwo (w łonie samych Kółek a nie w Zarządzie głównym) nie zdaje się być zupełnie odpowiednią, a powtóre, choćby same Kółka nie były właściwą w tym względzie organizacyą, pozostają jeszcze Towarzystwa rolnicze, któreby z pewnością tą akcyą lepiej mogły pokierować niż same gminy. Nie wynika z tego oczywiście bynajmniej, by gminy nie miały udzielać wydatnych w tym celu subwencyi.

VI.

Sprawą, która zawsze bardzo żywo porusza umysły — jest fiskalizm. Wprawdzie usiłowano w Austryi przeprowadzić reformę podatków bezpośrednich, a to ustawą z 25 października 1896 r. Ale reforma ta jest, jak to słusznie zauważył referent prof. dr. Stanisław Głąbiński, tylko jednym krokiem naprzód w dziedzinie podatkowej i nie mogła przynieść przemysłowi radykalnej ulgi, nie dotknąwszy równocześnie innych podatków bezpośrednich, gnębiących nasz przemysł, szczególnie podatku czynszowego i nie usunąwszy nieznośnego systemu autonomicznych dodatków do podatków państwowych bezpośrednich. Osłabiają też znacznie wagę wspomnianej reformy wady w jej wykonaniu, mianowicie niezrozumienie ducha reformy przez organa skarbowe do wymiaru nowych podatków powołane i wypaczenie ich przewodniej myśli przez tradycyjne praktyki fiskalne.

Zerwanie z systemem dodatków, przynajmniej w skarbowości, wymaga zapewnienia krajowi samoistnych źródeł dochodów lub odpowiedniej dotacyi ze skarbu, ku czemu utorowano już drogę w części

ustawą z roku 1896, przyznającą funduszom krajowym oprócz ryczałtowej sumy sześciu milionów koron, połowę spodziewanej zwyżki dochodów z nowych podatków osobistych bezpośrednich, częścią zaś ustawą z r. 1901, którą przyznano krajom dochód z podwyższonego podatku od spirytusu.

Reforma podatku domowego powinnaby iść w tym duchu, aby lokale przemysłowe, warsztaty rękodzielnicze, wolne były od podatku domowego klasowego i czynszowego i to bez różnicy, czy znajdują się w lokalu własnym czy wynajętym. Opodatkowanie lokali przemysłowych i handlowych w Austryi podatkiem domowym opiera się na fikcyi, że podatek ten opłaca właściciel domu a nie przemysłowiec. Fikcya ta jednak nie może się utrzymać wobec faktu, że podatki te w drodze przerzucenia ponosi przemysłowiec i kupiec a nawet ci ostatni ponosić muszą, gdyż właściciel domu nie mógłby sam ponieść wygórowanej stopy podatków państwowych i dodatków autonomicznych. W podobnym kierunku powinnaby się też obracać reforma podatków gminnych czynszowych, które wbrew duchowi tych podatków są nakładane nie tylko na mieszkania, ale także na lokale przemysłowe i handlowe. Wreszcie żąda referent reformy wszystkich podatków konsumcyjnych, które obciążają bezpośrednio lub pośrednio produkcyę.

Bardzo ważną była rezolucya, uchwalona przez Zjazd na wniosek referenta, by stworzyć organizacyę sądową dla ochrony obywateli przed zapędami fiskalnymi organów, ponieważ skarb państwa, jako strona interesowana, nie powinien być sędzią we własnej sprawie. W dyskusyi publicystycznej, omawiającej wyniki Zjazdu, rezolucya ta napotkała na bardzo silną opozycyę. Twierdzono, że korektywa istniejąca w orzecznictwie Trybunału Administracyjnego wystarcza w sprawach administracyjnych, wystarczyć też powinna w sprawach skarbowych. Otóż w tym względzie zaznaczyć musimy, że i w sprawach administracyjnych organizacya ta nie wystarcza, że owszem z bardzo wielu względów byłoby pożądanem harmonijne wykończenie tej budowy sądownictwa administracyjnego od góry do dołu. Tylko wówczas będzie mogła być mowa o należytem wykształceniu się prawa administracyjnego, które przestanie być instrukcyą dla władz, a umożliwi nabywanie istotnych praw podmiotowych. Że zaś to wszystko odnosi się także specyalnie do spraw skarbowych, to nie może być chyba kwestyą sporną.

Z reformą podatkową, omówioną przez prof. Głąbińskiego, łączą się ściśle rezolucye, uchwalone na wniosek posła Rutowskiego, jednego

z autorów tych reform w Sejmie, by Sejm odnowił ustawę o ulgach podatkowych dla przemysłu, rozszerzył ją na szereg gałęzi przemysłu, nie objętych obowiązującą ustawą, rozszerzył możliwość przyznawania ulg podatkowych na fabryki gałęzi przemysłu już istniejącego, przyznał ulgi podatkowe przedsiębiorstwom wytwarzającym elektryczność oraz wszelkim innym wytwarzającym siłę motoryczną dla celów przemysłowych, wprowadził w wykonanie ustawy krajowej o ulgach podatkowych jak najdalej idącą liberalność, usunął wreszcie biurokratyczne przeszkody do ostatnich granic. Wszystkie te rezolucye zasługują na gorące poparcie i uznanie. Trudno powiedzieć to samo o rezolucyi, żądającej, by sejm przyznał ulgi podatkowe przedsiębiorstwom przemysłowym, systematycznie zatrudniającym większą liczbę pracujących w przemyśle domowym. Jeśli bowiem przemysł domowy zasługuje wogóle na uznanie, to tylko wówczas gdy jest drobnym tj. gdy zachowaną jest pełna niezawisłość albo gdy jej miejsce zajmie wprawdzie zawisłość ale przy zachowaniu zasady współrzędności tj. w formie asocyacyi. W innym bowiem wypadku przemysł domowy doprowadza, jak już zaznaczyłem to powyżej, do zbyt daleko idącej przewagi przedsiębiorcy nad robotnikiem, przewagi, której w interesie harmonii i równowagi społecznej trudno przyklasnąć.

Poseł Rutowski żądał również utworzenia osobnego oddziału przemysłowego w Banku Krajowym dla wytwarzania i prowadzenia przemysłu. Odmienny, a o wiele praktyczniejszy projekt w tym kierunku przedstawił p. Herman Feldstein. Żąda on mianowicie utworzenia zupełnie odrębnego Banku Przemysłowego. Wyższość takiej odrębnej instytucyi polega na tem przedewszystkiem, że łączenie interesów przemysłowych z interesem hipotecznym, jakby to się dziać musiało w Banku Krajowym, mogłoby wpłynąć ujemnie na kurs listów zastawnych, wskutek czego, pomijając nawet ewentualny spadek kursu tych listów, Bank Krajowy nie mógłby rozwinąć takiej energii i rzutkości, jakaby była z innych względów pożądana. Nie posiada tych stron ujemnych projektowany Bank Przemysłowy, który zresztą wedle propozycyi autora, w znacznej części miałby się opierać na kapitałach prywatnych. Połączenie funduszów publicznych z kapitałami prywatnymi wyobraża sobie referent w ten sposób, że kraj powinien się zadowolić akcyami założenia, podczas gdy dla kapitału prywatnego pozostawi akcye pierwszeństwa, dając mu w ten sposób zachętę do kooperacyi bankowej. Kraj może się zrzec dochodu ze swego wkładu dopóty, dopóki Bank

w pełni swego rozwoju nie osiągnie zysków, wystarczających na oprocentowanie całego kapitału akcyjnego, kapitał prywatny bowiem, do podobnej akcyi ofiarnej nie da się pozyskać.

(D. c. n.).

Z. Gargas.

Referat Kariejewa[1].

Refarat ten był odczytany w lwowskiem Towarzystwie Historycznem, w styczniu b. r., przez samego autora, b. profesora uniwersytetów warszawskiego, a następnie petersburskiego — Mikołaja Kariejewa.

W referacie tym — jak wskazuje jego tytuł — prof. Kariejew zaznajamia czytelników polskich z pracami rosyjskich historyków, którzy zajmowali się studyami nad główniejszemi epokami i kwestyami z zakresu wieków średnich i nowszych historyi zachodnio-europejskiej. Rzecz tę poprzedza autor wyjaśnieniem ogólnego rozwoju w Rosyi nauk historycznych, mających za przedmiot swój wyłącznie dzieje powszechne. Zaznacza więc najpierw rozwój t. zw. „wschodoznawstwa“ *(wostokowiedenie)*, które zostało spowodowane dawnymi bezpośrednimi stosunkami Rosyi z państwami Wschodu. Już bowiem w XVI w. Rosya kroczyć poczęła na Wschód. U historyków zachodnio-europejskich, przeciwnie — rozwinęły się wielce studya nad światem klasycznym. Owo zainteresowanie się nim wypływało z zakorzenionej tradycyi kulturalnej, podczas kiedy w Rosyi — jak słusznie twierdzi prof. Kariejew — „klasycyzm był zawsze w znacznym stopniu hodowany sztucznie, a przymusowe wszczepianie go na gruncie szkolnym, w przeciągu ostatnich lat trzydziestu, wywołało nawet w szerokich kołach społeczeństwa jawną ku niemu nienawiść“. Oto dla czego, widzimy, z takiem upragnieniem społeczeństwo rosyjskie wyczekiwało reformy szkół, która obecnie właśnie już nastąpiła, i dla czego też reformy te z takim entuzyazmem przez społeczeństwo to przyjęte zostały.

Obok tego rozwoju „wschodoznawstwa“ rozwinęła się jeszcze w Rosyi bizantynologia, wywołana okolicznością przyjęcia przez Ruś, w końcu X wieku, chrześcijaństwa z Bizancyum (Bizantologowie: W. G. Wasilewskij, T. I. Uspienskij, Bielajew i inni).

---

[1] Kariejew Mikołaj. „O studyach z zakresu historyi zachodniej Europy w Rosyi“. Odbitka z *Kwartalnika Historycznego*. Rocz. XV. (8-a, str. 2+17). Lwów. 1901.

Dwa stulecia jednak temu, Rosya, dzięki reformom Piotra Wielkiego, stała się mocarstwem europejskiem i zbliżać się poczęła do cywilizacyi zachodu. „Jak na zachodzie, — pisze prof. Kariejew — w epoce Odrodzenia, zaczęto się stopniowo zwracać do świata starożytnego, ignorując coraz bardziej wieki średnie, tak samo i w rosyjskiem społeczeństwie, wobec nowej zachodnio-europejskiej cywilizacyi, odwracano się od kultury dawniejszej, wspartej na bizantyjskiej podstawie". Coraz więc bardziej rozwijać się poczęło w Rosyi zainteresowanie się dziejami państw zachodnich.

Pierwszymi jednak prawdziwymi historykami dziejów zachodnio-europejskich narodów w Rosyi byli: T. N. Granowskij, profesor historyi powszechnej na uniwersytecie moskiewskim, od roku 1834 do 1855 i współczesny mu M. S. Kutorga, również profesor przy katedrze dziejów powszechnych w Petersburgu. Należeli oni do t. zw. zapadników (zachodowców), czyli zwolenników zachodnio-europejskiej cywilizacyi, a przeciwników, powstałego w połowie XIX wieku, prądu umysłowego, znanego pod nazwą słowianofilstwa, który był reakcyą przeciw kosmopolityzmowi XVIII stulecia. W owej to epoce reakcyi nawet wyjazdy na koszt rządu młodych uczonych za granicę, celem „poduczenia się" w uniwersytetach przeważnie niemieckich, ustały i stan taki trwał aż do początku siódmego lat dziesiątka, kiedy w miejsce słowianofilów i zachodowców wystąpili konserwatyści i liberali. A choć Granowskij czynny był właśnie w czasie tych tak wielce niekorzystnych warunków, (zwłaszcza po roku 1848, kiedy reakcya doszła w Rosyi do punktu kulminacyjnego, tak, iż nawet nie wolno mu było wykładać w uniwersytecie historyi reformacyi XVI wieku, sam bowiem temat taki uważany był wówczas za niecenzuralny), to jednak wpływ prac jego i wykładów był tak wielki, iż nadał ogólny, specyalny charakter pracom nad historyą, nietylko w uniwersytecie moskiewskim, ale nawet w Rosyi całej.

Stosunek „zachodowców" rosyjskich do „Europy" porównywa prof. Kariejew ze stosunkiem humanistów XIV—XVI wieków do klasycznej starożytności. U narodów zachodniej Europy niema, i nie może być, tego przeciwieństwa między kulturą rodzimą a ogólno-zachodnią, jaka istnieje w Rosyi, gdzie kultura ta przedostaje się sporadycznie, dopiero od wieku XVIII.

Dla tych to właśnie względów, prac chistoryków rosyjskich z zakresu dziejów zachodniej Europy coraz większe budzą wśród uczonego świata zachodniego zainteresowanie; a zauważyć jeszcze potrzeba, że

właśnie literatura historyczna Rosyi należy do tych nielicznych literatur, które bardziej od innych interesują się przeszłością narodów obcych.

Z obszernego i wielce ciekawego przeglądu tej właśnie literatury historycznej rosyjskiej, nader umiejętnie dokonanego przez prof. Kariejewa w jego referacie — wypada, że ze wszystkich krajów zachodnio-europejskich najbardziej zajmuje historyków rosyjskich Anglia i Francya, a następnie Włochy i Niemcy, i to w związku z zagadnieniami ogólnodziejowego znaczenia, jako to: feudalizm, katolicyzm, humanizm, reformacya, rewolucya francuska, oraz polityczne i socyalne dzieje XIX wieku.

Korzystając ze sposobności, przytaczamy tu z tej właśnie literatury historycznej rosyjskiej nieco dzieł, traktujących o przedmiotach, bliżej czytelników *Przeglądu Powszechnego* obchodzących.

Najwcześniej zainteresowali się historycy rosyjscy głównie epoką upadku w średniowiecznym kościele katolickim w XIV i XV wiekach i prądami reformatorskimi na schyłku wieków średnich (H. Wyzinskij: „Rys historyi Papiestwa i św. Cesarstwa rzymskiego“ (1860); W. K. Nadler: „Przyczyny i pierwsze objawy opozycyi przeciw katolicyzmowi w Europie zachodniej w końcu XIV w. i w początkach XV w.“ (1864); N. A. Osokin: „Historya Albigensów“ (1869), oraz „Pierwsza inkwizycya i podbój Languedoc'u przez Francuzów“ (1871); to ostatnie dzieło profesora uniwersytetu kazańskiego, oparte na francuskich źródłach archiwalnych, ocenione zostało nader pochlebnie przez zagraniczną krytykę naukową). Jednocześnie szczególniejszą uwagę historyków rosyjskich zwracał na siebie husytyzm; prace te jednak, ze stanowiska naukowego, tracą wiele, z powodu swego charakteru wyznaniowo-polemicznego, pisane bowiem były pod wpływem poglądów słowianofilskich, a więc upatrujących podstawę całego kulturalnego rozwoju Słowian w idealnie pojętem prawosławiu, jako najczystszej formie chrześcijaństwa. E. P. Nowikow w dziele swojem p. t. „Hus i Luter“ bronił np. poglądu, że nauka Husa jest w związku z tradycyą kościoła wschodniego w Czechach; spotkała go jednak surowa krytyka ze strony uczonych czeskich Golla i Kalonska. Tym samym poglądom hołdowali: głośny slawista Hilferding, W. A. Bilbasow, I. S. Palmow i inni.

Nowsi historycy rosyjscy zapatrują się na katolicyzm, według słów prof. Kariejewa, jako na „pewnego rodzaju pogląd na świat *(Weltanschauung)* o ascetycznej etyce i teokratycznej polityce, interesując się genezą tego poglądu, jego wewnętrznym ideowym rozwojem,

jego wpływem na kulturalny i społeczny rozwój narodów zachodniej Europy". Do prac, w których ten własnie pogląd na katolicyzm panuje, należą rozprawy: Wertałowskiego: „Mistyka średniowieczna i jej stosunek do katolicyzmu", Nalimowa: „Kwestya władzy papieskiej na soborze konstancyjskim", a przedewszystkiem, obszerne, gruntowne, na materyals źródłowym oparte studya prof. Guerriera: Średniowieczny pogląd na świat"; „Tryumf zasad teokratycznych w Europie zachodniej"; „Franciszek z Assyżu"; „Katarzyna z Sienny".

Za prawdziwych zaś specyalistów w dziedzinie katolicyzmu średniowiecznego, w szczególności zaś papiestwa, prof. Kariejew uznaje A. S. Wiazigina, profesora uniwersytetu charkowskiego („Szkice z historyi papiestwa w XI w.") i księcia E. N. Trubeckiego, profesora w uniwersytecie kijowskim („O św. Augustynie", oraz „Religijno-społeczny ideał chrześcijaństwa w Europie zachodniej w XI wieku).

O epoce reformacyi religijnej w wieku XVI, na podstawie materyału archiwalnego, pisali I. W. Luczycki („Burżuazya i feudalna arystokracya na południu Francyi w r. 1572"; „Kalwiniści i feudalna arystokracya we Francyi"; „Liga katolicka i kalwiniści we Francyi"), N. N. Ljubowicz: „Historya reformacyi w Polsce"; „Początki katolickiej reakcyi i upadek reformacyi w Polsce"), R. I. Wipper, którego dzieło p. t.: „Kościół i państwo w Genewie za czasów Kalwina" (1894) stawia prof. Kariejew na równi ze znaną głośną pracą Kampschultego; dalej Budrin („Antitrynitarze w XVI w."), P. A. Żukowicz („Kardynał Hozyusz i współczesny Kościół polski"), W. Sokołow („Reformacya w Anglii") i inni.

Do tejże kategoryi należy i praca autora, omawianego przez nas referatu, prof. Kariejewa, p. t. „Szkic dziejów ruchu reformacyjnego i reakcyi katolickiej w Polsce", o której zresztą sam autor się wyraża, iż „daje tylko ogólny przegląd już znanych faktów".

Henryk Ułaszyn.

Druk ukończono 31 października 1901 r.

NA WYSPIE PATMOS.

Gdym się znajdował przed dwoma laty na wyspach morza Egejskiego, nie chciałem pominąć sposobności zwiedzenia wyspy Patmos, uświęconej pobytem na wygnaniu św. Jana Ewangelisty, gdzie spisał „Objawienia“, o których św. Hieronim wspomina: *tot habet sacramenta, quot verba. Parum dixi pro merito voluminis. Laus omnis inferior est: in verbis singulis multiplices latent intelligentiae.* Com widział i słyszał na miejscu, podaję czytelnikom *Przeglądu* w krótkości, zastrzegając sobie obszerniejsze sprawozdanie na innem miejscu.

Zadośćuczynić pragnieniu nie było łatwo, gdyż kogo tylko pytałem o informacye czy to w Atenach czy w Syrze, Tinosie i t. d., jak możnaby dostać się na wyspę Patmos, za odpowiedź słyszałem: „nie wiemy“. Jedynym drogowskazem była obszerna karta geograficzna, z której poznałem, że najlepiej będzie wpierw udać się na wyspę Samos, a następnie stamtąd parowcem albo łodzią rybacką na Patmos, gdyż przestrzeń dzieląca te wyspy wydała się mi nie większą nad parę mil. W dniu Zielonych Świątek około godziny 10-tej rano przybyłem na wygodnym Lloydowskim parowcu do Wathy, głównego portu wyspy Samos; a wiedząc, że w mieście znajduje się dom misyjny zgromadzenia Ojców lyońskich dla misyi afrykańskich, zaraz do nich się udałem, aby Mszę św. odprawić. Po Mszy św. zapoznałem się z O. Defoin, przełożonym misyi, i oświadczyłem o celu mego

przybycia na Samos, prosząc, aby mi dał kogoś ze swych domowników za towarzysza.

„Dziś właśnie odchodzi jedyny parowczyk „Samos“ na wyspę Rhodos i zatrzyma się w porcie Patmosu, lecz już niewiele ma Ksiądz czasu, bo za godzinę okręt odchodzi; żałuję, że żadnego służącego dać nie mogę za towarzysza“.

„To niech Ksiądz ze mną jedzie — odpowiedziałem — być na Samos, a nie wstąpić na Patmos, byłoby nie do darowania“.

Po pewnym namyśle O. Defoin wreszcie się zdecydował. Zjedliśmy czemprędzej obiad, on poszedł do konsula francuskiego, ja do austryackiego, aby uzyskać listy polecające do tureckiego gubernatora Patmosu i mnichów mieszkających na tej wyspie. Zanim wszystko było załatwione, parowiec, niestety, opuścił już port Wathy; na drugi trzebaby było czekać cały tydzień; łodzią rybacką, bez narażenia życia na niebezpieczeństwo, trudno było puszczać się na dalekie morze. Lecz nadzieja jeszcze nie stracona: dowiedzieliśmy się, że parowiec ma okrążyć wyspę i na południowej stronie Samosu zatrzymać się w miasteczku Tigani. Konsul telefonował do burmistrza, aby parowiec zatrzymał do naszego przybycia, a tymczasem siedliśmy na wierzchowce i, biorąc bagaże, puściliśmy się cwałem przez wyspę. Towarzyszył nam młody Azyata, polecony przez konsulat francuski, znający dobrze język turecki. Jemu powierzyliśmy troskę o nasze rzeczy i załatwienie interesów z władzami.

Dzięki dobrym nogom naszych wierzchowców przybyliśmy jeszcze na czas do portu w Tigani i maleńkim parowcem „Samos“ w dalszą puściliśmy się drogę ku wybrzeżom Patmosu. Po czterogodzinnej podróży przybyliśmy o godzinie 10. wieczór do portowego miasteczka La Scala, dawniej Φορά zwanego. Ponieważ już było za późno iść do monasteru mnichów św. Bazylego W. (ortodoksów), do których mieliśmy listy polecające, przeto w jakiejś oberży, o iście wschodnim typie, szukaliśmy spoczynku.

Noc była pogodna, jak i dzień ubiegły. Ani jednej chmurki nie widać było na horyzoncie: lazurowe niebo skrzyło się gwiazdami, cisza i spokój zupełny zalegał całą okolicę; o czemże

innem mogłem wówczas myśleć, jak nie o św. Janie Ewangeliście i Apokalipsie pisanej opodal w grocie, którą miałem nazajutrz oglądać?

Zaledwie słońce rzuciło na horyzont morski swe pierwsze promienie, wyruszyliśmy w drogę za poszukiwaniem apokaliptycznej groty. Szliśmy drogą prowadzącą ku monasterowi św. Jana, zbudowanemu jak potężna twierdza na jednym z najwyższych szczytów Patmosu. Z jakiegoś starego opisu flamandzkiego autora wiedziałem, że grota nie znajduje się na szczycie góry, lecz w pobliżu morza. To było mi wskazówką, aby nie iść do monasteru, lecz szukać nieco niżej świętego miejsca. I rzeczywiście, w jakie paręset kroków od traktu wiodącego do głównego monasteru, zobaczyliśmy wielkie zabudowania. Gdyśmy się tu nieco zbliżyli, wyszedł mnich w kołpaku i przedstawił się jako O. Makarios, *hieromonachos ephemerios thes apokalipsias,* reguły św. Bazylego, a na zapytanie potwierdził nasz domysł, iż się znajdujemy przed grotą apokaliptyczną. Zabudowania otaczające grotę służyły na szkołę helleńską w XVIII wieku, przez długi czas cieszącą się uznaniem ludności wysp Archipelagu. Najznakomitszymi jej mistrzami byli Makarios, Gerasim i Daniel. Za czasów Daniela, zmarłego w r. 1801, szkoła ta liczyła przeszło 200 uczni nie tylko sąsiednich wysp, ale i z dalszych, nawet z Grecyi, przybyłych na naukę do tego głośnego profesora. Obecnie szkoła ta zupełnie upadła; wybudowano natomiast inną w samem mieście Patmos, gdzie nauczycielem jest człowiek świecki, utrzymywany kosztem monasteru św. Jana. Trzydziestu kamiennymi schodami schodzimy z platformy dawnej szkoły do sławnej groty apokaliptycznej. U wejścia po lewej stronie znajduje się kaplica, poświęcona czci św. Anny; po prawej grota (13 kroków długa, 4 szeroka), o którą spiera się dach kaplicy. Czworoboczne słupy kamienne, grubej roboty, dzielą grotę na trzy części: w pierwszej, która jest jakby westibulem czyli narteksem, sklepienie jest prawie okrągłe; w drugiej, najdłuższej, schyla się ono ku kaplicy św. Anny ze wschodniej ku zachodniej stronie; w najwyższym punkcie wysokość wynosi 4 metry, w najniższym 2 m. 30 ctm. Ta część środkowa nazywa się w ka-

plicach greckich καθολικόν. W sklepieniu skały widać dwie szpary, które kiedyś wydrążyła woda, zanim do ścieku inny zrobiono otwór. Mnich, oprowadzający po grocie, zwrócił naszą uwagę na trójgraniastą szparę w sklepieniu, która, wedle niego, przedstawia Trójcę Najświętszą. Przez ten otwór miały dochodzić głosy przedziwne do uszu św. Jana.

Trzecią część groty, *sanctuarium* (τὸ ἅγιον), oddziela od καθολικόν *templon* (τέμπλον) czyli ściana wykonana z drzewa rzeźbionego i złoconego, ozdobiona w stare malowidła, odnoszące się do Apokalipsy.

Oto jak się przedstawia grota, którą stara i poważna tradycya nam przekazała jako miejsce pobytu św. Jana, gdy pisał Apokalipsę. Opat Chrystodul w XI wieku zamienił ją w kaplicę; druga, św. Anny, znajdująca się po lewej stronie od wejścia, została zbudowaną w nowszych czasach.

Wszedłszy do groty, padliśmy na kolana i modliliśmy się gorąco, przygotowując się do Najświętszej Ofiary. Mnich Makarios stał w milczeniu w bocznej kaplicy św. Anny i przypatrywał się nam ciekawie. Następnie, bez pytania o pozwolenie, wyciągnęliśmy jakiś stolik i w pierwszej części groty, nie należącej do kaplicy ortodoksów, ustawiliśmy na nim ołtarzyk przenośny, którymśmy ze sobą ze Samos przywieźli. Na nim ja pierwszy odprawiłem Mszę św., służył mi do niej O. Defoin; następnie on sprawował Najświętszą Ofiarę, a ja mu do niej służyłem.

Nie będę się silił opisać uczuć, jakie się wówczas w sercu budziły... Wszak na tem samem miejscu św. Jan z nieba otrzymał tak wzniosłe i ważne wizye, jakich żaden z proroków nie miał: gdy inni obejmowali wzrokiem duszy tylko niektóre części wypadków, jakie przyszłość w swem łonie ukrywa, i zaledwie rąbek zasłony dozwolonem im było odkryć z wiecznej Opatrzności Bożej — przed oczyma św. Jana ta zasłona zdawała się prawie całkowicie podnosić, a Duch Boży jakby go przenosił z jednego na drugi koniec świata, ponad wszystkie narody, wszystkie wieki i wszystkie wypadki dziejowe aż do ostatniego, który ma koniec położyć wszystkiemu i stać się ostatnim aktem w wielkim dramacie, jaki się tu na ziemi odgrywa. Kto cho-

ciażby raz w życiu Apokalipsę przeczytał, trudno, by tego wrażenia nie doznał.

Jakież w tem miejscu sprawiają wrażenie same wstępne słowa Apokalipsy: „Ja Jan, brat wasz i uczestnik ucisku... byłem na wyspie, którą zowią Patmos, dla słowa Bożego i świadectwa Jezusa. Byłem... w dzień Pański i słyszałem głos za sobą wielki jako trąby, mówiący: co widzisz, napisz w księgi i poślij siedmiu kościołom, które są w Azyi. I obróciłem się, abym obaczył głos, który mówił za mną. A obróciwszy się, ujrzałem siedm lichtarzów złotych: A w pośrodku... podobnego Synowi Człowieczemu, obleczonego w długą szatę i przepasanego u piersi pasem złotym. A głowa jego i włosy były białe jako wełna biała, i jako śnieg, a oczy jego jako płomień ognia.,. A gdym Go ujrzał, upadłem do nóg jego jako martwy. I włożył prawą rękę swoją na mnie, mówiąc: Nie bój się: Jam jest pierwszy i ostateczny. I żywy, i byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków, i mam klucze śmierci i piekła. Napisz tedy coś widział, i co jest i co się dziać ma na potem..."[1]. Dalsze słowa, a raczej długi szereg obrazów, odnoszących się do dziejów Kościoła aż do dni ostatecznych, zawartych w Apokalipsie, stanęły mi żywo przed oczyma: chciałoby się w tej samej grocie, gdzie były objawione św. Janowi, wyczekiwać spełnienia owych strasznych dni.

Przed wyjściem z groty oglądnęliśmy ją raz jeszcze dokładnie; zrobiłem z niej kilka zdjęć fotograficznych, poczem O. Makarios zaprosił na śniadanie do swego mieszkania. Czarną kawę i suchary podała nam towarzysząca mu mniszka. Gdyśmy się żegnali, mała dziewczynka, należąca do tej rodziny zakonnej, podała nam kwiatki, wyrosłe nad grotą apokaliptyczną.

Z miejsca świętego poczęliśmy zmierzać ku monasterowi św. Jana, wznoszącemu się na górze 216 m. nad poziom morza, jak twierdza obronna z szeregiem murów i baszt. Chociaż przestrzeń z groty apokaliptycznej do monasteru stosunkowo była niewielka, bo ledwie pół godziny pieszej drogi, to jednak głazy

[1] Rozdz. I, w. 9—19.

gościńca, jak szkło gładkie, utrudniały pieszą wędrówkę. Miejscowe osiołki, wprawne w chodzeniu po skałach, doskonałą oddały nam usługę, gdyż bez szwanku spinaliśmy się w górę drogą, wijącą się wężowato, aż do miasteczka Patmos, otaczającego monaster św. Jana. Przed twierdzą-monasterem zsiedliśmy z osiołków. Rozpoczęły się olbrzymie schody kamienne, podzielone na 3 przystanki z małymi placykami. Na platformie drugiego placyku widzimy kapliczkę, zbudowaną przez hegumena Nicefora w r. 1600, obok niej cysternę z obfitem źródłem.

Po dalszych kilkudziesięciu schodach stajemy przed pierwszą bramą monasteru. Nad nią w niszy umieszczono bardzo piękny oprawny obraz głowy św. Jana. Pierwsza brama otwiera wstęp na kręte, sklepione schody, zakończone drugą, silnie okutą żelazem. Za tą drugą bramą znajdujemy się już we właściwym klasztornym dziedzińcu, otoczonym z trzech stron gotyckiemi arkadami; z lewej strony znajduje się cerkiew.

Zanim do niej wejdziemy, należy wpierw przedstawić się tutejszej władzy zakonnej. Ponieważ przełożony główny: καθηγούμενος gdzieś bawił poza monasterem, przeto przyjmował nas jego zastępca: ἐκκλησιάρχος, w otoczeniu kilku mnichów i świeckiego sekretarza monasteru p. Epaminondasa Alexaki. Po przedstawieniach nastąpiło zwykłe przyjęcie na Wschodzie (limoniadą i czarną kawą), poczem nas zaprowadzono do pokoi gościnnych. Dla mnie przeznaczono najpiękniejszy salon i drugi pokój sypialny. Wszędzie wielką schludność zastałem, a salon był zdobny w kilka cennych płócien. Jedno z nich przedstawiało stworzenie świata w porządku znajdującym się w Księdze Rodzaju, drugie sobór nicejski, dalej koronacyę Matki Boskiej w niebie przez Trójcę Najświętszą, chór Aniołów i Świętych Pańskich, a bodaj czy nie najpiękniejszy obraz przedstawia ciał zmartwychwstanie. Stare portrety, fotografie, ryciny, zupełnie się dostrajały do atmosfery zakonnego salonu. Przyjęcie było bardzo gościnne, a przytem pełne godności.

Zanim przypatrzymy się z blizka monasterowi i obecnemu w nim życiu mnichów, wypada nam słowo powiedzieć o założycielu. Był nim Chrystodul. Życie jego jest opisane w trzech

odrębnych rękopisach, przechowujących się w miejscowej bibliotece.

Z tych życiorysów dowiadujemy się, że Chrystodul urodził się niedaleko miasta Nicei, lecz ani rok urodzenia, ani miejscowość dokładniej nie jest wyrażoną (urodził się najprawdopodobniej około r. 1020). Ojciec jego Teodor, matka Anna; na chrzcie otrzymał imię Jan. Od lat dziecinnych okazywał wiele zamiłowania do nauki, lecz przedewszystkiem do ksiąg świętych. Rodzice, z obawy aby nie wstąpił do klasztoru, zawczasu starali się umysł jego skierować ku życiu świeckich ludzi i wyszukali mu przyszłą towarzyszkę życia. Młodzieniec, chcąc uniknąć małżeństwa, uciekł z domu rodzicielskiego w kryjówkę i przebył w niej dni kilka. Tam usłyszał głos mówiący doń: „Idź drogą, którą ci wskażę“, a gdy opuścił miejsce schronienia, spotkał starca poważnego, który go zaprowadził ku górom Olimpu w okolice miasta Prusa (Brussa). Tam mieszkało wielu mnichów w kilku monasterach. Przewodnik zaprowadził go do najsławniejszego i oddał w ręce cnotliwego kapłana, żyjącego wedle najsurowszych praktyk zakonnych. Trzy lata przebył Jan pod jego kierunkiem i zdawał się w cnocie rywalizować ze swoim mistrzem. Od niego otrzymał nowe imię Chrystodula tj. sługi Chrystusa. Niebawem ów stary mnich umarł, a Chrystodul, obawiając się, aby go rodzice nie odwołali do siebie i nie kazali pozostać wśród życia świeckiego, z którem już na zawsze wziął rozbrat, schronił się do Rzymu. Tam oddał pokłon relikwiom św. Apostołów, którzy mu pewnej nocy we śnie objawili, jakie zamiary ma Bóg względem niego. Z Rzymu udał się do Palestyny: Jerozolima, Nazaret, Betleem, wybrzeża Jordanu, góra Tabor, jezioro Tyberiadzkie były miejscami jego pielgrzymki. Istniało podówczas nad Jordanem wiele monasterów. Do jednego z nich wstąpił Chrystodul i zasłynął w całej okolicy z cnót życia pustelniczego. Wtem napadli rozbójnicy klasztory, mnichów częścią pomordowali, częścią zmusili do ucieczki. Między tymi ostatnimi znajdował się Chrystodul, liczący podówczas wieku 25 lat. Wsiadł na łódź, płynącą do Anatolii i wysiadł w okolicy Miletu.

W pobliżu tego miasta, w górach zwanych Latros, znajdowało się kilka monasterów. Chrystodul wstąpił do jednego z nich w którym kwitnęła reguła. Mnisi niebawem poznali się na jego świętości życia i wybrali swym przełożonym. Chrystodul, chcąc uniknąć godności, odniósł się w tej sprawie do patryarchy carogrodzkiego. Lecz ten, nie uwzględniwszy jego wymówek, kazał mu przyjąć brzemię przełożeństwa. Nadto inne klasztory gór Latros, porozumiawszy się ze sobą, obrały Chrystodula swym archimandrytą; on zaś rządził w spokoju i miłości tymi monasterami, aż nowy rozbójniczy napad zniszczył klasztory, przyczem część mnichów w okrutny sposób została wymordowaną, inni w ucieczce szukali schronienia. I tym razem Chrystodul uniknął śmierci. Teraz pragnął udać się do Jerozolimy, lecz przybywszy do miejscowości Strobilus, położonej naprzeciw wyspy Kos, zmienił swój zamiar pod wpływem starego hegumena Arseniusza, przełożonego nad monasterem, mającym znaczne posiadłości na wyspach Kos i Leros. Arseniusz, znużony administracyą dóbr klasztornych, pragnąc wypoczynku na stare lata, prosił Chrystodula, aby zań przyjął brzemię przełożeństwa. Nie bez wahania przyjął ostatecznie Chrystodul przełożeństwo; lecz niebawem przekonawszy się, że wskutek bogactw, pięknego położenia i ciągłej styczności ze światem może ucierpieć duch zakonny, przeniósł się ze swymi mnichami na wyspę Kos i tam nowy założył monaster.

Niestety, przekonał się, że urocza wyspa te same przedstawiała niebezpieczeństwa dla surowego życia klasztornego. Szukał schronienia odludnego, któreby nie było tak uprzywilejowanem od natury. Wśród wysp sąsiednich, Patmos, wówczas puszcza skalista, wydała mu się najodpowiedniejszem miejscem dla poświęcenia i ofiary życia mniszego, a nęciła go jeszcze więcej tem, że była uświęconą wygnaniem św. Jana. Udał się więc do Konstantynopola, aby uprosić u cesarza Aleksego Komnena wyspę Patmos na założenie monasteru. Po pewnej zwłoce, płynącej z innych względem niego zamiarów cesarza, uzyskał w r. 1088 „złotą bullę“, mocą której wyspa Patmos na zawsze została oddaną jemu i jego następcom, przełożonym monasteru.

Wybrał się więc na tę wyspę z 50 robotnikami, mającymi budować monaster, wziął też ze sobą z wyspy Kos część oddanych mu mnichów, jako zawiązek przyszłej zakonnej rodziny. Miejsce pod monaster wybrał na szczycie góry — tam, gdzie dziś się znajduje. Rozpoczął budowę od zniszczenia statuy Dyany i świątyni poświęconej kultowi tej bogini, a na jej fundamentach zbudował cerkiew pod wezwaniem św. Jana.

Gdy monaster był już na ukończeniu, w r. 1096 napisał Chrystodul w formie testamentu przepisy dla zakonników żyjących na Patmos. Pierwotnie miał zamiar zupełnie odciąć mnichów od wszelkich złych wpływów na życie kontemplacyjne, jakiemu mieli się oddawać, i w tym celu postarał się, że cesarz Aleksy Komnen w „złotej bulli“ fundacyjnej zabronił wstępu na Patmos niewiastom, dzieciom i eunuchom. Jednakowoż, gdy Chrystodul przybył na wyspę Patmos z robotnikami, mającymi rodziny, przekonał się, że nie można ich odrywać na czas długi od ognisk domowych. Pozwolił więc robotniczym rodzinom pobudować mieszkania, lecz w dali od monasteru, i wyznaczył granice, których pod grozą wydalenia z Patmosu nie wolno było niewiastom i dzieciom przekraczać. Ich mężowie przez 5 dni pracowali w obrębie monasteru, w piątek wieczorem wracali do ognisk domowych, a w poniedziałek rano znowu znajdowali się na wyznaczonych przez przełożonego robotniczych posterunkach.

Mnichom również było wzbronionem udawać się pod jakimkolwiek pozorem do domów świeckich ludzi. Tylko jeden ekonom (prokurator) był wyjętym od tego przepisu, lecz tylko w towarzystwie dwu innych mnichów wolno mu było tamże się udawać w interesach monasteru.

Mnich, któryby się odważył przekroczyć ten zakaz, i zachodziłoby podejrzenie, iż go przekroczył w niedobrym zamiarze, miał być ukarany postem ścisłym przez dni 20, i nie wolno mu było w tym czasie jeść innych potraw jak rzeczy suszone, niegotowane, a za napój miała służyć jedynie woda. Ktoby się dopuścił jednego i tego samego występku kilka razy, miał być wydalony z monasteru dla przykładu braci.

Życie miało być wspólnem. „Niema nic doskonalszego nad ten rodzaj życia zakonnego, w którem nie istnieje twoje i moje, gdzie panuje słodka zgoda dusz, myśli i uczuć, wszystko należy do wszystkich, gdzie wszyscy wspólny udział biorą we walce, w tych samych nadziejach i tych samych wieńcach chwały...“

Modlitwy mają być częste, a ponieważ życie mnichów ma być bezustanną chwalbą wznoszącą się ku Bogu, posty będą często się powtarzały.

Dalszy ciąg opowiadania o Chrystodulu, o jego cudach i śmierci w r. 1101 opuszczam, jako rzecz mniej interesującą czytelników. To tylko dodam, że bulla cesarza Aleksego Komnena (panował od r. 1081—1118) dotychczas przechowuje się w bibliotece klasztornej, nie mniej jak płyta z białego marmuru, znaleziona przed kilkudziesięciu laty w cerkwi obecnej, a pochodząca z czasów pogańskich. Daje ona świadectwo, iż rzeczywiście na Patmos była świątynia Dyany Scytyjskiej, zbudowana przez Oresta, syna Agamemnona.

Napis na płycie jest następujący:

Ἀγαθῇ Τύχῃ
Αὕτη παρθενικὴ Ἐλαφήβολος ἀρήτειραν
Θήκατο Κυδ[ίππ]ην Γλαυκίεω θυγάτρα
Ὑδροφόρον ἥν[ἑ]ν Πάτν[ῳ] παραβώμια ῥέξαι
Σπαιρόντων αἰγῶν ἔμβρυα καλλιθύτων.
. . . . . παῖς, ἡ δὲ τιθήνη
Ἐκ τερείνης ἥβης ἐκτροφός ἐστι Πάτνος
Νῆσος ἀ[μ]αυροτάτη Λητωίδος ἧς προβέβηκε
Βένθεσιν . . . . . ἔδρανα ῥυομένη.
. . . . . ν[ηὸ]ν Ἀρήιος εἷσεν Ὀρέστης
. . . . . μητροφόνου μανίης
[Τή]ν δ᾽ Ἑκάτην φ[ανήν? Θυγ]άτηρ σοφοῦ ἰητῆρος
Γλαυκιέω [ἐν] αὐλαῖς Ἀρτέμιδος Σκυθίης
Αἰγαίου πλώσασα πόρου δυσχείμερον οἶδμα
Ὄρπαχ . . . . ὡς Θέμις, ἠγλαίσεν
Εὐτυχῶς. [1]

Zasługuje na uwagę, że pierwotnie wyspa nazywała się Patnos a nie Patmos (Ἔκτροφός ἐστι Πάτνος). Tablica po-

[1] Odcyfrowanie tekstu zawdzięczamy Rossowi w inskrypcyach greckich.

wyższa znajdowała się prawdopodobnie pod statuą Hekaty, a umieszczoną została w portyku świątyni Dyany Scytyjskiej przez Cydippę, córkę lekarza Glauciasa, a kapłankę tejże świątyni, jako dar wdzięczności za szczęśliwe przebycie morza Egejskiego:

(Αἰγαίου πλώσασα πόρου δυσχείμερον οἶδμα).

W towarzystwie ekklesiarcha i kilku innych mnichów zaraz po obiedzie zabraliśmy się do oglądania monasteru. Rozpoczęliśmy od kościoła, znajdującego się, jak wyżej powiedziałem, po lewej stronie dziedzińca u wnijścia do głównej bramy. Przed cerkwią widać westibul wsparty na nizkich, zaledwie $2^1/_2$ metra wysokości, marmurowych kolumnach. Dwie z nich mają kapitele jońskie, dwie inne zdobne w kapitele bizantyńskie, piąta jest rżniętą w spiralne rowki. Ściany sklepionego westibulu są ozdobione freskami bizantyńskimi, przedstawiającymi postacie świętych i proroków. Robota jest dość ordynarna, lecz koloryt dobrze się zachował.

Wewnętrzny narthex jest oddzielony od katholikonu dwiema marmurowemi kolumnami, widocznie bardzo starego pochodzenia, chociaż są ozdobione bizatyńskimi kapitelami.

Katholikon, podobnie jak po większej części we wszystkich greckich cerkwiach tej samej epoki, posiada kopułę malowaną. Ściany są ozdobione freskami patryarchów zakonów wschodnich. Czytam napisy na portretach: Aristodulos, Afxendios, Athanasios, Toktistos, Hadriton, Paulus, Hilarion i t. d.

Carskie wrota, bardzo pięknie rzeźbione i bogato złocone, zdobne w obrazy dobrego pędzla, pochodzą z nowszych czasów (r. 1817). Za carskiemi wrotami *(templon)* znajduje się wedle wschodniego zwyczaju *hagion* czyli *sanctuarium* z ołtarzem i *tabernaculum*, zupełnie podobnem do naszych, z tą różnicą, iż tu nie przechowują Najświętszego Sakramentu. Za ołtarzem przechowują mnisi bardzo stare obrazy na drzewie malowane i metalową złoconą mozajką wykładane. Jeden z nich wielkości 2 decym. □, na desce 3 ctm grubości przedstawia św. Mikołaja, po bokach Chrystusa Pana i Matkę Bożą. Tamże przechowują relikwiarz srebrny przeszło 1 m. wysokości zawierający

głowę św. Tomasza Apostoła, oprawną w srebro i złoto, w innym relikwiarzu przechowują głowę św. Antipasa, tudzież kości świętego Bazylego W., św. Jakóba Apost. biskupa jerozolimskiego. Czy te relikwie są autentyczne, naturalnie niepodobna było stwierdzić w żadnym dokumencie zasługującym na wiarę. Obok hagionu znajduje się skarbiec, w którym przechowują niektóre bardzo cenne przedmioty. Tak np. ewangelia jest oprawna w srebrne misternie wykonane okładki i zdobne w kilkadziesiąt medalionów starej roboty, emaliowanych, przedstawiających sceny z apokalipsy. Prześliczne znajdują się tu mitry złote wysadzane drogimi kamieniami, dar patryarchy carogrodzkiego, dawniej mnicha z Patmosu, Neofitosa; kolosalnych rozmiarów srebrny kielich, mogący pomieścić conajmniej 4 litry, dar żołnierzy ciągnących do Jerozolimy podczas wypraw krzyżowych; berła przełożonych monasteru: stare i nowe, drewniane, hebanowe, z kości słoniowej lub srebrne. Jeden pastorał drewniany, bardzo prostej roboty, lecz ponoś z czasów Chrystodula, chciał kupić do swych zbiorów Rotschild i ofiarował klasztorowi 25000 fr., lecz mnisi nie sprzedali zakonnej pamiątki.

Pokazywano także dar dla Patmosu carycy Katarzyny II: wielki krucyfix srebrny, lecz nieszczególnej roboty. Po prawej stronie od głównego wejścia do cerkwi znajdują się dwie kapliczki. Pierwsza z nich jest ozdobiona freskami, między innymi bardzo starym obrazem przedstawiającym św. Jana w chwili, gdy dyktuje apokalipsę swemu uczniowi. Druga kapliczka bardzo małych rozmiarów zawiera zwłoki założyciela monasteru Chrystodula. Spoczywają one w srebrnej trumnie. Gdy jej wieko otworzono, mogłem zobaczyć głowę, wcale dobrze zachowaną i trochę ciała aż po piersi.

Rozmiary całej cerkwi są niewielkie: zaledwie 10 metrów długości na 8 szerokości; jest zbudowaną, jak powiedzieliśmy, na miejscu dawnej świątyni Dyany i z jej gruzów.

Z głównego dziedzińca, przez boczną bramę wchodzimy do dawnego refektarza zakonnego. Jest to najpiękniejsza sala w całym monasterze: sklepiona, malowana *al fresco*, lecz kurz i brud nie dozwala odgadnąć, co przedstawiają malowidła. Po-

środku stoją wzdłuż dwa z białego marmuru stoły, mające zagłębienie na talerze. Przed stołem stoją w ziemię wpuszczone stołki; na końcu znajduje się osobne wybitniejsze miejsce dla hegumena. Refektarz od dawna zaniedbany, ponieważ życie wspólne znikło z monasteru. Mnisi wcale nie schodzą się na wspólny posiłek, lecz każdy dla siebie osobną kuchnię prowadzi. W tym celu z dóbr klasztornych otrzymuje każdy zakonnik 10 lirów tureckich (1 lira = naszym 21 koronom), przełożony 30 lirów. Zwykle ktoś z krewnych pełni funkcye kucharza lub kucharki, gdyż niewiasty mają wstęp wolny do wszystkich ubikacyi klasztornych. Widziałem młodzież obojga płci kręcącą się po korytarzach monasteru, pełniącą rozmaite posługi domowe. Nawet obiad, który nam podawano, gotował jakiś mnich na spółkę ze swą siostrą.

Na 40 mnichów znajdujących się w patmoskim monasterze jest 33 kapłanów, 4 dyakonów, reszta bracia laicy. Prawie wszyscy są rodem z wyspy Patmos. Kolejno codziennie jeden z mnichów odprawia mszę, inni są lub nie są na niej obecni; po południu około 4-tej schodzą się poraz drugi na pacierze wspólne, głośno odmawiane, trwające około $^1/_2$ godziny. Poza tym czasem mnisi mają czas wolny, do swej dyspozycyi zostawiony. Nauczyciel ludowy w miasteczku Patmos, rozłożonem do koła klasztoru, człowiek świecki i wcale wykształcony, nie bardzo korzystnie wyrażał się o życiu mnichów. O ile sam mogłem zauważyć, zdanie nauczyciela nie odbiegało od prawdy. Wskutek braku zajęcia, dyscypliny zakonnej, życia wspólnego, i bardzo ograniczonego wykształcenia, życie mnichów Patmosu wydało się mi parodyą reguły św. Bazylego W. i tych ustaw, jakie fundator monasteru św. Jana, Chrystodul, pozostawił w testamencie swym zakonnym braciom [1], o których wyżej mówiliśmy. Żadnemi naukami się nie zajmują, żadnem rzemiosłem, cały dzień wałęsają się po klasztorze lub po mieście, prowadząc

[1] Rękopis Chrystodula z r. 1096 zaginął, lecz znajduje się w klasztorze wierna jego kopia drukowana w Wenecyi r. 1756. Koniec reguły zamykają słowa: Χριστοδοῦλος ὁ Λατρηνὸς οἰκειοχείρως ἔγραψα κατὰ τὸ 1096 τῆς τοῦ Κυρίου σαρκώσεως.

życie wegetacyjne. Żal mi było bardzo tych mnichów, dających najwyraźniejszy obraz sparaliżowanego ducha, jakiemu uległ Kościół na Wschodzie od czasów wielkiej schizmy. Cnotę gościnności zachowali jednak ci mnisi w całej prostocie: wszyscy okazywali mi wielką uprzejmość, a Teofani, kathigumenos, świeżo obrany na przełożonego zaszczycił mnie dwa razy wizytą w pełnym kostyumie, z berłem w ręku, jako oznaką swej godności. On też zaprosił do zwiedzania cennej biblioteki. Wielki w niej zastałem porządek: szafy nowe oszklone, nigdzie nie było porozrzucanych książek i papierów, lecz w swojem miejscu ustawione. Dzieł stosunkowo nie wiele, rękopisów zaledwie 250 (katalog rękopisów, znajdujących się w bibliotece monasteru na Patmos wydał w Atenach uczony mnich Sakkelion). Niektóre z nich są wielkiej wartości, a między temi pierwsze miejsce zajmuje pod numerem 67 ewangelia św. Marka. Mnisi twierdzą, że pochodzi z III wieku i jest starszą od kodeksu watykańskiego. Znawcy z Zachodu twierdzą, że rękopis patmoski pochodzi najdalej z VI lub V wieku. W każdym razie należy do najstarszych rękopisów ewangelii, znanych w świecie naukowym. Co do zewnętrznego wyglądu znacznie piękniejszym jest i lepiej zachowanym od watykańskiego egzemplarza. Pergaminowe karty są koloru fioletowego, tekst w dwu kolumnach, litery złote i srebrne. Brak jest trzech pierwszych kart, znajdujących się, jak mi bibliotekarz mówił, w bibliotece watykańskiej. Drugim cennym rękopisem jest Ἰὼβ ἱστορία (Historya Joba) z wieku IX, ozdobiony miniaturami kolorowanemi. Egzemplarz jest bardzo uszkodzony a znajduje się na Patmos od czasów Chrystodula.

(Nr. 33). Dzieła św. Grzegorza Nazyanzejskiego (Γρηγορίου τοῦ θεολόγου) bardzo stary pergaminowy egzemplarz, pisany z początku czerwoną farbą, następnie czarną z czerwonymi inicyałami *in folio*, jest darem cesarza Aleksego Komnena (w XI wieku) dla Chrystodula; a cesarz już go jako stary rękopis otrzymał.

(Nr. 14). Rulon pergaminowy na kilka metrów długi, na którym spisano liturgię św. Jana Chryzostoma.

(Nr. 81). Ewangelia z inicyałami i miniaturami złoconemi, ma także litery złote, bardzo piękne.

Trudno wyliczać na tem miejscu wszystkie rękopisy dzieł św. Bazylego, Grzegorza, Studity, Jana Chryzostoma, Efrema, Dyonizego Areopagity, szereg ewangelii i dzieł innych Ojców Kościoła, pisarzy chrześcijańskich i pogańskich. W innem miejscu zwrócimy uwagę na bardzo ciekawy apokryf, odnoszący się do legendarnych zdarzeń z życia św. Jana.

Po zwiedzeniu biblioteki poszedłem raz jeszcze na sam szczyt monasteru, na jego płaskie dachy, skąd raz jeszcze rzuciłem okiem na leżącą jakby u stóp wyspę skalistą, której wszystkie wybrzeża doskonale dostrzegalne gubiły się w falistej powierzchni morza. Wzrok się zatrzymał nad apokaliptyczną grotą — odżyły w pamięci wszystkie sceny opisane w „Objawieniu“ św. Jana — serce żal ścisnął głęboki, iż trzeba już opuścić na zawsze pełną wspomnień wyspę.

Zdziwiłem się bardzo, gdy przy pożegnaniu mnisi patmoskiego monasteru, dziękując za odwiedziny, oświadczyli, iż o ile sięga ich pamięć, byłem pierwszym z kapłanów katolickich, który apokaliptyczną grotę nawiedził.

Ks. Marcin Czerminski.

ROZBIÓR KRYTYCZNY ŹRÓDEŁ

ODNOSZĄCYCH SIĘ DO KWESTYI Ś. STANISŁAWA BISK.

Wstęp.

Jedną z najbardziej w naszej historycznej literaturze poruszanych kwestyi jest niewątpliwie kwestya św. Stanisława. Nie tylko wyjątkowy tragizm, uwydatniający się w konflikcie między biskupem a królem, nie tylko doniosłość polityczna tego konfliktu i jego tajemnicza zagadkowość zajmują umysły, ale w daleko wyższym stopniu charakter religijny tej kwestyi.

Wyniesiony na ołtarze święty i męczennik, przez tyle wieków i po dziś dzień czczony przez cały prawie naród jako patron Polski, nagle, wskutek odkrycia zaginionego tekstu pierwszej kroniki polskiej, otrzymuje piętno zdrajcy — to nie tylko ciekawa zagadka, to także pożądana sposobność, aby istniejące w społeczeństwie antagonizmy wyznaniowe mogły się zmierzyć i stoczyć ze sobą zacięty bój.

I to jest główny powód, dlaczego sprawa św. Stanisława wywołała tak obfitą i w wielkiej części pod względem naukowym tak małowartościową literaturę.

Począwszy od Naruszewicza po dziś dzień pojawiło się około 17 osobnych rozpraw w tej materyi i również tyle opinii w różnych wydawnictwach źródłowych czy dziełach naukowych, nie licząc wcale całej powodzi recenzyi, polemik a nawet i utwo-

rów literackich [1], a mimo to kwestya pozostaje dziś tak samo, jak przed stu laty, otwarta.

Przedewszystkiem obszerna literatura zawiera wiele śmiecia pod względem naukowym, prace takich Mieczykowskich, Komarnickich, Świeżawskich, Augersteinów. Dalej fantastyczne rozprawy takich Skórskich, Stefczyków, Pichlerów, Gumplowiczów, Sobieskich dla nauki są albo bez wartości albo mają tylko ujemną wartość, wskazując szlaki, którymi badania naukowe kroczyć nie powinny. Ale i prace poważniejszych badaczy cechuje w mniejszym lub większym stopniu tendencya, brak metodycznej, wyczerpującej, trzeźwej krytyki źródeł, pochopność w sądach, i tem się tłumaczy fakt, dlaczego prace Maciejowskiego, Lelewela, Dzieduszyckiego i Kalinki tak nie wystarczających dostarczają wyników w naszej tajemniczej sprawie. Przeważna część wreszcie powag historycznych ograniczyła się tylko na wydaniu przygodnej opinii w tej kwestyi, bez wnikania wszechstronnego we wszystkie jej szczegóły, dlatego to opinie Roepella, Szujskiego, Małeckiego, Smolki lub Bobrzyńskiego tylko ogólnikowy noszą charakter i kwestyi nie wyczerpują.

Przyznajemy, że wobec braku źródeł obfitszych, o wyczerpującem i ostatecznem wyjaśnieniu kwestyi św. Stanisława mowy być nie może, mniemamy atoli, że i obecny stan źródeł pozwala nam do pewniejszych dojść wyników, niż do tych, jakich nam dotychczasowa historyografia dostarczyła. Zależeć to będzie w pierwszej linii od metodycznej i umiejętnej analizy źródeł, której niniejszą rozprawę poświęcamy. Na wstępie do tego krytycznego rozbioru źródeł, odnoszących się do kwestyi św. Stanisława, uważamy za stosowne zestawić najważniejsze wyniki badań, dotychczas na tem polu dokonanych.

Przedewszystkiem skonstatowała krytyka naukowa autentyczność tekstów Galla i Kadłubka w ustępach, które się do św. Stanisława odnoszą. Autentyczność tekstu Gallowego, zakwestyonowana chwilowo tylko przez biskupa Prażmowskiego,

[1] Literaturze tej poświęciliśmy osobne studyum p. t. „Św. Stanisław biskup, w świetle historyografii nowożytnej".

nie podlega żadnej wątpliwości, gorzej było z tekstem Kadłubka, który przez Ossolińskiego, Lelewela początkowo, a głównie przez Bielowskiego poczytany był za wtręt późniejszy, z drugiej połowy XII wieku, za wtręt pochodzący z żywota św. Stanisława. Prace jednak Stadnickiego, zwłaszcza zaś Lelewela i Zeissberga, wszystkie wątpliwości przeciw autentyczności tekstu rozproszyły.

Wobec zapewnionych tekstów wyżej wspomnianych kronik, starano się zakwestyonować treść rzewnych ustępów i kwestyonowano jużto prawdomowność Galla, jużto prawdomowność Kadłubka, stosownie do stanowiska, jakie kto zajmował w sprawie św. Stanisława. Bezwzględnymi zwolennikami świadectwa Gallowego, jakoby biskup był zdrajcą i słuszną poniósł karę są: Czacki, Maciejowski, Moraczewski, Schmitt, Bielowski, Skórski, z wyjątkiem Gfrörera, wszyscy niemieccy badacze, no i naturalnie wszyscy młodzi, jak Stefczyk, Gumplowicz, Sobieski. Bezstronności atoli zupełnej wobec wpływów dworskich nie zdołali wykazać nawet najwięksi Galla wielbiciele. Dziś nawet zwolennicy zdrady biskupa, jak Gumplowicz, podnoszą stronniczość Galla na rzecz dworu. Z drugiej strony wystąpienie skrajnych zwolenników Gallowych przeciw wiarogodności wersyi Kadłubkowej, a mianowicie dowody Skórskiego i Stefczyka na tak kruchych spoczywają podstawach, że nie mogą być na seryo traktowane.

Nawet poważniejsze uwagi Zeissberga, zmierzające do obniżenia wartości świadectwa Mistrza Wincentego, nie są tak przekonywujące, by źródło to pozbawić wiarogodności. W obronie opowieści Kadłubka występują, też Prażmowski, Stadnicki, Szujski, Dzieduszycki, Kalinka, Smolka, Wysłouch. Pośrednie stanowisko, przechylające się atoli więcej w stronę Galla, zajmują Lelewel, Roepell, Zeissberg, Małecki, Bobrzyński. W ostatnich czasach zrobił Wysłouch trafne nader spostrzeżenie, że wersya, przechowywana u Galla, pod względem faktycznym nie sprzeciwia się wersyi, przechowywanej u Kadłubka; różni się tylko co do barwy politycznej. Jest to moment ważny do rehabilitacyi opowieści Kadłubka i do poparcia autentyczności jego twierdzeń.

Żywoty mniejszy i większy św. Stanisława z XIII wieku, rzecz dziwna, odgrywają w badaniach nad św. Stanisławem małą rolę, bez porównania mniejszą, niż żywot Długoszowy, chociaż wartością swą znacznie tradycyę Długosza przewyższają. Mimo to tradycya ta z XV wieku, zdaje się głównie dzięki obfitości zawartych w niej faktów, szerokie, choć mniej krytyczne, znalazła uwzględnienie. Że tacy Pękalscy, Łętowscy lub Mieczkowscy w tradycyę Długoszową wierzą jak w ewangelię, nic dziwnego, lecz że ją wysoko cenią i w większym lub mniejszym stopniu uwzględniają tacy jak Dzieduszycki, Gfrörer lub nawet Kalinka, to zastanawia. Odrzucają Długosza stanowczo: Komarnicki, Świeżawski, Stefczyk, Augerstein, nie tyle jednak z naukowych względów, jak raczej z powodu nieprzyjaznego stanowiska, jakie wobec biskupa krakowskiego zajmują. Uwzględniają natomiast tradycyę Długoszową mniej lub więcej krytycznie: Naruszewicz, Maciejowski, Lelewel, Szujski, Pichler i Wysłouch.

Nowe źródła wciągnąć w zakres kwestyi św. Stanisława, a mianowicie rzekome listy Wratysława II do Bolesława Śmiałego[1] i Władysława Hermana do Klemensa III antypapy[2], usiłowali Bielowski i Gumplowicz, celem udowodnienia zdradzieckich stosunków biskupa Szczepanowskiego z Czechami. Usiłowania te okazały się niefortunnemi, dzięki niemieckiej nauce, która wykazała, że przytoczone listy z polskiemi sprawami nic a nic nie mają do czynienia. Również starania Stefczyka, Gumplowicza i Sobieskiego, aby opowiadanie Kuźmy z roku 1074[3] o więźniu zbiegłym z Krakowa do Pragi, wyzyskać jako dowód zdrady krakowskiego biskupa na rzecz Czechów, okazały się bezowocnemi. Nie mamy ani śladu nawet w źródłach, któryby zdradzieckie stosunki św. Stanisława z zagranicą czynił prawdopodobne.

Wprawdzie szczupły materyał źródłowy utrudnia ogromnie wszechstronne zbadanie naszej kwestyi, ale i tego materyału nie umiano dotąd wyczerpująco zebrać i zestawić, zależności

[1] *M. P. H.* I, 364.
[2] *M. P. H.* I, 374.
[3] II, 34, *Fontes rerum bohemicarum*, tom I, str. 110, 111.

jednego źródła od drugiego wykazać i krytycznie ich wartość ocenić. Usiłowali tego w części dokonać: Lelewel, Dzieduszycki, Skórski, później Stefczyk i Wysłouch, wszystkie te jednak usiłowania były albo niesystematyczne albo niewystarczające albo stronnicze.

Ponieważ zaś bez metodycznej, wyczerpującej i bezstronnej analizy źródeł, nie może być mowy o naukowem rozwiązaniu kwestyi św. Stanisława, o ile ją naturalnie można rozwiązać, dlatego rozbiór krytyczny źródeł, odnoszących się do św. Stanisława, musi być niejako wstępem do naukowej jego biografii.

I. Roczniki.

Dokładna data roku i dnia męczeństwa we współczesnych zapiskach rocznikarskich. — Zgodność wszystkich pochodnich roczników co do świętości i męczeństwa Stanisława biskupa. — Znaczenie jego translacyi w r. 1088.— Odparcie zarzutów Wojciechowskiego i Zeissberga. — Wnioski.

Jest rozpowszechnione mniemanie, ugruntowane taką powagą, jaką jest Zeissberg, jakoby o św. Stanisławie milczeli współcześni i że najpierwszem źródłem jest dopiero Gall, który nazywa biskupa zdrajcą. Prawda, że najdawniejszy rocznik polski t. zw. Rocznik świętokrzyski, stary z początku XII wieku, nie wspomina nic o zabiciu św. Stanisława, lecz nie trzeba zapominać, że tam niema ani jednej zapiski o biskupach polskich [1], że rocznik ten powstał na ziemi wielkopolskiej [2], że przeważna część zapisek odnosi się do wypadków urodzin, ożenienia i śmierci w domu panującym, że ten rocznik to zatem rocznik książęcy, pisany ręką kapelanów nadwornych. Tem się tłumaczy, dlaczego w tym roczniku, jak to twierdzi prof. Wojciechowski [3], nie było

[1] Wzmianka o Lambercie biskupie pod r. 1101 należy już do kontynuacyi. Wojciechowski: „O rocznikach polskich X—XV wieku". Pamiętnik Akademii Umiejętności, wydz. hist. filoz., t. IV, str. 162. Nawet p. Kętrzyński, choć datę 1101 uważa za przynależną do pierwotnego rocznika, konstatuje od r. 1042 ślady kontynuacyi. W. Kętrzyński: „O rocznikach polskich". Rozpr. Akad. Umiej. wydz. hist. filoz., tom XXXIV, str. 180.

[2] W. Kętrzyński l. c. 268.

[3] l. c. 220.

wzmianki o najgłośniejszym wypadku z drugiej połowy XI wieku. Że nasze roczniki jednak zapomniały o samym fakcie, nie zgodne jest z prawdą. Wprawdzie to, co zawiera Rocznik kapitulny krakowski o św. Stanisławie pod rokiem 1079, jest niewątpliwie późną interpolacyą z końca XIII wieku, także i to, co zawiera rocznik krótki pod r. 1088 o translacyi św. Stanisława, jest w tej formie, jaką dziś posiadamy, podejrzane również jako wtręt późniejszy [1].

Mimo to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dokładna data roku i dnia męczeństwa, a także translancyi polegają na zapiskach współczesnych, mniejsza o to, czy je za Wojciechowskim nazwiemy: *Notae cracovienses antiquissimae* [2] czy za Kętrzyńskim rocznikiem Suli wraz z kontynuacyą [3]. Data męczeństwa tj. 11 kwietnia oraz uroczystej translacyi zwłok biskupa, tj. dzień 27 września, *Translatio s. Stanyzlai martyris*, przechował się również w jednem z nastarszych źródeł, tj. w kalendarzu krakowskim [4]. Chociaż kalendarz ten, w dzisiejszej formie, pochodzi z r. 1253 [5], to jednak sporządzony został na podstawie starego kalendarza, ułożonego około 1100, jak chce Wojciechowski [6], czy też jakichś prastarych a współczesnych *Annales necrologici*, jak chce Kętrzyński [7].

Jeżeli zaś zważymy, że dopiero od św. Stanisława począwszy, kalendarz krakowski zapisuje datę śmierci biskupów to niewątpliwie trafnem musimy nazwać spostrzeżenie W. Kętrzyńskiego [8], iż tragiczna śmierć św. Stanisława dała powód do szczegółowych zapisek o biskupach krakowskich.

Wszystkie też prawie nasze roczniki pochodnie z tych współczesnych zapisek zaczerpnęły bez wątpienia swe lako-

---

[1] *M. H. P.* II, 796. Abraham: „Organizacya Kościoła w Polsce", str. 144

[2] „O rocznikach polskich", str. 227.

[3] „O rocznikach polskich", str. 222, 270.

[4] *M. H. P.* II, 932. Pod dniem 11 kwietnia czytamy tam: „Sts Stanyslaus Cracoviensis episcopus interfectus obiit". *M. P. H.* II, 919,

[5] Kętrzyński l. c. str. 237.

[6] l. c. str. 228.

[7] l. c. str. 237.

[8] *M. P. H.* II, str. 322.

niczne, co prawda, ale wymowne wzmianki o męczeństwie św. Stanisława. *Beatus Stanislaus martirisatus est,* donosi nam Rocznik krótki [1], ułożony w pierwszej swej części zapewne około r. 1135 [2].

Za nim powtórzył to samo Rocznik poznański [3]. *A. 1079 Stanislaus sanctus per Boleslaum interficitur,* podaje Rocznik kujawski [4]. *Passus est s. Stanislaus, ep. Crac. 3 Idus Aprilis,* czytamy w Roczniku kamienieckim [5], przechowującym nam dawny rocznik z połowy XII wieku [6]. *Stanislaus Episc. crac... martirisatus III Idus Aprilis,* miał dawny rocznik kapitulny, przez Kętrzyńskiego rocznikiem B nazwany, będący kompilacyą XII wieku z Rocznika świętokrzyskiego dawnego, pomnożoną wiadomościami o biskupach krakowskich i wrocławskich, t. zw. Rocznikiem Sali i jego kontynuacyą [7] *Stanislaus ep. Crac. martirisatur,* ma Rocznik krakowski [8] podobnie Rocznik miechowski *Sanctus Stanislaus .... 1079 martirizatus* [9]. *Passus est a Boleslao inigno (Stanislaus ep. Crac.)* [10], podaje Rocznik górnośląski.

Podobnie piszą późniejsze kompilacye jak Rocznik trzaski *S. Stanislaus III Idus Aprilis martirizatur episcopus Cracovie* [11].

Z wyjątkiem Rocznika Krasińskich lub t. zw. Rocznika dominikańskiego krakowskiego [12], który o św. Stanisławie nic nie wspomina, chociaż mówi o innych biskupach krakowskich, z wyjątkiem dalej roczników kapitulnego i świętokrzyskiego, które dłuższy zawierają opis śmierci św. Stanisława nowszego pochodzenia, wszystkie inne podają lakoniczną wprawdzie wieść o śmierci biskupa krakowskiego, ale wszystkie mówią o męczeństwie i o świętym biskupie. Ta lakoniczna, ale wy-

---

[1] *M. P. H.* II, 795.
[2] Kętrzyński l. c. str. 182.
[3] *M. P H,* V, str. 880. Kętrzyński l. c. str. 186.
[4] *M. P. H.* V, 886. [5] *M. P. H.* II, 778. Kętrzyński l. c. 221.
[7] Kętrzyński l. c. 222, 225.
[8] *M. P. H.* II, 839,
[9] *M. P. H.* II, 880. Kętrzyński l. c. 226.
[10] *M. P. H.* III, 714. [11] *M. P. H.* II, 831.
[12] Kętrzyński l c. 204.

razista wersya, przechowana w późniejszych rocznikach, to niewątpliwie autentyczny tekst prastarej współczesnej zapiski rocznikarskiej.

Że biskup Stanisław uchodził zresztą u współczesnych za świętego, na to niezbitym dowodem jest translacya jego zwłok. Translacya ta nie ulega najmniejszej wątpliwości. Że odbyła się w r. 1088[1] podaje co do formy wprawdzie podejrzany zapisek Rocznika krótkiego[2], którą powtarza pod błędną datą 1087 r. Rocznik świętokrzyski[3], lecz data roczna 1088 potwierdzona jest w III katalogu biskupów krakowskich w żywocie Lamberta: *Huius tempore a. D. 1088 corpus beati Stanislai translatum est de Rupella ad ecclesiam cathedralam in castrum Cracoviense*[4]. Wiemy, że ciało męczennika złożone było pierwotnie przy kościele św. Michała obok wejścia do kościoła w ziemi, a wskutek translacyi przeniesione zostało do kościoła katedralnego św. Wacława i tu w grobowcu na środku złożone[5].

Uroczysta translacya jest wedle zwyczaju średniowiecznego, niczem innem, jak pierwszym krokiem do kanonizacyi. Tak a nie inaczej pojmuje akt translacyi tak gruntowny znawca średnich wieków, jakim jest Wojciechowski. Już około r. 1088 twierdzi on[6], duchowieństwo krakowskie powzięło zamiar sta-

---

[1] T. Wojciechowski przyjmuje („Kościół katedralny w Krakowie", str. 131) na podstawie wzmianki *Vita minor* (cap. 34 *M. P. H.* IV, 282), iż „per decennium corpus b. Stanislai", spoczywało przy kościele św. Michała, rok 1089 za roczną datę translacyi. Nie dopatrzył się jednak, że w tym samym rozdziale autor Żywotu mniejszego zapomina, iż translacya odbyła się „anno decimo" od śmierci. Translacya ta, jak wiemy z Kalendarza krakowskiego odbyła się dnia 27 września, śmierć zaś nastąpiła dnia 11 kwietnia r. 1079. Zatem dzień 27 września 1089 r. był rokiem jedenastym po śmierci biskupa. Translacya więc na podstawie cytowanego przez T. Wojciechowskiego źródła mogła się tylko w r. 1088 odbyć, roku potwierdzonym przez zapiski rocznikarskie.

[2] *M. P. H.* II, 796.

[3] *M. P. H.* III, 68,

[4] *M. P. H.* III, str. 344.

[5] *Vita maior* II, 20 i III, 2. *M. P. H.* IV, str. 388 i 394. Katalog IV bisk. krak. *M. P. H.* IV, str. 360. T. Wojciechowski: „Kościół katedralny w Krakowie" 1900, str. 133.

[6] „O rocznikach polskich" l. c. str. 167 przyp.

rania się o kanonizacyę Stanisława, czego translacya była niejako początkiem.

W ostatniem swem dziele p. t. „Kościół katedralny w Krakowie“ zmienił atoli rzeczony autor zaiste nie na korzyść prawdy swój pogląd dotychczasowy na translacyę św. Stanisława, zdaje się pod wpływem wrogiej biskupowi kampanii młodych w dwóch ostatnich dziesięcioleciach. Nawiązując do swego dawniejszego poglądu, że translacya mogłaby się wydawać przygotowaniem do kanonizacyi, mniema jednak[1], iż wobec faktu, że przez cały XII wiek nie podjęto w tej sprawie żadnej akcyi, translacya była tylko satysfacyą polityczną, uczynioną przez księcia Władysława Hermana dla pamięci biskupa, który był jego stronnikiem w buncie przeciw Bolesławowi Śmiałemu. Twierdzi dalej, że translacya ta to nic innego, jak złożenie ciała biskupa Stanisława tam, gdzie leżeli jego poprzednicy, Poppon, Gompon, Rachebin, Aaron i Lambert I[2], że pierwszym, który nazwał i ukwalifikował śmierć biskupa Stanisława jako męczeństwo, a o translacyi roku 1089 pisał jako o wstępie do kanonizacyi, był magister-scholastyk Kadłubek przy schyłku XII wieku. Tyle prof. Wojciechowski.

Pomijamy już okoliczność, że *testimonium a silentio* w średnich wiekach, jak to swego czasu słusznie podniosł Ranke, jest jednym z najsłabszych dowodów. Czyż jednak nie musi się podejrzaną wydawać ta satysfakcya polityczna ze strony księcia dla stronnika, poległego w jego sprawie, dziesięć lat po jego śmierci? Satysfakcya ta zdaniem autora polega na tem, że książe pozwala na pochowanie stronnika swego w grobowcu biskupim. I to ma się nazywać satysfakcyą za śmierć, poniesioną w interesie księcia? I tego to stronnika Hermanowego historyograf urzędowy syna Hermanowego śmie nazwać zdrajcą? W XII-ym wieku, twierdzi autor na innem miejscu[3], „nikomu

---

[1] l. c. str. 135.

[2] Że Lambert nie spoczywał w katedrze, o tem nie wspomina późniejsze źródło z XIII wieku tj. Katalog IV biskupów krakowskich. *M. P. H.* III, str. 342.

[3] L. c. str. 94.

nie przyszło na myśl, że biskup Stanisław, już dawno zmarły, doczeka się kanonizacyi". „Dopiero biskup Kadłubek poruszył tę myśl i przygotował umysły do tego w swej kronice". Co jednak sprowadzało Kadłubka do tej niezasłużonej czci dla człowieka dawno zmarłego? Czem się to stało, że grobowce Popponów, Aaronów, Lambertów zaginęły w pyle niepamięci, a grobowiec biskupa Stanisława dokładnie był znany? Dla czego proste przeniesienie zwłok do grobowca rzekomo biskupiego uwiecznione zostało w kalendarzu krakowskim i innych zapiskach współczesnych dokładną datą roczną i dzienną? Na to wszystko nie daje autor odpowiedzi, a powinien był ją dać, jeżeli kult świętego zwie bez wahania sztucznym produktem z końca XII wieku.

Widocznie więc była owa translacya tem, czem ją pierwotnie nazwał prof. Wojciechowski, tj. wstępem do kanonizacyi. I dla tego spoczęło ciało w środku kościoła, tj. tam, gdzie stawiano ołtarze patronów świętych i groby fundatorów [1], dla tego też ciało spoczęło nie tylko w grobowcu ozdobnym, ale i odpowiednim napisem grobowym, jak to niżej zobaczymy, wyposażonym.

Prawda, że w XII wieku nie spostrzegamy żadnej akcyi w celu kanonizacyi biskupa, to jednak wcale nie dowodzi, iżby translacya, zapisana w kalendarzu średniowiecznym, nie była wstępem do kanonizacyi. Należy się bowiem zapytać, czy Krzywousty, uważający bez kwestyi biskupa Szczepanowskiego za przeniewiercę i buntownika, czy jego synowie, taki Władysław II, lub Mieszko Stary zgodziliby się na kanonizacyę biskupa, stawiającego opór książęcej władzy. Zdaje się, że nawet taki Kazimierz Sprawiedliwy i jego synowie nie chcieli nic słyszeć o akcie kompromitującym bądź co bądź ród książęcy. Dopiero dwór świątobliwej Kingi i słabego Bolesława Wstydliwego na takie ustępstwa dla Kościoła się godzi, i to dopiero

[1] Że tam spoczywały ciała pierwszych biskupów krakowskich, to przypuszcza bez żadnych podstaw autor, że ciało Lamberta w katedrze nie spoczywało, o tem wspomnieliśmy wyżej.

wtedy, kiedy hierarchia kościelna była zupełnie prawie z pod wpływów władzy świeckiej wyemancypowana.

Jakie zaś były istotne przyczyny translacyi, o tem dobrze kler krakowski z końca XII wieku wiedział, i dlatego to mistrz Wincenty, mówiąc o translacyi, przechodzi nad jej przyczynami, jako nad sprawą powszechnie znaną, zwrotem: *cuius causam non ignoras*[1] do porządku dziennego.

Przekonanie o świętości biskupa męczennika nie tylko proboszcz sandomierski, mistrz Wincenty żywił, ale z nim żywił kler i lud krakowski w połowie i z końca XII wieku. O „przykładnem i uczciwem postępowaniu“ biskupa opowiadali w połowie XII wieku sędziwi ludzie, którzy go jeszcze znali lub za jego czasów żyli i o jego cnotach słyszeli. Od nich to i o życiu męczennika i o cudach dziejących się nad ciałem jego słyszało pacholę szlacheckie Giedko, które następnie, doczekawszy się stu coś lat życia, miało jako starzec przy schyłku życia, dawać świadectwo w sprawie św. Stanisława przed komisyą kanonizacyjną i opowiadać o cudach św. Stanisława uczonemu magistrowi Piotrowi, proboszczowi kieleckiemu, który te cuda spisywał[2]. Był o świętości biskupa przekonany taki dziekan krakowski Doman, zapewne z końca XII wieku, taki scholastyk Benedykt, z tych samych czasów[3], a przedewszystkiem wierzyli w to święcie starcy świątnicy Pietrek i Gromaza, pełniący służbę w katedrze z końcem XII i początkiem XIII wieku, i miewający częste wizye biskupa-męczennika. Oni wiedzieli, gdzie grób jest świętego i wierzyli mocno, że zawiera największy skarb kościoła katedralnego[4]. Opinia zatem zawartą w kronice mistrza Wincentego nie była pierwszym objawem czci biskupa Szczepanowskiego w XII wieku i zarazem pierwszym projektem kanonizacyi św. Stanisława, lecz jednym z licznych objawów tej czci, „albo-

---

[1] *M. P. H.* II, 297, wiersz 18.

[2] List Innocentego IV z dnia 26, V, 1252. Kod. kated. krak. I, n. 33. Rocz. kap. krak. pod r. 1254. *M. P. H.* II, 806. Szlachcic Gedeon umar r. 1254.

[3] Kod. kat. krak. I, n. 6 i 8 z r. 1296 i 1212.

[4] *Vita maior* III, 2, 3. *M. P. H.* IV, str. 395.

wiem od prastarych czasów uchodził biskup za świętego“ [1]. Że już współcześni taką samą czcią otaczają biskupa Stanisława, o tem nie tylko prastare zapiski kalendarza i roczników, wspominające o męczeństwie biskupa, świadczą, ale przechowane z czasów przed translacyą wizye i uzdrowienia przy grobie na Skałce. Te to cuda miał niezawodnie na myśli mistrz Wincenty, gdy w swej kronice, mówiąc o translacyi, wspomina do Jana *cuius causam non ignoras.* Wymienia je dopiero Wincenty kielecki ogólnikowo w *Vita minor* [2], dokładniej w *Vita maior* [3]. Zmyślić faktów tych ani Kadłubek ani Wincenty kielecki nie mogli. Inaczej trzebaby ludzi, odznaczających się rzeczywistą pobożnością i świątobliwością, posądzić o oszustwo. Jest to atoli parodoks, na który żaden poważny znawca średnich wieków zgodzić się nie może.

Wobec zatem wyraźnych świadectw, potwierdzających cześć zamordowanego biskupa u współczesnych, upaść musi twierdzenie, jakoby ta cześć dopiero w końca XII-go lub lub początkiem XIII-go wieku powstała. Na dowód wszakże jak mało jeszcze za Kazimierza Sprawiedliwego rozpowszechniona była cześć św. Stanisława między narodem, przywodzi Zeissberg [4], a za nim T. Wojciechowski [5] okoliczność, że pomieniony książe uprosił sobie w Rzymie relikwie św. Floryana. Widocznie badacze ci nie znają znaczenia relikwi w Kościele katolickim i nie umieją, czy nie chcą ich odróżnić od prochów człowieka zmarłego *in odore sanctitatis.* Odróżniali je atoli dokładnie prości nawet ludzie w średnich wiekach. Wspomniany wyżej świątnik Pietrek oraz sędziwy scholastyk Benedykt, mówiąc z końcem XII-tego na początku XIII-go wieku, zwiedzającym katedrę żakom krakowskim o skarbie, jaki się w niej kryje, tj. o zwłokach świętego Stanisława, wyraźnie oświadczali, że skarb ten dopiero

---

[1] *Miracula st. Stanislai* art, VIII. *M. P. H.* IV, str. 293.
[2] Cap. 34, *M. P. H.* IV, 282.
[3] II, 21—24 i III, 1. *M P. H.* IV, str. 389—90 i 393/4.
[4] „Dziejopisarstwo polskie wieków średnich“ I, 113.
[5] „Kościół katedralny w Krakowie“, str. 94 i 134.

w przyszłości się okaże tj. dopiero po kanonizacyi [1]. Bez tej kanonizacyi ciało biskupa-męczennika nie ma wartości jako relikwia tak, jak ciała tylu *in odore sanctitatis* zmarłych ludzi, że wymienimy tylko zwłoki zamordowanego biskupa Wernera w katedrze płockiej [2], biskupa Prandoty i królowej Jadwigi w katedrze krakowskiej [3].

Brak znajomości kościoła i jego urządzeń, jeżeli gdzie się mści dotkliwie, to w dziejach średniowiecznych. Całkiem słusznie też powiedziano [4], że językiem średnich wieków jest wiara, kto tej mowy nie zna, niech się nie kusi tej epoki przedstawić.

Translacya zatem ciała „męczennika", dokonana w dziesiątym roku po zamordowaniu biskupa przez króla, za panowania brata tego króla, wobec dostojników byłego władcy, że wymienimy tylko wojewodę Sieciecha [5], w czasach, kiedy Kościół był zupełnie jeszcze zawisły od państwa, czyż to nie wymowne świadectwo o wartości człowieka, którego historyografia dworska napiętnowała mianem zdrajcy?

Czyż bezstronna, nieuprzedzona krytyka może nad tym faktem przejść zupełnie do porządku dziennego lub lekceważąco zbyć go milczeniem?

Najdawniejsze zatem, prawie współczesne zapiski rocznikarskie, przechowane wprawdzie częścią w późniejszych rocznikach, częścią w kalendarzu krakowskim, mówiąc o „męczeństwie" biskupa i „translacyi" jego zwłok, podają lakoniczną co prawda, ale stanowczą wiadomość, że już współcześni upatrywali w biskupie Stanisławie męczennika i świętego.

---

[1] *Vita maior* III, 3. „O pueri, o iuvenes, audite nos decrepitos et senes! Tempore vestro revelabitur maximus huius ecclesie thesaurus sanctus videlicet Stanislaus, quem nos vidimus oculis nostris altaria Dei circum euntem et in pontificalibus ornamentis divina misteria pertractantem. *M. P. H.* IV, str. 395,

[2] *Mors et miracula beati Verneri ep. Plocensis. M. P. H.* IV, str. 752,

[3] „Kościół kat. krak. str. 137/8 i 45.

[4] Kalinka: „Męczeństwo św. Stanisława i jego znaczenie", str. 51.

[5] Kronika węgiersko-polska. *M. P. H.* I, 512.

II. Kronika Galla.

Poprawny tekst ustępu o św. Stanisławie i jego interpretacya. — Stosunki Galla z dworem. — Stronniczość jego kroniki na rzecz dworu. — Odparcie opinii o bezstronności Galla. — Serwilizm episkopatu wielkopolskiego wobec zwycięskiego Bolesława Krzywoustego w r. 1112. — Znaczenie wyrażenia *traditio* i *traditor*. — Opozycya biskupa Stanisława przeciw królowi. — Sprzeczność w Gallowym sądzie o biskupie. — Wnioski.

Pomimo współczesnych świadectw o męczeństwie biskupa Stanisława, od 100 lat z górą mętne echa historyografii dworskiej znalazły jednak jednostronny posłuch i łaskę w oczach pewnej części naszych uczonych. Z tego też względu na najtroskliwszą zasługują z naszej strony uwagę i do najgruntowniejszej wyzywają krytycznej analizy.

Opinia dworska o konflikcie króla Bolesława Śmiałego z biskupem przechowała się w najdawniejszej kronice polskiej, w kronice Galla i to w następujących słowach: *Qualiter autem rex Boleslaus de Polonia sit eiectus, longum exsistit enarrare, sed hoc dicere licet, quia non debuit christianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare. Illud enim multum sibi nocuit, cum peccatum peccato adhibuit, cum pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit. Neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicentem sic se turpiter commendamus, sed hoc in medio deseramus et ut in Ungaria receptus fuerit disseramus*[1].

Ustęp przytoczony, co prawda nie bardzo jasny, uległ z natury rzeczy błędnym emendacyom, a przedewszystkiem fałszywym interpretacyom ze strony przeważnej części naszych badaczy. Między innymi Skórski[2] chciał w zdaniu: *Non debuit christianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare...* w miejsce *christianos* przyjąć waryant *christianum* z rękopisu Sędziwoja z Czechla[3], upatrując naturalnie w tym drugim chrze-

---

[1] Gallus I, 27, *Fontes rerum polonicarum*, t. I. *Galli Anonymi Chronicon* rec. L. Finkel et St. Kętrzyński. Leopoli 1899, str. 36.

[2] „Gallus i Kadłubek o św. Stanisławie". *Tygodnik Wielkopolski naukowy, literacki i artystyczny* r. 1873 nr. 9—12.

[3] *M. P. H.* I, 422.

ścijaninie biskupa Stanisława. Ze względu jednak, że dwa inne rękopisy, a zwłaszcza najstarszy z nich zamoyski, mają wyraźnie *christianos* w tem miejscu, wydawcy, czy Bielowski czy Finkiel-St. Kętrzyński, waryant *christianum* jako błędny odrzucili.

Mimo to przeważna część badaczy, w tych chrześcijanach upatrując biskupa i jego wspólników, identyfikuje zemstę wywartą na chrześcijanach z karą dokonaną na zdrajcy biskupie, a to wskutek błędnego tłumaczenia zwrotu *peccatum peccato adhibuit*. Z wyjątkiem bowiem Komarnickiego i Wysłoucha wszyscy inni badacze, którzy się tym ustępem bliżej zajmowali, tłumaczyli go niedokładnie słowami: użył grzechu przeciw grzechowi, podczas gdy wedle fachowych filologów zwrot ten w pierwszej linii oznacza: dodał grzech do grzechu.

Dosłowny przekład rzeczonego ustępu zatem brzmi jak następuje: „W jaki sposób zaś króla Bolesława z Polski wyrzucono, długoby o tem było opowiadać, ale to godzi się powiedzieć, iż nie powinien był chrześcijanin na chrześcijanach tak okrutnie się mścić za jakiebądź przewinienie. To atoli mu bardzo zaszkodziło, gdy dodał grzech do grzechu, gdy za przeniewierstwo ukarał biskupa obcięciem członków. Ani jednak przeniewiercy biskupa nie usprawiedliwiamy ani króla, tak brzydko się mszczącego, pochwalamy, lecz zostawiając to w zawieszeniu, opowiedzmy, jak został przyjęty na Węgrzech".

W ten sposób tłumacząc rzeczony ustęp, otrzymujemy następujący przebieg faktów:

1) okrutne, niechrześcijańskie karanie ze strony króla jakichś chrześcijan przestępców;

2) drugi grzech królewski w skazaniu biskupa na obcięcie członków za przeniewierstwo;

3) jako następstwo tego grzechu wypędzenie króla do Węgier.

Taki przebieg faktów jest nie tylko zgodniejszy z duchem języka łacińskiego, ale co więcej zgodny z tradycyą u Kadłubka przechowaną. Pod względem politycznym przedstawia się biskup Stanisław w oczach Galla przeniewiercą wobec króla, a jego postępowanie zasługuje na miano zdrady stanu.

Zanim jednak o tym surowym werdykcie sąd wydamy, musimy się zapytać, kto to był Gall i jak pisał historyę swą; innemi słowy, czy mógł i chciał pisać prawdę. Co do jego osobistości, był to prawdopodobnie uczony scholastyk poznański, sprowadzony przez bardzo wykształconego biskupa Pawła i jego koadjutora, kanclerza Michała z Florencyi południowej, z którą, zdaje się, Kościół poznański z czasów jeszcze biskupa Franka stoi w bliższych stosunkach[1]. Z dworem podówczas tj. 1009—1113, z powodu ustawicznych walk ze Zbigniewem i Pomorzanami toczonych, przebywającym głównie w Wielkopolsce, łączą go dość ścisłe stosunki; zna dobrze nawet szczegóły z życia Bolesława, zwłaszcza jego młodości, zna jego zwycięstwa, wie które pułki i gdzie walczą[2], zwie zresztą kapelanów książęcych *patres carissimi*. Czy był znany księciu osobiście, nie możemy powiedzieć; lecz widywał go np. w Gnieźnie; zresztą sam wyraźnie wspomina, że go widział czyniącego pokutę[3]. Uczony zresztą cudzoziemiec, który pierwszy podręcznik dla szkół polskich pisze na tle historyi polskiej, nie bez zachęty i pomocy biskupów polskich, który episkopatowi polskiemu książkę swą dedykuje, był czemś tak wyjątkowem w Polsce, że chyba na dworze znanym być musiał. Dwie jeszcze wzmianki rzucają charakterystyczne światło na jego stosunki z dworem. Wie naprzód, że o narodzinach młodego Władysława doniesiono księciu przy powrocie z wyprawy na Kołobrzeg, tylko mylnie odniósł to do drugiej wyprawy. Następnie on, który tak skąpy jest w opowiadaniu prywatnych zdarzeń w rodzinie książęcej, podaje o synu Krzywoustego, następcy tronu, Władysławie: *Puer autem aetate crescat, probitate proficiat, probis moribus augeatur*[4]. Tak się pisze tylko o osobie, którą się zna i z którą się ma bliższe stosunki. Kto wie zatem, czy to nie mówi także nauczyciel o siedmioletnim następcy tronu? Jeszcze jedna wzmianka rzuca pewne światło na stosunki Galla z dworem. On, który nic nie wspo-

[1] K. Krotoski: „Gall scholastyk poznański".
[2] III, 23, str. 101—103.
[3] III, 25, str. 108—110.
[4] II, 40, str. 74.

mina o drugiej żonie Bolesława, Salomei z Bergu, zaślubionej r. 1110, pisze obszernie o małżeństwie z pierwszą żoną, opowiada także o dyspensie co do tego małżeństwa, wyrobionej za sprawą biskupa krakowskiego Balduina, „jak mówią“ w Rzymie [1]. Pisarz, który cały szereg familijnych wypadków zbywa milczeniem, który nic nie powiada o śmierci synów Kazimierza Odnowiciela, Mieszka i Ottona, on, który tak ogólnikowo mówi o córkach Władysława Hermana z drugiego małżeństwa, półgębkiem tylko wspomina o śmierci Bolesława Śmiałego, on poświęca cały ustęp [2] śmierci i pogrzebowi młodzieńczego Mieszka, jego syna. Wypadek ten ze względów politycznych ważny w r. 1089, w r. 1112 był bez znaczenia, a jednak opisuje najdokładniej autor, jak królewskiego syna ponoś zawistni struli, wie, jak prosty zwłaszcza lud z żalu porzuca swą pracę, a z płaczem idzie za marami, jak nawet ci, którzy chłopca nie znali, płaczą i łkają na pogrzebie, jak cała Polska się smuciła z powodu tej śmierci zupełnie tak samo, jak matka z powodu śmierci jedynaka. Opisuje wreszcie jak właśnie matka biedna zmarłego, gdy do grobowca chowano zwłoki nieszczęsnego, omdlała i jedną godzinę była bez życia, tak że biskupi na pogrzebie obecni ledwie wachlarzami i zimną wodą ją ocucili, wie, że żaden książę i król, nawet u barbarzyńców, tak długo nie był opłakiwany, że potężnych władców pogrzeby nie są tak żałośnie obchodzone, ba nawet żałobne nabożeństwa za cesarza. Skąd wie autor o tem wszystkiem? Kto mógł 25 lat po pogrzebie książątka te wszystkie szczegóły tak dokładnie zapamiętać, kto mógł je tak dokładnie opowiedzieć, kto zapalił kronikarza, by je tak szczegółowo opisał wbrew swemu zwyczajowi? Nie kto inny, tylko chyba nieszczęśliwa matka lub żona [3] Mieszka, które reprezentowały dawne ruskie stronnictwo na dworze polskim, w przeciwieństwie do nowej niemieckiej pani. Z tym ruskim

[1] II, 23, str. 60.

[2] I, 29, str. 37/8.

[3] Obie były, jak i Zbysława, pierwsza żona Krzywoustego i jego babka Marya Dobrogniewa, zmarła 1087 r., Rusinkami *M. P. H.* III, 796. Roczniki kap. krak. Gall I, 29, str. 37. Balzer: „Genealogia Piastów“ II, 11, 14, III, 2.

dworem niewątpliwie musiał utrzymywać bardzo blizkie stosunki Gall; dlatego tak szczegółową ma wiadomość i o dyspensie Zbysławy za sprawą Balduina, biskupa krakowskiego i interwencyi Jarosława, brata Zbysławy i biskupa Balduina w sporze między Bolesławem a Zbigniewem; dlatego wspomina tak sympatycznie o pierworodnym synu księcia z matki Rusinki i przez krewne Rusinki po jej śmierci niezawodnie wychowywanym, i dlatego tak obszerną poświęca wzmiankę najtragiczniejszej chwili z życia królewskiej wdowy. To tłumaczy nam i stanowisko autora w sprawie biskupa krakowskiego.

Sam uznaje otwarcie, że nie pisze całej prawdy. *Et cum multa et magnifica vobis gesta praetermittam degentibus, quaedam tamen suggerere subsequenter posteriorum memoriae non dimittam*[1]. *Laus principum*[2], a zwłaszcza Bolesława Krzywoustego jest główną jego intencyą[3]; pisze zatem panegiryk na cześć Polski i jej książąt, i ażeby Bolesław za tę zasługę nie poskąpił odpowiedniej nagrody[4], dlatego tak natarczywie prosi biskupów, zwłaszcza Pawła i jego kanclerza Michała, i kapelanów książęcych, by na Boga i ojczyznę przeszkodzili intrygom tych, którzy go nienawidzą i nie dopuścili, by za taką pracę uszła go godna nagroda[5]. To natrętne żebractwo, z każdej przedmowy wyzierające, razi nas dzisiaj, i niektórzy badacze robią mu z tego powodu zarzut[6], zdaniem mojem, niesłusznie.

Jeżeli Gall tak otwarcie się o nagrodę przymawia, to czyni tylko to, co wielka część średniowiecznych pisarzy i poetów czyniła. Proszę wziąć pierwszego lepszego *Minnesängera* lub trubadura, to żebranina jeszcze ze wstrętniejszą występuje otwartością. Jak żebrze np. największy z *Minnesängerów*, Walter von der Vogelweide, z końcem XII a początkiem XIII wieku i z jaką dziecinną radością wykrzykuje: *Ich hân ein lehn*, gdy cesarz jakąś mu chudą wioszczynę nadał. Jakkolwiek więc tę natrętność u Galla musimy położyć na karb obyczaju średniowiecznego,

[1] l. c. str. 2.
[2] l. c. str. 42. [3] l. c. str. 5.
[4] l. c. str. 3. [5] l. c. str. 82.
[6] Gfrörer: *Papst Gregor VII und sein Zeitalter*, VII. 565.

mimo to za bezstronnością jego ona wcale nie przemawia. Z tem wszystkiem bezstronności tej objawy spotykamy niewątpliwie u Galla. Wszystkich książąt on wprawdzie chwali, nie wyjmując nawet pogańskich, ale jednych wynosi pod niebiosa, jak Chrobrego, innych, jak Mieszka, chwali mniej, ale chwali [1]; nawet chorego na ciele i niedołężnego na umyśle Władysława Hermana, nie mogąc go chwalić za waleczność, zwie przynajmniej „pobożnym i łaskawym mężem“ [2]. Chwali też i Bolesława Śmiałego, zwiąc go „odważnym rycerzem i przedsiębiorczym, gościnnym gospodarzem dla obcych, i wśród szczodrych najszczodrzejszym dawcą“ [3], opisuje, jak rączo bieży na nieprzyjaciela [4], jak chce godnym się okazać swego ojca Kazimierza [5]. Nie bez kozery wspomina o pamięci godnym fakcie wyjątkowej szczodrobliwości króla względem wędrującego kleryka i przedstawia go jako przykład następcom do naśladowania [6]. Z tem wszystkiem nie szczędzi mu zarzutów, i to musimy stwierdzić, iż ze wszystkich władców, z wyjątkiem Zbigniewa, chyba najwięcej przytyków właśnie Bolesławowi II dostało się ze strony Galla. Jeżeli jednak dokładniej przypatrzymy się tym naganom, to i przy nich zauważyć można pewną powściągliwość obmyślaną, pewien cukierek osładzający ostrze nagany. Mówi np. „ambicyi lub próżności nadmiar nim miotał“ [7], dodaje jednak słówko *quaedam,* ten nadmiar osłabiające. Wspominając o niefortunnem oblężeniu Grodziska około Opawy, powiada, że wskutek nieostrożności i uporu nie tylko zamku nie zdobył, lecz zaledwie uszedł zasadzce czeskiej i stracił panowanie nad Pomorzem. Dodaje jednak natychmiast: „Lecz nie dziwno cokolwiek z nieświadomości zbłądzić, jeżeli się potem uda mądrości naprawić to, co było zaniedbane“ [8]. W opisie wyprawy przeciw Pomorzanom powiada, że Bolesław, pragnąc przy swym gorącym temperamencie ojczyznę z ręki pogan wydobyć, nie czekał na zgromadzenie się wojska, i wyprzedzając innych, zbyt nie-

[1] I, 17, str. 27. [2] II, 21, str. 59.
[3] I, 23, str. 32. [4] I, 24, str. 33.
[5] I, 24, str. 34. [6] I, 26, str. 34.
[7] I, 22, str. 32. [8] I, 23, str. 32.

rozważnie się pośpieszył, dodaje jednak *debuit* tj. był zmuszony się pośpieszyć [1]. Opisując wkońcu przy ucieczce króla do Węgier jego waryacko-aroganckie zachowanie się wobec szlachetnego króla węgierskiego, którego jakby wasala swego traktuje i dlatego jakby jakiegoś tam dostojnika wielmożę z konia całuje przy powitaniu, chociaż król węgierski dla uczczenia zbiegłego króla z daleka przed nim zszedł z konia: nie omieszkał przypomnieć, że ta próżność zaszkodziła bardzo jego dawnej dzielności [2]. Przytem wymknęło mu się nawet słowo o dzikości i popędliwości króla [3], ale w chwili gdy kreśli niepiękniejszy objaw jego szczodrobliwości wobec wędrującego kleryka. Tę ostrożność w sądach, wiele dającą do myślenia, spotykamy i w innych miejscach. Charakterystyczna jest między innemi wzmianka o wysłaniu Zbigniewa i Bolesława przez ojca na wyprawę przeciw Pomorzanom, po poświęceniu katedry gnieźnieńskiej. „Wtedy oni odszedłszy", pisze Gall [4], „i nie wiem jaki zamiar powziąwszy, nie wykonawszy zlecenia, z drogi wracają. Wskutek czego ojciec, nie wiem co podejrzywając, natychmiast między nich królestwo podzielił". Jak to? Więc Gall nie wie, o co tu chodzi, nie wie, co podejrzenie budziło w ojcu! W to niech wierzy naiwnie chyba tak młody badacz, jak St. Kętrzyński [5], my wierzyć nie możemy.

Opisując szeroko zatargi synów Władysława Hermana z Sieciechem i ojcem [6], kończy to słowy: *Hactenus de Zetheo et regina dixisse sufficiat* [7]. W całym tym opisie jednak o królowej tj. drugiej małżonce Władysława Hermana i macosze Bolesława mowy nie było, z wyjątkiem drobnej wzmianki na początku [8], iż Zbigniewa macocha dała do klasztoru żeńskiego w Saksonii na wykształcenie i że się bardzo z Sieciechem przestraszyła na wieść o przyjęciu zbiegłego Zbigniewa we Wrocławiu [9]. Jakim sposobem więc tę królowę wymienia na końcu ustępu, w którym

[1] I, 25, str. 34. [2] I, 28, str. 36/7.
[3] I, 26, str. 35. [4] II, 7, str. 49.
[5] „Gall Anonym i jego kronika", str. 26,
[6] II, 4–17, str. 45 56. [7] II, 17, str. 56.
[8] II, 4, str. 45. [9] II, 4, str. 46.

mowa wyłącznie prawie o machinacyach Sieciecha. Chyba dlatego, że spólniczką intryg Sieciecha przeciw synom książęcym była niewątpliwie ich macocha, księżna Niemka. Ale o tych intrygach macochy Niemki przeciw panującemu właśnie monarsze wyraźnie pisać w roku 1112, w chwili, gdy takaż macocha Niemka właśnie rządzi dworem, było niebezpiecznie, jeżeli się chciało wielką nagrodę księcia pozyskać. Z tych przykładów widzimy, jak Gall, jako historyograf dworski, musiał zręcznie manewrować, by w oczach zazdrośników, (których się tak bardzo obawia)[1], zachować pozory prawdy, a jednak interesów dworskich i opinii różnych partyi na dworze nie naruszyć. Te różne względy i względziki podyktowały mu rzeczony wstęp o zatargu Bolesława II z biskupem. Opisywać, jak zbuntowane rycerstwo wypędza swego króla z Polski, historyograf dworski nie mógł w książce, przeznaczonej dla uświetnienia księcia i jego przodków. Przechodzi nad tą drażliwą sprawą zatem do porządku dziennego dyplomatycznym zwrotem, iż byłoby to za szeroko opowiadać. Ponieważ jednakże sam król wygnany i jego stronnictwo uważali biskupa za sprawcę buntu i swego upadku, jak to opisuje Mistrz Wincenty[2], a z natury rzeczy to zdanie podzielała jego rodzina tj. stronnictwo ruskie na dworze Bolesława III, stronnictwo, z którem, jakeśmy widzieli, Gallus właśnie w bliższych stał stosunkach, ponieważ niezawodnie i sam Krzywousty przy sromotnej katastrofie swego stryja chętniej szukał przyczyn w zdradzie biskupa, niż w awanturniczych wybrykach króla, zatem Gall, aczkolwiek przechodzi do porządku dziennego nad kompromitującym ród książęcy upadkiem króla, nie omieszkał mimo to w myśl opinii dworskiej napiętnować biskupa mianem zdrajcy.

(C. d. n.).

Dr. K. Krotoski.

---

[1] II, 12, str. 51. Cfr. przedmowę do ks. III, str. 82.

[2] *M. P. H.* II, str. 298.

KILKA SŁÓW O KWESTYI KOBIECEJ.

(Dokończenie).

V.

Jak gdyby powtórzeniem dziejów humanistów, a raczej wpływu ich na kobietę, będzie era filozofów XVIII wieku i ich wszechwładnego panowania. Jak tamci, tak ci pochlebiają kobiecie, wkradają się w jej łaski, ciągną do swego obozu. Tamci urokiem piękna starożytnego, ci racyonalizmem i swobodą żartowania ze wszystkiego zabijają w niej „zabobon i przesądy“, po naszemu wiarę i wstyd niewieści. Lekka lektura XVIII wieku, przeznaczona dla kobiet i salonów, przewyższa w rozwiązłości nawet płody humanistów. Wolter tylko do tragedyi wprowadza dawne ideały kobiece, w które on sam nie wierzy: w listach i drobnych wierszach, odsłania dno bezwstydnej swojej duszy, a nieśmiertelnym płodem jego cynizmu wobec ojczyzny i kobiety, został ów poemat, w którym zbezcześcił i wyszydził najczystszą, najpiękniejszą w dziejach Francyi postać Joanny d'Arc.

I po raz drugi zapytajmy, co encyklopedyści dali kobiecie w zamian za to, co jej odebrali? W czem jej umysł podnieśli, jej wykształcenie poparli? Niech odpowie jedyny prawie teoretyk ich szkoły, Rousseau. W sławnem pedagogicznem swojem dziele daje on wprawdzie matkom niektóre rady zdrowe, tyczące się wszakże jedynie fizycznego i pierwotnego wychowania dzieci. Co do dalszego, po szczegółowem kształceniu duszy i umysłu

Emila, przychodzi wprawdzie kolej na przyszłą jego towarzyszkę, wszelako jej wystarcza skromny zasób tych nauk, któreby ją mężczyźnie ponętniejszą uczynić mogły, więc trochę powierzchownego blichtru i zewnętrznych talentów. O wykształceniu jej, jako samoistnej rozumnej istoty, mowy niema.

Należy się tu osobna wzmianka masonii, która przez cały wiek XVIII i w początku następnego, udział ma, jeżeli nie kieruje każdym zamachem na Kościół i społeczeństwo, która od zachodu aż ku naszym krajom sięga i w szeroko założone sieci chwyta niebaczne nasze społeczeństwo.

I ona poluje na kobiety. Dla gruntu obyczajowo rozluźnionego, przygotowanego złą książką i rozmową, cóż ponętniejszego być mogło, jak tajemniczość celu i obrzędów, jak tytuły, kostyumy, schadzki grozą otoczone? Udział kobiety i wpływ jej na mężczyzn i inne kobiety był sekcie potrzebny, ale wątpliwe rzecz, czy do tajemnic rzeczywistych kiedybądź była przypuszczoną: zato w inicyacyach i obrzędach poniewierano tak dziwnie godnością kobiecą, że zaledwie wierzyć można, że się im wiele poddawało. Ciekawość i moda, to zaiste potęgi wielkie dla dusz kobiecych, które duch świata obniży i wyziębi. Pozostawmy smutnej ich sławie „Wielkie Mopsice“, które stanowią komiczne w dziejach niewieścich intermezzo.

Stajemy u progu wielkiej rewolucyi, tej, co wystąpiła pod hasłem rewindykacyi p r a w c z ł o w i e k a. Ta chyba i kobiecie miejsce w tem nowem prawodawstwie zrobi i poziom jej cywilny i społeczny podniesie? Gdzież tam. Koryfeusze jej, Robespierre, Mirabeau, zgodnie głoszą, że to „istota słaba i czuła, której przyroda powierzyła szczytne zadanie przechowania ludzkiego rodzaju“, i dlatego najciaśniejsze działanie przy domowem ognisku jej przeznaczyła. Równocześnie nie sromają się tych istot słabych i czułych tysiącami posyłać pod nóż gilotyny, jak tylko etykietę arystokratki położyć na niej mogą. Niejedna z nich zmyła wtedy krwią własną brudy przejęte w społeczeństwie filozofów i masonów; wszelako wyznać trzeba, że większa część tych, którym nie brakło męstwa i poddania na straszną godzinę, które nieraz z uśmiechem i słowem przebaczenia szły

na rusztowanie, wyszły z rodzin surowej, chrześcijańskiej cnoty, i że wiara, nie stoicyzm, były im oparciem i siłą.

Rewolucya, prawem rozwodu tak dalece ułatwionem, że tylko na warunkach obopólnej zgody małżonków opartem, zniszczyła rodzinę, a w niej godność kobiety. Spojrzyjmy wtył, na rodowody większej części przewodnich rodzin naszych, i przyznajmy, jak strasznie się one u schyłku XVIII wieku gmatwają: kto był matką, kto ojcem tych a tych? Te panie naprzód tak, później inaczej się nazywają, niektóre po trzy razy zmieniają nazwiska; gdzie rodziny, gdzie domy? Wszystko się zrywa i miesza. To posiew filozofizmu, który i u nas tak bujnie porasta. Zniszczenie rodziny pierwszym jego owocem.

Zamknąwszy klasztory i wszystkie zakłady miłosierdzia, rewolucya francuska odjęła kobietom cały ten zakres działania, który dla wielu z nich, nie mówiąc już o pobudkach i potrzebach nadprzyrodzonych, zastępuje rodzinę i powodzenie światowe. Wszystkie związki społeczne rozluźnione były, cała organizacya państwowa zatomizowana aż do anarchii, gdy Napoleon żelazną ręką chwycił rozpadające się społeczeństwo i dał mu te przynajmniej warunki życia, bez których żadne społeczeństwo, co jako człowiek wielkiej miary zrozumiał, ostać się nie może. Przedewszystkiem wskrzesił pierwiastek wiary i religii, w tym zakresie, jak ją pojmował, to jest jako jeden z trybów głównych w machinie społecznej, której kierunek w swoim ręku zatrzymał. Dla kobiety wszakże okazał się on ojczymem raczej niż ojcem. Wolność obywatelską i cywilną dla całego społeczeństwa ograniczył do *minimum*, za to mężom nad żonami dał prawa niemal despotyczne. Wierność małżeńska żonę tylko obowiązuje: męża chyba o tyle, że pod dachem rodzinnym wielożeństwa uprawiać nie można. Z jednej strony zrównanie wobec prawa dzieci prawych i nieprawych, z drugiej wzbronienie poszukiwania ojcostwa, na oścież otwiera wrota niecnocie, która piętno hańby jedynie kobiecie, nigdy mężczyźnie nie kładzie. Majątku żony mąż jest panem prawie nieograniczonym, a zupełnym dochodów jej, a zatem i własnego dorobku. Kobieta nie ma prawa opieki, chyba nad własnemi dziećmi, ani w cywil-

nych sprawach świadczyć nie może. Te barbarzyńskie pozostałości rzymskiego prawa jeszcze dziś po większej części obowiązują we Francyi. Że kobiety na kongresach przeciwko nim walczą, to stokroć mają słuszność, i życzyć im tylko można, aby jak najrychlej obalenie ich wywalczyły.

Przekształcając z gruntu wychowanie, ujmując je w twarde kleszcze uniwersytetu, jako państwowej władzy naukowej, Napoleon, epigon w tym względzie XVIII wieku, podzielał jego pogardę dla umysłu i stanowiska kobiety, i dla wykształcenia jej nic zgoła nie zrobił, prócz zakładu, w którym pod rygorem wojskowym chowały się córki oficerów. Tyle, że dopuścił, aby, powstające z gruzów zgromadzenia żeńskie, ujęły napowrót w ręce wychowanie dziewcząt; one też jedne przez pół wieku na tem polu pracowały. Być może, że nie dość skutecznie, że zwłaszcza nie dość odczuwały tętna nowych prądów i potrzeb wieku, że podstawy naukowe a nawet religijne, jakie dawały wychowankom, nie były dość gruntowne: wszelako fałszem jest, jakoby tylko rutyna wszechwładnie w nich panowała. Ktoby zechciał przeczytać ciekawą książkę początków ściganego dziś zgromadzenia Assumpcyonistek, ten przekonałby się, jakiego pokroju kobiety, i z jakiem przygotowaniem zabierały się do wielkiej sprawy wychowania. Społeczeństwo jednak, jako takie, nic nie zrobiło, aż znów katolicy, choć późno, bo w r. 1850, postawili na wiecu tę sprawę na porządku dziennym i pomiędzy postulaty ogólnego dobra wliczyli szersze wykształcenie kobiet. Pierwszy też rzecz obrobił i podał kobietom wskazówki własnej umysłowej pracy biskup Dupanloup.

Cobądź wychowaniu zakonnemu zarzucić można, a odnosimy to zarówno do nas, jak do Francyi, to przyznać trzeba, że zachowało ono kobietom, a więc połowie społeczeństwa, podstawy wiary. Tradycye wolteryanizmu zachowały się niestety w męskiej części tego, co zwie się intelligencyą, zaszczepiły obojętność dla rzeczy wiary i podatny grunt pod późniejszy zasiew pozytywizmu stworzyły: pod cienkim pokostem katolicyzmu panuje wogóle gruba niewiadomość i spokojny indyferentyzm, z cichszem lub głośniejszem uznaniem własnej wyż-

szości wobec wiary kobiecej, a z przekonaniem, które w dogmat przeszło, że wiedza i wiara razem iść nie mogą, że pierwsza udziałem męskich duchów, druga słabości niewieściej. Pomimo niższości, jaką im to w oczach mężczyzn dawało, kobiety w większej części stały przy wierze i usiłowały chować w niej dzieci, co przynajmniej z córkami się udawało. Prąd filozoficzno-ateistyczny, poczęty w XVIII-ym wieku, w drugiej połowie XIX-go sztandar pozytywizmu wywiesiwszy, szedł na przebój na zdobycie społeczeństwa. W tej robocie lekceważył czas jakiś rolę kobiety: przekonawszy się z czasem, że ta siła, choć bierna, tamuje skutecznie postęp jego działania, od trzech dziesiątków lat wytęża wszystkie siły, aby ją zdobyć dla siebie. Agitacya za feminizmem jest tylko jednym z objawów tych usiłowań. To też niema wątpliwości, że doba obecna jest dla sprawy kobiecej poważna. Z jednej strony rządy sekciarskie działają przez szkołę bezwyznaniową: nie zdobywszy kobiety ignorancyą i zaniedbaniem, zdobyć ją chcą nauką bez Boga i wiary. Stąd usiłowanie poważne stworzenia dla kobiet ognisk nauki średniej i wyższej, seminarya, skąd wyrojone nauczycielki, same z więzów wiary wyzwolone, wprowadziłyby kobiety w podwoje czystej nauki. Z drugiej strony socyalizm zgromadził stosy krzywd istotnych i rzekomych, z pod których obiecuje wyzwolić kobietę i doprowadzić do zupełnego z mężczyzną zrównania. Z trzeciej, istotne w wielu krajach prawodawcze niesprawiedliwości i pozostałości innych czasów, a bardziej jeszcze wielkie przewroty przemysłowe i społeczne, które utrudniły zarobek, przesiedlanie się *en masse* ze wsi do wielkich ognisk światowych i fabrycznych, rozluźnienie związków rodzinnych, to wszystko tworzy położenie nowe i zawikłane, prawdziwe dylemata społeczne, których rozciąć nożem nie można: tem mniej my się kusić o to nie poważymy. Taka przemiana stosunków tylko dłuższą pracą, wzajemnem tarciem i próbami, eliminowaniem metod jednych, stosowaniem drugich, może się do równowagi ułożyć.

Kilka wytycznych, że tak powiem, kierunków chcielibyśmy na zakończenie tego studyum zaznaczyć, jako wynik prac ludzi wyższych na tem polu i wskazówki codziennego doświadczenia.

Przypominamy, że kwestya kobieca jest kwestyą ogólnie ludzką, skoro całej połowy ludzkości dotyczy: cóż dziwnego, że jest skomplikowaną, że rozpada się nie tylko na społeczeństwa i kraje, ale na położenie i stosunki najróżnorodniejsze. Rozróżnićby w niej wypadało działy: obyczajowy, finansowy, prawodawczy, wychowawczy; traktować osobno o kobietach, które używając przywilejów społecznych, powinny się poczuwać względem sióstr swoich do obowiązków, i o tych, które mając tylko obowiązki i ciężary, mają prawo do pomocy i opieki drugich.

Wydaje nam się bowiem rzeczą słuszną, aby kobiety w sprawie kobiecej brały udział czynny i rzeczywisty po części przez działanie własne, po części przez tę akcyę, która do końca świata będzie najwłaściwszą ich naturze: przez impuls dany społeczeństwu, przez natchnienie i oryentowanie w pewnym kierunku opinii i usiłowań czy to w prawodawstwie, czy w pracy społecznej. Tak właśnie dzieje się w Anglii, i dlatego sprawy kobiece, omijając wiele szkopułów feminizmu, dochodzą tam do najpraktyczniejszych rezultatów.

Potrzebne są na to niezbędnie niektóre warunki, z których pierwszy będzie „wiedzieć“, drugi „chcieć“. Niezawodnie, podstawą wszelkiego działania jest wiedza, i dlatego słuszność przyznać trzeba tym myślicielom, którzy, jak biskup Spalding, jak Etienne Lamy, jak ks. Naudet, orędują za poważnem wychowaniem i za wyższemi studyami dla kobiet. Że katolicyzm nie jest tym prądom przeciwny, chyba czytelnik dobrej wiary to przekonanie z kartek tych wyniesie. Wykształcenie kobiety, jej pierwiastka moralnego przedewszystkiem, ale niemniej i umysłowego, jest postulatem katolickim.

Z dokumentami dość poważnymi w ręku, rewindykujemy go dla Kościoła, ani pozwolimy, my synowie i córki Jego, aby z tego fałszu kuto broń przeciwko Niemu. Spóźnił się zegar socyalistów i masonów. Dwadzieścia blizko wieków trwał sojusz niewiasty z Kościołem; gdy sekciarze i bezbożni ją deptali i do pogańskiej nawracali niesławy, Kościół ją znów dźwigał i do czci powracał. Aż dziś, kiedy sekta żydowsko-międzynarodowa przekonała się, że bez kobiety nie zdobędzie społeczeństwa,

teraz z wielkim trzaskiem otwierają niby przed nią podwoje wiedzy i światła. Przepraszamy: te podwoje miała otwarte od dawna. Kościół chce światła wszędzie: zanadto jest pewny Boskich podstaw swoich, aby unikał światła lub lękał się chwilowych półmroków połowicznej nauki. Światła i dobrej wiary — tego prawda żąda. Więc i kobietom dobrej oświaty Kościół nie odmawia. O ile przyrodzonych sił i rodzinnych obowiązków nie przekraczają, o tyle wyższe studya mogą wyjść im tylko na korzyść. Czy wyraz w y ż s z e s t u d y a dostatecznie myśl naszą wyraża? Może dokładniej byłoby powiedzieć g ł ę b s z e: może głównie chodzi o pogłębienie wiedzy, o nadanie jej tej cechy powagi, która bądź co bądź jest charakterem naszej epoki i być nim powinna.

Trzebaby rozbrat wziąć z tą powierzchownością, która lata nauki panien (czy tylko panien?) uważa za jakieś pracowite i przykre *pensum*, przebyte z niesmakiem, a z rozkoszą pozostawione za sobą: czegobądź panny się uczą, czy to będą szkolne przedmioty, *realia* kobiece, niech się uczą na seryo i na długo. Trzebaby dość wcześnie oryentować umysł i wolę naszych córek ku sprawie ogólnej pracy dla drugich, a naukę wskazywać jako środek do tego celu, do tej dobrej służby. Czy nauka taka będzie publiczną czy prywatną, czy w zakładach zamkniętych, czy zarówno dla młodzieży obu płci otwartych? To są kwestye o tyle podrzędne, że zapatrywanie subjektywne, stanowisko osobiste, sam nawet wiek wpływa odmiennie na zdanie każdego. Prąd za nauką wspólną, za swobodą nieograniczoną, jest bardzo silny. Poczęty w Szwajcaryi, rozwinięty w Ameryce, zdobył prawo obywatelstwa w Rosyi, we Francyi, w Skandynawii: najdłużej może opierają mu się Niemcy; ale zwolna opinia wszędzie mu ustępuje i toruje drogę. Jest w tym prądzie znaczna przymieszka tego, co Francuzi nazywają *engouement*. Zdarzyło nam się spotkać słuchaczki takie: do nauki zapalone, widocznie pracowały, i, jak same twierdziły, pilniej od męskich kolegów. Wszelako rozwinięcia szerszego, sądu wytrawniejszego w kwestyach, dajmy na to historycznych czy literackich, nie zauważyliśmy, i utrwaliło nas to w sądzie, że dla kobiety zwłaszcza

nauka sama nie wystarcza, że ważniejszą jest dla niej otoczenie rozumne, sfera wyższa, z której jak roślina bierze więcej i rozwija się lepiej, niż z samego naukowego gruntu. Natomiast, u naszej słuchaczki wieczorki koleżeńskie, w których młodzież żeńska spotyka się z zupełną swobodą z męską, bez żadnego nadzoru, zostawiły widocznie bardzo lube wspomnienia. Nie mamy tu na myśli rzeczy zupełnie zdrożnych, owszem sądzę, że wiele tu bywa z obu stron prostoty i naiwności, wszelako w tych rozmowach i sądach (zwłaszcza o sztuce), w tych żartach, bodaj że wiele stracą kobiecości, w porównaniu z tem, co zyskać mogą. I ta cała strona sprawy kobiecej jest jeszcze w procesie tworzenia: przypuszczam, że z czasem dojdzie do osobnych kursów dla kobiet. Rasa anglo-saska i te trudności zapewne najlepiej i najpraktyczniej rozwiąże. W starym i na oko najbardziej tradycyonalnym Oksfordzie, jeden z kollegiów, *Margaret's College*, kobietom tylko otwarty. Poważny taki już wiekiem uniwersytet w Harward, (Massachuset's) posiada żeńską anneksyę *Radcliff College;* w tych dniach właśnie spotkaliśmy się ze sprawozdaniem uroczystości rozdania dyplomów, nie doktorskich wprawdzie: studentki tamtejsze otrzymują stopnie bakałarzy i licencyatów, sprawozdania te robią poważne i bardzo dodatnie wrażenie; studentki tak co do mieszkania, jak co do towarzystwa doznają opieki najpoważniejszej części towarzystwa żeńskiego. W naszych stosunkach, na pierwszym miejscu żądaćby należało osobnych dla kobiet kursów przynajmniej na medycynie i anatomii, — oto zaraz postulat prawodawczy, o który kobiety poważne nawoływać powinny. Niektórzy woleliby zamknąć im całkiem te zawody: a przecież, gdy się pomyśli o nowych przyszłości horyzontach, i jak szybko w naszych czasach te światowe ewolucye się odbywają; i gdy spojrzymy na niezmierzone przestrzenie Wschodu i pomyślimy, jaka rola ogromna i wdzięczna przypaśćby tam mogła kobietom lekarkom, a zarazem może misyonarkom, wszędzie tam, gdzie nie trafi lekarz ani ksiądz nawet — dlatego, że mężczyzna — począwszy już od Serbii i Bośnii i w całych krajach Bałkańskich, aż poza Pamir i Hindukusz, to nie śmielibyśmy wstrzymywać pracownic, któreby tam gnał duch miłości i poświę-

cenia. Bodaj że farmakologia jest polem, któreby łatwo i wdzięcznie pracy kobiet się nadawało. Wogóle sądząc, że w wyższych studyach kobiety szukać powinny nie rozgłosu uczoności, bo do pierwszorzędnych w tym rzędzie stanowisk umysł ich się nie nadaje; ani na polu czystej nauki i wynalazków, ani w sztukach, kobiety przodownicami w ludzkości nie były i nie będą. Chodzi tu głównie albo o wykształcenie zawodowe dla zarobku, albo o to wyższego rzędu używanie, które przynosi rozwój wszystkich władz umysłu, i które, jak dopiero wspomniałam, tak korzystnie wyzyskać by się dało w rodzinie i w społeczeństwie. Przyznajmy, że inne jest stanowisko żony, a zwłaszcza matki gruntownie wykształconej, inna odporność na zdanie, które głoszone słyszy i czyta, inny ton nada ona otoczeniu i atmosferze, wśród której żyje. Że może w tym pościgu za wiedzą, nie jedna utraci niektóre cechy kobiece, zgoda. Ale przyznajmy, i przygotujmy się do tego, że czasy obecne ścierać je będą coraz bardziej. Żyjemy w realistycznej epoce. Kwestye strasznie realne: zarobku, ceł, podatków, nędzy społecznej, upadku i podnoszenia ekonomicznego, wzajemnego tarcia warstw społecznych, są tak bardzo na porządku dziennym, tak pełne ich książki, rozmowy a zwłaszcza dzienniki, że kobieta średnio wykształcona obcą im pozostać nie może. Zresztą, odwołuję się do dobrej wiary matek. Wiele ich jest, które prowadzą córki do teatru, na przedstawienie albo zgoła nie idealne, albo w szczegółach realistyczne, a nawet drastyczne. Panienka, która widziała „Tkaczów“ Hauptmana, „Otchłań“, „Wesele“, a może i „Noc ciemności“ Tołstoja, bo gdy o teatr chodzi, to nasze matki bardzo są liberalne, taka panienka już z wieloma brzydotami i nędzami życia zabrała znajomość. Czy ta znajomość służyć ma jedynie do zaspokojenia niezdrowej ciekawości, a u progów rzeczywistych nędz życia ustawać? Nie sądzę. Pragnę szczerze, aby nasze córki zachowały jak najdłużej ten urok niewiadomości, który, jak pył na owocu, raz starty, nie powraca, — ale w takim razie bądźmy logiczne i nie dopuszczajmy żadnych tych wpływów, które zdmuchnąć go muszą. A jeśli osądzimy, że to zbyt trudno, że jeśli nie książka, nie teatr, to pierwsza salonowa rozmowa oczy im otworzy na

wiele smutnych objawów społecznych, to radzę wam, matki chrześcijańskie, nauczcie je same i patrzeć, i nie dopatrzyć się, i słyszeć, a nie usłyszeć, — nauczcie je słowami Woronicza do polskiej dziewicy:

Jak z pożerczych płomieni wynijść bez obrazy,
Tonąć w świecie, a świata nie naciągnąć skazy.

Nie kryjąc przed nią, że zło jest, że się z niem spotkać może, stopniowo przygotujcie jej serce, nie wyobraźnię, jej duszę, nie zmysły i nerwy do świadomości, a później do walki ze złem, do popierania dobrego, do czynnej odwagi, nie tylko do biernej cierpliwości. Dajcie jej balast wiedzy, o ile umysł jej strawi, o ile siły fizyczne znieść go mogą, ale dajcie jej nadewszystko grunt wiary. Niechaj wszelkiej nauki, wszelkiej wiadomości osią będzie wiara, nie ślepa, — przeciwnie, wsparta całem rusztowaniem nowej nauki, wszystkiemi zdobyczami ludzkiego rozumu, a takiej wiedzy nie lękajmy się dla niej.

Spytacie, co jej po niej? a ja odpowiem: cóż zrobić wobec tego, że one same rwą się do niej? Widzę dziewczątka piętnastoletnie, córki matek albo światowych, albo chowanych dawną metodą, w duchu tej kobiecości, która była ich urokiem, i którą pragnęły córkom przekazać, a te już marzą o studyach wyższych, pytają co jest praca społeczna, i jak się do niej zabierać? Cóż na to poradzić? Nie zaciągniecie muru pomiędzy niemi a tym światem nowym, w którym żyć będą musiały. Nie wtłoczycie ich gwałtem w szablon lalek salonowych, bo tego macierzyńskie sumienie wam broni, nie mówiąc już o tem, że to typ przestarzały, dla którego w dwudziestym wieku prawie miejsca nie będzie. Więc dajcie im tak silne podstawy chrześcijańskie, aby żadne argumenta, żadna sofistyka, żadne zwątpienie ich nie zachwiało, a potem — niech wiedzy szukają: niech w tej twierdzy zabezpieczone badają i strzegą rodzin chrześcijańskich jako matki zacne i świątobliwe, niech służą społeczeństwu jako nauczycielki, lekarki, zakonnice, misyonarki, a przedewszystkiem jako matki. Nie dopuśćcie, kobiety chrześcijańskie i polskie, aby się zagnieździć miał i w naszem społeczeństwie ten straszny i ohydny zanik zmysłu macierzyństwa, który już,

niestety, często u młodych kobiet spotykamy. Mówcie córkom, że macierzyństwo jest ogólnem zadaniem kobiety, że małżeństwa zwłaszcza nie świat, ale rodzina jest celem — i końcem, rozwijajcie w nich potęgę miłości we wszystkich przejawach swoich. Niech kochają wszystko co wielkie i piękne, Boga i Kościół, ludzkość, ojczyznę, rodzinę, i niech przyjdą same do tego poczesnego w społeczeństwie miejsca, które im Bóg przeznaczył, a stary wróg, za pomocą złych sił tego świata, wydrzeć im usiłuje.

Rozejrzyjmy się około siebie, a przekonamy się, że przykładów nam nie brak. Już Anglia wydała takie typy kobiety nowoczesnej, zajęte na różnych stanowiskach dobrem ogółu, ale, dzięki Bogu, najpiękniejsze są najbliżej nas. Mało które społeczeństwo wydało postacie tak heroiczne, jak tych kilka, na które patrzeć nam dano: kobiety, które wyrzekły się absolutnie wszystkiego, a raczej wszystko, życie, rozum, majątek, mądrą i niezmordowaną pracę, oddały na usługi swego narodu i społeczeństwa. Dwie z pomiędzy nich, jak gdyby na dane hasło, wydały książkę: „O pracy“, jakoby kodeks tych prawideł życia, które sobie postawiły i pierwsze w czyn zamieniły. Kiedy socyaliści jako ideał jedyny stawiają ludziom życie bez pracy, z sześciu, dwugodzinną pracą, zdrowo widzieć te wielkie panie, stworzone po ludzku do spokojnego używania, nie wstydzące się pracy żadnej, najgrubszą nawet podnoszące tą myślą, że podjęta dla miłości Boga i miłości kraju.

Te przykłady głośno świadczą, że m o ż n a: niech sumienie odpowie, że t r z e b a, a kobiety przyczynią się najsilniej do wstrzymania społeczeństwa chrześcijańskiego od nowego barbarzyństwa i spoganienia.

Jadwiga Rostworowska.

OD ROGERA BAKONA DO HARNACKA.

Niedawno upłynęła dopiero dwóchsetna rocznica chwili, kiedy Bernard de Fontenelle (1635—1737) wydał swoją *Histoire des Oracles* (1687), aby zdać dość obszernie sprawę z ówczesnego stanu dziejopisarstwa, i zakończył swoją książkę wnioskiem surowym, że pracownicy na dziejopisarskiem polu obrabiają z dawien dawna jedną nieprzerwaną klechdę, w którą nikt nie wierzy, ale wszyscy ją powtarzają, skutkiem wspólnej umowy, że nie wypada pisać inaczej: *l'histoire n'est qu'une fable convenue* albo *l'histoire est le roman de l'esprit humain, les romans sont l'histoire du coeur* brzmi szyderczo, ale spoczywa na tylu słusznych uwagach, że zastanowił następców Fontenelle'a, którzy nakoniec zaczęli badać, czy sami wierzą w swoje opisy i skąd wiedzą, że prawdę piszą. Niedługiego czasu potrzeba było tym badaczom, żeby spostrzedz, że pole dziejopisarstwa i chronologii porosło dziwną mieszaniną dobrego plonu i nędznego chwastu. Na ten widok niejeden porywczy umysł mógł stracić wszelką cześć dla poprzednich dziejopisów i w pośpiesznym zapale wyrzucać z ich ksiąg ustępy prawdziwe razem z plonami wyobraźni; łatwowierni poprzednicy ukryli przed światem prawdę w zaczarowanym zamku legend i mrzonek, gorączkowi następcy okazywali ochotę spalić ten zamek razem z zaklętą w nim prawdą.

Jednak rozważniejsi dziejopisowie zdali sobie sprawę, że mają pracę poprzedników oczyścić z zielska, prawdę nieskalaną

ocalić, — że przy umiejętnych wskazówkach wprawne oko odróżni plewę od pszenicy: więc usiłowali między sobą ustalić wytyczne prawidła pracy, aby przy wzajemnej pomocy ciągle równym krokiem iść naprzód ku wypadkom i datom prawdziwym a nie obalać dziś tego, co jutrzejszy dzień każe odbudować. Z tych prawideł powstała tak zwana krytyka historyczna, bardzo zgodna z zasadami, przyjętemi przez filozofię, która w zasadach logiki rozprawia o powadze świadectwa dziejowego.

Wobec dość świeżego początku dziejoznawstwa krytycznego nie może nikogo dziwić, że jeszcze wiele szczegółów w historyi i chronologii należy do dziedziny prawd spornych; niejedną zagadkę nauka odkładała bez odpowiedzi na czas nieoznaczony, aż nieprzewidziany obrót wypadków posłużył badaczom za wskazówkę i przeprowadził ich poza zasłonę zawiłych tajemnic.

Taką wskazówkę dla ery dyonizyańskiej przyniosły stosunki na nowo zawiązane między Europą a starochrześcijańskiem społeczeństwem w Abisynii: wyjaśniły, jaką erę miał Dyonizy Szczupły na myśli, kiedy za Aleksandryjczykami opisywał jej epokę. Bez tej wskazówki trudno było wyczytać jakąś liczbę zrozumiałą w zepsutych rękopisach Dyonizego: teraz można już dojść, że Dyonizy Szczupły obiecał rozpowszechnić na Zachodzie erę, nie zapomnianą dotąd w zapadłym kącie Wschodu, a obliczoną na podstawie epoki chrześcijaństwa: Dyonizy opisał tę epokę wiernie za poprzednikami, ale sprzecznie z nią i wbrew własnej obietnicy przedłużył erę staro-chrześcijańską i naliczył już 8-y rok, kiedy dla epoki potrzebuje roku 0, a 42-i rok, kiedy wymienia Chrystusowi 34-y rok wieku. Zatem w ustach Dyonizego opis epoki wraz z jego świadectwem o stanowisku swojem sprawozdawcy, a nie wynalazcy nowej ery, prowadzi do wniosku, że Dyonizy Szczupły przekazał nam staro-chrześcijańską erę z pomyłką ośmiu lat.

Wniosek ten dostarcza przewodniej nici w labiryncie długowiecznego sporu o erę dyonizyańską. Godziły w nią liczne pociski, ale wszystkie zaopatrzone w jedno ostrze: jedna myśl przeświecała w ciągu walki, mianowicie zarzut, że z dyonizyańską

erą nie można pogodzić epoki Wcielenia. Aż po środek przeszłego stulecia trudno było oprzeć opis epoki chrześcijaństwa na poważnym zastępie świadków starożytnych, bo jeszcze Migne nie był zebrał prawie całego grona chrześcijańskich pisarzy najdawniejszych w swojej patrologii; obrońcy staro-chrześcijańskiej epoki mogli tylko trwać przy swoim zarzucie, ale wyglądali na upartych zwolenników przesądu, bo nie mogli dostarczyć dowodu, któryby rozstrzygnął sprawę. A zwolennicy ery dyonizyańskiej, w dobie zamętu dziejopisarskiego, łatwowiernie chwytali za oręż każdej pogłoski, która przemawiała za ich poglądem: więc u wielebnego Bedy czytamy o jakiejś świecy rzekomo cudownej, na której nagle zajaśniały wypisane lata od Chrystusa Pana według Dyonizego. Ludzie, zdolni używać takich dowodów w naukowej rozprawie chronologicznej, nie wysilali bardzo władz umysłowych, aby zasypywać przeciwników odpowiedziami na ich zarzut: bujna wyobraźnia dostarczyła zbrojowni, zaopatrzonej na wszelkie potrzeby; kiedy nie umiała ukuć grota z żelaza, to ukręciła bicz z piasku. Doba krytyki historycznej wytrąciła różne okazy takiej broni z ręku zwolenników ery, ale nieufnem okiem spoglądała także na obrońców epoki. Szczególniej pierwsi następcy Bernarda de Fontenelle'a szyderczo witali wzmiankę o epoce, podawanej z ust do ust bez dostatecznego przyboru świadectw źródłowych. Powstrzymał ich szyderstwo jeden z najdzielniejszych wówczas pracowników na polu krytyki dziejopisarskiej, wybitny Holender, Jakób Perizonius[1] i wytknął właściwą drogę dwoma przepisami głównymi. Naprzód przy każdym wypadku i przy każdej jego dacie uważać trzeba na związek między szczegółami, czy brzmią możliwie i prawdopodobnie, a nie wypadają sprzecznie w ustach różnych świadków. Ten przepis sam, jeszcze ogólnikowo wyrażony, naraża na przesadę hyperkrytycyzmu, bo dziejopis mógłby każdą przygodę osobliwą albo datę niewygodną oceniać po swojemu i osobiście uważać za niemożliwą, zatem odrzuci ją nawet wbrew powadze świadków,

[1] 1651—1715: *Animadversiones historicae* 1685, *De fide historiarum contra Pyrrhonismum historicum* 1702.

którzy za nią podali głos. Więc dalej Perizonius przestrzega przed opacznymi wnioskami z pierwszej zasady, bezwzględnie stosowanej albo naginanej do osobistych poglądów dziejopisa, i miarkuje sceptyczne niedowiarstwo przez złotą myśl, że trzeba wycisnąć jądro prawdy z każdego świadka, a nigdy nie odrzucać z góry całej treści jego słów, chociaż zapał krasomówczy ozdobi przygodę strojem niemożliwych szczegółów albo dat. Słowem, między świadkami musi wogóle panować zgoda co do samej istoty sprawy badanej, a sprzeczne ich opisy szczegółów podrzędnych nie uwłaczają powadze ich świadectwa; na wszystko nie mogą wszyscy zarówno zwracać uwagi i z biegiem czasu mieszają zwykle w drobnostkach świadectwo pamięci z domysłem wyobraźni: owszem, zupełnie dosłowna zgoda w każdym drobiazgu budzić może obawę, czy nie ze wspólnej umowy wszyscy jednakowo przedstawiają wypadek, więc już nie donoszą wiernie, co każdy widział naocznie i słyszał osobiście albo zapamiętał sam, tylko pomagają sobie cudzemi uwagami.

Odtąd te zasady wzięły górę nad bezwzględnem szyderstwem z każdego świadectwa, mniej dokładnie wyrażonego; odtąd obrońcy epoki staro-chrześcijańskiej odzyskiwali stanowisko poważne: pokazywali za sobą objaw wielowiekowy, z którego żądali, żeby era dyonizyańska zdała przyczynę. Dyonizy, przywiązany do śladów utartych przez poprzedników a daleki od myśli o nowych wynalazkach, świadczy sam o sobie i z naciskiem wyznaje, że w tablicach wielkanocnych powtórzył prawdy, na Wschodzie znane od dawna, aby z niemi na Zachodzie zapoznać każdego, kto ich nie zna; Zachód bez chwili namysłu idzie do jego tablic po datę wielkanocną i przez setki lat korzysta z jego pracy kalendograficznej bez słowa zarzutu; ale na jego zapiskę chronologiczną spogląda przez wieki okiem podejrzliwem i uspokajany mnóstwem różnych odpowiedzi, przynaglany do wiary nawet ową świecą cudowną, ciągle powtarza swoje: niech tam sobie służy ta era dyonizyańska do codziennego użytku, ale nie odpowiada dziejowej prawdzie, bo starochrześcijańska epoka Wcielenia wymaga innej ery. Łatwo na-

zwać przesądem ten zarzut długich stuleci, ale trudno zdać sprawę z tego objawu.

Obrońcy ery tego trudnego dzieła nie dokazali.

Istotnie Zachód odrazu wdzięcznie przyjął od Dyonizego jego tablice wielkanocne, ale do dziś dnia wątpi o jego erze, tak samo, jak na nią nie przystał, kiedy bieg lat po śmierci Dyonizego podał jego pracę do rąk czytelnikom, zdolnym o jego erze wydać sąd poważniejszy. Znawcy dziejów kościelnych, choć nie rozporządzali setkami źródeł zebranych u Migne'a, przecie spostrzegli łatwo, że staro-chrześcijańskiemu świadectwu odpowiada u Dyonizego opis epoki chrześcijaństwa, ale jego era nie odpowiada ani liczbie lat od Chrystusa, dawno zapisanej w księgach poprzednich pisarzy, ani opisowi epoki u Dyonizego samego. Beda wierzyć nie chciał w to odstępstwo Dyonizego od poprzedników i w nieszczęsne przeciwieństwo między arytmetycznym początkiem jego ery a epoką. Ale następcy Bedy przyznali i jedno i drugie i rozpoczęli w obronie ery walkę przeciw epoce. Rzym głosem Urbana II-go[1] przypomniał powagę świadectwa o epoce, choć tylko pobocznie, kiedy w podpisie swojej bulli przeciwstawił erę dyonizyańską erze *secundum certiorem evangelii probationem*, według pewniejszego dowodu ewangelicznego. Ostatni ten zwrot brzmi dobitnie w ustach pisarzy średniowiecznych, bo wypływa z tego pojęcia ówczesnego, które mianowało dowodem ewangelicznym powszechny głos chrześcijaństwa, powtarzany od czasów apostolskich przez nieprzerwany ciąg świadków, choćby nie zapisany wyraźnie w żadnej z czterech ewangelii. Dopiero XVI-e stulecie, za sprawą Marcina Lutra, wynalazło różnicę między ustnem świadectwem chrześcijaństwa wszystkich wieków i krajów, a szczegółami wyraźnie zapisanymi w biblii, i tylko w ostatnich upatrywało dowód prawdy ewangelicznej, a odmiatało prawdę podawaną z pokolenia na pokolenie przez nieprzerwany ciąg świadków. Więc średnie wieki nazywały albo apostolskim albo ewangelicznym opis epoki staro-chrześcijański, przechowany u Dyonizego, i w liczbie

[1] Wyżej str. 231.

lat od Chrystusa, zgodnej z tym opisem, widziały erę *secundum veritatem evangelicam:* stąd Rzym przeciwstawił erę dyonizyańską erze według dowodu ewangelicznego.

Głos Rzymu, chociaż rozstrzyga spory tylko dogmatyczne albo moralne, a nie orzeka nic w zakresie czysto świeckiej nauki, więc nie dotyczy bezpośrednio chronologii, przecie składał przynajmniej mimochodem świadectwo za powszechnym w chrześcijaństwie głosem o epoce, którą Dyonizy, wbrew swojej erze zachował za przodkami po wierze. Zatem era dyonizyańska, wobec mniej przychylnego dla niej sądu w ustach Urbana II-go, mogła tak upaść bez powagi żadnej w chronologii, jak upadło kilka innych er, spotykanych w rocznikach średniowiecznych: u św-go Hieronima euzebiańska, u św-go Maksyma z Saragossy cesarska, u św-go Izydora hiszpańska, u Cassiodora znowu inna i t. d.: wszystkie te ery musiały ustąpić wobec zarzutu, że nie odpowiadają epoce, uznanej wszędzie za pewniejszą według prawdy ewangelicznej. Przez zwycięstwo starochrześcijańskiej epoki nad erą dyonizyańską uniknęłaby chronologia całego zamętu, w jaki popadła przez pomyłkę Dyonizego, ale do tego zwycięstwa przeszkodził wówczas Roger Bakon.

Ów najruchliwszy geniusz średniowiecza, gorączkowy Bakon (1214—1294), który pomysłami swoimi jednych zachwycał, drugich oburzał, wywołał w obronie ery dyonizyańskiej przeciwko jego epoce wrzawę, do dziś dnia nie uciszoną. Niedbały o powagę niczyją i przedsiębiorczy myśliciel przeniósł zapiskę, przypadkowo wsuniętą do tablic wielkanocnych, a nie popartą właściwie niczem, nad zgodę z całym światem, i obliczył poprawnie datę, którą dziś znaleść łatwo w indykcyonie albo w tablicy kalendograficznej, że na rok 33-ci naszej ery przeddzień pełni cyklicznej wypada 1-go kwietnia we środę, więc Bakon uwiadomił świat uczony, że wbrew wszelkim przesądom dawnym, Chrystus Pan umarł 3-go kwietnia w piątek nazajutrz po astronomicznej pełni w 33-cim roku wieku swojego dopiero zaczętym, a zmartwychwstał w niedzielę 5-go kwietnia.

Za różne, równie śmiałe występy przeciw powadze świadectw odwiecznych, Bakon ściągnął na siebie złe oko, które

podejrzywało w nim pochop do heretyckich nowostek; co płynęło u niego z zapału do wynalazków i nowych myśli, to nie często nosiło na sobie piętno pracy źródłowej a nieraz zakrawało na zapędy niebezpieczne w rzeczach wiary. Nikt Bakonowi nie rozwiązał zagadki, czemu trzeba obstawać przy epoce, której opis pochodzi z mglistych nauk Wschodu, zamiast bronić ery, od kilku wieków coraz ogólniej przyjmowanej na Zachodzie, ale nikt nie uważał tej zagadki za coś poważnego, skoro ją zadaje głowa równie gorąca, jak Roger Bakon. Jego pomysł zatem ani tą razą nie przekonał społeczeństwa, jednak znalazł zwolenników i przez lat parę wzniecał silną przeciw epoce burzę, którą szerzej opisuje Wading w księdze o pisarzach z zakonu Minorytów i w 2-im tomie roczników.

Kiedy zabrakło Bakona, w kilkadziesiąt lat po nim upadłą jego chorągiew podniósł na nowo Paweł de Burgos († 1435), który wystąpił z wykładami egzegezy i przy rozbiorze 26-go rozdziału ewangelii podług Marka powtórzył tezę Bakona, że Chrystus umarł 3-go kwietnia, a na dowód przywiódł tablice zmian księżycowych, nad którymi pracował przy pomocy rabinów.

Społeczeństwo chrześcijańskie jeszcze mniej nastawiło ucha na dowody Pawła z jego pomocnikami, niż zważało na wywody Bakona: czuło jakby w swojem sumieniu głos ubiegłych wieków, nowej nauki o piątku 3-go kwietnia nie chciało uznać za prawdę. Nie z lepszym skutkiem wywodził z ery dyonizyańskiej wnioski następca Pawła: Tostat, chociaż zatoczył już działa na najwyższe miejsce, z którego mógł razić uczonych chrześcijan ówczesnych, bo wobec dworu Eugeniusza IV-go, w Siennie podówczas, bronił tez doktorskich, a w ich liczbie śmiało dowodził, że Chrystus 25-go marca nie umarł, ale 3-go kwietnia, i to w roku wieku swojego 33-im jeszcze nie skończonym, tylko zaczętym. Krok ten nie przymnożył zwolenników poglądowi Bakona; poczytany za zuchwalstwo Tostatowi, wywołał z jego strony obronę, ogłoszoną pod napisem *Defensorium*, gdzie (w rozdz. 10-m) czytamy, że przecie niektórzy dostojnicy z dworu papieskiego zaczęli wątpić o powadze powszechnego jeszcze głosu za epoką staro-chrześcijańską; że ci

zachwiani w swoich poglądach dwa razy sprawę przywoływali pod rozbiór ściślejszy, i na naradę wzywali astronomów, a jeżeli wierzymy Tostatowi, nawet rabinów: ci rzeczoznawcy potwierdzili, że Chrystus nie mógł umrzeć 25-go marca w roku 33-im dyonizyańskim, bo w tym roku astronomia nie znajdzie ani pełni na dniu 25-m marca, ani piątku, a przepisy żydowskie dopiero na kwiecień wyznaczały Paschę.

Obrona Tostata odniosła ten skutek, że Eugeniusz IV-y nie rzucił na niego gromów i pozwolił jego pismom wraz z dowodami Pawła de Burgos przechodzić swobodnie z rąk do rąk. Z tego źródła czerpali następni pisarze, aby w duchu Bakona zakorzeniać pośród czytelników swoich wysokie pojęcie o Dyonizym, jako o twórcy nowej ery.

Jednak niektórzy ze zwolenników Bakona spostrzegli, że sami podkopują powagę Dyonizego, kiedy w nim sławią twórcę nowej ery, bo nie umieją odeprzeć zarzutu, że Dyonizy w stuleciu szóstem mniej zasługuje na wiarę co do wynalezionej dopiero wtenczas ery, niż co do opisu epoki, wziętego z dawniejszych pisarzów, którzy podawali szczegóły, wzięte ze źródeł bliższych samego wypadku, a nie zrozumiałe w erze dyonizyańskiej. Aby nie odstąpić od tej ery, w zastępie wiernym Bakonowi powstała myśl, że trzeba Dyonizego przedstawić tylko jako krzewiciela prawdy znanej apostołom, który ogłosił nie swoją erę Zachodowi, ale ją znalazł u pisarzy Wschodnich.

Francuscy chronolodzy naprzód poruszyli tę myśl. Czytelnik musi im to poczytać za chlubę, że przez nich badacze mogli zwrócić uwagę na staro-chrześcijańskie źródło, z którego czerpał Dyonizy, chociaż błędnie wyczytał w ich wzorze przestawione znaki *iiii* i *xii*. Pierwszy Dyonizy Pétau odkrył w dziełach Aleksandryjczyków ślady ich ery, jednak, mimo pomysłu szczęśliwego w tej mierze, nie wyzyskał szczęśliwie odkrytej prawdy, ale szukał żywcem podanej ery dyonizyańskiej u Aleksandryjczyków i mniemał, że odkrył ją u Panodora, egipskiego mnicha z V-go stulecia[1]. Jak Dyonizy podaje chrześcijańską erę dłuższą

[1] *Przegląd Powszechny* t. LXXII, str. 10.

o ośm lat, niż Aleksandryjczycy, i liczy — nie jak oni 517 lat — ale 525 od Chrystusa Pana do konsulatu Proba, tak Panodor skraca o ósemkę liczbę lat od Aleksandra W-go do Chrystusa Pana, i podaje na ten przeciąg czasu lat 322 a nie jak Aleksandryjczycy 330. Stąd przypuszcza Dyonizy Pétau, że obaj: Panodor i Dyonizy Szczupły liczą:

od Aleksandra do Chrystusa Pana	lat 322
od Chrystusa Pana do konsula Proba	„ 525
od Aleksandra do konsulatu Proba	lat 847

a Aleksandryjczycy:

od Aleksandra do Chrystusa Pana	lat 330
od Chrystusa Pana do konsula Proba	„ 517
od Aleksandra do konsulatu Proba	lat 847

więc, że Panodor zarówno z Dyonizym Szczupłym, obaj zgodni z Aleksandryjczykami co do lat między Aleksandrem W. a konsulatem Proba, w przeciągu tych lat cofnęli o ósemkę w tył rok Narodzenia Chrystusowego. Zatem Pétau odgaduje w Panodorze poprzednika Dyonizego Szczupłego z jego erą[1]. Pewny swojego domysłu, Pétau bada dalej przyczynę, dla której Panodor odstąpił co do chrześcijańskiej ery od Aleksandryjczyków i tę przyczynę odgaduje w kłopocie Panodora z wrotami księżyca, rzekomo niezgodnemi z aleksandryjską erą człowieka (od początku świata). Aby pogodzić tę erę z wrotami księżyca, miał Panodor podług Dyonizego Pétau skrócić erę o ośm lat i opuścić te lata między Aleksandrem W., a Chrystusem Panem. Ale Panodor znalazł u Aleksandryjczyków stare i zgodne z ich erą, wrota księżyca, a te, o których mówi Pétau, jako o niezgodnych, powstały dopiero w parę set lat po Panodorze w Bizancyum aby tamtejszej erze odpowiedzieć; nadto choćby Panodor nie z innej przyczyny skrócił erę człowieka, tylko z tej, którą odgaduje Pétau, przecie opuścił 8 lat p r z e d Chrystusem Panem, a n i e w d o b i e c h r z e ś c i j a ń s k i e j: czyli odstąpił od Aleksandryjczyków co do ery człowieka bez żadnej zmiany w ich erze

[1] Migne, *P. G.* XIX, 1406: ...„quae est insignis observatio vetustatis erae communis, quam Dionysianam vocant".

chrześcijańskiej, więc nie stawiał kroków żadnych na drodze, którą Dyonizy Szczupły poszedł pierwszy bez żadnego poprzednika między pisarzami staro-chrześcijańskimi [1].

Po Dyonizym Pétau, jego rodak i towarzysz zakonny, Jan Hardouin, również stanowczo usiłował oczyścić Dyonizego Szczupłego z zarzutu, że jego era wisi w powietrzu, jako wynalazek późniejszych wieków, sprzeczny z jego epoką, opartą na świadectwie roczników starożytnych. Hardouin zbierał bardzo skrzętnie ślady innych świadectw, jakoby erze przychylnych, i ogłosił je w *Dissertatio de nummo Gratiani Aug.*, ale przez swoje dowody, zebrane bez rzeczoznawstwa dostatecznego, mniej jeszcze, niż Pétau, zdołał zagłuszyć w sumieniu chrześcijańskiem pamięć o staro-chrześcijańskiej epoce.

Niemieccy chronolodzy po większej części zajęli odporne stanowisko przeciw wywodom francuskim. Ledwo Hardouin ogłosił swoją rozprawę, już Leibnitz stanął do walki w piśmie: *Dissertatio de nummis Gratiani Aug. cum Gloria novi saeculi.* Do rozprawy Leibnitza Ideler dodał wiele szczegółów, istotnie wymownych, na dowód, że żaden poprzednik Dyonizego nie znał liczb, przez niego wyprowadzonych z wzoru, inaczej podawanego w Aleksandryi. Słowem: Francuzi utrzymywali, że Dyonizy wziął żywcem swoją erę z Aleksandryi, Niemcy twierdzili, że nie wziął

[1] Panodor, za świadectwem Synkellosa, z powodu zupełnie innego, niż odgaduje Pétau, odstąpił od liczby półszosta lat między Adamem a Chrystusem, którą Aleksandryjczycy powtarzali za Afrykanosem. Mianowicie Afrykanos z Ptolomeuszem w jego kanonie królów liczy 20 lat rządów Artakserksesowi około roku Olymp. 84,1 a 310 Rzymu. W lat 114 później, czyli około roku 112,3 Olymp. a 424-go Rzymu, Afrykanos z Ptolomeuszem stawiają upadek Daryusza perskiego i początek królestwa Aleksandra. Odtąd Afrykanos zaczyna liczyć 8 lat rządów Aleksandrowi i 294 jego następcom, razem 302 lata królestwa greckiego do bitwy pod Akcyum. Ptolomeusz liczy 8 lat aleksandrowych między rządami królów babilońskich, a dopiero po jego śmierci zaczyna 294 lat królestwa greckiego. Jeden tedy liczy 302 lat wraz z Aleksandrem, drugi 294 lata bez Aleksandra. Panodor tę pozorną różnicę pochwycił i tak poprawił (!) Afrykanosa podług Ptolomeusza, że w chronologii opuścił rządy Aleksandra, więc dostał lat 5492 dla doby przedchrześcijańskiej: źle rozumując, jak mówi Synkellos u Migne'a *P. G.* XIX, 1412: „Πανόδωρος δὲ, τῇ ματημματικῇ ἐξακολουθῶν ἐκδόσει... ἐστοιχείωσε... τὴν σωτήριον Γέννεσιν τῷ ,ευϟγ' οὐ καλῶς διανοησάμενος".

nic. Czytelnik spostrzeże łatwo przesadę po obu stronach: Aleksandrya znała wzór Dyonizego w stanie pierwotnym, nim bezmyślne pióro poprzestawiało w nim znaki *iiii* i *xii*.

Przesadne zapędy obu obozów przeciwnych nie ułatwiały nikomu jasnego rzutu oka na właściwy stan sprawy. Kardynał Baroniusz w olbrzymiem dziele swojem niewiele wyświadczył pożytku chronologii ze względu na sprawę ery, tylko za Scaligerem odstawił epokę chrześcijańską na rok 752-i Rzymu; usłyszał też od bieglejszego w astronomii, Pagiego, zarzut, że jego wiekopomne roczniki nie unikają chronologicznych usterek, wykazanych przez astronomów. Baroniusz, odstręczony od astronomii, którą wojował Bakon, nie ocenił wagi tego zarzutu i wstrząsał tylko ramionami na wzmiankę o powadze astronomii, bo ją w duszy poczytywał za pozbawioną głosu w sprawie, do której podchodzi ze zwojami tablic, pokrytych znakami, podobniejszymi do pism czarnoksięskich, niż do abecadła ludzkiego. Tym niezrozumiałym dowodom astronomicznym Baroniusz w części przypisywał winę, że najbieglejsi znawcy chronologii, do rozpaczy doprowadzeni, uznali za rzecz niemożliwą orzec coś pewnego o roku Wcielenia Pańskiego i zostawili zagadkę nie rozwiązaną dla szczęśliwszych następców. Szczęściem nie astronomia tu zawiniła, ale jej użył niezgrabnie Bakon i przez nieszczęsną obronę ery dyonizyańskiej doprowadził chronologów do rozpaczy, o której wspomina Baroniusz.

I świat na tem nie wyszedł źle, że raz przecie zrozpaczył o erze, która naznacza na inny rok swój początek arytmetyczny, na inny epokę. Tę przynajmniej prawdę uznała chronologia za zdobycz pewną, że trzeba niezrozumiałą erę poprawić.

Nowy zastęp badaczy nie śmiał z początku odbiedz daleko od roku 0 dyonizyańskiego i gdzieś w pobliżu tego roku szukał epoki chrześcijańskiej, a za epokę ciągle jeszcze uważał dzień Narodzenia Chrystusa, któryby około 33-ch lat jego wieku zostawiał piątek i pełnię przy równonocni.

Najwięcej do prawdy zbliżył się między innymi domysł, że Chrystus Pan cierpiał w piątek 23-go marca roku 31-go ery dyonizyańskiej, bo w roku tym 14-y Nizan cykliczny wypadł

w sobotę 24-go marca juliańskiego, więc piątek przypadał na samą równonocnię w przeddzień pełni. A że Chrystus Pan liczył przy śmierci 33 lat wieku skończonych i zaczęty 34-y, więc liczyłby 4-ty rok wieku w roku 1-ym ery naszej, zatem erę naszą trzebaby przedłużyć o lat cztery [1].

Domysł ten ocalił tylko część świadectwa starożytnego, mianowicie znalazł piątek w dzień równonocni, ale pozostał w przeciwieństwie z ważniejszą częścią tego świadectwa, bo skoro ledwo w sobotę 24-go marca nastąpiła cykliczna pełnia, tedy nie mogli ewangeliści we czwartek mówić o 1-m dniu przaśników żydowskich. Aby nie odrzucać świadectwa ewangelii, łacińscy chronolodzy wynaleźli odpowiedź, że chociaż 1-y dzień przaśników wypadał dopiero w sobotę, — zaczynaną od poprzedniego wieczora u Żydów, — przecie Chrystus Pan uprzedził ten dzień i używał przaśników przy Wieczerzy we czwartek. Ale astronomiczne tablice zgoła nie pozwalają utrzymać tego domysłu, bo według nich [2] pełnia prawdziwa ani w sobotę jeszcze nie wypadła, a Żydzi obchodzili święta według prawdziwego stanu księżyca; otóż nów rzeczywisty wypadł 12-go marca we wtorek blizko o kwadrans na trzecią po południu; gdyby tedy Żydzi dojrzeli przed zachodem cienki sierp księżyca na nowiu i liczyli 1-y dzień Nizan do zachodu słońca 12-go marca, tedy 14-y dzień liczyliby do zachodu słońca 25-go marca. Ale podobno nie mogliby dojrzeć księżyca przed zachodem słońca 12-go marca, więc spożywaliby przaśniki paschalne dopiero po zachodzie słońca w niedzielę 25-go marca. Otóż wiemy z Ewangelii, że Żydzi pożywali przaśniki chociażby nie we czwartek wieczór, przecie pewnie już w wieczór piątkowy w roku śmierci Chrystusowej: więc Chrystus Pan nie umarł w roku 31-m ery dyonizyańskiej.

Domysł tedy o roku 31-ym, choć nie odpowiada wszystkim wskazówkom, podawanym od wieków z pokolenia na pokolenie,

[1] Sprawdzić to można na indykcyonie: rok 31 daje liczbę boczną 21 a dolną 10; gdzie zbiegają się w indykcyonie linie obu liczb, tam widzimy iedynkę pod 24, czyli pełnię w sobotę 24-go marca.

[2] Migne, *P. G.* XLII, 949.

przecie stanowił już wielki krok w drodze z powrotem do starochrześcijańskiej epoki.

Tym krokiem Zachód począł w zamęcie, sprawionym przez Bakona, odnajdywać światło, ale nim do niego doszedł, spotkał przy sobie Wschód, który właśnie opuszczał świadectwa Ojców o epoce, bo z ich przyczyny wpadł w kłopot. Zachodowi źle było z poglądem Bakona, przeciwnego głosowi Ojców, a Wschodowi źle było z Ojcami, przeciwnymi poglądom Michała Kerulariosa. Świadectwo Ojców o pełni w dobie zaczętej wieczorem po zachodzie słońca we czwartek, służyło łacinnikom za dowód, że Chrystus Pan sam spożył w wieczór przed śmiercią wieczerzę przy chlebie przaśnym, nie kwaśnym, więc nie kazał nam ani słowem, ani przykładem używać kwaśnego chleba do Stołu Pańskiego, i Sam do przaśników nas upoważnił przykładem, choć nie nakazał nic w tej mierze. Mimo to Kerularios, do przaśników uprzedzony w sposób niegodziwy, w łacińskiej Mszy upatrywał tylko obrzęd żydowski. Więc Σύνοψις Ἱστωριῶν (308), napisana przez Kedrenosa w wieku XI-ym, ale wydana z rękopisu bizanckiego w roku 1566-m, wywodzi, że Chrystus Pan umarł w roku ery (dyonizyańskiej 31-ym) bizantyjskiej od Adama 5539-ym w piątek 23-go marca, a dopiero nazajutrz w sobotę 24-go marca nastąpił przeddzień pełni; następnie wnosi: „ponieważ tedy Pan nie 14-go Nizan obchodził Paschę, ale spożywał Wieczerzę Mistyczną w przeddzień dnia tego, w którym poświęcono przaśniki i przygotowywano święta, znajdujemy Go podającego nie cząstkę baranka ofiarnego i nie przaśniki, ale chleb i kielich". Słowa te jednak tracą wszelką wagę naukową wobec częstych przechwałek Bizantczyka, iż wynalazł nową chronologię i dlatego przestrzega czytelników, aby nie wierzyli żadnym datom starożytnych pisarzy, a widzieli prawdę jedynie w jego Synopsie. Czy sam Kedrenos tak dobrodusznie szukał chluby z rzekomej prawdy, odkrytej dopiero w XI-em stuleciu o wypadkach z czasów Chrystusowych? Czy dopiero późniejsi wydawcy bizantyjscy dorabiali chronologię do swoich potrzeb i poczytywali sobie za zasługę odstępstwo od świadectw starożytnych? Nie tu miejsce rozstrzygać sprawę; w każdym razie

sama Cerkiew carogrodzka nie zwróciła uwagi na wynalazek Kedrenosa i pozostała przy świadectwie Ojców: nie odkładała 14-go dnia Nizan w czasie Męki Pańskiej dopiero na sobotę, ale liczyła tę noc jako 14-tą księżyca, która upływała między czwartkiem a piątkiem: w tej mierze Bizantczycy nazywali rzecz jednakowo z Żydami, ale Żydzi razem z tą nocą załączali także następny dzień do jednej i tej samej doby 14-ej Nizan, a Aleksandryjczycy zaliczali dzień piątkowy wraz z nocą z piątku na sobotę do następnej doby 15-ej Nizan, czyli najbliższej po pełni. W tej myśli carogrodzka Cerkiew długo zatrzymała nazwy Aleksandryjczyków i ich chronologię, a nie przyjęła niczyich nowych wynalazków: więc Izaak, czerniec, w XIV-em stuleciu pisze [1], że „na pełnię Żydzi obchodzą Paschę.. w dzień Paschy żydowskiej poszedł Pan nasz na mękę"; więc nie wypadała pełnia dopiero w sobotę, jak Kedrenos odkrył wbrew poprzednim chronologom.

Zatem urzędowa powaga patryarchatu carogrodzkiego podobnie postąpiła w tej mierze, jak Głowa Kościoła Powszechnego, która sama ze czcią przechowała pamięć o Piątku Męki Pańskiej w dzień pełni i równonocni, ani nie wystąpiła z żadnym zakazem, aby krępować uczeńszych pisarzy, którzy szukali, każdy własnym dowcipem, dowodów prawdy umiejętnych. Stąd wypływały coraz nowsze poglądy, bez przeszkody głoszone, póki same źródła bliżej poznane nie odmówiły im wszelkiej powagi.

Ale, ledwo pomysłowi łacinnicy przystali na dowód Kedrenosa o 14-ym Nizan dopiero w sobotę, już zmiana kalendarza na Zachodzie wywołała u Greków nowy pogląd na chronologię. Jeżeli dzień 14-y Nizan nastawał z wieczora albo w piątek albo w sobotę, jeżeli według Kedrenosa na samą pełnię cykliczną w niedzielę Chrystus zmartwychwstał, i według astronomii istotnie w tę niedzielę zaszło zaćmienie księżyca, tedy Chrystus zmartwychwstał w dniu właściwej pełni czyli

[1] Migne, *P. G.* XIX, 1298: „κατὰ τὴν πανσεληνιακὴν ἡμέραν οἱ Ἰουδαῖοι τὸ ἑαυτῶν τελοῦσι Πάσχα.. κατὰ τὴν ἡμέραν τοῦ Ἰουδαικοῦ Πάσχα ἦχθη πρὸς τὸ πάθος ὁ Κύριος ἡμῶν".

przeciwległości astronomicznej: zatem poprawka kalendarza gregoryańskiego w rzeczy samej odpowiada prawdzie dziejowej, kiedy wraca do obchodu Wielkanocy w niedzielę najbliższą po cyklicznej pełni, choćby dopiero w ciągu tej niedzieli zachodziła pełnia astronomiczna. Przecie pisarze greccy nie chcieli uznać papieskiej poprawy kalendarza za słuszną, więc znowu odstąpili i od Aleksandryjczyków, zgodnych z papieżem, i od Kedrenosa, zgodnego już i z kalendarzem gregoryańskim i z chronologami łacińskimi, i bronią dziś jakiejś nowej chronologii, według której[1] „tradycya niezmienna świętych ewangelistów nam pokazuje Chrystusa w dwóch dniach najbliższych po pełni cierpiącego na krzyżu albo złożonego w grobie, a ledwo trzeciego dnia po pełni zmartwychwstałego... Kościół zachodni, niedbały o owe dwa dni Męki Pańskiej, obchodzi Wielkanoc bezpośrednio po pełni" — i w samą pełnię cykliczną także, bo także nazajutrz po 14-ym dniu od nowiu, — „kiedy w ten dzień wypada niedziela. Wtenczas Zachód nie obchodzi Zmartwychwstania Chrystusowego, tylko starozakonną Paschę żydowską, i chociaż Męka Zbawiciela miała miejsce po pełni, i to bezsprzecznie *(fârâ contestatie)*, przecie Zachód zniewolony obchodzić ją przed pełnią (!?), podwójnie depcze podanie ewangeliczne". Więc odszczepieńcy greccy na jedną Wielkanoc z łacinnikami nie przystają z powodu tej pełni, którą widzą już we **czwartek** bezsprzecznie, a z profanacyą wyszydzają konsekrowane Przaśniki łacińskie z powodu tejże samej pełni, którą widzą dopiero w **sobotę** czy w niedzielę, tylko w piątek jej nie widzą, bo nie mogliby zarzucać łacinnikom żydowszczyzny ani co do Wielkanocy ani co do Mszy. Taki obrót sprawy chronologicznej okazuje, że nawet w dziedzinie prawdy dziejowej upór woli bredzić, niż badać świadectwo starożytnych roczników, które nie uprzedzone ani przeciw poprawce kalendarza ani przeciw Przaśnikom, nie widziały tej samej pełni raz we czwartek, raz w sobotę, tylko zawsze w piątek. Wtedy chrześcijaństwo całe miało wspólną

[1] *Calendarul Bisericeî de Rêsârit.* P. Donicî Craiova. 1898. Pag. 100, 102.

uczelnię w Aleksandryi, gdzie zjednoczone umysły Wschodu i Zachodu prawdę badały i znajdowały.

Jak Grecy tylko chwiejnie obstają przy domyśle o śmierci Chrystusa roku 31-go dyonizyańskiego w piątek przed pełnią, a nie nalegają na tę datę, aby w następstwie nie uznawać gregoryańskiego kalendarza za dobry, tak łacinnicy przy tym dniu nie mogli obstawać, aby nie dawać w jego obronie nieszczęsnej odpowiedzi, że Chrystus wyprzedził swoją Wieczerzą żydowski dzień Przaśników. Za tem poszły coraz śmielsze domysły i zawilsze poglądy na rok Śmierci Pańskiej i epokę chrześcijańską.

Sprawę w tym zamęcie zastali Bolandyści Henschen i Papebrok, kiedy w drugiej połowie XVII-go stulecia przy pracy nad Aktami Świętych doszli do ostatnich dni marca. Znaleźli w wielu martyrologiach Pamiątkę Męki Pańskiej zapisaną na dniu równonocnym, ale raz liczonym za 23-ci marca, raz za 25-y. Sami Bolandyści nie zamyślali rozwiązywać tej zagadki, więc zasięgnęli rady u rzeczoznawców. W odpowiedzi dostawali tablice, mozolnie układane i z rozmaitem szczęściem bronione: ale dla Bolandystów wypadł tylko jeden oczywisty dowód, że w erze dyonizyańskiej tkwi coś opacznie wsuniętego, bo nikt nie daje odpowiedzi jasnej, owszem, za każdym nowym wysiłkiem, aby sprawę ruszyć na dobrą drogę, grzęźnie wszystko coraz uparciej w głębokiej tajemnicy.

Zatem Bolandyści odstąpili od Dyonizego co do ery, chociaż nie wyrobili sądu ostatecznego i jeszcze pozostali przy wniosku: „wyznajemy w prostocie ducha, że nie chcemy utkwić w tej gmatwaninie ze stratą drogiego czasu“; przecie bez względu na uczniów Bakona, umieścili Pamiątkę Męki Pańskiej pod dniem 25-m marca, gdzie Martyrologium Rzymskie wspomina Dobrego Łotra.

Krokiem tym Bolandyści ośmielili pisarzy kościelnych, u których coraz jaśniej wraca pamięć o epoce ery staro-chrześcijańskiej a znika z widowni myśl o powadze dyonizyańskiej ery. W jej obronie stawał jeszcze Jakób Grandami[1] i Filip

[1] W rozprawie ewangelicznej o Sądzie Ostatecznym i Narodzeniu Chrystusa.

Labbe[1], ale ich rozprawy nie przywróciły już dyonizyańskiej erze uroku.

Powszechny głos chronologów, przeciwnych erze dyonizyańskiej, znalazł potężnego rzecznika, astronomiczną sławę, Kepplera. Uwagę jego na tę sprawę zwrócili Jezuici: Decker i Susłyga. Pierwszy przewodniczył w Gracu akademicznej rozprawie publicznej, której uczestnicy poszli dalej, niż Scaliger, Baroniusz i Seth Calvisius; ci dodawali tylko po dwa albo trzy lata do ery dyonizyańskiej; ks. Decker poszedł dalej i żądał poprawki czteroletniej. Przy wymianie myśli wziął udział także Pułtowianin, ks. Wawrzyniec Susłyga, i ogłosił swoje poglądy pod napisem: *Velificatio seu Theoremata de anno ortus et mortis Domini, deque universa Iesu Christi in carne oeconomia,* w Gracu 1605, w 8-ce. Tą pracą Susłygi i rozprawą Deckera zachęcony a nawet ośmielony, — jak sam mówi, — Keppler stanął do walki przeciw Dyonizemu, i poparł Susłygę w rozprawie: *De Iesu Christi Servatoris nostri vero anno natalitio Consideratio novissimae sententiae Laurentii Susłygae Poloni, quatuor annos in usitatam Epocham desiderantis,* w Frankfurcie u Wolfganga Richtera MDCVI. Rozprawa ta wywołała od razu zwrot przeciw ostatnim zwolennikom Bakona i obrońcom ery dyonizyańskiej; rozchwytywana wyszła wkrótce po raz drugi. Dzieło Kepplera, prócz astronomicznych szczegółów, zawodowo opracowanych przez sławnego męża, zbiera także szczegóły historyczne i egzegetyczne, aby wykazać, że nauka nie może w żaden sposób przystać na Narodzenie Chrystusa Pana w roku 0 albo 1-ym dyonizyańskim, ani w żadnym z lat najbliższych, chybą dopiero o cztery lata wcześniej, i to przynajmniej o cztery.

Po Kepplerze bardzo sprężyście poruszał tę sprawę Sanclemente[2]: uważał omyłkę Dyonizego za dowiedzioną już stanowczo tak przez dowody Kepplera, jak przez świadectwa numizmatyki, którą na pomoc wezwali Norisi i Tillemont; nawet

[1] W „Zarysie chronologicznym dziejów świeckich i kościelnych". Paryż 1665.

[2] Henrici Sanclementii *De vulgaris Erae emendatione Libri Quatuor.* Romae 1795.

poszedł wyraźniej, niż Keppler, drogą poprawek i wraz z Patrizzim i Idelerem cofa o siedm lat wtył początek ery dyonizyańskiej albo przynajmniej o sześć. Nie znał miary w zapale, więc stanął przed Piusem VI-m z dowodami, że wypada papieżowi rozstrzygnąć spór i pogodzić erę z prawdą dziejową.

Dzisiaj żaden z zawodowych, czy to dziejopisów, czy chronologów nie wątpi o pomyłce Dyonizego. Niektórzy poprzestają na poprawce Susłygi i Kepplera. Harnack np.[1] uważa za niewątpliwą zdobycz teraźniejszej chronologii, że „Śmierć Jezusowa nastąpiła w dniach Paschy 30-go albo 29-go roku, — na pewno rozstrzygnąć między temi latami nie można". Inni znowu prą do najdłuższych okresów czasu, bo — jak jeden niedawno wyznał przed Harnackiem[2] — „kto uznaje ramy, w których podanie (katolickie) umieściło pomniki staro-chrześcijaństwa, ten przestaje opisywać dzieje chrześcijańskie i ich rozwój w sposób przyrodzony i musi wierzyć w nadprzyrodzony porządek chrześcijaństwa": więc trzeba rozwlec chronologię początków Kościoła na lata jak najdłuższe...[3]

---

[1] *Die Chronologie der Altchristlichen Litteratur.* I B. Leipzig 1897, str. 236.

[2] *Die Chron. der Altchr. Litt.* I B. Leipzig 1897, str. X.

[3] Przeciwko głosom za dłuższą erą wystąpił ostatni obrońca ery dyonizyańskiej Riess w *Das Geburtsjahr Christi.* (Freiburg Herder 1880), i z wielkim zasobem wiedzy historycznej i mnóstwem wskazówek z astronomii doszedł do wniosku, że Dyonizy przekazał nam nietkniętą erę staro-chrześcijańską z czasów prawie apostolskich, więc że Chrystus Pan umarł 14-go Nizan, 3-go kwietnia roku 33-go ery przyjętej. Na nieszczęście 14-y Nizan w tym roku wypadał na środę 1-go kwietnia, jak czytelnik może sprawdzić w indykcyonie, którego część (od r. 532 do 626) stanowi wielkanocną tablicę Dyonizego. Więc Riess przypuścił, że Dyonizy podał w swojej części indykcyonu daty pełni poprawne na swój wiek, a przyśpieszone o dwie doby na wiek Chrystusowy, że zatem 14-y Nizan w roku 33-ym wypadał w piątek. Ale powaga astronomiczna profesora Karlińskiego w tablicy kalendograficznej nie pozwala wątpić, że indykcyon na pierwsze stulecie podaje daty pełni zgodne z niebem, więc że Riess stawia Mękę Pańską na trzeci dzień po pełni, sprzecznie z wszelkiemi świadectwami. Wpadł też R. w zupełne przeciwieństwo ze sobą, bo jeżeli Dyonizy wziął swoją chronologię od Apostołów, to nie mógł w niej znaleźć pełni poprawnych na 6-e stulecie, a przyśpieszonych o dwie doby na czasy Chrystusowe. Ries tedy, jako ostatni obrońca ery dyonizyańskiej, pracą swoją wywołał wrzawę na krótko i w chronologii nie zajął stanowiska poważnego.

Na tych wytycznych chwilach w walce o erę dyonizyańską poprzestać tu trzeba. Do świadectw przytoczonych i do wymienionych pisarzy możnaby dodać niezmiernie długi spis nazwisk, bo spór o erę dyonizyańską zapełnił więcej książek, niż ich posiada niejedna księgarnia. Ale walka różnych obozów nie przedstawia już nowych zwycięstw po żadnej stronie i nie porusza haseł nieznanych. Przebieg jej, obecnie streszczony, odpowiada na pytanie, które mogło przyjść na myśl czytelnikowi pomimo dowodu, że Dyonizy Szczupły przez pomyłkę podał nam staro-chrześcijańską erę o ośm lat przedłużoną. Mógłby ktoś zauważyć, że pomyłka Dyonizego nie koniecznie wydała błąd w erze chrześcijańskiej. Wszak sławny astronom obliczył drogę Uranusa poprawnie, pomimo pomyłki w ciągu pracy: bo pomyłkę później przypadkiem nagrodził przez równą jej drugą pomyłkę. Czy nie mogła era staro-chrześcijańska odbiedz od prawdy dziejowej?... wtedy Dyonizy, choć przypadkiem zboczył od drogi poprzedników, mógł właśnie wpaść na właściwą liczbę lat od Chrystusa Pana...

Przebieg walki, obecnie opisanej, odpowiedzieć może na to pytanie. Opór chrześcijaństwa przeciwko erze dyonizyańskiej trwa już tysiąc kilkaset lat, a dopiero najnowsze zbiory patrologiczne i nowoczesna pomoc astronomii wykrywają dokładnie, na czem polega pomyłka Dyonizego. Ani z istoty tej pomyłki, ani z jej rozmiarów kilkanaście wieków nie zdawało sprawy świadomie, pozbawione światła dziś możliwego. Mimo to kilkadziesiąt pokoleń powtarza niezmiennie jedną myśl: era dyonizyańska odbiega od świadectwa pierwszych chrześcijan o dniach Narodzenia i Śmierci Pańskiej. Głos ten niewyuczony brzmi rozmaicie w różnych ustach: jedni pamiętają ten szczegół z epoki chrześcijaństwa, drudzy inny; jedni wymieniają rok rządów Augusta przy Narodzeniu Chrystusa Pana, inni rok Tyberyusza podczas Męki Pańskiej; jedni określają czas latami Rzymu, inni latami Cyryna albo Piłata; jedni wymieniają równonocnię pod liczbą cesarską 25-go marca, inni poprawną liczbę 23-go marca juliańskiego, albo nicejską liczbę 21-go marca; jedni zaliczają noc Męki Pańskiej z aleksandryjska do czwartku 22-go marca,

cyklicznej pełni, inni ją nazywają z żydowska piątkiem 23-go marca i pełnią; jedni zapisują swoje daty wyraźnemi słowami, dochowanemi do naszych czasów dość szczęśliwie, inni oznaczają te daty liczbami, poplątanemi następnie w skażonych rękopisach; jedni podają wszystkie daty zgodne ze sobą, inni mieszają liczby i do świadectw zgodnych z powszechnym głosem wtrącają sprzeczne szczegóły; słowem głosy tego mnóstwa pisarzy noszą na sobie niezatarte piętno świadectw nie ułożonych zawczasu po wspólnej umowie, ale wydawanych dorywczo, jak zwykle odpowiadają różni ludzie z nienacka zagadnięci: wyrażają swoje świadectwo każdy po swojemu, ale z tropu nie zbici pomimo różnic mniejszej wagi powtarzają wszyscy jedną w istocie myśl, przekazaną im przez przodków. Z takiego świadectwa nic innego nie może wynikać dla krytyki, zarówno filozoficznej jak dziejopisarskiej, prócz wniosku, że Dyonizy Szczupły prawdę szczerą wiernie ze staro-chrześcijańskiego źródła zaczerpnął, kiedy epokę opisał i w tej mierze powtórzył tylko świadectwo powszechne, które nie milknie od czasu uczniów apostolskich aż po nasz wiek obecny, — ale, że od prawdy Dyonizy odstąpił, kiedy sprzecznie z własnym opisem epoki wyliczył nam w swojej erze rok teraz 1901-y zamiast 1893-go, i wiek XX-y, choć jeszcze XIX-emu siedm lat brakuje dziś do końca [1].

Ks. K. Czaykowski.

---

[1] Kiedy już w drukarni była niniejsza praca, przybył do niej szczegół dość ciekawy, mianowicie: W dziele *Ioannes Stoeffler Calendarium Romanum magnum*, Oppenheym 1518, fol., przechowywanem w bibliotece upsalskiej, na karcie B_5 kalendarza, zawierającego dni kwietnia, pod dniem *3 aprilis* wpisał Kopernik wśród tekstu: *Christus passus anno eius XXXIII,* do czego dopisał jeszcze na marginesie: *Anno 30°*. Donosi o tem p. Birkenmajer w dziele „Mikołaj Kopernik" cz. 1, str. 550, i dodaje uwagę, że już Kopernik — przeszło pół wieku przed Susłygą i Pétau — wykrył różnicę między początkiem arytmetycznym ery dyonizyańskiej a rokiem Narodzenia Chrystusa, obliczonym według staro-chrześcijańskiego opisu epoki.

„WESELE“ WYSPIAŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

III.

Rzadki to utwór alegoryczny, lub symboliczny, a zwłaszcza symboliczno-fantastyczny, któryby nie był przez różnych różnie rozumiany; najlepszym dowodem, we współczesnej literaturze, biblioteka sprzecznych ze sobą komentarzy około dramatów Ibsena. Wprawdzie taka wieloznaczność nie jest nieodłączną towarzyszką każdego symbolu, i poeta może tak symetrycznie dostosować znaki symboliczne do swej idei, iż one tylko ją jedną wyrażają, ale też bardzo małe zwichnięcie tej symetryi wystarcza, by symbol był niejasny i kilka znaczeń przypuszczał.

Dwa naczelne symbole „Wesela“, chochoł i złoty róg, dość jasno, w ogólnych przynajmniej zarysach, w dramacie się tłumaczą. Słomiana pałuba, owijająca obumarły krzew w zimie, czyż nie jest wymownym obrazem martwoty, zaniku żywotności, bezwładnej i bezmyślnej gnuśności, a przechodząc do duchowego życia, czyż każda drzemiąca dusza, każda zanikająca idea, lub gasnące uczucie, nie są jakimś powijakiem skrępowane? Z tej strony pojęty słomiany chochoł, choć skądinąd w przyrodzie ma dodatnie znaczenie, — na tej samej zasadzie, jak ten sam dźwięk dzwonu jednemu poecie, zależnie od nastroju, wydaje się wspaniałym hymnem, drugiemu nasuwa groźne przeczucia — daje się zupełnie słusznie uosobić, jako istota

zła, jako złośliwy chochlik, krępujący wszelką żywotność i na wszelki objaw życia zdradziecko czatujący. Byłby to jakiś pomniejszy i bardzo daleki krewniak Mefistofelesa lub Masynissy z „Irydiona“ — tylko, że o mniejszej władzy, bo nad jednym tylko występkiem gnuśności królujący, i, jak każda gnuśność, płaski, pospolity, bez potęgi, bez demonicznych rysów swoich starszych protoplastów, karykaturalny, nawet śmieszny, ot jakieś bezmyślne cudło, co przed wiekami już osiadło na zagonach tak zwanej „słowiańskiej nieproduktywności“ i polskiego lenistwa, a w ostatnich dziesiątkach lat pod jednym szczególnie względem doszło do przemożnego wpływu i rozparło się wygodnie, w niezamąconym pokoju i ciszy.

Tę martwą ciszę ma zmącić dźwięk złotego rogu. Złoty róg, symbol również nowy, w powszechnej literaturze nieznany, bo ani róg Amaltei, ani róg Rolanda, nie wypełniają zawartej w nim myśli — zbliżone jakieś pojęcie możnaby chyba odnaleźć w biblijnej trąbie archanielskiej, na której głos rozpadną się groby i wstaną umarli. Ale choć nowy, od razu jednak uderza swą trafnością, o wiele więcej, niż poprzedni symbol. Przyczyna leży w tem, że użyty on jest w tem samem, do ideału tylko podniesionem, znaczeniu, jakie ma w codziennej rzeczywistości, gdzie dźwięk rogu, czy trąby oznacza jakieś hasło, wezwanie, pobudkę. Hasło wielkie, na którego głos „spotężnia się duch“, rzeźka pobudka cucąca ze snu, z martwoty, do życia i czynu, jakaś płomienna idea, która rozkrąża zastygłą krew w żyłach, jak iskra, przebiega w lot naród cały, wlewa życie, energię i zapał, niezłomną moc wewnętrzną i kruszącą wszystko przeszkody potęgę działania — oto znaczenie złotego rogu.

A jednak, mimo to, że dwa te naczelne symbole nie przedstawiają większej trudności w zrozumieniu, idea utworu pozostała po dziś dzień dla wielu zagadką. Dlaczego nie spełnia się obietnica Wernyhory, w kim, czy w czem przyczyna, że niknie złoty róg, do kogo i do czego odnieść należy władzę chochoła? W odpowiedzi na te pytania krytycy w różne rozchodzą się strony. Jedni upatrują w tym dramacie tylko satyrę na dzisiejsze nasze społeczeństwo, satyrę o wyniku ujemnym, która nie po-

budza do otrząśnięcia się z wady czy błędnego poglądu, tylko istnienie błędu sprawdza; inni widzą w nim satyrę a zarazem dodatnią pobudkę, ale tę pobudkę bardzo rozmaicie pojmują; inni wreszcie określają ostatnie słowo utworu, nie tyle jako satyrę i pobudkę, lecz raczej jako jakiś rozpaczliwy tragizm, płynący z przepaści, jaka dzieli marzenie o niepodległości ojczyzny od smutnej, a nieprzezwyciężonej, rzeczywistości. Satyra ta, czy pobudka, czy tragizm, zdaniem wszystkich, z których wrażeniami czyto spisanemi, czyto w poufnej rozmowie wypowiadanemi, mieliśmy sposobność się spotkać, ma głównie na oku — sprawę ludową. Sprawa ludowa w stosunku do niepodległości ojczyzny, to ma być główna idea utworu.

Uznając zupełnie wielką rolę, jaką cieszy się w tym dramacie sprawa ludowa, uważalibyśmy jednak naznaczenie jej za ideę główną, jako wielkie okrojenie właściwej myśli utworu, a tem samem za ujęcie jego wartości. Myślimy, że wszystkie dotychczasowe tłumaczenia krytyków, z wyjątkiem dwu bardzo skrajnych i wzajemnie się wykluczających, objaśniają dobrze jakąś cząstkę dramatu, ale są to tylko cząstki, tylko drugorzędne w tym dramacie myśli i momenty, którym na czele inną ideę przewodnią, łączącą je wszystkie w jedną artystyczną całość, postawić należy.

Dla jaśniejszego rozwinięcia tej idei, przypatrzmy się psychologicznej logice utworu.

Jest jeden ustęp w naszej literaturze, dziś nawet pod wiejskiemi strzechami znany, który nam po części tę psychologiczną stronę „Wesela“ tłumaczy. Jest nim muzyka Jankla w „Panu Tadeuszu“. Jak tu poecie wesele, tak tam artyście-muzykowi zaręczyny Zosi są zewnętrzną okazyą twórczości, w tej zaś zewnętrznej okoliczności tak tu, jak tam, tkwi głębszy moment, poruszający duszę artystyczną do tworzenia, moment doniosłości ogólniejszej, narodowej: u muzyka obecność na zaręczynach przedstawicieli napoleońskiej, wkraczającej na Litwę armii, jenerała Dąbrowskiego i innych, obecność zwiastująca lepszą dolę ojczyzny — u poety wypadek, mniej wprawdzie na zewnątrz wspaniały, ale pod względem wewnętrznego rozwoju narodo-

wego wielkiego znaczenia, zbliżenie się przyjacielskie dwu warstw stanowiących naród, warstw dotychczas dość od siebie dalekich. W obydwu wypadkach twórczość podobną przebiega drogę: z jednego doniosłego momentu przechodzi do innych jeszcze szersze znaczenie mających, do dalszych myśli i uczuć i to ze współczesną dolą ojczyzny związanych.

Więc u muzyka brzmi najpierw polonez Trzeciego Maja, wspomnienie na jasną chwilę dziejową, jeszcze od owych czasów niedaleką, pamiętaną jeszcze przez starców obecnych na zaręczynach, kiedy to nastała w Rzeczypospolitej chwilowa harmonia, gdy przy tańcu śpiewano:

Wiwat król kochany!
Wiwat sejm, wiwat naród, wiwat wszystkie stany!

Ale mistrz takty nagli, tony natęża, w harmonię wrzuca gwałtem fałszywy akord, co chwilę do tego fałszywego akordu wraca i zmąca nim melodyę, aż Klucznik myśl mistrza odgaduje i, zakrywszy twarz ręką, woła: „Znam! znam głos ten! to jest Targowica!“

Po Targowicy dalsze wspomnienia, dalszy wylew gorącego serca patryoty, o rzezi Pragi, o tułaczce żołnierzy polskich po wszystkich krańcach świata, aż po chwilę zaręczynom obecną, gdy ci żołnierze napowrót do kraju w jego obronie wracają — i tu już nie wspomnienie, tu już radosne powitanie chwili teraźniejszej, a zarazem zapatrzenie się z błogą nadzieją w przyszłość, marsz tryumfalny: „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Zwracamy uwagę, że zastanawiamy się obecnie tylko nad psychologiczną logiką „Wesela“. Otóż pod tym względem, nie mówiąc już o zewnętrznych podobieństwach, jakieś podobieństwo muzyki Jankla z „Weselem“ jest widoczne. I to nie tylko, o ile pod logiką psychologiczną rozumie się wewnętrzną budowę dramatu, ale także sama podstawa tej budowy, sam rodzaj twórczości, nosi na sobie znamię zbliżone do muzyki, do pieśni, liryczne raczej jak dramatyczne. Sam poeta wkłada instynktownie w usta chochoła przenośnię z muzyki zapożyczoną: „Co się w duszy komu g r a... na wesele przyjdzie w tan“.

Tak się zaczyna ta duchowa muzyka „Wesela“, a ostatni jej ton już wprost rzeczywistą muzyką jest oddany, gdy ironii chochoła towarzyszy muzyka, i to, wedle określenia poety, mająca oddać znaczenie chwili: „leniwa“, „krwawiąca jak rana świeża“.

Tylko, że ta pieśń dramatyczna nie ma we współczesnej sobie epoce, ani Trzeciego Maja, ani tułaczki polskich żołnierzy, ani legionów Dąbrowskiego. Pusto dokoła na polu narodowej sprawy, martwo i głucho. Nie oglądając się nawet za nadzwyczajnemi zdarzeniami, bo te nie są w naszej mocy, nie mówiąc wcale o jakichś zbrojnych przygotowaniach, bo te byłyby dziś szaleństwem, czy to, co jest w obrębie dzisiejszej rzeczywistości możliwem, co jest nawet obowiązkiem, a co nazywa się gorącą a rozumną miłością ojczyzny, pełnym poczucia swej godności i siły narodowym duchem, duchem potężnym, przejawiającym się w czynie na każdem dostępnem mu polu, czy to, wyjąwszy pewne osobistości, czyny i objawy, tak na ogół biorąc, czy to nie zanika, nie obumiera? Czy nie patrzyliśmy w ostatnich czasach na bardzo nawet dosadne objawy tego obumarcia i zgnuśnienia? I to jest jedyny Trzeci Maj tej nowej muzyki Jankla, to jest to, co poeta pod postacią chochoła symbolizuje. Ten chochoł zjawia się na samym początku tej pieśni i na samym jej końcu, on jest tej pieśni alfą i omegą, on jest w oczach poety tym powijakiem, który całą polską sprawę dzisiaj dokoła otacza. Czyż wobec tego może pieśń ta cieszyć się taką wielością odcieni, jak muzyka w „Panu Tadeuszu“, czyż nie pozostaje jej tylko jeden ton, ton boleści, żalu, gorzkiego wyrzutu, sarkazmu — a bolu i sarkazmu nie ujemnego, nie bezowocnego, ale płynącego z wielkiej miłości sprawy. I stąd ból ten i sarkazm nie chce burzyć, ale budować, o tyle tylko rani, o ile to potrzebne do zleczenia, do ocucenia i wskrzeszenia zamierającego ducha. Stąd też płynie, że pierwiastek liryczny tego dramatu wyradza się często w ton kaznodziejski, — rys łatwo zrozumiały w każdym narodowym utworze, widoczny także u Krasińskiego i Ujejskiego, i Ujejski określając zadanie narodowej poezyi wyraźnie każe jej „mówić i głosić“. Ale zaznaczmy też

odrazu dodatni przymiot tego kaznodziejstwa, ten mianowicie, że poeta umie stanąć ponad stronnictwami narodu. O sprawę narodu mu idzie, a nie o interes jednej z jego warstw, i dlatego, jak szlachcie wspomina Targowicę, tak ludowi rzeź 46 roku — zresztą nie tyle szlachtę przeciwstawia ludowi, jak raczej wsi miasto, czyli tak zwaną dzisiaj inteligencyę.

I to jest, zdaniem naszem, idea przewodnia tego dramatu, to jest to, co pod symbolem chochoła i złotego rogu się mieści: żal i sarkazm na zanikanie narodowego ducha i gorąca chęć wskrzeszenia go, potępienie martwoty i przeciwstawienie jej płomiennego hasła, wielkiej, jasnej, miłości ojczyzny, mocnej w sobie i silnej w czynie, miłości, co ożywić może wszystko obumarłe, co spotężnia ducha.

Nie będzie już teraz trudno ukazać jak nasze tłumaczenie uzasadnione jest w przebiegu całego dramatu.

W chwili, w której zaczyna się w tym utworze rozsnuwać ogólniejsza narodowa sprawa, a więc od początku aktu drugiego, zjawia się też odrazu ta idea przewodnia, i to, choć nie w całej potędze, w całej jednak pełności swego znaczenia. Nie trzeba jej dopiero szukać w scenach ostatnich, nie należy też scen poprzednich pojmować, jako przesłanek, z których ostateczny wniosek przy końcu dramatu wypływa. Zresztą tak, jak dotychczas krytyka szereg zjawiających się aż po Wernyhorę widm pojmowała, widma te nie miałyby ścisłej łączności z ostateczną ideą, byłyby tylko jakąś dekoracyą, jakimś luźnym szeregiem wspomnień, myśli i uczuć poety na temat przeszłości i teraźniejszości Polski. A nawet jeżeli za tę naczelną ideę uważa się tak czy owak pojętą sprawę ludową — ten szereg widm byłby niepotrzebnym, bałamucącym tylko, a więc błędnym wtrętem, bo o sprawie ludowej ani słowa niema w rozmowie Stańczyka, ani w rozmowie rycerza z pod Grunwaldu, tembardziej z tą sprawą niema nic wspólnego duch Wojewody, a Szela, chyba materyalnie z nią się łączy, o tyle tylko, o ile jest chłopem.

Budowa więc tego utworu, jest taka, iż jedna i tasama idea, jeden i tensam ton w różnych tylko odmianach ustawicznie

powraca, coś podobnie, jak dzieje się to w mowie chcącej koniecznie poruszyć słuchaczy do jakiegoś czynu, gdzie mowca nie zadowala się jedną pobudką, ale, dla tem pewniejszego zwycięstwa, z różnych źródeł czerpie dowody — wszystkie one jednak mają uzasadnić jedną i tę samą myśl. Tego samego chce Stańczyk, co rycerz z pod Grunwaldu, co i Wernyhora, wciąż rozbrzmiewa walka złotego rogu z głuchą chocholą martwotą. Sceny aktu drugiego i trzeciego, z tą sprawą narodową złączone, przedstawiają nam się, jakby szereg wzgórz, z których ostatnie najwyższe niczem innem od poprzednich się nie różni, jak tylko rozmiarami i potęgą kształtów.

Że Stańczyk gra rolę złotego rogu, a dziennikarz chochoła, po poprzedniem tej rozmowy streszczeniu, nie trzeba już uzasadniać. Jasne jednak światło rzuci następstwo tej rozmowy, jak ta w najgłębszym letargu pogrążona osobistość, zaraz po wyjściu Stańczyka, na chwilę ocucać się i do jakiejś świadomości przychodzić poczyna:

Może z mętów się dobędzie człowieka;
może minie bolączka i głód;
ot kaleka ja, ot ja kaleka:
każdy dzień piekielny trud.
Młodości wyrwij mię z cieśni,
oplatają mię grzyby i pleśni;
o Młodości, jakożeś daleko...

Oto już jakiś chwilowy skutek złotego rogu.

Stańczyk uosabia pobudkę, odzywającą się na widok rozpaczliwego stanu, wobec przepaści, ku której ta martwota prowadzi, rycerz z pod Grunwaldu jest pobudką, zaczerpniętą z pamięci na wielką przeszłość Polski. Mógł zjawić się tak samo rycerz z pod Wiednia — jak wogóle wszystkie te zaziemskie osobistości nie mają w tym dramacie znaczenia same w sobie, jako jakaś galerya typów przeszłości, ale są środkami, służącymi do rozwinięcia współczesnej nam sprawy — nasuwają się one dramaturgowi, tylko jako wspomnienia, ale wspomnienia te są warunkowane ideą obecnej chwili. Ten rycerz niesie wprawdzie poecie „orężną dań“, ale nie w dosłownem znaczeniu, żąda od

niego czynu, ale rozumie pod nim zdolną do czynu miłość ojczyzny, każe mu wprawdzie brać z grunwaldzkiego pobojowiska kopię i miecz, ale też każe mu na tem polu czekać, aż na ogromny głos wstaną umarli i zachrzęszczą zbroje — innymi słowy, usiłuje wyrwać go z marnego świata pięknych słówek, a natchnąć mocą i potęgą narodowego ducha. I tu chwilowe zwycięstwo złotego rogu nad chochołem jest zupełnie widoczne. Poeta woła w podnieceniu: „niedołęga byłem“ — „Polska to jest wielka rzecz“.

Następne dwa widma, Wojewodę i Szelę, pojąć można jako ukazanie następstw, do jakich brak miłości ojczyzny prowadzi a może także, jako potrzebę ekspiacyi za winy przodków wierną służbą ojczyźnie. Pierwszy motyw w zastosowaniu swem do dzisiejszego stanu byłby za silny, bo obojętność nie jest jeszcze zdradą.

Przychodzi kolej na Wernyhorę, ten wcielony od wieku symbol polskiej nadziei i oczekiwania lepszej przyszłości. Pobudka ta najsilniejsza. Gdy ten wieszcz z Ukrainy, co przepowiadał powstanie Polski, wstaje po setce lat z mogiły i jawi się wśród dzisiejszego pokolenia, to już wstaje chyba Polska sama, to już gdzieś na jakichś błoniach musiało zaroić się od kos i żelaziwa, to powiał dokoła Duch, a od tego powiania we wszystkich sercach, najobojętniejszych nawet, resztki tlących pod popiołem obojętności iskier nie mogą nie buchnąć płomieniem. Sama rzeźkość bije od tej postaci, sama moc; nie potrzebuje już ta postać bóść szyderstwem, jak Stańczyk, wzmacniać słowami zachęty, jak rycerz z pod Grunwaldu, samo jej zjawienie wlewa życie, spotężnia ducha, przynosi złoty róg. I tu dramaturg przestaje być kaznodzieją, a staje się natchnionym poetą. Potężna miłość ojczyzny i zapełniający mu serce żal na obojętność ogółu na chwilę się rozdzielają; pierwsza zamienia najtajniejsze marzenie, najgorętsze pragnienie przyszłości w jasnowidzenie teraźniejszości, serdeczną krwią swoją je zabarwia i najczulszą tęsknotą przelśniewa i potęguje jego działanie do najwyższego stopnia po to, ażeby w chwili największego napięcia dusz, gdy już już zdaje się powstawać ojczyzna, tem

dotkliwiej ustąpić miejsca żalowi. I tem ostatecznem zwycięstwem chochoła nad złotym rogiem, po tak podniosłej chwili rozbudzenia ducha, właśnie panowanie martwoty jest najskuteczniej w duszy widzów wstrząśnięte.

A więc jakież ostatnie słowo poety, co jego ostatecznym celem? Czy jakaś negacya lub bezowocny sarkazm? Ależ, pomijając nawet bieg myśli w całym dramacie, samo rozbudzone przy końcu uczucie, pobudzone miłością i nadzieją a dotknięte do żywa sarkazmem, przeciw temu protestuje. Czy jakaś pobudka do gorętszego zajęcia się sprawą ludową? O tem jeszcze poniżej, ale czy już i teraz, bez dalszych wyjaśnień nie jest widoczne, że uczucie to jest ogólne i do wszystkich spraw narodowych się stosuje? Czy celem poety była pobudka do chwycenia za kosy i zbrojnego ruchu? Ależ te kosy i ten zbrojny ruch, jaki widzimy w dramacie, to tylko środek do celu, a nie cel, to tylko symboliczne ukazanie przyszłości i ukazanie utraty tej przyszłości po to, aby dniom dzisiejszym zohydzić tyranię chochoła.

Wszystkoby było, gdyby nie utrata złotego rogu i przymieranie narodowego ducha, i wszystko będzie, gdy zniknie chochoł i zjawi się złoty róg — bo duch, tak czy owak, prędzej czy później, zawsze zwycięża — oto myśl i uczucie, z jakiem zamyka się tę książkę.

Wejdźmy jeszcze bliżej w szczegóły tej myśli. Kto i jak w szczególności jest pod władzą chochoła, kto winien utraty złotego rogu — wieś, czy miasto, lud, czy warstwa wyższa?

Każda myśl o przyszłości ojczyzny, a więc i każda narodowa pieśń w tę przyszłość zapatrzona, musi z natury rzeczy uwzględnić dwa czynniki: siłę materyalną i siłę duchową narodu. Wyraził to dość dobrze Ujejski w przytoczonym już raz wierszu:

> Pieśń polska, niepodległa, ta co jeno wierzy
> w Boga, w ducha narodu i w jego rycerzy.

Ufność w pomoc bożą i silny duch narodowy to siła duchowa — rycerstwo stające do walki, to materyalna moc.

Dwie te siły ma na oku i ten dramat.

Najoczywistszą i niepotrzebującą dłuższego uzasadniania jest w tym dramacie ufność w pomoc bożą. I ten Archanioł, mający się zjawić z Wernyhorą i Matka Boża, pisząca skrypt na wawelskim tronie, i złoty róg, który przez Wernyhorę zsyła „Jasny Bóg“, to wszystko jest silnym wyrazem tej ufności. A rycerstwo i duch narodu?

Najpierw rycerstwo. Jeszcze przed wiekiem, gdy Kościuszko po bitwie racławickiej powołał lud do broni, deputacya szlachty, w najlepszej wierze, że sama da radę, błagała go „aby nie odrywał włościan od robót wiosennych“. Nie miejsce po temu, aby wyłuszczać późniejsze przemiany społeczne, zwłaszcza cały rozwój idei ludowej, dość, że faktem jest, iż ofiarowana ludowi przez poetę rola dawnego rycerstwa, jest tylko odźwierciedleniem myśli, jaka społeczeństwo już od dawna przenika. Ale to dotychczas myśl, ideał — do uświadomienia narodowego jeszcze daleko.

I tu jeden szczegół dramatu jasne na ideę przewodnią rzuca światło. Na lud patrzy poeta z miłością, ale w ogólności nie przesadza w optymiźmie. Widzieliśmy już powyżej, jak upatruje w nim „wiele z Piasta“, jak zachwyca się godnością jego i przejęciem się ważnością każdego czynu, ale też przedstawia i jego rubaszność i poziome instynkty, a nawet dzikość: „tylko im zabłysnąć nożem, a zapomną o Imieniu Bożem“. Wobec tego może na chwilę zdziwić ta świadomość narodowa ludu, jaką w tym dramacie widzimy. Czyżby poeta w tym względzie się łudził? Jeszcze taki Czepiec jeden, choćby i kilkunastu w jakiejś okolicy, istnieć mogą i może istnieją, przypuśćmy nawet, że cała wieś jest taka, jak niejednokrotnie z chełpliwością zapewnia Czepiec. Ale gdy w ostatnich scenach już mowa jest o powstaniu, gdy to powstanie ma być dokonane głównie siłą ludu, to ci kosynierzy, zapełniający podwórze i błonia, symbolizują cały lud polski, a przynajmniej wielką jego część, bo chłopami z kilku wsi Polska nie wstanie. Czyżby więc poeta na tyle nie znał stosunków, by mógł u całego polskiego ludu, a przynajmniej u wielkiej jego części ten zapał dla narodowej

sprawy, a choćby narodowe poczucie, przypuszczać? Z pewnością — nie. Przecież, w tym samym dramacie, panna młoda, a więc z tej samej wsi co Czepiec, opowiedziawszy sen, jak wiózł ją ktoś w karecie do Polski, pyta z naiwnością: „A kaz tyz ta Polska, a kaz ta?“

Idea, w takiem przedstawieniu kryjąca się, może być tylko ta jedna: jeżeli przyszłość sprawy polskiej budzi obawę, to obawa ta nie płynie z braku siły materyalnej, bo jest lud i ten lud jest materyałem do zdobycia łatwym. Tę siłę materyalną w tym dramacie widzimy, kosynierzy są, a jednak wszystko obraca się w niwecz. Dlaczego? Bo brak drugiego czynnika, siły duchowej, narodowego ducha, bo zginął złoty róg.

Jest oczywistem, że duch narodowy, jak w ogólności każda idea, musi istnieć wprzódy w warstwie oświeconej, zanim się nieoświeconej udzieli. Widzieliśmy już, jak cały dramat do obudzenia tego narodowego ducha dąży, i jak to dążenie poety wyłącznie w stronę warstwy oświeconej się zwraca. Już na samym początku dramatu dworuje Czepiec:

A jak myślę, że panowie
duza by już mogli mieć,
ino oni nie chcą chcieć!

A potem cały szereg widm wyłącznie ludziom z miasta się zjawia — jedno tylko widmo Szeli ukazuje się staremu dziadowi, ale dziad ten nie gra żadnej roli, jak w ogólności starego dziada nie można brać w żadną społeczną rachubę. I jaki skutek? Po chwilowem wrażeniu wszyscy ci panowie wracają do swobodnej, potocznej rozmowy o sonetach, o felietonach, jak gdyby nic nie zaszło — na nowo wracają pod panowanie chochoła. Nawet ten idealny gospodarz, w którego ręce cała sprawa jest złożona, który wielkością tej sprawy tak bardzo jest przejęty, który duchową misyę Wernyhory tak dobrze pojmuje i tak trafnie ją określa:

Jego siła mnie urzekła:
Duch narodu!

nawet on po drzemce o całej sprawie zapomina. Trzeba dopiero całego szeregu zewnętrznych pobudek i nadzwyczajnych zjawisk, trzeba długiego wewnętrznego szamotania się, by przypomniał sobie na obietnicę Wernyhory. Spełnienie tej obietnicy zależało od dźwięku złotego rogu, i Wernyhora, dając ten róg gospodarzowi, dwukrotnie zaznacza, że jemu ten róg daje, że w jego ręce go składa. Czyż nie jest to wina gospodarza, że ten róg oddaje pierwszemu lepszemu parobkowi, czyż tak kosztownego talizmanu, od którego wszystko zależy, nie należało samemu strzec? Trafny to symbol, choć niewątpliwie za sztuczny, tego stanu duchowego inteligencyi, która powiedziawszy sobie że przyszłość Polski jest w ludzie, jemu ją zostawia, a sama tą sprawą nie wiele się zajmuje. I cóż dziwnego, że parobek nieopatrzny, który do wysokości tej idei jeszcze nie dorósł, którego zajmują jeszcze drobnostki, pawie pióra, po czapkę z pawiemi piórami się schylając, ten róg gubi? Materyalna wina jest w parobku, ale właściwa w tym, co róg dał. I kiedy chochoł znęca się sarkastycznie nad „chamem“, to ten cham jest tylko kozłem ofiarnym, a sarkazm tem dotkliwiej godzi w tych, co właściwą winę ponoszą.

Utrata zatem złotego rogu i panowanie chochoła, a zatem i naczelna idea, materyalnie odnosi się do wsi, formalnie, bezpośrednio i właściwie do miasta.

W ten sposób cała symbolistyka byłaby rozwikłana i idea przewodnia wykazana wystarczająco. Następstwem już tej idei, tej pobudki do rozbudzenia narodowego ducha, są różne kierunki, w których ten duch dążyć powinien. Jeden taki kierunek, i to najgłówniejszy, jest wskazany w samym dramacie, a jest nim praca nad ludem.

Objęcie idei tego dramatu nie dokonywa się w jednej chwili. Zbyt wiele tu symbolistyki i to bardzo sztucznej, zbyt wiele mieszania się tej symbolistyki z rzeczywistością; mąci nadto jasność mnóstwo ubocznych szczegółów, i to nie zawsze należycie sharmonizowanych z całością.

Utwór sceniczny, tak ważną ideę poruszający jest tak doniosłym objawem, że niezależnie od literackiej wartości, samą

tą ideą narzuca się baczniejszej uwadze. Najżywotniejsze to przecież sprawy naszego społeczeństwa. To, co w tej idei, musi być przez wszystkich za dodatni objaw uznane, było punktem wyjścia w naszej pracy, do roztrząśnięcia innych jej szczegółów wrócimy pod koniec.

IV.

Technika tego dramatu jest zupełnie niezwykła, i w głównej swej istocie zupełnie nowa, i to nie tylko w naszej, ale i w powszechnej literaturze.

Gdybyśmy za pokrewieństwem — że po drodze sprawy literackiej zależności dotkniemy — w dzisiejszej zagranicznej dramaturgii, tak obfitej w próby nowych form, szukać chcieli, znaleźlibyśmy zaledwie kilka ubocznych szczegółów podobnych. W którymś z dramatów Wagnera spotyka się podobną chwilę natężonego oczekiwania, jaką tu pod koniec utworu widzimy; współczucie natury z wypadkami ludzkiego życia, przejawiające się niezwyczajnemi zjawiskami w powietrzu, na niebie i obłokach, ma niewątpliwy związek z utworami Maeterlincka; u Haupmana znowu widzi się zastosowaną tu fakturę przedstawiania mas krótkimi dyalogami kilku osób. Ale tak ten szczegół Hauptmana, jak i cudowność i ideowość w jego dramatach, u Wyspiańskiego z innych źródeł, czysto rodzimych, płynie.

W obecnej naszej literaturze nie znajdujemy nic podobnego; we współczesnem tylko malarstwie jest jeden symboliczny obraz Malczewskiego, który tę samą prawie sytuacyę przedstawia, jaką widzimy tu w chwili, gdy Jasiek po zgubieniu rogu powraca i zastaje wszystkich weselników w podniosłem zaczarowaniu.

Za to z poprzednich naszych epok odnaleźć można w tym dramacie pewne oddźwięki i reminiscencye. Stańczyk i Wernyhora zapożyczeni u Matejki. Z Mickiewicza, prócz wspomnianej powyżej muzyki Jankla, odczuwa się pewne reminiscencye z „Dziadów“: na początku aktu drugiego dziewczę przykręcające lampę przypomina dziewczynę przy świecy na początku pierwszej części „Dziadów“, jak znowu w scenie dziewiątej

trzeciej części „Dziadów“ widzi się wiele rysów wspólnych z widmem narzeczonego, zjawiającem się wiejskiej kobiecie. Ton, nastrój i pewien rytm formy, przypominają z daleka Słowackiego „Księdza Marka“. W samym pomyśle dramatu jest jakaś analogia z „Irydionem“ — ale w czem głównie zbliża się autor „Wesela“ do Krasińskiego, a tem samem i do Ujejskiego, to w poruszeniu współczesnej sobie sprawy narodowej, z podobną siłą uczucia, jaka znamionowała tamtych, z tem samem nawet wypadaniem z tonu poetycznego w ton kaznodziejski.

Wszystko to jednak pokrewieństwa tylko, lub zależności w szczegółach.

Wystarczająco już rozpatrzyliśmy poprzednio to, co się nazywa psychologiczną logiką dramatu, a co jest jakby duchowym jego szkieletem, wejrzyjmy teraz, jakie są główne linie, wypełniającej ten szkielet, formy.

Istotę techniki tego dramatu usiłowano już podciągnąć pod nową formę, zjawiającą się na Zachodzie, pod tak zwany dramat psychologiczny. Jakieś uzasadnienie takiego sądu spoczywa w tem zewnętrznem podobieństwie, że tak w „Weselu“, jak w każdym psychologicznym dramacie, chodzi o coś innego, jak o zewnętrzne czyny. Jest jednak ta wielka różnica, że istotnym przedmiotem dramatu psychologicznego są wewnętrzne pobudki czynów, innemi słowy, analiza psychologiczna, a „Wesele“ w całym swoim przebiegu, nic wspólnego z analitycznym pierwiastkiem niema. Pierwiastek jego duszę stanowiący jest na wskróś liryczny. I ten pierwiastek liryczny, a zarazem na wskroś rodzimy, a rodzimy nie tylko w idei, ale i w głównych zarysach faktury, uniemożliwia podporządkowanie tego utworu pod jakąkolwiek z istniejących już kategoryj, czy tą kategoryą będzie dramat psychologiczny, czy fantastyczno-ideowy, jakim naprzykład jest „Zatopiony dzwon“ Hauptmana. Chyba, że mowa tylko o jakiemś podobieństwie.

Czy nie odczuwa się w tym dramacie jakiejś chęci stworzenia odrębnego dramatu polskiego? Że autor w ogólności jakiejś nowej formy szuka, widziało się to już w poprzedniej jego twórczości; raz jakieś nieokreślone mgławice, to znowu próby

przystosowania do naszej literatury dramatu greckiego. Jeżeli do poprzednio pomienionych rysów tego utworu, zaczerpniętych z polskiego malarstwa i literatury, dodamy dźwięczącą tu i owdzie w tym dramacie pieśń ludową, zwłaszcza, jeżeli zwrócimy uwagę, że cała forma dramatu przypomina tak bardzo formę ludowych jasełek, będziemy mieli już pewien zbiór szczegółów, dających wiele do myślenia. Jeżeli zaś te szczegóły, a nadto liryczno-fantastyczny charakter dramatu, zestawimy ze słowami Mickiewicza, w których określa przyszły dramat słowiański, znajdziemy w tych słowach jakiś drogowskaz, za którym może podążał dramaturg. Dramat słowiański, pisze Mickiewicz, „powinienby być lirycznym i przypominać urocze dźwięki pieśni gminnych; powinienby naśladować opowiadania, jakich wyborny wzór mamy w opowiadaniach Serbów i Czarnogórców; powinienby przytem przenosić nas w świat nadziemski“... dramat ten nadto powinien „dotknąć najżywotniejszych uczuć i pojęć“. Zaznaczmy także, że w tem samem miejscu wskazuje Mickiewicz na misterya średniowieczne, a więc i na nasze jasełka, jako na „rudymenta“ nowoczesnego dramatu, i potępia dramat francuski za to, że od tego kierunku misteryów odwrócił się ku klasycyzmowi.

Cała sprawa dramatu polskiego, czy słowiańskiego, tak jest nieokreślona, i przez samego Mickiewicza tak tylko ogólnikowo narzucona, że trudno w tej chwili o jakikolwiek jaśniejszy sąd w tej sprawie. Musimy się zatem zadowolić na zaznaczeniu odniesionego wrażenia.

Wrażenie to swojskości formy zawdzięcza dramat głównie jasełkom. Pamiętamy od młodości wszyscy ten zbiór epizodów, odnoszących się do najróżniejszych spraw; każdy z tych epizodów w jednej krótkiej scence, w scenkach takich widzimy różne postacie: chłopów, żydów, Krakowiaków, Kozaków i t. d. Pomiędzy tymi epizodami przewija się akcya, odnosząca się zazwyczaj do Heroda i rzezi niewiniątek, a zakończona mocowaniem się Heroda ze śmiercią i wywleczeniem go z widowni przez dyabła. Otóż w gruncie rzeczy ten sam układ jest i w „Weselu“. Mnóstwo osób o tem i owem rozmawiających, sceny krótkie

nie wiążące się rzeczowo, na scenie, jak w jasełkach, widzimy zwykle tylko dwie osoby, te dwie osoby wyjdą, zjawią się inne dwie, i tak w kółko. Możnaby nawet w szeregu widm „Wesela“ ujrzeć literackie przetworzenie śmierci, mocującej się z Herodem, i dyabła, z jasełek — co wcale nie przeszkadza wskazanej poprzednio przez nas innej analogii. Takimi krótkimi dyalogami dwu, rzadko trzech, osób wypełniony jest akt pierwszy, drugi i połowa trzeciego, i tam dopiero zaczyna się akcya dramatyczna, nawiązana już pod koniec aktu drugiego przez Wernyhorę.

Nieokrzesaność jasełek ujęta jest tu jednak w jakąś artystyczną jedność. Luźność aktu pierwszego uzasadniona jest samą naturą wesela, akt drugi i trzeci, złączone ideowo z aktem pierwszym, mają swój wewnętrzny, psychologiczny związek. Cały utwór przedstawia jedną całość w ten sposób, że najpierw uroczystość weselna pojęta jest jako tło, jako szerokie pole, na którem rozgrywa się narodowa sprawa i, jako takie, rozciąga się na wszystkie trzy akty, głównie zaś dlatego, że, zamykająca ten utwór, akcya dramatyczna łączy w sobie pierwiastki realne aktu pierwszego z ideowymi aktu drugiego — wskutek też tego staje się symboliczną. Dołem ciągnie rzeczywiste wesele ze swoją chłopską muzyką, górą, wywołana niem, duchowa muzyka Jankla; dwie te muzyki płyną jakiś czas obok siebie, aż w końcu łączą się w jedną, akompaniującą chochołowi, z jednej strony rzeczywistą, z drugiej odnoszącą się do idei przewodniej, symboliczną w rezultacie.

Muzyka Jankla na tle jasełek — takbyśmy określili technikę tego dramatu.

To, co w tym utworze jest właściwym dramatem, zaczyna się od połowy aktu trzeciego. Akcya ta dramatyczna przedziwna, bo odbywa się samymi symbolami i wszystkich uczestników wesela, a więc osoby rzeczywiste, w symbole zamienia. Cała ta misterna konstrukcya postawiona jest z wielką pewnością siebie i przedstawia się bardzo scenicznie. Pierwszy to chyba wypadek, by arcytrudne przedsięwzięcie zamienienia uczuć i myśli w dramatyczną akcyę, wypadło tak pomyślnie.

Ta ostatnia część utworu jest niewątpliwie sceniczną — czy taka jest i całość? Myślimy, że nikt już dzisiaj nie będzie oceniał sceniczności tego rodzaju utworów miarą starszej dramaturgii, bo z zamiaru autorów, mają być czem innem. „Wesele“ też właściwie nie dramatem, ale dramatycznym poematem nazwaćby wypadało. Kwestya więc sceniczności schodzi do pytania, czy poemat ten na scenie może zająć i sprawić wrażenie? W ogólności, dało już na to odpowiedź niezwykłe jego powodzenie na teatralnych deskach, daje też tę samą odpowiedź sama osnowa, a zwłaszcza obfitość silnych i działających na wyobraźnię momentów. Odpowiedź bliższa łączy się już z nieomawianą jeszcze przez nas sprawą artystycznego wykonania szczegółów.

(Dok. nast.)

Ks. J. Pawelski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Moralność chrześcijańska a Etyka najnowsza. Studyum. Napisał *ks. Dr. Stanisław Narajewski*, nadzwyczajny profesor c. k. Uniwersytetu lwowskiego. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1901. (W 8-ce. Str. VII, 280, III).

Bogatym nabytkiem może pochlubić się nasze piśmiennictwo filozoficzne, dzięki księdzu Narajewskiemu. Jego książka zapełnia dotkliwą lukę, bo na tle pojęć etycznych społeczeństwo nasze często słyszy wywody, pozbawione wszelkiej powagi naukowej, a nie posiadało przystępnego źródła, z którego mogłoby czerpać prawdę, opartą na filozoficznych dowodach. Wymienione „Studyum“ dostarcza takiego źródła: nie tyle stanowi przyczynek pożądany dla samej wiedzy etycznej w jej rozwoju naukowym, ile zaspokaja potrzebę ogółu czytelników światłych, którym pospolicie w zakresie etyki brakuje zasad wyrobionych rozumnie. Szkolne podręczniki etyki przynoszą dla młodych umysłów dość światła w tym przedmiocie, ale nie wystarczają i nie zastąpią dzieł, pisanych stosownie dla dojrzałego umysłu. Więc nieraz chcielibyśmy polecić przystępną książkę osobom zachwianym w swoich poglądach, skutkiem nawału zarzutów, ciągle podnoszonych przeciw etyce chrześcijańskiej, a trzeba było wskazywać dzieła w obcych językach i ze wstydem dotychczas wyznawać, że po polsku jeszcze niczego stosownego nie mamy.

Zamiar autora nie wymagał od niego pracy właściwie samoistnej, którąby z nowego stanowiska roztrząsała jedną po drugiej zasadę etyczną i ze wszystkich ułożyła całość jednolitą: wystarczyło autorowi

zrozumiale i umiejętnie zdać sprawę z dobytku wiedzy, zebranej przez zawodowych badaczy, przejść wytyczne zasady i ze szczególnym naciskiem podnieść te prawdy, w które najsilniej uderzają przeciwnicy nauki chrześcijańskiej.

Autor umie pisać bardzo zrozumiale i przystępnie. Do przejrzystego przebiegu wywodów służy mu sposób wykładu, zgodny z przepisami nowożytnej nauki, a mianowicie: autor zwykle nie rozpoczyna rozdziałów od ogólnego określenia, z którego wysnuwał oderwane dowody: zamiast dedukcyi mniej zrozumiałej dla zwykłego czytelnika, autor zaczyna od opisu szczegółowych objawów życia obyczajowego, czerpanych bądź ze spostrzeżeń codziennych, bądź ze świadectwa dziejów, i tą drogą indukcyi wprowadza filozoficzne pojęcia etyczne i kojarzy je w zasady i pierwsze prawa moralne. Oczywiście tym sposobem nie nuży ani nie wtłacza w jego umysł poglądów z góry upatrzonych, ale barwnym opisem wypadków rzeczywistych skupia uwagę czytelnika i idzie z nim razem po drodze, którą najłatwiej można dojść do pojęć jasnych i wyrobionych zasad etycznych.

Jak w osobnych rozdziałach, tak w całym układzie książki znajdujemy ciągle rozprawy szczegółowe przed poglądami ogólnymi. Stąd układ książki odchodzi od przyjętego od paru stuleci porządku w podręcznikach etyki, który na początku podaje część ogólną a w drugiej części rozbiera szczegółowe przepisy obyczajowe. Za zmianą tego porządku — w książce pisanej dla ogółu — przemawia uwaga na drogę obraną przez krzewicieli etyki niezależnej. W ich pismach przeziera myśl, zręcznie zastosowana do wrodzonego ludziom popędu, żeby naprzód nabywać wiedzę o ciekawych szczegółach, a następnie wyrabiać o nich pogląd ogólny. Zwolennicy etyki niezależnej nie zaczynali przemawiać do społeczeństwa mglistymi opisami etyki ogólnej, ale przedstawiali dość barwne obrazy pierwotnego stanu ludzi, rzekomo dzikich, rozpasanych na chucie zwierzęce, bez sumienia i wstydu, następnie miały powstać węzły społeczne i stosunki obyczajowe, z początku oparte na trwodze przed bóstwami, czczonemi w bałwanach, potem nastąpił rozwój pojęć, który przeszedł przez dobę jedynobóstwa i doszedł dziś do „światopoglądu oczyszczonego z przesądów o bóstwie i stanowi etykę niezależną“.

Aby odpowiedzieć takim pisarzom, autor przywiódł zdobycze najnowszej nauki dziejów, które spotyka w pierwotnym stanie człowieczeństwa pojęcia obyczajowe, objawiane jak najoczywiściej i w całej pełni; po dobie pierwotnego zdrowia moralnego człowiek zapada w cho-

roby coraz gorsze i obrzydliwsze, a z tego upadku moralnego wyjść nie może, póki nie zaczerpnie sił z chrześcijaństwa i jego etyką nie wyleczy serca z niemocy.

Więc autor przywołuje obrazy z księgi dziejów na świadectwo, że młody ród ludzki w świetle prawa przyrodzonego dążył do cnoty i szlachetnie strzegł każdego przepisu, objętego później, w czasach Mojżesza dziesięciorgiem przykazań. Na tle każdego z tych obrazów czytelnik uświadamia sobie istotę każdego przykazania i zdaje sobie sprawę z jego potrzeby wewnętrznej, z powagi przyznawanej każdemu z nich przed wiekami, nakoniec z upadku człowieczeństwa, które usiłuje mętnymi wywodami zaślepić rozum i stłumić w sercu popędy obyczajowe. Tym sposobem pierwsza część książki zdaje sprawą z dziesięciorga przykazań.

Po tych wywodach uchwytnych autor przechodzi w drugiej części do pojęć oderwanych i wywodzi naukę o wolnej woli, o różnicy między obyczajnym czynem a nieobyczajnym, o sumieniu i istocie prawa przyrodzonego.

Tak więc autor nie przez samoistną pracę znalazł treść swojej książki, ale rozwinął tę treść zupełnie samodzielnie i okazał w sobie myśliciela, który zdoła umiejętnie zdać sprawę z niebezpieczeństw etyki niezależnej i zbudować wyborną tamę przeciw powodzi nowoczesnych pojęć niechrześcijańskich. W te pojęcia godzi pociskami ostrymi: nie rozwodzi długich nauk, ale jakby od niechcenia rzuca w dwóch słowach uwagę, przed którą pryska wywód przeciwnika. Ostrza tych uwag spadają na etykę niezależną jakby z innego świata, jakby nie pochodziły z ręku pisarza, który oddycha od dzieciństwa powietrzem naszego wieku i w nowoczesnych szkołach spędził lata młodzieńcze. W szkołach naszych większa część podręczników i liczny zastęp nauczycieli przy wykładzie dziejów albo nauce języków starożytnych lubi wynosić cnoty bohaterów Homera i Sofoklesa, podziwia zmysł moralny we frazesach Cycerona albo w dowcipach satyryków. Umysł nasiąknięty temi pochwałami cnót pogańskich traci oko na przepaść, jaka dzieli chrześcijańskie obyczaje od etyk pogańskich w starożytnym świecie i od etyki niezależnej w naszym świecie bezwyznaniowym. Aby tej różnicy w duszy nie zatrzeć, trzeba bardzo ściśle i samodzielnie myśleć a nie ulegać rozpanoszonym dziś poglądom. Autor zna te zachwyty nad etyką niechrześcijańską, ale ocenia je ze stanowiska zdobywanego zwykle przez długą a zwycięską walkę ze sobą, nieznaną poza chrześcijaństwem: z tego stanowiska widzieć można jaskrawe przeciwieństwo

między ubóstwem pogańskiego świata w zakresie pojęć obyczajnych, a wspaniałem bogactwem cnót w żywocie prawego chrześcijanina.

K. C.

Zasadnicze pojęcia dydaktyki i logiki dla użytku w seminaryach nauczycielskich i w nauce prywatnej. Napisał *Dr. Kazimierz Twardowski*, profesor Uniwersytetu Lwowskiego. Lwów 1901. (Str. 224).

Wielką przysługę oddał prof. Twardowski naszym nauczycielom przez napisanie tego podręcznika, który odznacza się zwięzłością i bogactwem treści i jest pod niejednym względem lepszy od używanej dotychczas w naszych seminaryach „Dydaktyki“ ś. p. Mieczysława Baranowskiego. Znać tu na każdej stronicy filozofa, gruntownie obeznanego z przedmiotem i rozważającego starannie każdą myśl, którą wypowiada. Umie on wszędzie uwydatnić to, co najważniejsze dla szkoły, co przyczynia się w pierwszym rzędzie do osiągnięcia jej celu. Główny więc kładzie nacisk na stronę wychowawczą pracy nauczycielskiej, przestrzega przed lekceważeniem religii i zaleca pedagogom świeckim, żeby postępowali zgodnie z duchowieństwem (p. 340, 341, 359). Jest to tem bardziej godne pochwały, że w szkołach państwowych spycha się niestety zwyczajnie sprawę wychowania na plan drugi i poprzestaje się na udzielaniu przeróżnych wiadomości mniej lub więcej potrzebnych.

Bardzo trafne są dalej wskazówki, dotyczące wykształcenia umysłowego działwy; wyborne są §§ o „doniosłości kształcenia formalnego“, o „ćwiczeniu“, o „znamionach i warunkach skutecznej nauki“, o „przystępności“ i „praktyczności“ nauki, o „współdziałaniu uczniów“ i t. d. (ss. 172—208), o „toku analitycznym i syntetycznym, indukcyjnym i dedukcyjnym“.

Także o zarysie logiki elementarnej, który zajmuje znaczną część podręcznika (od str. 13—93), nie waham się powiedzieć, że jest to cenny nabytek dla naszej ubogiej jeszcze literatury filozoficznej. Unikając owego suchego, bezdusznego formalizmu, który tak wielu zniechęca do logiki, uczy autor myśleć i rozróżniać prawdę od błędu. Zaczyna całkiem słusznie od sądów, określa warunki prawdziwości sądów nieoczywistych, dalej przechodzi do „zasad i głównych form rozumowania“, rozróżnia „rozumowanie bezpośrednie i pośrednie, pewne i prawdopodobne“. Potem traktuje o wnioskowaniu i dowodzeniu, a dopiero w rozdziale V zastanawia się nad pojęciem i jego właściwościami. Z nauką o pojęciu łączy rzecz o definicyi i podziale. Niema

tu owych zbytecznych subtelności logiki „formalnej“, która nie troszczy się wcale o prawdę „materyalną“ swych sądów i wniosków, ale raczej całe przedstawienie rzeczy zmierza do tego celu, żeby uwydatniło się zuaczenie logiki dla nauki i dla życia praktycznego.

Nie mogę jednak zgodzić się na wszystko, co ten zarys logiki zawiera. I tak nie przemawia mi już do przekonania sposób, w jaki autor rozróżnia pojęcie od wyobrażenia. Zalicza on jedno i drugie do klasy zjawisk duchowych, którą oznacze mianem „przedstawienia“ (tak tłumaczy wyraz niemiecki *Vorstellung*) i twierdzi, że „przedstawienie jest wyobrażeniem, jeżeli przedstawiamy sobie przedmiot takim, jakim go spostrzegamy lub spostrzegaliśmy lub jakim moglibyśmy go spostrzegać, gdyby on istniał i gdybyśmy się wobec niego znaleźli. Wyobrażamy więc sobie wszystko to, co z otaczającego nas świata jest albo było albo mogłoby być dostępne naszemu spostrzeganiu... Przedstawienie jest pojęciem, jeżeli przedstawiamy sobie takie przedmioty, których nie możemy sobie wyobrazić, ponieważ nie spełniają przytoczonych właśnie warunków. W pojęciach przedstawiamy sobie tedy Boga i nieskończoność, atom i punkt matematyczny, wszechświat i nicość“ (p. 115).

A więc, według autora, niema różnicy istotnej między wyobrażeniem a pojęciem, ale jest tylko faktem, że w umyśle ludzkim powstają „przedstawienia“ rzeczy spostrzegalnych i niespostrzegalnych. Wypowiedział on już swoje zapatrywanie na tę kwestyę w rozprawie p. n. „Wyobrażenia i pojęcia“ (Lwów 1898, str. 151. Por. ocenę tej rozprawy, zamieszczoną w tym samym roku przez ks. Nuckowskiego w *Przeglądzie Powszechnym*), którą muszę tu uwzględnić dla lepszego wyjaśnienia rzeczy. Dr. Twardowski przyłącza się do Mill'a, Taine'a, Ribot'a i innych myślicieli czasów najnowszych, którzy nie chcą przypuścić osobnej czynności umysłowej, różnej od kojarzenia się wyobrażeń, tworzącej pojęcia. Według niego „wszelkie pojęcia muszą się dać sprowadzić do wyobrażeń“ (str. 27) a mianowicie pojęcie ma być pewnego rodzaju „kompleksem wyobrażeń“, który „wyróżnia się od innych kompleksów tem, że przynajmniej jeden ze składników, do kompleksu należących, być musi wyobrażeniem sądu“ (str. 76). A więc nawet sądy możemy sobie „wyobrazić“!

W podręczniku niniejszym nie są te materye wyłuszczone dokładniej. O sądzie czytamy tylko (w ustępach 27 i 29), że kto chce wydać sąd o jakimkolwiek przedmiocie musi „mieć w sobie wyobrażenie albo pojęcie tego przedmiotu“ i jakieś o nim „przekonanie“.

A więc do wydania sądu nie trzeba wcale pojęć, ale wystarczą same wyobrażenia? — Autor ma tu zapewne na myśli sądy o rzeczach, których wyobrażenia posiadamy, jak np. „drzewo jest zielone“ — „śnieg jest biały“; — jednakowoż jestem przekonany, że trzeba przyznać słuszność tym myślicielom, którzy i w takich sądach upatrują łączenie pojęć, a więc coś całkiem różnego od wyobrażeń. Kto bowiem wydaje sąd: „Drzewo jest zielone“, musi być świadom faktu, że istnieją w przyrodzie twory, mające pewne własności wspólne i objęte nazwą: „drzewo“ i musi odróżniać od innych własności tych tworów barwę zieloną, czyli musi mieć te dwa pojęcia i zdawać sobie sprawę z tego, że one mają być połączone, jeżeli mamy wydać o drzewie sąd prawdziwy. Wyobrażenie zaś drzewa zielonego jest tworem umysłowym innego rodzaju, bo reprezentuje zawsze tylko jednostkę większych lub mniejszych rozmiarów, posiadającą kształt dębu, albo sosny lub brzozy i t. p., kiedy przeciwnie w zakres pojęcia drzewa wchodzą wszystkie jednostki tej klasy, jakie są możliwe, a treść pojęcia obejmuje wszystkie znamiona istotne, które w każdem drzewie rozpoznajemy. Prawda, że i w tym wypadku i w wielu innych nie możemy wymienić owych znamion istotnych, które każda jednostka pewnego gatunku posiadać musi, jeżeli ma być do niego zaliczoną, ale to nam nie przeszkadza w odróżnianiu drzew od wszystkich innych tworów przyrody. Podobnie jak drzewo, tak ma i barwa zielona swoje znamię istotne, które nie da się określić słowami, które jednak rozpoznajemy we wszystkich jej odcieniach, i właśnie dlatego jesteśmy przeświadczeni, że musimy drzewo nazwać „zielonem“, dopóki jest okryte liściem nie pożółkłym.

Albo weźmy jeszcze inny przykład: czy do wydawania sądów jakichkolwiek o tym lub owym zegarze nie potrzeba pojęcia zegaru, lecz wystarczy mieć wyobrażenie tego przedmiotu? Czy tu nie trzeba odróżniać cechy istotnej, którą jest ta właściwość zegaru, iż on stanowi przyrząd do mierzenia czasu, od wszystkich znamion nieistotnych, jak postać zewnętrzna, wielkość, barwa, materyał, z którego zegar jest zrobiony i t. d.? Można przecież oglądać tysiące zegarów i posiadać w pamięci ich wyobrażenia, a jednak nie wiedzieć, co nazywamy „zegarem“; nie wiedzą tego ani zwierzęta, ani małe dzieci, bo im brakuje pojęcia tego przyrządu.

Trzeba więc, mojem zdaniem, uznać w pojęciu składnik czyli przedmiot myśli całkiem różny od wyobrażenia, w „myśli“ zaś (czyli w „sądzie“) akt umysłowy, w którym zdajemy sobie sprawę ze stosunku, zachodzącego między dwoma (lub kilku) pojęciami i przyzna-

jemy (lub odmawiamy) przedmiotom pewne znamiona albo istnienie w ogólności. Kiedy np. stwierdzam, że już „słońce zaszło“, nie jest to połączenie dwóch wyobrażeń, ale raczej zdaję sobie sprawę z tego, że pojęcie „słońca“ i „zachodu“ muszę zestawić, jeżeli mam wypowiedzieć prawdę o zjawisku przyrody, o którem uwiadamiam słuchacza. Jest wprawdzie różnica pomiędzy sądem, polegającym na spostrzeżeniu, a innymi, które odnoszą się do rzeczy niewidzielnych, ale wszystkie sądy są aktami umysłowymi, które różnią się całą istotą swoją od kojarzenia się wyobrażeń.

Mówiąc o sądach „pewnych i prawdopodobnych“ (str. 16), nie wspomina autor nic o trzech rodzajach pewności (fizycznej, absolutnej i moralnej), bo widocznie uznaje tylko pewność absolutną; w każdym razie nie istnieje dla niego pewność „fizyczna“, bo wszystkie sądy, oparte na spostrzeżeniach zmysłowych, zalicza do sądów „prawdopodobnych“, dodając: „Wszak wiadomo, że spostrzeżenia te mogą być złudne; można więc o ich prawdziwości wątpić“. To jednak twierdzenie nasuwa bardzo poważne zarzuty: Kto raz przyjmie zasadę, że wszystkie spostrzeżenia zmysłowe mogą być złudne, musi dojść w dalszej konsekwencyi do wniosku, że można wątpić o wszystkiem, o czem dowiadujemy się za pośrednictwem zmysłów, a więc i o faktach, na których opiera się umiejętność doświadczalna. A przecież to nie da się pogodzić ani z rozumem ani z religią. Każdemu wprawdzie wiadomo, że bardzo często zdarzają się złudzenia i halucynacye, ale pomimo tej wiadomości, jesteśmy w warunkach normalnych zupełnie pewni istnienia przedmiotów, które widzimy, a zwłaszcza tych, które mamy zarazem w rękach i nikt nas nie przekona w tym razie, że nie powinniśmy zmysłom dowierzać, bo może doznajemy złudzenia. Halucynacya bowiem nigdy nie obejmuje wszystkich zmysłów jednocześnie.

Dalej uważam za rzecz konieczną uwzględnienie pewności „moralnej“ w logice szkolnej. Jakkolwiek *in abstracto* jest rzeczą możliwą, że ludzie, których uważamy za zupełnie wiarogodnych, nie mówią nam prawdy, że nas okłamują wszyscy podróżnicy, którzy opowiadają o krajach zamorskich, jakoteż wszyscy dziejopisarze, to przecież nikt z nas nie sądzi, że np. istnienie Australii nie jest zupełnie pewne, lecz tylko bardzo prawdopodobne, albo że można wątpić czy Cezar umarł rzeczywiście śmiercią gwałtowną. Przecież w życiu codziennem musimy bardzo często polegać na świadectwie ludzi wiarogodnych, także i sądownictwo nie może obejść się bez wiary w prawdomowność ludzi nieposzlakowanych i t. d. Trzeba więc młodzież pouczyć, że są prawdy,

które nie są same przez się oczywiste, które jednak można uważać za pewne bez żadnej obawy błędu; pod tym względem nie obejdzie się książka prof. Twardowskiego bez zaznaczonych dodatków.

Zato inne ustępy będą musiały doznać w nauczaniu szkolnem skrócenia. Logika szan. autora przybrała takie rozmiary, że niezawodnie większą jej połowę będą nauczyciele z konieczności opuszczali. Kiedy w wydaniu trzeciem „Dydaktyki“ ś. p. M. Baranowskiego zajmuje logika tylko 36 stron, użyczył jej p. Twardowski stron 80, a więc prawie tyle, ile przerabia się w VII-ej klasie gimnazyalnej z uczniami, daleko lepiej rozwiniętymi i, w ogólności mówiąc, lepiej przysposobionymi do studyów tego rodzaju, którym nadto użycza się na naukę logiki liczbę godzin dwa razy większą, bo około 70; materyał zaś podręcznika dydaktyki, przeznaczonego dla seminaryów nauczycielskich, ma być wyczerpany na 3-cim roku w tej samej liczbie godzin, a więc na logikę wypadnie około 35.

Zresztą i samo przedstawienie rzeczy będzie w niektórych partyach nastręczało zbyt wielkie trudności uczniom seminaryów, a zwłaszcza uczennicom. Dla przykładu przytaczam zdania następujące: „Porównując ze sobą *(sic)* powiedzenie: ‚Jeżeli prawdą jest, że poeci są ludźmi genialnymi, wtedy musi też być prawdą, że wśród ludzi genialnych trafiają się poeci‘ (*w*) i powiedzenie: ‚Jeżeli prawdą jest, że przedmioty A należą do kategoryi przedmiotów B, wtedy musi też być prawdą, że wśród kategoryi przedmiotów B trafiają się przedmioty A‘ (*W*), spostrzedz łatwo następującą między niemi różnicę: powiedzenie *w*, stwierdzające stosunek racyi do następstwa w tym specyalnym wypadku, w którym chodzi o poetów i ludzi genialnych, zestawia jedną parę sądów, pozostających do siebie w stosunku racyi do następstwa; powiedzenie *W* natomiast, będące wspólnym niejako wyrazem wszystkich par sądów tego rodzaju, co powyższe sądy o poetach i ludziach genialnych, uwidocznia, że każde dwa sądy, tworzące taką parę, mają się do siebie jak racya do następstwa. Powiedzenie *W* jest tedy ogólną zasadą, a *w* zastósowaniem tej zasady w pewnym szczegółowym wypadku; dlatego też wszystkie sądy (wypowiadane zwykle w formie *W*), które orzekają, że sądy pewnego rodzaju pozostają do siebie w stosunku racyi do następstwa, nazywają się zasadami rozumowania“ (str. 30).

Jest to wywód tak subtelny, że prawdopodobnie żaden seminarzysta nie będzie z nim umiał dać sobie rady. Czy jednak nie można się obejść bez takich wywodów w logice elementarnej? — Przecież

prawdziwość sądów, oznaczonych powyżej literami: *w* i *W* jest sama przez się oczywistą, a więc nie trzeba jej wcale uzasadniać. Wystarczy uczniom powiedzieć, że często z prawdziwości jednego sądu wynika bezpośrednio prawdziwość drugiego, a wtenczas pierwszy sąd nazywa się „racyą“ a drugi „następstwem“.

Wątpię też bardzo czy trzeba było w taki sposób sformułować „zasady pośredniego rozumowania kategorycznego i warunkowego“, jak uczynił autor w ustępach: 74—79, czy nie jest to np. utrudnieniem nauki, kiedy podaje się w szkole średniej taką „zasadę: ‚Jeżeli — gdy przedmiot A posiada cechę b, — przedmiot C posiada cechę d, i jeżeli — gdy przedmiot C posiada cechę d, — przedmiot E nie posiada cechy f, wtedy też gdy przedmiot A posiada cechę b, przedmiot E nie posiada cechy f“ (str. 38). Nie przeczę bynajmniej, że te „zasady“ są głęboko obmyślane i mogą zaprawić do ścisłości logicznej, sądzę jednak, że zanadto przypominają słowa Mefistofelesa:

Der Philosoph, der tritt herein
Und beweist Euch, es müsst' so sein:
Das Erste wär' so, das Zweite so,
Und drum das Dritt' und Vierte so;
Und wenn das Erst' und Zweit' nicht wär,
Das Dritt' und Viert' wär' nimmermehr.

Zdaje mi się, że logika elementarna musi poprzestać w seminaryach na prostszem i krótszem pouczeniu o pojęciach i sądach i na rozróżnieniu wnioskowania „bezpośredniego“ od indukcyi do dedukcyi. Daleko łatwiejszy i krótszy jest zarys logiki, zawarty w książce Baranowskiego (który sam był profesorem a później dyrektorem w seminaryum, a więc mógł osądzić na podstawie długoletniego doświadczenia, w jakich rozmiarach można traktować w tych zakładach naukę logiki), a przecież i z niej jeszcze niejedno opuszczano (choć może nie wszędzie). Nie dziwię się jednak, że profesor uniwersytetu, który nigdy nie uczył w szkole średniej, przecenił zdolność pojmowania seminarzystów; mamy tu nowy przykład, stwierdzający znaną nam od dawna prawdę, że uczeni badacze nie umieją się zniżyć do poziomu umysłowego młodzieży i że ich podręczniki bywają zbyt ciężkie i niepraktyczne. Prędzej już możnaby użyć tej części książki prof. Twardowskiego w gimnazyum, gdyby swój zarys logiki trochę jeszcze rozszerzył, gdyby w nim uwzględnił wiadomości gimnazyalistów i zbliżył się więcej do logiki Arystotelesowej (jak uczynił Willmann w swoim świeżo wydanym podręczniku). W szczególności nie piszę się także

na zupełne pominięcie trybów syllogistycznych przez autora. Sądzę bowiem, że one i dziś jeszcze zachowały swoje znaczenie (chociaż ich już nikt nie uważa za najważniejszą część logiki) i że mniej sprawiać będą uczniom trudności (jeżeli je nauczyciel traktuje rozsądnie) od wspomnianych powyżej „zasad rozumowania".

Nadto trzeba, mojem zdaniem, koniecznie powiedzieć coś w podręczniku logiki elementarnej o pojęciu przyczyny, które p. Twardowski również pominął. Jeżeli zaś nie powie się uczniom, w jakich wypadkach stwierdzamy związek przyczynowy między zjawiskami i co przez to mają rozumieć, nie pojmą też zdania, znajdującego się na str. 41, że „sądy przyczynowe nie są nigdy oczywiste", ani też całej nauki o indukcyi w ściślejszem znaczeniu, tj. wykrywającej prawa natury. A dalej należałoby tu uwzględnić pojęcie t. zw. konieczności „fizycznej", które jest ściśle związane z pojęciem „prawa natury". Autor przypisuje wszystkim wnioskom indukcyjnym bez różnicy tylko „prawdopodobieństwo" (str. 41), bo, jak wspomnieliśmy wyżej, dla niego istnieje tylko pewność absolutna. W wielu jednak wypadkach przewiduje następstwo zjawisk na podstawie wniosków indukcyjnych bez żadnej obawy błędu, bo jesteśmy pewni, że według znanego nam prawa natury musi ta lub owa „siła" wywoływać te lub owe skutki. Niema tu pewności absolutnej, a zwłaszcza ludzie, wierzący w możliwość cudów, nie zaprzeczają temu, że niekiedy zjawiska mogą się odbywać wbrew zwyczajnemu porządkowi natury, ale nie jest to także sądem „prawdopodobnym" w znaczeniu zwyczajnem, kiedy np. oczekujemy podniesienia się rtęci w termometrze, włożonym do gorącej wody. Jesteśmy bowiem przeświadczeni, że w przyrodzie niema żadnych zmian kapryśnych, że w niej panuje rozumny ład, że prawa jej są stałe, że więc jednakowe przyczyny będą zawsze wywoływały jednakowe skutki w jednakowych warunkach. Albo czy sąd: „Wszyscy kiedyś pomrzemy" jest tylko „prawdopodobny", tak samo jak sąd: „prawdopodobnie wszystkie wogóle choroby zakaźne są wywołane drobnoustrojami?"

Część druga podręcznika, traktująca o dydaktyce, nie nasuwa mi żadnych zarzutów. Przewiduję tylko, że i ta część okaże się w praktyce trudniejszą od książki Baranowskiego i że ulegnie znacznemu skróceniu.

Język autora jest w ogólności poprawny i potoczysty; tylko gdzieniegdzie znać wpływ niemczyzny (autor kształcił się w Theresianum wiedeńskiem); tak np. czytamy na str. 63: „abstrahując od

nich", na str. 162: „o stawianiu pytań", na ss. 207, 221 i w innych miejscach używa autor niewłaściwie wyrazu: „śmieć" w znaczeniu niemieckiego: *dürfen*. Na str. 71 należałoby skreślić w wyrażeniu: „porównując ze sobą treści pojęć" i t. d. zaimek zwrotny, który powinien odnosić się do podmiotu zdania głównego: „widzimy". Także budowa zdań nie zawsze jest prawidłową, jak np. na str. 45: „Jeżeli — gdy zjawisko A ulega pewnym zmianom" i t. d.

Ks. Alexander Pechnik.

Kazania o świętych Patronach Polskich. *Ks. Dr. Józef Sebastyan Pelczar.* Biskup przemyski, b. profesor Uniw. Jagiell. Kraków. 1901. (Str. 52).

Dobrze znane słowa przynosi nam ta książeczka. Słowa Boże dostojnego Pasterza, które od szeregu lat były ozdobą naszych narodowych obchodów i uroczystości kościelnych, pociechą w chwilach bolesnej naszej próby, a otuchą lepszej przyszłości. Drobna to zaledwie cząstka z kazań ks. biskupa Pelczara. „Kazania o świętych Patronach Polskich" mieszczą w sobie cztery tylko: Kazanie na ośmsetną rocznicę męczeństwa św. Stanisława Biskupa miane w katedrze krakowskiej 8 maja 1879 r. (św. Stanisław B. M. wzorem męstwa), kazanie na pięćsetną rocznicę urodzin św. Jana Kantego miane w kościele św. Anny 19 paźdź. 1890 r. (św. Jan Kanty mistrzem prawdziwej mądrości), kazanie na czterechsetną rocznicę śmierci św. Kazimierza, miane w Krakowie w kościele OO. Reformatów 4 marca 1884 r. przy zakończeniu uroczystego tryduum (Stan religijny w Polsce za czasów św. Kazimierza i w czasach naszych), kazanie na dzień świętego Stanisława Kostki miane w Krakowie, w kościele św. Barbary 16 listopada 1890 (św. Stanisław Kostka wzorem nabożeństwa do Najśw. Panny).

Wszystkie one odznaczają się pięknym stylem i językiem, jasnem przeprowadzeniem myśli, inwencyą prostą, ale właśnie nadzwyczaj wdzięczną swoją prostotą. Wymowa zaś, właściwa Dostojnemu kaznodziei, słodyczy zawsze pełna i namaszczenia religijnego, wstępuje w serce narodu z prawdziwą jego znajomością, lecz i wtedy nawet kiedy to czyni, czyni z wielkim spokojem i ojcowską miłością w strofowaniu. Przykładem tego kazanie o św. Janie Kantym. Obok tego nie brak Mu jednak i silnych nawet wyrażeń, kiedy zwłaszcza nawołuje naród do Boga, jak w kazaniu o św. Stanisławie B. M., lub w drugiej części kazania o św. Janie Kantym. W kazaniach o świętym

Kazimierzu i Stanisławie Kostce znalazł Dostojny autor ulubione sobie pole. W pierwszem to element historyczny, który tak umiejętnie potrafi wyzyskać dla kazalnicy, w drugiem to serdeczne nabożeństwo do Matki Boskiej. Jak ślicznie, pogodnie przemawia w pierwszem, gdy rozpamiętywuje dawną świetność Polski i pobożności narodu; rzewnie, kiedy widzi dziś to królestwo rozszarpane, a pełne zbutwiałej bezbożności, to rzuca się z narodem obciążonym brzemieniem grzechów i słabości do stóp Zbawicielowych, lub dotyka smutnych przyczyn zaniku bogobojności, aż wreszcie pełen pociechy spostrzega w głębi lepszą przyszłość i tym promykiem nadziei budzi serce zdrętwiałe i siły do pracy, oddając w modlitwie ukochany naród w opiekę świętym jego Patronom. To kazania jest pewno najpiękniejszem w tym zbiorku. Jakże nas znowu po mistrzowsku wprowadza w życie duchowne, życie łaski Bożej, odsłaniając w żywocie młodziutkiego Stanisława Kostki doświadczoną szkołę pobożności w nabożeństwie i miłości Najświętszej Maryi Panny.

Kazania te są przedewszystkiem wzorem, jak można podniosłe chwile pamiątek religijno-narodowych wyzyskać dla kazalnicy, a miejsca świętego nie splamić świeckiemi illustracyami, piękność słowa Bożego połączyć z miłością ojczyzny, stać godnie na wyżynie mowcy religijnego, a odpowiedzieć zarazem z zadowoleniem oczekiwaniom uczuć patryotycznych słuchaczów.

Ks. Jarosław Rejowicz.

Parcelacya większej własności ziemskiej w Prusiech. *Dr. Jan Rozwadowski.* Lwów. 1901. (Str. 30).

Znaczenie parcelacyi większej własności ziemskiej w Galicyi. *Dr. Jan Rozwadowski.* Lwów. 1901. (Str. 21).

Autor wychodzi z założenia wyższości małej własności ziemskiej nad wielką: mała własność mniej cierpi pod wpływem zniżki cen zboża, niż wielka, zatrudnia mniej robotnika, ponieważ właściciel i jego rodzina wykonywają przeważną część robót polnych; niebezpieczeństwo braku robotnika dla niej niemal nie istnieje; małe gospodarstwo przedstawia zazwyczaj większą wartość, co się najlepiej okazuje przy sposobności sprzedaży znaczniejszego majątku, którego cena w razie pozbycia go w całości nie będzie tak wielką, jak w wypadku sprzedaży parcelami.

Parcelacya, czyli zamiana większej własności na mniejszą, przeciwdziała skutecznie zadłużeniu własności ziemskiej. Obywatel może przez

sprzedaż odleglejszych części majątku dojść do posiadania reszty mniejszej, ale lepiej skomasowanej i nie przeciążonej długami, jeżeli na spłatę długów obróci gotówkę, osiągniętą ze sprzedaży majątku, parcelacya zatrzymuje w kraju ludność, którąby w przeciwnym razie musiała wyemigrować.

Dr. Rozwadowski zaleca zatem parcelacyę społeczną, skierowaną do osiągnięcia tych celów, a potępia parcelacyę polityczną i zarobkową. Przykładem politycznej parcelacyi jest działalność pruskiej komisyi kolonizacyjnej, a parcelacya zarobkowa jest na porządku dziennym w Galicyi i w Prusiech. Znaczna różnica między cenami, które osiągnąć można za ten sam kawałek ziemi w miarę tego, jak on należy do większej lub do mniejszej własności stanowi zupełnie dostateczną pobudkę działania dla przedsiębiorczych spekulantów. Parcelacya w tych warunkach stanowi dla nich zyskowne źródło dochodów ze stratą dla chłopa, któremu zazwyczaj nadmiernie wysoko sprzedają ziemię. Zresztą praktykowana w Galicyi parcelacya dzika nie przyczynia się do wytworzenia rolniczego stanu średniego, ponieważ celem osiągnięcia jak największego zysku praktykuje sprzedaż w parcelach jak najdrobniejszych.

Prace pana Rozwadowskiego są przygrywką do uchwalonego w lipcu b. r. przez sejm galicyjski projektu ustawy o włościach rentowych. Poprzedzają one projekt Wydziału Krajowego, który jest z nim zgodny w swej zasadniczej tendencyi. Autorowi chodziło o wynalezienie sposobu pogodzenia niepopularnych dążeń do ograniczenia podzielności gruntów włościańskich z żądaniami włościan, domagającymi się poparcia parcelacyi. Instytucya włości rentowych jest, zdaniem p. Rozwadowskiego, właściwym sposobem pogodzenia tych sprzecznych tendencyi, chodzi tu bowiem o ułatwienie chłopom nabywania ziemi w zamian za rentę wieczystą lub amortyzacyjną. Dla zabezpieczenia spłaty renty posiadłość zostaje uznaną za niepodzielną dopóty, dopóki na niej renta ciąży.

Autor sądzi, że przy użyciu tego sposobu „projekt wytworzenia rolniczego stanu średniego w Galicyi absolutnie niewykonalnym nie jest“, nie brak bowiem ani ziemi nadającej się do parcelacyi, ani odpowiednich osadników. Za pomocą listów rentowych da się cała sprawa stosunkowo łatwo sfinansować a „w Wydziale Krajowym mamy gotowego organizatora instytucyi prowincyonalnych, które, decentralizując całą akcyę, pod jego ogólnym kierunkiem pracowaćby mogły“.

W interesie kraju życzyćby sobie należało, by uwagi autora o koniecznej potrzebie zastąpienia parcelacyi dzikiej, nieuregulowanej parcelacyą racyonalną i społecznie korzystną, przyczyniły się do przyspieszenia akcyi w tym kierunku wdrożonej.

A. Krzyżanowski.

W sprawie zadłużenia mniejszej własności. *Dr. Tadeusz Starzewski.* Kraków. 1901. (Str. 43).

Pan Tadeusz Starzewski, autor pracy o zadłużeniu mniejszej własności, ogłoszonej w kwietniowym zeszycie *Przeglądu Polskiego*, która teraz wyszła z druku w osobnej odbitce, nie po raz pierwszy przypomina nam swym dobrym przykładem potrzebę oceny wypadków ekonomicznych nie przez zawodne okulary doktryn pseudo-naukowych lub haseł stronnictw politycznych, interesowanych często w ich fałszywem oświetleniu, ale na podstawie poznania i zrozumienia faktycznych przejawów gospodarskich. Pan St. ogłosił w *Czasie* dwa lata temu wyniki ankiety ustnej o wychodźtwie robotników rolnych z powiatu wadowickiego, zarządzonej przez tamtejsze Towarzystwo rolnicze okręgowe; w wydawnictwie zbiorowem: „Kredyt włościański“ zamieścił pan St. cenną pracę: „O kasach pożyczkowych gminnych“, opartą głównie na dokładnem zaznajomieniu się na miejscu z ich działalnością w pow. wadowickim, biorąc w obronę to niedość cenione źródło kredytu osobistego dla chłopów. W najnowszej swej rozprawie wraca do problemów, związanych z kredytem włościańskim, zwracając uwagę w pierwszym rzędzie na kredyt hipoteczny.

Po upadku osławionego Banku włościańskiego, po nieudałych próbach rozwinięcia na szerszą skalę działu hipotecznego włościańskiego w Banku krajowym, utarło się wśród praktyków i teoretyków zdanie, że chłop nasz potrzebuje przedewszystkiem kredytu osobistego, to też nowsza literatura o rolniczym kredycie zajmuje się głównie lichwą i działalnością instytucyi, które mają ją zwalczać przez udzielanie kredytu osobistego. W tem zapatrywaniu jest może wiele prawdy, ale w każdym razie pogląd ten nie jest całą prawdą. Wierzę, że jest u nas wiele pożyczek hipotecznych, których zabezpieczenie w tej formie jest niewłaściwem, bo należałoby je raczej zaspokajać w kasie pożyczkowej gminnej, lub w miejscowej spółce dla oszczędności i pożyczek z nieograniczoną poręką. Rozszerzenie dobrze zorganizowanych instytucyi tego rodzaju ułatwi zapewne konwersyę długów, niewłaściwie

na hipotece ciążących, zapobiegnie zaciąganiu długów w tej formie na przyszłość, ale nie rozwiązuje bynajmniej problemu kredytu hipotecznego, choćby dlatego, że w wielu wypadkach pożyczka hipoteczna jest racyonalną, wprost konieczną w pewnych stosunkach ekonomicznych (przypominam np. spłatę rodzeństwa lub resztę ceny kupna gruntu). Zasłużył się zatem p. Starzewski naszej literaturze agrarnej i naszej administracyi agrarnej przypomnieniem problemu, niesłusznie zapomnianego, a zwłaszcza zasłużył się autor sposobem, metodą, którą obrał dla osiągnięcia zakreślonego celu.

Pan St. wziął za podstawę swych badań tylko jeden powiat sądowy (wadowicki), ale w tych terytoryalnie ciasnych ramach dał nam wyczerpujący obraz stosunków kredytowych. Nie ograniczył się bowiem na korzystaniu z niewystarczających dat urzędowej statystyki, ale wydobył na jaw własnemi siłami nowe cyfry, dotąd nieznane, biorąc za podstawę księgi hipoteczne. Z nich obliczył wysokość zadłużenia dla każdej z 32 gmin powiatu sądowego wadowickiego z osobna, na łączną kwotę 1719600 koron. Ale ponieważ pewna część tych długów jest umorzoną, choć nie wykreśloną z ksiąg; z pożyczek zaś bankowych pewna kwota zamortyzowaną, przeto autor potrącił z tej sumy 10%, celem otrzymania rzeczywistego obrazu wysokości zadłużenia hipotecznego, które zatem wynosi — jego zdaniem — po dokonaniu tego potrącenia 1547640 koron. Długi nieintabulowane oblicza p. Starzewski na 354000 koron; łączna więc suma długów wynosi 1901640 koron. Od tych sum należy płacić koron 323644 tytułem procentu i amortyzacyi: a dodawszy do tej sumy cyfrę opłacanych bezpośrednich podatków w kwocie 96772 koron, otrzymamy kwotę 420416 koron, jako stałe, roczne obciążenie ludności wiejskiej powiatu. Jeżeli przyjmiemy, że roczny koszt utrzymania rodziny, złożonej z pięciu osób, wynosi 400 koron, to dla pokrycia stałego obciążenia, oraz kosztów utrzymania, chłop musi wygospodarować z każdego hektara, bez względu na jego jakość, 140 koron rocznie. Deficyt jest zatem widoczny, choćbyśmy nawet przypuścili, że potrącenie 10% na długi, częściowo zamortyzowane lub niewykreślone, jest nieco za nizkie. Zdaniem autora, długi hipoteczne wynoszą około 37% wartości ziemi (bez budynków i inwentarzy), przyczem za wartość ziemi uważa p. St. czterdziestokrotny czysty dochód katastralny. Lichwy — zdaniem autora — w powiecie niema.

Po przeprowadzeniu dyagnozy, przechodzi autor w drugiej części swej pracy do terapii. Zajmuje się zatem odpowiedzią na pytania

o środkach zaradczych: zastanawia się nad inkorporacyą kredytu hipotecznego wedle planów Schäfflego, rozbiera poglądy Steina i Ruhlanda, odrzuca myśl ustanowienia ustawowej granicy zadłużenia, natomiast wita z uznaniem przewodnią ideę austryackiej ustawy o włościach rentowych, oraz udowadnia konieczność przeprowadzenia konwersyi długów hipotecznych włościańskich.

Pan St. zwalcza zdanie wygłoszone na lwowskiej konferencyi agrarnej w roku 1897, „jakoby nasi włościanie nie cierpieli na brak kredytu hipotecznego, który jest bardzo tani i uregulowany przez Bank krajowy, lecz że mniejszą własność należałoby raczej chronić od zbyt wielkiego ułatwienia tego kredytu". Bank krajowy prawdopodobnie z powodu zbyt obszernego i różnorakiego zakresu działania, oraz z powodu braku organów na prowincyi, nie rozwinął należycie agend, wchodzących w zakres włościańskiego kredytu hipotecznego. Zaradzić tym brakom mogłoby przedewszystkiem tworzenie powiatowych kas oszczędności w każdym powiecie. Doświadczenie bowiem uczy, że tylko kasy sierocińskie udzielają chłopom tańszego kredytu hipotecznego, niż powiatowe kasy oszczędności; zresztą wszystkie inne instytucye kredytowe, a zwłaszcza towarzystwa zaliczkowe, są znacznie droższe.

Spodziewać się należy, że praca p. Starzewskiego nie pozostanie tylko cennym teorytycznym przyczynkiem do poznania naszych stosunków agrarnych, lecz że zwróci także uwagę wszystkich czynników i władz publicznych, powołanych do opiekowania się tą sprawą, a więc w pierwszym rzędzie Wydziału Krajowego, który w ostatnich czasach niemało przyczynił się do polepszenia stosunków kredytowych w kraju, przez ujęcie w swoje ręce opieki nad kasami Raiffeisena, czyli tak zwanemi spółkami dla oszczędności i pożyczek. Kto wie nawet, czy właśnie instytucya ta nie mogłaby się stać punktem wyjścia dla nieodzownie potrzebnej akcyi, zmierzającej do konwersyi długów hipotecznych. Przykład bardzo pomyślnych wyników, osiągniętych w innych krajach koronnych tą metodą, powinienby zachęcić do badania możności przedsięwzięcia i u nas podobnych prób.

A. Krzyżanowski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Le prédicateur au XX siècle. Noveaux plans d'instructions et de conférences en rapport avec les besoins des temps actuels. *Per P. Xavier.* — S. Mondon. P. Lethielleux, éditeurs. Paris. (Tom I—X).

Każde społeczeństwo, każdy wiek ma swoje charakterystyczne cechy, a tym towarzyszą pewne wyłączne im zalety czy wady. Kapłani z obowiązku swojego duszpasterskiego raz po raz spotykać się z niemi muszą, to pielęgnując je, jak ogrodnik szlachetny szczep, to znowu lecząc i borykając się z nimi niby lekarz z chorobą niebezpieczną lub żołnierz z zaciętym wrogiem. Na najważniejsze pole ich pracy, na ambonę, olbrzymia część dzieła im przypada. Poznanie jednak tych wszystkich zalet i wad, objęcie całego ich obszaru gruntowną nauką apologetyczną, jakiegoż wymaga po kapłanie wszechstronnego wykształcenia, oczytania i pracy w obrobieniu: to już omal nie praca jednego człowieka. Zwłaszcza przy wzmagających się potrzebach społeczeństwa i coraz szerszem polu pracy kapłańskiej, przy coraz mniejszych stosunkowo siłach, mało który z kapłanów mimo najlepszych chęci mógłby własną pracą dojść do zebrania odpowiedniego właśnie, jakby się rzekło „na czasie" materyału. Tymczasem, żeby działalność jego w społeczeństwie była nie pozorną tylko, niezbędnie musi umieć czytać w jego duszy, odgadywać jego potrzeby, znać skłonności, widzieć środki zaradcze i umieć one zastosować.

Praca niniejsza ma przyjść tu właśnie w pomoc, ale tylko w pomoc i na tem polega główny jej cel i wartość. Uczony kapłan francuski ks. Xavier, były profesor filozofii i teologii, wita nowy XX wiek prawdziwie potężnem rozmiarami dziełem, bo 10-cio tomowem, a każdy tom do 900 stron w 8-ce liczy. Jest to zbiór kaznodziejski nowych planów do kazań, instrukcyi i konferencyi osnutych na podstawowych zasadach z uwzględnieniem dzisiejszych potrzeb i chorób społeczeństwa. Nie taimy wcale, że śmiałem nam się wydało podobne przedsięwzięcie, ale rozpatrzywszy się tylko w dziele łatwo każdy dostrzeże, że o ile praca syntetyczna była jednego człowieka, przecież dzieło to jest wynikiem pracy wielu. Zapewne — ks. Xavier sam wiele przemyślał i bacznem śledził okiem objawy wiary i niewiary w społeczeństwie, ale w pracy swej spożytkował wyniki całego ogromu prac nie tylko ściśle teologicznych i filozoficznych, Pisma św. i Ojców Kościoła, ale sięgnął i do tych wszystkich gałęzi wiedzy, której źle zrozumiane wyniki mogą za-

chwiać wiarę, gdy przeciwnie pojęte w świetle prawdy wiecznej dają najdzielniejszą obronę przeciw zarzutom niedowiarków. Główne niebezpieczeństwo wielu społeczeństw i zło widzi autor w ignoracyi religijnej: *le mal de notre siècle, c'est l'ignorance de la religion,* dlatego też uważa, że wobec tego zadaniem kaznodziejów jest głównie ustawiczne tłumaczenie i zwracenie uwagi na zasadnicze prawdy wiary, prawdy wieczne, fundamentalne, które winni jasno tłumaczyć, w związku z jego zdobyczami naukowemi zwięzłemi a odpowiedniemi do błędów i przesądów nurtujących dane audytorium dowodami popierać, owszem nieraz nawet zbijać takowe w otwartem polu. Plany jego kaznodziejskie wszędzie więc tą jedną myśl mają przewodnią.

Dzieło rozłożył autor według materyi na dziesięć tomów: tom 1-szy obejmuje Adwent i Wielki post, 2-gi kazania pasyjne i Wielki tydzień, 3-ci święta liturgiczne i Zbawiciela Pana, 4-ty święta Matki Boskiej i Świętych, bardziej znanych, w 5-ym pomieszczono kazania okolicznościowe i nauki jak np. przy pierwszej Komunii św. 6-ty i 7-my zawiera plany na nauki niedzielne; w nich to szczególnie dotyka autor potrzeb i wad nowego wieku systematycznie je rozbierając. W tomie 8-ym znajdujemy „miesiąc Maryi", w 9-tym rozbiór wiary w jej istocie i przymiotach, w 10-ym wreszcie zbija zarzuty. Materyał zatem mamy obszerny, wyczerpujący — dodajmy do tego, że na Adwent, czy Wielki post a często w innych okolicznościach znajdujemy po kilka seryi, lub kilkanaście kazań, spotykamy się z kwestyami najbardziej żywotnemi, a możemy wyrobić sobie pojęcie o szerokiej wartości dzieła.

Sposób opracowania jest bardzo prosty — może nawet niejednemu zrobić pewien zawód. Spodziewalibyśmy się może znaleźć tu wykończone szkice kaznodziejskie. Bynajmniej nie są one w bardzo znacznej części takiemi. Są przeważnie to tylko punkta niejako wytyczne, narzucenie najogólniejszych myśli, podanie krótkich dowodów, w końcu zaś dodany pewien zapas cytat z Pisma św. i Ojców Kościoła, które wedle potrzeby i upodobania kaznodzieja może sobie wybrać. W tem jednak właśnie już jest wielka zaleta dzieła. Zaznajamia ono tylko z materyałem, daje wskazówki, jak można go aktualnie wyzyskać, gdy resztę pracy zostawia każdemu z osobna; nie podsuwa swoich zapatrywań ani wiąże z własną myślą, nakazując samemu rozumieć dusze swoich słuchaczów, wybrać i zastosować, co i jak ich potrzeby wymagają. Drugą zaletę dzieła ks. Xaviera bezwątpienia stanowią owe dowody, choć, jak sam mówi, nie po kaznodziejsku przedstawione, ale zato niezmiernie zwięźle i gruntownie, co przyczynia się bardzo do łatwej nader oryen-

tacyi i przejrzystości. Nie wyklucza to jednak, żebyśmy nie mieli spotkać się nigdzie z jakąś ozdobną myślą, owszem często bardzo tak piękny i wzniosły rzucił autor pomysł w swoje plany, że może być prawdziwie kwiatkiem krasomówczym.

Ma jednak dzieło i swoje pewne ujemne strony. Najpierw w tak wielkiej ilości planów znalazły się niejedne trochę pobieżniej, owszem jakby niedbale obmyślone, a te możnaby było oczywiście bez szkody całości usunąć, lub zredukować, jako zbyt specyalizujące swój przedmiot. Gorzej jeszcze razi w tak poważnem dziele, że gdzieniegdzie wpadł autor w pewną manię: koniecznie chciał mówić o jakiejś wadzie wieku, więc materyę zmuszał prawie gwałtem, żeby mu służyła w jego myśli. Przy wielu planach chciałoby się może mieć większy zapas cytatów pod ręką, tymczasem ograniczają się one niejednokrotnie do 3 lub 4 zaledwie.

Bądź co bądź choć nie we wszystkich szczegółach może nas zadowalnia dzieło ks. Xaviera, mamy w niem pracę bardzo pożyteczną, dużo można z niego zaczerpnąć nauki, znaleźć niejedną dobrą wskazówkę i pożyteczną a obfitą myśl, słowem, wielką pomoc w pracy kapłańskiej, a tak dzieło to lubo w skromniejszym zakresie godnie może stanąć wśród francuskich podręczników kaznodziejskich obok pokrewnego mu dzieła *La somme du prédicateur* ks. D'Hauterive.

Ks. Jarosław Rejowicz.

Les Saints, collection Victor Lecoffre: Saint Yves par *Ch. de la Roncière.*

Rozwija się dalej szlachetne przedsiębiorstwo jednej z najpierwszych, a szczerze katolickich księgarni w Paryżu. Po uwieńczonej nagrodą Akademii „Psychologii Świętych" przez Henryka Joly, która stanowi jakoby przedmowę i przygrywkę do całego wydawnictwa, ukazało się już z kolei dwadzieścia ośm tomów, zawierających tyleż osobnych biografii Świętych Pańskich, spisanych przez wybitnych autorów. Zabrali się oni inaczej do dzieła, aniżeli ich poprzednicy na niwie hagiograficznej. Pobożni pisarze, spisujący żywoty Świętych, zanadto się zaprzątali wspólnemi im wszystkim cechami świętości, pomijając odrębność charakterów, różnice usposobień, ludzką stronę nadludzkiej ich cnoty. A jednak indywidualność nie zaciera się wyrzeczeniem, owszem potęguje się wyrobieniem lepszych pierwiastków i większą z siebie ofiarą bo łaska nie niszczy natury człowieka, ale ją tylko podnosi i uszlachetnia. Świeżo uzupełniona korespondencya św. Teresy

odsłoniła nieznane strony jej charakteru, żywą wrażliwością zajmujące. Zauważono, iż nawet życie pustelnicze nie sprowadza ludzi do jednego mianownika, że np. u Kartuzów, uprawiających jak nasi Kameduli osobne ogródki, jeden hoduje same kwiaty, drugi wyłącznie warzywa. W ogrodzie dusz tak samo różnorodne bywają i dary i plony. Otóż w szeregu wydawnictwa Lecoffre'a, każdy biograf maluje człowieka, nie zaś niedościgłą świętość, dostarczając naczelnej postaci historycznego tła i ram spółczesnego życia. Z kolei pojawił się tam świeżo żywot św. Iwona, ściśle dziejowo opracowany przez znakomitego historyka francuskiej marynarki, a brzmiący jednak jak legenda, uplastyczniona na średniowiecznym kościelnym witrażu. Ten patron wiernej i wierzącej Bretonii jest zarazem patronem palestry. Owszem, popularna gadka twierdzi, iż jest to jedyny adwokat, co się kiedykolwiek do nieba wcisnął! Prawda, że podejmował się wyłącznie obrony prawnej ludzi ubogich a pokrzywdzonych, i nigdy od nich żadnego nie ściągał wynagrodzenia, dla miłości Chrystusa szafując wymownem słowem oraz nabytemi w paryskim uniwersytecie wiadomościami prawniczemi. Widząc piętrzące się krzywdy wydziedziczonych, odbiegł był studyów teologicznych, aby się nauce prawa w interesie maluczkich poświęcić. Później dopiero, otrzymawszy kapłańskie święcenia, rozpoczął żywot apostolski, rychło trudami i umartwieniem skrócony. Urodzony w Trègnier, św. Iwon żył w XIII wieku, od r. 1253 do 1303. Biograf przypomina mnóstwo cudów, które świętość jego wsławiły, a wskazuje, jak wielką była ostrożność w ich zatwierdzeniu, nawet w owych zamierzchłych czasach. Z powodu ukazania się tego pięknego żywota świętego adwokata ubogich, przypomniano, iż bodaj najpiękniejszym utworem znanego z talentu i z głośnego nawrócenia się powieściopisarza Pawła Feval, jest legendowe opowiadanie p. t. *La belle Etoile*, którego bohaterem jest właśnie Iwon Hèlary, ulubiony patron nadbrzeżnej ludności bretońskiej.

Św. Iwon urodził się w Trègnier, kędy po upływie przeszło pół tysiąca lat miał przyjść na świat Ernest Renan. Wielki bluźnierca XIX wieku rychło się zaparł wiary i pobożności stron rodzinnych: od czasu do czasu, w duszy jego skrzepłej zwątpieniem, odzywały się jednak jakieś dawne wspomnienia i wierzenia. Niestety! nie podawał im ucha, przyrównywując je do poetycznej legendy bretońskiej o zatopionem w morzu mieście Ys, niegdyś znikłem w fali, z której atoli od czasu do czasu podnoszą się z szumem wód dźwięki dzwonów, niegdyś wzywających wiernych do świątyń, dziś w morskiej czeluści zniknionych

niepowrotnie Dzwony z Ys raz po raz podzwaniały w duszy Renana, ale podzwaniały na próżno. W uśpionej sofizmatami jego myśli niezawodnie wstawała też nieraz i postać apostolskiego patrona Bretonii, zwłaszcza gdy dorocznie powracał do rodzinnego Trègnier, gdzie na cześć jego urządzano uczty, podczas których wygłaszał peryodyczne manifesta, przeczenia i zwątpienia. Rozwiały się bluźnierstwa Renana, dziś w nim już tylko podziwiają biegłego stylistę, rzekoma filozofia, jak pałac z kart ustawiony, runęła, imię rychło zatonie w niepamięci, podczas gdy wspomnienie Iwona Hèlary pozostanie w błogosławieństwie u późnych pokoleń, bo zastawiać się on nie przestaje przed Bogiem i ludźmi za krzywdy maluczkich i uciśnionych, a przyczyną swoją osłonił dotąd rodzinną Bretonię od zalewu bezbożności, która w reszcie Francyi zapanowała. *M.*

Die gesellschaftliche und wirtschaftliche Entwickelung in Japan. *Tokuzo Fukuda,* Doktor der Staatswissenschaften. Stuttgart 1900. Str. 190.

Japonia i jej rozwój w ostatnich 30 latach należy niewątpliwie do najbardziej zajmujących zjawisk, jakie nam dzieje ludzkości z drugiej połowy 19-go stulecia przedstawiają. Wprawdzie przeszło także europejskie społeczeństwo w tych samych czasach wielkie przeobrażenia ale przecież tak olbrzymiego skoku, jaki się dokonał w Japonii, dotąd nie było nigdzie. Co zaś jest rzeczą najgodniejszą uwagi, że przekształcenie wszystkich społecznych i politycznych stosunków, że ta w swoim rodzaju jedyna rewolucya nie wyszła z dołu, nie została przez naród lub niektóre jego warstwy narzuconą rządzącym, jak się to działo w Europie, lecz przeciwnie wyszła od panującego i od jego rządu. Nic więc dziwnego, że Japonia jest i będzie jeszcze na długo przedmiotem różnorodnych studyów dla polityków, socyologów, historyków a niewątpliwie także i dla filozofów. Dla europejskich jednakże uczonych studya te z niemałemi połączone sa trudnościami. Przeszkadza im przedewszystkiem nieznajomość języka, dosyć do wyuczenia się trudnego, skutkiem czego oryginalne japońskie źródła są dla wielu zupełnie niedostępne, następnie trudno jest dla europejskiego uczonego nieraz zrozumieć i wczuć się w narodowy charakter Japończyka i w tamtejszego rozwoju warunki. Nikt też nie potrafi tak doskonale wniknąć w rozwój japońskiego społeczeństwa, jak Japończyk sam, jak uczony, który będąc synem tego narodu, zdołał jednakże przyswoić sobie naukową metodę europejską. Tacy

dopiero pisarze zdołają podać nam klucz do zrozumienia tej socyologicznej zagadki, jaką ciągle jeszcze przedstawia dla nas dzisiejsza Japonia. Każdą też w tym kierunku podjętą przez nich pracę z uznaniem powitać należy, a cóż dopiero, jeżeli ta praca posiada tak znakomite zalety, jak wymieniona w nagłówku. Autor jej dr. Tokuzo Fukuda, Japończyk z rodu, przybył do Europy, aby tu oddać się pracy w naukach politycznych i społecznych. — Wykształcony na niemieckich uniwersytetach przyswoił sobie znakomitą metodę, a zachował te wszystkie przymioty, które są dodatnią cechą japońskich umysłów, a więc wielką jasność i zwięzłość przedstawienia, trzeźwość sądu, przedmiotowość w ocenianiu tak przeszłości jak i teraźniejszości własnego społeczeństwa i narodu. Tak powstała niewielka książka na 190 stronicach, z której jednakże więcej można się nauczyć, aniżeli z wielu grubych tomów, pisanych niby gruntownie, a właściwie — rozwlekle. O książce dra Fukudy można śmiało powiedzieć, że niema w niej ani jednego ustępu, któryby był zbyteczny. Autor tak doskonale uwydatnia i skupia główne rysy, że poważne jego studyum czyta się z najwyższem zajęciem aż do końca i odkłada się książkę z tem miłem uczuciem, że istotnie bardzo wiele z niej się skorzystało. Największa zaś korzyść polega na wyrobieniu sobie przeświadczenia, że zagadka współczesnego przekształcenia się Japonii w cywilizowane państwo, przecież nie jest tak znowu wielką zagadką, jakby się na pozór zdawało. Psychologia narodowa i dawniejszy rozwój społeczeństwa doskonale tłumaczą jego dzisiejsze przeobrażenia.

Zapoznajmy się krótko z treścią i z wynikami tej bardzo zajmującej książki.

Dr. Fukuda dzieli swoje studyum na pięć rozdziałów, których napisy są następujące: 1) czasy pierwotne. 2) cesarstwo. 3) czasy feudalizmu. 4) absolutne państwo policyjne. 5) Japonia dzisiejsza. Mamy tu więc całą niejako Japonii historyę, opowiedzianą jednakże zupełnie nowym sposobem, polityczne bowiem wypadki ustąpiły zupełnie na drugi plan, na pierwszy zaś wystąpiła organizacya społeczna, prawna i gospodarcza w połączeniu z bardzo bystrą psychologiczną obserwacyą. Pierwszy rozdział rozpoczyna się od historyi osiedlenia się dzisiejszych Japończyków w swojej obecnie ojczyźnie.

Skąd przyszli, tego badania wyjaśnić dotąd nie zdołały. Z Chin i z północy zdaje się, że nie przyszli, raczej gdzieś z południa; byli niewątpliwie narodem rozbójników morskich i żeglarzy, podobnie jak w Europie Normanowie, z tą tylko różnicą, że ci ostatni szli z pół-

nocy na południe. Nam się wydaje, że naród japoński musiał powstać z pomieszania się gdzieś na południu rasy indo-chińskiej i malajskiej. Każde zaś tego rodzaju pomieszanie się ras wytwarza zwykle narody bardzo zdolne i przedsiębiorcze. Dodajmy do tego, że Japończycy przybyli do swojej nowej ojczyzny nie ze stałego lądu, ale gdzieś z wysp, a zrozumiemy łatwo wielką różnicę między nimi a Chińczykami pomimo pozornego podobieństwa kultury. „Historya Japonii rozpoczyna się“ — powiada dr. Fukuda — „w czasach walki plemienia Jamata — o panowanie nad Japonią“. Wzrosłe w ciągu tych walk poczucie plemiennej jedności, natężenie wszystkich sił uzdolniło Jamatów do tego, że stali się narodem panującym nad dwoma tubylczymi ludami, które na miejscu zastali, podbili i powoli zupełnie wytępili. Z najstarszego plemienia karłów „kororopokuguru“ nie pozostało już nic; resztki późniejszych „Ainos“ mieszkają jeszcze dzisiaj na najbardziej na północ wysuniętej wyspie Hakkai Elo i są również na wymarciu. I tu więc jak wszędzie historya rozpoczyna się z podbojem tubylców przez obcych przybyszów. Mogli zaś oni przybyć, jak to Fukuda przypuszcza (str. 28), tylko albo z Chin, albo z południowo-azyatyckich wybrzeży. Sam przechyla się do tego ostatniego przypuszczenia, przytacza bowiem jako bardzo ważny argument, że stosunki rolne w Japonii są nader zbliżone do stosunków na wyspie Jawie, gdzie ze względu na mokrą uprawę ryżu, istnieje taka sama wspólność w posiadaniu roli, jaka do niedawna istniała w Japonii. Pierwotna organizacya, tak społeczna jak polityczna Japończyków była patryarchalno-rodowa. Istniały tam wielkie związki rodowe, jako prawno-polityczne jednostki (Wielkie Udżi) i małe związki, jako gospodarcze jednostki. (Małe Udżi). Te ostatnie rozpadały się znowu na „ko“ domy, które stały pod rządem ojca domu. Jednostka nic zupełnie nie znaczyła, a to tak dobrze pod względem prawno-politycznym, jak i gospodarczym: był to zupełnie komunistyczny porządek (str. 30), oparty także o religię, która polegała wyłącznie na czci przodków. Powoli jednakże, a mianowicie w siódmem stuleciu po Chrystusie, zaczęły stosunki ulegać zupełnemu przeobrażeniu.

Ludność wzrastała, związki rodowe stawały się coraz niezależniejsze, z Chin i z Korei zaczęła napływać znacznie wyższa kultura, a z nią razem przedostał się do Japonii wpływ religii buddyjskiej, która z natury rzeczy zaczęła podniecać rozwój indywidualizmu. Następstwem tego wszystkiego był niezmierny wzrost władzy cesarskiej. Cesarz, który pierwotnie był tylko najstarszym między naczelnikami

rodów, stał się powoli bezpośrednim władcą wszystkich rodzin. Jak się ten proces dokonał, kreśli autor w sposób bardzo zajmujący w drugim rozdziale. Tu oczywiście w sprawozdaniu szczegółów przytaczać nie mogę, nadmienię więc krótko, że pobudka do tej reformy wyszła z góry od najwyższej władzy, tj. od cesarzów, którzy ulegli wpływom chińskiej kultury. Już tutaj więc okazuje się, że w duchowej naturze japońskiego narodu tkwi wielka wrażliwość na obce wpływy, przy braku indywidualizmu. — To jest cecha, która wyróżnia Japończyków w sposób bardzo wydatny od starożytnych np. Hellenów, z którymi z drugiej znowu strony mają wiele wspólnych cech. Ta sama u nich mianowicie śmiałość, ruchliwość i przedsiębiorczość, ta sama pojętność i wrażliwość na obce kulturne wpływy. Z tą jednak różnicą, że Grecy byli nawskróś indywidualistami, podczas gdy u Japończyków tego brak zupełny. Dlatego też właśnie wytworzyli Grecy pomimo wielkiej wrażliwości na obce wpływy zupełnie nową we wszystkich kierunkach duchową kulturę, podczas gdy Japończycy przyjmowali zawsze narzuconą im z góry kulturę obcą. Słusznie też autor nasz pisze na str. 43: Reforma, która zrobiła cesarza samowładcą, wyniknęła bez porównania w wyższym stopniu z wpływów obcej kultury, aniżeli z naturalnego wewnętrznego rozwoju. Jest ona zupełnie podobną do reformy z roku 1867: Obie noszą na sobie wydatne cechy naśladownictwa. Dom cesarski w Japonii był w VII stuleciu po Chr. niezwykłym blaskiem chińskiej dynastyi „Tang“ zupełnie oszołomiony; aby doprowadzić Japonię do takiego samego blasku, zaczął naśladować chińskie urządzenia, podobnie jak w XIX wieku europejskie. — Cesarz, stawszy się więc z naczelnika rodów bezpośrednim najwyższym władcą całego narodu, domaga się w dalszym ciągu uznania go za wyłącznego właściciela ziemi. Dochodzi też do tego istotnie, jednakże z pewnemi ograniczeniami, które z natury rzeczy wynikły. Cesarz stał się wyłącznym właścicielem ziemi, ale tylko na ściślejszem jego cesarskiej władzy podległem terytoryum, w dalszych natomiast prowincyach dokonał się rozwój na rzecz rodzin namiestników, których przodkowie byli niegdyś naczelnikami rodów i w taki sposób zaczęła przygotowywać się trzecia faza w rozwoju Japonii, tj. czasy feudalizmu. Trwa ona względnie najdłużej, bo od początków X stulecia aż do r. 1602. Władza cesarska zaczyna powoli upadać. Powodów tego zjawiska należy szukać we wpływach religii buddyjskiej, dalej we wpływie chińskiej kultury, wreszcie w rozwielmożnieniu się rodziny „majordomów“ „Fudżiwara“. Powoli samo-

dzielny stan włościański upada, miejsce zaś władzy cesarskiej zajmuje władza różnych terytoryalnych panów. Ci jednakże zaczynają coraz więcej walczyć ze sobą, cały kraj staje się pastwą anarchii, tj. wzajemnie zwalczających się wodzów (str. 120). Ci potrzebują środków do prowadzenia wojen, zapożyczają się więc w miastach portowych. Tak zaczyna wzrastać mieszczański stan. W tych samych mniej więcej czasach powstaje mnóstwo religijnych sekt, do których w XVI wieku przyłącza się wpływ chrześcijaństwa. Dr. Fukuda z uszanowaniem podnosi działalność św. Franciszka Ksawerego w Japonii i powiada, że dzięki jemu, powstała w chrześcijaństwie przeciwwaga przeciwko dążeniom buddyjskich sekt. W XVI zatem wieku rozwój Japonii przedstawia się jak następuje: Na polu politycznem i społecznem upadek feudalizmu, na polu gospodarczem zmiana w położeniu ludności włościańskiej, potężny rozwój portowych miast, na polu religijnem do głębi sięgające przewroty, na wszystkich polach zupełny rozstrój dawnego rzeczy porządku. Zachodziła więc obawa, że stanie się Japonia pastwą zwalczających się stronnictw i że pierwszy lepszy energiczny przeciwnik np. Portugalczycy, Hiszpanie lub Holendrzy cały kraj powoli w europejską przemienią kolonię (str. 124). Gdyby się jednak komuś udało znowu wszystkie te sprzeczne prądy opanować i tak stare jak nowe wpływy zużytkować do wzmocnienia centralnej władzy, wówczas mogła być japońska jedność uratowana. Takie dzieło rozpoczął Nabunaga i prowadził dalej Hidejoszi, największy narodowy bohater Japonii, a dokończył Dzijejasu, który w r. 1603 zmusił cesarza Gojozei do zamianowania go swoim wielkorządcą „Szogun“ i nadał Japonii urządzenia, które zrobiły z niej najbardziej skończony typ policyjnego państwa (str. 127). Władza cesarza stała się zupełnie tylko pozorną.

Szogun był właściwym rządcą i panem; przy jego boku stało ministerstwo i rodzaj rady państwa przez Szoguna wybieranej. W taki sposób przyszła do rządu rodzina Tokugawa, za jej rządów zaś wpływ chrześcijaństwa został zupełnie wytępiony. Najpierwszą zasadą ich polityki stał się skrajny konserwatyzm i policyjna opieka w najdrobniejsze wchodząca szczegóły (str. 141). Obcym wstępu rząd zupełnie zabronił. Tylko Chińczycy i Holendrzy mogli prowadzić handel z Japonią i to bardzo ograniczony. Zapanował więc zupełny zastój, ale Japonia zdobyła jedność i całkowity spokój wewnętrzny przez lat 250. Ale właśnie dzięki temu spokojnemu rozwojowi stał się ów system rządów w połowie XIX wieku niemożliwym. — Indywidualizm na

wszystkich polach wzrasta i wykształca się a rzecz szczególna, prąd rewolucyjny zwraca się ku cesarskiej władzy. Podczas gdy we Francyi np. dążył do podkopania władzy monarchy, to w Japonii miał na celu przywrócenie legalnej władzy cesarzy, a obalenie nielegalnej władzy Szogunów. Do tego też doszło istotnie w roku 1867. Pobudka do rewolucyi przyszła jednak z zewnątrz, z Ameryki. W roku 1854 wymusili Amerykanie pierwszy traktat na Japonii, za tym poszły inne, i tak kraj cały stał się powoli dla Europejczyków przystępny, wpływ zaś Europy w szczególny podziałał sposób; oto wszystkie umysły zwróciły się ku cesarzowi. W końcu Szogun z rodu Tokugawa musiał władzę złożyć i zwrócić ją w ręce cesarza. Stało się to 9 listopada 1867. Odtąd postępuje przekształcenie stosunków w sposób bardzo szybki: już w roku 1890 była Japonia zupełnie na europejski sposób urządzonem państwem. Rewolucyi więc dokonał nie naród, lecz cesarz i jego rząd. Wydaje się to na pozór czemś niesłychanie zdumiewającem i niezwykłem, w gruncie rzeczy jest to objaw z psychologią japońskiego narodu zupełnie zgodny. Jednostka nigdy tu do znaczenia i powagi nie doszła, wrażliwość zaś na obce wpływy była zawsze wielka. Państwo policyjne było naturalnem przejściem od feudalizmu do liberalnego indywidualizmu. Taki sam rozwój przeszła także Europa. Wielka jest przecież między Europą a Japonią różnica: tam państwo policyjne upadło pod naciskiem prądu idącego z dołu, tu podnieta wyszła z góry. Okazuje się więc z całego tego przedstawienia dra Fukudy, że tak rewolucya z r. 1867, jak i cały dzisiejszy rozwój Japonii nie jest tak czemś zupełnie niezwykłem i nieprzygotowanem. 250 lat rządów policyjno-absolutnych przygotowało Japonię tak samo do konstytucyi, jak 300 lat absolutyzmu Europę. I tu i tam formy feudalizmu były zachowane, ale właściwy duch feudalizmu zniknął. Wykształciła się natomiast idea państwa, którą opanował w Europie konstytucyjny liberalizm, Japonia zaś, przygotowana doń także przez policyjny absolutyzm, przyjęła go od Europy tak samo, jak przyjęła niegdyś wraz z chińską kulturą także na ubóstwieniu monarchy oparty cezaryzm. Po dalsze szczegóły odsyłamy czytelnika do dzieła dra Fukudy, z którego istotnie bardzo wiele nauczy się każdy myślący człowiek, szczególnie jeżeli potrafi zestawić sobie w sposób porównawczy rozwój Japonii z rozwojem Europy.

Prof. M. Straszewski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła w Hiszpanii.

FORMALIZM I SKRUPUŁY LEGITYMISTÓW.

Naród hiszpański zaszedł w końcu na drogę, do której dążył przez lata: siał niby wiatr — dużo gorączkowych haseł, zamiast ziarn cnoty chrześcijańskiej, zbiera mało nadziei a dużo burz i niebezpieczeństw. Z tłem dawnych stosunków między Hiszpanami zapoznawał *Przegląd Powszechny* od czasu do czasu: pamiętają czytelnicy smutne opisy[1] jak „broniąc się od herezyi zewnętrznych, dumna Hiszpania długo nie spostrzegała, że duch religii katolickiej w niej coraz więcej słabnie, że religia w niej we formalizm się przerabia, i przez to w rzeczywistości coraz bardziej niknie... spaczona formalizmem tylko pęta nakłada a sił żadnych nie daje".

Na tem tle formalizmu powstał rak, który Hiszpanię toczy głównie w jej politycznym ustroju, ale także poważnie przeszkadza Leonowi XIII-u wywierać wpływ na ten kraj pod względem ducha chrześcijańskiego, i ledwo w zakresie gospodarki społecznej nie krępuje wpływu Kościoła. Ów rak należy do objawów nie znanych u nas w Polsce i nawet nie bardzo

[1] T. LXIV, str. 277, 278.

zrozumiałych. Pęta formalizmu krępują sumienia hiszpańskim legitymistom: ci katolicy, prawowierniejsi od Głowy Kościoła, wbrew powtarzanym nieraz przestrogom papieskim pielęgnują w duszy skrupuł, który im nie pozwala przysięgać na posłuszeństwo Alfonsowi XIII-mu. Pewno mało który czytelnik wie, że z religijnych pobudek wynika ów rokosz, rzekomo „arcykatolicki", który stronników Don Karlosa zbroił przeciw królowi Ferdynandowi VII-mu i jego córce królowej Izabelli, przetrwał następne rządy jego wnuka Alfonsa XII-go, a obecnie bierze prawnuka Alfonsa XIII-go we dwa ognie na współkę z republikańskiem wolnomularstwem. Odwieczna ustawa starogocka albo kastylijska dawała w Hiszpanii prawo do berła kobietom; dopiero w r. 1713-m Filip V-ty wprowadził ustawę salicką, ledwo przez sto kilka lat cierpianą w Hiszpanii; już w r. 1822-m kortezy zażądały od Ferdynanda VII-go powrotu do dawnej ustawy; Ferdynand ustąpił i 29-go marca r. 1830-go podpisał sankcyę pragmatyczną, mocą której usunął swojego brata Don Karlosa od salickiego prawa do berła a przywrócił to prawo staro-hiszpańskie swojej córce Izabelli. Tę to zmianę salickiej ustawy na kastylską, uchwaloną przez kortezy jako ciało ustawodawcze, poczytują tak zwani legitymiści za czyn nieprawy, bo Ferdynand dopiero w ośm lat po uchwale kortezów przywrócił córce prawo do berła[1]. Formaliści oświadczyli i do dziś dnia powtarzają, że sumienie im nie pozwala składać Izabelli i jej wnukowi Alfonsowi przysięgi poddańczej, a każe ją zachować dla męskich potomków Don Karlosa. Taki objaw uporu piętnuje religijne skrupuły wielkiej części społeczeństwa hiszpańskiego i zarazem stanowi w niem sprężynę, która porusza dużo kół w całej machinie społecznej.

[1] Zaraz też powstali karliści przeciw Ferdynandowi i przez ministra Colomarde umieli skłonić króla, — już na wpółprzytomnego pod koniec roku 1832-go, — żeby odręcznym wyrokiem odwołał sankcyę; i w tym wyroku odręcznym, przeciwnym poprzedniej uchwale kortezów, prawowierni nie upatrywali czynu nieprawego. Ale za ten wyrok odręczny zaraz stronnictwo wolnomyślne napadło na króla i wymogło na nim, że napowrót 31-go grudnia 1832-go zniósł salicką ustawę i po śmierci 29-go sierpnia 1833 zostawił berło Izabelli.

Legitymiści tylko w swoim stronnictwie upatrują szczerych katolików a lojalnym poddanym Izabelli i obu Alfonsów zarzucają brak zasad ścisłych i sumienie połowiczne: nawet papieżowi za złe biorą listy o potrzebie posłuszeństwa względem potomków Izabelli. Zatem ciągle na każdego lojalistę i na rząd królewski gromy spadają z obozu legitymistów i skargi, że przez odstępców od Don Karlosa przytępiony duch wiary i rozluźnione obyczaje wydają kraj w ręce wolnomularskie. Nieszczęściem sam Don Karlos, teraźniejszy pretendent, nie świeci przykładem dobrych obyczajów. Z drugiej strony dwór królewski i rząd ustawicznie doznają zaczepek od wolnomularstwa, iż bronią Kościoła i nie uwzględniają postępów myśli niezależnej. Zamęt doszedł do tego stopnia, że rozerwał nawet duchowieństwo na trzy obozy: część z biskupami słucha szczerze papieża, który żąda posłuszeństwa dla władzy; inni biskupi z księżmi obstają przy legitymizmie; garstka księży nakoniec przechodzi pod chorągiew wolnomyślną. Nie dziw, że głos Stolicy apostolskiej pada w Hiszpanii bez oddźwięku na wiele serc, rozmiłowanych w swojej teologii; zachęty papieskie, dawane w tym kraju katolikom do wspólnej obrony dzieła Chrystusowego, często doznają przeszkody z powodu przesądów politycznych, które nie dopuszczają wrogich hufców do spokojnej pracy w jednym obozie Kościoła.

PRACA DLA DOBRA WARSTW ROBOCZYCH.

Skrępowany w tym wpływie swoim Leon XIII-y, ale nie zrażony w pracy dla dobra Hiszpanii, zwrócił oko na lud ubogi i przynajmniej na polu społecznej gospodarki umyślił zbadać, czy znajdzie pomocników bez rozdźwięku między karlistami i alfonsistami, zwłaszcza wśród duchowieństwa. Widział już Leon XIII-y zawiązki swojej myśli podjęte w czynie przez księdza Antoniego Vicent T. J., który około kollegium w Manrezie stworzył w Hiszpanii pierwsze ognisko wspólnej pomocy dla robotników. Nader pomyślny rozwój początkowego związku dowiódł, że jego twórca nie tylko w teoryi posiada wybitną wiedzę socyologiczną, ale także niezwykły dar organizatorski a nadto niepohamowany pęd do pożytecznej pracy. W niedługim czasie umiał skupić koło siebie

całe zastępy skazańców na nędzę i pracę nad siły; dziś należy już do ludzi uwielbianych wśród warstw robotniczych. Prócz opieki nad dorosłymi, ks. Vicent wziął na swoje barki także pracę dla młodzieży ubogiej. Jedno miasto po drugiem wzywało jego rady, aby zakładać związki i przytuliska.

Taką pracę Leon XIII-y uznał odpowiednią swojej myśli i postanowił dać jej nowy rozpęd. Zatem skorzystał z zebranego zastępu biskupów, w czasie jednej z pielgrzymek hiszpańskich, i podał im hasło pracy chrześcijańskiej w dziedzinie, zapuszczonej odłogiem, w ciągu zatargów o obowiązku posłuszeństwa względem męskiej albo żeńskiej linii domu królewskiego. Słowa papieskie uderzyły przecie raz w strunę hiszpańskiego serca, jeszcze nie nadtarganą. „Mimo swojej niezgody — mówią *Historisch-Politische Blaetter* (r. 1901 str. 764) — mimo swojej rozterki, pod względami politycznymi i monarchicznymi, katolicy hiszpańscy nie stoją tak nizko na polu pracy społecznej, jakby mógł kto mniemać, gdy o ich trudach nie znajduje bliższych szczegółów w pismach ogólno-europejskich". Na dowód tych słów wymieniony miesięcznik pilnie roztrząsa urzędowe najnowsze sprawozdanie z dzieła, rozwiniętego przez Kościół dla dobra robotników. Z tego źródła istotnie można poznać, że wskazówka Leona XIII-go niosła za sobą błogosławieństwo dla dzieła księdza Vicent. Rozrost jego przeszedł najśmielsze nadzieje: liczy dziś między 57-u biskupami hiszpańskimi 45-ciu opiekunów, którzy w swoich dyecezyach popierają 264 związki robotnicze z liczbą 76143-ech członków. Między nimi 44 tysięcy, prócz innej pomocy, dostaje także pomoc do zawodowej nauki we własnych szkołach. Za młodzież nie chciał dzielny ksiądz odpowiadać, choć ją otaczał opieką, póki nie znajdzie sposobu by mógł wywierać na nią wpływ wychowawczy. Powziął myśl Związku opiekuńczego dla młodzieży rzemieślniczej. Dziś już ma w szkołach 10 tysięcy dzieci małoletnich, z rodzin zapisanych do związków; szkoły te wymownie odpowiadają na pytanie czy słusznie pisma wolnomyślne głoszą, że duchowieństwo ogłupia lud. Ks. Vicent zciągnął sobie zastęp pomocników duchownych i świeckich, nauczycieli szkół średnich i profesorów

wszechnic, którzy — bez żadnej zapłaty na ziemi — prowadzą te szkoły według ustalonego programu: uczą, prócz katechizmu, czytania, pisania i rachunków, także arytmetyki, buchhalteryi, rysunków zwykłych, ozdobnych i w perspektywie, fizyki, chemii, geometryi, elektrotechniki, muzyki, historyi, literatury hiszpańskiej, języków francuskiego i (w Madrycie) niemieckiego. O tem wszystkiem milczą w Europie pisma wolnomyślne, bo z tem nie mogą pogodzić swojego zarzutu, że Kościół wychowuje nieuków. Nieucy jednak ci, których już ośm tysięcy wyszło ze szkół bezpłatnych w samym Madrycie, błogosławią Boga i Kościół Jego za tych siewców nieuctwa, którym zawdzięczają chleb. Ze szkół państwowych nie wynieśliby tyle.

WYSTAWA PRZEMYSŁU CHRZEŚCIJAŃSKIEGO.

W maju przeszłego roku ksiądz Vicent wpadł znowu na inną myśl: robotnicy jego umieli pracować i wyrabiać rzeczy wcale ładne, ale nie umieli z dowcipem zawodowych kupców sprzedawać swoich wyrobów za pożądaną cenę; trzeba było urządzić jakąś wentę, aby ułatwić zbyt nagromadzonych wyrobów. „Ojciec rzemieślników“ wynalazł na to sposób: w sprawie swoich ubogich pochodził około warstw miarodajnych i zyskał, czego szukał: urzędownie otworzył wystawę wyrobów chrześcijańskiego przemysłu. Minister Gacia Alix, przydzielony do nadzoru nad tą wystawą klerykalną, a wybrany z grona otwarcie wolnomyślnego, nie taił, że nigdy nie przepuszczał takiego rozkwitu przemysłu pomiędzy nędzarzami pod opieką zakonnika. Wyroby z drzewa, kamienia i kruszcu, tkaniny jedwabne i szczerozłote, obuwie, oprawa książek, sprzęty domowe wyrobu stolarskiego i złotniczego, wytworne roboty pełne malowideł w poprawnym rysunku, słowem przeróżne rodzaje przemysłu w stołecznem mieście znanego: wszystko wykończone ręką wprawną świadczyło, że pod opieką Kościoła robotnik umie nie tylko modlić się, ale także pracować. Widok tej wystawy wywołał nieoczekiwane pochwały z ust wolnomyślnego ministra i poruszył Madryd: inni ministrowie pośpieszyli naocznie poznać, na co stać robotników, związanych przepisani Towarzystw katolickich; za ministrami szedł dwór, a nakoniec sam

król z matką regentką i księżniczkami krwi. Około 10000 osób zwiedziło wystawę w trzech dniach, więcej niż za 11000 pesetos (prawie tyleż koron austryjackich) sprzedali rzemieślnicy swoją pracę. Oczywiście głośno potem wywodzili skargi na tego mnicha, który ich utrzymuje w nieuctwie. Temi skargami zachęceni rzemieślnicy w Salamance również urządzili swoją wystawę i również pokazali światu, że Kościół źle im życzy, kiedy poleca zdolnym księżom przykładać ręką także do innych dzieł, a nie tylko do pracy przy ołtarzu.

Kiedy wystawy przyniosły ten wynik, niewyczerpany zakonnik poruszył jeszcze inną myśl: ułożył pomysł wystawy niejako wszechświatowej, która ma namacalnie okazać, ile robotnicy, oparci o Kościół i przez Kościół ośmieleni do obrony swoich praw, zdobyli dla swojego dobrobytu w ciągu przeszłego stulecia. Więc poszły pytania do przeróżnych związków katolickich po Europie i Ameryce, czy i ile może każdy z nich przysłać szczegółów dokładnych z plonu swojej pracy dla stanu roboczego? Z odpowiedzi na te pytania powstaje zbiór ciekawy: niezliczone obrazy, rysunki, książki i broszury, modele pracowni wzorowych i t. d. wypełniają dotychczas składy, nim pójdą do gmachu wystawy, aby namacalnie pokazać, co zdziałać umiała w świecie chrześcijańskim miłość, aby polepszyć dolę robotnika. Śmiało Hiszpan zakonnik posunął tę myśl i chętnych znalazł pomocników, bo w tej mierze socyalna-demokracya nie grozi współzawodnictwem z podobną wystawą swoich zdobyczy ani nie może przemocą na tej drodze powstrzymać demokracyi chrześcijańskiej.

OBRONA LUDU PRZEZ POPRAWĘ USTAWODAWSTWA.

Ale nie dość robotnikom umieć pracować i znaleźć zyskowny odbyt dla swoich wyrobów: jeżeli od Kościoła mają doznać opieki, tedy także w wielu innych względach potrzebują znaleźć w Kościele obrońcę swoich praw. O tem wiedzą ich orędownicy i założyli Związek ogólny badaczy i obrońców prawa robotników. U nas ubogie społeczeństwo znajduje w pojedynczych wypadkach poradę u lekarza albo prawnika uczynnego, który z miłości Chrystusa codzień w oznaczo-

nych godzinach niesie ulgę bliźniemu. W biednej Hiszpanii, kiedy społeczeństwo raz pojęło hasło demokracyi chrześcijańskiej, ruszyło śmiało do obowiązków chrześcijańskich: nie tylko z poszczególnemi poradami prawnika albo lekarza, ale z ciągłą pracą naukową, aby zdobyć promień światła na zamęt obecnych stosunków. Przeszło siedemset członków, ludzi nauki, posłów i senatorów, ruszyło na głos zachęty do Związku naukowego w obronie warstw robotniczych na polu ustawodawczem. Na czele tego związku demokratycznego stanął grand hiszpański, de Sottomayer, wraz z kardynałem Cretonim i arcybiskupem Madrytu; obowiązki wiceprezesów spoczęły na margrabi de Cuba i jenerale Arcarr'aga; ci dostojnicy mają obowiązki wykonawców uchwał, a uchwały wychodzą z ust ludzi wszelkiego stanu rękodzielniczego, którzy urodzeni w biedzie i wychowani także w biedzie, ale na szkołach wyższych, bez stronniczej pogardy dla domowego ogniska nędzarzy w łachmanach, roztrząsają sprawy społeczne, od których zależy dobrobyt robotnika. Wnioski ich, poparte głosami stronników w izbie i senacie, zaczęły łamać pierwsze lody ustawodawstwa wolnomyślnego, które rzuciło nędzarzy na igraszkę miłosierdzia bogaczy. Za doradcę pod względem stanowiska czysto kościelnego obrali sobie związkowi księdza Kandyda Sanz T. J. Niepojętym dla socyalistów przypadkiem, ten zakonnik całą duszą popiera robotników w ich wnioskach i umiejętnie zbiera dowody, aby poprzeć skargi robotników przeciwko prawodawstwu obecnemu. Ale miarodajne warstwy z ukosa spoglądają na wnioski Związku obrońców prawa robotniczego i wynajdują przeciw nim tysiączne zarzuty, aby nie dać im przejść w parlamencie. W pierwszej kadencyi parlamentu, kiedy te wnioski wystąpiły, przeszło tylko kilka z jedenastu. W drugiej przewaga głosów wolnomyślnych zniweczyła całą pracę Związku. W trzeciej znowu Związek natarł i przeprowadził przez izbę posłów i senat swoje wnioski, którym już królowa regentka udzieliła podpisu. Dziwnym także przypadkiem socyaliści najgłówniej powstawali przeciw wnioskom związkowych, oparci na zasadzie, że te wnioski jeszcze nie wyczerpują potrzeb robotniczych. Katolicy utrzymywali, że lepiej coś wziąć, niż nic, i prze-

prowadzili pomyślne uchwały. Oczywiście na dotychczasowych uchwałach nie poprzestaną: po to mają grono kilkudziesięciu prawników, aby swoim stronnikom w sejmie i senacie podawać obrobione pomysły. Inne stronnictwa dobierają sobie zamiast zawodowych prawników głośnych krzykaczy i więcej działają, niż demokraci chrześcijańscy. Skutkiem przeprowadzonej uchwały o zabezpieczeniu na wypadek kalectwa albo śmierci, chrześcijańscy demokraci sprawili w Hiszpanii, że w ostatnich dziewięciu miesiącach 1685 osób dostało wypłatę w sumie bliżko 100 tysięcy koron austryackich. Czerwoni krzykacze gdzieindziej bardzo łatwo dają daleko więcej — nie koron srebrnych, ale złotych obietnic.

OBROŃCY LUDU NIE PRZYJMUJĄ OD NIEGO NIC DLA SIEBIE.

Pod jednym przecie względem ustępują robotnicze Związki katolickie Związkom socyalistycznym: w Związkach katolickich robotnicy ze swoich wkładek utrzymują tylko kaleki i wdowy, a członkowie zarządu zamiast dostawać jakąś nagrodę za pracę, z własnej kieszeni pokrywają i własne potrzeby i wspólne wydatki Związku. Np. w pięciu związkach katolickich w Madrycie 8000 członków wpłaca po kilka koron rocznie i wydali w jednym roku 50000 pesetas na swoich chorych, lekarzy, aptekę i pośmiertne. Ale tylko na te wydatki służy wkładka, a nie na żadne inne, choć wspólne. Do tych ostatnich należą wydatki naprzód na szkoły, w których około 1600 dzieci robotników pobierało naukę i wiele z nich dostało strawę i odzież; nadto wzrosły wydatki na opłatę budynków, światło, opał, książki, pisma i t. d. Otóż w Związku socyalistycznym zarząd pokrywa także te wydatki z datków robotniczych, a nadto odtrąca sobie stosowne wynagrodzenie z kasy wspólnej. Zarządy katolickich Związków do kasy wspólnej nie mają prawa zaglądać: muszą pokrywać powyższe wydatki wspólne z własnego majątku, tem bardziej dla siebie nie dostają nic z kasy robotniczej. Oczywiście tego obrońcy ludu w związkach socyalistycznych praktyczniej obmyślili swoją gospodarkę.

SĄD WOLNOMULARSKI O ZASŁUGACH KOŚCIOŁA W HISZPANII.

Mimo tylu wysiłków Kościoła, aby spełnić swoje posłannictwo, nie ustają krzyki wolnomularstwa, że Kościół bogaczom podchlebia a biedaków ogłupia, aby ze wszystkich ciągnąć zyski w Hiszpanii. Z ust duchowieństwa w ostatnich czasach padały słowa gorzkiej prawdy do serca tysięcy katolików wszelkich warstw, którzy swoją wiarę pokładali na czczych oznakach zewnętrznych. Żaden kraj nie wydał takiego wroga obłudnych pobożnisiów, jakiego Hiszpania znalazła w księdzu Coloma T. J. Ten niezrównany pisarz chłostał społeczeństwo hiszpańskie bez żadnego względu na osoby; dotychczas jeszcze nie w wielu stosunkach widać stanowcze kroki na drodze poprawy; ale nacisk Kościoła, głos papieża, namowy biskupów, niestrudzony zapał wielu księży świeckich i zakonnych przecież wydaje niewątpliwe owoce w Hiszpanii na polu społecznem. Do liczb powyżej powtórzonych za urzędowym sprawozdawcą dodają *H. P. Blätter* wiele szczegółów na dowód, że w żadnym kraju Europy i Ameryki socyalizm nie znajduje pracy równie odpornej na jego hasła, jak w Hiszpanii. Leon XIII odkrył w tym narodzie czułą strunę, do której mógł przemówić z pożytkiem dla warstwy roboczej.

Za tę zasługę wobec narodu hiszpańskiego, Kościół w zapłacie odbiera od nielicznego, ale wpływowego obozu wolnomyślnych Hiszpanów zapowiedź prześladowczych kroków przeciw zakonom; zapowiedziom tym towarzyszą czyny, które zbroczyły krwią niejedno już miasto w Hiszpanii. Czy więcej tej krwi popłynie? nie wiemy. Wiemy, że Kościół w męczeńskiej dobie najświetniej zwycięża.

Ks. K. Czaykowski.

Znaczenie i wyniki I zjazdu przemysłowego w Krakowie.

VII.

Wielką batalię stoczono na Zjeździe o taryfy kolejowe. Referent p. Bronisław Chodkiewicz, zarazem referent taryfowy Wydziału Krajowego, żądał zaprowadzenia jednolitej klasyfikacyi towarów na wszystkich kolejach austryackich, na wzór uproszczonej klasyfikacyi kolei niemieckich. Ponieważ ilość wyjątkowych taryf, wyjątkowych przepisów i sporadycznych taryfowych zniżek jest tak znaczną, że ich ewidencya jest dla przemysłowca rzeczą niemożliwą, żądał dalej referent, by zredukować i uprościć ilość tych wyjątków aż do ostatecznych granic.

Postulaty te wywołały wielką, prawdziwie parlamentarną dyskusyę. Oponenci, w pierwszym rzędzie poseł Kolischer, z wielką siłą występowali przeciw zasadzie jednolitości. Życie jest tak różnorodne, mówił p. Kolischer, życie społeczne i gospodarcze zwłaszcza tak skomplikowane, że nie można jednem cięciem, jednym zamachem rozwiązywać węzła gordyjskiego. Owszem, zasada różniczkowania taryf jest ze wszech miar pożądaną, bo odpowiada strukturze życia gospodarczego. A jeśli dotychczasowe taryfy różniczkowe okazały się złe, to nie wynika z tego bynajmniej, by należało zaprowadzić taryfy jednolite, lecz że należy to, co złe w tych taryfach, poprawić i ulepszyć.

Rozumowanie to na pierwszy rzut oka przedstawia się jako kwintesencya rozumu praktycznego. Jednolitości może żądać tylko teoretyk, zapatrzony w widmo jakiejś idealnie sprawiedliwej justycyi, ktoś, ktoby chciał całe życie społeczne urządzić wedle jednolitego szablonu i wszystko podciągnąć pod jeden strychulec. Należy raczej zasadę różniczkowania wyzyskać w tym kierunku, by przy pomocy polityki taryfowej, państwo popierało w oddzielnych krajach koronnych te gałęzie przemysłu, które mają w tych krajach najwięcej warunków bytu.

Tymczasem przy bliższem rozpatrzeniu, kwestya ta w innem cokolwiek przedstawia się świetle. Że różnorodność życia gospodarczego powinna się uwydatnić także i w układzie taryfy, to zasada teoretycznie niewątpliwie słuszna. Ale czy przeprowadzenie tej zasady i u nas odpowiedni a dla naszego kraju korzystny znajdzie wyraz w faktycznym układzie taryfy, to kwestya dla siebie odrębna. Przy rozpatrywaniu tej kwestyi bowiem, musimy również uwzględnić, jak trudno uzy-

skać dla naszego kraju jakieś specyalne koncesye. Więc choć zasada jednolitości taryf potwierdzi może w różnych wypadkach słuszność opinii, że *summum ius summa iniuria*, to przecież, sądzę, że zasada ta nie doprowadzi może do takich dziwolągów taryfowych, jakie napotykamy w obecnej taryfie różniczkowanej. Oto kilka przykładów, wyjętych z referatu p. Chodkiewicza. Z Podwołoczysk do Wrocławia kosztuje przewóz wagonu jaj galicyjskich 362 mark a wagonu jaj rosyjskich 282 m. Transport wagonu cukru z Gałaczu do Czerniowiec kosztuje 222 franków, a gdyby fabryka galicyjsko-bukowińskiego towarzystwa dla przemysłu cukrowego, założona obok Czerniowiec, chciała swój produkt wysłać do Gałaczu, to podług obecnie istniejącej taryfy, musiałaby zapłacić za wagon 396 fr. Przywóz wagonu piwa z czeskiego Pilzna do Słotwiny kosztuje 416 koron a wywóz wagonu piwa okocimskiego ze Słotwiny do Pilzna kosztowałby 465 kor. i t. p. Dlatego też pewne wątpliwości w kwestyi, czy da się w praktyce przeprowadzić postulat zaprowadzenia prawa reekspedycyi po uszlachetnieniu produktu w ten sposób, by przewoźne nie liczyło się osobno ze stacyi A, w której nadano płód surowy lub półfabrykat do stacyi B, w której znajduje się odpowiedni zakład przemysłowy, a następnie ze stacyi B, wysyłającej fabrykat gotowy do stacyi C, która fabrykat ten konsumuje, lecz tak jak gdyby już ze stacyi A fabrykat gotowy szedł bezpośrednio do stacyi C. Mimo całą słuszność tego postulatu muszę zwrócić uwagę, że przeprowadzenie prawa reekspedycyi mieści w sobie pewną faworyzacyę dla krajów o słabo rozwiniętym przemyśle. W kwestyi merytorycznej trudno rzeczywiście sprzeciwiać się temu postulatowi.

W związku z zasadą jednolitości a raczej prostą jej konsekwencyą jest postulat, że celem zredukowania nadzwyczajnej ilości taryf związkowych tj. taryf, w których zawarte są ceny przewozowe między stacyami z dwóch lub kilku kolei, należy dla każdego kraju koronnego stworzyć jedną związkową taryfę, któraby zawierała wszystkie bezpośrednie ceny przewozowe, istniejące między stacyami tego kraju a stacyami innych krajów i obcych państw.

Referent żąda dalej bardzo słusznie, by taryfa była trwałą, bo kalkulacya przemysłowa, w której kolejowa taryfa znamienną gra rolę, nie jest obliczona na tygodnie, ale na lata.

Różnorodność przedsiębiorstw kolejowych wywołuje swe ujemne skutki nie tylko w sferze taryf związkowych, ale także w innym jeszcze kierunku. I tak, ponieważ na odrębnych kolejach nie tylko zasadnicze ceny taryfowe dla oddzielnych klas są różne, ale i klasyfikacya towa-

rów jest odmienną, przeto przewóz wagonu mebli z giętego drzewa na odległość 425 kilometrów kosztuje:

na kolei	państwowej	. . . . .	186 kor.
„	„	południowej	273 „
„	„	północno-zachodniej	680 „
„	„	północnej	764 „

To też wobec takiego stanu rzeczy staje się koniecznem zaprowadzenie jednolitej klasyfikacyi towarów na wszystkich kolejach austryackich, na wzór uproszczonej klasyfikacyi kolei niemieckich, wraz z zakazem samowolnych zmian wspólnej klasyfikacyi towarów na jednej z tych kolei.

Czy upaństwowienie kolei, w pierwszym zaś rzędzie upaństwowienie kolei północnej, zapobiegnie wszystkim tym brakom, nie jest rzeczą tak bardzo niewątpliwą, jak to się wydawało referentowi i wielu mowcom. Że będzie to krokiem na lepsze, to pewna, bo na układ taryfy społeczeństwo będzie miało wówczas wpływ znacznie większy. Czy atoli spełnią się dla naszego kraju wszystkie różowe horoskopy, zależeć to będzie w znacznym stopniu od konstelacyi politycznej.

W związku z kwestyą taryf kolejowych stała sprawa dróg wodnych, omawiana przez p. Michała Kornellę. Sprawa ta zasadniczo jest już właściwie przesądzoną. Drogi wodne u nas będą. Mimo to wszakże napotkały one na Zjeździe na opozycyę zasadniczą. Pan Chodkiewicz starał się wykazać, że kanały to rzecz bardzo droga, więc i taryfy będą wysokie, może wyższe nawet od kolejowych. Nie należy wszakże w tej kwestyi zapominać, że choć może budowa kanałów jest rzeczą nader kosztowną, to inaczej przedstawi się ta kwestya, gdy się uwzględni różnice kosztów w konserwacyi dróg żelaznych a dróg wodnych.

Nie było zresztą omówień na Zjeździe kwestyi dróg wodnych bez racyi. W ustawie opuszczono pierwotnie projektowany kanał Sądowa Wisznia-Lwów-Brody. Przeciw kanałowi temu, którego budowę referent uważa za bardzo pożądaną, była znaczna opozycya i w naszym kraju, z tego głównie powodu, że kanał ten będzie ułatwiał dowóz zboża rosyjskiego do Niemiec, które są rynkiem zbytu i dla naszego zboża. Referent zwraca wszakże uwagę, że przez Dniestr i tak łączymy sieć naszych dróg wodnych z Rosyą, a w dalszym ciągu domagamy się sami jeszcze jednego połączenia przez Wisłę w Nadbrzeziu. Jeżeli Rosya będzie potrzebowała dla swego zboża drogi wodnej do Niemiec, to ją zbuduje ze szkodą dla handlu austryackiego do Torunia, dokąd będzie dochodziła sieć kanałów niemieckich. Zdaniem referenta, należa-

łoby się raczej starać o skierowanie całego ruchu handlowego Rosyi przez projektowane u nas drogi wodne, gdyż, pominąwszy już dochód z przewozu towarów, będziemy mogli przez nałożenie odpowiedniej opłaty przewozowej wpłynąć właśnie na obniżenie zdolności konkurencyjnej zboża rosyjskiego z naszem. Nie obawiajmy się światowej drogi handlowej, kończy referent, bo z nią przyjdzie dobrobyt.

VIII.

Sprawom polityki handlowej poświęcone były trzy referaty, opracowane przez sekretarzy wszystkich trzech Izb handlowych i przemysłowych Galicyi. Sprawę traktatu handlowego z Niemcami przedstawił dr. Artur Benis. Po krótkim wstępie, w którym omawia austryacką autonomiczną taryfę cłową, przedstawia referent bardzo przejrzyście zasady traktatu handlowego z Niemcami z r. 1891. Rolnictwo niemieckie już wówczas nie było w stanie wyprodukować tyle drzewa, ile go potrzebował własny przemysł fabryczny lub budowlany, ani tyle zboża, bydła, warzyw, masła, jaj i innych ubocznych płodów gospodarstwa rolnego, ile artykułów tych konsumowała bogacąca się ludność, której wymagania życiowe rosły w miarę większych zysków i lepszych zarobków. Ten własny deficyt płodów rolnych, a więc to, czego Niemcy same we własnym interesie dla siebie potrzebowały, stanowić miało treść ustępstw wobec Austryi, w zamian za związanie czyli stabilizacyę ceł austryackich. Węgry z góry były ujęte korzystnymi widokami dla swego wywozu zboża, a dla powstającego u siebie przemysłu nie obawiały się niemieckiej konkurencyi, gdyż, dzierżąc w ręku całą politykę taryfową na swej sieci kolei państwowych, posiadały zarazem najskuteczniejszy i łatwo dający się regulować środek do obrony własnej produkcyi fabrycznej przed obcą. W Cislitawii zaś podziałał charakter rolniczy traktatu na sfery agrarne. Sferom przemysłowym uczyniono cały szereg wewnętrznych koncesyi, których koszta w pierwszym rzędzie spadły na nasz kraj,

Austrya zniżyła wobec Niemiec cło na pewne specyalne maszyny, na lepsze i najlepsze tkaniny z przędzy oraz z bawełny, jako też na wyroby chemiczne. Wszystkie te artykuły muszą być wytwarzane w bardzo wielkiej ilości, podczas gdy konsumcya jednego kraju jest z reguły za małą, aby wchłonąć cały wyrób. Warunkiem istnienia tych przemysłów jest eksport. Zakłady fabryczne muszą się specyalizować dla oszczędzenia kosztów zarządu, dla lepszego wyzyskania czasu, materyału, odpadków, maszyn i wprawy robotnika, jakiej się nabywa,

wykonywując z dnia na dzień tę samą czynność lub obsługując tę samą maszynę. Racyonalna produkcya prowadzi do specyalizacyi, specyalizacya do powiększenia ilości wyrobów, a jako jedyna racyonalna droga wyjścia pozostaje tylko eksport.

Austryacki przemysł nie doznał przez te koncesye żadnej zgoła szkody. Odcięty, niemal we wszystkich działach od eksportu, skazany tylko na zbyt wewnętrzny nie miał warunków do specyalizacyi w kunsztowniejszych i droższych wyrobach, jakich się u nas mało tylko potrzebuje. Zniżka cłowa nie przyniosła i nie mogła przynieść żadnej ujmy interesom austryackich fabrykantów. Owszem, wprost przeciwnie. Niższe cło od maszyn pomocniczych, od niektórych półfabrykatów, od przetworów chemicznych i t. p., zapewniło im tylko wcale pokaźne oszczędności.

Na przedmioty masowej produkcyi i codziennego użytku, w pierwszej linii na żelazo i pospolite wyroby tkacko-przędzalniane, pozostawiono niemal bez zmiany dawne wysokie cła autonomicznej taryfy. Te wysokie cła stworzyły też warunki do organizacyi kartelowej, tak bardzo dla Galicyi niebezpiecznej.

Traktaty przyniosły nadto austryackiemu przemysłowi wobec państwa niemieckiego pewne ulgi cłowe na nieliczne wyroby, będące specyalnością monarchii. Upusty te odnosiły się przeważnie do przedmiotów, których eksport był dla Austryi rzeczą stosunkowo bardzo doniosłą a których import był dla Niemiec albo potrzebny albo obojętny. W jednym wypadku chodziło o artykuły, dla których się Niemcy nie miały powodu obawiać obcej konkurencyi, w drugim o istotne techniczne specyalności austryackie, jedyne i sławne na cały świat, w innym znowu o towary wyrabiane w Austryi ręcznie, czego w Niemczech dla drogości robotnika nie można racyonalnie produkować i t. d. Oczywiście, były to wszystko koncesye dla przemysłu zachodnio-austryackiego, wzmacniało więc przewagę przemysłową zachodniej Austryi.

Kompenzatą za ofiary poniesione przez Galicyę miały być koncesye rolnicze. Tymczasem wszystkie te koncesye nie miały żadnej wartości. Zniżki celne na zboże nie miały znaczenia, bo monarchia wogóle zboża na wywóz nie produkuje. Zniżki celne na inne płody rolnicze traciły zaś swą wartość przez to, że Niemcy, zawarłszy w r. 1894 traktat handlowy z Rumunią, a później z Rosyą, na podstawie klauzuli największej faworyzacyi, udzieliły najzaciętszym współzawodnikom Austryi, Rumunii i Rosyi tych samych zniżek. Wszystkie płody rolnicze galicyjskie spotykają się w Niemczech z takimiż pło-

dami rosyjskimi i rumuńskimi i nie mają wobec nich żadnej preferencyi cłowej. Kraje te produkują taniej płody rolnicze, niż Galicya, i płacą w Niemczech równe z nami cło. Eksport płodów rolniczych do Niemiec jest więc częścią niemożebny, częścią zaś z powodu nizkich, konkurencyą Rosyi i Rumunii wywołanych cen, nielukratywny.

Referent dochodzi w końcu do następujących wyników. Artykuły przemysłowe, których Galicya nie produkuje, podrożały wskutek karteli, które zarazem utrudniają rozwój przemysłu w Galicyi. Rolnictwo, oraz produkcya płodów ubocznych gospodarstwa rolnego nie zyskały nic, gdyż nie mają w Niemczech korzystniejszych warunków cłowych, jak te same produkta pochodzenia rosyjskiego, amerykańskiego, rumuńskiego lub wogóle wszelkiego obcego. Niemcy deprecyonują artykuły te w Austryi i wprowadzają albo bez cła albo za cłem stosunkowo małem. Galicyjska nierogacizna ma do Niemiec wstęp zamknięty, wyroby mięsne oraz bydło rogate wstęp nader utrudniony. Niemieckie cło różniczkowe na drzewo nie pozwala się w Galicyi rozwinąć przemysłowi drzewnemu i wyhodowało sztucznie niemiecki przemysł drzewny, posługujący się galicyjskim surowcem. Galicyjski cynk wydano w końcu na łup niemieckiej konkurencyi, utrudniono warunki wywozu dla galicyjskiego ozokerytu i cerezyny, pogorszono sytuacyę galicyjskiego nafciarstwa przez nizkie cło na falsyfikat rosyjski, podwyższone dopiero przed dwoma laty.

Niewiadomo czy dojdzie obecnie do odnowienia traktatu z Niemcami. Referent oświadcza się za tem, by nowa autonomiczna taryfa cłowa poruszała się w duchu silnej protekcyi celnej. O ileby zaś miało przyjść do nowych traktatów, żąda sprawozdawca, by wyeliminowano błędy, popełnione w r. 1891, i to o ile chodzi o nasz eksport do Niemiec, jakoteż o ochronę naszej produkcyi w tych artykułach przed obcym zalewem.

Gdy dr. Benis stoi na stanowisku ochrony celnej, wychodzi więc ze stanowiska ochrony interesów produkcyi gospodarczej, dr. Stanisław Rittel, referent sprawy traktatów handlowych z Rosyą, wychodzi przedewszystkiem ze stanowiska ochrony i opieki nad handlem. Zwróciwszy uwagę na ścisłą łączność, jaka zachodzi między polityką cłową a taryfową, zaznacza on, że gospodarstwo państwowe nie tylko żadnej z tego nie odnosi korzyści, lecz owszem ponosi poważną szkodę, jeżeli zapasy produktów surowych, pochodzących z krain grawitujących dla swojego położenia geograficznego ku szlakom austryackich kolei skarbowych, okrążają w dużym łuku granice monarchii, by się dostać do

Czech, Moraw, Śląska, Dolnej Austryi i t. d., zamiast zdążyć tam krótszą drogą państwowych kolei austryackich. Zapatrywanie, jakobyśmy byli w stanie wysokiemi taryfami przewozowemi uniemożliwić, lub choćby tylko utrudnić produktom rosyjskim przystęp do targów krajowych, albo takiemi taryfami tranzytowemi ułatwić sobie konkurencyę na targach zagranicznych, okazało się, jak uczy doświadczenie, mylnem.

Bardziej stanowczym w tonie i żądaniach był referat dra Władysława Stesłowicza o ugodzie cłowo-handlowej z Węgrami. Referent przedstawił przedewszystkiem szczegółowo nieprzyjazną postawę Węgier wobec Galicyi, kulminującą w różniczkowych taryfach węgierskich dla drzewa galicyjskiego, spirytusu, nafty. Rząd węgierski bardzo nierównomiernie traktuje kupców i przemysłowców austryackich przy dostawach i przy wielu innych sposobnościach. Z tego też powodu żąda referent usunięcia tych wszystkich niedogodności; stawia wreszcie postulat, aby ustawodawstwo społeczno-polityczne było w obu połowach monarchii jednolite i oparte na tych samych zasadach. Referent nie sądzi, by zawarcie ugody z Węgrami leżało w interesie ekonomicznym naszego kraju. Jeśli ugoda ta mimoto ma być zawartą (z innych względów), domaga się referent modyfikacyi punktów ugody w kierunku większego uwzględnienia interesów kraju, w szczególności też koncesyi od rządu w kierunku intenzywniejszego niż dotychczas popierania przemysłu rodzimego i produkcyi krajowej.

W dyskusyi przewijała się, jak wąż morski, sprawa wyodrębnienia Galicyi. Wymieniam ją na tem miejscu dlatego, że to wyodrębnienie najdobitniejszy swój wyraz ma chyba w odrębności cłowej. Sprawy tej nie postawiono na porządku dziennym Zjazdu. A szkoda. Bo choć nie ma ona na razie wielkich warunków realizacyi, to przecież jest to postulat zbyt ważny i zanadto zasadniczy w kwestyi rozwoju przemysłu krajowego, by go zupełnem pomijać milczeniem.

IX.

Pod wpływem wysokiej ochrony celnej, zwłaszcza zaś wysokiego cła autonomicznej taryfy na przedmioty masowej produkcyi i codziennego użytku, wytworzył się w Austryi cały szereg organizacyi kartelowych. „Żelazo, stal, przędza wełniana i bawełniana, płótno, sukno, szkło, papier, porcelana, naczynia emaliowane, cukier, nafta, cement, klej, soda, cynk, skóra, gwoździe, drut, blacha, nawozy sztuczne i długi jeszcze szereg innych artykułów najpospolitszego i najpowsze-

dniejszego użytku, których technika i warunki fabrykacyi wogóle na to pozwalają, wszystko to dzisiaj w Austryi ujętem jest w kartele".

Jakkolwiek organizacya kartelowa ma tę stronę dodatnią, że zapobiega hiperprodukcyi i za tem idącem przesileniem, to przecież ma ona bardzo wiele stron ujemnych, a te strony ujemne odczuwa przedewszystkiem nasz kraj. Stąd też dziwiło mnie to bardzo, że taki wytrawny a praktyczny znawca stosunków przemysłowych naszego kraju, jakim jest bezwątpienia referent tej sprawy na Zjeździe p. Leopold Baczewski, przedstawiał konieczność wydania ustawy kartelowej, któraby kartele ujęła w formy prawne, poza tem zaznaczając tylko konieczność organizacyi kartelowej. A wtórował mu dr. Benis, który w swym referacie o traktacie handlowym z Niemcami, Zjazdowi przedłożonym pisał: „Kartele nie przynoszą nam żadnej korzyści, a wyrządzają tylko dwukrotną szkodę".

Sprawę karteli można rozpatrywać z trojakiego punktu widzenia. Ze stanowiska wielkiej produkcyi przemysłowej można przyznać niewątpliwie, że dodatnie strony karteli przeważają. Inaczej rzecz się ma, jeśli punktem wyjścia jest interes konsumentów lub interes innych kategoryi przemysłu. O szkodach a przynajmniej niebezpieczeństwach dla konsumentów (podobnie zresztą jak i dla robotników) mówiono już często. Piszący te słowa, zwrócił w dyskusyi uwagę przedewszystkiem na tę okoliczność, że, chcąc oceniać znaczenie gospodarcze karteli ze stanowiska interesów Galicyi, (a o to chyba powinno było chodzić na Zjeździe), trzeba uwzględnić, że u nas, pominąwszy nieliczne stosunkowo wyjątki, wielkiego przemysłu niema. A że go niema, to jedną z walnych przyczyn jest niewątpliwie konkurencya zagraniczna, względnie zakrajowa olbrzymów przemysłowych, przedewszystkiem karteli. Jak każde przedsiębiorstwo monopoliczne, tak i kartele dążą do rozszerzenia rynków zbytu, więc też trudno byłoby chyba w życie wprowadzić postulat p. Baczewskiego, by w drodze ustawowej zabroniono kartelom rozszerzania swej działalności na kraje o słabo rozwiniętym przemyśle.

Czy kartele można ująć w specyalne formy prawne? Zapewne. Ale zwrócić należy uwagę, że w ten sposób nie ukróci się samowoli karteli, a przynajmniej można to uczynić w nielicznych stosunkowo wypadkach. Wszak kartele mogą w wyższym lub niższym stopniu ścieśnić samoistność przedsiębiorstw, w skład kartelu wchodzących, mogą przybrać formę spółki cichej, spółki akcyjnej itp. Wreszcie sprawa o formę prawną staje się wogóle dopiero wówczas aktualną,

gdy rzecz wchodzi pod orzecznictwo sądowe. A jak rzadko to się dzieje, dowodzi choćby dotychczasowa praktyka austryacka w tym względzie. Ze względu na możliwość tej alternatywy, która zresztą nierzadko będzie się zdarzać, uznanie takiej osobnej formy prawnej nie będzie zapewne szkodliwem, choć, jak powiadam, wielkiego pożytku nie przyniesie. W każdym razie na uznanie zasługuje postulat referenta, że, celem ukrócenia nadużyć kartelowych, winno przysługiwać rządowi prawo zastósowania na polu polityki cłowej i taryfowej takich środków, któreby zdołały nadużyciom tym zapobiedz. Trudno natomiast powiedzieć to samo o innem żądaniu referenta, które zdąża w tym kierunku, by rządowi dać prawo zmiany statutów kartelu pod zagrożeniem jego unieważnienia. Byłoby to bowiem zupełną prawie socyalizacyą produkcyi. Mimo wszystkie swe niedostatki kartele niewątpliwie istnieć będą. To też słusznem a bardzo praktycznem było żądanie, by przedsiębiorstwa galicyjskie dążyły do zyskania jak największego kontyngentu w łonie kartelu. Dobrze, że nie przyszło do żadnej rezolucyi w tym względzie, bo rezolucya taka byłaby zbyt podobną do wezwania, by każdy przedsiębiorca galicyjski uczynił swoje przedsiębiorstwo jak najbardziej rentownem.

Innemi formami asocyacyi przemysłowej zajmowano się na Zjeździe dość mało. Zapowiedziane były wprawdzie pierwotnie aż dwa referaty o spółkach akcyjnych, ale oba odpadły z powodów bliżej mi nieznanych. Prócz tego tylko piszący te słowa przedstawił wniosek o konieczności zaprowadzenia w Austryi spółek z ograniczoną poręką *(Gesellschaften mit beschränkter Haftung)* na wzór niemieckiej ustawy z dnia 20 kwietnia 1892. Spółki te, w istocie swej zbliżone do spółki jawnej, ale różniące się od niej ograniczoną poręką, okazały się w Niemczech bardzo korzystną formą prawną tam, gdzie chodzi o rozwinięcie wielkiej energii i przedsiębiorczości, gdzie więc zarząd musi być ruchliwy i sprężysty a spółka obejmuje niewielką stosunkowo liczbę osób. Spółki takie zresztą już się u nas tworzą faktycznie (np. w przemyśle naftowym) chodzi więc teraz o uzyskanie odpowiedniej formy prawnej. Na polu faktycznej organizacyi sił przemysłowych, Zjazd zainicyował dwie asocyacye: Centralny związek dla przemysłu fabrycznego w Galicyi. Związek ten ma stać na straży interesów przemysłu galicyjskiego, a jego założenie będzie niewątpliwie rzeczą wielce pożyteczną i pożądaną. Że zaś rzecz sama dojdzie do skutku, za to ręczy nam choćby osoba ks. Andrzeja Lubomirskiego, gorącego patrona tej myśli. Czy ciałem stanie się także „krajowe ak-

cyjne Towarzystwo naftowe dla eksploatacyi ropy", jest kwestyą cokolwiek wątpliwą. Towarzystwo to ma na celu utworzenie wielkiego przedsiębiorstwa, któreby się opierało na krajowych kapitałach. Myśl niewątpliwie bardzo piękna. Czy tylko Zjazd był właściwem forum, dla rozpoczęcia akcyi w tym względzie, dla wyboru komitetu, który rzecz całą ma w życie wprowadzić? Towarzystwa akcyjne tworzą się z reguły z inicyatywy prywatnej, tworzą się tam wtedy, gdzie inicyatorowie przypuszczają możność zysku. Inicyatywa Zjazdu ma cechę filantropii. A filantropia a przemysł, to rzeczy zupełnie różne.

X.

Podstawą wszelkiej akcyi publicznej powinno być w pierwszym rzędzie poznanie faktycznej podstawy. Poznanie to wymaga niejednokrotnie bardzo szczegółowych badań. Dotyczy to przedewszystkiem stosunków życia gospodarczego, w pierwszym rzędzie przemysłowego. Nie wystarcza tu zbadanie ogólnej sytuacyi gospodarczej, ale koniecznem się staje rozpatrzenie warunków rozwoju każdego przemysłu z osobna. Badanie takie wymaga pracy bardzo ścisłej i bardzo wytężonej, a można je uważać za dokonane dopiero po przeprowadzeniu całego szeregu studyów monograficznych. Do pracy takiej bardzo dobrze nadawałoby się specyalne krajowe biuro dla statystyki przemysłu i handlu, którego wskrzeszenie proponował p. Józef Tuleja. Wskrzeszone, musiałoby oczywiście mieć do dyspozycyi większy materyał i w ludziach i w pieniądzach, na wydawnictwa biura przeznaczonych, niż to się działo dotychczas.

Na Zjeździe przedstawiono cały szereg specyalnych referatów, omawiających sytuacyę gospodarczą w oddzielnych gałęziach przemysłu. Jak zaznaczyłem to już powyżej, nie można tych referatów uważać za wyczerpujące, w każdym razie jednak były one objawem dodatnim, ponieważ dobrze świadczyły o poważnym tonie obrad zjazdowych.

Wśród tych specyalnych referatów, zasługuje przedewszystkiem na uwagę referat p. Jana Blautha o przemyśle torfowym. Jest w Galicyi około 200 morgów torfowisk, z czego bardzo mała część jest przedmiotem eksploatacyi, reszta zaś leży zupełnie odłogiem. Wiele torfowisk nie nadaje się wcale do użytku przemysłowego; należałoby zatem przeprowadzić w pierwszym rzędzie dokładne badania co do wartości użytkowej torfowisk krajowych, i te z nich, które się nie nadają do celów przemysłowych, poddać kulturze rolnej. Główne za-

stósowanie torfu w przemyśle polega na przeróbce na materyał opałowy. Zarówno ten przemysł przetwórczy jak inne sposoby zastósowania torfu w przemyśle (np. dla wyrobu tkanin, spirytusu itd.) znajdują się jeszcze w początkach swego rozwoju i w znacznej części nie wyszły jeszcze ze sfery prób. Sam torf — z powodu małej wydatności ciepła i niemożności transportowania na większe odległości, może służyć jako opał tylko w ciasnym zakresie lokalnym. Natomiast doniosłe znaczenie może mieć wyrób węgla torfowego oraz koksu, wreszcie w mniejszym stopniu, brykietów mieszanych z ropą naftową. Liczne niepowodzenia, których doznały u nas i zagranicą przedsiębiorstwa torfowe, stosując niewypróbowane należycie wynalazki, zrażają niejednokrotnie do dalszych usiłowań. Należałoby zatem przedewszystkiem założyć specyalne biura techniczne, informacyjne i doświadczalne dla przemysłu torfowego; ich działalność mogłaby się w pierwszym rzędzie przyczynić do tego, by luźne usiłowania przeszły w systematyczną produkcyę, oraz forsować wyrób węgla torfowego, rentowny i doniosły dla kraju.

Dyrektor krajowej szkoły gospodarstwa leśnego, p. Maryan Małaczyński, mówiąc o przemyśle drzewnym, podniósł, że silny eksport drzewa surowego do Niemiec, który stanowi główną podstawę naszego czynnego bilansu handlowego, nie jest wcale dodatnim objawem. Zbyt wielka intenzywność w tym kierunku w dawniejszych czasach spowodowała, że musieliśmy zejść do niższej kolei rębowej i dziś mamy na eksport przeważnie już tylko drzewo kopalniane. Zarówno niemieckie cła jak i taryfy kolejowe faworyzowały dotąd dowóz surowca do Niemiec, stawiając zapory dowozów i wyrobów z drzewa. Projekt nowej niemieckiej taryfy idzie jeszcze dalej w tym kierunku. Te trudności handlowo-polityczne należy wszelkiemi siłami zwalczać a równocześnie dążyć do tego, by surowiec drzewny był przerabiany w samym kraju rownolegle z intenzywną ochroną lasów przed wyniszczeniem i wogóle z podniesieniem gospodarstwa lasowego.

Prawdziwie wielkim przemysłem jest przemysł naftowy. Ale choć przemysł ten tak świetnie w kraju się rozwija, i daje zatrudnienie tysiącom robotników, to jednak jest on krajowym chyba w części, ponieważ własność przedsiębiorstw naftowych znajduje się przeważnie w rękach obcych. A ubolewać należy nad tem bardzo, że zyski przedsiębiorcze, które przynosi produkcya ropy, były wprost ogromne, tak np. wynosiły one, jak podaje referent tej sprawy na Zjeździe, p. Roman Załoziecki, w ostatnich 5 latach 37 milionów koron. Wszystkie

te zyski płynęły przeważnie za granicę. Znakomite zyski przynoszą także rafinerye nafty, o ile są urządzone na wielką skalę i równocześnie mają własne kopalnie ropy. W tym kierunku należy dążyć usilnie do dalszego rozwoju, gdyż z 69 rafineryi w naszym kraju tylko 12 należy do kategoryi większych, a cała produkcya destylatu w Galicyi wynosi obecnie tylko około 700.000 cetn. metr., gdy produkcya ropy przenosi 3 i pół miliona cetn. metr.

P. Edmund Zieleniewski w referacie o przemyśle maszynowym, którego rozwój stoi w ścisłym związku z wytworzeniem przemysłu fabrycznego wogóle w naszym kraju, wywodzi, że przeszło 60% całej produkcyi maszynowej w Galicyi, o wartości rocznej $7\frac{1}{2}$ mil. kor., znajduje zbyt w dostawach rządowych. Jaskrawy kontrast z tem stanowi postępowanie ciał samorządnych, zwłaszcza gmin większych, które swe znaczne zapotrzebowanie pokrywają przeważnie zagranicą, kierując się nieufnością do przemysłu krajowego, przeważnie nieopartą na konkretnych doświadczeniach. Podobne stosunki zachodzą co do zbytu maszyn rolniczych. Zwalczanie gmin i rolników, którzy obecnie z większą pobłażliwością traktują niedostatki obcej fabrykacyi niż krajowej, jest pierwszym punktem programu akcyi, zmierzającej do rozwoju tej gałęzi przemysłu krajowego.

P. Wenanty Szydłowski wskazał na ogromną przewagę zagranicznego fabrycznego przemysłu tkackiego, przewagę której nawet spółki wytwórcze nie mogą dostatecznie przeciwdziałać. Stoimy dziś wobec faktu, mówił referent, że mamy cały zastęp robotników tkackich, bardzo dobrze wykształconych w szkołach fachowych, którzy są zmuszeni szukać pracy zagranicą lub rzucać się na inne zawody, gdyż Galicya produkuje zaledwie $\frac{1}{12}$ całej swej konsumcyi w wyrobach lnianych i bawełnianych. To też p. Szydłowski widzi jedyne wyjście w założeniu fabryki tkackiej (tkalni mechanicznej).

Podobnie jak w przemyśle drzewnym i naftowym, tak i w przemyśle masarskim wywóz polega głównie na wywozie surowca. Widocznem jest nawet pewne cofanie się wstecz w tym kierunku. Byłoby z wielką korzyścią dla kraju, mówił referent prof. dr. Stefan Pawlik, gdybyśmy — zamiast wywozić surowiec — wywozili gotowe wyroby, które obecnie w Pradze i w Wiedniu produkują się przeważnie ze świń galicyjskich. Polem zbytu byłyby nietylko targi zachodnio-austryackie, jak Praga i Wiedeń, lecz także Węgry, gdzie nadwyżka dowozu szynek i kiełbas ponad wywóz dochodzi do 2 milionów koron. Mamy i dziś firmy, produkujące kiełbasy krakowskie fabryczne

na eksport z wielkiem powodzeniem. Referent sądzi wszakże, że organizacya spółkowa doprowadziłaby do znacznie większego rozwoju w tym kierunku.

Bardzo ciekawy acz smutny fakt przytacza dr. Jan Rucker w referacie o przemyśle konserwów. Fabryka konserwów jarzynowych w Lubyczy Królewskiej pokrywa zaledwie 50% konsumcyi galicyjskiej, której resztę pokrywa zagranica. Sama jednak eksportuje przeszło połowę swej produkcyi (około 35.000 kg) do prowincyi zachodnio-austryackich, do Węgier, nawet do Niemiec, co jest najlepszym dowodem dobrej jakości i taniości wyrobów. Przemysł konserwów ma u nas wszelkie warunki rozwoju a fabryki obecnie istniejące rozwijają się wcale pomyślnie. Rozwój ten szedłby niewątpliwie w tempie o wiele szybszem, gdyby cała konsumcya wojska w Galicyi, przedstawiająca wartość około $1^3/_4$ mil. kor. była zaspokojoną przez fabryki krajowe, które tymczasem w rzeczywistości dostarczają wojsku konserwów zaledwie za 150.000 kor.

P. A. Klimaszewski mówił o przemyśle ceramicznym. W kilkunastu ostatnich latach rozwinęły się dwie gałęzie z zakresu tego przemysłu tj. ceglarstwo i kaflarstwo. Obok fabryk, wyrabiających wyłącznie cegły, powstają wielkie fabryki dachówek i cegielnie dla wyrobu rurek drenowych. Kaflarnie nasze wyrabiają, z wyjątkiem porcelanowych, prawie wszystkie inne rodzaje pieców. Natomiast garncarstwo stale upada, głównie pod wpływem konkurencyi tanich naczyń porceanowych i żelaznych emaliowanych, sprowadzanych z zagranicy, jak i wskutek podrożenia materyałów surowych i robocizny, tak że garncarz ceną uzyskaną za wyrób często nie pokrywa nawet kosztów produkcyi. Podobnie bardzo nierozwiniętym jest u nas wyrób naczynia kamionkowego, cegły ogniotrwałej i fajansu szlachetnego.

* * *

Zjazd powziął w sprawach, które były przedmiotem obrad, długi szereg rezolucyi. Uchwalanie rezolucyi weszło już w zwyczaj na Zjazdach, tego rodzaju. Czy forma rezolucyi ma jakieś donioślejsze znaczenie, wątpię. Zjazd nie był bowiem ani reprezentacyą interesów, bo choć brała w nim udział znaczna liczba przemysłowców galicyjskich, to jednak obok nich było wielu przemysłowców z Królestwa i Wielkopolski; a powtóre uczestniczyło w Zjeździe wiele innych osób, choć wogóle tylko ci ludzie, którzy chcieli, ażeby był wielki przemysł w Galicyi. Powtóre nie był ten Zjazd żadnem ciałem ustawodawczem, któ-

reby mogło powziąć uchwały, mające jakąkolwiek moc prawną. Jeśli mimo to uznać musimy obrady Zjazdu za pożyteczne, to dlatego, że poruszyły one umysły, wskazały z wielką siłą, gdzie trzeba naprawy. O znaczeniu i tendencyi Zjazdu nie decydowały też rezolucye formalnie powzięte, które były zresztą niekiedy ze sobą sprzeczne, ale duch, który na Zjeździe panował. A jeśli były na Zjeździe różnorodne opinie i kierunki, stronnictwa, to przecież jednoczyła wszystkich gorąca chęć pchnięcia rozwoju gospodarstwa krajowego na nowe tory. O sposobie i faktycznym rodzaju akcyi w tym kierunku nie mógł istotnie decydować Zjazd. O tem zadecyduje samo społeczeństwo.

Dr. Zygmunt Gargas.

Położenie krawców w Krakowie i spółka produkcyjna.

Rękodzielnictwo obecnie ciężką przechodzi fazę przesilenia, a w naszem mieście ze wszystkich gałęzi przemysłu drobnego najbardziej może dotknięty jest w swojej egzystencyi, najwięcej może potrzebuje ratunku i pomocy drobny przemysł krawiecki.

Majster krawiecki, wyrwany nagle z prastarej organizacyi cechowej, bez pomocy i podpory, puszczony samopas na wzburzone morze rozkiełznanych sił ekonomicznych, siłą stosunków wciągnięty w wir szalonej walki konkurencyjnej, dziś z wielkim tylko trudem zdoła się utrzymać przy swoim warsztacie.

Przygniata go przedewszystkiem konkurencya wyrobów fabrycznych.

W Krakowie do niedawna nie było ani jednego większego składu gotowych ubrań, publiczność z nielicznymi wyjątkami zaopatrywała się w ubrania u miejscowych krawców. Każdy majster żywo jeszcze ma w pamięci, kiedy po raz pierwszy ku wielkiemu jego zdumieniu i strapieniu, agenci wielkich magazynów wiedeńskich urządzili w Sukiennicach w dzień jarmarczny wystawę gotowych ubrań. Próba jarmarczna widocznie się powiodła, gdyż niebawem ujrzano po głównych ulicach Krakowa powstające filie wielkich wiedeńskich fabryk z gotowemi ubraniami. Dziś liczymy w Krakowie takich magazynów kilkanaście, a mniejszych żydowskich sklepów z ubraniami jest na Kaźmierzu i ulicy Szpitalnej około 80.

Zestawmy teraz składy te i sklepiki z gotowemi ubraniami z liczbą samodzielnych majstrów i pracowników krawieckich.

W samym Krakowie mamy obecnie przeszło 700 krawców. Katolickich majstrów krawieckich liczymy do stu, a czeladników około 400; żydowskich zaś majstrów jest przeszło 70, czeladników do 150.

Cyfry te, dorywczo zebrane, są wymowne bardzo i przerażające rzucają światło na krakowskie rękodzielnictwo krawieckie. Znać, że tu zażarta i potężna toczy się walka. Obcokrajowa produkcya fabryczna mocuje się w śmiertelnych zapasach z naszem rękodzielnictwem i pracą ręczną.

Walka ta ekonomiczna w dwóch toczy się kierunkach: w dziedzinie produkcyi i zbytu i na gruncie gospodarki kredytowej.

Obcokrajowe magazyny z gotowemi ubraniami taniością towaru i swoją organizacyą kupiecką po prostu zabijają naszych rękodzielników.

Fabryka przedewszystkiem produkuje tanio a ogół publiczności kupuje tam, gdzie taniej. Zasada: to dobre, co tanie, zwyciężyła na całej linii. Daremnie tu apelować do uczuć patryotycznych. Prawda, na świeżo odbytym wiecu przemysłowym padło znowu hasło u nas wciąż powtarzane aż do przesytu od lat wielu: popierajmy nasz przemysł! Ale cóż znaczy hasło idealne wobec nieodpartych potrzeb życiowych. W życiu codziennem, z nielicznymi wyjątkami, każdy kieruje się zdrowym egoizmem gospodarczym. Zresztą budżet roczny ogółu publiczności ledwo wystarcza na opędzenie całego szeregu nieodzownych do życia potrzeb — nie sposób więc pozwolić sobie na tego rodzaju *luksus* gospodarczy.

Daremnie tu wskazywać na to, że towar fabryczny jest zwyczajnie lichy, że ciąży na nim cały szereg wad roboty tandetnej.

Ale bo też jak się wyrabia towar tandetny?

W wielkich składach fabrycznych sukna widzieć nieraz można cały szereg wozów naładowanych pokrajanem suknem.

Co to za sukno? Są to resztki i sztuki sukna źle wyrobione, które za pomocą maszyny kraje się na ubrania. Jedna taka maszyna robi tu za 30 przykrawaczy. Sztuki te przykrojone zabiera następnie przedsiębiorca i rozwozi do szycia po okolicznych wioskach. To też nic dziwnego, że towar tani, bo i sukno liche i robota licha. Ale publiczność nie zwraca na te braki i wady uwagi — dla niej najgłówniejsza, że towar tani.

Zresztą sam magazyn z gotowemi ubraniami dziwny jakiś czar wywiera na publiczność i przyznać trzeba, że dobrze urządzony sklep

kupiecki więcej przypada do zmiennych potrzeb i gustów publiczności, niż pracownia krawiecka i robota na zamówienie. Już sama wystawa ładnych towarów nęci oko a grzeczna obsługa kupiecka podoba się publiczności. A względy praktyczne. W wielkim składzie znajduje się zawsze towar w kilku gatunkach, stosownie do upodobań i życzeń kupujących, co więcej, tam niemal każde życzenie niewyraźne przybiera kształt widomy, namacalny, błyszczący barwą i nowym deseniem. W sklepie lepsza obsługa, kupiec na żądanie, towar odeśle do domu, przyjmie go napowrót, gdy się nie podoba i t. d., słowem, magazyn nie tylko taniością towarów ale i organizacyą kupiecką przewyższa niezmiernie produkcyę ręczną rękodzielnika. Przeciętna pracownia krawiecka nie ostoi się wobec konkurencyi wielkich składów.

Większe jeszcze szkody, niż magazyny, wyrządza krawcom krakowskim nierządna gospodarka kredytowa.

Niezmiernie ważną rzeczą dla samodzielnego rzemieślnika jest mieć na podorędziu na cele produkcyjne dogodny i tani kredyt. U nas zaś pole kredytu rzemieślniczego leży dotąd zupełnie odłogiem.

Stowarzyszenia zaliczkowe i kredytowe [1], gęsto rozsiane po miastach galicyjskich dla drobnego przemysłu, nic prawie nie zdziałały. Kredyt ten jest dla rękodzielnika za drogi, i z trudnymi połączony warunkami, zresztą instytucye te, oparte przeważnie na obcych kapitałach, łaknące wysokich dywidend, z natury rzeczy nie przypadają do stosunków i potrzeb rękodzielnika.

Samodzielny majster krawiecki potrzebuje przedewszystkiem kredytu na wystawę sukna i na wypłaty z tytułu dostaw i robót publicznych — a gdzie go znajdzie?

Prócz instytucyj zaliczkowych i kredytowych, które mają charakter banków, mamy nadto w Krakowie Towarzystwo zaliczkowe rękodzielników z kapitałem własnym 70000 złr., zebranym z udziałów, mamy prastare Towarzystwo Dobroczynności i Bank Pobożny, wyposażony kapitałem zakładowym 750000 złr., fundusz zapomogowy (13000 złr.), wydzielony z funduszu rezerwowego Krakowskiej Kasy Oszczędności i mający służyć wyłącznie drobnym rękodzielnikom, ale wszystkie instytucye te — aczkolwiek bezsprzecznie dużo dobrego dla rękodzielników tutejszych zdziałały — raz zbyt szeroki mają zakres działania,

[1] Patrz: „Ankieta kredytu rękodzielniczego w ministerstwie handlu", w *Związku, organie stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych,* nr, 1, 2, 3, 4. 5 roku 1901

a powtóre służyć tylko mogą jednostkom ekonomicznie silniejszym, dającym pewną gwarancyę finansową. Skoro zaś potrzebujący kredytu rękodzielnik nie ma własnego majątku, albo interesu, któryby dawał jakąś gwarancyę — właściwie żadnego kredytu nie znajdzie. Poręczycieli bowiem w takich warunkach zwyczajnie bardzo trudno znaleźć, a często jest to i rzecz kosztowna. Fabryka również bez dostatecznej gwarancyi nie dostarczy sukna na kredyt. Większość więc majstrów zmuszoną jest z braku gotówki brać swe materyały od kupców żydowskich na kredyt, płacąc oczywiście za tę przysługę gruby procent.

Z drugiej zaś strony jest u nas niezdrowy, pasożytnie krzewiący się sposób udzielania kredytu, który towar ogromnie podraża a rękodzielnika zbyt często do zupełnej przywodzi ruiny. Otóż w składach i sklepikach gotowych ubrań zwykle każdy znajduje łatwy i dla siebie dogodny kredyt, choć grzeczność tę kupiecką grubo trzeba opłacić. Więc i krawcy krakowscy zmuszeni są klientom swoim udzielać kredytu i to najczęściej ponad wszelkie granice możności.

„Krawiec — pisze świeżo w tej samej sprawie *Czas* — musi udzielać kredytu, przekraczającego nieraz wszelkie granice rozsądnego rachunku, bo są w Krakowie sklepy, sprzedające ubrania na spłaty po 2 złr. miesięcznie! są magazyny, którym rachunek kupiecki jest obojętny, bo wszelka gotówka, jaka tylko dostanie się do ich rąk, jest czystym zyskiem, skoro nie mają zamiaru zapłacić swych dostawców i spekulują na — upadłość“ [1]. Jaskrawe aż przerażające światło pod tym względem rzucają na stosunki kupieckie w Galicyi wogóle a bodaj czy nie w znacznej mierze na Kraków roczne sprawozdania wiedeńskiego stowarzyszenia wierzycieli, które ma na celu ubezpieczenie swoich członków przed stratami, wynikającemi z upadłości odbiorców. Z pośród austryackich krajów koronnych pod względem sumienności kupieckiej Galicya tam ostatnie prawie zajmuje miejsce. Tak np. w r. 1891 w krajach z wyłączeniem Galicyi wymusiło stowarzyszenie wierzycieli w drodze sądowej na upadłych kupcach 31% swoich pretensyi — w Galicyi zaś tylko 10%, a w roku następnym zgoła nic. Czego fakt ten dowodzi? Oto, że indywidua w konkurs popadłe zawczasu ukryły swoje mienie przed wierzycielami i złożyły fałszywą przysięgę manifestacyjną, albo też, że dłużnicy nie zażądali otwarcia konkursu, skoro tylko swą niewypłacalność spostrzegli, ale miesiące

[1] Patrz: *Czas* z dnia 6 listopada, wydanie poranne.

i lata całe żyli z cudzego grosza, kiedy masa konkursowa nie wystarczała nawet na zapłacenie drobnej części wierzytelności“ [1].

W takich stosunkach jakże tu może się ostać sumienny majster? Obcokrajowa konkurencya w formie składów i sklepików z robotą tandetną, połączona z bezładną gospodarką kredytową po prostu zagłodzą i zamorzą naszych majstrów samodzielnych, jeżeli im nikt nie przyjdzie z pomocą.

W tych opałach konkurencyi ostać się jeszcze może pracownik obrotny, inteligentny, pod względem fachowym dobrze wykształcony, który rozporządza pewnym kapitałem, ale i to do czasu tylko. I jego zmiecie niebawem z widowni bezlitośna a częściej jeszcze nieuczciwa konkurencya obcokrajowa i obcoplemienna, jeżeli zawczasu nie zdoła rozszerzyć swego warsztatu i uzbroić się w całą nowożytną umiejętność kupiecką. Produkcya bowiem na wielką skalę i organizacya kupiecka, to są te dwie potęgi, które zmiatają dzisiaj rzemieślnika z widowni ekonomicznej, jak wicher jesienny pożółkłe i uwiędłe z drzewa liście.

Inteligencya i wykształcenie fachowe, choćby najdoskonalsze, bez kapitału mało tu znaczą. Ten oto majster jest prawdziwym mistrzem w swoim zawodzie. Co z pod jego ręki wychodzi jest starannie wykończone z poczuciem estetycznem, według najświeższej mody wykonane, ale nie stać go na założenie pracowni i wyposażenie jej w wyborowe i modne materyały krawieckie, nie stać go na zdobycie sobie drogą reklamy kupieckiej szerszego koła klienteli. I jakiż będzie rezultat jego wysiłków i pracy? całe życie zejdzie mu na niepopłatnej wojnie z produkcyą fabryczną, dopóki jakiś nieprzewidziany wypadek lub zastój w pracy nie zepchnie go do rzędu zawisłego proletaryatu krawieckiego.

Współzawodniczyć dzisiaj skutecznie z produkcyą fabryczną jedynie może spółka produkcyjna, wyposażona we wszelkie ułatwienia techniczne i oparta na organizacyi kupieckiej. Tę drogę też obrało dość liczne grono pracowników krawieckich i ludzi dobrej woli w Krakowie, kiedy przed niespełna dwoma laty założono tu spółkę produkcyjną (Floryańska 7) pod firmą „Związek handlowo-przemysłowy katolickich krawców“, która niebawem miała się rozwinąć w potężne przedsiębiorstwo i roztoczyć w całej dziedzinie przemysłu krawieckiego szeroką

[1] Patrz: „Walka z drożyzną“ przez prof. Antoniego Górskiego. *Przegląd Powszechny* z roku 1893.

i wielostronną działalność. Duszą przedsiębiorstwa są dwaj księża, którzy razem w rzadki sposób łączą w sobie nieugiętą, żadną przeciwnością niepokonaną energię i zapał płomienny do pracy społecznej na szeroką skalę ze zmysłem praktycznym i przezornością prawdziwie kupiecką.

W programie wytknął sobie Związek cel następujący:

a) zakładanie i prowadzenie magazynów tanich ubrań;

b) zakładanie składów surowych materyałów krawieckich;

c) dostarczanie członkom swoim pracy w zakresie krawieckim;

d) udzielanie członkom swoim kredytu do wysokości udziału złożonego.

W dalszym zaś ciągu statutu czytamy cały szereg praktycznych uchwał i zarządzeń, odnoszących się jużto do organizacyi jużto do działalności związku i świadczących dowodnie o tem, z jaką gruntowną znajomością rzeczy i daleko idącym poglądem, założyciele spółki zabrali się do pracy około podźwignięcia, choć w części tylko przemysłu krawieckiego z upadku. Przytoczymy tu niektóre z nich:

Prawo głosu na zgromadzeniach daje pierwszy pełno wpłacony udział na 500 koron, każde dwa następne udziały aż do jedenastego włącznie po jednym głosie, dalej zaś dopiero każde pięć następnych udziałów i to tylko do trzydziestego szóstego włącznie. Dalsze zaś udziały nie dają żadnego głosu. Nabyć jeden udział nader łatwo nawet dla najbiedniejszego, bo się przyjmuje raty po 4 korony miesięcznie.

Z jednej strony więc spółka, ułatwiając przystęp do przedsiębiorstwa i najbiedniejszym, oparła się na szerokich warstwach ludu, z drugiej zaś strony otoczyła się nieprzebytym wałem obronnym wobec członków bogatszych, ażeby uniemożliwić przekształcenie się spółki na przedsiębiorstwo kapitalistyczne. Udziałów bowiem wolno mieć dowolną ilość, ale liczba głosów na walnem zgromadzeniu ograniczona, nikt nie może mieć więcej jak 11 głosów. W ten sposób podano rękę i najbiedniejszym krawcom do korzystania z dobrodziestw płynących ze spółki, czystym zaś zyskiem dzielą się wszyscy, co mają udziały i publiczność wspierająca spółkę i członkowie zawodowi.

Półtora roku dopiero istnieje Związek a już na różnych polach szeroką i dobroczynną rozwinął działalność.

Stan rachunków z okresu tego czasu, jak na początek, świadczy wymownie o kwitnącym stanie i finansowej sile przedsiębiorstwa. Ostatni bilans tegoroczny (1-go półrocza 1901) jest następujący:

stan czynny wynosi	84274 koron
„ bierny „	79985 koron
zysk wynosi	4289 korun

Obrót kasowy z dziewięciu miesięcy pierwszego roku istnienia Związku (od kwietnia do końca roku 1900) wynosił 170338 koron a czysty zysk 2926 kor. Członkom, posiadającym udziały po 100 kor., wypłacono 6% dywidendy a krawcom 18% premii tytułem zysku od pracy.

Prócz tego sprowadza Związek hurtownie sukna i inne materyały krawieckie z pierwszej ręki i rozsprzedaje je członkom po cenach jak najniższych. Szkoda tylko, że Związek nie może kupować sukna w fabrykach krajowych, ale to już nie wina Związku. Z dojmującym żalem tłumaczy się z tego Dyrekcya Związku w ostatniej odezwie: „Fabryki bowiem w Białej są w rękach niemieckich, a te kilka fabryk w Kętach, Łańcucie i Żywcu, produkować mogą jedynie w szczupłym zakresie — i to najzwyczajniejsze sieraczki, sukna — nieraz bardzo dobre, ale i bardzo drogie. Płótna korczyńskie, wilamowickie bardzo dobre, ale nie dla krawców. Niepomiernie drogie i nie te, których potrzeba. A dla całej masy rozmaitych dodatków krawieckich ani jednej fabryki krajowej. Czyżby zatem nie opłaciło się pomyśleć o stworzeniu tej zyskownej gałęzi przemysłu, pyta się Dyrekcya, i w odpowiedzi na to pytanie rzuca pomysł wielki, doniosły, który gdyby się dał urzeczywistnić, stanowiłby punkt zwrotny nie tylko w stosunkach przemysłu krawieckiego, ale w rozwoju przemysłowym w kraju wogóle.

„Ponieważ trudno jest całe masy niezorganizowanych krawców i publiczność natchnąć jedną myślą solidarnego popierania przemysłu krajowego, przeto byłoby wskazanem dla rozwoju tej gałęzi przemysłu stworzyć zorganizowaną falangę spółek krawieckich w większych miastach, rozsianych po całej Galicyi na kształt Kółek Rolniczych. Zaopatrując się w towar na wielką skalę *en gros*, stanowiłyby one niejako fundament stałych odbiorców i znakomitą podporę w normalnem rozwijaniu się przemysłu krajowego“.

Prócz pośredniczenia w zakupnie towarów dla zawodowych członków, utrzymuje nadto Związek wspólny warsztat pracy i magazyn z gotowemi ubraniami, które wyrabiają członkowie we własnych warsztatach na wspólny rachunek. We wspólnej zaś pracowni pracują przykrawacze sukna i przyjmują się zamówienia na miarę. W ten sposób zatrudnia Związek już dziś około 50 pracowników krawieckich. Jedni zajęci są robotą więcej szablonową do magazynu, pierwszorzędne zaś

siły fachowe przykrawają sukno na ubrania i pracują na zamówienie, tak że Związek jest w stanie odpowiedzieć najwybredniejszym pod względem wykończenia roboty wymaganiom publiczności. Kto zaś w samodzielnym chce pracować warsztacie, niezawiśle od Związku na własny rachunek i własne ryzyko, znajdzie również wieloraką pomoc i poparcie w Związku. Bo naprzód otrzyma surowe materyały krawieckie z pierwszej ręki po cenie możliwie najniższej, powtóre znajdzie w spółce źródło otwarte kredytu odpowiednio do wysokości wpłaconych udziałów na bieżące potrzeby warsztatowe, po trzecie w razie peryodycznego braku pracy, co jest u krawców zwyczajnem, może znaleźć zatrudnienie w spółce, pracując na rachunek spółki do wspólnego magazynu.

Co się tyczy wewnętrznego urządzenia i rozmieszczenia się spółki, pozostaje jeszcze dużo do życzenia. Całe przedsiębiorstwo w zbyt ciasnych mieści się ścianach. Potrzeba dużo więcej światła i powietrza i przestronych ubikacyi, żeby spółka mogła wzróść w siłę i rozwinąć wszystkie siły produkcyjne, któremi rozporządza. Trzeba urządzić wspólny warsztat jasny, obszerny, zdrowy, wyposażyć go w najnowsze zdobycze techniki. Rozrzucone magazyny i warsztaty trzeba skupić w jednem ognisku, bo to niezmiernie utrudnia administracyę całego przedsiębiorstwa. Potrzeba wielkiej hali z ładną wystawą towarów na magazyn, słowem, żeby spółka mogła się dostatecznie rozwinąć i w kierunku produkcyjnym i kupieckim musi się postarać o własny dom, a to tem bardziej, że dotychczasowy czynsz od sklepu, magazynów i pracowni znaczną część rocznego dochodu pochłania.

To też z szczerą radością dowiedzieliśmy się, że Zarząd Związku nosi się z myślą zakupienia domu, że już pierwsze w tej mierze poczynił kroki. Ale bo też własny dom jest nieodzownym warunkiem i podstawą dla pełnego rozwoju przedsiębiorstwa. Oto leży przed nami odezwa Zarządu, odwołująca się w tej sprawie do pomocy krawców i publiczności. Dom już jest upatrzony na dogodnem miejscu przy ulicy Floryańskiej. Brak tylko jeszcze dostatecznych funduszów. „Związek bowiem nie rozporządza tak wielkim kapitałem, przeto urzeczywistnienie tego planu zawisło jedynie od życzliwego poparcia ludzi dobrej woli“ — pisze Dyrekcya Związku.

Mniemamy, że Zarząd tak żwawo i rozumnie krzątający się około tej sprawy, nie zawiedzie się w oczekiwaniach swoich. Nie idzie tu bowiem o jałmużnę. Związek krawców nie jest instytucyą opartą na dobroczynności chrześcijańskiej, nie zależy od jałmużny publicznej, ale jest to przedsiębiorstwo przemysłowo-handlowe, stojące o własnej sile

finansowej i zapraszające publiczność do współudziału w interesie fabrycznym i kupieckim. Wspólnemi siłami złożony kapitał będzie zahipotekowany na zakupionej kamienicy, tak że bezpieczeństwo pożyczonej sumy niezależne będzie od powodzenia przedsiębiorstwa.

Nie idzie tu dalej o poparcie kilku tylko pracowników krawieckich związanych w spółkę, ale idzie o poparcie znacznej części krawców krakowskich, o ratowanie ważnej gałęzi produkcyi krajowej, strasznie zagrożonej w swojej egzystencyi napływem obcokrajowych towarów tandetnych. Popierać takie przedsiębiorstwo jest czynem prawdziwie patryotycznym.

Rękę podać można Związkowi w sposób podwójny: naprzód biorąc udziały na zakupno kamienicy, które można spłacić od razu, albo też ratami w przeciągu 3 miesięcy; po drugie braniem i rozszerzaniem udziałów na przedsiębiorstwo, ażeby spółka rozwinąć mogła w całej pełni wszystkie swoje siły produkcyjne i oprzeć się na pewnych i niewzruszonych podstawach; po trzecie przez kupowanie towarów w spółce i zamówienia, przedewszystkiem zaś dostawy ze strony instytytucyi większych. Na pracy bowiem i obrocie kupieckim polega egzystencya i powodzenie spółki.

Warunki subskrybowanego kapitału na zakupno domu są następujące:

a) Pożyczone Związkowi pieniądze na zakupno domu będą zaraz po zawarciu kontraktu kupna i sprzedaży na nazwisko wierzyciela zahipotekowane na zakupionej kamienicy;

b) stopa procentowa od udziałów na zakupno kamienicy nie może przekraczać 5 %;

c) gdy liczba subskrybowanych akcyi dosięgnie połowy wartości kamienicy tj. 30 tysięcy złr., Dyrekcya Związku kat. krawców złoży szczegółowe sprawozdanie w sprawie zakupna kamienicy;

d) wysokość subskrybowanego udziału na zakupno kamienicy jest dowolna.

Życzymy z całego serca Związkowi, żeby akcya ta, wdrożona tak energicznie i prowadzona rozumnie, znalazła jak najszersze poparcie u publiczności i krawców krakowskich.

Ks. Leonard Lipke.

Z zakresu medycyny.

W dalszym ciągu Sprawozdania naukowego z dziedziny medycyny, podanego w Nrze 211 Tomu LXXI, zapoznać pragnęlibyśmy czytelników z kilkoma świeżemi zdobyczami wiedzy lekarskiej. — Wprawdzie specyalizacya różnych gałęzi medycyny i różnych pism fachowych utrudnia znacznie wybór ważniejszych punktów wytycznych z pośród ogromu przeróżnych teoryi i doświadczeń, jednak znajdują się mimo to na porządku dziennym naukowego rozwoju tego rodzaju sprawy, o których ogólniejszem znaczeniu nikt wątpić nie może. — Nie chcę przez to powiedzieć, aby dla nauki, jako takiej, każdy objaw postępu nie miał znaczenia; owszem każdy wyspecyalizowany kierunek badań, nie bywa już uważanym za fantastyczną lub konwencyonalną formę, sztucznie wytworzoną, lecz za konieczność, wypływającą z ogromu całokształtu wiedzy i dążącą napowrót niejako do tego ogromu. — Chcę tylko podkreślić, że wśród wielkiej walki teoryi i praktyki z nieprzyjaciółmi naszego zdrowia i życia, trudno ocenić, który strzał jest najcelniejszy, który krok strategiczny najważniejszy. — Kierując się raczej popularnością niektórych kwestyi i interesem ogólnym, jaki budzą niektóre zagadnienia, przedstawimy na razie obraz dwóch walk, a mianowicie: walki z pasożytami i walki z bólem.

Jak to już wspomnieliśmy w poprzedniem sprawozdaniu, wśród walki z pasożytami chorobotwórczymi, najrozpaczliwszą może, ale też i najbardziej wytężoną na wszystkich placówkach jest walka z gruźlicą. — Obchodzi ona wszystkie stany, nie tylko dlatego, że równie na nią są narażone, lecz także dlatego, że w ostatnich czasach do ogromnej maszyneryi wkluczono nietylko wpływ różnych władz, instytucyi, zgromadzeń i kongresów, lecz także działalność każdego z nas w odpowiednim zakresie. — Stąd też wynika potrzeba zapoznania się co pewien czas z najważniejszymi momentami tej akcyi i z najważniejszymi faktami naukowymi. — Do takich należą, w ostatnich czasach, obok systematycznie prowadzonej w praktyce walki desynfekcyjnej, teoretyczne badania nad tożsamością gruźlicy u ludzi i u bydła. — W tej ważnej kwestyi, na której polegać może jedna z najważniejszych zagadek zaraźliwości zapomocą mleka, mięsa itp. — wypowiedział Koch na ostatnim kongresie w Londynie bardzo śmiałe twierdzenie, że gruźlica u ludzi i u bydła jest zupełnie odrębnem cierpieniem. —

Wstrzykiwanie prątków gruźlicy ludzkiej do krwi lub tkanek zwierzęcych nie dało bowiem rezultatów śmiertelnych, a i naodwrót u dzieci, karmionych mlekiem, bardzo rzadko spotyka się pierwotna gruźlicę przewodu pokarmowego. — Faktom tym ciekawym nadają jednak niektórzy, np. Muttermilch, znaczenie zupełnie inne, twierdząc że pasożyt, wywołujący silne zakażenie pewnego organizmu, może w pewnej ilości przypadków w takim samym organizmie, a tem bardziej w organizmie innego rodzaju, być przyczyną bardzo nieznacznej reakcyi. — Pierwszy z powyżej przytoczonych faktów, obserwowanych przez Kocha, możnaby zatem wytłumaczyć przypuszczeniem, że organizm ludzki jest odporniejszym na wpływ pasożytów gruźlicy w porównaniu z organizmem bydlęcym, skutkiem czego żywotność ich słabnie podczas zaszczepienia zwierzętom. — Drugi zaś z faktów, obserwowanych przez Kocha, można tłómaczyć tem, że prątki gruźlicy zwierzęcej, dostawszy się do przewodu pokarmowego człowieka, napotykają na warunki tak szkodliwe dla swego rozwoju, a potrzeba specyalnych warunków, aby one ominęły wrota, któremi weszły i zaatakowały tkanki o mniejszej odporności. — Taka jest przynajmniej hypoteza cytowanych powyżej badaczy. — Dla czytającego ogółu, pragnącego jak najmniej hypotez, a jak najwięcej pewników, wynika stąd praktyczna uwaga, aby nie uchwycić się wyczytanej przypadkowo w jakimś popularnym dzienniku wiadomości o braku tożsamości między gruźlicą ludzi i bydła, lecz trzymać się na razie ostrożnie prawideł hygieny i profylaksy. — Zwłaszcza szereg nowych badań, rozpoczętych dziwnym zbiegiem okoliczności, w pracowniach polskich, wskazuje na to, że pasożyt gruźlicy nie jest prawdopodobnie „bakteryą“, lecz drobnoustrojem „roślinnym“, przybierającym różne formy w różnych fazach swojego rozwoju. Wobec tych nowych dróg możliwego rozszerzania się, dotąd nie uwzględnianych przez nas wśród walki, a którym poświęcimy bliższą uwagę, gdy osiągniemy rezultaty o bardziej ogólnikowym zakroju, należy nam z jeszcze bardziej wytężoną energią działać ku własnej obronie i pilnie przestrzegać zestawionych przez naukę praw izolacyi, dezynfekcyi, profylaksy oraz hygieny mieszkań i pożywienia. — Po tem krótkiem sprawozdaniu z kilku najnowszych teoryi i spostrzeżeń z dziedziny walki z gruźlicą, przechodzimy do niemniej będącego na czasie, a mianowicie do „walki z bólem“ zapomocą rozmaitych form znieczulania.

Jeżeli nad którą z najnowszych zdobyczy medycyny, to może najbardziej nad sprawą tak zwanego znieczulenia rdzeniowego, w osta-

tnich czasach szeroko dyskutują fachowe koła i pisma o ogólniejszym zakroju. — Szeregi dowodów *pro i contra* zostają gromadzone przez uczonych, szpalty dzienników zapełniają się szczegółowymi opisami wyników operacyjnych, a trzeźwa krytyka wyczekuje jeszcze chwili, aby wypowiedzieć sąd ostateczny. — Sprawę tę i my o tyle w niniejszych uwagach mamy obowiązek poruszyć, że nie jest ona ani specyalnie chirurgiczną, ani nawet ogólnie lekarską, lecz w najszerszym zakresie tego słowa ogólno-ludzką. — Kto sobie uprzytomni całą historyę rozwoju chirurgii, kto słyszał może od naocznych świadków o rękoczynach wykonywanych na polu bitwy lub w szpitalach bez uśpienia, ten z pewnością potrafi oddać hołd badaczom, którzy wprowadzili do medycyny szereg środków lekarskich, pozwalających wykonywać bez bólu najzawilsze i najcięższe operacye. — Że jednak nie ma rzeczy bez „ale", więc i w sprawie znieczulenia względna doskonałość ludzkich wynalazków niejednokrotnie na wierzch wyjść musiała, a ogółowi Czytelników doskonale wiadomo, że wśród największych ostrożności i w rękach najlepszych operatorów na setki wypadków pomyślnych zdarzały się przecież odosobnione wyniki śmiertelne. — Chwilowy tryumf bezwzględny tak dzielnego środka usypiającego, jakim jest chloroform, stał się z biegiem czasu o tyle względnym, że statystyki porównawcze i wyniki obrad lekarskich wykazały w szeregu wypadków groźne jego skutki, a lekarze rzucili się do wynalezienia innego środka, któryby go mógł zastąpić z mniejszą ujmą dla zdrowia i mniejszą grozą dla życia. — Po epoce chloroformu nastąpiła też w niektórych szpitalach epoka eteru, mieszaniny eteru z chloroformem brometeru itd. itd. — Równocześnie zaś silono się na konstrukcyę najróżniejszych przyrządów, mających na celu bądź to dokładne zamknięcie ust i nosa, bądź też określenie granic stężenia, w których powietrze wdechane ma się mieszać z narkotykiem. — Nie będziemy nużyć czytelnika ani opisem tych przyrządów, ani krytycznym ich rozbiorem; wystarczy jeśli wspomnimy o koszyku Brencia, o hełmie Gleicha, o masce z klapami do wdechu i wydechu, o munsztuku Clovera, o najnowszym przyrządzie Gepperta, pozwalającym dokładnie kontrolować *„zone maniable"*, aby czytelnikowi dać pojęcie o ruchu, jaki panował i panuje na tem polu. — W parze z tym postępem oczywiście i chemia siliła się na to, aby udoskonalić o ile można technikę fabryczną i dostarczać jak najmniej zanieczyszczonych produktów. Zupełnie zaś niezależnie od sprawy usypiania ogólnego, wzięto się do zewnętrznego stosowania rozmaitych środków znieczula-

jących, jako to eteru, kokainy itp. Im kto miał więcej pomyślnych wyników, a raczej im kto rzadziej trafił na niepomyślną komplikacyę, tem bardziej oczywiście trzymał się w swej praktyce pewnego środka i innym go polecał, a statystyki szpitalne i prywatne, jak wspomnieliśmy, rywalizowały ze sobą o palmę pierwszeństwa. — Od pewnego już czasu na tem polu ruch naukowy nie objawiał się w jakiś sposób wybitniejszy, aż dopiero niedawno badania, wykonane nad znieczuleniem zapomocą wstrzykiwania kokainy do rdzenia, poruszyły świat naukowy. — Użycie kokainy jako takiej w medycynie nie jest wprawdzie rzeczą nową, lecz nowem jest zwrócenie uwagi na fakt, że wstrzyknięcie jej do kanału kręgowego, w którym przebiega rdzeń pacierzowy, powoduje rozległe znieczulenia. — Prace Biera, Tuffier'a, Corninga i Siccard'a, dokonane w ostatnich latach, są pod tym względem epokowemi, chociaż niejeden głos odzywa się jeszcze przeciwko nowej metodzie i mogącym wyniknąć niebezpieczeństwom, które ona sprowadza; nie da się zaprzeczyć, że podobne niebezpieczeństwa mogą być skutkiem innych dotychczasowych sposobów znieczulenia. — Walka najgłówniejsza toczy się oczywiście w pismach francuskich i amerykańskich. — Zwolennicy kokainizacyi widzą jej przewagę w tem, że jest to zabieg bardzo krótki, prawie bezbolesny, nie odbierający choremu świadomości, a mimo to znieczulający tkanki operowane, zabieg nie wpływający na czynność serca i nie mogący sprowadzić uśpienia chorego „na zawsze", wreszcie zabieg, nie wymagający osobnej asysty i osobnego nadzoru podczas operacyi, co jest bardzo ważnem dla praktyki prywatnej, wojennej, wiejskiej itd. — Zwolennicy natomiast dawnych metod podnoszą niebezpieczeństwo wstrzykiwania trucizny do układu nerwowego, która może sprowadzać zawrót głowy, wymioty, a nawet śmierć. — Są to jednak wypadki równie wyjątkowe jak wypadki nieszczęsnych skutków chloroformowania. — Chodzi tylko o to, który wyjątek zdarza się jak najrzadziej, a pod tym względem elokwencya autorów francuskich z zapalczywością nie do naśladowania stacza bój morderczy. — *Le mal de mer, la face pâle de nox cocaïnisés vous effraie? Aimez-vous mieux la face vultueuse, congestionnée, violacée, les râles et la bouche écumante, les mouvements désordonnés, des chloroformés?* — Oto próbka stylu polemizujących uczonych, którzy prócz cyfr statystycznych wciągają nawet w grę momenta fizyognomistyczne. — Jakim tedyby nie był ostateczny wynik tej walki, nie można, jak na dzisiaj, zaprzeczyć, żeśmy zdobyli ważne odkrycie naukowe, które pozwala nam w pewnych wypadkach zastąpić chloroform,

a w pewnych wypadkach zupełnie go wykluczyć, zwłaszcza tam gdzie znieczulenie jest konieczne, a według dotychczasowych prawideł zastosować się nie dało. — Uważaliśmy też za stosowne powiadomić o tem łaskawych Czytelników w kilku uwagach, może za długich, lecz przedstawionych w związku z tem, co dotąd robiono na tem polu. — Liczne dzienniki zagraniczne popularyzowały nawet ten wynalazek w formie rysunków, przedstawiających chorego, patrzącego spokojnie i bez bólu na nogę, którą mu odcinają, lub chorego z oczyma zawiązanemi, który wstaje ze stołu operacyjnego z uśmiechem, nie wiedząc nawet o tem, że go operowano. — Rzeczywiście są to rzeczy zgodne w pewnych wypadkach z prawdą a na pierwszy rzut oka nawet bardzo interesujące, lecz sądzimy, że krótki opis świetlnych i ciemnych stron tego obrazu da łaskawym Czytelnikom racyonalniejsze i krytyczniejsze pojęcie o samej rzeczy. — Oby najświeższe próby Cathelin'a, zdążające do zmniejszenia niebezpieczeństwa przez wstrzykiwanie kokainy nie pod błonę rdzenia lecz ponad tę błonę, zapewniły wynalazkowi coraz szersze zastosowanie; oby nowa karta dziejów naukowych coraz więcej zyskiwała rozgłosu; oby wreszcie wiek XX poszczycić się mógł jak najmniejszą ilością tego, co niesie za sobą mord i pożogę, a natomiast jak największą potęgą wynalazków, co niosą wśród cierpienia ulgę, a wśród pracy pokój.

Dr. J. Zanietowski.

Druk ukończono 30 listopada 1901 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Stronica

Stanowisko Dyonizego względem ery staro-chrześcijańskiej. Przez *ks. K. Czaykowskiego* 1

Młoda Polska w powieści i poezyi. 5. Dramat modernistów. 6. Młoda Polska a romantyzm. Przyszłość poezyi. (Dokończenie). Przez *prof. Antoniego Mazanowskiego* 25

Młoda Polska. Pierwiastek ludowy w poezyi. (Dok.) Przez *St. Zdziarskiego* 43

Przyszłe ukształtowanie się austro-węgierskiej polityki handlowej (Dok.) Przez *Adama Krzyżanowskiego* 58 199

Piórem i ołówkiem. 2. Z Grecyi i Wschodu. (Dok.) Przez *Jana Ładę*. 76

Kilka słów o kwestyi kobiecej. Przez *Jadwigę Rostworowską*. 147 359

Vota i Sobieski. Przez *ks. St. Załęskiego* 168

Z podróży do Włoch. Katakomba św. Kaliksta. Przez *Józefa Rystana* 188

Różnica między Dyonizym a staro-chrześcijańską erą. Przez *ks. K. Czaykowskiego* 216

„Wesele“ Wyspiańskiego. Przez *ks. J. Pawelskiego* . . 233 390

Na wyspie Patmos. Przez *ks. Marcina Czermińskiego* . . 323

Rozbiór krytyczny źródeł odnoszących się do kwestyi ś. Stanisława bisk. Przez *prof K. Krotoskiego* 338

Od Rogera Bakona do Harnacka. Przez *ks. K. Czaykowskiego* 370

Przegląd piśmiennictwa.

Stronica

Z piśmiennictwa krajowego:

Historya pedagogii dla użytku seminaryów nauczycielskich. Napisał dr. Franciszek Majchrowicz. *(Ks. prof. Aleksander Pechnik).* 98

Wspomnienia jenerała Klemensa Kołaczkowskiego. Księga III, od r. 1820 do 1830. Księga IV, r. 1831. *(M.)* 105

Przełom w socyalizmie. Dr. Zofia Daszyńska-Golińska. *(A. Krzyżanowski)* 108

Żywot Wielebnej Matki Teresy, od Pana Jezusa, Marchockiej, Karmelitanki Bosej. *(J. R.)*. 111

Bogurodzica. Rozwiązanie zagadki. Aleksander Brückner. *(Korneli Juliusz Heck)* 252

Agenor hrabia Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859). Przez Bronisława Łozińskiego. *(Zygmunt Gargas)* 262

O prawdziwej kobiecie. John Ruskin. *(M.)* 265

Klasztory Karmelitanek Bosych w Polsce, na Litwie i Rusi. *(M.)* 268

Przewodnik po Śląsku Cieszyńskim wraz z opisem topograficzno-etnograficznym i szkicem dziejów Księstwa Cieszyńskiego. Ks. Antoni Macoszek. *(Henryk Ułaszyn)* 270

Moralność chrześcijańska a etyka najnowsza. Studyum. Napisał ks. Stanisław Narajewski, profesor Uniwersytetu lwowskiego. *(K. Czaykowski)*. 407

Zasadnicze pojęcia dyddaktyki i logiki dla użytku w seminaryach nauczycielskich i w nauce prywatnej. Napisał dr. Kazimierz Twardowski, prof. Uniwersytetu Lwowskiego. *(Ks. prof. Aleksander Pechnik)* 410

Kazania o świętych Patronach Polskich. Ks. dr. Józef Sebastyan Pelczar, biskup przemyski, b. profesor Uniw. Jagiell. *(Ks. Jarosław Rejowicz)* 417

Parcelacya większej własności ziemskiej w Prusach. Dr. Jan Rozwadowski. — Znaczenie parcelacyi większej własnożci ziemskiej w Galicyi. Dr. Jan Rozwadowski. *(A. Krzyżanowski)* 418

W sprawie zadłużenia mniejszej własności. Dr. Tadeusz Starzewski. *(A. Krzyżanowski)* 420

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Alfred Dreyfus. Cinq années de ma vie 1894—1899. *(T. Wodzicka)* 113

Catalogus generalis sacri, canonici ac exempti ordinis Praemonstratensis ineunte saeculo XX. *(Ks. Jarosław Rejowicz)* 116

Saint François de Sales par Fortunat Strowski, ancier élève de l'école normale superieure. *(Ks. Aleksander Mohl)* . . . 117

Stronica

Studien zur oesterreichischen Agrargeschichte von Dr. Karl Grünberg. Profesor der politischen Oekonomie an der Universität Wien. *(Z. Gargas)* 272

Les soeurs aveugles par Maurice de la Sizeranne. *(M.)* . . . 277

Meinrad Helmpergers denkwürdiges Jahr. Eine Erzählung von E. von Handel-Mazetti. *(Ks. Wiktor Wiecki)* 281

Le prédicateur au XX siècle. Noveaux plans d'instructions et de conférences en rapport avec les besoins des temps actuels. Per P. Xavier. *(Ks. Jarosław Rejowicz)* 422

Les Saints, collection Victor Lecoffre: Saint Yves par Ch. de la Roncière. *(M.)*. 425

Die gesellschaftliche und wirtschaftliche Entwickelung in Japan. Tokuza Fukuda, Doktor der Staatswissenschaften. *(Prof. M. Straszewski)* 427

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

Sprawy Kościoła: Za co ma Austrya wszechniemcom dziękować? Przez *ks. K. Czaykowskiego* 121

Niemieckie zjazdy katolickie. Przez *A. H.* 129

Nowe pomysły unii anglikanizmu z patryarchatem ekumenicznym. (Joachim III, Dowling i protojerej Malcew). Przez *K. C.* 137

Ruch piśmiennictwa religijnego w Królestwie Polskiem. Przez *X. T. B.* 142

LISTOPAD.

Sprawy Kościoła: Biskup rzymski *in partibus infidelium* i nieudany zamach na jego prawa. Przez *ks. K. Czaykowskiego.* . . 283

Z Buffalo. Przez *M. N.* 291

Kronika ekonomiczna. Cła zbożowe. Przez *Adama Krzyżanowskiego* 299

Znaczenie i wyniki I Zjazdu przemysłowego w Krakowie. Przez *Z. Gargasa* 308 433

Referat Kariejewa. Przez *Henryka Ułaszyna* 319

GRUDZIEŃ.

Sprawy Kościoła w Hiszpanii: Formalizm i skrupuły legimistów. — Praca dla dobra warstw roboczych. — Wystawa przemysłu chrześcijańskiego. — Obrona ludu przez poprawę ustawodawstwa. — Obrońcy ludu nie przyjmują od niego nic dla siebie. — Sąd wolnomularski o zasługach Kościoła w Hiszpanii. Przez *ks. K. Czaykowskiego* . . . 433

Położenie krawców w Krakowie i spółka produkcyjna. Przez *ks. Leonarda Lipkego.* 455

Z zakresu medycyny. Przez *d-ra J. Zanietowskiego* 464